

# KSIĘGA ŚWIATA.

WŁADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORJI KRAJÓW I LUDÓW

ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODROJE OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH,

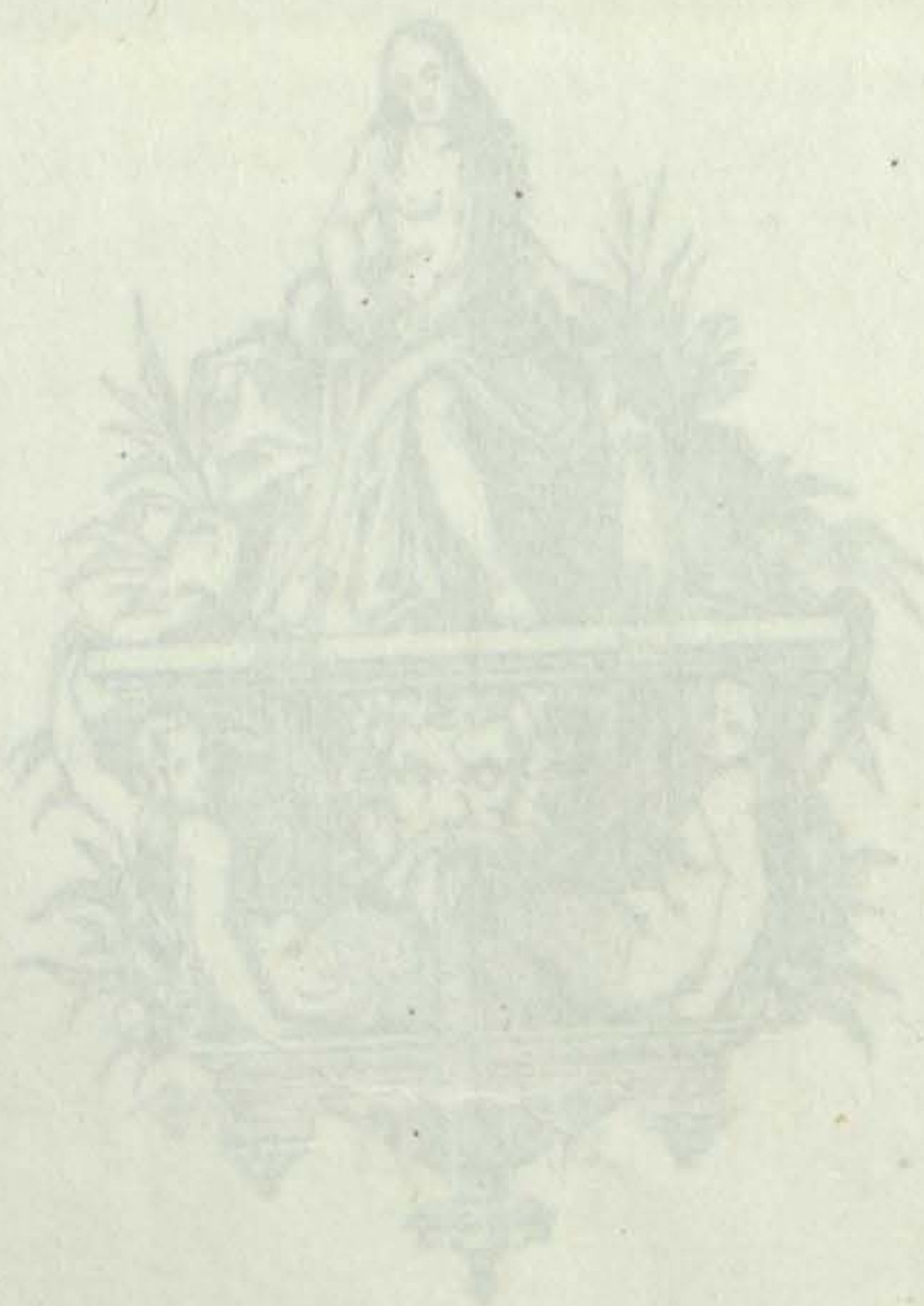
ODKRYCIA I WYNAZKI,

WAZNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

Obrazy Towarzystwa Statystycznego, Ekonomicznego i t. p.

Z RYTOWKAMI NA STAL, LITOGRAFIAMI CZARNEMI I KOLOROWANYMI, ORAZ DRZEWORYTAMI

# KSIĘGA ŚWIATA.



WARSZAWA.

WYDAWCA S. H. MERZBACHA KSIĘGARNIA

1880.



się i głos zmiększał. Zapytał mnie bez ogródki, wiele charować mogą pieniądze, by zostać okrzyczanym w jego dzienniku. Zmieszany nieco, powiedziałem mu że w razie powodzenia, nie omieszkać dać mu materialnych dowodów swojej wdzięczności; nie poprzestał jednak na tym i domagał się na przód okrągłej sumki, bez czego, mówił, niepodobna mi będzie mieć jakiegokolwiek powodzenia. Odrzekłem mu że się namyślię i opuściłem ongiż kwateronka opłuli publicznej. Inni redaktorowie wesoło okazywali pochopni do zdzierstwa; chwycili nawet w tym co czynić wypadało. Koszt dla dających mi koncerta są ogromne, lecz i bilety sprzedają się drugo: była 300 złp.; arze-cha 75 złp.; parastra 15 złp. W ogóle jednak niewiele sobie przewidziałem obywateli. Nie czekałem pojechać do kwateronki tutaj i nie czekałem, żeby mogła ze mną sympatyzować. Ludzi zajętych wyłącznie rozbiorem pieniędzy, mało interesuje sztuka; widać ich sążnia lamano pajaców i walki kogatów.

Anglicy zachowują tu święcie zwyczaje i obyczaje swoje, nie uważając bynajmniej na to, że sam klimat powinien je modyfikować. Widać to w ich w najniższych szczegółach. Ciężko im wyobrazić sobie karykaturę. Popucie ich zdają mi się usiebrzy-blejszom piędziem i rodu ludzkiego; są nieskładni, brzydki rysy, o chudych, długich członkach. Technicznie ich doboru do natwórszego stopnia; padają na widok obnażają zębami i widać. Kilka tysięcy ich mieszka w Sydney, gdzie przyswoili sobie trochę pseudo-europejski.

W dzień następnego do koncertu ukwateronk mi frak czarnej, który dostałem był do wydzierżawienia. Na następnego wieczora dostałem drugi i przywożąc go, miałem się udać do sali koncertowej, gdy dzwonek alarmowy wystrzelił nas na ulicę. Ustałem jednak wkrótce i obrony staraniem, skierowałem do powozu. Trzeba było niezapomnieć że niepodobny woźnica wyrucił nas w drodze, spawana jak długi w błoto i cały swój garnitur był mi. Fruk, fra-ka! królestwo za frak! Jakże krwawo sławieć się

tował się mordercą i z prawdziwie niemiecką usłu-żnością sprzedał mi frak, niekoniecznie czarny, bo jasno-niebieski, z białymi, brązowymi guzikami, fro-chę przycięsny za złp. 300. Był to zawsze frak, i są-żąc że tam znalazł się uczy się stykacie sydneyjskiej, pospieszyłem do teatru Royal-Victoria.

Sala była nawpół pełna gdy przybyłem; wkrótce orkiestra skończyła uwerturę a Huguotów, kurtynę podjęto i wystąpili na przód. Salsowscy się publi-aności, brałem sztycyk do ręki, gdy zrobił się ha-łas okropny; wołano zewsząd abym się oddał. Zmieszany i zdziwiony takim przyjęciem, oddaliłem się spiesznie. Za kulisami spotkał mnie dyrektor teatru, wyrażając mi jak śmiało obrazić najdystyngowane-żarzystwo antypodów, występując bez rękawiczek i w jasnym fraku. Opowiedziałem mu w kilku wyra-żach co się stało z moimi frakami. Tymczasem publi-aność wrzeszczała z całej siły: „Dyrektor!” Wy-szedł dyrektor i z pokorną miną zakomunikował pu-bliczności przysługę obudwu moich fraków; zaimpro-żizował przytem krótką moją biografią, dodając że-żby wybaczyć geniu-żowi mojemu, że nie miałem fraków, nawet dla tak-żarzystwa. Zakończył przemowę za-życaniem, czy panowie i panie pozwolą grać p. Miszco Hanner, lub nie. „Yes” odezwał się głos z pierwszego rzędu krzesel i „yes, yes!” rozległo się w całej sali.

W pierwszego rodzaju sposobie wyprzedłem na sce-żę ja też drugi, lecz przewodził do siebie, wyko-żnaniem śmiały stał na czoły stykatełowych moich sta-żczków. Zapiętałem im fantazję drugiego utworu na kar-żawał wesości. Przyszła obłaska dodały mi otuchy, i gdy skończyłem Hanne Bröndla, z wariacyami Gu-żłowa, ogłosiłem zewsząd rozległo się brawo; damy nawet z krzesel i kró klaskaly, wrzeszcząc piskliwym głosem „very fine!”

Koncert, rozpoczęty wśród tak nieprzyjemnych oko-żczności, zakończył się porządnie nad wszelkie oczekiwania. Na następny wszystkie miejsca zostały za-życane i zapłacone.

ATAIWSZ KSIĘGA



# KSIEGA ŚWIATA.

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW

ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,

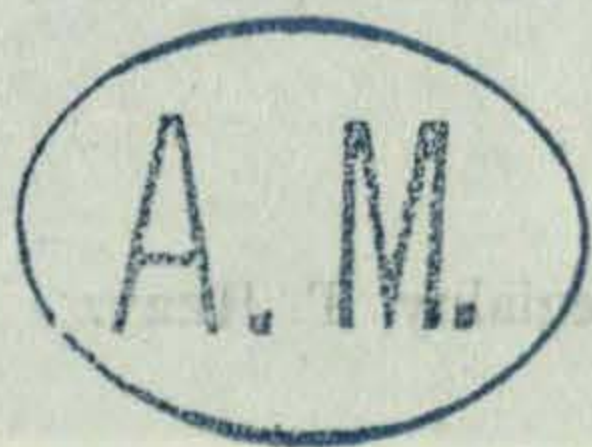
PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH,

ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

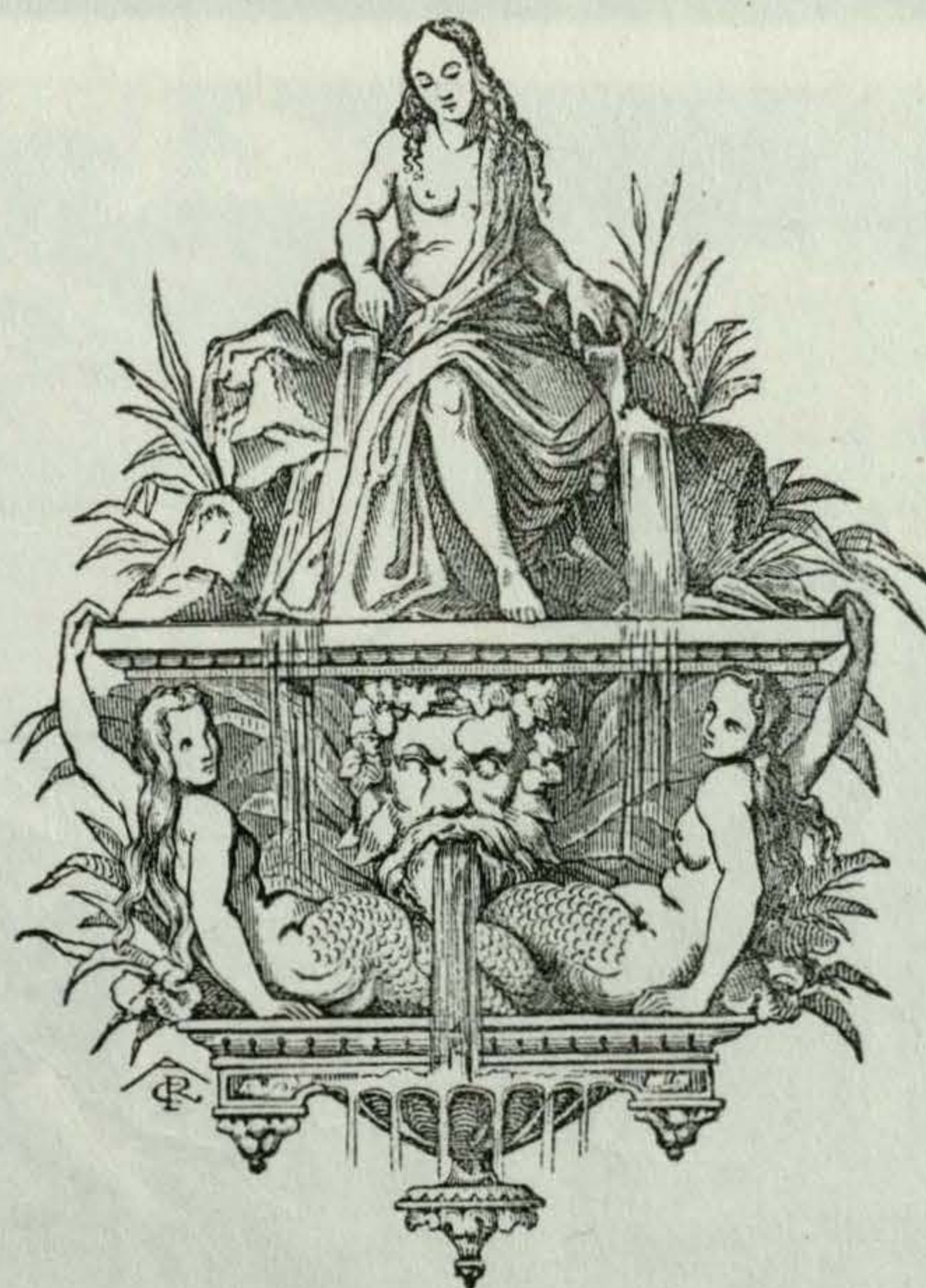
WAZNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

Obrazy Towarzyskie, Statystyczne, Ekonomiczne i t. p.

Z RYCIAMI NA STALI, LITOGRAFIAMI CZARNEMI I KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.



CZĘŚĆ DRUGA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA.

1859.



KSIĘGA ŻWIATA

2680.

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORJI KRAJÓW I LUDÓW

ŻYWOY ZNAKOMITYCH LUDZI

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SIĘCZNYCH

ODRYCIA I WYKRESY

WAZNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE

Opisy Towarzystwa Statystycznego, Ekonomicznego i t. p.

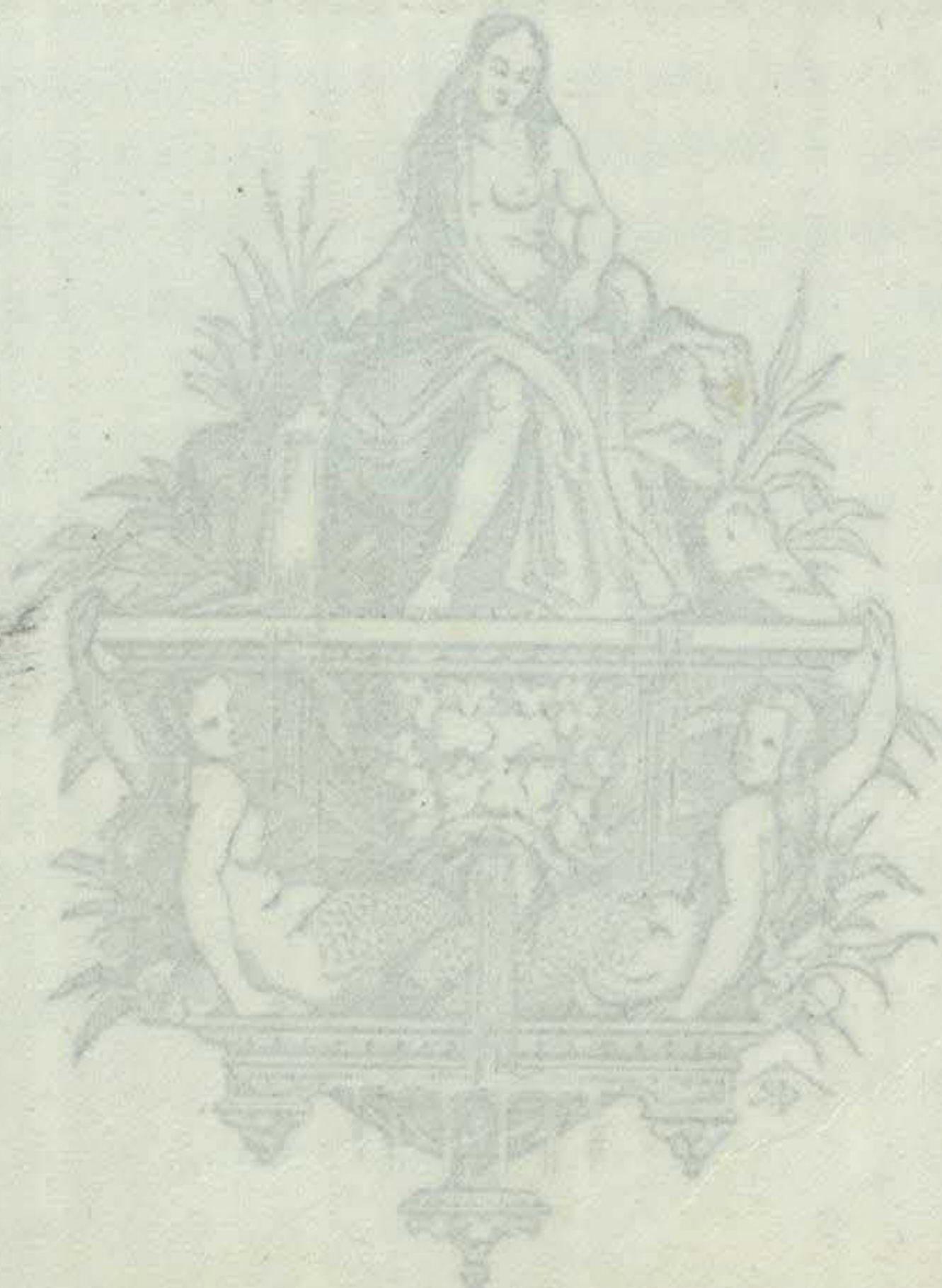
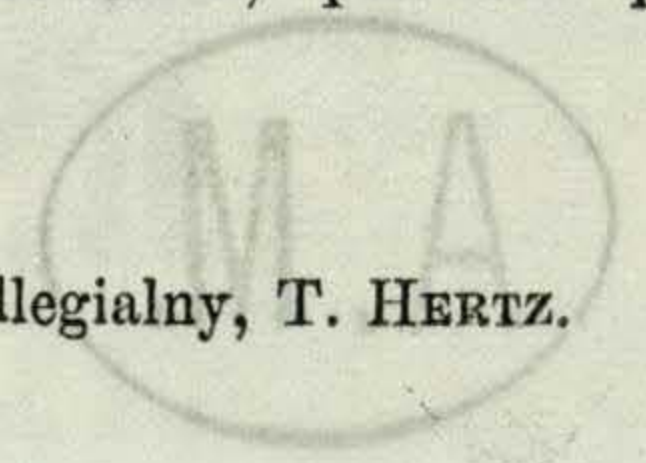
Z RYCIAMI NA STALI, LITOGRAFIAMI OZARNIAMI I KOLOROWANAMI ORAZ DRZEWORYTAMI

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

*Opis*

w Warszawie dnia 16 (28) Grudnia 1859 r.

Starszy Cenzor, Assesor Kollegialny, T. HERTZ.



w Drukarni J. Jaworskiego.

WARSZAWA

WYDAWCA S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA

1859.











# KSIĘGA ŚWIATA.

## WŁOCHY.

(Z 2 rycinami na jednej tablicy).

Tyle pisano o Włoszech, tylu najpierwszych historyków i najpierwszych poetów uwieczniło piórem swoim tę czarowną, ogniem wojny płonąca dziś krainę, iż zdaje się jakoby przedmiot ten był zupełnie wyczerpanym, jakoby żadnego nie zdołał już obudzić zajęcia. Przecież każdy niemal podróżny czuje potrzebę podzielić się z ogółem wrażeniami, jakich doznał przebiegając ową ziemię pamiątek, tak obfitą w różnego rodzaju bogactwa, a pragnie tego nie w mniemaniu iż nowe światło rzuci na przedmioty przez zdolniejszych już opisane, ale sam żywo przejęty chce podwoić przyjemność jakiej doznaje rozmawiając o miłych wrażeniach, a razem spodziewa się jakąś ich czastkę czytelnikom udzielić dając szczegóły o tej ziemi artystów i klasyków z którą przed wieki bliskie łączyły naród nasz stosunki, skąd praojcowie nasi czerpali naukę i gdzie ich nawzajem oceniać umiano.

Dziś więcej niż kiedy obudza w nas zajęcia wszystko co się Włoch tyczy bo oczy całego niemal świata zwrócone są na ten krwawy, na ten wielki o byt i narodowość rozpoczęty proces. Dziś pod wielu względami zmieniła się opinia o narodzie włoskim, pomawianym o zubożenie na byt i na przyszłość swoją, o drobiazgowo trzymanie się prowincjonalnej narodowości, o niemożność poczucia się jednym wielkim narodem. Dziś Włosi dają dowody iż otrząsnawszy się z niektórych przesądów, z niektórych prowincjonalnych nienawiści (niebezzasadnych w początku swoim) z zapalem do zjednoczenia się w dobrej sprawie spiesząc, gotowi są bronić do ostatniej kropli krwi całości swjej pięknej ojczyzny. Tém większą mają zasługę iż w ucisku, pod obcym jarzmem wyrobiło się

w nich to uczucie miłości dla całego kraju. Ludzie oświeceńsi pracą z wytrwałością i prawdziwą miłością prowadzoną wpłynęli na lud i zdołali go przekonać, że rolnik, mieszkaniec Lombardzkiej ziemi, wien w Wenecyaninie rybaku widzieć brata, jednej wspólnej matki syna. Nie tylko słowem ale czynem dowodzili tego nauczyciele ludu; gdy bowiem w roku 1848 Wenecya zdobytą została, obrońcy jej poszli zasłaniać inne miasta Lombardyi a gdy i tych nie stało, pospieszyli walczyć pod murami stolicy królestwa.

Dwa zarzuty, jakie wymieniłszy—to jest że Włosi nie dość myśleli o przyszłości i że kochając tylko zakątek rodzinny, w sąsiedzie rodaka uznać nie chcieli a raczej nienawiścią tchnęli dla mieszkańców odleglejszych krajów swojej ziemi—tych zarzutów, mówię, przyczynę łatwo pojąć i wytłumaczyć można. Wieki się na nią składały, a początek złego jak zwykle obce przyniosło plemię: bo gdy nieogłędni Włosi w X wieku sprowadzili Germanów by się od francuzkiego władcy Beranżera II uwolnić i tym sposobem wpadli w sidła przewrotnej polityki niemieckiej, ci zaczęli od dogodnych na pozór urzędzeń, bo od niezależnego organizowania miast, to jest wyłączenia ich od praw ogólnych. Ztąd miasta lombardzkie do wzajemnych nienawiści i zazdrości popchnięte, lubo wzrastaly materyalnie, traciły narodowość wspólną, zamykając się każde w swoim obrębie, a choć później wzmógłszy się w siłę, kolejno wybijały się z pod germańskiego panowania i w potężne zamieniały się republiki, do braterstwa nie wrócono nigdy. Wiadomo jak zacięte wojny prowadziły miasta włoskie między sobą i jak częstokroć nieświadomie służąc stronnice-



twom własną przygotowywały zgubę; nie więc dziwnego że pomimo jednoplemienności, rozdwojenie to wkończyło się i do dzisiejszych dotrwało czasów.

Również dziwić się nie można że nieszczęśliwy ten naród, straciwszy uczucie braterstwa dla ziomków sąsiadów, upadł moralnie tak dalece że o przyszłości, o postępie swoim myśleć przestał. Inny naród w stanie podobnym, mógłby zatracić narodowość, lecz oni w tak świetną bogaci przeszłość, w niej się zatopili, nią żyli przez ten czas pozorniej apatii. Sztuka zajęła się uwiecznieniem pamięci bohaterów tak pogańskiego jak chrześcijańskiego świata; zaczęto skrzętnie gromadzić stare zabytki, odkopywać dawne arcydzieła, stawiać pomniki zasłużonym ludziom, a tak rozpamiętując przeszłość swoją, Włosi pocieszali się nią w zbyt przykrąj terażniejszości. Nie tylko Rzym ale i inne miasta dostarczały obficie ciekawych wykopalisk z termów (łaźni), anfiteatrów, czy też wreszcie z katakumb — trudności w poszukiwaniach nie było bo jak słusznie się wyraziła Lady Morgan: „ziemia, ta złożona z gruzów mocarstw i z popiołów bohaterów” — my zaś dodamy — i z popiołów męczenników i świętych! W pamiętnikach tej wielkiej przeszłości umysł znajdował obfity pokarm, sztuka najdoskonalsze wzory i dlatego zdawało się że Włosi ciesząc się i szcząc bogactwem przeszłości, nie myśleli wcale o jutrze, — a przecież tak nie było!

Nie raz-to pierwszy podróżni niesprawiedliwymi okazali się w sądach swoich o tym narodzie, nazwali go lekkim i rozpustnym, tymczasem jest to lud żywy, pełen zapału ale nie lekki; — lud namiętny ale nie rozpustny. Uderzającą jest odmienność jego od innych a szczególnie germańskich ludów, dla podróżnika z Niemiec przybywającego. Ruch gwarny ale sztywny i jednotonny Wiednia, jakże jest różny od tego jaki już w Trieście nastaje. Minawszy zimne, niepłodne góry, z zadziwieniem spuszcza się podróżny cudną nad morzem ciągnącą się doliną, gdzie nagle inne go powietrze owiewa, inna ludność wita. Ciepło łagodne zastąpiło wiatr ostry, a ludność pełna różności i swobody, sztywne postacie miast niemieckich lub nędznych mieszkańców gnieźdzących się w przylepionych do gór chatkach; a jednak Triest nie jest miastem włoskim, choć w niem silnie włoski przemaga pierwiastek. Siegnąwszy zamglonej przedchrześcijańskiej przeszłości miasta, widzimy je osadzone uwolnionymi od służby żołnierzami; później Słowianie napłynąwszy od wschodu, zmieszali się z ludnością włoską tak, że dziś, zaledwie z trudnością dojść można jaki tam przeważa pierwiastek. Lud, zarówno

mówi obu dialektami włoskim i słowiańskim. Zresztą miasto czysto-handlowe, miasto które znudzone ciągłymi napadami Wenecyan, wyrzekło się dobrowolnie swęj narodowości, oddając się Austrii, nie może być włoskiem miastem zwane. Mimo to, jakieśmy wyżej powiedzieli, ma ono już fizyognomię a raczej ruch miast włoskich, tak różny od innych europejskich. Lubo ruch ten w Trieście na jednym tylko placu wielkim (piazza granda) koncentruje się, można tam szczególnie w godzinach rannych spotkać wszystkie narodowości, usłyszyć wszystkie języki Europejskie, a różnaitość ubiorów bawi oko tego, kto poraz pierwszy znalazł się wśród tego zbiegowiska nowego dla siebie. Tu, piękny, strojny, wykwinny rzecz można kostium grecki, dziwną stanowi sprzeczność ze skromnym ubiorem jaśniejącej wdziękiem, pociągającej wyrazem łagodności Krainki, mieszkanki przedmieść i okręgu, w zręcznym kaftaniku, w lekkiej, cienkiej, jak batyst chustce na głowie, ze spadającym do pasa, jak u naszych wieśniaczek końcem, u której na głowie spoczywa duży kosz napełniony świeżemi jak jej twarzyczka kwiatami lub owocami. Dalej jakaś o bladej twarzy Lady owinięta różnofarbnym szalem, wspiera się na ramieniu wysmukłego lorda czarno ubranego, przyglądając się ciekawie tak obcemu dla siebie ruchowi; obok nich przesuwają się ogorzały, w brudnej czapeczce, w kaftanie niedbale zarzuconym marynarz, Dalmata, który obojętnym na to zbiegowisko rzucając okiem, śpieszy po prowizję placków z polenty i kasztanów.

Ale porzućmy Triest, miasto bez pamiątek przeszłości; nie zabawi tu długo podróżny nie mający handlowych spraw do załatwienia; ulice jednostajne, gmachy po większej części w jednym nowożytnym stylu pobudowane, gwar i ruch kupczących, rozczarują go prędko i oko zwróci się na czarowne krajobrazy stanowiące jakby tło domów i ulic; każda bowiem z gór pobliskich przybraną została w pałacyki, ogrody i winnice, które tam z wielkim kosztem i trudnością pozakładane zostały, bo na skalistą i często stromą ich powierzchnię musiano nawozić ziemię tłustą i pożywną z innych nadmorskich okolic.

Mówiąc o okolicach Triestu niepodobna nie wspomnieć o cudnie pięknych brzegach Krainy, które natura, zda się, z upodobaniem najróżnorodniejszymi urozmaiciła widokami. Tu uderza oko skalista góra rozwalinami starych murów pokryta, ówdzie bogata w wegetację pochyłość, dalej prześliczny gaj nęcący balsamicznym powietrzem, a przytęm lud najsympatyczniejszy. Jest to szczep słowiański zwany Kraińce



(od *kraju*, brzegu) że na krańcu ziemi nad morzem zasiadł; jak wszyscy Słowianie przedewszystkiem rolniczy, łagodnego, cichego usposobienia. Mężczyźni strój mają lekki, krótki, stosowny do klimatu i do położenia górzystego; kobiety ładne, zręczne, starannie i nadzwyczaj czysto ubierają się; w ogólności ród to żwawy, wesoły, bo dwa plemiona Słowian i Włochów w połączeniu piękną tu tworzą harmonię. Uczucie artyzmu i żywość włoska zlaną z pracowitością i łagodnością słowiańską, nadają mu coś nader pociągającego. Jak w Triescie tak i w całej Krainie mieszkańcy mówią obu dialektami; Słowiański jednak bliższy serca ich być musi, bo do modlitwy używają; a są bardzo nabożni i książki do nabożeństwa oraz kalendarze, grammatyki, słowniki, zbiory pieśni ludu, a nawet parę poematów, dramatów i powieści drukowanych w Lublanie (Lajbach) w swém narzeczu mają.

W Istrii miasto Capo d' Istria, zbliża się architekturą gmachów swoich zupełnie do miast włoskich; wielki plac nawet tutaj, plac *sgo Marka* w Wenecyi nieco przypomina, i nie dziw, to miasto bowiem długo było pod panowaniem Wenecyi, która skoro w potęgę wzrastać zaczęła, najpierw o zagarnieniu pięknych i żyznych brzegów Istrii pomyślała. W IX też wieku, kiedy udzielném księstwem była, Wenecyanie na przemian z Frankami wydzielali ją sobie, aż sławny Doża Dandolo, stanawszy osobiście na czele siły morskiej, opanował ją i odtąd Capo d' Istria ciągle prawie pod panowaniem Wenecyi zostając, zabudowywała się na wzór swojej metropolii.

Ciekawe do zwiedzenia dla podróżnika są tak zwane Saliny Capo d' Istrii które raczej fabryką soli nazwać możnaby—sól bowiem wydobywają tam z wody morskiej za pomocą parowania; sposób ten wiele kosztuje pracy, i więcej jeszcze wymaga uwagi, a tylko w czasie upałów rezultat odpowiada staraniom.

Najznakomitszym portem Istrii jest miasto Pola posiadające kilka z czasów rzymskich pamiątek. Wielu podróżnych znających Włochy, wspomina tylko o dwóch miejscach czyli budowlach rzymskich zwanych *arena*, służących do igrzysk, to jest sławnej arenie w Rzymie i drugiej podobnej, o jeden tylko gradus mniejszej w Weronie; tymczasem w Pola spotyka podróżny podobną arenę z czasów cesarza Augusta, lepiej niż w Weronie zachowaną. I nie tylko tę jedną z czasów wielkości rzymskiej, zachowało miasto pamiątkę; ale zajmie tu także niejednego z lubiących się wgłębiać w przeszłość widzów, brama miasta (*Porta-aurea* zwana) która zdaje się niby grobowcem w stylu korynckim z wielkim smakiem postawionym;

przybytek Dianny, oraz świątynia Augusta w stylu rzymskim. Te zabytki, i dawne gmachy, i to mnóstwo okrętów stojących w porcie na kotwicy, nadają miastu temu większą od innych portów Istrii majestatyczność.

Chcąc nakreślić lekki tylko szkic o Włoszech, nie właściwie może zatrzymaliśmy się tak długo nad półwyspem Istrii. Ulegliśmy w tém pociągowi jaki wywarły na nas te cudne brzegi Adriatyku a mianowicie jednoplemienny z nami lud na nich osiadły. Dziwnie miłego wrażenia doznaje mieszkaniec brzegów Wisły, gdy w kraju tak powierzchownie odmiennym od jego ziemi, spotka nazwisko rzeczki lub wioski przypominające mu rodzinne strony, i to w miejscu gdzieby się tego najmniej mógł spodziewać. I tak np. w Adelsbergu w owiej sławnej grocie stalaktytów, gdzie samo nazwanie miejsca, położenie, klimat, słowem wszystko, inne niż u nas; krajowiec prowadzący nas po tém podziemném niby miasteczku w kamienie zamienioném, powiada mu że ciemna rzeczka która tak smutno wśród tych strasznych plutonowskich otchłani mruży, nazywa się *Piwka*; nadto usłyszawszy mowę polską uśmiecha się z zadowoleniem i w języku zrozumiałym dla podróżnego, zapewnia, że i on go rozumie, a na dowód pokazuje książeczkę do nabożeństwa w słowiańskim narzeczu. Przyjemniej jeszcze kiedy podziwiając to bogactwo przyrody, której praca i smak wykształcony dopomagają wszędzie, świadcząc o cywilizacyi mieszkańców, i doznając od nich gościnności bratniej, spostrzega się nietylko w ich języku i zwyczajach, ale w charakterze i moralném usposobieniu, w szczerości bratniej, wiele analogii, wiele tożsamości plemienną, której ani wieki, ani rządy, ani różne nieszczęścia zatrzyć nie zdołały. Mimowolnie więc dłużej zatrzymaliśmy się w miejscach tak dla nas sympatycznych,—a teraz śpieszymy dalej.

Komu rzeczywiście pilno do Wenecyi, niech doń wprost z Triestu morzem płynie, a będzie miał przedudowny widok miasta występującego z łona wód; widok przepyszny na całość: lecz kto chce obejrzyć i poznać szczegóły, niech pierwój zwiedzi Włochy, a posiedziawszy czas jakiś w starym Rzymie, wraca do siebie przez Wenecyę. Wtedy dopiero jest w stanie ocenić jej piękność. Wtedy oswojonego ze starymi, szaremi murami miast włoskich, nie razią napiętnowane starożytnością pałace weneckie. Rzadko kto, napatrzywszy się świeżością i elegancją jaśniejących miast Europy, umie od razu ocenić nieporównaną pod każdym względem, odwieczną królową morza jak ją zowią Włosi: przeciwnie, zrażony powierzchownością



starych, zaniedbanych pałaców, widokiem ich okien drewnianymi okiennicami zapartych, nie doznawszy wrażenia jakiego się spodziewał w tej wsławionej Wenecyi, nie badając dłużej, wyrzeka: „To trupie miasto, brudne i nudne” i ani chce się przypatrzeć, że te pałace są marmurem wykładane, że te domy nie są to pustki deskami zabite. Zaparte na czas jakiś, otwierają się w chłodniejszą porę i wtedy okna zapelniają się piękną obojój płci publicznością, przypatrzącą się drugiej, w odkrytych gondolach używającej przejażdżki. Chcąc więc poznać, zrozumieć oryginalną piękność Wenecyi, trzeba w niej czas jakiś zabawić, widzieć ją w różnych porach roku, rozpatrzyć się, zapoznać z niektórymi jej zwyczajami i uroczystościami, z jej pełnym poezji ludem, a do tego przychodzi się łatwiej będąc już pierwój oswojonym ze starożytnym pozorem innych miast włoskich i z ich obyczajami. Wtedy majestatyczne gmachy Wenecyi wydadzą się w prawdziwym wielkiej swój przeszłości blasku, a kto zna cokolwiek historję tego miasta i rozmaite dramata, które tu się odbyły, ten nie spojrzy bez żywego zajęcia na pałac Dożów <sup>1)</sup> lub inne gmachy, z których każdy prawie ma swoje dzieje niekiedy bardzo dramatyczne. Podziwiając naprzykład wytworną architekturę pałacu Foskarych, wnet wyobraźnia unosi nas w daleką przeszłość; stają nam w myśli nieszczęśliwi dwaj Foskarowie: syn, ofiara posłuszeństwa fanatycznego prawom ojca; ojciec, ofiara tychże samych praw i dumy. O starym Foskarym, miejscowe niosą podania, że usłyszawszy odgłos dzwonów, zwiastujących iż inny został wybranym na Dożę, padł nieżywy na balkonie swego pałacu, niemogąc przeżyć poniżenia własnego i niewdzięczności Rzplitej, której syna poświęcił. Ileż-to podobnie okropnych wspomnień z czasów ubiegłych dostarczają rozmaite gmachy Wenecyi; a obok tego, ileż pięknych i wzniosłych miejsc z pierwotnych lat bytu Rzplitej, która w rozwoju swoim, miała tak wiele chrześcijańskich, bratnich i swobodnych pierwiastków.

Często podróżni, jakby nie dość nasyceni blaskiem, ruchem, elegancją Paryża, szukają tego wszystkiego we Włoszech, a niedbając o pamiątki przeszłości, chcą tylko wrażeń: podobnych turystów najwięcej zadowolni Medyolan, ten mały Paryż Lombardzki, pełen ruchu, życia, pełen strojnej ludności jeżdżącej w pięknych powozach lub w modnych przechadzającej się strojach. Kto ze zwiedzających obczyznę chce history-

<sup>1)</sup> Widok i opis tego pałacu podaliśmy w Części I- Księgi Świata z r. b.

cznej przeszłości, niech między innymi miastami odwiedzi poważną, pełną starożytnych pamiątek Weronę. O jej pomnikach, jako tyle razy już opisanych, mówić tu nie będziemy: wspomnimy tylko o zachwycającym widoku z mostu Scaligierów na Adydze, wspomnim o cudownych brzegach tej rzeki; chociaż te wzgórza strojne w starożytne budynki, oszpecone zostały nowymi, bez żadnego smaku, austriackimi fortami, niemniej jednak tworzą śliczny krajobraz. Dziś te miejsca zamienione na teatr wojny jakże odmienną przybrały postać! Gdyby rycerze przeszłości, polegli niegdyś nad brzegami Adygi lub w murach Werony tylokrotnie wojnami niszczonej, ocknęli się ze snu kilkowiekowego, jakże kornie powinnyby pochylić czoło przed dzisiejszymi wojownikami, nie żeby ci w walczności przodków swoich przewyższać mieli; lecz myśl w jakiej broń dzisiejsi chwycili nieskończenie wyższą jest od sprawy za jaką tamci ginęli; bo dawniejsi padali jako ofiary stronnictw Gwelfów i Gibelinów, lub w najlepszym razie jako obrońcy territorium maluczkiego; ci walczą w obronie narodowości Włoch całych, w chęci zjednoczenia się z braćmi, których niegdyś za wrogów uważali.

Trzy znakomite rzeki Lombardzkie przepływają dzisiaj pola walki która ma rozstrzygnąć o losie nieszczęśliwych Włochów i podnieść ich pod każdym względem w oczach Europy. Każda z tych rzek nosi właściwy sobie charakter: piękna *Adyga* bystra, jasna, czysta, płynie rozkosznie między najpiękniejszymi górzystemi brzegami; gdy przeciwnie sąsiadka jej *Brenta*, ponura, ciężko toczy swoje ciemno-żółte wody, a wśród dawnych murów starożytnej Padwy szczególniej smutno wygląda: trzecia *Po*, lub Padua przepływa rozległą równinę, która, jakby umyślnie do ruchów wojennych utworzoną była. Olbrzymie szczyty Alp od północy zasłaniają od wichrów i mrozów tę bogatą dolinę 60 mil długości ze wschodu na zachód a 16 mil z południa na północ liczącą; łańcuch Apeninów broni ją od zbytich skwarów i niszczących wichrów *Siroko*; swobodnie więc wśród nader żywnych, uprawionych jak ogród gruntów, przyjmując w siebie pomniejsze strumienie, płynie wielka rzeka *Po*, jak arterya roznosząca życie. Nieraz ogród ów ze swoim amfiteatrem gór i tak cudownie wyrównaną płaszczyzną, zamieniał się na szranki, na arenę przygotowaną od natury do stoczenia morderczych bitew: nie brak tam żadnego z warunków pociągających zwykle wojska, ani strategicznego stanowiska które dozwala zwycięzcy działać na kilka krajów, ani łagodnego klimatu który ułatwia wojenne działania



przez rok cały, ani bogatego gruntu. Dla tego nie było prawie wojny w Europie, któraby wojsk do Lombardyi nie zaciągnęła; równiny jęj wypłyły więcej krwi ludzkiej niż wszystkie krainy, i zapytaćby niemal można, czy roślinność jęj i plenność nie powstała z trupów co ją użyźniły o drugie tyle przynajmniej ile dobroczynne działania rzek skrapiających jęj niwy. Wielcy wodzowie, którymi szczyli się historia od Annibala do Napoleonów występowali po większej części na tęj sławnej widowni. Owa arena, w której stoczono tak ogromną liczbę potyczek i bitw pamiętnych na wieki, nie była przecież nigdy widownią działań wojennych stanowiącym wpływ wywierającym na losy Europy. Pod Troją, Maratonem, Salaminą, Arbella przewaga zachodu nad wschodem ustalała się w starożytnym świecie; pod Farsalą i Actium ugruntowało się państwo rzymskie a na równinach Poitiers odparto najazd Saracenów; od bitwy pod Lepantem datuje się upadanie Ottomanów, zwycięstwo wielkiego Kondeusza pod Leces zmusiło cesarskich do podpisania Westfalskiego pokoju; tryumf Willarsa pod Denain zakończył długą wojnę sukcesyjną. Wszystkie pomysły jenuiszu i wszystka krew na równinach Lombardyi wylana, nie sprowadziły skutków, któreby się porównać mogły z wypadkami uzyskanymi w wymienionych bitwach. Traktaty podpisywane po największych zwycięstwach odniesionych we Włoszech były zawsze tylko rozejmem, albo samych tylko Włoch dotyczyły.

Nie będziemy się rozwodzili nad pięknosciami i bogactwami Włoch; kraj ten, kolebka cywilizacji i artyzmu, tyle razy był opisany, że tylko w dzisiejszej chwili gdy oczy wszystkich nań zwrócone zostały, odważyć się mogliśmy, wspomnienie z naszych przejażdżek, w tém piśmie umieścić. Rzucimy więc Lombardię i przeniesiemy się na południe. Opuszczając opisy znanych i słynnych powszechnie gmachów Rzymu lub Neapolu, <sup>1)</sup> pomówimy trochę o ludzie i o literaturze.

Jakkolwiek na pozór nie wielka zachodzi różnica między ludem północnych a południowych Włoch, jakkolwiek też same kształtne rysy, taż sama płęć ciemna, z nieco mocniejszym odcieniem, tu, co i tam widzieć się daje, oraz podobne skłonności i upodobania w charakterze wybijają; jednakże w istocie od-

<sup>1)</sup> W Księdze Świata opisane już były: Zamek i most św. Anioła w Rzymie, Katakumby, Pompeja, Como, Lugano, Wenecya, Palermo, Sorrento, Klasztor Kartuzów w Pawii i t. d. Niniejszy więc artykuł, ogólniejsze tylko zawiera rzuty.

różniają się znacznie. O ile w Lombardyi lenistwo, próżnowanie, rzadko się spotyka, o tyle w Rzymie i w Neapolu pracowitość do rzadkich cnót należy. W objawie uczuć i wrażeń swoich różnią się także bardzo. Włoch północny modląc się, klęka, zakrywa oczy i tak w niemym zachwycie całą Mszę św. przetrwa w skupieniu ducha i kornęj postawie, złożony u stóp ołtarzy swą ruchliwość i żywość. Przeciwnie południowiec, a mianowicie Neapolitańczyk, żywym ruchem, prędkimi gestami, niekiedy pocałunkami od ust do ołtarza ręką przesyłanymi, wyraża Bogu swe błagalne lub dziękczynne modły. W oddawaniu się uciechom takiż sam spostrzegać się daje odcień; jakkolwiek bowiem karnawał w Wenecyi i w Rzymie z całym wylaniem wesołości zwykł się odbywać, Neapol jednakże przewyższa oba te miasta w pustocie; bawią się wszyscy zapamiętałe i nie ma wtedy różnicy stanów.

Co do ubioru, rzecz można iż w naszym kraju więcej różnaitości jest w stroju różnych prowincyj, niż we Włoszech, w tych oddzielnych niegdyś państwach. Wszędzie spotyka się tego samego kroju kaftanik mniej więcej otwarty, stosownie do potrzeby klimatu, takaż spódniczka i fartuszek, strój tylko głowy stanowi jakąś u kobiet różnicę. Powszechnie chwalony i malowniczy ubior Neapolitanek bardzo jest korzystny; ślicznie wygląda wśród białej batystowej zawitki, twarzyczka smagławej cery, piękne pełne blasku oczy i pukle czarnych włosów wydobywające się z pod pokrywającej je zasłony płasko na głowie ułożonej. Mężczyzni noszą kaftany mniej więcej obcisłe, kapelusz okrągły nie różniący się niczem od innych europejskich, tylko duchowni mają oryginalne, duże, czarne kapelusze z 3 podgiętymi rogami.

Obok strojnego ubioru Neapolitanek, dziwnie wyglądają Lazaroni pełni wdzięku lub odrazy, stosownie do indywidualnego usposobienia. Lazaroni nie jest tak leniwym jak go okrzyczano; jest on rybakiem lub tragarzem, nader głośno i gorliwie zaleca usługi swe przejeżdżającym; lecz że w klimacie tamtejszym nie wiele na życie potrzebuje, zarobiwszy kilka bajoków spoczywa na laurach, jak zwykle powiadają, to jest leży na słońcu, siedzi na chłodnych marmurach, wreszcie bawi się czy to słuchając jakiego ulicznego improwizatora, czy przypatrując się jakiejś osobliwości, lub biegnie za jednym z licznych po Neapolu snujących się powozów i wskakuje na siedzenie z tyłu aby się przejechać bez kosztu. Nie spędzają ich woźnice, jak to czynią u nas dorożkarze z brukowcami podobną ochotę mającymi. Wesołe Neapolitanki gdy prze-



jeżdżają w swym narodowym wózku *coricolo* (rodzaj kabrioletu o dwóch wysokich kołach) wtedy szczęśliwi Lazarony we dwóch lub we trzech obsiadają stopnie i podobna wesoło rozmawiająca malownicza grupa pędzi w tumanach kurzu na nic nie kosztujący spacer. (Obacz rycinę.)

Lud włoski jest tak nieświadomie prawie artystyczny, że uczucie piękna we wszystkich zwyczajach i prawie ruchach okazuje. Kształtna kibić Włoszki nie pochyli się nigdy pod ciężarem, jak naszej wieśniaczki, dzwigającej worek lub wiązkę na plecach. Tamta ułoży w słupy czy to wory sieczki, czy pęki słomy kukurydzowej, przewiąże je po środku, postawi u boków swoich parę takich słupów, związkami do przepaski przymocuje, założy za nie rękę i tak idzie a raczej posuwa się równo, prosto, między temi automatami, nie zaczepiając nikogo. Inne przedmioty, jak owoce, jarzyny, bieliznę, zgoła wszystko co się w koszu ułożyć może, noszą na głowie. Krążek bawełną wysłany położony na głowie zabezpiecza ciemnie od ciśnienia ciężaru a postawa nabiera pewnego wdzięku, gdyż dla równowagi muszą chodzić prosto i zręcznie. W Karnioli i południowych Włoszech wszystko tym sposobem noszą na głowie kobiety, i dla tego nie ma prawie różnicy między Słowianką z okolicy *Polo* a Rzymianką z *Kampanii*: pierwsza tylko ma często kaftanik z rękawami; na głowie inaczey ułożoną, z tyłu dłużey spuszczoną białą chustkę; przytem twarz białą z żywym rumieńcem, oczy ciemno-niebieskie pełne łagodnego wyrazu; a wieśniaczka z *Kampanii* smagła, z czarnemi oczyma, podobna często do dawnych piękności rzymskich, ma piersi i ręce cienką tylko koszulą pokryte, kaftanik bez rękawów w pasie obcisły, wycięty na plecach i piersiach, żeby ile możności nie dodawał ciepła. (Patrz załączoną rycinę.)

Ten lud muzykalny, każde prawie zajęcie, każdą pracę, muzyką i śpiewem osładzać sobie umie. Śpiewają gondolierzy weneccy robiąc wiosłem, śpiewają chórem w miasteczkach włoskich szewcy przy warstacie siedząc; śpiewają wieczorem dziewczęta powracając z różnych pracowni, śpiewają aktorowie idący do domów po skończonej scenie; na wszystkie strony dochodzą do uszu rozmaite tony, często umiejętnie a zawsze dzwicznie odzywające się; to też nieprzeliczona liczba jest różnych ludowych upowszechnionych piosnek; pierwsi poeci zwykli słów do nich dostarczać. Jeden z dzisiejszych poetów Maniani Rzymianin, który w roku 1848 był czas jakiś ministrem spraw zagranicznych w państwie Papieżkiem, lubo nie należący do pierwszorzędných poetów, zasługuje

na wspomnienie. Jego Idylla pod tytułem: *Rispetti di un Transteverino*, jest to śpiew miłości, doskonale charakter wszystkich piosnek ludu rzymskiego malujący, żywcem jak to mówią z życia wzięty. Nie możemy się oprzeć żeby nie przytoczyć krótkiej treści tej piosnki, za jej bowiem pomocą najlepiej damy poznać usposobienie, uczucie, a nawet wykształcenie tych zajmujących, z pod ubogich strzech, śpiewaków.

„Do okien twoich (mówi młodzieniec do swęj ukochaney) zagląda księżyc, żeby się napatrzeć na twoją piękną twarz; och! gdybym mógł być jednym z promieni jego wtedy odkryłbym raj w twojem mieszkaniu. O! gdybym mógł przemienić się w gałązkę narcyza co go na oknie trzymasz, którego pieścisz uśmiechem swoim nadającym mu całą woń miłą!”

W następnych strofach przyrównywa ją do wszystkich kwiatów, unosząc się nad jej pięknoscią, przysięga że w kościele św. Piotra ani wyrzeźbioney ani wymalowaney tak pięknej nie widział twarzy.

Dalęj wymawia że jest okrutna, że na jego głos jak na psa szczekanie nie zważa, że on schrzypł już, że już pękła jedna struna w jego mandolinie, że bardzo źle robi pogardzając miłością jego dla tego, że on biedny.

„Nie uważasz (mówi) że choć biednym jestem, żaden Mylord angielski, Monsignor, nie mogą się ze mną porównać, bo krew moja, na Boga! jest krwią rzymską!”

Tu wylicza swoje pochwały, twierdząc, że chociaż jest piekarczykiem biednym, ale nikomu nic nie winien, jest uczciwy, i w potrzebie umie dzień cały być na czczo; nie ma na grzbiecie ani galonów, ani liberyi, żyje z pracy i nikomu nie służy; a mimo to, kiedy się ubierze w dzień świąteczny pięknie wygląda, ma siłę i odwagę, gotów konie w biegu zatrzymać, obalić niedźwiedzia o ziemię; wszyscy znają odwagę jego: między innemi dowodami wylicza że siedmiu Austryaków zwyciężył.

„Chyba ty nie wiesz, mówi, że ja w oberży Pelikana pokonałem w improwizacyi Bepa, zwyciężyłem go. Wiersze moje jak krople deszczu padały; powiedziećby można że czytałem z drukowanej książki! opiewałem Scevolę co to rękę swą w ogniu spalił; piękną Wirginię, Lukrecyę, boleść jej, nawet gęsi w Kapitolium.”

Potem domyśla się dla czego piękna Crezia nim gardzi, zgaduje że szczęśliwym rywalem jego jest Remo, i dopiero na wszystkie strony wydrwiwa, go nie szcędząc różnych porównań.

W końcu straszy ją słowami:



„Niech się cieszy szatan jeśli na potępienie pójdę! Cóż uczuje serce twoje okrutna Crezio! kiedy nagłową moją nagroda położoną będzie, kiedy żbiry ścigać mnie będą, kiedy twój wierny wróci w kajdany okuty, z twarzą krwią zalaną; kiedy usłyszysz krzyki ludu oburzonego, wołającego za mną jak za ranionym bykiem, *niech umiera, niech umiera!* kiedy w końcu ujrzysz mnie pod ręką kata?”

Jakże ta mała poezya maluje lud, który ją śpiewa; podobnej w żadnym nie spotka się kraju.

Był czas w którym literatura włoska w zupełnym zapomnieniu na chwilę zostawała, Francuzi a nawet i Słowianie, zajmawszy się Szylerelem, Bajronem, nie ciekawi byli dowiedzieć się czy po Dantem, po Tassie nie znalazł się tam jaki następca, któren chociaż tamtym nie zrównał, bo jeniuse tak się często nie pojawiają, wartby jednak był wspomnienia sąsiadów. Za leniwi sąsiedzi prócz Silwiusza Pellico nikogo nie wspomnieli. Dopiero teraz, kiedy z przyczyny politycznych wypadków, Włochy na widownię wypłynęły, literaci francuzcy, zaczynają zaglądać w ich literaturę, zaczynają spostrzegać się iż nie stosownie z trójnoga areopagu literackiego wydali wyrok że: „nie ma literatury we Włoszech, bo naród już nieżyjący.”

Francuzi jak zwykle z lekkością i niesumiennością wyrokując, pomylili się bardzo; nieszczęśliwe Włochy choć tłoczone do mogiły, niestraciły życia. Zapewne iż Petrarka tylu zrobił naśladowców że czas jakiś wyłącznie prawie egotyczne, romansowe pisano wiersze, byli jednak ludzie, którzy nieszczęście kraju swego wymownie oddać umieli.

Powszechnie uważanym jest za najpierwszego po Dantem, poeta Leopardi, któren znalazł licznych naśladowców, ale z tych żaden mu nie wyrównał. Stawiają go na czele klasyków, tak jak Manzoni na czele romantyków. Te dwie rzec można szkoły dotąd we Włoszech istnieją. Marchetti, któren jak Leopardi różnego rodzaju pisze poezye w Bolonii, stanął w obecnym czasie bardzo wysoko. Ody jego mają się odznaczać wielą pięknosciami. Sonety, rodzaj bardzo powszechny we Włoszech, były najwięcej uprawiane, widać ulubione przez Marchetti'ego, któren mimo zatrudnień męża stanu, bo był nawet czas jakiś ministrem, bardzo jednak wiele pisał.

Z poetów równie jak Sylvio Pellico wsławionych nieszczęściami, był Aleksander Perio, Sycyljczyk, brat Karola. W roku 1815 wygnany wraz z ojcem, mając lat trzynaście skorzystał z tego wygnania bo przebiegając Europę nauczył się tak wielu języków,

iż mówiono że sławny Mezzofanti tyle ich nie umiał: zabrał znajomość z Getem, do którego potem pisywał. Należał do sławnych zgromadzeń uczonych we Florencyi, gdzie wygnanemu przebywać nie wolno było. Do niego uczęszczali Giordani, Nicolini, Tomasco, niekiedy Lamartine i Manzoni. W 1848 roku wróciwszy do ojczyzny udał się do Wenecyi, wówczas w obleżeniu będącej, i tam zginął. Poezye jego nie liczne i nie zbyt znane z powodu że ostro przez austriackie władze zakazane były. Należał on bowiem do takich jak Berchet, (między którego poezyami jedna przypomina *Przekłętą Palmę* Karola Balińskiego), do takich jak Rosseti, Giusti, jak Beranger, którzy różnemi czasy wrzącem piórem nieszczęścia kraju swego kreślili.

Nie jest tu miejsce do wyliczenia wszystkich pisarzy Włoskich, do rozbierania ich dzieł, wspomnianych przez obcych literatów, ale nie tłómaczonych a tém samém nie znanych prawie jak *np. ta Prineida* rodzaj satyry, przez medyolańczyka Grassi napisana, którą, uważany za biegłego krytyka jeden z pisarzy francuzkich, uznał wyższą nad wszystko, co w tym rodzaju od stu lat w Europie wyszło, twierdząc, że ani w Bagranim, ani w innych pisarzach tegoczesnych tyle energii, ile w tym poemacie romansisty włoskiego, spotkać nie można.

Nie wyliczając tedy ani nazwisk pisarzy włoskich, czy to historyków, czy powieścio-pisarzy, czyli romansistów lub poetów, nie wyliczając dzieł ich, zakończymy tę pobieżnie skreśloną wzmiankę o niesłusznie jakoby zaniedbanej literaturze włoskiej, wspomnieniem jednej ze sławnych w ojczyźnie swój auterek.

Pani Ferucci znaną jest z najszlachetniejszych dążeń; pióro jój zawsze w obronie dobrej występowało sprawy. Matka, równie poświęcająca się jak nieszczęśliwa, wielkie położyła zasługi w usiłowaniach poprawienia wychowania kobiet. W poezyach zwykle trzyma się wzorów dawnych mistrzów, lecz mimo to nie zatracając swojej oryginalności, wszędzie odznacza się myślą wzniosłą i wytwornością wiersza. Z obowiązku, nazwisko jój obcém nam być nie powinno, pełne bowiem uczucia poezye jój, opiewały losy i bohaterstwa jednego z plemion słowiańskich, dla którego wszyscy Włoscy pisarze widoczną zawsze okazują sympatyę.

Nie podobna także ominąć tegoczesnego pisarza, pełnego uczucia, zapału, a przytém prostoty tkliwej, ulubionego przez ziomków swoich bohatera Aleardi z Werony. Co do formy, wielki odniósł tryumf, bo



wierszem białym najwięcej pisze, a jak twierdzi Sismondi, wiersz to bardzo we włoskim języku nie korzystny.

Wielki poemat jego pod tytułem *Monte Circeo*, nazwany przez jednego z pisarzy francuzkich *Muzeum wspomnień*, opisuje nieszczęśliwą okolicę błot pontyńskich.

„Gdziekolwiek spojrzysz (mówi), na tę ziemię łacińską, wyniszczoną chwałą i nieszczęściem, wszędzie spotykasz wspomnienie. U nas historia, to nauka boleści i dumy!” Cudownie piękne, pełne prawdziwego uczucia są miejsca w których poeta z boleścią wspomina o upadku, błędach, pokucie ojczyzny swojej, mimo to nad wszystko mu drogię; a patrząc zarazem okiem prorockiej nadziei w przyszłość, słyszy głos Boski mówiący: „O moja Auzonio ukochana! ty się odrodzisz, szlachetna, silna—a ty poeto przygotuj najpiękniejsze, najwznioślejsze hymny—niech nadzieja, miłość i wiara, te silne muzy zejdu już z Golgoty niosąc ci natchnienie! Na pierwsze dźwięki Niebieskiego koncertu pod cieniem wiązów macierzyńskiej Adygi zadrzą popioły ojców waszych!”

Również jest dzielnym w tkliwej, pełnej prostoty poezji pod tytułem: *Un' ora della mia Giovinezza* (Godzina młodości mojej) w której tak się do Pana Zastępów odzywa:

„Oddaj mi ach! oddaj mi Panie jeden dzień młodości mojej! niech zobaczę pełnych życia ukochanych rodziców moich, których wysoka trawa cmentarza kryje! niech w sercu mojem wciąż przejętém, usłyszę jeszcze melodyę głosu rodzicielskiego i ich łaskawe rady; niech się jeszcze napatrzę na te oko, tak duże, tak czarne, tak czyste a tak smutne matki mojej!

O matko! z piersi twoich wyssałem to źródło poezji która mnie porywa! jeżeli z czasem na głowie syna twego, Italia którą tak ubóstwę, zechce cisnąć listek wawrzynu, to złożę go na grobie twoim, bo on do Ciebie należy.”

Aleardi dalej przechodząc z boleści do nadziei, mówi: „Po moim zapomnianym grobowcu maszerować będzie zwycięzki żołnierz. Wtedy roztrzaskam kamień i zanucę śpiew zwycięzki walecznym, których czekam w tém życiu i których pod głazem czekać będę!”

Doczekał się poeta! albowiem w tegorocznej wojnie sam zdaje się zajął miejsce między walecznymi. W roku 1849, bardzo jeszcze będąc młodym, siedział w więzach, z których przezorność siostry go uwolniła. Da Bóg że i z dzisiejszych, otwartęj wojny niebezpieczeństw, wyjdzie cały dla chwały narodu.

S.

## GAWĘDA W PODRÓŻY

### ZE LWOWA DO TOMASZOWA.

(Z widokiem Żółkwi).

W roku 1846, w powrocie do Polski jechałem w towarzystwie brata odprowadzającego mnie do Żółkwi wynajętą furmanką, której właściciel niekiedy wtrącał się do rozmowy.

Przejeżdżając przez wieś Grzędę opowiedział mi brat, że ta majątność należała przed laty do Czerwińskiego który przy znacznym majątku prowadził życie wystawne, wybudował pałac, spraszał wiele gości; wreszcie, kiedy został literatem, wydał *Dzieje rewolucyi francuzkiej i wojny europejskiej*, i z powodu tego dzieła zadłużył się tak dalece że musiał swo-

ję wieś z przyległościami wystawić na subhastacyję. Jakoż drukarz wspomnionego dzieła zajął wieś zadłużoną i spłacił resztę summy szacunkowej byłemu właścicielowi i jego wierzycielom <sup>1)</sup>.

— Za pozwoleniem pana, przerwał nasz woźnica, słyszałem, ot, że syna tutejszego pana wzięto do kryminału, ta za fabrykowanie pieniędzy.

<sup>1)</sup> Czerwiński prócz wspomnionego dzieła, które nigdy nie było w obiegu księgarskim, wydał jeszcze: *Okolicę Zdniestrską*;—*Rys dziejów kultury i oświecenia narodu polskiego*—oraz *Skazówkę listową*.



— Ah! pleciesz brednie, odpowiedział brat, młody Pan Sznajder jest wprawdzie więźniem ale nie fałszerzem.

— Przecież ot Panie, słyszałem o tém nie od jednego, ba i dla czego syn nie mógłby robić papierowych hroszy, kiedy ot ojciec robi papierowe książki, a dla czytelnego książka, to hroszy.

— „Nie wiercie temu, rzekł brat, młody Pan Sznajder nigdy nie był fałszerzem. Zdawało mu się tylko, że na świecie wiele rzeczy dałoby się poprawić i tak głośno o tém mówił, że go aż podsłuchano. Oskarżony musi się teraz w domu badań tłumaczyć.

— Powiadają, (prawił znowu wieśniak), ot że oni nie tyle miał poszanowku dla dziedzicznych dostatków jak jego rodzic, ta stąd i domysł, że podrabiał banknoty.

— Owszem, wiem, rzekł brat, że był on zawsze dla siebie oszczędnym, lecz hojnym dla biednych i potrzebujących. Otoż to świat! ci sami może, których wspierał, zdziwieni jego szczodrobliwością, nazywają go fałszerzem. Ale powiedz-że mi jak się nazywasz?

— Maciej Krupa, książę Lubycki.

Z kądeście u licha — przyszli do tak szumnego tytułu.

— Ojcowizna-to mój panie; a jako niesie podanie ta i całe nasze miasteczko Lubicza, mające teraz z paręset domów, ot przed setnemi laty było we władaniu jednej głowy; jednego z naszych pradziadów. Wiek schodzi za wiekiem, a baccie jak nam się wiodło, kiedyśma się ot tak rozrodzili. A co teraz to po żal się Boże! ot z książów porobiono chłopów, nałożono na nas prócz podatków, szarwarków, jeszcze i pogłówne, jakby na jakich niechrestów, a do tego w rekruty pędzą jak w jasyr; las i propinacyą nam odebrali; ta tedy trza się ot prawować z cyrkularnym starostą i z najjaśniejszą gubernią. Ale kto tu poradzi, ta kiedy nam król Jan, ani Sobek, ani Sas, ani Stach, nie odkazywali mianowania książami, a nynie ot baczno i tego nam zawistne, kiedy to widzita na to nam przyszło, ta to nas w cyrkularzu urzędowym mianują baranami.

— Chyba baronami Książu Maćku, rzekł brat, przywileje barona mają także swoje znaczenie, nie macie się o co sierzcić.

— A to mi dobry przywilej. Przyjdzie branka ot jeśliś chwata, to cię powiodą w dybach lub w powrozach, łeb ci ogolą i hajże w szłapaki, ta pożał się Bóg twój urody; ot niech tam sobie nieboga i oczy wypłacze, tyś po to zdrów a silny, żebyś do starości nosił karabin, piastował go i tańczył podług niemieckiej

komendy; a od jak co niezrozumiesz a zabaczysz się, to tak ci wyrzną fynfuncwancyk, a że ci się aż przysni książna prababka. A w twojem mieście, ot na własnej grzędzie, i czy cię lepiej uszanują? Za fraszkę a igraszkę każe cię mandatarjusz rozciągnąć przed kancelaryą i ot wypalić traktament jak chłopu prostemu. Ot Książie z książów, ta czegoż to się doczekali! Pokaż-no Niemcu królewski dyplom, ta on go nie zrozumie; ale zabrzęcz mu tylko złotem, to kuszamster dener, ta będziesz mu i książem i panem.

Jakim-że dziwnym sposobem, zapytałem, nabyliście tytułu książiowskiego?

Mamy już na to przywilej od Ziemowita księcia Mazowieckiego i Ruskiego, poświadczony przez królów Polskich.

A to ciekawa rzecz!—za co też proszę?

A juz ci masiało być za co. Ta i nie darmo o tém starzy wiele mówią, a świętej pamięci mój dziad choć niepiśmienny, to bywało aż miło słuchać, ot jak zaczął prawić, tak kieby książkę czytał. Kiedyśma działwa obsiadła koło komina lub kto z obcych nawiedzili naszą chatę, ot ta on tak rozpowiadał: „Pamiętne mi dawne czasy inne rządy, inne sądy, kiedy góraszli nasi a zaś Niemcy szli doliną, ot na téj górze stał tron królów, co nieznani tak ze sławy jak król Sobek, z którym mój pradziadek rozmawiali, gdy z innemi książami naszej rodzinnej zagrody prosili o zatwierdzenie starożytnego dyplomu. Tak opowiadali dziadkowi pradziadek co to zapamiętali Sasów, a temu znowu dziadek urodzony za króla Szweda, że mają tę wiadomość od ojców, co tam żyli za króla Jagły; ot to dowodzi, ta że nasz ród Krupów nie tak jest pośledni, abo Krupa a Jagła to to zawsze kasza; a kiedy Jagła był królem, ot ta i czemużby Krupa niemógł być książem?

— Czy takie bratanie się Krupy z Jagłą ma być dowodem waszego książiowskiego tytułu? zapytał mój brat.

— Nie, tego mój dziad wyraźnie nie mówili. Nie przypomnę jednakoż ot tego czego się uczymy jak modlitwy. Przed królem Jagłą, ta i po osobnych władkach ruskich i halickich, złączył się Rusin z Mazurem i Ziemowit książę Mazurów był i naszym panem. Było to jak raz, oto kiedy Litwin i Tatarzyn nachodził z ogniem i mieczem naszą ziemię. Jeden rycerz niespodzianie nagabnięty przez Tatarów, ta musiał tak tego zmiatać, a że tylko co głowy a życia niezagubił. Kiedy ucieka, ot nadybał człowieka kładącego siano na furę, ta i dalej w proźby, ta żeby go w sianie ukrył; a chłop, ot niewiele myślący, kazał mu się



położyć na wóz, ta i wsadził mu kosz na głowę żeby się nieudusił, i okrył go sianem. Niebawem pokazała się pogoń tatarska, a pchnąwszy dwa razy włócznią w otawę, popędziła dalej. Szczęście, że rycerza nie uszkodzono i nie odkryto. Kiedy chłop wjechał na swoje obejście, taj uwolnił nieznanego sobie pana z pod ciężaru; ta dziękując mu tenże tak przemówił: „żądaj teraz odemnie nagrody, ta choć by była tak wielką jak twoje poświęcenie, ot chętnie zechcę się wdzięcznością odpłacić.” — A czy wiesz witiaziu, rzecze chłop, że gdyby Tatarzy domacali się byli tego, kogom ukrył w sianie, ta i pewnie w téj już chwili wędrowalibyśmy tam po drugim świecie. Już też ot i dusza moja była na ramieniu. Mam wprawdzie tylko jedno życie, taj to dałem w zastaw na chwilę dla twego rątku. Taki to prawda, że człek dietny nie jedno ma życie: ot gdyby mnie i zabili Tatarzy, ta jeszcze miałem w zapasie inne życie, dla tego ot i nie było się czemu tak drożyć. Bo baczcie mam i ja dwóch wyrostków, a wszakoż ich zdrowie taki mi tak drogie jak własne, ta bo wierzę w odrodzenie się w dalszem pokoleniu. Ta kiedyć, jak zapewniasz, podług woli możesz mnie nagrodzić, to ot miejcie staranie o wspólnem życiu naszego pokolenia, jakbyci to był żywot ot jednego sobie człeka, a to aż do czasu wygaśnięcia naszego rodu.”

Rycerz zamyślił się i tak się odezwał: „uczyniłeś dla mnie tyle, ile tylko człowiek dla człowieka uczynić może; ale też więcej wymagasz jak człowiek od zwyczajnego człowieka wymagać powinien. Majątek i dostatki są tylko czasowe, tytuł jednakowoż lub przywilej może się rozciągać ta i na przyszłe pokolenie. Co mogę to i zrobię dla ciebie; ot obdaruję cię choćby i własnym tytułem, ale jak na tém wyjdzie twe przyszłe pokolenie, to już należy do samego Boga.

Na porękę mego słowa daję ci ot mój pierścień, a teraz kiedy niebezpieczeństwo minęło, mogę się ztąd oddalić.” Chłop nie wiedząc kogo ma przed sobą, schował pierścień.

Kiedy nie było się czego trwożyć, przeżegnał się i poszedł w swoją stronę; a na samem wychodnem tak rzekł do swego wybawiciela: „Kiedy nawiedzisz niedaleki gród Bełzki, to zjądź też tam i do mnie w gościnę, a po pierścieniu dopytasz się ot i do mego obejścia i chciałbym się taki tobie wdzięcznie przysłużyć.” Po małym czasie kiedy Lubicz bo takiego nazwania był nasz kmić, wybrał się do Bełza, zaszedł do sklepu, gdzie ze zwyczaju sól i maź kupowali. Tu wyjął hroszy i pokazał pierścień, a kupiec tak zagadał do niego: „pokażcie ony światły kawałek, dyć ta

obrączka nie waszego kroju. A kmić sadzi sobie tę obrączkę na palec i mignął nią przed oczy kupca i zapytał: a czy stać was na kupno ot tego tu kółka?” „Chcecie, mówi kupiec, to już wam opłacę taki kopami hroszy.” — „Lepszy sygnet jak hroszy, rzecze kmić czy nie znacie też czasem tego herbu?” „A jużci, to, herb pański, odpowie kupiec, ot że wy mnie chyba durzycie; gryf i orzeł, jak tu nie znać tego, dosyć spojrzeć na zamek i na pierścień.” Słyszając chłop o zamku, udał się tam. Skoro pokazał pierścień ot zaraz i szyldwach, a po dawnemu straż, prowadzi kmić do zamku. Ta otwierają mu paradne komnaty; a tu aż gwarno i szumno; dworscy strojno a złocisto okryci, na ścianach barchatne opony, od stropów wysokich na złotych łańcuszkach wisiały kosztowne lampady. Tu ot że chłop chudziasek aż usta otworzył i zapomniał języka, gdy ujrzął witiazia któremu był on obroną w przygodzie. Owoż ten zasiadł wyniosłe na paradnym stołku w koronie kniaziowskiej na głowie, strój na nim był suto złotem wyszywany, drogocenne kamyki w koronie i w spinkach ta i w broni. Spogląda na chłop, a ten mu do nóg się rzuca i sygnet herbowy podaje. Książ poznawszy go, ta w obec wszęj gromady panów i witiaziów takie słowa głosi:

„Przystąp bliżej mój zacny Lubiczu, tyś mi żywot ratował, gdy ot dla zasłonienia mnie od lanc i strzał pogańskich włożyłeś mi kosz na głowę i przykryłeś mnie sianem. Ja ci za to wkładam ot mitrę kniazia na głowę i przykryję cię moją miłościwą łaską. Z mych szerokich włości chcę ci tyle darować, ile wróciwszy, w oznaczonym czasie oborzesz do koła twoje obejście.”

Kmiotek rzewnie ucałował stopy kniazia Ziemowita i stanąwszy ze służbowemi książęcia w swojej zagrodzie, założył woły do pługa i odjechawszy spory kawał od swój chaty zapuścił pług w ziemię i oznaczył bruzdą pierwszą granicę ot naszego rodzinnego grodu nazwanego także po nim Lubycza. Odtąd posiadłościom jego chyba ptasiego mleka niedostawało, ta był tu las i woda, ryby, grzyby, była dostatnia niwa pod oziminę i jarzę. Acz taki kiedy od onego zajścia minęły już wieki, a Lubicze jak dotąd domorośli a płodni; kiedy dwaj młodzi ot wydali na świat nie mało dziatwy, a z tych znowu wnuki szły na tuziny a na kopy i setki dalsze Lubiczęta, tak tedy ojcowizna rozpadła się na małe zagonowe części. Ta jednakowoż tytuł kniaziów zawsze nam był przyznany, no taki cóż po tytule kiedy pustki w szkatule.”

— „Powiedźcież mi mój kniaziau, czy wszyscy się nazywacie Lubiczanie.”

— „Gdzie tam taka nazwa została ot przy naszym



rodzinnem gnieździe, a nas to już taki inaczej mianują. Ot na ten przykład, na mnie wołają Krupa, na mego pociotka Kiszczak, a ot że mój kum tutaj, co się jeno przebudzili, a co to już wysłużyli całą kapitulacją w regimencie Dompredy, to się już taki nazywa Kita.

Regiment Dompredy, czy Donpedry kumie Matwieju, rzekł siedzący przy nim towarzysz, a nie Dompredy. Zawsze to na jedno, odpowiedział Krupa, bo zawsze wysłużyli kapitułę nie w domu; choć to Dompredy czy tam Perdy. Taki to lepiej Krupie w swoim, jak bywało tam Kicie w cudzym domu Pedry. Bo też nie wszyscyśmy z jednego Lubiczów domu. Ot i pomną o tém ludzie, jak nasz stryjeczny dziad osiadł sobie był taki w naszym lesie, ta i prowadził tam bednarkę. Nie był on wszakoż z naszego rodu, ale iż był nam ku wygodzie, daliśmy mu kawał boru. Ta i dobrze mu się działo bo taki nasz Kita niekontentny był z małego chwostu przyswojonego boru, to coraz ta i dalej zaczął się wrębywać. Klepki i beczki prowadził do Żółkwi i Lwowa a nawet i do Zamościa, nim jeszcze ta forteca poszła w kordon naszego cesarskiego króla. Przytem wypasał na zrębach i dąbrowach piękne konie, śliczny towar bydła. A baccie jak to on syna wywoził do Lwowa ot w beczce, aby go taki kiedyś w karecie obwożono. Wszakci młody Kiciak przekicnął się w Kickiego wreszcie jaśnie pana, to i nie potemu było się bratać a przyznawać do swoich Kiciąt i Kiciaków, z których ot i jednego panowie tu widzita.

— „Tak to wy dumacie Matwieju, że moi ojcowie, to nie takie kniazie jak wasze” rzekł dymisionowany wojak. Oj, oj, co w tém to nie macie recht, ta czy to w dyplomie króla Sobka nie napisano wyraźnie o Kiszczakach?” — „Tak, ale taki nie o Kiciakach ani o Kitach, odezwał się Krupa.

Czy moje dzieci nazywają Kiszczakami czy Kiciakami, dodał żołnierz, to, na jedno wyjdzie, zawsześmy taki rodziwe kniazie. A chocia nasz krewniak bednarz wyuczył się swego warstata na czużynie, i przywędrował do naszego lasu, to jednakoż nie przestał pisać się do naszego rodu.”

Stańcie no tu kumie, trza skosztować i tutejszej mohoryczy. Na te słowa zatrzymał się Krupa przed karczmą w miasteczku Kulikowie.

„Patrzno Olesiu, rzekłem do brata, jaka tu szczególna rasa ludzi. Choćby się zapierali, to nazwa miasta i powierzchowne rysy zdradzają jakieś tatarskie lub tureckie pochodzenie.—Masz słusność. Jest to

główny szlak Tatarów z czasów ich najazdów. Zaczawszy od Ukrainy i Podola posuwali się tu w swych wielokrotnych napadach znaną ci drogą od Brodów przez okolice Oleśka, Złoczowa, Olszanicy i Glinian aż pod Lwów i dalej pod Żółkiew. Widziałeś na kilka milowej równinie między Złoczowem a Lwowem sterczące kopce jakby pagórki, wyrównywające gdzieś niedzie kopcom Krakusa lub Wandy. Były to, jak się zdaje telegrafy czy też drogoskazy usypane przez więźniów tatarskich, służące zarazem nakształt chorągwi za punkta jednoczenia się rozbiegającej się za łupem tłuszczy pogańskiej. Z tem wszystkim trzeba i o tém pamiętać, że w około tych kopców gromadziły się nasze pospolite ruszenia. Mówiąc jednak o tém szlaku tatarskim, nasuwa się myśl, że po tak częstych najazdach musiały się gubić po drodze niedobitki, a wreszcie i ludność uległa żywiołom napływowym. W niektórych znowu miejscach zakładali nasi królowie kolonie tatarskie i tureckie, które chociaż przenarodowiły się z czasem, noszą jednak na sobie niezmazane piętno swego pochodzenia. Takie kolonie pozostały szczególnie przy zamkach, do których budowy, jak wiadomo, używano jeńców wojennych.”

„Czy widzieli panowie, tego tamój pana, co to tam siedzi ot w czterokonnym koczku, taj kołysze się jak żyd, kiedy boruchy odprawia, odezwał się nasz woźnica. Ta to księżę W..... Ni ztąd ni z owąd przyszedł już zdawna do władania tuż pod Lubyczą leżącej miejsciny Mostów. Widać, że to tak jak na kpinie zwano miasteczkiem, bo niebaczysz tam nic krom 7-miu mostów, co wiodą z naszego traktu do siedmiu karczem czy do domów karczemnych, bo rozumie się, że we wszystkich szynku niema, no w nich ot żydów osadzono, to już tak i na karczmy zarywa. Kniaziewi ot i zachciało się wszystkimi naraz mostami wjechać w nasz majątek, bo onże przyswoiwszy część lasów kniaziewi Lubyckich, taki przystawił ot jeszcze jeden most wprost do naszego miasta, ta z naszego materiału zaczął sobie stroić ot i na naszym gruncie ósmą karczmę. Ależ to i my taki nie w ciemę bici ani ciemierzycy niuchali; przewąchaliśmy, ta komu się to zażądało być kniaziewi nad kniaziewi; ta nuże dalej za drągi, ta ot że i robotników z tym sobie kniaziewi przegnaliśmy przez kije; ta ot zepchnęliśmy i nową karczmę i pańską telegę het z mostu do wody. A kiedy się już potem on przemądry księżę taj w naszej dziedzicznej zagrodzie pokazał, ot tośmy mu i koła u jego herbowej karocy porąbali, bo one koła ta były z naszego drzewa.

„— Mój panie Krupo, rzekłem, nierówną walkę roz-



poczęliście: Prędzej Wrona zje Krupę niż Krupa Wronę.

Król Jagiełło bił Krzyżaki  
I pan Krupa chciał być taki,  
Próżne chęci mój nieboże  
Krupa Jagłą być nie może.”

— „To prawda, rzekł Krupa, ale jakież prawo ot W.....im do naszej ojcowizny. Zabierają nam gwałtem las i propinacyą; ta jeno co odsadziliśmy jednego, a tu taki się trza ot i z cyrkułem i gubernią, ba może i z sądem prawować—bo rząd się uważa za właściciela naszego lasu i propinacyi.”

„Widać, że rząd, to już zawsze ma za sobą pewne prawo, rzecze mój brat.” Wszakże, jeżeli wam książę Ziemowit darował używalność ziemi, to musieliście uprawnić jej posiadanie; lecz w braku dyplomów lub dostatecznych dowodów możecie się tylko powołać na jej wieloletnie używanie. Ziemi używaliście, i ta do was należy; lecz co do lasu w kontrowersie będącym, to w tym względzie wielkie trudności, bo pewnie używalności całego lasu nie będziecie mogli dowieść. A ponieważ rząd jest successorem księcia, dawnego właściciela waszej possessyi, czyli tego co wam ją darował, toć może wymagać prawnego dochodzenia i rozgraniczenia swojej dominialnej z jedną—a waszej posiadłości z drugiej strony.

Krupa pokręcił głową, i nie bardzo przekonany prawniczą wymową brata, rzekł:

„Taki-to widać, że się pan tamój nie darmo i nie łatwo wyuczył naszej sprawiedliwości i to też nasi panowie juryści tak wysoko uczeni też mówią tak nie poprostu, że ich ot taki prostak jak ja nie rozumie.

Na takie *dictum acerbum* brat nic nie odpowiedział. „Powiedz mi, czy może być jaka preskrypcya sprawiedliwą w używaniu rzeczy? zapytałem.

— Tak trzydziestoletnie przedawnienie odparł” brat. Prawne to wierzę, ale nie zawsze sprawiedliwe. Najoczywistszym dowodem jest las o którym mowa.

„Na takiej prawności czy przedawnności, czy tam przedajności, ot że i successorowie Kity, rzekł książę Lubycki,” oderwali nam kilka włók lasu i wygrali process, bo prawnie pokazali, iż przez trzydzieści lat bez przeszkody mieli używanie przysądzonego sobie boru. To mi to prawo! ot ta ino, za to, że tam Kita przez trzydzieści lat prawnie czy sprawnie kradł drzewo z naszego lasu, ta już i pan Kicki, jego successor ma być prawnym właścicielem zagrabionego lasu.

— Trzeba było wcześniej zapobiedz nieprawej używalności majstra Kity, odezwał się brat.

— „Wszakże u was wprowadzono już wszędzie pomiary lasów z urzędu, stosownie do rodzaju drzewa: Trzydziesto do sześćdziesięcioletnich porębów. Jeżeli więc las lubycki podzielono np. na sześćdziesiąt corocznych wrębów, toć każdy wręb jako nieużywalność sześćdziesięcioletnia skutkiem preskrypcyi, musiałyby przechodzić kolejno na własność dominialną. Na tej zasadzie możecie subhastować wszystkie lasy prywatne.”

— Ot i Żółkiew! odezwał się woźnica budząc swego towarzysza, który w całej drodze tylko parę razy przetaił sobie oczy, i mało co się mieszał do naszej rozmowy. Kiedy zniesiono nasze rzeczy, rzekł brat: „Podwójnie się cieszę z mojej przejażdżki, bo przyznaj, że nasza rozmowa z kniaziami lubyckimi dosyć była zajmująca.”

„Niezawodnie. Wprawdzie kwestya co do lasu została nie rozwiązana, lecz tylko jak węzeł gordyjski przecięta; ale dajże mi swoje bezstronne zdanie, co do pochodzenia, co do prawa historycznego i co do obecnego stanu kniazów Lubyckich.

Czyliż tu nie widać dziwnego igrzyska losu poniżającego w sposób rażący prawo urodzenia i przywileju. Kita i Kicki — Krupa i Woroniecki — urodzenie i wychowanie—uprzywilejowana ciemnota i uprzywilejowana oświata, jakież to dobrane typy dramatu narodowego, odgrywającego się przez obecne społeczeństwo. Rzadki to wyjątek, żeby uprzywilejowani tak nie umieli lub nie chcieli korzystać ze służących sobie praw jak nasze kniazie z Lubyckich. Powiedziałbym, że tu nie tyle odniosła tryumf cywilizacya nad urodzeniem, jak raczej obrotność, przebiegłość i przewaga materyalna nad dobroduszością, nieumiejącą ocenić przywilejów swego prawa historycznego. Potwierdza się tu tylko maksyma pewnego filozofa, że człowiek tyle ma w świecie wartości, ile jej sam sobie nadaje.

Sądzę jednak, że kniazostwo waszych Lubyckich jest jakimeś bezprzykładnym anachronizmem w historii: tytuł albo nie właściwie zrozumiały albo też przypadkowym wybrykiem niedającą się usprawiedliwić fantazyi książęcej. Przypominam sobie, że i dawna Litwa miała podobnych kniazów w Swirze, a dziś cała ta osada z kilkuset dymów złożona, używa tytułu kniazów Swirskich; wszakże dzisiejsze prawo nie tłumaczy tego tytułu w dosłownem znaczeniu; lecz równoważy go ze znaczeniem usamowolnionego kmiecia czyli sołtysa. Dzisiaj zmieniły się u nas sto-



sunki społeczne, odkąd między poddanym i panem wystąpił stan trzeci, którego znaczenia nie znały wieki feudalne. Aby rzeczona kniaziosć bijące nas teraz w oczy, jak Sfinx zagadkowy, należycie ocenić, trzeba się cofnąć do wieku, w którym zostało nadane, do wieku, kiedy byli tylko ludzie i rzeczy, posiadacze i posiadani. Książę chcąc zabezpieczyć przyszłość usamowolnionych ulubieńców i podnieść ich do godności osób, musiał ich obdarzać w miejsce pisanych i nie zawsze czytanych przywilejów „imponującymi tytułami.”

„Dodaj i to mój bracie, rzekłem, że książęta miewali często poboczne miłostki i dorywsze potomstwo. Czyliż książę Ziemowit, o którym wiemy, że od trucizny umarł, niemógł mieć pokątnego syna z jakiej tam lubimój, którego ztąd nazwa Lubiczem. Przypuśćmy, że dla nadania prawnej podstawy, kazał pozorowemu mężowi swój faworyty odegrać umyślną lub przypadkową rolę z pierścieniem. Później jednak, kiedy po przedwczesnej śmierci księcia niebyło się komu zająć wychowaniem i dalszym losem młodego Lubicza, jego rodzina w linii zstępnej wzrastając w bezprzestanną ciemność, nieusprawiedliwiła nabytego klejnotu kniaziewskiego ani nauką ani czynną miłością dobra powszechnego. Słusznie zatem zasłużyła na utratę praw historycznych, gdyby je nawet kiedy posiadała: bo na takiej obojętności kilkuwiekowej powinna przedewszystkiem ciążyć preskrypcya, która podług mego mniemania zawsze jest tu sprawiedliwszą choć może nie tyle prawną, jak preskrypcya rozciągnięta na lasy lubyckie.

Jakaż zasada, zapytałem spoglądając na uchodzącego Krupę, zajęcia wzmiankowanej propinacyi.

Najprostszą, rzecz: bracie Lubycza rozdrobniwszy się na małe cząstki czyli majątności gminne, przeistoczyła się w gminę miejską, a jako gmina usamowolniona przechodzi pod opiekę czyli kuratelę rządu, który *pleno jure* na koszt utrzymania, porządku i bezpieczeństwa ogólnego musi podciągać szczegółowe majątki do ponoszenia pewnych ciężarów.” — „Ot z tego papieru, rzecz Krupa, lepiej się pan przekona, ta o co nam chodzi? bo człowiek nie tyła tam umny, żeby się ot jakotako wygadać.”

Brat przebiegłszy prędko podane sobie pismo rzekł: „Właśnie tu oto chodzi, czy rząd ma was uważać za obywateli, tytułem przywileju uwolnionych od zwyczajnych innym gminom ciężarów, czy też podciągnąć was pod rubrykę zwyczajnych gmin miejskich: bo jeżeli wam przyzna tytuł baronów, to już i prawa urbanialne nie mogą mieć do was zastosowania. Ponieważ

Lubycza nie założona ani na prawie gminnem wiejskiem, ani też na prawie miejskiem czyli magdeburgskim, przeto i na drodze sądowej powinna być uważana za stan w stanie, za wyjątek od zwyczajnego prawa. Gdyby zawyrokowanie w tej sprawie odemnie zależało” dodał brat, zapytałbym się was nasamprzód: ile ludzi zasłużonych dla kraju w zawodzie wojskowym, cywilnym lub duchownym wydał lub wydał wasz ród w przeciągu kilkowiekowym? Wszakże Kikiemu sami zaprzeczacie pochodzenia z waszego kniaziewskiego rodu. Waszą ciemnotą, brakiem wychowania i pochodzącymi ztąd ciągłymi przewinieniami pijaństwa i bezprawów, ściągacie już na siebie ciągle utratę praw szlacheckich, spychacie się samowolnie z taką gwałtownością do niższej warstwy społecznej, że was przy dziśszych wymaganiach żaden przywilej na wyższym stanowisku zatrzymać nie zdoła. Krzywdą byłoby dla ludzkości wywyższać plemię nie popierające szlachetnem postępowaniem swe go wyniesienia.

Pracujcie dla dobra ogółu, życie moralnie, uczcie się wykształcać serce i umysł, odznaczajcie się w zawodach wywyższających was nad powszednie funkcje istot bezrozumnych; myślcie o czemś więcej jak o zaspokojeniu potrzeb wspólnych nam ze zwierzętami, a wdzięczne towarzystwo umieści was na tym stopniu, z jakiegoście się własną winą strącili. Jeśli będę kiedy sędzią w waszej sprawie, to nie spodziewajcie się odemnie łagodniejszego wyroku.”

„Mój panku, rzekł obrażony Krupa, ta jakie to prawo macie nami tak pomiatać? Cóż, że pijemy, ot to za swoje hrosze. Ho! ta tego-by nam i nasz ksiądz dobrodziej nie śmiał wygadywać.”

„Tém gorzej panie Krupo! rościecie sobie pretensyę do rządu, a nie potraficie sami się z nim drogą prawną porozumieć. Posyłajcie wasze dzieci do szkół, kształćcie je, a zczasem w przyszłej może generacyi potraficie rozpoznać wartość waszej sprawy, i gdyby ta była i najzawilszą, to od czego praca i rozum?”

Z widocznym zawstyżeniem wyszedł książę Lubyccki. „Szczęście, że się tak do nich nie odzywasz w ich mieście, rzekłem, bo co do mnie, to trochę jestem niespokojny. Kiedy ty jutro powrócisz do Lwowa, mnie trzeba będzie może i nocować na ich kniaziewskich śmieciach; i daj Boże, żeby obrażone kniazie nie rozprawiły się zemną dobitniej jak z kniazem W.....kim.

Ale będę się starał łagodniejszą mową ukoić rozdrażnionych.

Oglądając pamiętne miasto Żółkiew, najprzód weszliśmy do kościoła.



Tu mnie uderzył widok pięknych obrazów olbrzymiego formatu i doskonałego pędzla. Przedstawiają one wojenne czyny naszego nieśmiertelnego króla Jana III i walecznego Stanisława Żółkiewskiego, wielkiego hetmana koronnego, założyciela miasta Żółkwi, które to miasto po wygaśnięciu linii męskiej, przeszło przez linię żeńską do rodu Sobieskich

Pierwszy obraz w kaplicy św. Anny pędzla Altamontego, wystawia zdobyty przez króla polskiego Jana III obóz turecki pod Wiedniem w r. 1685; drugi w kaplicy Matki Boskiej tegoż samego malarza wyobraża bitwę pod Parkanami w Węgrzech, w której nasz król Jan, ścigając Turków uciekających z pod Wiednia stanowczym zwycięstwem wsławił oręż polski. Wchodząc do presbiterium umieszczone są także dwa obrazy: jeden po prawej stronie, ręki Köstlera, wyobraża bitwę stoczoną w r. 1673 pod Chocimem, w której Jan Sobieski, wtedy jeszcze W. hetman koronny 80,000 Turków na miejscu położył; drugi zaś z przeciwnej strony wystawia zwycięstwo Stanisława Żółkiewskiego pod Kleczynem w r. 1610 odniesione, po którym hetman polski zdobył Moskwę i znakomitych jeńców do Warszawy przyprowadził. Główniejsze w tych obrazach osoby są prawie naturalnej wielkości i z uderzającym podobieństwem oddane.

Wszystkie te cztery obrazy odnowione przez Józefa Engert w r. 1825 kosztem Stanów Galicyjskich za staraniem Jakóba Mikołajewicza dziekana miejscowego.

Te dzieła sztuki przywołując minione wieki i ozywając zamarłe dzieje, dotknęły moją wyobraźnię jakby różyczką czarodziejską. Zamyśliłem się i widziałem jakby na jawie najprzód początek XVII wieku, czasy Zygmunta III reprezentowane przez znamienitych mężów, z wyobrażeniami szkoły poprzedniego stolecia i widziałem Zygmunta Szweda w postaci karzełka niemowlecego, prowadzonego na paskach obcego towarzystwa mnichów, bawiących niedołęznego pana cackami, a obok małego króla widziałem poważne i smutne postacie Żółkiewskiego, Zamojskiego, Chodkiewicza, Lwa Sapiehy; i zdawało mi się słyszeć słowa: jakieście nam nieme diable ze Szwecyi przywieźli, Jemu nie wodzów, nie ludzi ale błazenków i oszustów potrzeba.

Spuściwszy oczy na grobowce Sobieskich widziałem, krótki napis: Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor. Widziałem ostatni wyraz zatarty ręką dzisiejszych posiadaczy Galicyi. Utrzymują histo-

rycy <sup>1)</sup> że ten napis kazał zastosować do siebie Jan III jako do pokrewnego Stanisława Żółkiewskiego, który poległ śmiercią bohatera 6 października 1620 roku i uczczony był długim napisem, a między innymi:

Quam dulce et decorum pro patria mori, ex me disce. Tibi hostis ad terrorem, tibi hospes ad exemplum.

Spojrzałem na wiszące przeciw sobie wizerunki Sobieskiego i Żółkiewskiego, kiedy na jednym widziałem małego króla otoczonego wielkimi mężami, to przeciwnie na drugim widząc wielkiego króla otoczonego małymi ludźmi, zżorzeczyłem tym, którzy pochwycający ster wychowania narodowego, zdrowe i silne pokolenie przekształcili na nikczemne i bezsilne. Ledwie dostrzegłem w głębi kilku mężów ze zwieszonymi rękami. I ujrzałem olbrzymie postacie z ognistymi mieczami idące od wschodu i północy! przed którymi owe figury, owe karzełki nakształt szopkowych marjonetek zaczęły się poruszać i stając po stronie jednego i drugiego olbrzyma, bratnią krew wylewały. W tém zdaje mi się widzieć jak jeden olbrzym obala drugiego i drżące karły rzucają się na ziemię, i ubustwiają zwycięzcę. Są to początkowe dzieje XVIII wieku, pomyślałem sobie, i nagle znikły fantastyczne widziadła.

Żółkiew, wieś leżąca nad rzeką *Świnia*, zamienioną była przez sławnego hetmana kor. polskiego i kasztetana lwowskiego Stanisława, jako gniazdo rodowe, na miasteczko. Po Żółkiewskich, Żółkiew należała do Daniłłowiczów, a następnie do Sobieskich, tytułem posagowego. Tu bawili: Ludwika-Marya królowa w r. 1696 dwakroć i w r. 1662, oraz Jan Kazimierz w tymże roku. W lat czternaście potem, wracając z wojny Jan Sobieski król, prócz żony, zastał tutaj Margrabiego Bethune i Lorda W. Hyde, dwóch posłów, z których pierwszy przywiózł od Ludwika XIV order św. Ducha, drugi od Karola II życzenia przyjaźne z powodu wyboru na tron i powinszowania za pobicie Turków. (Chwilę tę obrał malarz Warsz. Wojciech Gerson do obrazu olejnego w roku bieżącym). Tu nuncyusz Pallavicini z czterema biskupami wręczył poświęcony przez Papieża Innocentego XI, miecz i szyszak Janowi III udającemu się 1684 roku do Kamieńca dla wyswobodzenia Podola z rąk tureckich. Król polski siedząc na tronie, dotknął się tymże samym mieczem gołym posła weneckiego Morosini i passował go na rycerza, w obec drugiego po-

<sup>1)</sup> Obacz obszerniej o tém w *Starożytnéj Polsce* Tomu II część 2-ga str. 605 i 606.



sła Wallenstejna. W Żółkwi podpisano kontrakt ślubny syna królewskiego Jakóba z księżniczką Jadwigą-Elżbietą, i odbyto zaręczyny królownej Teresy Kunegundy z elektorem Bawarskim Maksymilianem Emanuelem, który był wielkorządcą hiszpańskim w Niderlandach. W r. 1694 w kollegiacie tutejszej, Jan III uroczyscie przywdziewał order św. Ducha teściowi swemu markizowi d' Arquien. Tu zmarli i pogrze-

sta! Komuż nieznane dzieje nieszczęsnej rodziny króla Jana III? Po jego zgonie królewiczów odsunięto od tronu tylko skutkiem intryg ich matki i ich przyrodnego wuja, kardynała Radziejowskiego. Pierwsza obiecując koronę Hieronimowi Lubomirskiemu, chciała ją może z nim podzielić, drugi, z którego imieniem kojarzą się największe nasze nieszczęścia, za swoje wyniesienia na stopień prymasa, kanclerza i kardynała, naj-



Żółkiew.

bieni synowie króla Konstanty († 28 lutego 1726) r. Jakób († 19 grudnia 1737 r.) i wnuczka Marya Karolina księżna de Bonillon († 1740). Po Sobieskich przez czas krótki dzierżył Żółkiew Jan Tarło, od którego wygrali ją książęta Radziwiłłowie idący od siostry królewskiej Katarzyny. Miasteczko dość ludne ma zamek, kollegiatę, klasztor ks. ks. Dominikanów i opactwo Bazylianów. Mieszkańcy dzisiejsi składają się po największej części z żydów, mających drukarnię uprzywilejowaną od króla Sobieskiego.

Ileż to wspomnień łączy się z historią tego mia-

czarniejszą niewdzięcznością odpłacił się, opuszczając synów swego dobroczyńcy i przedając swój głos dla księcia francuzkiego Kondeusza. Nieudały się jednak intrygi królowej matki i kardynała wuja: ktokolwiek wszakże zostałby królem, zawsze nie byłaby doszła Polska do takiego oplakanego stanu jak przez wyniesienie na tron Sasów. Wpuściliśmy wilka do owczarni! Czego nie mogła dokazać polityka dynastji przez Krzyżaków bronią jawną, a skrytą przez Jezuitów, tego okazali u nas elektorowie Sascy, sprzymierzeni na zgubę narodu naszego. Odtąd z zasad gorszono złym



przykładem, wychowaniem demoralizowano, osłabiano, poniżano i rozdwaniano naród; powstały fakcje, stronnictwa wydające sobie śmiertelną walkę i podobnie staremu Rzymowi upadliśmy głównie przez własne niezgody i wojny domowe. I bylibyśmy się może spostrzegli i zabezpieczyli naszą przyszłość, gdyby nie sejm nieszczęsny odbywany w tém tu miejscu w r. 1707. Wprzód Radziejowski, potem znowu Sieniawski, dwa piekielne widma pokazują ludzkości, do czego ambicya i żądza wyniesienia się doprowadzić może. Z fatalizmem tych nazwisk łączy się jeszcze między innemi imię Lubomirskich.

— Ale to dziwna, Radziejowski stał już tak wysoko i tak był bogaty, że mu tutaj na ziemi naszej stopnia zabrakło do większego wyniesienia się, — dodał brat.

— Tak, rzekłem, gdzie diabeł nie poradzi, tam babę poszle. Wprzód intrygował Radziejowski dla siebie za pośrednictwem królowej, potem zaś intrygował dla swój spadkobierczyni, żony p. Towiańskiego i dla jej syna, któremu chciał później na sejmie Warszawskim, przez ogłoszenie królem dotychczasowego hetmana Lubomirskiego jego teścia, wyrobić wielką buławę. Intryga się nie udała bo Lubomirskiego po drugi raz minęła korona, gdy Leszczyński przez stronnictwo szwedzkie na tron był wyniesiony. Kiedy już August, przez pokój altranstadski, zrzekł się korony, i gdy tutaj detronizowanie Leszczyńskiego ułożono, wtedy znowu p. hetmanowa Sieniawska siostra Lubomirskiego, pretendenta do tronu, pomieszała szuki stronnictwu królewicza Jakóba, po jego powrocie z więzienia saskiego. Chciała wynieść bowiem na tron swego męża, który w takie sidła i siebie i naród wplątał, że i korony nie otrzymał, i mało życiem ambicyi i chciwości żony nie przepłacił, a za te wszystkie knowania i intrygi Lubomirskich, Sieniawskich i Radziejowskich tylko naród odpokutował; gdy później dla pozbycia się nienawistnego hetmana, zgodzono się wreszcie na nowy wybór nieprzyjaznego i wiarołomnego króla Augusta.”

Nazajutrz ułożyliśmy z bratem przejażdżkę do naszych stron rodzinnych do Brzeżan i Halicza, Lwowa, Przemyśla, Jarosławia, Tarnowa i do Krakowa.

— Spodziewam się, mówił do mnie, że w tak długiej drodze natrafimy na ciekawe przedmioty do gawędy.

— W samych Brzeżanach, odpowiedziałem, będziemy gawędzili przez kilka dni: bo niewiem kiedybym się wygadał o tém miejscu mego wychowania,

o tym zamku, którego grobowce zamykają w sobie zwłoki rodziny hetmana Sieniawskiego.

Powspólnem pożegnaniu rozjechaliśmy się w przeciwnne strony.

Ponieważ już późno zasnąłem i wcześniej się przebudziłem, ujechawszy przeto kawał od Żółkwi, zacząłem drzémać. W tem uczułem wstrząśnięcie i mało z wozu niewypadłem; przyczyną było spadnięcie koła z osi. Kiedy woźnica zeskoczył, rzekł po rusku; „Bihme kume, szczo nyni neszczastie nas presledujet. Czort porwaw batih a teper lon i lusznju.” Włożywszy koło i zatknąwszy kawał kija zamiast zgubionego lonu ruszył z miejsca; lecz w kwadrans stanął przed karczmą dla odpędzania, jak mówił jego kum, wódką, uroku rzuconego na siebie przez opętańca. Widząc na co się zanosi, wszedłem do karczmy i sam napiłem się do moich współpodróżnych. Krupa wziąwszy półkwaterek wrzucił parę węgli i poszeptawszy coś cicho, wypił jednym ciągiem.

— Dokąd jedziecie, zapytał się młody człowiek zapalający fajkę, wyglądający na miejskiego czeladnika.

— Do Lubyczy, odpowiedział Krupa.

— A czy nie zechcecie mnie z sobą zabrać?

— Dobrze, jeżeli się tylko ten pan na to zgodzi, odpowiedział wskazując na mnie.

— I owszem, rzekłem — zkaźże Bóg prowadzi?

— Z Potylicza.

— Kiedyśmy usiedli na wóz, rozpocząłem następującą pogawędkę:

Czy pan ciągle w Potyliczu mieszkasz?

Tak. Od trzech lat wyzwoliłem się tam na czeladnika fajansu i Bóg świadkiem, że tak przywiązałem się do tego miejsca, że mi tylko z bolem serca trzeba je porzucić.

— Któż temu winien?

— A któż inny jak nie dziedzic.

— Pan Świątkiewicz, zapytałem, znając familiję dawnych właścicieli.

Pan Świątkiewicz, byłto człek uczciwy! świeć Panie nad jego duszą!

— To już stary umarł; ale przecie miał dwóch synów?

— Synowie także poumierali.

— A któż waszym panem?

— Pan hrabia N. mąż córki dawnego pana.

— To panna Świątkiewiczówna poszła za hrabiego?

— At, tak go nazywają, a raczej sam każe się tak tytułować.



— Musi to być jakiś bogaty obywatel.

— Teraz, to może i bogaty, ale jak go ś. p. dawni państwo przyjęli za pisarka, to był tak bogaty jak ja dzisiaj, a ja, to jestem tak bogaty jak turecki święty. Ale widać to święta ziemia ta Politycka, kiedy w niej umarli i żywi w pierze porastają. W kilku bowiem latach pochowaliśmy w niej prawie całą famię Świątkiewiczów i widać ziemia świętą się od nich zrobiła, kopiąc też nie dawno glinę w nowym miejscu, wykopalismy już jednego aniołka.

— Naciągnięty to widać dowcip, rzekłem, czyż dla tego, że Michałowicz np. jest synem Michała, to niby i Świątkiewicz jest dzieckiem świętego.

— Nie panie to nie jest żaden koncept, ale to anioł, na własne oczy go widziałem.

— Podejrzany to anioł, który pod ziemią się ukrywa. Zresztą mogliście wykopać jaką figurkę kamienną lub kruszcową.

— Z tą tylko różnicą dodał czeladnik, że kamień powstaje z kamienia; znaleziona zaś figurka miała swoje pochodzenie z ludzkiego ciała, że w niej nie zgniło, ale zkamieniało. Widzi pan, co w naszym dworze zawsze coś dziwnego można widzieć lub słyszeć. Czyliż to nie jest cudem dowodzącym, że wrzucone dziecko żywcem do jamy na to skamieniało, żeby kiedyś dowiodło męczeńskiej swęj śmierci i jak oliwa z wody, tak ono z ziemi na wierzch wyszło?

— Domyślałbym się strasznej prawdy, gdyby nie skamieniałość.

— A jednak wszyscy o tém mówią, że nasza ziemia jest tak święta, że w niej drzewo i ciało nie gnije.

— A tak, tak, rzekłem, przypominam teraz sobie, żem coś o tem słyszał, czy też czytał.

— Różnie o tém mówią, dla tego jednak, żem ja to dziecko ludziom pokazywał, pan hrabia sroży się na mnie i wypędza z fabryki.

— Cóż to ma za związek z hrabią, rzekłem; sądzę bowiem, że jeżeli dziecko skamieniało, to musiało upłynąć kilkadziesiąt, a może też i kilkaset lat, od czasu jego pochowania.

— Ludzie jednak mówią, że tylko kilka lat.

— E, to niepodobna.

— A jednak, gdybyś pan widział panią hrabinę przed kilką laty, tobyś pan może i w cud uwierzył.

Nie długo po chorobie córki, która z niej bardzo zmieniona wstała, położył się, widać ze zmartwienia, i starszy pan i nie wstanie chyba na Józefata dolinie.

Jakoś nie długo po pogrzebie odbyło się wesele dawnego pisarka, następnie rządzcy z naszą panną; a znowu nie długo po weselu starsza pani, widać zażęskniła, bo ją wyniesiono na wieczny odpoczynek do murowanego domu jęj meża; i nie długo potem młody panicz nie mógł się także zgodzić ze swoim szwagrem, i przenieśliśmy go z jednego domu rodziców do drugiego na cmentarz, gdzie im nikt na teraz pokoju i żywota nie psuje. O mój Boże, ktoby to był powiedział, że ten cichy, święty przybytek naszych dawnych panów w tak krótkim czasie zamieni się na głośny dwór nowego jaśnie pana, który z ciemnego jakiegoś kąta i z małego i biednego przybysza wyrosł na wielkiego pana, a choć nie jest świętym ani aniołem, jednak prędko w pierze porosł, a tak butny i tak pnie się, jakby chciał od tęj świętęj ziemi, w którą się nasi dobrzy państwo przed nim pochowali, gdzieś wysoko wzlecieć.

— Może chce wzlecieć do nieba, dodałem.

— O! w niebie onby się niezgodził, bo tam pełno uczciwych ludzi, których on w życiu prześladował; zresztą swój swego szuka, a on i tu ucieka przed dobrymi ludźmi jak diabeł przed wodą święconą.

— Nie chcę z twojęj gadatliwości korzystać mój panie, nie chcę znać nawet nazwiska twego pana hrabiego; lecz przyjm odemnie tę przestroę, iż, chociaż byłbyś zupełnie przekonany o tém co mówisz, to lepiej milcz, bo możesz się nabawić wielkiego kłopotu, a nawet jeżeli się dowie hrabia o tem co mówisz, to znajdzie sposobność szkodzenia, lub zgubienia cię.

— Dziękuję panu za dobrą radę—ale, bo to z żalu, to człowiek sam nie wie co mówi.

Muszę wyznać już w końcu panu, że kocham młodszą, która na dworze się wychowała i jest dotąd u państwa hrabiów. Nie uwierzysz pan, jakto przykro rozstawać się z tak dobrą dziewczyną, a tak ładną, że w niej sam hrabia gotów się pokochać. Ale wiem co zrobię, każę powiedzieć przez Jagusię, że jeśli jęj nie da 100 reńskich w srebrze, to ja pójdę do sądu i o wszystkim wyśpiewam. Z resztą sam napiszę do niego.

— Rób co ci się podoba, ale dokądże cię takie postępowanie zaprowadzi?

— Jagusia dostawszy pieniądze, przyjdzie do mnie i pobierzemy się.

— A jeśli się hrabia zemści na nięj.

— Oho, to ja się i na nim zemszczę, nawet mu to napiszę. Co do mnie to będę u moich krewnych w Sokalu, gdzie mi zaszkodzić nie potrafi.



— Ale za cóż ci hrabia ma płacić, kiedy tak wszędzie o nim rozgłaszasz?

— Tak, chciałem się tym sposobem mścić, ale teraz inaczej namyśliłem.

— „Czy oprócz mnie nikomu o tém nie mówiłeś?”

— „Nikomu—Ależ wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.

— „Zawsze to sposób niegodny uczciwego człowieka, wystraszać na kim niezasłużoną nagrodę.

— „Żeby to tylko przy panu zostało, to byłbym już pewny.”

— Co do mnie, to możesz być spokojny, jadę bowiem za granicę bez powrotu.

Z mojej strony jednak nie radziłbym ci używać tak ostatecznego sposobu; bo jeśli obwiniasz hrabiego o czyn nie mogący być dowiedzionym, będziesz przez niego ścigany jako potwarca i możesz postradać dobrą sławę a nawet i wolność i Jagusię. Bo wierz mi, że skamieniałość dziecka znalezionego będzie uznana przez sąd za wypadek mumii naturalnej z dawnych czasów. Zresztą udaj się lepiej do którego księdza i zasięgnij jego rady w tym względzie.

— „A to właśnie wjeżdżamy do Rawy, znam tu jednego reformata, który jest moim powinowatym—pójdę do niego.

Na zawołanie wóz się zatrzymał i czeladnik pobiegł do klasztoru.

Otóż to świat, pomyślałem, Hrabia N. szukał gwałtem wyniesienia się, zapomniał o moralnej godności człowieka, poświęcając ją dla wartości materialnej. Korzystał ze wszystkich środków najniegodziwszych, a nawet z podobieństwa nazwiska, myśląc że pod skradzioną tarczą hrabiego nie dosięgną go pociski opinii ludzkiej. Kiedy dostatki mogą być tylko środkiem wznoszenia się do celu, którym jest życie moralne (bo ze stanowiska duchowego trudno pojąć inne życie); w jego bydlęcej głowie przewrócił się porządek świata: i cel czyli życie duchowe przetworzył na służebny środek, dostatki zaś materialne zamienił na cel. Pięknie pojął dwoistość człowieka: materię i tego ducha, któremu pierwsza jako swemu aniołowi służyć powinna. O ludzie! ludzie! tę tak prostą i oczywistą prawdę zarzucacie foliałami waszych ksiąg, systemów i rozpraw, zaciemniacie lśniącejmi tytułami, i błakając się w labiryncie waszych urojeń, zwątpiliście już o możliwości jej wynalezienia. Reprezentanci szatana ziemskiego, silą się na sposoby ukrywania tej prawdy; zaślepionych i przewrotną dążnością przemieniających się w bydło, wprzegają do wozu, na którym materializm, ten szatan w postaci

złotego cielca, w tryumfie cześć bałwochwalczą odbiera.

Otóż i Rawa ruska! miejsce gdzie może rzucono pierwsze ziarno, z którego wyrosły wszelkie wypadki zmieniające gwałtownie cały systemat Europy w XVIII wieku. Tem ziarnem było poznanie się tutaj króla Augusta II z Cesarzem Piotrem Alexiejewiczem; bo z tego tylko poznania wynikła wojna Szwedzka. Piotr, którego przewadze wszystko ulegało, umiał tutaj wyższością swego geniuszu tak dalece opanować umysł króla i w takim świetle wystawić mu wojnę ze Szwecją, że ten z całym oddaniem się wypowiedział wojnę zgubną dla siebie i dla narodów, nad którymi panował. Szukałem śladów tego zdarzenia i błądziłem po pustém mieście.

Dziś 10 sierpnia, rzekłem do siebie, przypada właśnie rocznica tyle pamiętnego spotkania się Piotra W. wracającego z Wiednia, i Augusta II który mając się udać z wojskiem dla odzyskania Kamieńca od Turcyi, zmienił tu, widać, swój plan i przesiedział potem bezczynnie do zimy w obozie pod Brzeżanami. Wyobrażam sobie w tem tu miejscu dwór Rzeczyckich zaszczycony 1698 r. obecnością dwóch monarchów. Obok dworu wystawiono obszerne namioty dla pomieszczenia świty i urządzenia mieszkania dostojnych osób. August przyjmował tu przez trzy dni z królewską okazałością swego gościa. Po przywitaniu i zobopólnych oświadczeniach weszli do ogromnego namiotu. Tu przedstawiał dwom monarchom Prebendowski, wojewoda Malborski oraz marszałek, dostojne grono senatorów i wojowników polskich i saskich. W tem sześciokonna kareta się zatrzymała, i wysiadła dama pięknej urody. Była to podkomorzyna koronna Lubomirska nateraz faworyta królewska. Skoro wprowadzona była do namiotu w towarzystwie wojewodziny Malborskiej i Inowrocławskiej, król przedstawił je jako trzy wojewodziny i stąd też podkomorzego mianował zaraz wojewodą Krakowskim. „Oto są moje trzy ulubione województwa,” wyrzekł wskazując na wchodzące damy.

W którym-że wasza królewska Mość najchętniej lubisz przebywać?

Krakowskie, to moje najdroższe województwo, odpowiedział król spoglądając z radosnym uśmiechem na wdzięczącą się Lubomirską. Usiedli do bogato zastawionego stołu. Spełniono wiwaty przy odgłosie muzyki i armatnich wystrzałów. W końcu biesiady wyszły damy do ogrodu otaczającego namiot królewski. W tem usłyszano krzyk, wybiegają z namiotu i widzą jak wół ogromny spłoszony przez wystrzały



armatnie wpada do ogrodu i już skierował swą drogę ku uciekającym wojewodzinom, już jednego germa odrzucił na kilka sążni w górę; gdy w tem król August, pochwywszy swój oręż, zabiega mu drogę i jedném silnem uderzeniem odcina mu głowę. Było to dzieło jednéj chwili i tak niespodziewane, że zdawało się, że sam wół niespostrzegł się, kiedy w impecie swego rzutu kilka jeszcze kroków bez głowy uleciał. Przestach zamienił się w powszechne podziwienie, a Cesarz przybiegłszy do króla, w pierwszym wzruszeniu uścisnął go mówiąc: „Zazdroszczę ci królu, jeżeli wszędzie tak szybko z twojéj olbrzymiej siły i zręczności korzystać umiesz. Zakochałbym się w tobie gdybym był kobietą, lecz cóż mi teraz pozostaje?”

— „Przyjaźń, rzekł August, uściskając Piotra.”

— I przymierze, dodał Piotr, przeciwko nieprzyjacielowi naszego wspólnego interesu.

— Niech i tak będzie, tylko nie chciéj korzystać z mego obecnego uniesienia mój bracie, rzekł August.

— Daliśmy sobie słowo! odpowiedział Piotr, a więc wieczna przyjaźń i przymierze.

Kiedym tak zamyślony, zdawał się słyszyć rozmowę dwóch monarchów, zbliżył się do mnie Krupa mówiąc: Jedziemy Panie. Żałując chwili przerwanego jasnowidzenia dziejowego, siadłem na wóz i ruszyliśmy w drogę. Napróżno chciałem przywołać natchnieniem myśli do ożywienia widzianego w Rawie obrazu,—jakoś nie były mi posłuszne.

Prozaiczną więc i prostą zacząłem rozmowę: „Dawno jakieście wysłużyli kapitulacją? rzekłem do Kity, ozdobionego krzyżykiem odbytej kampanii i dużą blachą mosiężną oznaczającą wysłużenie lat.

— Dziesięć років temu na paschę, odpowiedział z ruska niemiecką polszczyzną, jak ja odebrał abszyt.

— Musieliście zwiedzić kawałek świata.

— Ja, rzecze Kita, ta nynie to już i pamiętania nie starczy, czeres jakie to miasta i landy zoldak maszyrowało. Ino co wzieli mnie w rekruty i trocha wyczuli muszterunku, ta wraz pognali na Francuza. Forsirmarszem robiwszy co dnia po pięć i sześć mile, zaszliśmy aż pod Olmic. Tu zaledwie był rasztak forbaj, ot że i w nocy przyszedł befel, i szcze słońko nie zeszło, a my już marsz marsz! i nieszliśmy więcéj nad trzy godziny, a tu już grzmienie kanonów czuć się dało. W tarabany uderzono szturm-marsz i nie było czasu poznać i przeżegnać się, a tu już i Francuz plunął nam w oczy gradem ołowiu. Kapral zawołał: prezentirt, ladet das Gwer eins, cwaj i nagle, „Jezus Marya” krzyknął, taj padł jak długi na zie-

mię, taj padali Austryaki jak muchy, a tu już i z przodu i z tyłu i z boku Francuz nas kłuje i bije. Pardon! pardon! krzyczy Oberszt, pardon! krzyczą oficery i pardon krzyknęliśmy razem, taj buch Gwery na ziemię. A Francuz widać nie był już tak hardy, bo nie pluł na nas ogniem i nie pchał w nas bajonetem. Wnet dowiedzieliśmy się, że cesarski król przegrał tu na łeb na szyję bitwę pod Austerlic, że naszą całą armią rozbito i zabrano w niewolnika, czem oficerowie mocno się pofrasowali i nosy pospuszczali. Ale nam lżej było na sercu, ibo nam już kapral niemiecki na skórę nie lazył, a Francuz był grzeczny i nie mordował nas, nie kłół i nie pluł kulami więcéj. Bo i niemiał się czego sierdzieć; bronieśmy tylko przed nim sprezentowali i zaraz złożyli. Wyprowadził z téj bitwy wielką moc naszych regimentów w niewolnika aż do Ustfalu i Frankrajhu, no nie w dybach, nie w łańcuchach, ino na wolności, i tam leżeliśmy po różnych festungach aż do Wiener friden. Francuzy delikatnie a grzecznie z nami się obchodzili, jakby z paniczami; tylko jedno, to w swojej gębie a języku trocha Francuz za gruby. Dawano jeść smaczno a kraśno nie jak chudobie, a jednak Francuz się wyrażał: mam dla was żarcie, wu mam žre.

— Bo to widzicie, rzekłem, *vous mangerez* znaczy u nich: będziecie jedli.

A chleb, że był bialenki jak ciało, to i pocóż go tak brzydko nazywać.

Widzi pan jakie to figlarne to francuzkie mówienie, aby to powiedzieć grzecznie *będziesz chory*, to on ci od razu wyjedzie jak ostatni prostak, kieby łopatą w łeb. Francuz też zacząwszy od ich cesarza, którego po swojemu nazywają to lampirerem to znów małym kapralem, jakby to on lampy zapalał albo palicą kaprałską wywijał. Taki to już swawolny lud, nikogo nie uszanuje, gorzej od poganina; a jednako ten ich lampiarz Bonaparta nie tylko lampy ale, i świecy przed Bogiem nie zapalił, a ino dla siebie luminacye a fajerwerki wyrabiał. Bezbożna to była sztuka, kiedy się odważył na hańbę Boga i ludzi Ojca, świętego z Romy do Paryża w klatce jak ptaka prowadzić. Słyszałem to, że Ojcu świętemu cudem skrzydła wyrosły i jakoby anioł klatkę otworzył, a on święty Ojciec do nieba na skargę do Pana Boga poleciał. Od tam też źle się działo Bonaparcie, taj krewieństwo z naszym apostolsko cesarskim królem na nic mu nie przyszło; bo chociaż Austryak i Prusak, Italian i Iszpan, Miemiec i Polak i wszyscy za nim byli, to kiedy Bóg był przeciwko niemu to i Rusin nie sam bo z Bogiem był takóž przeciw niemu. Wyprowadził



Bonaparta taką chmarę wojska, że i w rzekach wody a na ziemi chleba nie stało; a tu Rusin ta sioła i grody i zboże i chudobę z dymem do nieba puścił, jak na ofiarę. A widać, że Bogu tak miła była ta żertwa jego, jak ongi podarki Abla, i spuścił taki mróz a głód na wojska Bonapartowskie, że hardy Francuz co tak grubiańsko mówił, i Boga i świętych nieuszanował, z zimna a głodu wywiesił język. Tak Bonaparta nie omal wszystkie swe wojska wygubił, bo dobrze to mówią: że kto z naszym Bogiem wojuje, ten sobie zgubę gotuje.

Kto z Bohom wojuje,  
Pohibel sobi hotuje.

„Jak ino Bonaparta raz pokpił sprawę, to wszytcy na niego się obrócili. Wszedł prawda, pod Leipcik z nową armiją, no i tam go tak zbili, że aż musiał uciekać. Wtedy go wszystkie wojska niemieckie, angielskie i ruskie gnali aż do Frankrajchu, potem znowu zbili, i koli wprzod przed nikim niechciał krony zdejmować, to teraz ten hardy lampirer kieby kapral przed hauptmanem musiał jak niepyszny zdjąć kronu z głowy i nizko się pokłonić, i przeproszać każdego; i posłali go z rotą jego na ordynans do italiańskiego prynca. No chocia tam miał zachowanie i wikt i stancją u samego prynca, taki jemu tam było markotno; więc udało mu się tak przerobić swoją rotę, że kiedy był na służbie na hauptwachu, to ze wszystkimi swemi ludźmi deserterował na okręt, który z nim popłynął do Frankrajchu. Słyszac Francuzy, że ich dawny cesarz do nich uciekł, zrebelizowali się przeciw drugim monarchom i przeszli na jego stronę. I znowu wszystkie monarchy posłali swe wojska i tak zbili Bonaparta, że uciekł aż do Anglika, a ten go zdegradował z unteroficera na gemajna, zamknął go do téj samój klatki w której siedział Ojciec święty nim wyleciał do nieba, i wywieźli go okrętem fort na morze. I obwozili go po zamorskich krajach a potem osadzili go w klatce na dużej skale śród morza. Tu mu naprzeciw klatki wystawili kaplicę świętej Oleny, do której modlił się ten sławny heroj Bonaparta; a święta Olena żywiła go tu bożą manną przez kilka lat, wreszcie otworzyła mu klatkę, z której on mógł wychodzić i wyprosiła u Pana Boga wybaczenie jego ciężkich grzechów i Bóg ulitował się nad nim dla jego pokuty i modlitwy, ta dla zasług św. Oleny.”

Pocziwy Kita wielce mnie ubawił swoim o klatce i Bonaparcie opowiadaniem. Gdy stanęliśmy przed karczmą zafundowałem mu z kumem wódki, a sam kazałem sobie sporządzić na prędce jedzenie. Wtem

zajechała bryczka i wszedł do karczmy jakiś młody ksiądz. Kniaziowie nisko mu się pokłonili.

— Zkąd to jedzieta?

— Ze Lwowa dobrodzieju.

— I jakże wasza sprawa?

— W żółkowskom cyrkuli skazaw starosta idty do Bubernii.

— I byliście w Gubernii.

— Tak, znaty to sam Bubernia, syweńki jak hołub, priniał od mene cyrkularnoje piśmo i poszwargotawszyś po nemecki, peredaw swomu młodszomu, kotory procztaw zapisku, schowaw jeju w kantoku i daw małuju kartoczku.

— „To data i numer doreczzonego podania, potrzeba będzie za parę miesięcy zgłosić się po rezolucją, odpowiedział ksiądz. Potem spojrzal na mnie i rzekł: Zdaje mi się, żeśmy z sobą byli razem w akademii Lwowskiéj.

— Tak, przypominam sobie, wszakże Ks. Jaremkiwicz.

— Cóż to pan robi w tych stronach?

— Wracam tędy do królestwa polskiego.

— To pan mieszkaż aż w Polsce? Panie ex kolego, musisz dzisiaj u nas zanocować, jutro cię odeszle do granicy, nie prawdaż?

— I owszem, jeśli sobie tego życzysz mój kochany panie Onufry. Siadłem więc do bryczki księdza Jaremkiwicza, z którym i w godzinę stanęliśmy w Lubyczy. Opowiedziawszy sobie w drodze obszerniej rozmaite nasze przygody od czasu niewidzenia się, pytałem go o rozmaitych kolegów. Wtém ksiądz Onufry mi przerwał:

— Brat pański, bardzo pięknie się kieruje, ukończywszy czteroletni kurs prawa, otworzył sobie drogę do najwyższych posad.

— Mój panie, u nas nie jeden wyszedłszy z czwartéj klasy, po kilku miesięcznej aplikacji otrzymał lepszą posadę jak mój brat po ukończeniu 4-letnich normalnych 6-letnich gimnazyalnych i po tyloletnich jeszcze naukach uniwersyteckich, a nadto po 4-letniej swojej bezpłatnej praktyce. Wszak tyle lat trwa u was nauka? cztery a sześć, a dwa filozofii, jeszcze cztery lata prawa albo też teologii lub medycyny, razem szesnaście lat; potem idą lata składania egzaminów wyższego prawa co także zabierze trzy do sześciu lat, czyli dwadzieścia lat z górą. Słyszałem, że jakiś tam ukończony jurysta niechcąc głodną śmiercią umrzeć, utopił czy powiesił się. Piękny widok po tyloletniej pracy. Mając więc jak trzydzieści lat można się dopiero ubiegać o mniej więcej dobrą posadę



z pensją 300 lub 400 złot. reńskich. Rozumie się, że z takiej pensji nie możnaby domu i dzieci utrzymać, tymczasem młodzieniec nim wyjdzie ze szkół i z aplikacyi, doczeka się czterdziestu lub pięćdziesięciu lat, i w tym wieku już dojrzały mężczyzna, zabiera się do stanu małżeńskiego. Znekany mozolną pracą, a często i walką z niedostatkiem, wychodzi dopiero na świat, kiedy go świat chce opuszczać i szuka sobie towarzyski najczęściej w pokoleniu, o którym przemilczć wolę. Wtedy to po ważny i kochający, choć nie zawsze kochany małżonek, wylewa cały zasób nabytej nauki i morałów dla swój młodej małżonki, która z początku sama nie wie, czego jej nie staje; i próżno uderza to w głowę to w serce mężowskie; uderza w jego stół z papierami i książkami, a nożyce się nie odzywają. Takie są owoce waszej długoletniej nauki i bezchlebnej pracy. Demoralizacja, zepsucie, ztąd niedowierzanie, nieufność, bezsumiennosc, surowosc, podstęp, hipokryzyja, oto charakter wytrawnych biurokratów, reprezentantów waszego porządku. Dzieci urodzone w drugim grzechu pierworodnym, jakież zasady mogą odebrać od matki gwałcącej prawa boskie i ludzkie? od ojca utopionego albo w niesprawiedliwych papierach, albo w miłostkach postronnych? Jeżeli tu jeszcze i kapłan, jako domowy powiernik, nie poprzestał na nazwie duchownego tylko ojca i kiedy związawszy stadło małżeńskie, mniema mieć prawo do rozrywania albo luzowania tych więzów, wtedy o biada! wam rodziny, składające warstwę wyższą!

Oto smutny obraz waszego miejskiego, waszego uprzywilejowanego towarzystwa. Strzeżcie waszych wiejskich zagrod, ależ w nich mieszkają dotąd może tylko warunki przyszłego życia, zarody czekające na rozdmuchnienie iskry bożego ducha, żywego człowieka. Nie kołyszcie ich we śnie moralnej ciemnoty, nie wmawiajcie w nich przynajmniej pogardy dla światła, dla tego, że jego promienie na zbyt górnych warstwach społeczeństwa nie zawsze rozwijają ciepło dobroczynne; jak miasto gniecione brukiem zepsucianiem wydaje zbawienną vegetacyi. Czyż światło wyższego poznania nie jest iskrą, nie jest częścią Boga? a kto już objawioną częścią pogardza, czyż zdoła godnie uczcić niepojętą całość? Pamiętajcie że tylko wyższe warstwy społeczeństwa jak warstwy roli wystawione na działanie światła słonecznego zawierają w sobie żywotne ziarna życia społecznego.

— Czuję ważność nauki, odpowiedział ksiądz Onufry, i dla tego mogę stanąć w obronie naszych instytucyj, pragnących ujęciem w karby pracą umysłową,

rozbujałego materializmu pierwszej młodości, doprowadzić swoich wybranych, chociażby cierniową drogą zaparcia się i niedostatku, do tego celu, u którego kosztem zmysłowych owoców zbieramy je wyższe, bo duchowe.

— Temi wyższymi owocami, rzekłem, nazywacie chyba pedanterią biuromanów i ich mniemaną wielkość w małych rzeczach; dobieranie środków najniegodziwszych, usprawiedliwiających cel, do którego dążą. Czemuż nie idziecie z postępem innych narodów, lecz za popędem waszych Rakuzanów, uczonych, dumnych cofaniem się do 'średniowiecznego scholasty cyzmu? Czyliż przy wieloletniem narzucaniu zdań obcych, często nawet podejrzaną wartości, możecie mieć czas i miejsce w waszych głowach dla rozwinięcia w sobie samodzielności, która jest jedynym tryumfem, odniesionym na polu wychowania? Sofistów macie co niemiara, ale jakże mało prawdziwych mędrców. Machijawelizm, to nie mądrość polityczna, to nie filozofia oświaty.

Kiedym to mówił, powrócił do domu z pola ojciec księdza Onufnego. Po wstępnej rekomendacyi skierowałem rozmowę na miejscowość chcąc się przekonać o ile zgodne będzie zdanie plebana ze zdaniem tak zwanych kniaziów Lubyckich.

— „Czy tytuł naszych kniaziów odpowiadał kiedy dostojęństwu zwyczajnych książąt,” rzekł ksiądz Jaremkiwicz, — „trudno o tem stanowczo wyrzec. Porównywając wszechstronne prawa, zgodzono się teraz na to, że naszych kniaziów osadzono tu jako usamowolnionych posiadaczy ziemskich na prawie wołoskiem. Widać, że wołoscy obywatele ziemscy zamiast zwać siebie gospodarzami, a swego pana kniazem, pomieniali się za nazwy, mianując siebie kniaziami, a wybranego wśród siebie pana tytułują swym gospodarzem (hospodarem). Co kraj to zwyczaj. Fakta historyczne świadczą, że tym tytułom odpowiadało także znaczenie szlachty polskiej względem obranego przez siebie króla. Nazwa gospodyna zastępowała miejsce wyszukanych cudzoziemskich tytułów. A witajże, witaj, miły gospodynie! tak pozdrawiał naród Kaźmierza.

Nie ma pewnego dowodu, w jakim znaczeniu i za jakie zasługi otrzymali nasi mieszkańcy przywilój od księcia mazowieckiego Ziemowita. Za Jana Kaźmierza w epoce bezrządu, przemocy i najazdów, skradziono im wspomniony przywilój, i chciano podciągnąć ich pod prawa krajowych mieszczan lub włościan; lecz król Michał na mocy zeznań i autentyku wynalezione w aktach grodzkich, potwierdził słu-



żące im prawa dnia 12 października 1671 roku nazywając ich kniaziami czyli libertynami. Tu okazał mi ksiądz Jaremkiewicz przywilój Jana III wydany w Lublinie dnia 18 kwietnia 1688 r. i potwierdzony przez innych królów następującej treści:

„Uczciwi kniazio wie wsi Lubycza, uczyniwszy odwagę przysług przez przodków y osadców swoich niegdyś jeszcze Semotowi księciu Mazowsza, meruerunt sobie to, aby we wsi y gruntach do niej należących seorsive szczycili się prawami i wolnościami swemi, y według tychże rządzeni się, jako najprzystojniej. Dla czego jako od antecessorów naszych o potwierdzenie tychże wolności konkurowali, tak con sequenter y do nas na tronie państwa poświędzonych, uczciwi: Bazyli Wańczyszyn, Alexiěj Kiszczak, Andrzej Chodor i t. d. swoim y innych tamże sortes swoje mających imieniem supplikowali, abyśmy onych przy wsi Lubyczy, gruntach, prawach i wolnościach ich zachowali, zatrzymali i one powagą naszą zmocnili y utwierdzili.”

Opisawszy granice, grunta przypierające do rzeki Bełzec, stawy, lasy, łąki, mówi dalej, iż takowe: z wolnym piwa robieniem, gorzałki kurzeniem na własną potrzebę, zwyczaj mianowani kniazio wie, jako y sukcesorowie ich, trzymać i zażywać będą, aż do ostatniego kresu życia swego, przy wszelkiej wolności, żadnych pańszczyzn ani robocizn, ani podwód dawania nie odprawując; za co szczególnie na potrzebę wojenną żołnierza wyprawowaniem. Uwalniamy też onych od wszelakich żołnierskich stacyi, egzakcyi, chleba pobocznego, zimowego, podwód brania i innych ekstoryi. Obiecując to po nas y następcach naszych, pomienionych kniazio w i sukcesorów ich od wsi Lubycza nie oddalić i do oddalenia władzy nikomu nie dać.”

August III pod dniem 24 grudnia 1744, potwierdził również rzeczony przywilój temi słowy:

Przywileja kniazio m Lubyckim we wsi Lubyczy na prawie Wołoskim fundowanym y do służby wojennej czasu potrzeby Rzeczypospolitej obligowanym nadane potwierdzamy.” Podobnie Stanisław August potwierdził dnia 28 października 1770 r.

— W jakimże czasie położyli zasługi tutejsi mieszkańcy i jaką odwagą mogli się odznaczyć? zapytałem. Ksiądz Jaremkiewicz na to odpowiedział:

— „Wiadomo z historyi, że około 1320 r. spłodrowawszy Tatarzy Ruś czerwoną, narzucili jej swoich dwóch carzyków, których jednak pozbyli się trucizną Rusini i poddali się Bolesławowi Trojdenowiczowi, księżęciu Mazowieckiemu, synowi Maryi księ-

żniczki ruskiej. Kiedy znowu w r. 1340 umarł Bolesław we Lwowie podobną śmiercią jak dawniej carzyki, jego brat Ziemowit ustąpił swoich praw do Rusi Kaźmierzowi W. królowi polskiemu, swemu krewnemu, zajmując dla siebie tylko księstwo Bełzkie.

Jerzy Narymuntowicz ksiązę Litewski napadał kilkakrotnie ze swemi ludźmi a nawet przy pomocy Tatarów na tę krainę i widać to wtedy ścigany ksiązę Ziemowit jedynie odwadze Lubyczan winien był swoje ocalenie. Wszakże udzielony im przywilój nie mógł być zaraz, a może i później w zupełności wykonany albowiem już 1350 r. wspomniony Jerzy wyrugował ztąd Polaków i przez szesnaście lat panował w ziemi Bełzkiej, i dopiero 1366 upokorzył się Kazimierzowi i dzierżawę lenną otrzymał od niego toż księstwo. Kiedy jednak znowu wiarołomny Jerzy najeżdżał na Polskę, Król Ludwik w 1377 obległ go w zamku Bełzkim i po poddaniu się, uczynił go tylko dożywotnim starostą tegoż zamku; zaś ks. Opolski, siostrzeniec królewski, został Wielkorządcą całej Rusi. Wkrótce jednak król poosadzał Węgrami zamki ruskie, których Jadwiga przemocą wyrugowała. Władysław Jagiełło dając swą siostrę Aleksandrę Ziemowitowi ks. maz. przekazał mu 1388 r. w posagu ziemię Bełzką i tę odziedziczyli Kazimierz, a następnie Władysław ksiązę rawski, po którego bezpotomnym zgonie 1462 roku, taż ziemia jako lennictwo wróciła do korony polskiej.

Takie są podania historyczne, tradycja ustna dopełnia je powieścią gminną, która przez kilka wieków nie poparta piśmiennymi dowodami, <sup>1)</sup> nie ma za sobą tej pewności, aby na niej z całą ufnością polegać można?”

— Ależ zapytałem się, z kądże u nas uciekano się do prawa wołoskiego, czyliż familia wspomnianych Lubyckich nie pochodzi z Wołoszczyzny?

— „Wątpię, rzekł ks. Jaremkiewicz, osiadali u nas wprawdzie Wołochy; lecz zawsze na zasadzie praw miejscowych. Szlachta nawet wołoska przyjmowała indygenat jak w nowszych czasach, bo za Augusta II, familia Turkułów, która tu w naszych stronach posiada majątność. Co się zaś tyczy Lubiczów, jeżeli to była pierwotna nazwa naszych kniazio w, toć herbu Lubicz był i hetman Żółkiewski, i tak w tej równie jak w ich rodowych nazwiskach nie ma nic wołoskiego. W czasach przedchrześcijańskich nazywali

<sup>1)</sup> Są jednak ślady, że piśmienne dowody skradziono dla zatarcia prawnej podstawy prerogatyw Lubyczan.



księżęta swe żony lubicami. W dawniej Słowiańszczyźnie Lubecza nad Dnieprem równie jak Nowogród, lub Kijów była bardzo znakomitem miastem. Z tamtej Lubeczy pewnie wyprowadzają swój ród księżęta Lubecy Druccy. Trudno teraz stanowczo wyrzec, czy nasi kniaziowie nadali swe imię tej osadzie? zawsze jednak przyjęte przez nich nazwiska są polskie; bo znane są nawet rodziny polskie Krupów i Krupskich, Kickich, Kisków, Chodorów, Chodorowiczów i t. d. Lecz ponieważ tutejsi kniaziowie są dzisiaj prostymi włościanami, nie mogą się porównywać z możnemi domami bez obrażenia dumy panów, zakładającej swą wielkość na dostatkach lub na odziedziczonej świetności.”

— Żyjemy w czasach, rzekłem, w których głównie popłaca wychowanie, sam pan przyznasz, że bez dobrej woli i pewnych zasobów nie można dzisiaj nabyć wiadomości, które nam dają wartość i imię w społeczeństwie.

— „Bez wątpienia, odpowiedział ksiądz, ciemnota i nikczemność osobista tem nieznośniejsza, im bardziej się cudzemi zasługami zasłaniać pragnie: z tem wszystkiem urodzenie jest podstawą do nabycia znaczenia u ludzi...”

Pragnąc przerwać rezonowanie kolegi zapędzającego się pod obronę herbownych tarczy zapytałem:

— „Czy nie mógłbym jutro jechać do Tomaszowa?”

— „Kiedy pana do wyjazdu nie nagli, to jedźcie jutro z moim synem do Bełza; wszak pan nie znasz tego miasta?”

— Byłem tam wprawdzie jeszcze jako uczeń z moim ojcem u księdza dziekana Kraińskiego, naszego kuzyna, odpowiedziałem, i dla tego też wartoby przypomnieć się jego pamięci.

— „Oho! dziekan już nie żyje! rzekł ks. Jaremkiewicz.

— Szkoda, żeś się pan nie dopilnował, miał jedno z najlepszych probostw.

— „Tak, słyszałem, ale żał mi tylko pięknej biblioteki i zbioru numizmatów, jedno i drugie odziedziczył po swoim bracie profesorze gimnazjalnym Lwowskim. Biblioteka liczyła kilka tysięcy dzieł bardzo wielkiej wartości. Ciekawy jestem, kto to wszystko zabrał. Ksiądz bowiem nie miał zamiłowania ani w jednym ani w drugim. Będąc u niego, widziałem książki zwalone w kilku celach poddominikańskich bez żadnego porządku: pewnie i do śmierci nie kazał ich poukładać. Mój Boże, gdyby nieboszczyk profesor był w letargu i ocknąwszy się zobaczył, że jego zbiory, z takim zamiłowaniem, poświęceniem i na-

kładem przez kilkadziesiąt lat skupowane, trafiły na właściciela wcale ich nie ceniącego, to drugi razby skończył. Oprócz siostrzenicy we Lwowie miał jeszcze nieboszczyk siostrę na Wołyniu za Krasnodębskim, obywatelom ziemskim, sądzę że ta wzięła także sukcesyją po dziekanie.” Nazajutrz wyruszyłem do Tomaszowa. Powierzchność Lubyczy bardzo nędzna: domki liche, mieszkańcy obdarci i ubodzy, jak zwykle w naszych polskich miastach, w których cały przemysł i handel przeszedł w ręce żydów. Gdyby dziś ożył Bolesław Wstydlivy, który ze swym bratem księżęciem mazowieckim, prócz wielu nieszczęść, sprowadził krzyżaków i żydów, tę wschodnią plagę, pewnieby się miał więcej jeszcze czego wstydzić niż swojej płci męskiej przy nadobnej Kunegundzie, która nie mogąc się dowiedzieć, po co go zaślubiła i co ma oznaczać jej ślubna obrączka, rzuciła podobno ją czy mężowi napowrót, czy też bałwanowi—soli. Jak Doża Wenecki rzuca pierścień morzu adryatyckiemu, zaślubiając je, tak też biedna Kinga mając męża musiała pierścień oddać bałwanowi. Szkoda, że kiedy ją mąż namówił poświęcić swą obrączkę ślubną czystości—nie zrobił i sam poświęcenia ze swęj korony: możeby bałwan solny szczęśliwszy był od ukoronowanego Bolesława. Wstydlivy królu! ślubowałaś zamiast wierności i miłości swęj żonie, jakąś urojoną czystość, a zanieczyściłaś nasze wioski i miasteczka przybyszami, którzy obdarli nasz lud z dostatków, owładnąwszy handlem i przemysłem; a co najgorzej, obdarli go z rozumu i dawniej dzielności przez rozpojenie gorzałką. Biedna ziemia, tak obficie wódką i łzami skrapiana, a ileż tu krwi się wylało? niedarmo cię zwą Rusią czerwoną! Już w szóstym wieku jęczałaś pod jarzmem Awarów, Obrami tu nazywanych. Biedne słowiańskie narody Dulebow, Bużanów, Białochrobatów! ileż tu wycierpiałyście od najazdu tych dzikich Obrów, którzy was życia i wolności, a wasze żony i córki czci pozbawiwszy, do swych wozów zaprzęgali. Lecz synowie pomścili swych rodziców. Słowianie na południu z innemi ludami, w VIII i IX wieku wytepiłi i zgładzili okrutne plemię Obrów. Następnie dzikie hordy Hunów, tureckich Peczyniegów aż tu zapuszczały swoje zagony. Gdzie się podział bogaty grod Wolin, dziś biedna wioska Grodek, przy ujściu Huczwy do Bugu? Zagrzebały się z dawną nazwą ostatnie ślady dawnego miasta; prowincya za to tylko unieśmiertelniła nazwę zaginionego grodu. Czy widząc kto także nad Huczwą nieznaczną wioskę Czerwno domyślałby się, że tam stało niegdyś znaczne miasto Czerwonograd, od którego cała tu ziemia



przyjęła nazwę Rusi Czerwonej. Lud pozostał choć zmienił swą i miasta pierwotną nazwę. Ze zmianą swęj dawnęj wiary, obyczajów i dawnęj nazwy, na nazwę Rusi Czerwonej, teraz swych przodków rozpoznać nie może.

Czyliż w rozdwojonych teraz osadach miasta Hrubieszowa i wsi Gródka nie wypadaloby szukać zagnionego Czerwonogrodu jako w miejscach leżących podług skazówek kronikarskich nad Huczwą? Wszędzie tu bowiem widać ślady dawnęj wielkości. Wieki nie zatarły tu jeszcze między Grodkiem a Hrubieszowem w linii prostęj wyrzniętych kanałów. W samym Grodku przy ujściu Huczwy do Bugu wznosił się na górze zamek, lecz jako w okolicy bezkamiennej rozebrano jego ruiny bez najmniejszego śladu i tylko wykopaliska i broń tu znajdowana świadczy o zajściu niejednej bitwy. Cudzoziemskie ludy zamieniły dawną nazwę Czerwień w dosłowne miano łacińskie od ruber Rubrissowia czyli Rubissovicia. Tak więc Rubieszów i Grodek w odległej przeszłości łączyły się jak w jedną nazwę, tak też i w jedno miasto Czerwonogrod, którego przedmieściem mogła być terażniejsza osada Wolice!

Po napadach Hunnów, Czechów, Polaków i Rusinów znikły znowu dawne miasta, powstały nowe, powstał i Halicz i państwo Halickie. W XII wieku możni władcy Haliccy zajęli pod swe berło aż część Bes-

sarabii i Multan, gdzie się Wołochy ze Słowianami zmieszali, a następnie dawnych gospodarzy wyparli. Wiek XIII i XIV sprowadził tu dzikie hordy Tatarów, które w popiele i gruzach krwią zalanych zagrzebali sławne królestwo Halickie. Ci barbarzyńcy drogę swą od Azyi od Wołgi aż za Bug znaczyli okropnem spustoszeniem; niewolnikom wznosić kazali z własnej ziemi kopce, a na nich z czaszek własnego ludu wysokie wieże. Nie widać już dymiących się miast, zapadły się trupie wieże, czas zagładził zwalone gruzy, powstały nowe miasta, ale dawne państwo już niepowstało więcj! Węgry odparli Tatarów, lecz chcieli sobie zagarnąć tę ziemię słowiańską. Rusini niemogąc być samodzielni, woleli się połączyć ze swemi pobratymcami, ze Słowianami polskimi jak tatarskim szczepem Madiarów. Wspomniałem sobie o kopcu Gliniawskim, o którym mówią, pomimo zaprzeczenia naszych nowszych dziejopisów, że na tem miejscu porąbała szlachta polska senatorów zezwalających Ludwikowi na przyłączenie tęg Rusi do Węgier. A owe wały, zwane rzymskimi koło Magierowa, czy nie są one jeszcze z czasów napadów Awarów, którzy podobnemi pierścieniami swoje obozy otaczali? chociaż sama nazwa Magierów przywodzi na myśl Madiarów.

*W. Dłużniewski.*

## JÓZEF DUNIN BORKOWSKI.

(Z wizerunkiem).

Jedyny w nowszych czasach Hellenista polski, a obok tego poeta i pracownik na polu dziejowem, zasługuje, by tutaj obszerniejszą dać o nim wiadomość. W jednej ze swych pieśni, mówi sam o sobie:

„Poezye moje, jak ptaki, jak strzały

Puściłem w okrąg po świecie:

Były w Atenach, w Koryncie zabrzmiały

I na Pindu białym grzbiecie;

Zwiedziły Hydry bohaterskie skały,

Epir, jak wielbłąd z garbami,

I miasto złote, jak piaski południa

Z tysiącznemi meczetami.”

Nieznający okoliczności, u jakich te więrsze były kreślone i szczegółów żywota Borkowskiego, mógłby śmiało pomówić poetę o zarozumiałość, tém bardziej, gdyby ów śpiew czytał dalej:

„Z kwiatów mam pióro, perłami łez piszę;

Myśl moja w morskiej podróży

Na archipelskich wyspach się kołysze

Jak złoty motyl na róży.

Poezye moje, jak wieczorne cisze

Czaruja drzymiące floty

I bohaterom <sup>1)</sup> orły w głowie budzą.

<sup>1)</sup> Palikarom czyli mołojcom.



Gdy cichnąienne roboty,  
 Żniwiarek czoła rozpalone studzą  
 I zdobią piersi kochanków jak wstęgi  
 I raźniej toczą tańczących kręgi;  
 . . . . .  
 I wszędzie dla nich i stoły i studnia  
 I kwiat, i owoc i oczu wzrok błogi  
 Otwarte serca i gościnne progi.

Objasnić nam wypada zwroty Hellenisty naszego. Znajome są polityczne Grecyi wypadki, które w roku 1827 powszechnie zajmowały umysły w Europie i Azji, nim kilka mocarstw, podało środki wybicia się na nienależność téj krainy,

Zkąd błysnął oświaty promień,  
 Gdzie do wędrowca glazy i ruiny  
 Mocą przemawiają wspomnień:  
 Gdzie się z powietrzem miesza wolnych tchnienie.

Krwia ich,—morze zburzyło!

Zapałem wyższym nad innych przejęty Bajron, nucił hymny wzniosłe i orężem prawdziwość swych natchnień stwierdzał. Niemało jednak wtedy Greków, czczących więcej Muzy niż Bellone, wyjeżdżało z kraju osiadając w państwach, które ich ojczyźnie, bądź orężem, bądź środkami dyplomatycznymi pomoc niosły. Wtedy-to młody Borkowski, zapalony uniesieniem bajronowskim, zapoznał się z wielu młodymi Grekami przebywającymi w Czerniowcach (w Galicyi), a szczególnie z Konstantynem Rizosem, — synem Jakowakisa Nerulosa, który napisał historję literatury nowogreckiej.

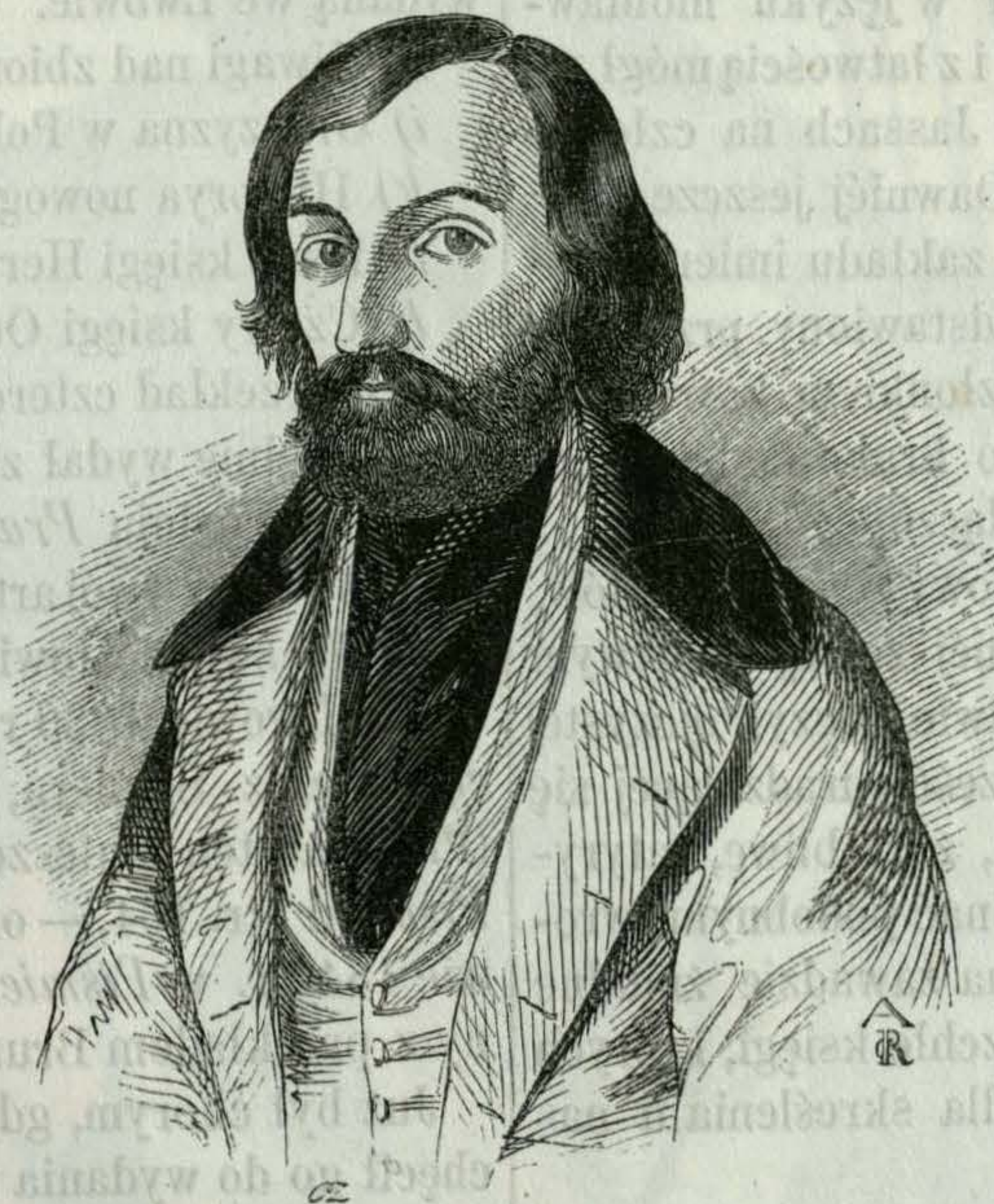
Wśród tak przyjaznych stosunków, przy jedności wyobrażeń i wspólném zajęciu się losami kraju, począł się jaknajpilniej uczyć języka wybijającego się na wolność narodu. Kiedy wyswobodzono Grecyę z pod jarzma obcego, cała młodzież, znana Borkowskiemu, wyruszyła natychmiast do swéj ojczyzny. Tam, po Atenach, Koryncie, Epirze, rozniosła w przekładach owe poezye, które nasz wieszcz, jakby drugi Baj-

ron, o Grecyi pisał, i przez wdzięczność dla naszego rodaka, tak szczerze ich losem i piśmiennictwem zajmującego się, gromadziła dlań pieśni ludu w całym kraju i do Polski przesyłała.

Nie skończył jednak Borkowski swych studjów na samej tylko nauce od młodych Greków czerpanej. W roku 1829 przybywszy do Wiednia, doskonalił się jeszcze rok cały pod Kumasem, autorem historyi powszechnej i słownika. I tu także spotkał uczonych Greków, z którymi ciągle przystawał. Niemniej korzystał z rad i stosunków Hammera i Kopitara. Wtedy począł więcej pracować nad klasykami i porównywać dawny język grecki z nowym.

Próbował tłumaczyć Odysseę Homera, Teogoniję Hezyoda, Bibliotekę Apollodora, Klio i Melpomene, dwie z dziewięciu ksiąg Herodota i t. p. Rozbierał krytycznie pieśni nowogreckie Aleksandra Chodźki.

Przesłał jeszcze Towarzystwu Przyj. Nauk przekład na język polski historyi piśmiennictwa nowogreckiego Rizosa Nerulosa Jakowakisa, ale wkrótce to dziełko za tak niedostateczne uznał, iż zgromadziwszy sam mnóstwo zasobów, myślał napisać oryginalnie po polsku dzieje literatury greckiej którą tak doskonale posiadał, iż nieraz zadziwiał rodowitych Greków uczonych, nieznających często tego, o czém doskonale wiedział nasz hellenista polski. Porównywając mowę dawnych Greków z dzisiejszym językiem żyjącym, nie widział w starożytnej i nowoczesnej mowie tak wielkiej różnicy, jaką w nich upatrują inni filologowie, szczególnie niemieccy. — Rzucone przez Dankowskiego a powtarzane od Bodiańskiego domniemania o powinowactwie Słowian z Grekami, uważał bardzo słusznie za niczém niepopartą śmieszność. Dowodził na pewnych opierając się zasadach że wszelkie przekłady z greckiego na język łaciński bądź przez Polaków dokonane, bądź wydane tylko w Polsce, należą do najlepszych, i zawsze przez wszystkich europejskich uczonych, poszukiwane były. Zbijał błędne twierdzenie jakoby greczyzna w zaniedbaniu u nas



Borkowski.



była, z powodu mniemanych zasad stawianych jej szerzeniu się przez duchownych, témbardziej że Liban wykładał w akademii krakowskiej język grecki zaraz po schyłku wieku piętnastego. Usiłując dowieść ile greckie piśmiennictwo wpływało na literaturę polską, napisał ze sto arkuszy studyów swoich w tym względzie pod tytułem: *Grecyzny w Polsce*: czerpał do téj pracy, którą zostawił nieskończoną, źródła z bibliotek lwowskich: uniwersyteckiej, zbombardowanej roku 1848, i Ossolińskich. Dopełniał wreszcie zbiór pieśni greckich Fauriela.

Oprócz łaciny i greczyzny, poświęcał się nauce języków tureckiego i mołdawskiego. Dowiódł znajomości tego ostatniego, tak w porównaniach z nim ojczystej mowy naszej, jako téż w przekładzie: „Opisania ziemi Mołdawskiej i Multańskiej przez Mirona Kostyna, wielkiego logofeta <sup>1)</sup> ziemi Mołdawskiej z rękopismu roku 1684, przypisanego Janowi III królowi polskiemu.” Posyłał artykuły o Polsce do dziennika wydawanego w Jassach.

Tak się doskonale wyćwiczył w języku mołdawskim, iż nie tylko tłumaczył, ale i z łatwością mógł pisać, dla tego też wybrano go w Jassach na członka Towarzystwa mołdawskiego. Dawniej jeszcze mianowany był członkiem uczonym zakładu imienia Ossolińskich, a w roku 1840, przedstawiony przez Michała Wiszniewskiego, został członkiem korespondentem Towarzystwa naukowego krakowskiego z uniwersytetem Jagiellońskim połączonego.

Któżby sądził, że zwolennik mowy zgasłych ludów, którą zwykle dziś najniesłuszniej zowią martwym językiem, uprawiać będzie na niwie poezji ojczystej obok wzniosłych hymnów na cześć odradzającej się Grecyi, piosnki hulackie, lekkie, żartobliwe, satyryczne, erotyki lub epigrammata? Snać podobnym zwrotem umysłu i pióra nie stają na zawadzie żmudne ślęczenia filologiczne ani zamierzchłe księgi, których tyle dobrze zbadał Borkowski, dla skreślenia u nas Grecyzny.

Przed parą laty poczęły wychodzić *Pisma* jego w zbiorze noszącym nazwę: *Dzieł znakomitych pisarzy krajowych*, ogłoszonym przez Kajetana Jabłońskiego we Lwowie. Nie masz jednak w Warszawie dotąd więcej nad tom jeden. Tu się mieści przytoczony już przez nas wyżej przekład Mirona Kostyna; tłumaczenie Dumasa trajedyi dla sceny lwowskiej p. t. *Teressa*; Mowa kwiatów (z dodaniem *kosza*

<sup>1)</sup> Kanclerz; — Logofet wtóry, tyle znaczył co podkanclerzy.

*kwiatów*, czyli wyimków z dwudziestu kilku poetów polskich, po większej części nowoczesnych), a na czele tych wszystkich prac, poezye autora oryginalne i z obcych języków wzięte, oraz zbiory jego pieśni ludowych polskich, huculskich i ruskich. W liczbie tych ostatnich utworów, zajmujących połowę tomu sporego (bo 542 str. liczącego), najbardziej zająć mogą każdego czytelnika następane: „Hymn do wskrzesiciela Grecyi; — Pieśń pogrzebna Palikarowi (bohaterowi); do Greków; — Okręt; — Pielgrzym; — Cześć poległym bohaterom — i Stance.

Do liczby pozostałych po nim rękopismów, należą następane, dotąd nie wydane:

- a) Notatki o literaturze polskiej.
- b) Kilka urywków z powieści.
- c) Uwagi nad wołoskim językiem.
- d) Zbiór wołoskich i nowogreckich pieśni.
- e) Grammatyka nowogreckiego języka.
- f) Dawni i terażniejsi Grecy.
- g) Uwagi nad grammatyką w języku bułharskim wydaną we Lwowie.
- h) Uwagi nad zbiorem pieśni Żegoty Paulego.
- i) Grecyzna w Polsce.
- k) Historia nowogreckiej literatury.
- l) Dwie księgi Herodota.
- l) Cztery księgi Odyssei.
- m) Przekład czterech ksiąg Apollodora.

Oddzielnie wydał za życia sam Borkowski w 1838 roku w Wiedniu *Prace literackie*, gdzie wytłoczył bardzo ważny swój artykuł: „O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim.”

We Lwowie 1839 r. ogłosił drukiem *Bogów Grecyi*, wiersz Szyllera, obok z tekstem niemieckim. (Przekład ten umieszczony teraz powtórnie w tomie I *Pism* od str. 164, — oraz drukowany był w Warszawie 1840 r. w *Piśmiennictwie krajowym*, i porównany z przekładem Brunona Kicińskiego.

Już był chorym, gdy ś. p. Tadeusz Wasilewski zachęcił go do wydania we Lwowie „Album na dochód pogorzalców” które wyszło po jego skonie 1844 roku. Śmierć nie pozwoliła mu skończyć téj pracy; jednak połowa już Album wydrukowaną była za życia, a umierając polecił bratu Aleksandrowi (Leszkowi) aby skończył i wydał prawie już ułożoną przezeń książkę.

Rozrzucone jego poezye i artykuły w dwóch Ziewoniajach, Haliczanie, Bibliotece Warszawskiej, Rozmaitościach lwowskich, Dzienniku mód paryzkich, Pamiętniku naukowym krakowskim, w Gońcu i w Album, zebrane pewnie będą w dalszych tomach wydanych pism zupełnych.











Zakończyć musimy to wspomnienie o zacnym autorze, którego tu rysy podajemy, szczegółami biograficznymi, bez których żaden życiorys obejść się nie może.

Józef Dunin hrabia Borkowski urodzony w Dzieduszycach wielkich na Pokuciu 22 marca 1809 roku, zmarły we Lwowie 18 czerwca 1843, w trzydziestym czwartym roku życia, był synem Franciszka i Franciszki z Dzieduszyckich, bratem Aleksandra, chlubnie także znanego w piśmiennictwie polskim, a synowcem Stanisława Podkomorzego, który pisał po niemiecku, po francuzku i po polsku (†1850). Uczył się u księży Pijarów na Żoliborzu i w liceum warszawskim do roku 1822. Wtedy poznał osobiście Brodzińskiego i Niemcewicza, którzy widząc młodziana wielkich nadziei, radzi go w domu swym przyjmowali. Gdy wyszło polecenie w Galicyi, zabraniające wychowania za granicą, rodzice musieli odebrać Józefa i umieścić we Lwowie, gdzie w gimnazjum od primy poczynając, z dwóch klass rokrocznie egzamina prywatnie składał. W roku 1827—1829 słuchał

wykładu filozofii w Czerniowcach; od 1829—1830 doskonalił się w Wiedniu, a w następnym roku służył w Warszawie. Od r. 1832 bawił już prawie ciągle we Lwowie, bo tylko kiedyniekiedy wyjeżdżał na wieś do Gródka lub do Głuchowic. Przed piérwszém opuszczeniem brzegów Pełtwy (której nazwą ozdobił 18 sonetów pełtewnych) kojarzył się z ówczesną więcęj obiecującą młodzieżą, która około niego gromadziła się, tworząc więcęj trochę niżeli przyjacielskie kółko. Do tego pocztu należeli: znakomity dziś pisarz Augustyn Bielowski, Albin Niezabitowski, Baltazar Zbrożek, Szczęsny Chlibkiewicz, Faustyn, Julian i Klemens Boguccy, Ignacy Kikiewicz i t. p. Piérwszy z nich serdecznie opisał żywot Józefa Borkowskiego trzykroć drukowany: w Album dla pogorzalców, w życiorysach K. Wł. Wojcickiego i w T. I Pism J. D. B. od str. VII do XXIII.

Rysy twarzy miał nieco wschodnie, charakter łagodny, rzadką uczynność, dobroć serca nieograniczoną, kochał młodzież i zbawiennie na nią wpływał.  
H. Sk.

## PAPUGI NOWÉJ HOLLANDYI.

(Z ryciną).

Dla mieszkańców Starego lądu Oceanija ma powab niezrównany. W opisach i opowiadaniu ta piąta część ziemi wydaje się jakąś cudowną okolicą, w której przebywać muszą istoty w niczem do ludzi niepodobne.

We wszystkich, obu półkul krajach, pod tą samą szerokością jeograficzną, napotykamy te same, mniej więcęj, rośliny, zwierzęta, owady. W Oceanii, mianowicie zaś w Nowej Hollandyi, wszystko jest odmienne. Rzeki Ameryki oraz Starego lądu, zazwyczaj płyną do morza lub ku morzu; na Nowej Hollandyi rzecz się ma przeciwnie, płyną one od morza ku środkowi téj ogromnej wyspy, toczą swe nurty do jakichś błotnych bagien jak np. rzeki: Makwery, Lachlan, Murraj i Darling.

W téj dziwnej części ziemi, barometr opada na pogodę a podnosi się gdy zwiastuje burzę. Wiatr północny tak mroźny w Europie, jest gorącym w Nowej Hollandyi; z południa zaś wiejące wichry przynoszą ochłodę tamecznym mieszkańcom. Gdy piérwszy raz

Europejczycy stanęli na téj wyspie, (a byli to żeglarze holenderscy dobrze obeznani z wszelkiego rodzaju dziwami, gdyż opłynęli nieraz całą kulę ziemską,) zdziwili się nadzwyczaj niespostrzegłszy ani jednego zwierzęcia podobnego do zwierząt dotąd im znanych. Dziobak, zwierz czworonożny bez skrzydeł ale z dziobem ptasim i niosący jaja, białe orły, czarne łabędzie, zielone żółwie, pszczoły bez żądeł, żabki niebieskie, zdumiewały ciekawych przybyszów. Wysokie Eukalipty dające wyborną gumę, kazuaryny i akacye rosły po lasach; na nich gnieździło się mnóstwo ptaków między którymi papugi czarne zwracały uwagę europejczyków. Papugi zwykle tak ozdobnego pierza, tu, są kruczój czarności. Należą one do odziału *Kakadu*, rodzaju *Calyptrorhynchus*.

Naturaliści znają 260 odmiennych wielkością i upierzeniem gatunków, papug.

Czarna Kakadu której ojczyzną jest Nowa Hollandya, a którą przedstawia załączona tu rycina, na-



zywa się: *Kakadu nosata* (*Calyptorhynchus naso*) i żyje w małych gromadkach mianowicie nad brzegami rzeki Łabędziej, w południowo-zachodniej Australii; żywi się owocami i korą eukalyptów. Lot jej ciężki, skrzydła w locie wydają mocny szelest. Samica znosi dwa do trzech jaj, i składa w wydrążeniu drzew.

Dolna figura wyobraża samca tego gatunku. Ma on czarne lśniące pierze; takiż ogon, pokryty pasem szkarłatnym piór, przez środek których, w klin się rysują drobniejsze, czarne piórka. Dziób jego błękitnawy z wierzchu, od spodu zaś bledszy, nogi ciemno-czarniawe. Pierze samicy, nie tak świetnego połysku ani tak mocno czarne. Głowa jej, policzki i pióra na wierzchu skrzydeł, białawo-żółtymi plamkami, nakrapiane. Piersi jej brunatno-czarnym pierzem pokryte, żółto prążkowane. Spód ogona w prążki żółte i szkarłatne. Pióra boczne w ogonie ciemnego szkarłatu, chorągiewka wewnętrzna w żółtą barwę przechodząca, czarnymi pokryta prążkami które wązkie są od góry, rozszerzają się znacznie ku końcowi piór.

Gniazdem ich są, jakieśmy nadmienili, wydrążenia drzew; tam samica składa swe jaja, podesławszy pod nie gałązki. Wybiera do tego jak najwyższe drzewa aby młodą swą rodzinę uchronić przed okiem i chciwością krajowców. Czarna papuga, ma lot wolny i ciężki, wydaje okrzyk *Kakadu* ztąd jej nazwa gatunkowa, tak u mieszkańców Australii jak i u naturalistów.

*Żalobna czarna Kakadu* (*Calyptorhynchus funereus*) wyobrażona jest u góry na naszej rycinie. Jest ona czarno-brunatna, głowa jej mieni się w zielonawe barwy; piórka po bokach i po całym ciele obwiedzione brunatnym paskiem do koła. Przy uszach jasno-żółte upierzenie. Ogon czarny, żółtym szerokim pasem piór ozdobny, środkowe dwa długie pióra

czarne. Dziób czarny, u młodych biały, oczy ciemno-brunatne otoczone czarnymi prążkami u jednych; czerwonymi, białymi, u innych papug tego gatunku.

Gatunek ten liczy się do największych w rodzaju Kakadu; mianowicie, dla wielkości swych skrzydeł i ogona. Pochodzi on z Nowo-Południowej Walii to jest: z południowo-wschodnich stron Australii. Znakomity naturalista Gould, znalazł go także w okolicach miasta Sydney, w Bong-bong i na wyspie Moskito przy ujściu Upper-Hunter (Wyższego Hunteru). Zwiedza ten ptak lasy na równinach, przebywa w gęstych zaroślach, nie lubi żyć gromadnie, najczęściej zbiera się ich od 4, do 8 gdy wychodzą na żer. Ich pożywienie bywa rozmaite: czasem żywią się ziarnami Banksyi, których strąki rozdzierają by wydość ziarno. (Banksya jest to rodzaj wiciokrzewu.) Niekiedy karmią się poczwarkami owadów a zagnieżdżone w krzakach i na drzewach liszki, stają się ich łupem. Lot, żalobnej czarnej Kakadu jest, mimo wielkości jej skrzydeł, ciężki i słaby.

Można się do niej zbliżyć niepostrzeżonym, gdy jest zajęta wydobywaniem owadów z pod kory drzew. Wystrzał płoszy ich na chwilę lecz choć jedna padnie, drugie odleciawszy na pobliskie drzewa mogą być z łatwością upolowane.

Dziwny głos tego ptaka, jemu jest tylko właściwy. Głos ten opisać trudno; podobny do jęku; czasem odróżnić w nim można brzmienie: *Wy-la*, przeto mieszkańcy Nowo-południowej Walii, zwą tę papugę *Wyla*.

W spruchniałym drzewie gumowym, ptak ten ściele sobie gniazdo na wysokości gałęzi. W gnieździe składa dwa białe jaja, średniej wielkości. Powiadają że ta papuga, ma zwyczaj odgryzać drobne gałązki tamecznych jabłoni; czyni zaś to dla igraszki.

Jul. Br. Janisz.



# SPRAWOZDANIE POPULARNE

## Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH I PRZEMYSŁU.

### IV.

Przyrząd kontrolujący do wódki wynalazku Lelowskiego. — Działo Armstronga. — Przyrząd do badania biegu fal morskich p. Laronce. — Wpływ światła księżycowego na zdrowie ludzkie. — Narzędzia słuchu u owadów.

Nieodrodnym dzieciom dziewiętnastego stulecia, rozpieszczonym na łakociach felietonu, goniącym za nowinkami, za wiadomostkami codziennego życia, nie wątpliwie ułożą się usta w grymas ziewnięcia na widok tytułu, którym opatrzyłem nagłówek pracy mojej. Czuję i rozumiem dobrze jak okoliczności nie sprzyjają pojawianiu się artykułów z dziedziny nauk, lubujących się w ciszy i spokoju. Przy zwrocie uwagi w innym kierunku, trudności pracy mojej zwiększają się. Ażeby zająć czytelników potrzebowałbym posiadać talent popularnego wykładu Bernsteina, władać stylem Micheleta, a za przedmiot opisu wziąć przynajmniej odkrycie kierowania balonami, transmutacji metali nieszlachetnych w szlachetne lub *perpetuum mobile*.

Ale niestety! zajrzawszy do teki sprawozdawczej, a raczej przerzuciwszy plikę dzienników przynoszących wieści ze świata naukowego, nie znajdujemy żadnego faktu, żadnego wynalazku lub spostrzeżenia, któreby doniosłością swoją zaostrzyć mogły ciekawość ogólną. Na to trzebaby lata czekać, bo wynalazki i odkrycia zmieniające postać świata nie są zwierzyną, którąby codziennie upolować można. Nie należy jednakże sądzić, aby źródło, z którego tak obficie popłynęły olbrzymie wynalazki stanowiące chlubę naszego wieku, już wyschło. Przeciwnie, nie przestaje ono codziennie składać nasion, z których być może rozwinie się nie jedno potężne drzewo i zrodzi nie jeden owoc dla nakarmienia wiecznie łaknącej potrzeby ludzkiego społeczeństwa. Takimi nasionami są drobne wynalazki z których jedne w przyszłości, a drugie obecnie już przynoszą nie małe korzyści. Do rzędu tych ostatnich należy *przyrząd kontrolujący do*

*wódki* na który, jak to donosiły pisma, radca stanu Miaskowski otrzymał dziesięcioletni przywilej.

Uważam się prawdziwie za szczęśliwego iż okoliczności pozwalają mi obecne, jak i poprzednie wyszłe z pod mojego pióra Sprawozdania, rozpocząć od wynalazków lub spostrzeżeń, które winna nauka i praktyka rodakom naszym. Pragnęlibyśmy przywilej ten zatrzymać jak najdłużej i rozciągnąć go jak najobszerniej, pewni bowiem jesteśmy iż fakta podobnego rodzaju, uczyniłyby Sprawozdania prawdziwie *popularnemi*.

Narzędzie, któreśmy nazwali *przyrządem kontrolującym* do oznaczenia ilości i tężości płynów spirytusowych przy wypalaniu takowych, nabyte zostało przez p. Miaskowskiego od pierwotnego wynalazcy, zmarłego Lelowskiego, b. technika przy Kommissyi Spraw Wewnętrznych, a ulepszone w ostatnich czasach przez p. Jacobi, znanego akademika i wynalazcę połączenia i posrebrzania galwanicznego.

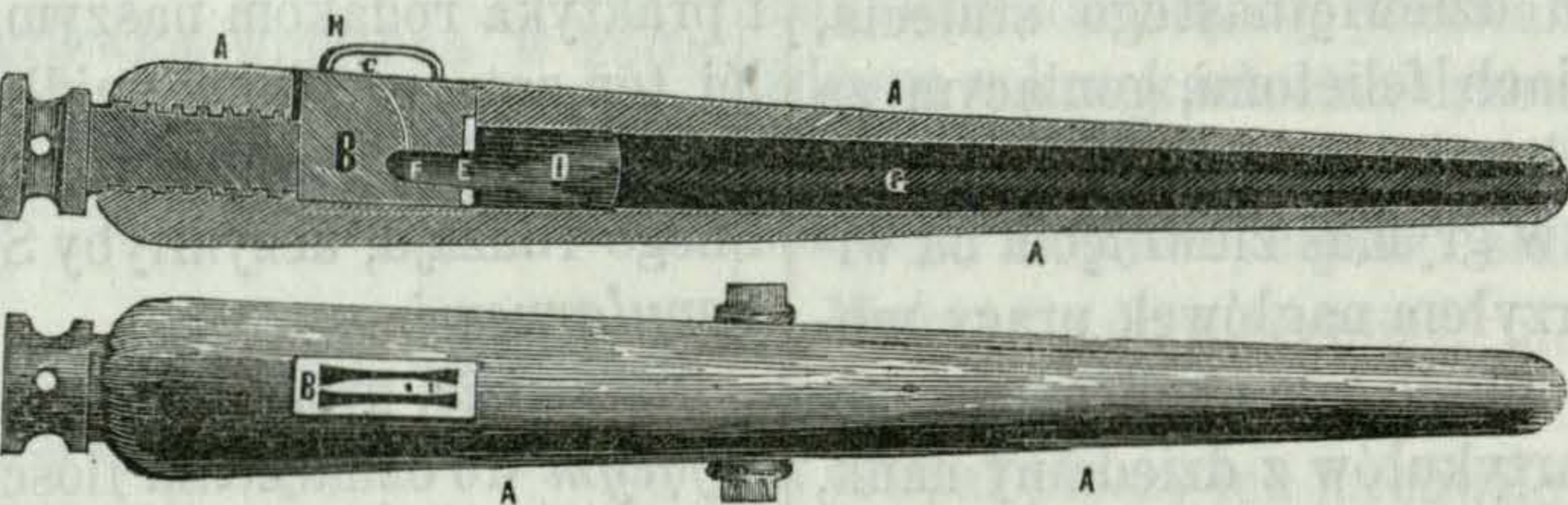
Narząd ten połączony z oziębiaczem aparatu gorzelnanego, służyć może do oznaczenia ilości otrzymanego w danym czasie spirytusu, jako i średniego stopnia mocy takowego. Cel ten osiąga się tym sposobem, iż płyn spirytusowy przy upuszczaniu z oziębiacza w beczki albo jaki inny rezerwoar, przechodzi przez przyrząd kontrolujący, który strzałką na osobnym cyferblacie wskazuje ilość przepływającej cieczy. Prócz tego, w szczególny rezerwoarzyk wchodzi co chwila równa ilość płynu, która służyć może do bardzo ścisłego oznaczenia średniej mocy całej ilości przepływającej cieczy spirytusowej. Oznaczenie to odbywa się albo według pewnych stałych prawideł, albo też zwykłym sposobem za pomocą areometrów czyli próbek wódczanych.

Przyrząd do kontrolowania, wynalazku Lelowskiego niema nie wspólnego ani w zasadzie, ani w budowie, z gazometrami, używanymi do mierzenia gazów, a tém mniej jeszcze z hygrometrami podanymi lub używanymi do oznaczania skraplających się par. Odznacza



się zaś nader dowcipną i prostą budową, a mianowicie tém, iż zastosowana w przyrządzie samodziałająca pompka albo lewar, opiera się na ścisłym prawie hydrostatyczném, nie zależącym od stanu barometrycznego i gatunkowego ciężaru płynu, również od mechanicznych części aparatu, co daje możność prowadzić wymiar z nadzwyczajną ścisłością. Przy dokładném i uczciwym urządzeniu kontrolującego przyrządu, będzie można dojść do rozwiązania bardzo ważnego zadania, jakim bezwątpienia jest obliczenie w danym czasie otrzymanego alkoholu przy wypalaniu takowego w gorzelnii na wielką skalę. Rozwiązanie zaś tego zadania jest nader ważnym nietylko dla samych właścicieli gorzelnii ale i dla władzy, mianowicie przy poborze akcyzy. Jest to korzyść dla jednej i dla drugiej strony, przez usunięcie oszustwa lub złej woli.

Z przyjemnością więc dowiadujemy się, iż pożyteczny ten wynalazek, użycie którego mogłoby ułatwić zamianę systemu dzierżawnego istniejącego w Rosyi, na akcyzowy istniejący u nas, zwróciło już uwagę ministerstwa skarbu, i że przedsięwzięte w tych czasach w petersburgskim technicznym biurze z rozkazu ministra finansów i w obecności wysadzonej do tego komisji próby, odpowiedziały oczekiwaniom, i nadziejom jakie pokładaliśmy w tym wynalazku.



lub trzech, jak to ma miejsce w strzelbach, albo też zamiast tego, aby kanał był owalny, jak to ma miejsce w działach systemu Lancastra, albo nakoniec wielokątny według Whitwortha, paszcza działa Armstronga opatrzona jest mnóstwem nacięć a raczej zgięć przechodzących jedno w drugie, tak iż armata 2½ calowego kalibru liczy takowych do 40.

Kule i bomby do dział Armstronga mają kształt owalny, tak iż długość ich przenosi trzy razy średnicę. Pociski zewnątrz pokrywają się ołowiem, aby łatwiej wchodziły w nacięcia wewnętrznej powierzchni działa.

Działo takie nabija się z tyłu, w komorze działowej za pośrednictwem otworu wyrobionego w tej części armaty. W otwór ten wprowadzają narząd i razem z nim nabój; szerokość komory działowej jest zaś nieco większa niż średnica otworu działa. Komora ta w tylnej

części rozszerza się dla tego aby po wpakowaniu pocisku i naboju, takowe można było wprowadzić w rurę działa przed zamknięciem otworu.

Dla zamknięcia otworu, używa się ruchoma komora B, zastosowana do gniazda działowego. W przedniej ścianie tej komory znajduje się wprawiona sztuczka miedziana E tworząca, okrągłą wypukłość, która wchodzi w kanał przy nacisku śruby i napród. Przy wystrzale, rozszerzenie gazów silnie przyciska ową miedzianą sztuczkę i tym sposobem hermetycznie zamyka kanał. W tej to miedzianej sztuczce znajduje się wgłębienie do pomieszczenia pyrotechnicznej nici, komunikującej ogień naboju.

Wyższość takiego działa polega na małej wadze tegoż, przy olbrzymiej doniosłości i pewności wystrzału, a przytém w ułatwionym sposobie nabijania, co pozwala na zmniejszenie usługi przy armatach Armstronga.

Według dzienników, pociski działa Armstronga, przy odpowiednim kalibrze, przebijają 4 calowe blachy żelaza, jakimi są obijane zwykłe fregaty morskie.

\*

W obecnej chwili nie obojętną będzie może dla czytelników naszych wiadomość o działach Armstronga, które zwróciło uwagę całej Europy i przyniosło wynalazcy w zysku tytuł baronetta (knight) tudzież nominację na główno-zarządzającego warsztatami morskiego arsenału.

Działo to wyrabia się ze stali obwiniętej z zewnątrz żelazną powłoką znacznej grubości, na sposób używany przy strzelbach gwintowych. Warstwy blachy żelaznej następują jedne za drugimi w przeciwnych sobie kierunkach, tak aby brzegi jednej pokryte zostały drugimi. Rozumie się iż robota podobnych dział jest kosztowna, lecz za to nadaje narzędziu znakomitą siłę przy nie wielkiej massie metalu.

Stalowa rura wewnętrzna, tworząca kanał działa, nosi mnóstwo oryginalnych nacięć, i zamiast dwóch

Pan Laronce, mieczman z floty francuzkiej, znany i zdolny mechanik, oddał znakomitą usługę marynarzom, wynajdując instrument służący do oznaczenia biegu morza. Zagadnienie zależało na tém,



ażeby wynaléć na otwartem morzu i w każdym czasie kierunek przepływu tak na powierzchni jako i w głębi. Dowiedzionem zostało, że każde ciało stałe, pogrążając się w morze, na pewnej głębokości ulega stopniowym ruchom różnych podwodnych potoków, stosunkowo do ich siły. Również dowiedzioną jest rzeczą, iż jeżeli jakiegokolwiek ciało dąży do wypłynięcia na powierzchnię wody, to ono podlega tymże siłom i działaniom. Należy jeszcze zauważyć że ciało z tém większą łatwością wypływa lub unoszone jest biegiem wody, im stosunkowo większa jego objętość do masy. Opierając się na tém, p. Laronce zbudował przyrząd, który najlepiej objaśnia dołączona figura.

Przyrząd ten składa się z hermetycznie zamkniętego, sferyczno-ostrokąowego naczynia N K H w wierzchniej części którego przymocowaną jest chorągiewka A. Oś téj chorągiewki przechodzi i utwierdzona jest w zębataj kole F, opatrzonej przystawką E. Przy D, umocowaną jest sprężyna utrzymująca kawałek żelaza. Cała wierzchnia część przyrządu H L H podlega swobodnemu działaniu wody.

L, jest lina utrzymująca przyrząd. M, przewodniki łączące się jednym końcem ze statkiem a drugim z elektromagnesem CO, przypasowanym w środku instrumentu. Wewnątrz pustego naczynia N K N znajduje się kompas W, a niższa część napełniona balastem, aby narząd pływał spokojnie.

Ażeby otrzymać wypadek, dosyć jest przyrząd ten pogrążyć w wodę, do żądanej głębokości. Chorągiewka, jako najlżejsza, naprzód ulega działaniu prądu i przyjmuje odpowiedni kierunek, kiedy sam przyrząd nie zdołał jeszcze nabrać stosownego położenia, dla tego téż można przyjąć przyrząd jako ciało nieruchome, w koło którego obraca się chorągiewka.

Dla oznaczenia kierunku chorągiewki w rozmaitych głębokościach, dość jest za pomocą przewodników poruszyć sprężyny przytrzymujące jednocześnie położenie chorągiewki i kompasu. Wyjąwszy przyrząd z wody, należy tylko zmierzyć kąt utworzony przez kierunek chorągiewki i igłę kompasu.

Doświadczenia czynione z rozkazu ministeryum marynarki na statkach francuzkich w różnych morzach, okazały się zadawalniającymi. Odtąd przyrząd ten wejdzie w użycie, jako narzędzie nader pożyte-

czne dla marynarzy i przy robotach wodnych wszelkiego rodzaju, tudzież do rozwiązania mnóstwa zagadnień hydraulicznych, których rozgmatwaniem napróżno dotychczas zajmowała się nauka.

\*

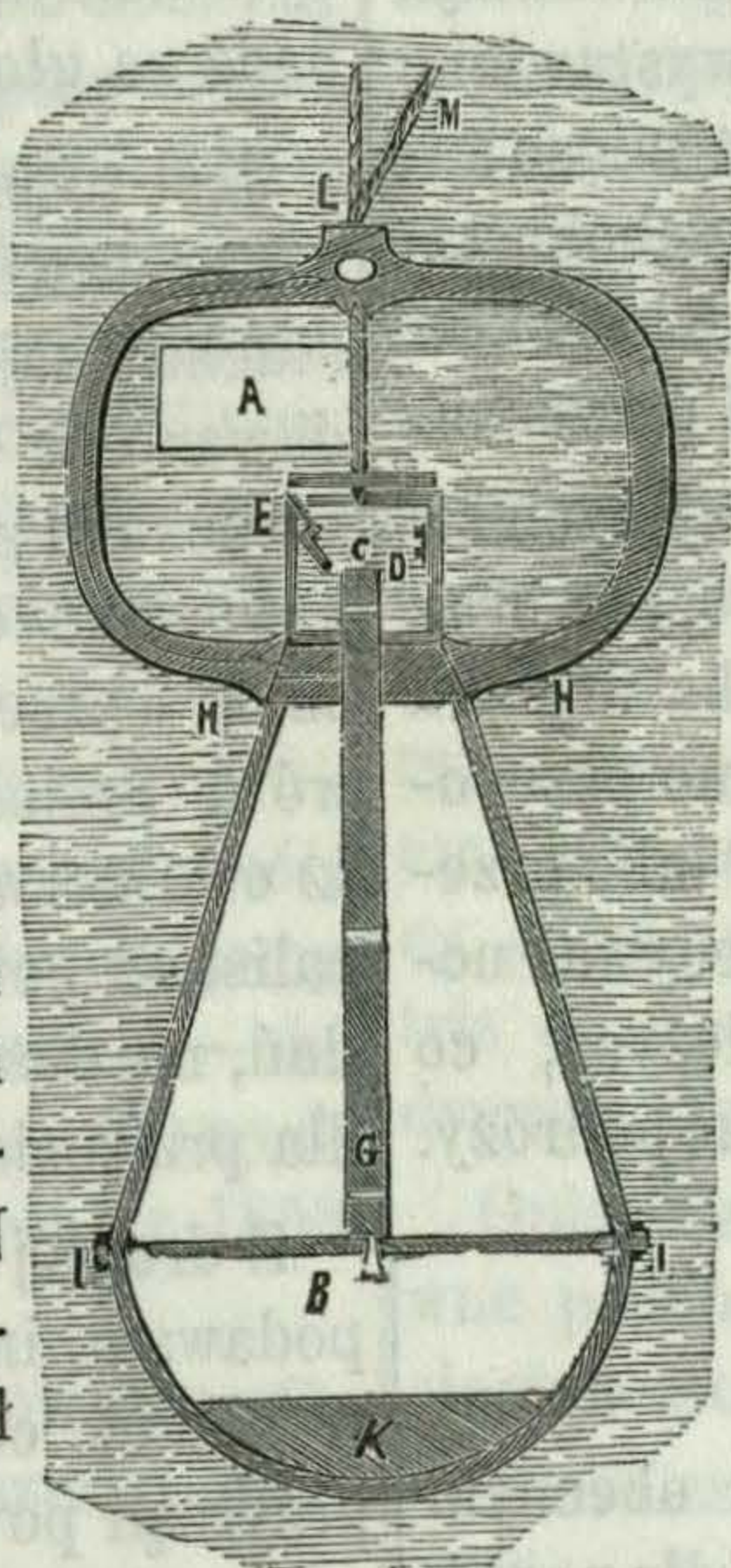
Prostować błędne pojęcia wyobraźni i baśni ludowych, wyszukiwać w naturze istotnych przedmiotów które ukazują się w legendach odziane fantastycznym rąbkiem poezji prostaczéj, jest może najpowabniejszém zajęciem naturalisty, a przynajmniej jednym z obowiązków popularyzatorów nauki. Rzadko się zdarza aby w zasadzie prostéj wiary nieleżała jakaś prawda, oparta na długoletniém doświadczeniu lub na-

wet wyjątkowym fakcie. Ludzkość tak długo ścierała się z potężnymi siłami natury, iż niepodobna przypuścić, aby w ciągu wieków nie nabyła pewnych empirycznych wiadomości. Długie jednakże lata barbaryzmu zasły jasne pojęcie prawdy, obracając istotne fakta w myty. Dziś tylko analizą i porównaniem możemy przeniknąć niekiedy prawdziwe ich znaczenie. Tak np. mówią że światło księżycyca a mianowicie w pełni, wywiera szkodliwy wpływ nie tylko u nas, ale daleko w wyższym stopniu między zwrotnikami. W pojęciach i podaniach jest pewna wspólność między najdalszemi nawet narodami. U wszystkich niemal marynarzy istnieje wiara podobnie jak i w prostym naszym ludzie, iż księżyc wywiera wpływ jadowity na zdrowie ludzkie. Przy świetle księżycyca nawet i za zwrotnikami ani jeden z maj-

kównie wyjdzie na pokład lub na ląd z odkrytą głową. Mówią iż spiąc lub nawet leżąc tylko z twarzą odkrytą tam gdzie działa światło księżycowe, nabawić się można opuchlizny, paraliżu, ślepoty, a niekiedy waryactwa i wściekłości, kończących się gwałtowną śmiercią. Spostrzeżenia te uczynić mieli żołnierze w południowej Francyi, odbywający warty podczas nocy.

O ile ten szczególny wypadek uważać można za prawdę? dziś z pewnością niewiadomo, gdyż kwestya tycząca się działania światła księżycowego jest obecnie w trakcie dyskusyi, tak pomiędzy meteorologami jako i lekarzami z professyi. Różność objawionych zdań przedstawia chaos nie podobny prawie do rozgmatwania.

O ile wiadomo, uczona nazwa choroby wynikającej z działania światła księżycowego jest *Nictocalpia*. Najgłówniejszym symptomatem téj słabości, według słów





jednego niemieckiego doktora z Valparezo, jest mniejsze lub większe zapuchnięcie oczu i zupełna ślepotą w nocy przy świetle księżycowym lub wprost przy ogniu. Doktor ten podróżował z oddziałem wojsk Chilijskich przez Kordiliery i zdarzyło mu się często nocować na otwartym miejscu przy świetle księżyca. Połowa jego ludzi zachorowała na *nictocalpia* i do zupełnego uleczenia potrzebował kilku miesięcy czasu. Nie mamy jednakże pewnych dowodów, czy słabości tej przyczyną było światło księżyca, czy też nagłe ochłodzenie się żołnierzy po dziennym spiekocie, albo też inne jakie klimatyczne wpływy. Dość że całą winę zganiają na wpływy księżyca, a dla ochrony się od słabości uważają dostatecznym pokrycie twarzy chustką. Marynarze nawet sądzą iż mięso zwierząt, mianowicie zaś ryb, prędzej gnieje będąc wystawione na światło księżyca i mają przekonanie iż mięso takie wywiera szkodliwe skutki. Jest jakaś głęboka tajemnica, oparty na pewnym spostrzeżeniu faktu, który mógł być wynikiem nawet odmiennych przyczyn.

Pomimo jednakże wskazówek przemawiających za szkodliwością wpływu światła księżycowego, nie brak nam zapewnień przeciwnych. Tak np. Birba w ciągu długiej swojej podróży świadczy, iż pomimo przepowiedni marynarzy nie doznał żadnej szkody lubo przepływał przez zwrotniki i niemal ciągle przebywał nocą pod odkrytym niebem i wpływem księżyca, co czynili toż samo liczni jego współtowarzysze podróży.

\*

Dzień każdy, godzina niemal każda, w obecnym stanie postępu i usiłowań, nie jest straconą dla nauki. Badacze przyrody nie wahają sięłożyć pracy i starań na rozwiązanie takich pytań, które profanom zdawać się mogą śmiesznymi lub bezpożytecznymi dla samej nawet umiejętności. Do takich należą badania i poszukiwania w celu wynalezienia organu słuchu u owadów. Wiadomo już oddawna i bardzo dobrze, że owady słyszą, lecz w jakiej okolicy ich ciała znajduje się organ słuchu? jest przedmiotem dotychczasowych sporów, toczonych z rozmaitem szczęściem po rozmaitych naukowych dziennikach, a w ostatnich mianowicie czasach *Comptes rendus*, ogłosiło kilka ważnych rozpraw, które jeżeli nie rozstrzygnęły kwestyi ostatecznie, to przynajmniej rozjaśniły i posunęły ją naprzód.

Że owady mogą i przyjmują dźwięki przy kołysaniu fal powietrza i wody na pewnej rozległości, wi-

dzimy już z tego, że są sposobne wydawać podobne poruszenia i głosy, a to za pomocą osobnych organów, częstokroć bardzo nawet złożonych. Przyrząd ten wprowadza się w ruch wtedy, kiedy potrzebuje przesłać znak jeden drugiemu bez dotknięcia zbliżenia się. Skrzypienie cieśli, gwizd świerszcza, brzęczenie muchy i pszczoły lub mnóstwo innych dźwięków, wydawane są zapewne dla tego, aby być słyszalnymi, inaczey musielibyśmy posądzać naturę o bezcelowość. Lecz gdzież znajduje się organ specjalnie do słyszenia przygotowany? Wszystkie mniemania pod tym względem przedstawione przez uczonych, są tylko śmiałymi hipotezami, opartymi jedynie na prawdopodobieństwie. Tylko za pomocą analogii można było domyślać się, że organ słuchu mieści się gdzieś na głowie, tak jak i u innych zwierząt.

Jest to jedna z najważniejszych przyczyn, dla której zostawiono pierwszeństwo mniemaniu iż organ słuchu znajduje się w rożkach lub głaszczkach. Podawano że owady, podobnie jak u rakowatych, mają w rożkach przeciągniętą błonkę, która drży w skutek zewnętrznych, falami głosowymi wzbudzonych wstrząśnień i przeprowadza tym sposobem dźwięki do nerwów. Śmiałość hypotetyczną posuwano tak dalece, iż owe nerwy rysowano i opisywano, lubo żaden naturalista z pewnością, pomimo najszczegółowszych badań, nie dostrzegł rozszerzenia sznurków nerwowych dla przyjęcia wrażeń dźwięku.

Z drugiej strony, w braku autentycznych dowodów, podawano inne analogiczne przyczyny. Wiadomo iż w skutek odmienną budowy organów oddychania, przyrząd powonienia powinienby znajdować się w innym położeniu niż u zwierząt wyższych i rzeczywiście też znajduje się przy otworze, którym wchodzi powietrze do wnętrza ciała. Dla czegożby więc nie można było utrzymywać że drganie fal głosowych dochodzi nie przez głowę a jakimikolwiek innymi częściami ciała. Comparretti np. sądził że owady słyszą za pomocą piersi. Szczególne otwory spostrzeżone na brzegach oczu u łuskoskrzydłych, na tyle u cykad, na piersiach u kowalików, również były uważane za organa słuchu.

Lecz w skutku wyjątkowego pojawiania się tych przyrządów, i to tylko u pewnych gatunków, nie można im przypisywać tak ważnego i powszechnego użytku; dlatego też rożki najpospoliciej uważane są za organa słuchu. Bezwzględnie jednak na ogólną w tej mierze zgodę, brakowało dowodów pewnych i niezbitych, popierających to ogólnikowe pojęcie.



Pan Lespès stara się obecnie dowieść iż rzeczywiście na powierzchni rożków znajdują się organa słuchu. Zauważył on np. iż u niektórych rodzajów rożki posiane są na pół przezroczystymi punkcikami albo maleńkimi otworkami. Już Erickson wykazał i opisał wzgórki, któremi owady odbierają uczucie zapachu—do tychże organów skierował swoje usiłowania p. Lespès i doszedł do upewnienia się, że są one rzeczywiście narzędziami słuchu.

Do rozwiązania tego ciekawego a tak trudnego zagadnienia, badacz nas używał nie tylko nacięć, ale i chemicznych działań, przedstawiając wypadki na znacznie powiększonych rysunkach. Ażeby ułatwić sobie pracę p. Lespès wybrał sobie jeden z największych gatunków owadów — żuka—i z wielką ostrożnością oddzielił pierwszą blaszkę rożków. Następnie okroił brzegi rożków i tym sposobem z pierwszego stawu takowych otrzymał dwie blaszeczki przylegające do siebie, a które należało rozdzielić, dla zapewnienia się o istocie zawartości między niemi leżącej. W tym celu moczył otrzymany preparat w mieszaninie wody i gliceryny, ze słabym roztworem kwasu chromnego, a kiedy tkanki rozmiękły, zdiął delikatnie skalpelem wierzchnią, tak aby na spodniej pozostały nie naruszone nerwy i powietrzne rurki. Przez tę czynność, wymagającą nadzwyczajnej ostrożności, otrzymujemy przedmiot podobny do badań mikroskopijnych,—badania te zaś doprowadziły autora do następnych wniosków, pomieszczonych w Comptes rendus z 1858 roku (30 Août.)

1° U wszystkich owadów w rogowej powłoce rożków znajdują się otwory, różne liczbą, rozmiarami i położeniem.

2° Otworki te zakryte są błonką, podobnie jak bęben. Pan Lespès nazwał je *bębeneczkami* (tympanu-

les). Za tą błonką, bezpośrednio przylegający do jej powierzchni, znajduje się nie wielki pęcherzyk, napełniony gęstym płynem w którym prawie zawsze tkwi twardsze ciało;—jest to zapewne słuchowy kanał i słuchowy *kamień* (otolit).

3° W wielu razach udało się autorowi wyśledzić sieć nerwu uchodzącego w słuchowy kanalik.

Porównanie wielu gatunków między sobą dowodzi, że organa te są zawsze jednakowo zbudowane; wielkość ich rozmaita lecz nie zależy od wielkości owadów, gdyż znajdują się bardzo małe w dużych gatunkach i odwrotnie. Liczba ich również bardzo rozmaita. Lespès znalazł tylko cztery na rożkach konika polnego, kiedy u płaskorożkowych można napotkać niezliczone ich mnóstwo; rozłożenie tych organów naturalnie jest w ściślejszej zawiślności z formą rożków.

Od prawidła jednakże trzema powyższemi oznaczonego wnioskami, zdarzają się częste wyjątki; tak np. u krocionogów budowa słuchowego organu przedstawia pewną wyłączość a mianowicie w tém, iż w środku głaszczka (np. u jednego *Scutigera coleoptera*) istnieje rodzaj węzła albo rozdęcia, utworzonego przez dwa członki, między którymi umieszczony jest nie wielki pęcherzyk przyjmujący gałęź nerwu. W innym rodzaju *Julus terrestris* dwa podobne przyrządy ułożone są jeden za drugim rzędem.

Opisanie organa przedstawiają na małą skalę pewne podobieństwo z przyrządami rakowatych dziesięcionogich, pomieszczonemi również na rożkach.

Pan Lespès czynił kilka fizyologicznych doświadczeń, aby upewnić się w zupełności o funkcyonowaniu odkrytych organów;—lecz z żalem wyznać należy iż nie otrzymał dość pewnych wypadków.

A. Wiślicki.

## O HERODOCIE.

(Według pism angielskich).

Herodot, więcej niż inni pisarze starożytni obudzać w nas powinien zajęcia, albowiem prawie cała jedna księga jego poświęconą jest Scytom, to jest badaniom o pochodzeniu Słowian, opisom zwyczajów i najpierwszych podań Budynów, Neurów i t. d. Dziewięć ksiąg jego całą stanowiących historię, nie są dotąd w języku naszym ogłoszone drukiem; <sup>1)</sup> każdą z tych ksiąg podobało się autorowi nazwać jedną

Muzy mianem, z których nosząca imię Melpomeny jest dla plemion z nami mających styczność poświęconą. Dla czego tę a nie inną Muzę obrał na tytuł do dziejów przedślowiańskich? dla czego nie Klio, lecz smutną Melpomenę nam przeznaczył? Być może iż jako wieszcz dziejowy, przeczuł iż ziemia, o której pisze, będzie teatrem smutnych w wielkim rodzaju dramatów, że tam ofiar poświęcenia niezbraknie do tragicznych arcydzieł historycznych!

<sup>1)</sup> Patrz dopisek, umieszczony na końcu tego artykułu.



Świeże poszukiwania jakie poczynione zostały w tej części Azyi którą niegdyś zwiedzał i opisał zwany halikarnaskim historyk, doprowadziły do odkrycia ogromnej liczby faktów, które rzucając nowe i niespodziewane światło na starożytną cywilizację świata wschodniego, podały sposób do sprawdzenia i jakby skontrolowania podanych przez praojca historyków postrzeżeń. Tym sposobem osiągnięte zostały dwa dowody, z dwóch różnych wpływające źródła, które po przeciągu dwóch tysięcy lat, stanęły obok siebie. Można było porównania czynić między kartami skreślonymi przez dziejopisa, a pomnikami pozostałymi z miast zagrzebanych od wieków.

Ta praca, ten komentarz najdawniejszego ze starożytności dzieła, jak najlepiej przez uczone świat przyjętym zostało; w Anglii wydał go pod tytułem: *Historia Herodota*, Jerzy Rawlinson; dopomagali mu w tej pracy pułkownik Henryk Rawlinson i pan Wilkinson. W dziele tym, na tekst Herodota starannie przejrany, rzucone jest wielkie światło. Ten stary Grek, ten ciekawy badacz, nawzajem pytanym został, i uleż musiał kontroli jakiej się nigdy nie spodziewał. Wzięli się do niego ze wszystkich punktów: jako geografowi, poodrabiano na nowo jego geograficzne karty; jako powiernik tajemnic Egipskich odbył spowiedź przed mędrkami, przez których wszystkie tajemnice już zbadane i odkryte. Współczesnik Xerksesa i jego następców, roztrząsanym był przez mieszkańców z drugiej półkuli ziemi, znających lepiej państwo tego wielkiego króla niż nasz kronikarz grecki mieszkający w jego granicach. Nakoniec, wszystkie jego trofea wzniesione na pognębienie barbarzyńców, rozstrzygnięte i dopełnione zostały przez uczonych z po za kolumn herculesowych, to jest z tych sfer, które on za przypuszczenie tylko geograficzne uważał, a których historia była dla niego kartą białą.

Istotnie historia Herodota uległa komentarzom jakich nigdy dotąd żadne dzieło nie doświadczyło; był albowiem czas na przejrzenie rozrzuconych grobowisk mocarstw, ażeby je autentycznie sprawdzić. Uczni którzy się tej pracy podjęli, tak byli przekonani o ważności jej i użyteczności, iż starali się korzystać ze wszystkich materiałów udzielonych im do rozporządzenia, aby z nich utworzyć wiecznotrwałe dzieło. Dwa tomy mają tyle przypisków i objaśnień, że tekst głównego historyka ledwie czwartą część objętości tomów składa. W pierwszym szczególnie jest dodatków jedenaście o geografii, chronologii, historii, w których wszystkie te nauki musiano specjalnie roz-

bierać, a przez-co Herodot jako czwarty współpracownik tylko uważanym być może. Ciekawym jest w tym względzie, ile nam własne pisma Herodota udzielają szczegółów o życiu jego i charakterze. Nie podobna podzielać zdania pułkownika Mure dowodzącego, że życie Herodota nie jest niczym więcej jak tylko romansiem biograficznym, bo właśnie niektóre zdarzenia z żywota jego opisane są z takim podobieństwem i zbliżeniem do prawdy, że rzeczywiście dają pewność o głównych wypadkach życia, które są prawdziwą jego biografją. Najpierw możnaby z pewnym ograniczeniem, z wielu ustępów historii jego, oznaczyć epokę, w której żył i pisał. „Zdaje się dowiedzionem—mówi jego biograf—że przynajmniej mógł rozmawiać z naocznym świadkiem wojny Perskiej. Z drugiej strony, że żył do początku wojny Peloponezkiej, ponieważ znajome mu były rozmaite zdarzenia przypadające w początkach tej wojny, jako to napaдение Tebańczyków, na Plateę; podstęp jakiego użyli Ateńczykowie dla uwiedzenia posłów spartańskich i nareszcie pierwsze spustoszenia zrządzone przez Peloponezjanów w Attyce.” Dyonizy z Halikarnasu powiada także, iż Herodot urodził się wkrótce przed wojną Perską; niesłusznie więc odrzucono świadectwo tego historyka, tem bardziej że je potwierdził Pamfil; a więc ten punkt nie może być wątpliwym iż Herodot należy do następującej generacji po tej która zwyciężyła pod Salaminą. Drugi punkt wszechstronnie dowiedziony, że urodził się w Halikarnasie, z rodziców używających dobrego mienia; stwierdza to, wychowanie staranne jakie odebrał. Nie tylko posiadał wiadomości należące, jak to mówią, do dobrego i liberalnego wychowania i niezbędne, ale nadto obznajomiony był z literaturą tamtoczesną a szczególnie z poezją: nie sam Homer ale i wszyscy dawni poeci byli mu znani, jak to daje się postrzegać w częstych cytacyach, które czyni. Mało wzmiankuje o prozaikach dawniejszych, których przed nim widać nie było, ale pomiędzy małą liczbą z nim równoczesnych, nie ma ani jednego, którego by nie zacytował.

Jeżeli sobie zechcemy zdać sprawę z jego podróży, widzimy że zwiedził Babilonię, Egipt cały, Scytję, Kolchidę, Trację, wielką Grecję — obiegł od Wschodu na Zachód odległość przeszło 31 stopni długości, a 24 stopni szerokości. Miał tedy niezaprzeczone przymioty, których wymagają aby być przyjętym do klubu *podróżników Londyńskich*, i to bez wszystkich ułatwień, jakie teraz do otrzymania takiego tytułu są wynalezione. Wszędzie go zatrzymywały ciekawości jak np. jezioro Meris, labirynt w Krecie, świątynie,



budowy sztuki, cuda natury, pola na których staczały się sławne bitwy i t. d. Za długo i niestosownie byłoby wyliczać tu wszystkie jego podróże, rachować lata, ile ich w którym kraju spędził; w ogóle tylko powiedzieć można że z obszerniejszym niż Homer poglądem na wszystko, odbył je nasz historyk.

Teraz zwróćmy baczną uwagę na Herodota, jako historyka, rozbierając wartość dzieł jego geniuszu. Herodot zadziwia głównie swoim wyborynym sposobem badania, nieledwie wnikania. Nie był on bowiem jak go sądzono, umysłem łatwowiernym i zabobonnym. Widać w licznych miejscach pism jego, jak nieraz wątpił, nawet o rzeczach, którym za owych czasów wierzono zupełnie; w nim właśnie jasno się przebija ten sceptycyzm, który zwolna podkopując pojęcia religijne starożytnych, w końcu obalił zupełnie wielobóstwo. Ztąd widzimy w Herodocie ostróżną wstrzymałość, kiedy mu przychodzi mówić o innych wyznaniach. Chociaż nieraz był świadkiem wyroczni, zawsze jednak przenosi naturalne rzeczy wytłumaczenie, nad inne cudowne, nadnaturalne: tak np. mówi o pogodzie, która po trzydniowej nastąpiła burzy, nie przypisując wcale téj odmiany modlitwom Magów. Mimo to wierzy on silnie we wpływy sprawiedliwe Bóstwa karzącego złych.

Spostrzegamy także iż w historyi jego cudowne zdarzenia coraz rzadziej spotkać można, w miarę jak dochodzi do współczesnej jemu epoki, a jeżeli wspomni jakiś fakt nadprzyrodzony, to jedynie na to żeby go podać w wątpliwość. „Tak więc Herodot nie powinien być zmieszany z innemi łatwowiernemi umysłami z owych czasów, których twierdzenia na żadną nie zasługują wiarę. Jednakże powszechnie Herodot jest pomawiany o zabobony, o łatwowierność; to przekonanie jest tak silne, że nikt nawet nie chce zbijać, témbardziej, iż w wielu miejscach, sam Herodot mówi o przepowiedniach, o snach, które tak są spojone z opowiadaniem historyi, iż ich rozdzielić nie można. Grecy, jak wszyscy starożytni, wierzyli w sny, w przepowiednie; zdaje się więc że i Herodot w części dzielił to przekonanie; jednak za wierzącego w gusła i nadzwyczajne zjawiska, poczytywać go nie można; on tylko jako jeden z wyższych umysłów zdawał się przeczuwać, jak wielu innych, wiarę czystą, wzniosłą, która wszakże z objawienia ogołoconą być nie może. Wiadomo iż Grecy, mianowicie w czasach kiedy im groziło niebezpieczeństwo utraty swobód, zniszczenia ich religii, skłonni byli widzieć we wszystkiém zna ki przepowiednie zesłane dla nich od bogów, którzy, podług ich natenczas mniemania,

wspólny z niemi mieli interest we wszystkich sprawach i utracić mogli swą chwałę razem z utratą niepodległości greckiej. Zjawiska cudowne, które Herodot opowiada, nie tylko nie émią historyi, ale i owszem żywemi kolorami malują epokę czasu. Z pomiędzy licznych przykładów oznaczających patryotyzm i egzaltację Greków, wspomina Herodot, iż Grecy pod Maratonem widzieli nadnaturalne istoty walczące obok nich? Odrzucić tym podobne szczegóły, a historia obcięta, zostanie szkieletem, seryą przyczyn i skutków, bezduszną zupełnie. Widać tedy że wyrzuty czynione mu o zabobonność i łatwowierność są bezzasadne i okazują że bardzo pobieżnie czytali krytycy dzieło Herodota. Wytrwałość jego w wierze, obok powątpiewań jako historyka, dowodzi tylko, że autor miał charakter mocny i wzniosły.

Rzadki dar wnikania i zgłębiania wszystkiego, jakim był Herodot obdarzony, szczególnież wyświeca się w jego krytycyzmie. Nie zapominajmy podstawy na której opiera swoje ocenienie wszystkiego. Mówi: „Jeżeli historyk powinien wszystko co mu powiedzą, ludziom podać; nie idzie zatém, aby w to wszystko, co mu powiedzą, był zmuszony wierzyć.” Chociaż więc, jak wszyscy ludzie owego czasu, miał jakąś skłonność przypuszczać cudowność wypadków, jednakże roztrząsa te wypadki, zdaje sobie z nich sprawę, a jeżeli mu się zdarzy uwierzyć w coś fałszywego, w coś takiego co nam zdaje się dzisiaj niedorzeczném, nie Herodota, lecz wiek w którym żył, winić-by wypadało.

Herodot tedy posiadał obydwie przymioty, które we wszystkich wiekach charakteryzowały wyższe umysły, gdyż do przenikliwości łączył prawdziwą wzniosłość intelektualną. Posiadał zdaje się więcej niż ktokolwiek ze współczesnych, sądu krytycznego, z drugiej zaś strony miał uczucia głęboko religijne; czyniły go te przymioty najzdadniejszym do opisanja wielkiej walki, jaka się wtenczas toczyła między niepodległością Grecyi a dezpotyzmem wschodnim. Zresztą, jak mówią pospolicie, Herodot jest człowiekiem wieku swego. Chociaż zaczyna oswobadzać się z wyobrażeń przesądnych współczesnych, jednakże jako przesiąkły wiarą pospolitą, nie może jeszcze sobie wystawić prawdziwych przyczyn wypadków politycznych. W tém to szczególnie różni się i jest niższym od Tucydidesa. Głęboką różnicę pomiędzy nimi okazuje lot szybki jaki uniósł jenjusz hellenów, który jak tylko doszedł do świadomości sumiennéj samego siebie zaraz walczył z barbarzyńcami, odparł ich napad, i ustalił swoją niepodległość. Lecz cóż stanowić będzie zawsze sławę Herodota? oto, że najpierwszy badawczym



rozumem opowiadał historię wypadków między ludami, porzucając formę legend i kronik; przez-co zasłużył sobie na słuszną nazwę *ojca historii*.

Niezawodnie do tych przymiotów, które zwykle stanowią udział dobrego historyka, Herodot posiadał jeden jeszcze, w braku którego dziejopisarz nie może zasłużyć sobie na wiarę i ufność. Chcemy mówić o jego uczciwości. „Punkt jeden niedościgły wszystkim zaprzeczaniom,—mówi w tym względzie pułkownik Mure—jest, że Herodot był głównie historykiem najuczciwszym i prawdomównym.” Lecz ponieważ niektórzy zaprzeczyli mu uczciwości i prawdy, musimy w tej mierze wejść w różne szczegóły.

Pomiędzy rzucającymi wątpliwość o uczciwości Herodota, powinniśmy zacytować Ktesiasza, lekarza dworaka Artakserksesa Mnemona, autora niektórych prostych bajek rozrzuconych w dawnym świecie w których chwali się ze swego krytycznego rozumu i pracowitych poszukiwań. Już w starożytności, jak to spostrzegać się daje w Arystotelesie i Plutarchu,—zaczęto mieć wątpliwości o niektórych twierdzeniach tego *fabrykanta* fałszów. Porównanie pism jego z Pismem świętym, historią Chaldejczyków Berosa, potwierdziło podejrzenia jakie miano o jego dobrej wierze. Lekarz Knidos naruszając uczciwość naszego historyka miał na celu z bogaceniem się kosztem swego poprzednika i jest już przekonanie jak mówi Jerzy Rawlinson: „że starał się wznieść swoją sławę na usystematyzowaniu kłamstw, jakiego w żadnej dotąd historii nie ma przykładu.”

Sława Herodota mniej cierpiała na tych zaczepkach pseudo-Plutarcha przez to, że wymówki o złość i niesprawiedliwość, które mu czyni lekarz, na niego także samego spadły; gdy dowieść niemógł swoich zarzutów, nazwano go echem potwarzy wymyślonych przeciw Herodotowi. Wyrzuca on jeszcze Herodotowi uprzedzenia niekorzystne względem Tebańczyków i Koryntczyków, które same z siebie upadają skoro się napotyka jak Herodot w wielu okolicznościach oddaje tym ludom sprawiedliwość, malując je w korzystnych kolorach.

Zarzut czyniony jakoby Herodot był stronnym dla Ateńczyków, zdaje się na pierwszy rzut oka być sprawiedliwym: raz mu się zdarzyło pochwalić trochę z uszczerbkiem prawdy Ateńczyków, jak dowodzi jego biograf „Że pierwsi byli z pomiędzy Greków, którzy śmieli zajrzeć w oczy Medom i opierać się ludziom tak dziwnie ubranym.” Z jednej strony pojmuje się większa Herodota skłonność do Ateńczyków niż do innych Greków. Ateny były dla niego drugą ojczyzną,

bo dały mu punkt oparcia i był swój dobry im był winien. Jednakowoż nie można sobie wnosić aby stronność jego dla Ateńczyków miała go posunąć aż do niesprawiedliwości względem innych Greków, i żeby dobrodziejstwa od nich doznane zaślepiły go do tego stopnia iżby niepostrzegł ich niedorzeczności i zbrodni. Przecież w rozmaitych okolicznościach wyrzuca im ich postępowanie. Mówi o nich, jako skłaniających się do tyranii, łatwych do podejścia, nieśmiałych i wahających się przed Maratonem, i ostro ich gani za niegodne obejście się z posłami Dariusza, jako też za odmówienie Eginetom wydania zakładników, naostatek i za to, że Ateńczykowie w fałszywym świetle wystawili postępowanie Koryntian pod Salaminą—wyjawia błędy charakteru i interessowność Klinstenesowi, Temistoklesowi i Milcyadesowi umniejszając przez-to sławę ich wielkich czynów.

Największy zaszczyt czyni Herodotowi ów sposób w jakim mówi o Persach. Chociaż jest ich nieprzyjacielem przez wstręt rodowości, przez patryotyczne przeczucie; jednakże wychwala ich waleczność, otwartość, szlachetność i mądrość w polityce. Do tego stopnia chce sprawiedliwość wymierzyć i dać poznać ich zalety, że słusznie uważano iż podobne odmalowanie jest najkorzystniejszym wizerunkiem jaki kiedykolwiek zrobiono na cześć ludu wschodniego, bądź w dawnych, bądź w teraźniejszych czasach. Herodot ma prawo do większej jeszcze pochwały, za to, że zapomniał osobistej urazy dla oddania sprawiedliwości własnym nieprzyjaciołom swoim. Jeżeli to prawda że rodzina Artemizyi wygnała go z Halikarnasu, to zadziwia nas wystawienie tej królowy jako bohaterki. Lecz najdziwniejszą w nim, niezależność zdań, niepodległość umysłu, którym wznosi się nad wszystkie polityczne uprzedzenia opiekunów swoich, ateńczyków. To mu daje siłę oprzeć się pociągom próżności greckiej i pozwala mu szacować „rozmaite w barbarzyństwie ludy.” Herodot lubi Grecyę jakby był urodzony w Attyce, uwielbia jej klimat, szczyści się jej wolnością, pełen jest zachwyty nad jej geniuszami; ale zarazem uznaje że nie jest ani dawniejsza, ani mędrsza, ani większa, ani najbardziej wykształcona pomiędzy narodami. Egipt i Frygija są dawniejsze, Indya i Tracya możniejsze, Babilonija bardziej obfitująca w ziarna, Scytia napadom mniej dostępna; Egipt, Lydyja, Babilonia znaczniejsze mają pomniki; Etiopii mieszkańcy są piękniejsi i żyją dłużej, Medowie posiadają najpiękniejsze konie, Arabia „i inne przestzenie ziemi,” mają wyroby osobliwsze i wyższego gatunku; odleglejsze znów strony jak Wenecya



używają mędrszych praw, i niema rodzaju dzikich ludów mieszkających w północnej Afryce, któreby poszczycić się nie mogły jakim ważnym wynalazkiem. Egipcyanie przewyższają Greków w budownictwie, Fenicyanie w żegludze i budowaniu okrętów, i bardzo często zdarza się, że Grecy podają za swoje wynalazki cudze, przyswojone tylko sobie. Takie to porównanie czyni Herodot Grecyi, której pogarda dla obcych ludów może być porównana z pogardą, jaką mają Chińczyki dla cudzoziemców. Czyż nie ma się tu czemu dziwić gdy się napotka Greka z tamtych czasów ze sposobem widzenia tak niezależnym i z podobnym kosmopolityzmem?

Herodot więc posiadał wszystkie przymioty, których wymagamy po dziejopisarzu. Pod tym względem opisy jego zasługują na całkowitą ufność. Starajmy się teraz ocenić wartość dowodów jego historycznych. Rozwiązanie tego zależy od pytania: czy też Herodot był dobrze świadomym rzeczy? Wyszukajmy więc jakie są dowody, któremi osobiście mógł rozrządzać, i wiadomości, których mógł sam nabyć. Rzućmy najpierw wzrok na dowody piśmienne, na dzieła z których mógł czerpać. Nowy biograf Herodota oddaje się najciekawszym poszukiwaniom poetów, genealogistów, geografów poprzedzających Herodota. Nie pójdziemy z nim roztrząsać i rozbierać wszystkich szczegółów dotyczących się tej materii. Herodot pisał samodzielnie nie trzymając się sposobu pisania Xantusa z Lydii, i zdaje się że wątpić można azali użył czego z Charona z Lampsaku; co do Dyonizego z Miletu, którego pism ani jednego urywka nie pozostało, zdaje się niepodobna wyrzec coś stanowczego. Z prozy sobie przyswoił: genealogje i geografję Hekacjusza z Miletu i traktaty o mytologii. Drugie zachodzi pytanie: czyli czerpał co z Scylaksa geografa, którego łatwowierność przechodzi wszystko, co kiedykolwiek podróżujący mogli wymyślić i powiedzieć, bo opowiada że są ludzie z tak długimi uszami iż mogą spać na nich i okrywać się nimi jak kołdrami, a stopy mają tak szerokie iż mogą za parasole używać. Jeżeli nasz dziejopisarz nic z tego Münchause-na greckiego nie bierze, nie można tego samego powiedzieć co się tyczy Arysteasza autora *arymaspa*, poematu zawierającego w sobie rozmaite skazówki geograficzne. Zdaje się że Herodot z niego powziął wiadomości jakie się w nim napotyka o drugiej półkuli ziemskiej, jak np. o Issedonach, którzy mają zjadać ciała rodziców swych zmarłych i t. d.

Rzecz niezawodna, że ballady heroiczne Greckie,

szczególniej Jońskie i Perskie dostarczyły naszemu dziejopisarzowi dużo zasobów, których do swój pracy użył. Lecz godne pochwały jego własne uwagi i osobiste postrzeżenia, które były najobfitszą kopalnią historyi, tak dziś dla nas źródłowej. Można powiedzieć że opowiadanie Herodota zaczyna się od pierwszego roku za Cyrusa, to jest na sto lat pierwój nim żył i pisał; chociaż najważniejsza treść pracy jego, o wojnie Perskiej i wkroczeniu Persyi, nie więcej nad pięćdziesiąt lat przed nim miało miejsce. Nowy biograf Herodota uważa, że historyk znajdował się względnie pisma swego, w tém samym położeniu, jakby się znajdował autor w naszej epoce, piszący historję wojen Napoleona I-go, któryby poczynał opowiadanie swoje od wstąpienia na tron Jerzego III, zdaleka czerpiąc źródła przygotowawcze do następnych wypadków. Widać z tego że Herodot w najważniejszych, w najwięcej zbliżonych do niego czasach historycznych, mógł się radzić wielkiej liczby naocznych świadków, i że wiadomości o wypadkach wspomnianych w innych częściach opowiadania jego, (z wyjątkiem tych które w oddalonej bardzo od niego miejscowości przypadły); mogły być zasięgnięte od osób czynny udział w nich mających. W Grecyi lista królów, kapłanów, zwycięzców, była zachowaną w największych miastach i przedniejszych świątyniach jak np. w Delfach i Olympii. Wiadomo — że widział sławny trojnóg z wrytymi imionami zwycięzców Platei, napisy na kolumnach wystawionych przez Daryusza i wielu innych podobnych pomnikach. Już w tamtej epoce, groby, pałace, piramidy, świątynie, papirosy, służyły za składy archiwów Egipskich, Perskich, Babilońskich. Kapłany z Memfis, Chaldejczycy przybytku Belusa, żołnierze, sędziowie Perscy w Sardzie zniewoleni byli czynić mu objaśnienia mniejszej lub większej wagi. Szczegóły które nam opiewa o satrapach Daryusza i o wojsku Xerxesa zdaje się że czerpał z archiwów Suzy albo Babilońskich, które na grecki język przełożone były.

Krótko więc powiemy, że wszystkie miejsca mające jakikolwiek związek z treścią wypadków opisywanych przez Herodota i materiały do nich użyte, są w ogólności autentyczne i zasługujące na zaufanie. Choćbyśmy potwierdzili że nasz historyk nie był przypuszczony do najwyższego koła kapłanów Egipskich, że nie miał wstępu do najwytworniejszego i najlepiej świadomego o wszystkim towarzystwa Babilonii, że u niektórych ludów, jako cudzoziemiec, mógł być z góry traktowanym i w błąd wprowadzonym; to nie może szkodzić w niczém do uznania i ocenienia



pracowitych szperań jego i autentyczności jaką nam z drugiej strony przedstawia.

Istotnie przyznać mu trzeba, że wszelkich dokładał starań, aby poszukiwania jego były dokładne, zawsze, o ile było w mocy jego, rozróżniał rzeczy prawdziwe od bajecznych. Gdy przychodzi do ostatniego okresu historii swojej, gdy mówi o Grecyi i jej posiadłościach, można zupełną dać mu wiarę, mianowicie w zdarzeniach współczesnych jemu. Właśny ojciec jego był świadkiem wzburzeń w Jonii, może nawet miał w nich udział, a wypadki które potem nastąpiły, stały się doskonale wiadome wszystkim przez niego znanym starcom. Herodot mógł rozmawiać z dawnymi żołnierzami z pod Maratonu tak jak my moglibyśmy to uczynić z tymi, którzy walczyli w wojnie na półwyspie włoskim; Salamina zaś tak mu była bliską jak nam Navarino, a Platea mniej odległą niż nam Waterloo. On był najpierwszym z tych którzy się udali do państw wielkiego króla, z kąd został „szczególnym korespondentem” ze swemi współkrajowcami. Naostatek on to był pierwszym który pozbierał pamiątki z tej wielkiej wojny, co mu później posłużyło do utworzenia *historyi* malującej straszne sceny,—walki wolności, wahania się, i tym podobne rzeczy aż do drobnych plotek. Słowem, pisał pod okiem tych, którzy czynnie do tej wojny należeli, a wolna i zwycięzka Grecya słuchała jego opowiadań. Historia Herodota, oceniając wartość jej dowodów, jest jedną z tych, którą można nazwać *prawdziwą*. Prawy charakter jego jeszcze się podsyca miłością jaką miał dla prawdy. Z niczem porównać nie można starań jakie czynił aby dojść, czy dokładnie przekazuje nam owoce swych poszukiwań. Zawsze prawie, ile możności, sam przez siebie wszystkiego dochodził; a jeżeli mu to było zupełnie niepodobnym, szukał objaśnień u tych, którzy oczyma swemi coś widzieli; jeżeli zaś przyjdzie mu napisać to słowo: „*tak mówią:*” stara się ostrzedz czytelnika o tém. Przebiegł ogromną przestrzeń w podróżach swoich, w takim czasie, kiedy nikt tego dla własnej przyjemności nie czynił; miłość zatem prawdy była dla niego dostatecznym bodźcem, aby się naraził na niesłychane trudy i niebezpieczeństwa takiego rodzaju, że wątpić wolno aby ktokolwiek wtenczas, nawet dla zysku, chciał się na to wszystko wystawić. Czcił w nim wypada tego ducha szperania, tę miłość prawdy, którą uniesiony wchodził w stosunki z tylą rozmaitemi ludami dla zapisywania ich zwyczajów i obyczajów.

Pominąwszy wartość historyczną, najszacowniej-

szego zabytku jaki nam starożytność dała; praca Herodota ma jeszcze niezmierną wartość literacką dla zalet, które ten pisarz posiadał jako autor. W końcu artykułu będziemy się starali zcharakteryzować i roztrząsnąć dzieło jego, lecz pierwój musimy skreślić charakter własny tego historyka. Herodot nad wszystko jest cudownym malarzem. Choć, tak jak zwykle, wszyscy starożytni ało się zachwyca pięknnością natury, lecz opisanie jego Gigesa w rypialni Kandauesa, Artemizii w Salaminie, Atteńczyków w Maratonie są przykładami, które z wielą innymi można przytoczyć. Szczególniej bitwy, a nade wszystko ostatnia pod Termopilami, opisane są z tak wzruszającą rzeczywistością, tyle tam siły i mocy, że nigdy żadnego autora wierszem czy prozą piszącego porównać z nim nie można; jeden tylko Homer jest wyższy nad niego. Celuje nade wszystko Herodot w odmalowywaniu charakteru tak ludów jak indywidualów. Chardin i Morier „ci Francuzi wschodni,” nie lepiej od niego malowali Persów; on nam w krótkich, energicznych, pełnych prawdy słowach, z rzadkim talentem uważania wszystkiego, z bystrym postrzeganiem, wystawia charakter Spartańczyków, jako odważnych, miłujących wolność, niewolników praw Lacedemony, wytrwałych na polu bitwy, sentencyonalnych, z drugiej strony jako samolubów powolnych, ostrożnych, bez dobrej wiary, okrutnych dla swych przyjaciół i wrogów. Dla sprzeczności obrazu, charakteryzuje nam Ateńczyków niemniej trafnie jak Spartanów, kochających swoją niepodległość, odważnych, zdatnych do wszystkiego, srogich dla przeciwników, przedsiębiorczych aż do zuchwałości, łatwych do poruszeń a przeto zmiennych, więcej próżnych niż pysznych; jako żołnierzy, mających więcej zapału niż wytrwałości; grzecznych, wytwornych, dowcipnych, gościnnych, zdolnych w potrzebie okazać się umiarkowanymi i mających więcej niż którenkolwiek z ludów greckich bezinteresowności. Co do Egipcjan i Babilończyków daje nam więcej wyobrażenia o ich charakterze niż o powierzchniowych wybitnych rysach narodowych. Z mistrzowską przenikliwością, wymienia nam szczególniejsze odcienia charakterów Lydyjczyków, Traków, Scytów i innych ludów będących na ten czas w barbarzyństwie.

Jeżeli teraz przejdziemy od narodów do indywidualów, postrzeżemy że i ci ostatni odszkiecowani są sposobem bardzo odznaczającym się. Pod tym względem mamy szereg wizerunków drobnostkowo charakterystycznych.

„Różne odcienia charakterów wschodnich—mówi



jego biograf, nigdy nie były lepiej oddane jak w tych portretach czterech pierwszych królów Achemenidów." Cyrus, prosty, śmiały, odważny naczelnik górali, obdarzony ambycją i wielkim talentem w sztuce wojennej. Skoro tylko los swój i władzę ustalił, stał się królem dobrym, łaskawym ojcem, przytęm dowcipnym, i poufałym ze swym ludem. Kambyzes, tyran wschodni, odziedziczył naprzód siłę po swym ojcu i część jego talentów, lecz zepsuty urodzeniem i wychowaniem, gwałtowny, zuchwały, uparty, niezdolny zapanować nad sobą, w szaleństwo wpadał za każdą przeciwnością, nie tylko okrutny lecz zarazem grubijanin wciągnięty został namiętnościami w przepaść niedorzeczności. Daryusz, wzór książąt wschodnich, odważny, bystrego rozumu, wielki w sztuce utrzymania pokoju jak i w wojnie, potrafił uorganizować, rozszerzyć i umocnić państwo swoje; sympatyczny, szlachetnie przywiązany do przyjaciół, wspaniały dla pokonanych, surowy w ten czas tylko, kiedy systemat rządu i potrzeba konieczna wymagały kary dla dania przykładu. — Naostatek Xerxes, tyran, słaby, próżny, nikczemny a przytęm okrutny, samolub, lekki, nieśmiały, rozwiązły, ogołcony ze wszelkiej rzetelnej wielkości, umiejący tylko wtedy gdy nic mu nie przeszkadzało, zrobić dla parady jakiś czyn szlachetny." Zacytowałby jeszcze można skreślenie charakteru Krezusa, który rozwija z prawdziwą sztuką przywołując rozmaite wypadki z patetycznej historii jego, oraz długą galeryę obrazów dowódców wojskowych, mężów stanu w Grecyi, których z taką zręcznością i odcieniami oddał iż powiedziecby można że każdy obraz jest arcydziełem rysownictwa moralnego. Żaden inny pisarz np. Tucydides nie dał nam tak dobrze poznać Temistoklesa. Można powiedziec że znamy Arystydesa, Kleomenesa, Periandra, Pauzanasza i wielu innych tak dobrze jak gdyby sam Shakspeare był kronikarzem ich czynów. Herodot umiał także z wielką sztuką i trafnością odznaczyć wszystkie odcienia charakteru kobiet: Tomiridy, Nitocris, Artemizyi i t. d. Zresztą czy maluje mężczyzn czy niewiasty to sposób jaki do tego używa jest zawsze jednostajny; nie opisuje osoby ale wprowadza ją mówiącą; jak uważa pułkownik Mure, jemu, ze wszystkich historyków starożytnych, ten wyłączny sposób dramatyczny najlepiej się udał. Jeśli zechcemy odgadnąć tajemnicę siły Herodota, to ją znajdziemy w nieporównanej jego prostocie. To samo jest w Homerze, co za wzór służył. „Styl, to człowiek” powiedziano we Francyi; niczego lepiej do Herodota przystosować nie można; właśnie w stylu jego

odbija się wybornie naiwność nie bez dowcipu i cudowna swoboda umysłu. Nic w nim nie ma wysadzonego, pretensjonalnego: nigdy nie ucieka się do próżnych sztuk stylu. Sposób jego opowiadania jest prosty, naturalny; mowa zwykła; a okresy jęj, jak uważa Arystoteles, płyną naturalnie do chwili póki ich dokładność treści niezatrzyma. Piszę, jak go sam przedmiot prowadzi, wznosi się z nim razem, a słowa jego zawsze zgodne z uczuciami jakie wyraża.

Taki jest sposób postępowania Herodota, również jak i Homera; w skutek tego tak jasno i czysto wyrażają myśli swoje. Wykonanie dzieł podobnych nie tyle bywa skutkiem usiłowań ile wprost raczej darem natury. Lecz dla tego że natura tyle wpłynęła na podobną pracę, czyż ztąd wnosić można że historyk mało przez siebie samego w niej zrobił? Czyż można go uważać, tylko za *przechodniego czynnika* arcydzieła, bez żadnych usiłowań, opowiadającego jak inni głupstwa swoje, jak np. Jourdain w swojej prozie? O Herodocie, wprawdzie mówiono: „Dzieci, ludzie z pospólstwa, służące, niańki, opowiadają rzeczy jak Herodot. Człowiek z wyższym wychowaniem i wykształceniem, opowiadając ostatnią zmianę w administracyi, wyraziłby się: „Lord Palmerston podał się do dymissyi, królowa zatem wezwała lorda Derby.” Człowiek zaś z ludu przeciwnie, opowiadać będzie rzecz jak gdyby człek był jęj przytomnym, jakby był schowany za firankę sypialni w Windsor i powie: „Otóż lord Palmerston powiedział: „nie mogę tęj całej sprawy z Francją ułożyć, muszę chyba oddalić się.” A królowa odrzekła, „więc wezwę lorda Derby.” Taki jest sposób opowiadania ojca historii. To pewna, że gdyby ojciec historii opowiadał tym sposobem, dzieje i walki greckich miast przeciw wschodnim despotom, oddawna historia jego byłaby zapomnianą i nie byłoby czego żałować. W umyśle naszym nadaje się mimowolnie formę dramatyczną ważnym opowiadaniom, i wszystkie zdolności wołały ją nad inne. W tęm-to tylko Herodot ma coś wspólnego z dziećmi, ludem i niańkami. Zkąd inąd znów posiada przymioty, których ogółowi trudno przyznać, bo ich nikt w niańkach i ludzie nie dopatrzył; np. poezję, prawdziwy układ doskonały rozmaitych części, wybór i stosowność wyrażen. Podobne zalety nadające wielką cenę dziejom, są jemu właściwe, a wynikają z rozwagi i nienależności które nadają cechę geniuszu. Smak i talent jego piśmienniczy upoważnia nas do porównania z najlepszymi nie tylko współczesnymi ale z wszystkich czasów pisarzami. Najwięcej charakteryzuje Herodota szczerą prostotą z dowcipem połą-



czona i wolne pomysły pełne rozwagi; to nadaje dziełu jego pewien wdzięk powabny, niekiedy znajdujący się i w dziełach innych nawet pisarzy współczesnych lecz krótkotrwały, szczęśliwy dla sztuki, gdzie umysłowość ludzka nabywszy już dojrzałości męskiej nie utraciła jeszcze świeżości wrażeń młodemu właściwych wiekowi. W Herodocie wydziwić się nie można rozległej rozmaitości erudycy, bo nie tylko jest historykiem, ale zarazem geografem, podróżnikiem, moralistą, starożytnikiem, mytologistą. Historia jego jest nadzwyczaj urozmaicona; a wszechstronność zdaje się wybitnym charakterem jego. Bezustannie historyczne opowiadanie jest przeplatane to religią, to opisem kraju, to odmalowaniem życia i sprzeczności jaka zachodzi między stanem dzikim, barbarzyńskim, a cywilizacją wykwinną; uwagi gruntowne, poszukiwania archeologiczne i filozoficzne pełne zajęcia, anegdota dowcipne, legendy, wymiary pomników, dokładne wyliczenia i krytyki: wszystko to urozmaica dzieło, w którym jak w panoramie przesuwa się nam życie u starożytnych z całą swoją zajmującą rzeczywistością i z najdrobniejszymi szczegółami. Wprawdzie znajdzie się gdzieś zamieszanie, ale nigdy tak wielkie aby czytelnik stracił z oczu rzecz główną, która ciągle rozwija się w każdej księdze, podobnie do rzeki zwięzającej koryto, w miarę oddalania się swego od ujścia. Celem jaki sobie głównie założył Herodot, (według własnych słów wyrzeczonych na początku historii), jest: „opowiadanie walk Grecyi przeciwko barbarzyńcom, aby zachować dla potomności pamiątkę wielkich czynów.” Opowiadanie tedy tej walki bohaterskiej, dzielnej, jaką drobne rzeczypospolite Greckie tak długo staczały z despotyzmem wschodnim, stanowi nierozzerwalność całej historii Herodota. Uważając z jaką starannością odmalowywa tę walkę ze wszystkimi jej drganiem, odcieniami, powodzeniami, jak się zagłębia w przyczyny najodle-

glejsze i w ich rozwijanie się, rzec-by można że Herodot przewidującym w przyszłość wzrokiem dojrzał ogromny wpływ jaki koniec tej walki na los świata wywrze. To też nie poprzestaje na samem opowiadaniu rozmaitych wypadków tej wielkiej dramy, której rozwiązania-był świadkiem; dodaje nam historią rozmaitych ludów, jakie w nich odegrywały rolę: wnika w przeszłość ciemną, mętną, kędy historia gubi się w bajce; potem w ustępach daje nam poznać obyczaje, zwyczaje narowy, i t. d. Dla tego właśnie że Herodot z pewnej wysokości i szeroko poglądał na losy i wypadki ludzkości, przeto zdołał pojąć i wykonać najpiękniejszą, jaką posiadamy, historię. Ten głęboki pogląd na dzieje człowiecze, pozwolił mu pochwycić obraz całej ludzkości w ogóle; dozwolił mu zrozumieć myśl ukrytą przed powszechnością; to pojęcie, winien był głęboko religijnemu charakterowi swemu i wierze, że na wszystko wpływa moc Boga karzącego czyniących niesprawiedliwość. Szczególniej w tem miejscu gdzie nam opisuje walkę wolności z despotyzmem wschodnim, gdzie wylicza ogromne przygotowania które wielki król czyni dla zgniecenia kilku miast Greckich ledwo co utworzonych, gdzie nam opowiada niepokoje, trwogę i rozpacz ojczyzny w chwili gdy zwątpiła o swém wybawieniu, przed dniem zwycięstwa: wtenczas natchniony duchem religijnym, przybiera charakter wielki. Zwycięstwo ostateczne prawa przeciw sile, stwierdza jego ideę gruntownie moralną, to jest wiarę w sprawiedliwość najwyższej Istności. Taką jest Herodota historia jeżeli ją się uważa w głównych zarysach, na równi z wysokością wypadków opisywanych. Jest ona jakby przepowiednią wielkiego zwrotu umysłu ludzkiego, w którym kilka miast greckich w przeciągu ledwie jednego wieku, wydało więcej arcydzieł niż w jakiejkolwiek innej epoce.

G.

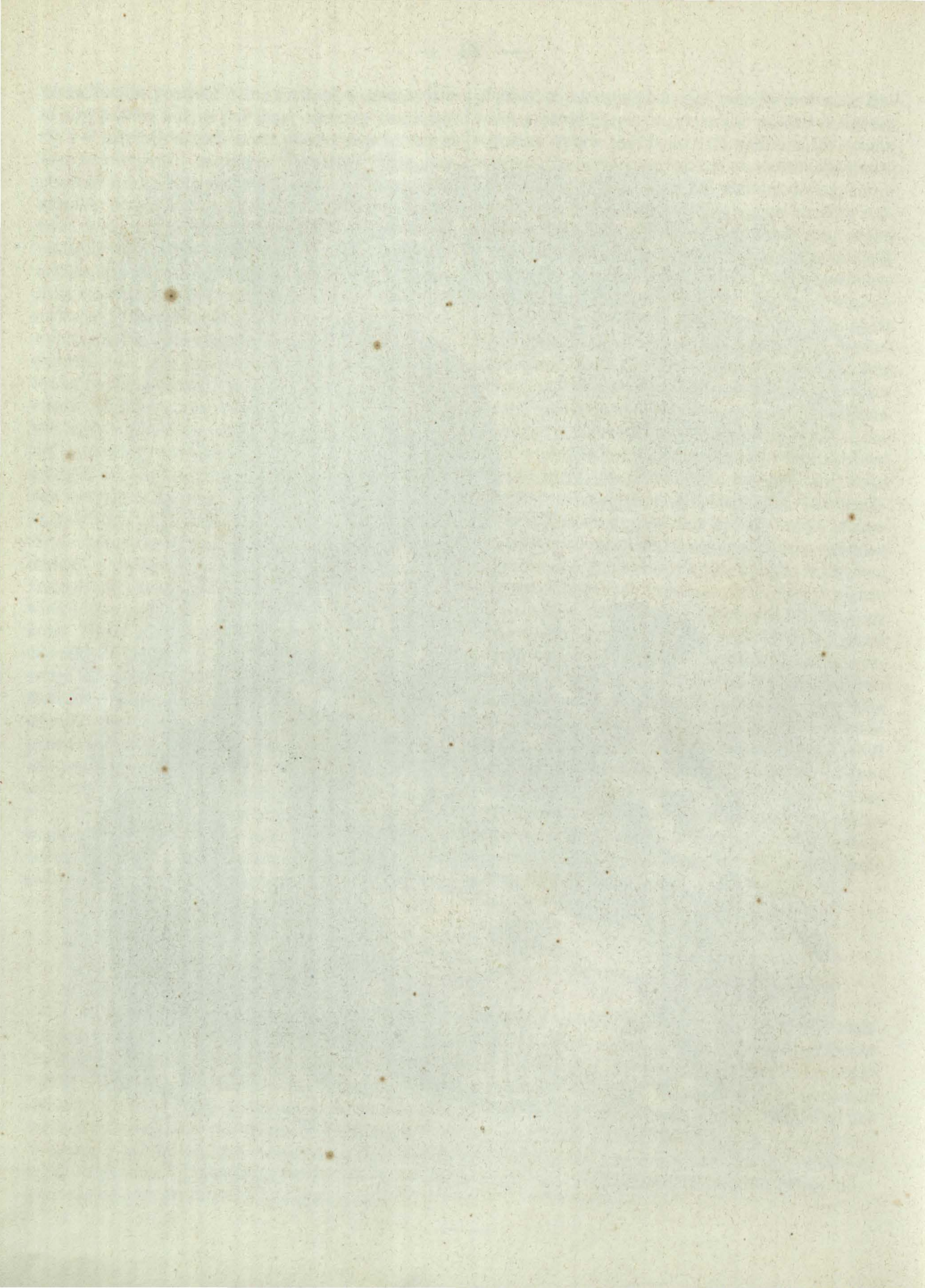
#### DOPISEK REDAKCYI.

W różnych czasach czytaliśmy ogłoszenia o przekładach na język polski, bądź częściowych bądź całkowitych, pism Herodota. Wspomniony na stronie 25 niniejszej części *Księgi Świata* Józef Dunin Borkowski przełożył dwie księgi dziejopisarza z Halikarnasu; Hippolit Błotnicki i Jędrzej Podberezski tylko *Melpomenę*, jako muzy o Skytyi traktującą, przetłumaczyli. Ale ś. p. Adam Michał Prażmowski biskup płocki, żyjący w Krakowie wysłużony professor i sędzia Kajetan Kowalski, oraz W. Krajewski dokonali podobno całkowite tłumaczenie Historii Herodotowej. Jakaż szkoda, że tych prac nie oglądamy w druku, tem bardziej, gdy coraz mniej daje się spotykać miłośników i znawców łaciny w kraju naszym. P. P. Akilewicz i Bronikowski professor z Poznania, także rozpoczęli tłumaczenie Herodota; mielibyśmy przeto ośm przekładów ojca historyków.











## MIESZKAŃCY WYŻSZEJ ANDALUZJI.

Starożytna Betyka biorąca tę nazwę od rzeki *Boetis*, dziś zwaną Gwadalkiwir liczy się do najżyźniejszych i najpiękniejszych prowincyj półwyspu Pirenejskiego. Wyborne wina, zboża obfitość, dzielnych koni doskonałej rasy liczne stada,—czynią z tej krainy śpichlerz, winnicę i stajnię Hiszpanii.

Kiedy Rzymianie ustąpili z posiadłości swych w Iberyi, cofając się przed napływem hord barbarzyńskich; Wizygotowie, Allanowie, Swewy i Wandale wtargnąwszy za Pyrenees zawładnęli Iberyą a Betyka stała się łupem Wandalów, po których w spuściznie zostało jej imię Andaluzji. Lecz przeszły te narody jak burza gwałtowna niezatrzymawszy się długo na półwyspie, Wizygotowie tylko osiedlili się na dobre; za nimi w V wieku po Chrystusie zawitał chrześcijaństwo do Hiszpanii a cudowna pochodnia Wiary świętej, oświeciła mieszkańców Andaluzji.

Niedługo cieszyła się pokojem Andaluzja. Nauka Chrystusa szerząc dobroczynne światło między obywatelami tej prowincyi, nie długo miała być przyćmioną tryumfem pół-księżycy. Królowie z plemienia Gotów lubo chrześcijanie, zapomnieli głównej podstawy nauk Zbawiciela, zapomnieli że ich religija jest religiją *przebaczenia*. Mściwy Julian, rządca afrykańskiej Gotów prowincyi; wezwał swych sąsiadów Arabów chcąc przez to ukarać swego nieprzyjaciela Rodryka, władcę hiszpańskich Wizy-Gotów. Andaluzja była placem boju. Rodryk przegrał walną bitwę blisko rzeki Xeres. Maurowie rozbiegli się po tej cudnej krainie, osiedli w niej wyparłszy wszystkich Wizy-Gotów chrześcijan aż za góry Asturyjskie; a lubo chrześcijanie odzyskiwali na Maurach częśćkę po częśćkę zdobytego kraju, wszakże nad Andaluzją przewodził Maur jako pan wszechwładny od 712 roku aż do 1492 r., to jest blisko 780 lat. Andaluzja dzieli się na *wyższą* i *niższą*. W *wyższej* stolica Grenada, w *niższej* zaś Kordowa. Oba miasta pamiętne w dziejach; Kordowa jako trzecia stolica hiszpańskiego Kalifatu; Grenada zaś jako ulubiona Maurów siedziba, zdobna w cuda maurytańskiej architektury; pysznemi

strojna ogrody, jaśniejąca najpiękniejszym klejnotem sztuki budowniczej—sławnym pałacem Alhambra.

Alhambro! o Alhambro! Ród geniuszów w ciebie  
Wlał melodye i wdzięki znane tylko w niebie.  
Twierdzo, strojna w strzelnice, w girlandy pochyłe!  
W tobie słyhać wśród nocy sylaby urocze.

Gdy księżyc przez trójlistnych wyrabiań przezrocze  
Rzuca na mury światło swoje miłe.

Tak opiewa Alhambrę Wiktor Hugo w poezji; posłuchajmy co o niej mówią, w prozie.

„Pod tém niebem uroczym (powiada pewien francuzki podróżnik) niebios sklepienie jest najwłaściwszym dla budynków pokryciem. Kto widzi Alhambrę, temu się nasuwa to wyobrażenie iż geniusze z arabskich powieści, zaklętymi dźwięki wywołały do bytu te kolumny, tak lekkie, tworzące pałac, zapewne nie przez ludzi zbudowany. Dziedzińce i ogrody mają za otoczenie rzędy owych prześlicznych kolumn marmurowych, wysmukłych, ozdobnych, mieszających się z wyniosłemi pniami drzew granatowych lub pomarańczowych... Alhambra leży na wierzchołku góry, u stóp której roztoczona jest Grenada. Z trudem wchodzi się na górę przez gęsty las wiodący do Alhambry. Czworoboczna wieża, sterczy nad łukiem bramy wchodowej. Obszerne sale pałacu, wyłożone kobiercem z mozaiki, a z sufitów wygląda tysiące najdziwaczniejszych postaci, dłutem biegłego rzeźbiarza wydobytych na jaw, ku ozdobie tego miejsca.

W każdej sypialni przepyszny marmurowy, wodotrysk oraz wyniesienie porcelaną wyłożone, na którym składały się drogie wezgłowania, mające utworzyć dywan czyli sofę, gdzie władcy Andaluzji zasiadali w chwilach odpoczynku. Wyszędłszy z pokojów spotyka się dziedzińce, białym, wykładany marmurem, takiemiż otoczony filarami. Filary te tworzą prześliczną galeryę o mozaikowym suficie i ścianach; gdziekolwiek piękna płaskorzeźba widzi się daje, a pomiędzy arabeskami wplecione całe z Al-Karonu



ustępy, przypominały wiernym Muzułmanom prawo Mahometa.”

Karol V jeden z najpotężniejszych władców tak w Hiszpanii jako też w Europie, kazał w bliskości Alhambry założyć pałac, który miał temu dziełu Maurów, dorównać w piękności. Ale rozpoczętej budowy, niedokończono, stoją tylko wspaniałe zwaliska, zwiedzane przez podróżnych. I tam jest *dziedziniec Lwów*. Dwanaście lwów z białego marmuru dźwiga obszerną czaszę, która miała kiedyś służyć za wodozbiór dla spadającej w nią, kaskady. Kordowa, która się poszczycić niemoże drugą Alhambrą, ma za to katedrę tak doskonale piękną iż cudzoziemcy i hiszpanie powiadają że ten kościół zbudowany jest przez Aniołów, którzy znieśli go na ziemię i w Kordowie umieścili. Wewnątrz tej katedry, przychodzień stał zdumiony zobaczywszy ową niezmierną ilość posągów ze szczerego złota; czyliżby wszystkie skarby Meksyku i Potozi przetopione zostały, na ozdobę ową przepyszną katedrę?

Pamiętne w dziejach Sierra Morena ciągnące się długim łańcuchem na południe Estremadury i Nowej Kastylii, otaczają, północną stronę Andaluzji. Od południa ocean Atlantycki cieśnina Gibraltaru i morze Środlądne stanowią jej granice. Na południowo-wschodnim krańcu tej prowincji, wzdłuż morza Środlądnego, ciągną się pasma Al-puchary i Sierra-Newada. Kordowa leży nad samą rzeką Gwadalkiwir. Grenada zaś na południo-wschód Kordowy, w górach Newada. Klimat w dolinach i na płaszczyznach tak jest łagodny że nocą nawet niepotrzeba chronić się do mieszkań z obawy chłodu albo dla niepogody. Ziemia, wydaje owoce jakie się znajdują w pasach umiarkowanym i gorącym. A więc urodzaje południowej Europy i nadzwyczajna roślinność północnej Afryki, łączą się — w Andaluzji. Mieszkańcom jej zarzucają niedbalstwo, brak przemysłu i pracowitości. Lecz tam gdzie przyroda jest tak czynną i bogatą; człowiek niepotrzebuje trudy zbytecznie. Darmo dostało mu się tyle, ile w krajach ziemnych za drogie pieniądze nabydź nigdy niemoże. To jest: niebo urocze, powietrze wonne, owoców i chleba aż do zbytku a za bezcen, zwierzęta piękne i nigdy przednówka nieznaną, przytem ogród za mieszkanie a góry za strażnice. Niedziw przeto że mieszkaniec takiego kraju zna co ojczyzna, lecz niewie co przemysł, którego matką jest — potrzeba.

Dzisiejsi Andaluzjacy mieszkańcy są mieszaniną plemina hiszpańskiego Maurów i cyganów. Wzrost ich średni, postać bardzo kształtna, cera żółtawa lub bru-

natna; głowa pięknego zarysu, czarne pełne ognia oczy; zęby nadzwyczajnej białości, nos piękny, rysy bardzo ładne, wyraz oblicza, zwiastujący rozum i dowcip.

Kobiety powiększej części małego wzrostu i szczupłe, mają rysy wschodnie, lekki meszek czarny pokrywa zwierzchnią ich wargę — wielkie, czarne, błyszczące mają oczy, włos czarny długi, lekko-wełnisty, jak u murzynów. Ruchy Andaluzyjanek pełne życia i wdzięku; mianowicie u niewiast maurytańskiego pochodzenia oraz u cyganek. Szkoda tylko że ich piękność tak szybko przekwita iż czterdziestoletnia Andaluzyanka nietylko że jest już starą ale nadto najokropniej zgrzybiałą i brzydką.

Żaden inny naród niema w charakterze; tyle pychy, tyle zaufania w sobie samym ile Andaluzyanin. Przedsiębiorczy a wspaniałomyślny, odważny i pogardzający niebezpieczeństwem na które zawsze narażać się gotów — śmiały aż do szaleństwa, w obronie kraju walczy z nieopisanym męstwem, jakim tylko synowie południowych krain poszczycić się mogą. Plany swe, układa z rozważą i namysłem a wykonywa z pośpiechem.

Umiarkowany w pokarmie i napoju, żywych namiętności, zazdrośny w wysokim stopniu; skłonny do zemsty do której każda droga jest mu dobrą, gotów chwycić się zarówno podstępny czy gwałtu byle swą zemsty dokonać; muzykę lubiący namiętnie, takim jest Andaluzyanin.

Pycha Rzymianina, upór Gota i zapal synów Afryki, przebijają w charakterze mieszkańców Andaluzji. Podczas bezpieczeństwa Andaluzjczyk gnuśnieje. Zawsze gotów odłożyć to na *jutro*, co z łatwością, *dziś*, wykonaćby się dało. Przekonanie o swjej wartości osobistej a ztąd nadzwyczajna duma, czynią Andaluzyan lekceważącymi, honory i urzęda. Możliwym niezazdroszczą dostatków i wygod życia, ubóstwa swego nieuważają za poniżenie, mając się za równych zupełnie najpierwszym gandom Hiszpanii.

W obejściu się z drugimi Andaluzyanin jest poważny i surowy, nieprzystępny dla obcych, szczególnie dla cudzoziemców; których zwykły charakter zbadać nim się do nich zbliży. Grzeczność jego i uprzejme wyrazy, są tylko pozorną przychylności oznaką względem obcych; za dobrą monetę brać ich nietylko.

Panować nad sobą umie tak dalece że nawet wśród największej wesołości, powagę zachowuje. Ale zrozumienie, w każdym wyrazie, w każdym czynie Andaluzyan przebija.



Niewielkie mając potrzeby zawsze łatwo je zaspokoić może i dla tego nigdy ubodzy nie płaszcą się przed bogatemi, nigdy czyn podły nie bywa środkiem wiodącym do zamożności, gdyż chciwość—prawie nie znana, szczęśliwym Andaluzyi mieszkańcom.

Tam kilka pomarańcz, trochę cebuli; Gazpacho (rodzaj zupy) na wieczerzę, płaszcz i cygaretto, kąs suchy i czysty na nocleg, wystarczają potrzebom człowieka. Dołączcie do tego broń jakąkolwiek, wyźła lub konia, gitarę, kącik jaki taki w cyrku, podczas walki byków a nieznajdziecie szczęśliwszego na ziemi śmiertelnika.

Andaluzyjczyk lubi pstre barwy; nosi jedwabny kaftan, szarawary z złocistemi guzikami, białe jedwabne pończochy, kamasze, kolorową chustkę na szyi, koszulę śnieżnej białości z wyłożonym kołnierzem; a pod szerokim jedwabnym pasem, ładownicę haftowaną. Kapelusz i płaszcz są tego kroju, co w północnej Hiszpanii; sztylet ulubioną jest bronią Andaluzyan, której nigdy się niepozabawiają.

Kobiety ubierają się biało lub też w jasne barwy; we włosach noszą róże. Czarny jedwabny staniczek z krótkimi rękawkami stroi giętką kibić Andaluzyanki. Na cienką białą koszulę narzucona jest jedwabna jasna chustka, której końce wiążą się u pasa. Jasna lub biała spódniczka, jedwabne pończochy, wyścięty trzewik, dopełniają tego stroju. W wyższej Andaluzyi spotykamy rodzaj eleganta zwanego *Majo*,

i towarzyszki jego którą zwą *Maja*. Majo żwawy dziarski, śmiały odznacza się swoim ubiorem. Musi on znać w teorii i praktyce użycie rozmaitej broni, od sztyletu, puginału, i t. d. aż do lancy. Musi umieć doskonale tańczyć Fandango, Matraca i Muchiganga, dobrze grać na gitarze a w razie koniecznym, przy jej dźwięku, improwizować. Wytworna zalotność jest jego rzemiosłem; uprzejmość jego dla kobiet równa się odwadze i śmiałości jaką względem mężczyzn okazuje. *Majo* bywa mścicielem wszelkich uraz wyrządzonych jego przyjaciółom; miewa mnóstwo pojedynków i niejednen mord na sumieniu, co nietylko nie zmniejsza lecz przeciwnie pomnaża jego sławę. Czém zręczniejsz się pojedynkuje, tém znakomitsze jego stanowisko.

Ten *błędny rycerz* Andaluzyi, nieraz ma do czynienia z sądem kryminalnym i niejednen *Majo*, zaszczycał swą obecnością, więzienne mury warownej Ceuty. Ale to wszystko nie kazi jego charakteru; *Majo* to ideał bohatera wesołej, wojowniczej Andaluzyi, gdzie brzmi gitara w cieniu drzew granatowych i pomarańczowych, gdzie kwiatem uwieńczone, płasają młode Andaluzyanki. Ale niech tę błogą wesołość wróg przybyciem swoim przerwie, błysnie wnet stal w białych dłoniach każdej Andaluzyanki, zaszeleści sztylet—i krew zrumieni kwieciami pokrytą ziemię.

J. Janiszews.....

## ROZMAITOŚCI.

*Dziwne Jezioro.* Do cudów rzec można natury, godnych uwagi, należy jezioro Cyrkniekie leżące u podnóża Alp Julskich, w królestwie Illiryi. Uczy nas geografia, że wody jego czasem w rok, czasem we trzy lata przepadają w ziemię, ale podróżni milczą o tem ciekawém zjawisku a szczegóły jego zostały dla powszechności nawet słowiańskiej, nieznanne. Wysokie skały opasują do koła jezioro, jak gdyby ukryć je chciały przed ludzkim okiem, ale niezmordowany przemysł, co nie przepuszcza ni mroźnym obszarom Syberyi, ni spiekłym i zdradliwym Wezuwusza stokom, umiał i tutaj dziwną tajemnicę na pożytek so-

bie zamienić. Zaledwie da się słyszeć huk głuchy, do grzmotu dalekiego podobny, który mieszkańcom okolicy zmianę tę ogłasza, już i rybak i rolnik narzędzia swe radośnie gotują, bo jak jeden tak drugi wkrótce obfite plony zdobywać mają. Zniknienie wód następuje zwyczajnie w początkach marca, lecz się nie zawsze jednakim odbywa sposobem, gdyż odpływ ich trwa czasem dwie doby, a czasem znowu ledwo godzinę zajmuje. W pierwszym przypadku tworzy się prąd szybki z łoskotem pędzący wodę do dwóch pieczar, których skaliste wierzchołki wystają z niej niedaleko brzegu; w drugim wir gwałtowny ciągnie ją



nagle do kilkunastu rozpadlin ukrytych w łonie jeziora; cała powierzchnia jego, burzy się i pieni, huczą pieczary nadbrzeżne, a po kilku chwilach, to wielkie, przeszło milowe łożysko, przedstawia spokojny widok spuszczonego stawu. Wtedy spieszą rybacy po łatwe zyski, bo za pierwszą oznaką mającego nastąpić odpływu wodnego ptastwa liczne gromady uciekają z przeraźliwym wrzaskiem w nieznane strony.

Po kilku tygodniach na miejscu jeziora masz łąkę kwiecistą, a gdy majowe słońce w wonne siano murawę zamieni, skrzętne pługi oraczów krają w skiby tę przestrzeń, po której się niedawno szybkie przemykały łodzie. Zwykłą siejąką jest proso lub jęczmień, płodny grunt zaś przynajmniej trzydzieści ziarn za jedno oddaje. Prawda że rolnik okupywać musi tę korzyść ustawną obawą, gdyż woda czasami powraca przed dojrzaniem kłosów, częściej atoli one bez szwanku doczekają żniwa, które jakby ucieczka odbywa się z największym pośpiechem.

Pierwszy wiatr co na ściernie powieje, przechodzi w burzę gwałtowną, grube chmury wylewają strumienie deszczu, a przy świetle nieustannych błyskawic, przy odgłosie piorunów i grzmotu, powracają fale wypierane tajemniczą siłą ze wszystkich głębin jeziora. Olbrzymie wodotryski wznoszą się jak snopy, jak słupy przejrzyste; jak pienne góry, z niesłychanej wysokości spadają przybierając fantastyczne kształty; wrą, szumią, cichną i po niewielu godzinach z całego zjawiska zostaje tylko wspomnienie.

Wodne ptaki, które wnet przylatują tłumnie jakby ostrzeżone, same zwykle powrotu wód tych bywają świadkami, bo miejscowi ludzie zabobonną wstrzymywani trwogą, na przerażającą piękność widoku oglądać nieśmieją. Wierzą oni że piekielne potęgi dopełniają tego dzieła, z niezachwianym więc przekonaniem opowiadają podróżnym iż to igrzysko wyprawia straszliwy zastęp szatanów.

Uczeni mało niemię się zajmują; nie objaśnili więc dotąd na czem polegają kolejne zmiany jeziora, ubogi zaś dla którego prawie co roku, z głębi wód płodna

występuje rola, błogosławi w pokorze cudowne opatrności dary, i chętnie znosi straty jesienne, byle go wiosna znów obdarzyła rybami, trawą i zbożem.

Podanie ludu taką przywiązuje legendę do tego zjawiska przyrody.

Bardzo już dawno, kiedy jeszcze pola same zasiewały się zbożem, a między Kraińcami jedność, miłość i szczęście panowały, żył w tej okolicy niejaki Supan, co miał pałac z kryształu, sprzęty z drogich kamieni, liście i gałązki na drzewach jego ogrodu były złote, ale ręka jego żelazna dla podwładnych. Jezioro dotykało tego władztwa.

Często unosiły się chmury nad jeziorem Cyrkniczem; ale większe i czarniejsze chmury ciążyły nad czołem dumnego i okrutnego Supana. Raz piorun uderzył w jego pałac, ale ognia zesłanego z nieba nikt gasić niechciał z okolicy. Wtedy ze zdziwionego tłumy wystąpił Aleksy, młodzian postawy mężnej, który najwięcej cierpiał prześladowań od Supana, ale nie uczuł w swém sercu zemsty. Gdy ten wspaniałomyślny Kraińiec rzucił się w ogień, wszyscy wtedy za nim podążyli i uratowali pałac.

Niska pycha niezniosła szlachetnej i wielkomyślniej dumy. Supan, chcąc niby podziękować Aleksemu, zaprosił go do ogrodu swego i zaprowadziwszy nad jezioro, chciał przebić żelazem wybawcę, który czynem wspaniałym poniżył Supana w obec ludu. Aleksy prosił o chwilę zwłoki, aby mógł pożegnać żonę i dziecię. Długi czas opierał się Supan, nareszcie po danej przysiędze Kraińca, że wróci, odezwało się w tyranie ostatnie jeszcze tętno uczucia—i zezwolił. Gdy po odejściu Aleksego, sam jeden został, wtedy jezioro gwałtownie wezbrało i pałac z właścicielem w toniach pograżyło, Wrócił poczciwy Kraińiec, aby dopełnić zaprzysiężonego zobowiązania, lecz ani Supana, ani jeziora już nie zastał. Dopiero w jesieni wody z głębi wróciły. Odtąd Bóg sprawiedliwy, co rok każe, by jezioro odprawiało drogę do piekieł, dla widzenia mąk niegodnego Supana.

M.





Лито в Лтв А. Федосеев № 487

СИЛЕРНИКОВИЧЕ.

Лито в Лтв А. Федосеев № 487







# SKIERNIEWICE.

(Z RYCINĄ.)

PRZEZ JULIANA BARTOSZEWICZA.

## I. Kronika.

Pierwszą w dziejach wzmiankę o Skierniewicach znajdujemy pod r. 1359. Było to za panowania w Krakowie i w Polsce Kazimierza W. a za rządów na całym Mazowszu księcia Ziemowita III. Do Skierniewic, które były wiejską osiadłością a należały do stolarzów dóbr arcybiskupa gnieźnieńskiego, zjechał podówczas książę panujący, ów Ziemowit III, pan charakteru surowego, zbyt popędliwy, ale rozumny. Przyjmował księcia arcybiskup Jarosław Bogorya ze Skotnik, który chociaż mniej prawem zabiegami posiadał swoją stolicę, był zawsze wielkim i gorliwym opiekunem swojego kościoła i włości duchownych. Arcybiskup zaprosił podobno księcia do Skierniewic dla tego, żeby wyjednać nowe przywileje i swobody dla dóbr kościoła gnieźnieńskiego na Mazowszu. Arcybiskup musiał zabiegać o tę łaskę księcia, bo aczkolwiek był arcybiskupem całego kraju, w którym rozrodzeni Piastowie przemieszkiwali, aczkolwiek miał wielką powagę przy królu samym w jego senacie, chociaż był pierwszym senatorem koronnym, ale i granicami dyecezyi swojej szeroko zachodził w Mazowsze i miał dóbr wiele w państwie Ziemowita. Wprawdzie książęta mazowieccy już wtedy i myśleć nawet nie mogli o niepodległości i lennemi byli zupełnie względem króla władcami, przecież nikt nie przeszkadzał im w zarządzie wewnętrznym i u siebie każdy z nich był takim samym panem, jak król w Krakowie. Wypadało z tego, że arcybiskup gnieźnieński był, jak-to dzisiaj w dyplomacyi mówią, poddanym mieszanym (sujet mixte) i stąd mógł stać sprawiedliwie o względy potężnego księcia na Mazowszu. Bronią duchowną mógł z nim zwycięsko walczyć, w pewnych okolicznościach i stosunkach stał nawet dobrze wyżej nad nim, wszystko to nie przeszkadzało jednak, by nie był w pewnej zależności od księcia i dla tego w oznakę poddaństwa opłacał do skarbu książęcego z dóbr swoich grzywnę złotą podatku. Dla tego w r. 1359, przyjmował arcybiskup Ziemowita jako

przynależą z uszanowaniem, a książę nawzajem zawdzięczając to arcybiskupowi, który mógł być mu wielce pożytecznym, nadawał wtenczas w Skierniewicach wielkimi przywilejami dobra i majątności łowickie. Wiadomo, że Jarosław bardzo sobie cenił te dobra i że dla Łowicza nadał erekcją na miasto. Zatem przywiązanie jego do miejsca ma związek z pobytym księcia Ziemowita w Skierniewicach; arcybiskup ten może najpierwszy stale osiedlił się i zamieszkał w tych stronach <sup>1)</sup>.

Skierniewice były wtenczas małą wioseczką, która nazywała się jeszcze Dęba, leżały zaś nad małą rzeczką Lupią czyli inaczéj Skierniewką. Skierniewic niebyło jeszcze, płynęła tylko przez mazowieckie łąny, po ziemi rawskiej rzeczka Skierniewka.

Jak Łowicza założycielem był Jarosław ze Skotnik, tak nowéj większej osady nad Skierniewką, to jest Skierniewic, założycielem i dobroczyńcą był inny arcybiskup, Jan Odrowąż ze Sprowy, w czasach już Kazimierza Jagiellończyka. Postanowiwszy wioskę tę wynieść na miasto, arcybiskup zabudował ją, wymurował tu kościół, dla którego oznaczył parafią w okolicy, sprowadził ludzi może ze wsi, może z Niemiec, nadał osadzie magdeburgią, to jest prawo miejskie, potem na soboty przeznaczył tygodniowe targi, a jarmark jeden doroczny na św. Jakób. Zatwierdzenia tych rozporządzeń swoich nie żądał już arcybiskup u księcia mazowieckiego, ale u króla, gdy ta część Mazowsza rawskiego, w której leżały Łowicz i Skierniewice, po wygasłej linii książąt, przed kilką już laty, wcieloną była do Korony. Jakoż król Kazimierz Jagiellończyk, który uwolnił arcybiskupów od płacenia grzywny złotej do skarbu książąt mazowieckich, zatwierdził nadanie i przywileje Jana ze Sprowy i odtąd obok Łowicza mają arcybiskupi drugą

<sup>1)</sup> Starożytna Polska T. I. str. 565, w Gawareckiego: „pamiętkach historycznych Łowicza” niema żadnej wzmianki o przywilejach księcia dla Łowicza z r. 1359.



włość, przeznaczoną do nabycia historycznego nazwiska, Skwierniewice a raczej Skierniewice <sup>1)</sup>.

Jakób z Sienna, Zbigniew z Oleśnicy, którzy zaraz po sobie następowali na prymasostwie, w uposażaniu i w zdobieniu Skierniewic, szli za wzorem Jana ze Sprowy, którego od nich przedzielał tylko Jan Gruszczyński, arcybiskup mniej dbały o dobro kościołów, ale za to gorliwie pilnujący rzeczy doczesnych. Gdy Gruszczyński ledwie lat kilka na prymasostwie przesiedział, widzimy kolejny nadzór, serdeczniejszą wciąż opiekę dziedziców nad nową osadą. Owszem spotykamy ślady w owych czasach tego ważnego na potem dla miejscowości faktu, że arcybiskupi ciągle w Skierniewicach już przemieszkują. Tak Zbigniew Oleśnicki uposażył przywilejem swoim w Skierniewicach wydanym, kościół w Końskich, starodawnym gnieździe Odrowążów w ziemi Opoczyńskiej (5 li stop. 1492)

Znowu mija jeden arcybiskup bez śladu, Fryderyk Jagiellończyk, ale za to jego następcą Jędrzej z Boryszewic, kołata znowu u tronu Zygmunta starego o nowe przywileje dla Skierniewic i w istocie król niektórych swobód mieszczanom tutejszym przyczynił w roku 1509 <sup>2)</sup>.

Rządy arcybiskupa Łaskiego wielce pamiętne są w Skierniewicach. Dziwny to człowiek; wiecznie łakomy i nieprzebierający w środkach byle dostać pieniędzy, w skutku wystawnego życia i nierządu ogromne zaciągnął długi, chciał je zaś spłacać dobrami stołowymi, co się rzeczywiście nie godziło. W krótkim czasie, przy ogromnych dochodach, zaszargał się i społeczeńsi rachują, że przeszło 12000 dukatów narobił długu. Gdy sumienie, dłużnicy lub brak kredytu do nowych wypraw finansowych pobudziło, Łaski postanowił wypuścić klucz skierniewicki za gotówkę. Pierwszą nadzieję zwrócił na króla, że go oswobodzi z biedy. Pojechał do Krakowa w r. 1515, i uniżenie prosił Zygmunta, żeby dług jego oparł na jakichkolwiek dobrach królewskich czy to w Koronie, czy w Litwie a sam za to wziął dzierżawę czy zastawę klucz skierniewicki aż do wypłaty. Król raz odmówił, niezrażony tém niepowodzeniem, biegnie umyślnie arcybi-

<sup>1)</sup> Bużeński, Żywoty arcybiskupów, Tom 2gi str. 95, po polsku, kładzie te fakta podr. 1457. Starożytna Polska zaś pod. r. 1463. Jedno z drugim pogodzić można: pierwsze mogło być datą rozporządzeń Jana ze Sprowy, drugie datą zatwierdzenia królewskiego: w oryginale dyplomatycznym nazwisko wsi pisze kancellarya, Sqyrnijewycze.

<sup>2)</sup> Star. Polska T. I. str. 565. Tu dyplomata pisze de Sqwirnyewycze.

skup w r. 1516 raz drugi do niego na Litwę aż do Wilna i osłaniając się politycznymi pozorami, niby to w zamiarze ma swatać króla z księżniami mazowieckimi, z wdową matką Radziwiłłówną, albo z córką księżniczką Anną. W oczy tedy królowi rai żonę a tymczasem poufnie zwierza się ks. Tomickiemu, że przyjechał głównie o to, ażeby dobić targu o upłacenie długu. Tomicki dał znać królowi o życzeniu arcybiskupa i znowu otrzymał odmowną odpowiedź <sup>1)</sup>. Zatrudnił więc Łaski Rzym tą niefortunną sprawą, jakoż w istocie wyrobił sobie władzę u stolicy apostolskiej wypuszczenia klucza skierniewickiego w emfiteutyczną dzierżawę dla zapłacenia długów, a że przez całe życie prymas był wielkim stronnikiem nepotyzmu i podnosił ród swój, dobra więc wypuścił bratu rodzonemu, co stało się nowym powodem do nieporozumień i zająć z kapitułą gnieźnieńską. Widać, że dzierżawa ta kosztem kościoła mogła z bogacić rodzinę Łaskich, skoro ks. Wincenty Łagiewnicki archidyacon gnieźnieński wystąpił ostro i przyganiał arcybiskupowi nadużycie z tego powodu <sup>2)</sup>.

Zresztą Łaski zostawił po sobie dużo śladów w Skierniewicach. Budował kościoły, uposażał szpitale. Być może, robiło się to jedynie w jego imieniu, dla dobra miasteczka. W takim razie Jarosław z Łaska, wojewoda Sieradzki dobrzeby się wywiązywał z dzierżawy. Do czasów również tego arcybiskupa zapewne odnieść należy zaprowadzenie w Skierniewicach sądów prymasowskich nadwornych. Arcybiskup występował tutaj jako król, jako książę udzielny; miał też swój dwór sądowy, jurydykcyą (curiam), miał i sędziego nadwornego (judex curiae), miał burgrabiów i assessorów ze szlachty a sędzia wyrokował w jego imieniu.

Do tych czasów odnosi się wzmianka Bużeńskiego, że prymas Jan Latański umarł w Skierniewicach 29 sierpnia 1540. Zresztą nikt z historyków o miejscu tém nie wspomina, wskazując datę śmierci.

Od Łaskiego do Przerębskiego krok jeden; innych prymasów nieznac w Skierniewicach, Drzewieckiego tylko mamy kilka listów datowanych, ze Skierniewic. Ale Przerębski wsławił miasteczko szkołą założoną przez siebie. Sprowadził do niej na rektora Benedykta Herbesta, jednego z największych ówczesnych uczonych. Herbest gorliwie się zajął młodzieżą, przez to zjednał sobie wysoki szacunek prymasa. Napisał także w Skierniewicach dwa dzieła: jedno z nich „Com-

<sup>1)</sup> Tomiciana, T. IV, str. 49.

<sup>2)</sup> Z Damalewicza Bużeński, Żywoty T. II. str. 203.



putus był to rodzaj kalendarza, który ofiarował autor Przerębskiemu z przedmową w roku 1559 datowaną ze Skierniewic, co dowodzi, że już w owym roku tutaj się znajdował. Drugie dziełko poświęcone młodzieży ze szkoły Skierniewickiej jest to „arithmetica linearis” napisana także po łacinie; widać wykładał ją i w szkole, stąd uczuł potrzebę napisania podobnego dzieła, którego widać niedostawało, gdy jak sam mówi, arytmetyka figurowa wykłada się w Skierniewicach, a obiedwie z sobą wiązać potrzeba <sup>1)</sup>. Do prymasa Herbest, w Skierniewicach będąc, wołał, żeby niegodnych księży nie święcił, sam się też oświadczał w podobnym duchu jako człowiek do wiary katolickiej mocno przywiązany a wróg dyssydentów i szeroko rozwodził się o pierwszeństwie stolicy apostolskiej i gniewał się, że proboszczowie i prałaci nie zawsze siadywali wpośród swoich owieczek, że przełożeni klasztorów nie zawsze ludzi uczonych około siebie trzymali <sup>2)</sup>. Dwa lata ledwie Herbest przesiedział w Skierniewicach, wrócił albowiem w r. 1561 do akademii krakowskiej. Ten rok przynajmniej oznaczają jego żywotopisarze, ale gdy w styczniu roku 1562 umarł Przerębski, naturalniej będzie przypuścić że Herbesta prymas nie puścił i że dopiero po śmierci jego, uczony powrócił do Krakowa; niebyło też co bawić dłużej w Skierniewicach, szkoła tamieczna upadła, gdy najgłówniejszy jej filar legł w grobie. Herbest przecież słodko wspominał przepędzone chwile u Przerębskiego i zasługami swojemi ze szkoły skierniewickiej publicznie się przechwalał w Krakowie, kiedy później przyszło mu walki staczać o peryody okrągłe z Jakóbem Górskim. Był w Skierniewicach naoczny świadek prac Herbesta, Sylwester Rogucki, doktor medycyny, który w samym zapale walki znalazł się także w Krakowie, i stąd żyjącego mógł Herbest wzywać na świadectwo, gdy nawet zmarłego już prymasa wzywał. Górski istotnie miał coś Herbestowi do zarzucenia z powodu nauczycielki w Skierniewicach <sup>3)</sup>.

Dopiero po śmierci Zygmunta Augusta, w bezkrólestwiach, Skierniewice zostały miejscem historycznym. Stała przed pierwszą elekcyą konstytucya sejmowa

<sup>1)</sup> Dedykacya w pałacu arcybiskupim Skierniewickim datowana, drugiego dnia św. Bachusa 1560. *Historya szkół Łukaszewicza* T. III. str. 512.

<sup>2)</sup> M. Wiszniewski, *Hist. lit. pol.* T. VI. str. 363.

<sup>3)</sup> Cenniejszych uczniów tej szkoły za Herbesta wylicza Łukaszewicz w *Historyi szkół*, T. III. str. 513, byli to: Jan i Stanisław Herbestowie bracia rektora, Mikołaj

wa, że posły cudzoziemskie znajdować się na elekcyi nie mogą i nie powinni; stąd powiedziano, że każdy z nich usunąć się ma na miejsce poprzednio sobie wyznaczone. Wprzódym się na tę konstytucyę zanosło, nuncjusz papieżki, ks. kardynał Commendoni dobrowolnie się usunął z Warszawy, gdy dla wielu dyssydentów był solą w oku. Gdzież się miał udać? naturalnie do drugiego księdza i dygnitarza rzeczypospolitej; wybrał tedy sobie prymasa i do niego wyjechał w odwiedziny, to jest do Skierniewic. Zostawił tylko w Warszawie sekretarza swojego Gracyana. Jest-to wprawdzie tylko owego sekretarza podanie o dobrowolnem wydaleniu się kardynała; wiadomo jak Gracyan wszelkie pozory powagi i dostojności swojego pana umiał zachowywać, chociażby nawet zmyślając fakta. Nasze albowiem źródła o Orzelskim przedewszystkiem mówią, że kardynałowi Skierniewice wskazała konstytucya za miejsce czasowego pobytu. I bawił tam w istocie przez cały czas aż do elekcyi Henryka Walezego <sup>1)</sup>.

Następni nuncjusze już nie jeździli do Skierniewic i owszem cały czas bezkrólewów spędzali w stolicy.

Za prymasostwa Karnkowskiego inny bawił gość rzadki w Skierniewicach w r. 1585. Jechał z Moskwy posłem do Wiednia przez Polskę Łuka Nowosilców. Karnkowski poznał go w Warszawie, a że posłowi było to podrodze, zaprosił go do siebie do Skierniewic. W poufnej pogawędce spędzili tutaj kilka chwil czasu prymas korony polskiej, naczelnik kościoła z rajcą carskim. Był zapewne Nowosilców człowiekiem więcej światłym, więcej obeznanym ze sprawami Europy, skoro mądry Karnkowski wybrał go sobie za powiernika, za zbyt się może albowiem wywnętrzał przed nim o swoich stosunkach i przyjaźni z królem Stefanem Batorym <sup>2)</sup>. Trudno dzisiaj pojąć do czego owe zwierzenia się zmierzały.

Prymas Wojciech Baranowski zaczął wznosić w Skierniewicach pałac murowany dla arcybiskupów, z czego widoczna, że przed nim mieszkali w drewnia-

Wysocki, Piotr Jaranowski, Maciej Mojski, Mikołaj Rupunowski, Jan Zalewski, Wojciech Bonar, Wojciech ze Skierniejewic, Jan Parwius Lwowianin, Gaspar Dibaltów, i t. d. porównać M. Wiszniewski, *Hist. lit. pol.* T. VI. stronica 150.

<sup>1)</sup> Gratiani, *vita Commendoni-Niemcewicza*. Zbiór pamięt. wyd. Lipskie T. I. str. 159. Orzelski u Wolffa, T. I. str. 90.

<sup>2)</sup> *Dziennik Warszawski* 1851 str. 177.



nym budynku. Ale śmierć przeszkodziła mu do spełnienia zamiarów; więc następca dopiero Baranowskiego Wawrzyniec Gębicki dokończył w r. 1619 budowy pałacu, położył stosowny na nim napis. Niezgadza się źródła co do miejsca śmierci Baranowskiego; jedne powiadają, że zakończył życie w Skierniewicach, drugie że w Łowiczu, to ostatnie daleko jest prawdopodobniejsze <sup>1)</sup>.

Pałac przydał wiele życia Skierniewicom. Odtąd prymasi najczęściej tutaj przemieszkują, szczególnie wchodzi to w zwyczaj pod koniec XVII w. i w całym XVIII. Skierniewice stały się względem Łowicza czemś tak, jak Wersal dawniej względem Paryża, jak Willanow Sobieskiego względem Warszawy. Prymas w Łowiczu był jakby w swojej stolicy, do Skierniewic zaś chronił się jakby do willi, do pałacu zamiejskiego, do letniego mieszkania, w którym sobie swobodnie odpoczywał po pracy arcypasterskiej i po zajęciach obywatelskich. Zjeżdżał zaś tylko na wystawności i na większe nabożeństwa, do Łowicza. Zresztą zwykle w Skierniewicach przyjmował i urzędowe odwiedziny i serdecznych gości, którzy do niego zjeżdżali prywatnie.

Pierwszy prymas, który już z pewnością umarł w Skierniewicach był za Zygmunta III Henryk Firlej. Mieliśmy kiedyś pod ręką opis tej śmierci; szkoda że dzisiaj ciekawych z niego szczegółów przytoczyć nie mogę <sup>2)</sup>.

Za Macieja Łubieńskiego kilka odmian zaszło w Skierniewicach. Naprzód na prośbę posłów ziemskich województwa rawskiego, na sejmie w r. 1641, znacznie rozszerzono handlowe przywileje miasteczka. Stany pozwoliły na zaprowadzenie jarmarków z wszelakimi towarami, w czasie których miano sprzedawać w Skierniewicach nawet konie i dobytek, a to cztery razy do roku. Później w lat kilka pożar zniszczył pałac arcybiskupi; uśmierzone wprawdzie ogień i szkody niebyły tak wielkie. Prymas, który miał wielkie nabożeństwo do obrazu N. Panny w Czerwińsku, Jój głównie przypisywał odwrócenie większego nieszczęścia; dla tego, sprawił wotum i zawiesił je w Czerwińsku (7 maja 1650). Umarł we dwa lata, (w r. 1652) powróciwszy z sejmu, w czasie zarazy, która kilka prowincyj na raz zajęła, jako to Ruś, Wołyń, Lubelskie, Małą-Polskę, Sieradzkie i Prussy. Król

<sup>1)</sup> Napis na pałacu u Starowolskiego, Monumenta Sarmatarum str. 700.

<sup>2)</sup> Czytaliśmy go w rękopiśmie Chodkiewiczowskim biblioteki p. Stan. Kosseckiego, str. 60.

uciekając przed nią z Warszawy przeniósł się na wieś do brata biskupa płockiego, skąd miał wodą do Pruss popłynąć, lecz że kilku flisów z powietrza umarło, pojechał do Skierniewic i tam w dworcu arcybiskupów mieszkał czas jakiś; gdy jednak i tutaj zaraza doszła przeniósł się do Łowicza, gdzie się zabawił aż do d. 9 października <sup>1)</sup>. Otóż niewiadomo naprawdę, kiedy mieszkał król w Skierniewicach, przed śmiercią czy po śmierci prymasa? Kanclerz Radziwiłł opowiada, że Łubieński umarł w sierpniu, nagrobek, zaś gnieźnieński, że 15 września w Łowiczu <sup>2)</sup>. Sejm zakończył się dnia 17 sierpnia, ale jeszcze i potem kilka dni obradowano, jak mówi Radziwiłł; jeżeli tedy król w końcu miesiąca wyjechał z Warszawy, w początkach września mógł już być w Skierniewicach; zresztą w każdym razie dojść będzie trudno, czy było to przed czy po śmierci Łubieńskiego. Zawsze jednakże śmierć tę przeczekał czy w Skierniewicach czy w Łowiczu. Pierwsza to wzmianka, jaką znajdujemy w źródłach o pobycie kogoś z rodziny królewskiej w Skierniewicach, lubo sprawiedliwie domyślać się należy, że nie pierwsze to były odwiedziny, które teraz coraz częstszymi się stają, a może tylko częściej o nich spotykamy wspomnienia, ile że bliższych nierównie lat nas dotyczą.

Prażmowskiego odwiedził w Skierniewicach hetman Sobieski w czasie burzy gołubskiej, w listopadzie lub w grudniu r. 1672. Przejazdem tylko bawił, gdyż spieszył do żony, która w starostwie gniewskim w Prussiech mieszkała, noc jedną tylko z sobą bawili i pojechali następnie obadwaj, prymas z hetmanem, do Łowicza: gospodarz tylko odprowadzał Sobieskiego, w kilka miesięcy umarł a miejsce jego już za króla Jana zajął w Skierniewicach Olszowski, który niedługo dąsać się zaczął na pana za popieranie młodego Radziejowskiego i w Skierniewicach siedząc rozwodził żalę swoje w listach do rejenta kancelaryi koronnej (1675). Dla Olszowskiego smutne wspomnienia miały Skierniewice i z tego względu, że utracił tam rodzony brata, nadzieję przyszłą świetności rodziny. Hieronim Olszowski podstoli koronny przyjechał nawiedzić brata do Skierniewic, ale zapadł nagle na zdrowiu; pokazał się wrzód, trzeba było go przeciąć, ale gdy i lekarza i chirurga w pogotowiu nie było, czwartego dnia chory zakończył życie, z niezmierną prymasa boleścią. Ksiądz Olszowski wyprawił natychmiast siostrzeńca swojego Załuskiego na-

<sup>1)</sup> Pamiętniki Albr. Stan. Radziwiłła T. I. str. 481.

<sup>2)</sup> Wspomnienia Wielkopolski T. II. str. 356.



przeciw królowi, który właśnie z wojny tureckiej powracał, z dziwnymi prośbami, to jest ażeby dał zmarłemu przywilój z dawniejszą datą na województwo rawskie, dla zaszczytu naprzód domu a powtóre dla pohamowania wdowy po Hieronimie, ażeby czasem przez lekkomyślność zamąż nie poszła i dzieci nie skrzywdziła. W Końskiej-Woli znalazł króla Załuski i przywileje łatwo wyjednałszy, powrócił do Skierniewic prosić wuja imieniem obojga królestwa aby co prędzej na sejm przybywał. Ale prymas mimo to nie zaraz się wybrał do Warszawy, bo płakał a potem sprawiał pogrzeb bratu. Wspomina też Załuski, że w czasie swego pobytu dziwną jako kanclerz prymasowski sądził sprawę. Przyjechał tam albowiem Rej, synowiec wojewody lubelskiego z żoną swoją Morsztynówną w sprawie rozwodowej; przyjechali razem na jednym wózku i w jedném miejscu mieszkali, gdyż bardzo się kochali oboje; stanąwszy też w sądzie zeznawali że rozwodu niechcą, ale nic to nienadało przeciw intrydze: za nich popierali sprawę krewni i rzecznicy, którzy dla własnej korzyści postanowili rozwieść rozkochaną w sobie parę. Prymas i Załuski, aczkolwiek podarunkami częstowani, poszli za sprawiedliwością i potwierdzili wyrokiem swoim małżeństwo, poczem wyjechali na sejm do Warszawy <sup>1)</sup>.

Obudwu Szembeków i Potockiego czasy pamiętne są dla Skierniewic. Stanisław Szembek wznosił tutaj kościół św. Stanisława, swojego patrona. W Skierniewicach też przyjmował przysięgę biskupią od Piotra Tarły, kiedy dostawszy bulę na stolicę poznańską, umyślnie z Warszawy zjeżdżał w tym celu nominat do Skierniewic <sup>2)</sup>; było to w styczniu, a w sierpniu umarł Szembek, drugi dopiero prymas w Skierniewicach. Znajdował się tam wtenczas ks. Krzysztof Antoni Szembek, bliski jego krewny, biskup kujawski, który miał przeznaczenie zająć katedrę gnieźnieńską, ale dopiero po bezpośrednim następcy Stanisława, Teodorze Potockim. Króla niebyło w Polsce, prymas zatem dźwigał chwilowo cały ciężar rządu narodowego; ciężar ten objął teraz biskup kujawski, któremu to z urzędu wypadało, jako wice-prymas. Zawiadomił o tem wszystkim króla listem swoim ze Skierniewic pisanym dnia 4 kwietnia 1721 <sup>3)</sup>. Potocki już tutaj zwykle świętował na Boże Narodzenie i Wielkanoc, stąd wszelkie przedsiębrał podróże i wycieczki w ró-

<sup>1)</sup> Wzmianki te o Skierniewicach u Załuskiego: Epistolae, T. I. str. 548, 651, 683 i 691.

<sup>2)</sup> Z Gazet pisanych; było zaś to w styczniu 1721 r.

<sup>3)</sup> Teka Podoskiego, T. II. str. 172.

żne strony, jako to do Warszawy, do Gniezna.—Na święta miewał zjazdy liczne gości. Raz podczas grodu walnego, w Skierniewicach dawał chleba na dwieście ludzi <sup>1)</sup>. Krzysztof Szembek zaś prawie już nie opuszczał Skierniewic. Za jego to szczególnie prymasostwa, tutejszy dworzec arcybiskupi staje się jakby zamkiem królewskim, drugą stolicą rzeczypospolitą. Wszystkie ważne sprawy opierają się o Skierniewice; prymas staruszek lubi ustronie i spokojność, a jeździ tylko z musu, z potrzeby, szczególnież zaś w ziemi zakłada w Skierniewicach swoją rezydencję, więc ciągle otacza go tutaj dwór świetny, na którym zawsze bawi ktoś z rodziny, więc ciągle odwiedzają go w Skierniewicach panowie, deputaci przyjeżdżają z powitaniami od trybunałów, szlachta z województw szle tutaj do prymasa swoje przedstawienia i prośby. Nieodstępni szczególnież wtedy od boku prymasa Antoni Szembek staruszek także, kasztelan nakielski, synowiec jego rodzony, który później rzucił świat i krzesło i księdzem został, a dalej Iwański kanonik gnieźnieński i Turno pólkownik znaku królewskiego. Są i kasztelanki nakielskie. Obiedwie szły w Skierniewicach zamąż, starsza za Karwickiego, młodsza za tego właśnie Turnę, księża nadworni błogosławią młodych, ale prymas sam błogosławi i ślub im daje. Ksiądz Iwański wuj panien, jest kanclerzem księcia prymasa, Franciszek Czerny z Witowic kasztelan oświęcimski, marszałkiem.

Następca tego Szembeka dokonał wizyty kościoła w r. 1751 w Skierniewicach: najdawniejsza to wizyta, późniejszej nie znamy. Założył tutaj szpital i trzeci z prymasów, co życie w dworze skierniewickim zakończył.

Władysław Aleksander Łubieński do najwyższego stopnia podniósł znaczenie Skierniewic. Było miasteczko jak zawsze drugą prawie stolicą kraju, zawsze dwór tutaj prymasowski świetny, zawsze dużo rodziny, dużo panów i szlachty z dalekich stron i okolic, zawsze sprawy polityczne kraju traktują się w Skierniewicach, ale i te wszystkie, nawet drobne fakta, przybierają za Łubieńskiego pozór większy: od tłumów szlachty aż się roi w pałacu, uroczystości jedne następują po drugich, a są i takie, które jeszcze tutaj i niebywały. Śluby w kole rodzinném raz wraz prymas błogosławi. Przyjmuje nuncjusza w przejeździe do Drezna, i posłów różnych mocarstw. Szczególniej za odjazdem królewskim do Saxonii, kiedy ster rządu piastuje, w Skierniewicach myśli prymas o spo-

<sup>1)</sup> Łętowski, katalog. T. III. str. 477.



kojności rzeczypospolitój i o usunięciu wojsk obcych, które wkroczyły na Litwę. Ztąd uniwersały pisze do szlachty. Na Skierniewice leżała wtedy główna droga panom z Polski do Drezna, każdy tedy umyślnie z drogi zbieżył, aby z prymasem porozumieć się wprzód, rady jego zasięgnąć lub wsparcia. Bywają i większe zjazdy; raz książe Karol kurlandzki z państwa swego usunięty, wraz z wielą panami zawitał do Skierniewic (25 maja 1763 r.); drugi raz Goltz szambelan, Aloe rezydent kurlandzki tutaj szukają prymasa (w czerwcu i lipcu tegoż roku). Za jego też czasów, już działa grzmia na każde święto, na każde wystąpienie i uroczystość. Były niezawodnie i dawniej za Szembeków, bo bez dział nieobszedł się wtedy żaden pałac, żadne mieszkanie panów, ale teraz dopiero echo od nich dochodzi z gazet i z pism spółczesnych do uszu naszych. Prymas u siebie w Skierniewicach chrzci talmudystów sekty Franka, których wtedy wszędzie chrzczą w całej Polsce a raczej prymas obchodzi u siebie taki obrzęd, sam zaś jest ojcem chrzestnym z wojewodziną Inflancką Szembekową; do czego w drugiej parze towarzyszą mu brat Floryan pisarz ziemski Sieradzki ze starością Łęczyczką, a wojewoda Inflancki z wnuczką prymasa wdową po Celestynie Łubieńskim, szambelanową, Paulą Szembekówną<sup>1)</sup>. Wnuczkę tę Paulę później zamąż prymas wydaje powtórnie w Skierniewicach za Potockiego starostę guzowskiego<sup>2)</sup>.

Nareszcie prymas Łubieński zaczyna święcić biskupów w Skierniewicach. Powaga jego wielka, ztąd zjeżdżać do miasta, do stolicy niechce, owszem do siebie zaprasza nominatów i orszaki ich przyjaciół, a ma ich wszystkich czem i chce podejmować. Pierwszy taki święty obrzęd bardzo jeszcze skromnie spełnia na sławnym później w konfederacji barskiej ks. Adamie Stanisławie Krasińskim biskupie kamienieckim<sup>3)</sup>. Assystowali prymasowi ks. Kierski suffragan poznański i Załuski suffragan płocki; do ofiar zaś służyli ziemianie rawscy, kasztelan brzeziński, starosta i podsędek rawscy i t. d. (27 stycznia r. 1760). Niebyło tedy tutaj wielkich zachodów. Drugi takiż obrzęd spełnił w Skierniewicach na Ignacym Kozierowskim, którego święcił na biskupstwo adrateńskie (2 lutego 1763). I tutaj obeszło się jeszcze bez wielkiej wystawności, o 10tej rano już był koniec, chociaż i kazanie miał przy obrzędzie zwyczajny kaznodzieja skierniewicki księcia prymasa i ofiary także nieśli

ziemianie, kasztelan rawski ze starostą gostyńskim, stolnik rawski z Szembekiem starościem kujawskim i podczaszy rawski z podstolim kowalskim. Ale poświęcenie ich z tego względu więcej nas obchodzi, że prymasowi towarzyszyli obaj Załuscy, jeden Marcin ten sam co wprzód, suffragan płocki, drugi zaś uczoney Józef Jędrzej biskup Kijowski, założyciel biblioteki publicznej<sup>1)</sup>. Ale co te wszystkie obrzędy znaczyły w porównaniu ze świetnością trzeciego już z kolei święcenia biskupiego jakie w Skierniewicach sprawował Łubieński na Młodziejowskim podkanclerzym koronnym? Obrzęd tego poświęcenia nawet w Warszawie byłby poruszył stolicę, cóż dopiero znaczy dla tak małego miasteczka, które nagle wezbrało liczną senatorską ludnością? Prymas umyślnie z tą uroczystością innych kilka połączył i wystąpił wspaniale. Młodziejowski święcił się na biskupstwo przemyskie (2 lutego 1767 r.). Było kazań kilka, z tych nawet jedno o wielkiej potrzebie dobrych pasterzów, które miał ks. Bagiński proboszcz łękiński wyszło z druku<sup>2)</sup>. Młodziejowski był jednakże złym biskupem, przedajnym kanclerzem. Uroczystości kilka dni trwały, prymas i przy poprzednich konsekracyach częstował gości, tutaj zaś miał wszystko staropolskie na zawołanie, świetną kapele, wiersze, pochlebstwa i t. d.<sup>3)</sup>.

Po Łubieńskim jeden tylko Ostrowski znakomicie się zasłużył względem Skierniewic. Powiadają nawet o nim, i sprawiedliwie, że najwięcej się przyczynił do piękności miejsca. Wzniósł albowiem wspaniałe i cudnej budowy (współczesnych takie było zdanie) kościół, przerobił wspaniale pałac i założył piękny ogród. Kościół ten sam poświęcał a sprosił na tę uroczystość tyle gości, że mówiono wtedy o Skierniewicach jako zamieniły się na Warszawę. Ustanowił tu zaraz i kaznodziejską prebendę. W kościele tym następnie, w towarzystwie Dembowskiego koadjutora kamienieckiego i Przedwojewskiego kapucyna, ksiądz chełmski Garnysz wyświęcał na biskupstwo larańdeńskie, ksiądz Kacpra Szajowskiego, który był pierwszym suffraganem łowickim (19 maja 1782 r.). Prymas był wtedy na wyjeździe zagranicę, w której to podróży śmierć poniósł, pospieszył się więc dlatego umyślnie z konsekracją swojego ulubieńca, bo mu zdawał na długo rządy archidiecezyi<sup>4)</sup>. W czasie nieobecności prymasa przyjechał do Skierniewic z Nie-

<sup>1)</sup> Kuryer Warsz. 1763. Nr. 12 supplm.

<sup>2)</sup> Joher, Obraz III. Nr. 9024, str. 503.

<sup>3)</sup> Wiad. Warsz. 1767 r.

<sup>4)</sup> Gazeta Warsz. 1783. Nr. 42. supplm.

<sup>1)</sup> Na Nowy Rok 1760. Thornische Nachrichten.

<sup>2)</sup> 26 list. 1760. Kurjer Polski.

<sup>3)</sup> Kurjer Polski 1760 Nr. 5.



borowa król jego miasto o drugiej po południu (22 maja 1783) umyślnie, aby zwiedzić miasteczko, które tak pięknie się wznosiło. Towarzyszyło mu wiele państwa. Król udał się naprzód do kościoła, chwalił jego smak i budowę, potem pojechał do groty, w której był domek pustelnika, zwiedził lochy podziemne, oglądał kaskadę, chwalił wszystko i piękność natury. Książę Szajowski wszędzie króla oprowadzał. Stanisław August był kontent ze wszystkiego co widział i kazał Szajowskiemu żeby to oświadczył za przyjazdem prymasowi. Zabawiwszy takim sposobem w Skierniewicach pięć godzin, o siódmej wieczorem, powrócił do Nieborowa <sup>1)</sup>.

Nie wrócił Ostrowski i śmierć znalazł za granicą w r. 1784. Pochowany był we Francji, ale pogrzeb odbył się mimo to drugi w Skierniewicach: przywieziono tutaj albowiem serce księcia według jego ostatniej woli. Rozpoczęły się zaraz roboty egzekutorów testamentowych, o czém Gazeta Warszawska obwieszczenia darmo rozdawała <sup>2)</sup>. Schroeder nakreślił wtedy rysunek pomnika dla arcybiskupa, który wykonał rzeźbiarz Monaldi. Pomnik ten wzniesiono księciu w Skierniewicach <sup>3)</sup>.

Za czasów rzeczypospolitej ostatnim prymasem gościł tutaj brat królewski książę Michał: nim odwiedził Łowicz, wprzód wjazd odbywał do Skierniewic; z majestatyczną to wszystko odbyło się okazałością. Z Warszawy towarzyszył mu dwór liczny, pański. Oto ceremonia wjazdu jedynego jaki nam został. Wojewodowie wjeżdżali na województwa, starostowie na grody, prymasi wjeżdżali do Skierniewic.

Stanął 6 września 1785 przed wieczorem u miasteczka wśród gromu harmat: uczniowie szkoły parafialnej daleko wyszli na pole ze swoim nauczycielem księdzem, chcąc pierwsi powitać księcia. Wyrażenia się serdeczne i dobre chęci przyjął serdecznie szczęśliwy solenizant. Za niemi spotykało go miasto, uszykowane cechami; prezydent przemawiał. Wśród huków dzwonów i gromu dział, książę ruszył dalej i prosto zmierzał do pałacu, gdzie już na niego czekali książęta i obywatele. Nadszedł wojewoda rawski, z podkomorzym, z całym ziemstwem i szlachtą z powodu, że książę stał się teraz ich spółpowietnikiem, rawianinem. Potem nadszedł biskup chełmski z wojewodą mazowieckim. Książę wesół, wita jednych, bawi drugich, aż dano wicherzę, wprowadzie późną

ale hojną. Nazajutrz coraz ludniej. Przyjechał wojewoda brzeski z żoną, kasztelan rawski, starosta wschowski, delegaci od trybunału piotrkowskiego z hołdem. Książę udał się tedy z gośćmi, księżmi, krucyferem swoim i marszałkiem z pałacu do kościoła, bo dzień był galowy, rocznica elekcyi królewskiej, Mszę śpiewał ks. biskup Przedwojewski, proboszcz miejscowy, książę zaśpiewał w końcu hymn świętego Ambrożego, wśród muzyki w kościele a harmat na ulicy. Pobłogosławiwszy powrócił z gośćmi do pałacu w paradnej karecie prymasowskiej. Wtedy pojawili się delegowani od województwa rawskiego, Mikorski podkomorzy gostyński i Łuszczewski sędzia sochaczewski. Ostatniemu książę przywiózł order św. Stanisława za lat czterdzieści zasług, order ten wkładał na niego w pałacu wojewoda rawski. Podkomorzy gostyński zaś powiedział mowę, w której wyraził uczucia województwa ile szczęśliwe, że księcia ma za swojego. Prymas czule podziękował. Teraz przybyli wojewoda trocki teść Pauli Szembekówny, kasztelan wileński z żoną dziedzie Nieborowa, strażnik pol. lit. rejent kor. i podkomorzy sochaczewski z Kutna. Obiad na sto pięćdziesiąt przeszło osób odbywał się u kilku stołów. Wnoszono zdrowia króla, księcia prymasa, senatu, szlachty, województwa, dam i salutis publicae. Dalej goście szli na przechadzkę po ogrodzie pałacowym, wieczorem były tańce, oświetlenie pałacu i ogrodu. Piękny był fajerwerk z cyfrą królewską, fontanny i race. Miasto też oświetliło się; szczególniej jaśniał ratusz a w piramidach i kolumnach wyobrażał herb księcia prymasa, ponad którym portrety a pod którym zawieszono cyfry króla i księcia. Napisów moc była w przezroczaach, po wicherzy goście pałacowi wsiedli do karet książęcych i objeżdżali ulice miasteczka, lud wszędzie tłumił się i krzyczał wivaty. W święto następne Narodzenia Matki Boskiej, byli wszyscy w kościele na mszy ks. Drewnowskiego koadjutora opactwa wągrowieckiego i na kazaniu miejscowego prebendarza. W pałacu nowi goście od trybunału, którym książę na powitanie odpowiedział patryotycznie o celu najwyższego sądu. Na objeździe znowu zdrowia.

11 września w niedzielę po nabożeństwie i kazaniu, nadszedli z hołdem płocczanie. Książę ich opuszczał, gdy rzucał biskupstwo płockie, stąd według staropolskiej etykiety przyjechali rozwodzić się z żałami; od województwa posłowali sędzia ziemski i łowczy płoccy, ale towarzyszyło im z dobrej woli wielu szlachty. Smucąc się radowali, iż książę wyszedł na stopień dostojny, odpowiadał im sam prymas, znaj-

<sup>1)</sup> Gaz. Warsz. 1783. Nr. 44.

<sup>2)</sup> Nr. 90. z r. 1784.

<sup>3)</sup> Rastawiecki, Słownik malarzów T. II. str. 157.



dowali się zaś przytem ks. kanclerz kor. oboje województwo Łęczyccy, kasztelan Warszawski, sekretarz rady nieustającej i podkomorzy zakroczymski. Po obiedzie wśród rozwartych zabaw pierwszy raz pokazały się obroty na sznurze i komedye włoskie z marionetek na dziedzińcu; moc ludu przyglądała się pięknemu fajerwerkowi.

Następnych dni jedni odjeżdżali, drudzy przyjeżdżali goście. To sieradzanie, to łęczycanie przybywali z powitaniem. W oktawę elekcyi miał być znowu fajerwerk, ale gdy zebrało się na niepogodę, koncert tylko odegrano. Bywały też wieczery i tańce i

uroczystości; te trwały aż do 27 września, kiedy książę opuścił Skierniewice, żeby odbyć najwspanialszy wjazd nowy do Łowicza.

Dłuższy był nieco pobyt księcia w Skierniewicach w r. 1786 kiedy przyjechał z Łowicza w czerwcu, pamiętny zaś w r. 1787 dokąd także z Łowicza zjechał w wielką sobotę i sam odprawiał wielkanocne nabożeństwo.

W r. 1793 w lutym, weszli prusacy do Skierniewic i czwarty batalion artylleryi stanął tu i w Rawie. Książę prymas stracił włości łowickie, a w r. 1794, umarł w Warszawie.

(Dokończenie nastąpi.)

## AUGUST EUGENJUSZ SCRIBE.

W Paryżu pomiędzy *Pilier des Halles*, gdzie się urodził Molier, i ulicą *Montorgueil*, gdzie Beranger ujrzał światło dzienne, wśród ulicy Saint-Denis, jest cukiernia, w której przyszedł na świat 25 grudnia 1791 r. August Eugeniusz Scribe <sup>1)</sup>. Sklep, znany dziś pod firmą *czarnego kota* w r. 1791 był składem bławatnych towarów, utrzymywanym przez rodziców małego Eugeniusza, ludzi, niebardzo bogatych, skromnych. Okropne zdarzenia, po r. 1791, stały się powodem długich strat, cierpień i poświęceń dla rodziny Scribego, bo ojciec umarł podczas krwawych zaburzeń; a matka przeniosła się na ulicę Saint-Honoré, wychowywała syna, z bojaźliwą czułością matki.... Poświęciła wszelkie swe myśli, uczucia i zatrudnienia małemu Eugeniuszowi, którego kochała jako jedyną istotę, do życia ją wiążącą.

Tymczasem syn jęł w *Lycée Napoleon*, zbierał pierwsze w życiu publiczne nagrody. Małemu jeszcze trzpiotowi wczesnie zły duch rymów przerywał szkolne zatrudnienia—Eugeniusek lubił czytywać komedye i komedyjki i często zwiedzał za oszczędzone grosiwo teatr ulicy *de Chartres* i *Varietés*

Matka jego umarła 1807 r., gdy syn miał zaledwie 15 lat życia. Jeden ze sławnych adwokatów, obrońca jenerała Moreau, był opiekunem młodego Scribego,

Matka na łożu śmierci wyjawiała życzenie, aby został dobrym adwokatem, a szczególnie adwokatem-mówcą. P. Bonnet przychylił się zupełnie do woli pani Scribe. Od 1811 do 1815 przyszedł autor sceniczny, należał do tego grona młodych ludzi, którzy z woli niezłomnej rodziców, przykładają się do prawa i *prawnie* zaciągają długi, hulają i hałasują.

Scribe wprawdzie nie rzucił się zupełnie w ten wir szarów młodzieńczych, ale w tém nie jego zasługa gdyż był zamykany hermetycznie w pracowni swego patrona.

Chociaż nie tańczył na balach publicznych, choć nie uczęszczał na wieczorki artystyczno-plastyczno-wokalne du quartier Breda; choć nie sprzedawał książek na zapłatę długów krawcowi, niemógł przecieź ustrzedz się innych nadużyć, i w przeciągu trzech czy czterech miesięcy, obowiązał się, jak sam mówi, pięć wodewillów napisać! pięć... we 3 miesiące! W tym literackim wybryku młodości miał również energicznego współnika, szkolnego kolegę Germana Delavigne.

Opiekun, przeleknięty tak wczesną płodnością swego pupila, chciał wszelkimi środkami temu zaradzić! Stał się bardziej wymagającym; na cały dzień, zasadzał biednego Eugeniusza do najzawilszych akt, i wzbronil mu wycieczek z biura. Prózne starania! Scribe, mający lat 20 wieku i 3000 franków dochodu

<sup>1)</sup> Słowa p. Sainte-Beuve.



ze szczątków spadku po ojcu, bawił się i używał młodości, nie dając się ująć w żadne karby.

Że zaś miał niepospolite zdolności przeto adwokat Dupin, starał się zatrzymać go u siebie i wykształcić na znakomitego prawnika, ale próżne były usiłowania. Na zachęty odpowiadał żartami. Po jednej z wymówek nieco ostrzejszych przyniósł bilet do loży na pierwsze przedstawienie w teatrze ulicy de Chartres, gdzie grano jego sztukę pod tytułem *les Dervis*. Publiczność trochę sykała; ale p. Dupin śmiał się do rozpuku z kilku bardzo dowcipnych wyrażzeń, które Francuzi nazywają *traits d'esprit*. Nazajutrz, mówi tajemna kronika, uczeń i nauczyciel spotkali się na jednej z tych eleganckich *soupers de vaudeville*, gdzie dowcip szumi z szampanem, a szampan płynie z wesołością.

Od owego-to wieczorka, nabrał Dupin tyle skłonności do kalemburów, któremi barwił swoje znakomite obrony prawne, znane w całej Francji; zwyciężony przez podwładnego, którego stał się współ-winowajcą błędów, uwolnił go od zajęć prawniczych. I adwokatura straciła tym sposobem znakomity przyszły talent.

Młody autor zostawiony swęj woli, marzeniom, i zapałowi, otoczył się garstką przyjaciół z których każdy był trochę poetą, trochę muzykiem, trochę filozofem, trochę moralistą. Był tam i German Delavigne i Henryk Dupin, Delestre Poirson, Mellesville, Varner, Brazier, Desaugiers, Terrier, Alphonse i inni.

Wspierany przez nich, oraz przez p. p. *Moreau* i *Santine* zrekrutowanych trochę później, Scribe dostarcza od 1813—1821, 27 sztuk do teatru ulicy Chartres, 20 do *Variétés*, 2 do *Porte Saint-Martin* i 2 do *Odeonu*.

W r. 1820, jeden z tych współ-fabrykantów, *Dele-*

*stre-Poirson*, uzyskawszy pozwolenie otwarcia nowego teatru *Gymnase Dramatique*, zdołał Scribe'go tylko do własnego przywiązać przedsięwzięcia.

Przywiązał go złotymi więzami, zabraniając mu dostarczać innym scenom prac swoich. Jakoż teatr *Gymnase* pod jego opieką i pod protekcją szczególną księżny Berry wszedł w modę i nazywano go *Theâtre de Madame la duchesse*.

Scribe, przy pomocy dawnych i nowych współ-pracowników, dał tejże scenie od 23 grudnia 1820 do 1828, 78 *krotoczwil* (*vaudevilles*) w jednym, dwóch lub trzech aktach!

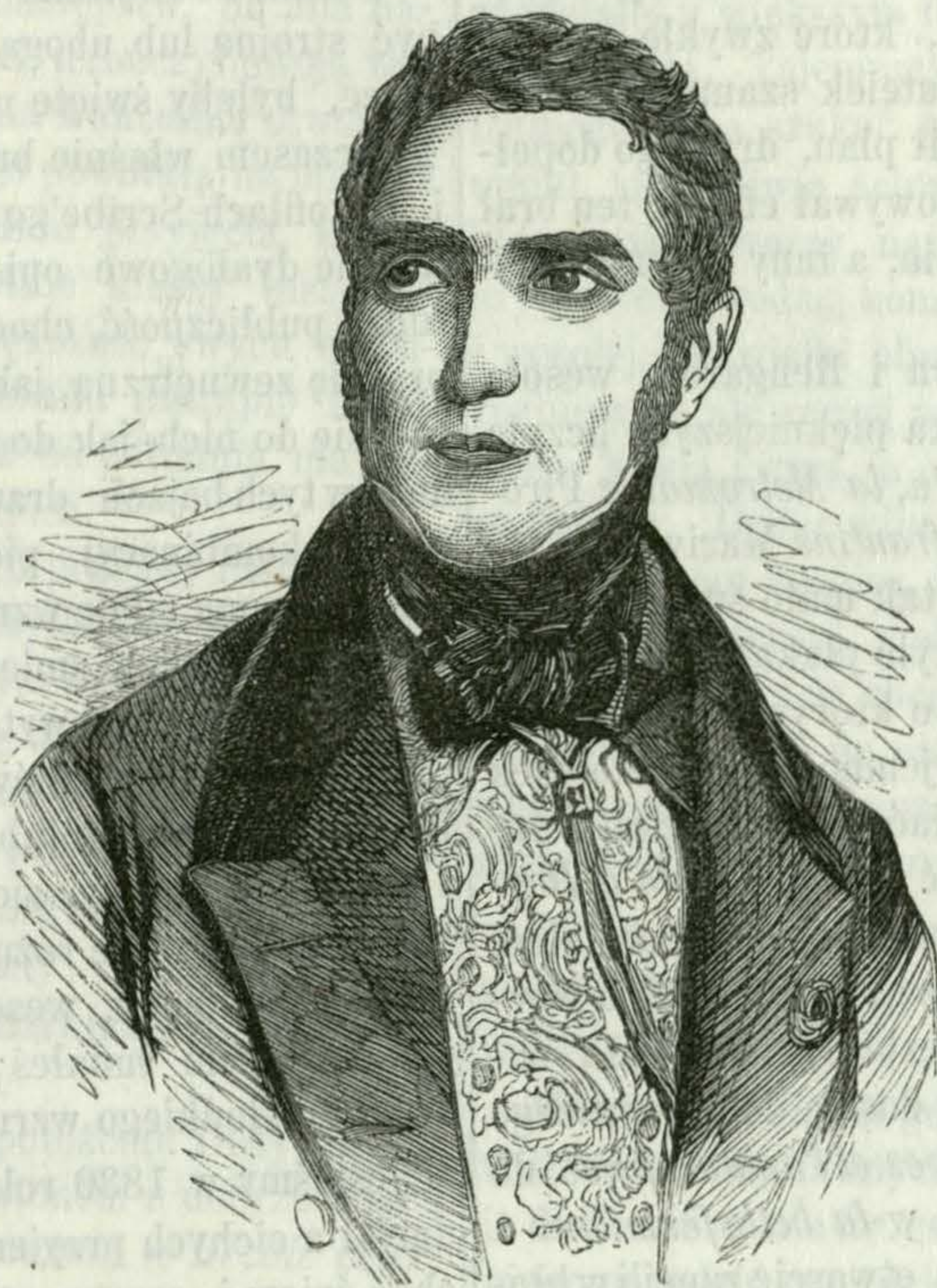
Sam się podpisał na *Retour de Russie*, *la Dévote*, *La maîtresse au logis*, *La haine d'une femme*, *Les premières amours*, *Malvine*.

Oprócz tego w przeciągu tych ósmiu lat nabył od niego 2 sztuki teatru francuzki; *Opera*, 2 sztuki i ballet; *operacomique* 5 sztuk; *Nouveautés* parę sztuczek.

Po tak licznych pracach, które jakkolwiek nie wielkiej artystycznej wartości, przyczyniły się jednak do zabawy

Francuzów i do rozwinięcia smaku w narodzie, należała się mu nagroda narodowa. Jakoż 1827 r. krzyż Legii honorowej otrzymał, a dziś jest już komandorem tegoż orderu.

Podczas tych 12 czy 15 lat któreśmy już przeszli, Scribe wzrastał w łaski i sympatyę powszechną. Rysowano go, malowano, obrzucano złotem. Wywoływany co wieczór przez kółko księżny de Berry, przez najdelikatniejsze rączki arystokracji, oraz przez ludzi dobrego smaku, pełnych dowcipu i elegancyi, coraz w większą wchodził modę. Szczęśliwy autor teatru „de madame” miał tylko trudność wyboru zabaw w wielkiej stolicy. Wszędzie wieńczony, wszędzie do najpierwszych salonów zapraszany, wyświadczał jakby łaskę domom gdzie godzinę zabawić raczył, gdyż



August Eugeniusz Scribe.



z sobą przynosił modę i rozgłos. Wszędzie kobiety niemal padały na kolana, wszędzie zawieszały złote swoje runa, aby tylko zwabić ulubieńca Paryża i walczyły o pierwszeństwo jego spojrzenia.... jego względów.

I spółka fabryczna należała w części do tych owacyj publiczności, używając w zupełności tego gorączkowego usposobienia płci pięknej i roznamiętnionej.

Ale Scribe przeważał jeżeli nie wartością, to ilością swoich prac scenicznych, które zwykle u stołu suto nakrytego, wśród lasu butelek szampana, brały swe poczęcie. Jeden przynosił plan, drugi go dopełniał i rozwijał, trzeci przygotowywał efekta; ten brał na siebie intrygę, ów zdarzenia, a inny koloryt miejscowy.

Od czasu wielkiego Moliera i Rengarda, wesoła i żywa komedia, zaledwie kilka piękniejszych liczyła objawów; *le Turcaret* Lesage'a, *la Metromanie* Pirona, *le Méchant* Gresseta i *les frontins* Mariwego.

Przeszedł Destouches, co tak mało śmiać się pozwalał, *la Chaussée*, który tyle płakał, *Dorat* i *La Noue* pisali nadęte romanse, o których publiczność zapominała. Z większą przyjemnością i cokolwiek dłużej zatrzymała się aby śmiać się z dowcipu *Daucourt'a* i *Picard'a*, aby chwalić gracyę *Colina d'Harleville*, aby podziwiać *Andrieux'go* dowcip i śmiałość *Beaumarchais'go*; ale nakoniec sztuka teatralna wpadła pomiędzy pasterzy i owieczki; przywdziała sukienkę ckliwości z morałami i doszła do najwyższego punktu moralności w *les femmes et l'amour filiali* i do sentymentalności gospodarniej w *la belle fermière*.

Scribe i jego płodna plejada otwarcie rzucili w błoto spuściznę panny *de Scudéry*, zapomnieli o bukolicznych paradach Ludwika XIV i o namiętnych nocach spędzanych przy blasku księżycy i przy śpiewie słowika w połowie XVIII wieku.

Porzucili gaiki i chaty, Estelle i Némoryny, pola i żniwa; wygodnie rozłożyli się po salonach, buduarach, ulicach, sklepach i poddaszach. Jeżeli niezdolni byli utworzyć nic wielkiego, wzniosłego, nic coby było prawdziwą sztuką, namaszczoneą pięknnością i artyzmem, to przynajmniej z dowcipem i przebiegłością odwinęli wszelkie fałdy i fałdziki społecznej zasłony.

Nie zważając na to, co się zwykło ukrywać, nie zrywali nigdy całej obsłony, dla wykrycia tajników życia, ani zagłębiali się w skrytości duszy ludzkiej, by w niej znaleźć najcelniejsze źródła do obrazów i dramatów; lecz bawili się tylko w małe namiętnostki ludzi, zostawiając na boku człowieka! W ich utworach

odbija się wprawdzie pewna klasa, jak w zwierciadle, jak w dokładnej fotografii; ale tu, zewnętrzna tylko forma nieporównanie wierna i podobna pierworodowi, bez względu, że zadaniem pisarza, a szczególnie poety jest podnoszenie *duchowej* strony życia, wykrycie moralnej prawdy, odsłonięcie tajemnych sprężyn, jakie rządzą czynami i myślami indywidualów.

Forma zewnętrzna jest to sukienka, która może być strojną lub ubogą, byleby pod nią biło wielkie serce, byleby święte uczucia podnosiły jęj załomy. Tymczasem właśnie brak charakteru w komedijkach i krotofilach Scribe'go i spółki. Chociaż tu nieraz udatne dyalogowe opisy lub życie ożywione intrygą, łudzą publiczność, choć podziwiać tu można zimną prawdę zewnętrzną, jaką wszędzie widzimy i przywiązać się do nich, jak do starych znajomych, nie ma jednak w tych bajach dramatyzowanych, w tej massie kuletów, kombinacyj pieniężnych i miłosnych, nie ma nic, coby nas silnie wzruszyło, nie coby nas skłaniało do owych długich śmiechów homerycznych, do tego, co nazywamy zachwytem; nie ma w nich nic coby przypominało Pascalów, Molierów, Wolterów, Szyllerów, Szekspirów: lubo znajdzie się w nich gracya i powab niezmierny, wiele małych namiętnostek, wiele kwiatków, wiele różnych małości miłych. Jesteś niby-zaspokojony, wesoły, szczęśliwy, bo mimowoli jednem okiem śmiałeś się spokojnie, a drugiem płakałeś ze słodkiego wzruszenia.

Jesteśmy w 1830 roku. Spiski, rozruchy wrywają umysł z cichych przyjemności wodewilu. Jeszcze sły chać śpiew i częsty nawet Marsylianki, Paryżanki i narodowe pieśni Béranżera. Wraz ze zbyt ufającym Karolem X, Scribe jest strąconym z tronu, ale szczęśliwszy od monarchy, król Wodewilu, po burzy rewolucyjnej, z łatwością odzyskuje berło. Już teraz inaczej się bierze do rzeczy. Zarzuca liberalnych restauracyi mieszczan. Niewygody i niebezpieczeństwa strasznej walki politycznej do której należał, i która zmusiła go do powątpiewania o stałości szczęścia lub majątku, skłaniają go do rzucenia pocisku na demokrację; pisze *Bertranda* i *Ratona*, a teatr francuzki z zapalem, z gromem oklasków, które się odbiły i za granicami Francyi, przyjmuje ten utwór!

Tylko demokracya, co dotąd zawsze przyklaskiwała swemu ulubieńcowi i niezdawała się dawać powodu do bojaźni lub niechęci, mruczy i żali się, że tak źle pojęta, i tak wystawioną została.

Wyśmiewać Tartufów politycznych i głupców, którzy się dają za nos wodzić, jest bezzaprzeczenia dobar



rzeczą i Molière to samo czynił, lecz pod innemi względami, bo Molière malował Tartufa odrażającego i pobitego; zrywał z jego twarzy maskę obłudy i podłości; Tartufy zaś Scribe'go, nawet zamaskowani, są to przyciągający zdobywcy! Molière dobrze kończył—Scribe źle kończy. Molière był moralnym, Scribememu brak tego.

Cokolwiekby, ten patent stronności politycznej, nie miał zbyt niekorzystnych następstw, bo nim nawet rozgłos *Bertranda i Ratona*, ukończył swoją wędrówkę po świecie, już akademia francuzka otworzyła swe wrota Scribememu, którego powołała na miejsce Arnaulta. Na posiedzeniu w dniu przyjęcia, kobiet zebrało się najwięcej, Wszystkie klasy Instytutu były reprezentowane przez większość swych członków, a choć otwarcie zgromadzenia nastąpić miało dopiero o drugiej godzinie, już od południa nie można było znaleźć próżnego miejsca.

„Panowie!, (odezwał się nowo przyjęty członek tonem przebiegle skromnym,) czytaliście iż rzeczpospolita wenecka co śmiała wyzywać Ludwika XIV, zmuszoną została wysłać Dożę do Versalu, aby błagał o łaskę wielkiego króla; i wtedy gdy poseł podziwiał te ogrody, gdzie wszędzie podbito naturę, te wody błyszczące, te lasy pomarańczowe, te tarasy zawieszane w powietrzu, zapytany: „coby znajdował w Versalu, najgodniejszym podziwiania?” odrzekł—*to, że siebie tu widzę!*”

A Scribe zdawał się być w położeniu Doży.

Potem pochlebstwem, wymówionem z dobrze udaną skromnością, jakże mieli ci *panowie w liczbie czterdziestu* przypomnieć sobie, jak skromny mówca nie raz im zarzucał, iż mają rozumu zaledwie *za czterech?* Jakże mogli pamiętać, że jest autorem sztuki *asinus asinorum fricat?*

Ze swęj strony, widzowie nadzwyczaj zachwyceni tém dowcipnem zagajeniem, nadstawiali uszy, i słuchali w milczeniu, coraz to bardziej przywiązując się do nowego akademika. Scribe nakoniec sam jeden za pomocą własnych słów i harmoniję organu, oraz godność swęj postawy i oratorskie środki w jednéj z tych intelektualnych bitew, odniósł zwycięstwo które po całej Europie, po wielekroć, co wieczór od lat dwudziestu odnosił za pośrednictwem aktorów. Była to dobra sposobność aby uroczyście odpowiedzieć tym panom, nieprzyjaciołom lub zazdrośnikom co go oddawna prześladowali krytykami niesumieniami. Bardzo mało użył téj sposobności dając szybki rzut oka na własną doktrynę, tyczącą się literatury dramatycznej i pieśniarskiej; ale jęj nadużył cokol-

wiek chwając zanadto tragedye swego poprzednika Arnaulta i starając się rozwinąć to założenie „*że teatr rzadko jest odbiciem społeczeństwa, że często bywa jego wyrazem odwrotnym, i że trzeba zwykle szukać rzeczy o obecnym w tem, o czém nie mówi.*”

Villemain, stały sekretarz akademii, tak na to odpowiedział:

— „Zadałeś pan sobie pytanie, na które sam odpowiedziałeś z większym dowcipem i powodzeniem aniżeli prawdą. Tajemnicy długiego powodzenia teatralnego pana szukać należy w tém właśnie, żeś pan umiał szczęśliwie schwytać ducha naszego wieku, który sam tworzy najstosowniejszy i najpodobniejszy do siebie rodzaj komedyi — komedyi żywéj, lekkiej i wesolej; nie wielki obraz sztuki, któryby niechętnie rozbierano; ale raczej pasmo wyrazistych portretów, które bawią i giną, a o których jednak nie raz się wspomina. Będąc więc dalekim od podzielania opinii, której pan bronisz, i nie sądząc, jak pan, że teatr jest w sprzeczności z obyczajami, że jest antypodem społeczeństwa, i że chcąc się podobać publiczności nie powinien być do niej podobny; trzymam się dawnéj zasady, i wzywam własne komedye pana aby zbiły w części jego przemowę.”

Scribe więc otrzymał odwet tak delikatny, jak było pochlebstwo, którym zagaił jedno z najświetniejszych posiedzeń akademii.

Mówią że w chwili gdy Scribe wchodził do akademii, jeden z jęj dawnych członków wyrzekł dowcip, iż dlań trzeba nie *krzesła* ale raczej *ławki*, aby koło niego posadzić czterdziestu ośmiu jego współ-pracowników.

W chwili gdy nowo-wybrany przyjmował w małym gronie powinszowania i uściski rąk od *kolegów w nieśmiertelności*, wspomniany wyżej prokurator jeneralny *Dupin*, który często opowiadał o bezowocnych staraniach aby zachęcić Scribego do prawa, przybliżył się do dawnego ucznia i mówi śmiejąc się:

— „Wszystkie drogi, panie, wiodą do Rzymu!”

— „Do akademii również” —dodał Scribe.

Od chwili otrzymania tytułu członka instytutu, Scribe porzucił swój rodzaj lekki, który go zbogacił moralnie (w opinii publicznej) i materyalnie. Wyjąwszy kilku sztuczek napisanych przez uprzejmość dla jakiego dyrektora, albo przez przyjaźń dla jakiego biednego współ-brata, i pomiędzy którymi odznaczają się „*Antoś i Antosia, Kobieta, która oknem wyskoczyła,*” nic nie dawał do małych teatrów.

Prawie wyłącznie zajmował się operami, operami-



buffa i komediami, które z sumiennością nadzwyczajną grał teatr francuzki.

Nie mamy potrzeby wyliczać jego ostatnich utworów; na wszystkich afiszach czytać dziś jeszcze można wielkimi literami tytuły: — *Robert Diabeł, Hugonoci, Żydówka, Faworyta* i t. d. *le pré auxcleres, Czarne domino, Koń spiżowy, Lestocq, Dolina Andory, Hajdé, l'Etoile du Nord* i t. d. z komedyi: *Szklanka wody* (podług wielu jedyna Scribego komedya, w całym znaczeniu tego wyrazu) *Adrianna Lecouvreur, Une chaîne, la Camaraderie, la Calomnie, les Contes de la reine de Navarre.*

Kończąc naszą wzmiankę nie potrzebujemy wspominać o europejskiej popularności Scribego. Był czas, gdzie wszystkie teatra żywiły się tylko jego utworami a powszechność wyłącznie je lubiła i na nie tylko uczęszczała. Dziś choć ta powódź krotofilowa już minęła, każdy z nas z przyjemnością powtarza nazwisko pisarza, co, bądź jako trefniś, bądź jako prawdziwy artysta bawił nas przez lat tyle.

Scribe napisał do 1858 r. 345 sztuk w 897 aktach,

można ułożyć alfabetyczny spis kilku-arkuszowy samych tytułów. Te 345 sztuk mieszczą w sobie 200,000 do 300,000 wierszy, które mu zrobiły kilkomilionowy majątek. Z samej pracy dramatycznej, miewał od 160,000,—200,000 franków rocznego dochodu, a *Siècle* zapłacił mu za mierny romans z literatury szalonej tłumaczony na język polski 1848 p. t. *Piquillo Aliaga* 100,000 fr.

Za dobroć charakteru, za częste ofiary i dary biednym czynione, zasłużył Scribe na tak ogromny majątek, który w części na upiększenie swojej prześlizcznej willi *Séricourt* obraca. To ustronie podzielił autor na wiele części, z których każda nosi tytuł jednego z jego utworów. Jest tam i *bois de Piquillo* i *rivières Robert le Diable, les Huguenots et la Juive.* Czy dotąd znalazła się jaka lodownia, która-by nosiła imię *Etoile du Nord?* nie mogliśmy się dowiedzieć. Zostawiając to ciekawości łaskawych czytelników, kończymy nasze zbyt długie może wspomnienie o autorze Szklanki Wody.

Henryk Merzbach.

## WPŁYW CHEMII

### NA ROZWÓJ FIZYOLOGII I MEDYCyny.

Historja wszystkich narodów i wieków przekazała nam nazwiska i czyny wielu ludzi, którzy naukę uważali za jedyne swe dobro, za niezbędny warunek swego istnienia, za najszczytniejszy, wyłączny cel swego życia; nigdy jednakże liczba ich nie była tak znaczna, nigdy pragnienie wiedzy nie objawiało się tak gorąco i silnie, jak dzisiaj. Z drugiej strony życie publiczne doszło do nadzwyczaj wysokiego stopnia rozwoju, obowiązki jego stały się tak ważne, szczytne a zarazem tak naglące, że największa część ukształconego ogółu poświęcić się im jest zmuszona. W miarę wznoszącego prawdziwego zamiłowania nauki, znikła pedancka duma uczonych XVII i XVIII wieku a przynajmniej większej ich części, którzy, ukrywając swą niewiadomość i prostactwo odróżnianiem się od ogółu i szumnym tytułem, — gardzili wszystkimi innymi stanami i żądali, żeby świat cały czczył ich i po-

dziwiał ową mądrość. Znikła ta drobiazgowa zawiść, z jaką prześladowali każdego kto nie szedł ich torem, kto nie wierzył żeby nauka miała być wyłącznym ich monopolem. Dziś skarbnice wiedzy otwarte są dla każdego. Mężowie nauki starają się rozpowszechnić i uczynić przystępnymi dla ogółu jej zasady. Jeżeli więc obowiązki i zatrudnienia nie każdemu pozwalają zająć się wyłącznie naukami, każdy jednakże pojmujący i ceniący ich prawdziwą piękność, czujący potrzebę poznania ich, z łatwością może zaspokoić szlachetne swe pragnienie.

Musimy wyznać, że największa część publiczności zajmuje się szczególniej tą stroną każdej nauki, która jej objaśnia różne, blisko ją obchodzące zjawiska już to życia ludzkiego, już to otaczającej natury. I to jest dowodem znakomitego postępu czasu. Ogół już się nie powoduje przywidzeniami i zabobonami,



wszędzie i zawsze chce on odróżnić prawdę od fałszu, rzeczywistość od urojenia. Szanowny to przejaw ducha wieku. Szczególniej należy się korzystać z tej dążności w tak nazwanych popularnych wykładach naukowych i wskazać jej wyższy, czysty cel każdej nauki.

Nie powinno więc to nas wcale dziwić, że chemia która objaśniła tyle zagadkowych dotychczas zjawisk życia, stała się przedmiotem powszechniej ciekawości, że wielu bardzo ludzi fachowych wzięło się do pióra dla zaspokojenia téjże. Szczególniej w związku z fizjologią, której przedmiotem jest rozwój, zachowanie się i rozmnażanie organizmu, chemia stała się nauką nadzwyczaj popularną. W samej rzeczy, chociaż życie i zdrowie nie są jedynym dobrem człowieka, są jednakże niezbędnymi warunkami jego istnienia; mówimy tu o fizycznym i duchowym. Jakżeż więc nie mają nas zajmować nauki, które nam podoją prawa naszego życia i zdrowia.

Co jest życie?—oto pytanie, które oddawna jak i dziś jest ostatecznym, najżywotniejszym zadaniem naszej nauki. Teozofowie, filozofowie spekulacyjni, alchemicy, anatomowie, mechanicy, fizycy, chemicy—wszyscy usiłowali rozwiązać je, każdy z nich swoim sposobem, każdy inaczej. Nie ma zjawiska w naturze, począwszy od tajemniczego szmeru strumyka aż do gruppowania się na billiony mil od naszej ziemi odległych gwiazd, tłumaczonego niegdyś jeszcze tajemniczej przez astrologów, któremu by nie przypisywano pewnego wpływu na organizm z większą lub mniejszą słusnością. Im większe było powodzenie pewnej hipotezy, tém dłużej ona trwała. Był czas, w którym uważano organizm za pracownię chemiczną, życie za wynik wzajemnego działania kwasów i ługów. Po odkryciu mikroskopu całą nadzieję pokładano w rozcłódkowaniu ciała na najdrobniejsze cząsteczki. Elektryczność zwierzęca zrobiła z ciała ludzkiego maszynę elektryczną a funkcje życia były naładowaniami, wyładowaniami, przyciąganiem i odpychaniami. Nowożytna filozofia natury uwieńczyła te wszystkie teorie tajemniczymi swymi obrazami. „Krew,” mówi Hegel, „ten ruch na około własnej osi, ścigający samego siebie, to bezwzględne drganie samo w sobie, jest indywidualnym życiem całości w której nic nie rozróżniamy, jest czasem zwierzęcym. Obrotowy ten ruch daje początek processowi kometarnemu, atmosferycznemu i wulkanicznemu. Płuca są krwią zwierzęcą, będącą w związku z atmosferą; odbywają one process ustający i przerywający się sam przez się. Wątroba jest powrotem istnienia kometarnego, do istnienia lunarne, księżycowego; jest

ona tém istnieniem szukającym swego środka, skwarem tego istnienia, oburzeniem przeciwko odmiennemu i spaleniem tamtego.”

Przytoczyliśmy to tylko jako próbkę niemieckiej filozofii spekulacyjnej, za co prosimy o przebaczenie naszych czytelników. Jesteśmy przekonani że to zbyt głębokie a z tego powodu cokolwiek niezrozumiałe objaśnienie życia przez Hegla, nie zadowolni nikogo. Musimy więc jeszcze raz powtórzyć powyższe pytanie: co jest życie?

Niedawno a nawet dziś jeszcze w niektórych razach taką dawano na nie odpowiedź: „Zjawiska życia są skutkiem właściwej siły przebywającej w organizmie, zwanój siłą żywotną, vis vitalis.” Wszyscy uczący się musieli poprzestać na czarodziejskim tém słowie, które pomimo tego bynajmniej nie przyczyniło się do lepszego poznania samych tych zjawisk. Nie należy jednakże wątpić że kiedyś je zbadają tak dokładnie jak dziś są zbadane prawa ruchu. W obecnym stanie nauk przyrodzonych, oto co o nich wiemy.

Organizm tak zwierzęcy jak roślinny złożony jest z komórek, naczyńek i tkanek, których ścianki i zawartości złożone są z pewnej liczby pierwiastków. Siła ciężkości, ciepło, elektryczność, endosmoza, siła przyciągania włoskowatego, działają tak samo wewnątrz organizmu jak i zewnątrz. Życie więc jest skutkiem jednoczesnego działania sił fizycznych i chemicznych, odbywającego się podług tych samych praw co i w naturze nieorganicznej. Niema żadnej szczególnej siły żywotnej, to jednakże pewna że rozliczność sił działających jednocześnie, wywołujących się lub krzyżujących wzajemnie, których siedliskiem jest organizm subtelnie zbudowany, musi nadzwyczaj utrudniać ich poznanie. Żadna z sił nie działa odrębnie, zawsze w związku z drugimi. Ani więc anatomia, ani fizyka, ani chemia, słowem, żadna z nauk przyrodzonych oddzielnie, nie jest w stanie wytłumaczyć wszystkich zjawisk życia; wszystkie te nauki razem muszą dążyć do wspólnego celu. Nawet i wtedy snadnie natrafiamy fakta które pozostają dla nas zagadkowemi. Niepojmujemy dotychczas dla czego najprostsze i najbardziej złożone organa zwierzęce i roślinne przybierają pewne kształty, przeszedłszy przez różne stopnie rozwoju, chociaż znamy dokładnie historję tego rozwoju, chemiczny skład tych organów. W takich to razach, lecz jedynie w takich, musimy przypuścić, że w organizmie działa pewna twórcza siła, którą nazwiemy siłą żywotną; bynajmniej jednakże nie utrzymujemy, żeśmy objaśnili i odkryli przyczynę tworzenia się kształtów organicznych. Znamy



podobnie formę krystallograficzną każdego minerału, niewiemy przecież, dla czego jedne krystalizują się w sześciąt, inne w graniastosłup, a zawsze podług stałego prawa.

Udział Chemii w ogólnem zadaniu fizjologii jest nadzwyczaj ważny; ona to objaśnia procesa przyswajania, wydzielania i przekształcania różnych związków przez organizm. Wymienimy tu niektóre prawa i fakta oparte na ścisłych i trafnych poszukiwaniach chemii organicznej.

1. Organizmy tak zwierzęce jak i roślinne składają się z pewnej, ograniczonej tylko liczby pierwiastków chemicznych, mianowicie: kwasorodu, wodorodu, węgla, azotu, wapienia, krzemu, siarki, potassu, sodu, magnezynu, fosforu, chloru, żelaza. Porządek w jakim każde z tych ciał wyliczone zostało, zależy od ilości w jakiej się ono znajduje w organizmie; ciała znajdujące się w ilościach zbyt małych lub niestających, pominieliśmy zupełnie.

2. Żaden organizm nie tworzy się przez bezpośrednie zetknięcie się pierwiastków; niezbędnym warunkiem do jego powstania jest uorganizowany zaczątek, jak u zwierząt, komórka zarodkowa u roślin.

3. Roślina żywi się związkami nieorganicznymi; woda, kwas węglany i amoniak są głównymi jej pokarmami, służącymi do powiększenia jej objętości.

4. Części mineralne, krzemionka, potaż, soda, wapno, kwas fosforowy, wyciągane z ziemi w roztworach wodnych przez korzenie roślin, stanowią popiół pozostający po spaleniu tychże i są ważnymi bardzo ich częściami składowymi; roślinność nie istnieje na gruncie pozbawionym tych części mineralnych.

5. Zwierzęta żywią się ciałami organicznymi; zwierzęcymi lub roślinnymi; żywność ta służy do powiększenia objętości ich ciała, do odradzania zużytych części i do podsycaenia oddechu.

6. Każdy ruch ciała zwierzęcego jest powodem zużycia pewnej jego cząstki. Ponieważ muskuły, jako ciała azotowe tworzą się tylko z ciał także azotowych, pokarmy tém są pożywniejsze i plastyczniejsze, im więcej zawierają azotu. Ciała ubogie w azot lub zupełnie nie azotowe, mączka, tłuszcze, cukier, nie mogą utrzymywać życia zwierzęcego.

7. Zwierzę oddychając, pochłania pewną ilość kwasorodu powietrza, który łączy się z różnymi ciałami znajdującymi się wewnątrz organizmu; przytém wywiązuje się ciepło, przechodzące w krew i ogrzewające całe ciało. Produkta ukwasorodnienia, woda i kwas węglany, wydzielają się.

8. Strata jaką ciało zwierzęce ponosi przez oddychanie, mianowicie przez wydzielanie się wody i kwasu węglanego, wynagradzana jest ciągle przez świeże pożywienie; właśnie ciała najmniej azotowe, tłuszcze, mączka, cukier, najbardziej podsycają oddychanie; nazwane one są z tego powodu pokarmami ogrzewającymi lub środkami do oddychania.

9. Zwierzęta mięsożerne tudzież zwierzęta ssące krew i mléko znajdują w swém pożywieniu takie same związki, z jakich jest utworzone ich własne ciało; trawienie ich jest krótkie, polega ono nie tak na przerabianiu chemiczném pokarmów jak na rozpuszczaniu ich, przyswajaniu części pożywnych a wydzielaniu nieużytecznych.

10. Zwierzę roślinożerne znajduje w roślinach także gotowe związki, bardzo zbliżone do jego włókien muskularnych i istot białkowych w niem zawartych; trawienie jego jest także tylko rozpuszczaniem. Lecz ciała roślinne zawierają wiele ciał trudno rozpuszczalnych a tém samym niepożywnych; tak np. siano zawiera włókna drzewne; z tego powodu trawienie zwierząt roślinożernych jest dość długie i zawiłane, jak nas o tém w samej rzeczy przekonywa przyrząd trawienia zwierząt przeżuwających.

11. Trawienie samo przez się nie zupełnie jest przetwarzaniem chemiczném; wiele jednakże procesów chemicznych odbywających się jednocześnie wewnątrz organizmu, jest z niem w najściślejszym związku. Takimi procesami są: działanie kwasorodu, powietrza pochłoniętego przez płuca na krew, przerabianie materij zużytych podczas ruchu ciała na związki wydzielające się wraz z moczem, przemiana mączki i cukru na tłuszcze i t. p.

Zjawiska te i prawa, będące wypadkami najściślejszych badań i wywodów, podaliśmy w kształcie twierdzeń, gdyż zbyt ciasny zakres naszego przeglądu nie pozwolił by nam więcej się nad nimi zastanowić; to było także powodem że nie wspomnieliśmy wcale o mniej ogólnych lub mniej ważnych. Wiele z nich znanych jest oddawna. Któż nie wie że mięso i rośliny groszkowe pożywniejsze są od owoców i pokarmów mączastych, że obfite pożywienie ogrzewa cały nasz organizm? Wszystkie tym podobne fakta były wprawdzie znane, — nie były znane ich przyczyny; odkrycie tychże zawdzięczamy chemii fizjologicznej. Podobnie zjawiska na niebie znane nie były, nim jeszcze przenikliwy geniusz Kopernika odkrył właściwy ich związek.

Jeżeli zważymy z jakimi trudnościami połączone są prace chemii fizjologicznej, tém bardziej podzi-



wiać musimy wypadki otrzymane przez nią. Wszelkie doświadczenia na żywych istotach, zmieniając konieczne warunki życia, już przez to samo zmniejszają własną swą dokładność. Tak na przykład w ilościowych badaniach procesu oddychania, koniecznie trzeba umieścić człowieka lub zwierzę w zamkniętej przestrzeni, co już jest powodem nienormalnego oddychania. W niektórych tylko razach, porównując różne metody doświadczalne podług których badano jedno i to samo zjawisko życia, udało się utrzymać wypadki bardzo dokładne i oznaczyć bliskie bardzo granice błędu, niezbędnego przy każdej podobnej pracy.

Czterem metodom szczególnie, podanym przez Lehmana w jego wykładzie chemii fizyologicznej, należy się w tym względzie pierwszeństwo; metody te są następujące: jakościowe i ilościowo-rozbiorowe poszukiwania wstępne, metody fizyologicznie doświadczalna, statystyczna i porównawczo-rozbiorowa.

Jaki jest skład ciała zwierzęcego i roślinnego i w jakich stosunkach znajdują się w nich części składowe? oto pierwsze pytanie na które nie odpowiedział, nie podobieństwem jest postąpić choćby na krok dalej. Odpowiedź na te pytania znajdujemy przy pomocy rozbioru organicznego wydoskonalonego przez Liebiga.

Znamy jaknajdokładniej skład wielu bardzo ciał, jak cukru, kwasów i zasad roślinnych, mączki, kwasu młecznego, mocznika, kreatyny, tłuszczów i t. p. znajdujących się w naturze organicznej; pozostaje jednakże wiele i takich, których nie można było otrzymać w stanie pożądaney czystości, przez co skład ich znany jest tylko w przybliżeniu. Mówimy tu o ciałach białkowatych, nie krystalizujących wcale a odgrywających tak ważną rolę w życiu roślin i zwierząt. Wiele związków, których obecność objawia się właściwym zapachem, kolorem lub smakiem, znajduje się w tak nieznacznej ilości, otrzymać je tak jest trudno, że na teraz przynajmniej zmuszeni jesteśmy wyrzec się zupełnie dokładniejszego ich poznania. Odczynniki chemiczne, chociażby najobojętniejsze, działają na nie z taką gwałtownością, że nigdy nie jesteśmy pewni, czy to cośmy otrzymali jest istotnie ową materią, zawartą w ciele zwierzęcem lub roślinnym, czy też produktem rozkładu jej. Krew na przykład, złożona z wody, białka, włókniaka, ciałek krwistych, tłuszczu, fosforanów, gazu kwasorodu, azotu i kwasu węglanego, wystawiona na działanie powietrza zewnątrz organizmu, ulega natychmiast wpływowi jego kwasorodu i rozkładowi własnych cząstek.

W ogólności jednakże znamy skład elementarny związków organicznych tyle, ile potrzeba chcąc zdać sobie sprawę z ważniejszych zjawisk naszego życia.

Następują doświadczenia fizyologiczne na żywych zwierzętach lub roślinach, których zadaniem jest poznać różne zjawiska chemiczne życia, wstrzymując funkcje pewnego organu i badając produkta nie normalne; takim sposobem poznano zjawiska wewnątrz zapłodnionego jajka, rozwijającego się zarodka roślinnego i t. p. Żywiono też zwierzęta niezwykle pokarmami lub też zwykłymi w niezwykle okolicznościach, psy na przykład tłuszczem i mączką, gęsi mięsem; rośliny hodowano w ziemi pozbawioney zupełnie humusu lub też w czystym humusie. Szczególniej odznaczają się w tym rzędzie doświadczenia Tiedemanna i Gmelina. Musimy dodać, że metoda ta mniej jest używana aniżeli pozostałe: uczucie ludzkie oburza się bowiem przeciwko mniemanemu dręczeniu zwierząt; wiele doświadczeń tego rodzaju nie może się obejść bez pomocy chirurgii, np. wyrznięcie nerek, śledziony, tamowanie wydzielania się żółci, robienie sztucznych fistuł na żołądkach zwierząt. Ostatnie to doświadczenie ma na celu rozbiór soku żołądkowego, ciekącego od czasu do czasu otworem zrobionym w żołądku; a we wszystkich, wnioskujemy o normalnych zjawiskach życia z nienormalnych.

Rośliny hodowano w ciałach znanego składu chemicznego, w kwiecie siarki, proszku kwarcowym, czystym węglu, napajano korzenie roztworami ammonia-ku, barbników, soli, trucizn organicznych. Wszystkie jednakże podobne doświadczenia są bardzo kosztowne, trudne i przykre; działanie powyżej wymienionych środków na organizm tak jest gwałtowne, że wypadki z tych doświadczeń są bardzo niepewne i z wielką ostrożnością należy się wyprowadzać z nich ogólniejsze wnioski.

Metoda statystyczna należy do najtrafniejszych chemii fizyologicznej. W ogólności, wtedy tylko możemy dokładnie osądzić jakie są potrzeby materialne i moralne narodu, do jakiego stopnia rozwoju doszło jego życie wewnętrzne, jeżeli wiemy z pewnych statystycznych źródeł, jak wielka jest ludność kraju, jakie są jego plody naturalne i sztuczne, co i ile się za granicę wywozi, a co i ile się za to przywozi i t. p. Często bardzo nie możemy ocenić dostatecznie ważności pewnej gałęzi przemysłu, dopóki nie mamy o niej dokładnych statystycznych wiadomości.

*(Dokończenie nastąpi.)*



## OSTRONOS (NASUA).

Większa część osób zwiedzających gabinety historii naturalnej, lub przeglądających klatki menażeryi, widzą jedynie albo umiejętnie wypchane automaty, albo dzikie zwierzęta, których różne głosy niezrozumiałe dla nich, jak nawzajem zwierzętom obcą jest mowa ludzka. Żeby jednak te stworzenia, lub ich wypchane okazy, zrozumiałszą mową mogły opowiedzieć losy swoje, usłyszeliby widzowie nie jedną ciekawą historię o trudach, wytrwałości, odwadze, energii, zdolną obudzić zajęcie, nieraz żywsze nad te, jakie sprawiają opowiadania o wyprawach Aleksandra W. i wielu potężnych zdobywców. Historia natury tak samo jak historia rodu ludzkiego ma swoich bohaterów i męczenników, którzy rzadko otrzymują współczucie na jakie zasługują: — byłoby więc dopełnieniem obowiązku wdzięczności ze strony współczesnych i potomnych, żeby zwiedzający gabinety widzieć mogli popiersia niezmordowanych badaczy natury, obok martwych świadków ich czynnej gorliwości, nagromadzonych dla pożytku uczącego się ogółu. Takiż dowód ocenienia należy się niezaprzeczenie i tym, którzy opisami zaznajamiają nas z życiem zwierząt.

Trzech badaczy natury zastanawiało się nad zwierzęciem, wystawionem na dołączonej tu rycinie. Pierwszym był Hiszpan, oficer inżynierii don Feliks de Azara, który od r. 1781 przez dwadzieścia lat przebywał w dawnym wicekrólestwie Buenos-Ajres, a szczególnie w prowincjach na pograniczu Brazylii leżących i wzbogacił naukę nie tylko wyborem opisem zwierząt ssących i ptaków Paragwaj, oraz okolic nad rzeką La Plata leżących, ale jeszcze co do własności jeograficznych i historii tych krajów, wiele ważnych poczynił objaśnień.

Drugim podróżnym, który zarazem podał najszacowniejsze wiadomości o świecie zwierzęcym Ameryki południowej był książę Maksymilian *von Neuwied*, którego, traktujące po większej części o Brazylii dzieło, należy do najbardziej czytanych w Niemczech książek.

Dr. Rengger był trzecim, który przebył sześć lat

w Paragwaj, zwiedził cały ten kraj, przewędrował olbrzymie dziewicze lasy amerykańskie i przebywał całe miesiące pod sklepieniem zielonych liści lub powietrznego błękitu. Panował wtedy w Paragwaj dyktator Dr. Francia, człowiek podejrzliwy, który zawsze i wszędzie widział sprzysiężenia i burzące się umysły, a do tego stopnia utrzymywał przez jakiś czas kraj w odosobnieniu, że przekroczenie granicy groziło karą śmierci; Rengger więc uważał za łaskę, że go nie powieszono zaraz po przybyciu.

Ostronos towarzyski (*Nasua socialis*) wraz z gatunkiem zwanym od krajowców Kuati czyli Ostronosem samotnym (*Nasua solitaria*), żyje w lasach dziewiczych rozciągających się nad rzeką La Plata. W naukowej klasyfikacji mieści się on według Kiuwiera między następnymi, (*plantigrada*) chociaż się pod tym względem wielce od niedźwiedziów różni, bo nigdy chodząc nie stawia całej stopy. Główniejszemi w systemacie zoologicznym cechami rodzaju Ostronosów, są: przedłużenie nosa nakształt trąby, długi ogon i odpowiednio wielkie pazury. Z przyczyny nosa otrzymał on w języku niemieckim nazwisko niedźwiedzia z trąbą (*Ruesselbaer*). Zwykle nie jest większym od małego zająca (stopa i 8 cali); długość jego ogona równa się prawie długości ciała. Samotny Ostronos różni się od towarzyskiego, większym wzrostem, odpowiednio krótszym ogonem i nosem, oraz pyskiem silniejszym. Ostronos towarzyski podlega częstym odmianom koloru sierści stosownie do miejscowości. Odmiany te zachodzą szczególnie w plamach około oczu i w pierścieniach ogonowych. Ztąd niektórzy badacze natury poczytali takie odmiany za oddzielne gatunki i odznaczyli je nazwami *N. rufa, fusca, pusilla*. (O. drobny, rudy, ciemny.) Rengger wykazał że to są tylko odmiany, które można spostrzedz nawet u młodych z tego samego pomiotu.

Stadkami złożonemi z ośmiu do dwudziestu sztuk zamieszkują lasy ogromne, które niekiedy tylko dla zwiedzenia jakiejś małej dąbrowy opuszczają. Mijają jednak okolice bagniste, gdyż mają wstręt do wody, choć w razie potrzeby pływają zrećnie. Przebywają











na drzewach albo na ziemi, nie mając osobnego legowiska, ani też wyłącznego miejsca pobytu. Gdzie ich noc napadnie, tam i pozostają, powłaziwszy albo w dziuple, t. j. w wypróchniałe drzewa, albo położywszy się na gałęziach lub pod korzeniami i tak śpią do świtu; południe tam także prześpią gdzie się znajdują. Błędnie twierdzą dawniejsi podróżnicy, że Ostronosy pod ziemią nory kopią i że należą do zwierząt nocnych. W nocy śpią tylko, a przez dzień błakają się po lesie szukając pożywienia składającego się z młodych ptaków, ich jaj, różnych owadów, oraz gąsienic, dżdżowników i owoców. Skoro takie stado przeciąga rozpierzchnięte, słychać już że rechcze pierwój niż je zobaczyć można; zwierzęta te wydają bowiem chrząkanie dzikie, chrapliwo-piszczące, sobie tylko właściwe. W przechodzie starannie przepatrują ziemię pokrytą liśćmi i zgniłymi gałęziami, jako też w większe dziuple i najmniejszą szparę wtykają swój nos przedłużony. Nigdy jednak długo nie zatrzymują się przy tymże samym przedmiocie, tylko przebiegają szybko od jednego do drugiego. Kiedy w spróchniałym drzewie lub na ziemi zwierzą jakiś owad, jakową gąsiennicę, zaczynają w tej chwili drapać w tym miejscu pazurami nóg przednich, póki nie odszukają swój zdobyczy, wścibiając od czasu do czasu nos w wykopany otwór, zupełnie tak jak nasze psy myszkujące na polu. Niekiedy całe towarzystwo nagle wskakuje na drzewo, przepatruje je pospiesznie i równie prędko opuszcza ażeby wdrapać się na drugie. Gdy zlążą z drzewa, obracają zadnie nogi na zewnątrz i wstecz je cofają, do pnia niemi przylegając, podczas kiedy głowę mają na dół zwróconą; takim zstępowaniem różnią się od niedźwiedzi, które zawsze tyłem schodzą. Nie przeskakują z drzewa na drzewo tak jak małpy, koty, wiewiórki, lub inne zwierzęta, ztąd też łatwo ich zastrzelić. Ledwie zobaczą nieprzyjaciela wskakują zaraz z krzykiem na drzewa, gdzie łatwo strzał ich ugodzi. Ale trzeba tak celować żeby zwierz padł na miejscu, bo ma wielką siłę życia i skoro się czuje ranionym, przyczaja się między gałęzmi tak, że z przyczyny niedostępności olbrzymich dziewiczych lasów zwykle myśliwi znaleźć nie mogą. Ścigany, po wskoczeniu na drzewo zeskakuje z niego wkrótce; zwłaszcza wtedy kiedy się w drzewo stuka, lub się nań włazi. Lecz na ziemi łatwo go psy dościgną i zagryzą, lubo nie małe rany ponoszą w tej walce, gdyż Ostronos nadzwyczaj silnie kąsa i z wielką zręcznością umie się obracać na wszystkie strony i stawiać czoło nieprzyjacielowi. Szczególniej też większego i silniejszego Ostronosa Samotnego zaledwie

kilku psów pokonać może, a i te jeszcze rzadko całe wychodzą z podobnej walki.

Ostronosy lubo żyją w towarzystwie, nie widać przecież między niemi wielkiej zgody. Każde zwierzę należące do stada, dba tylko o siebie, a troszczy się o swoich towarzyszy tyle tylko że ich nie opuszcza. Przytém starsze zwierzęta zdają się prowadzić całą gromadę. Ostronos wygląda pozornie ociężały, jednakże jego ruchy są niezmiernie żwawe. Po ziemi chodzi zwykle krokami lub w susach podskakuje, w każdym razie stąpając tylko palcami, a nigdy całą stopą. Wtedy zaś tylko na stopie się opiera, kiedy stoi spokojnie lub siedzi na zadnich nogach. Gdy chodzi lub skacze, trzyma zawsze ogon rozłożony i przechylony nieco na bok.

Małe, czarne, ukośnie się rozchodzące oczy Ostronosa, nie mają żadnego wyrazu. Widzi też tylko w dzień i to nie szczególnie bystro, za to słuch i powonienie ma doskonałe, a jego trąba jest bardzo czułym organem dotykania.

Bardzo jest wytrwały na deszcz, ciepło, zimno, które obojętnie znosi. Azara wspomina o jednym Ostronosie, który drapiąc się pazurami otworzył sobie wrzód na brzuchu i z czasem tak ranę powiększył, że kiszki wychodziły; nie zdawało się jednak, żeby to mu wielkie sprawiało cierpienie. Niezaprzeczenie dowodzi to wielkiej trwałości życia w Ostronosie.

Co do zmyślności, stoi w rzędzie mięsożernych na bardzo niskim stopniu rozwinięcia. Renggier twierdzi że mało jest zwierząt ssących, któreby mniej od towarzyskiego Ostronosa posiadały pojętności. W jego obyczajach dopatrzeć żadnego związku nie można. Pamięć ma niezmiernie słabą, bo nie pomni ani dobrodziejstw, ani obrazy, ani przypadków, którym kiedykolwiek podlegał. Ztąd nie umie niebezpieczeństw unikać, ślepo na nie idzie, a zdarza się czasem, że kilka razy wpada w jedno. Lubo schwytywany młodo, bywa bardzo łagodny, jednakowoż w żaden sposób woli ludzkiej poddać się nie chce. Nawet biciem nieda się przewyciężyć, lecz śmiały stawia opór i gryzie każdego co się z nim źle obchodzi. Jeżeli nareszcie dozorczy tak go zbiją że uczuje ich przemoc, i wtedy jeszcze nie myśli o ucieczce, stara się tylko ocalić od razów głowę, kładąc ją na piersiach i nakrywając przedniemi łapy, co zdaje się objaśniać, że główne siedlisko czucia, ma w przedłużonym nosie. Nie tylko zaś przeciw ludziom tak się mężnie broni, ale przeciwko wszystkim innym napastnikom, psom szczególnie. Nawet oswojony, ciska się na żbików,



choćby go nie napastowały i do ucieczki ich zmusza. Główna przyczyna że rany przezeń zadane, są tak głębokie i niebezpieczne, zależy od kształtu kłów, bardzo długich i nieokrągłych ale obosiecznych. Żeby zęby wyjąć po ukąszeniu, nie otwiera pyska, ale jak piłę wysuwa, nie robiąc pojedynczej rany, lecz głęboką i mniej-więcej długą szparę.

Samica miéwa na wiosnę troje do pięciu małych, które trzyma ukryte w wydrążeniach drzew, w jakich norach lub w rowie gęstemi krzakami obrosłym, dopóki nie mają dosyć siły, żeby wędrować z całą gromadą. Na takie wyrośnięcie wystarcza im kilka tygodni czasu, bo w stadach można spostrzedz młodziutkie zwierzęta, które zaledwie dostały zębów przednich. Rosną bardzo powoli; dopiero w drugim roku tracą zęby mleczne, a w trzecim dorastają. Ztąd wnosić można że Ostronosy dosyć późnego dochodzą wieku.

Przy doskonałości środków obrony i przy zręczności i odwadze z jakimi ich używa, nie powinienby Ostronos mieć innych nieprzyjaciół oprócz człowieka i trzech gatunków żbika, które żyją w tamtych lasach.

Mieszkańcy Paragwai polują nań po większej części dla zabawy, lecz dzicy Indianie używają mięsa i skóry. Pierwsze gdy pochodzi z młodych, uważane jest za łakotkę i Rengger zapewnia, że skoro porządnie przygotowane, wcale niezłego jest smaku. Słusznie tu podaje za dowód, że Ostronos więcej się żywi roślinami i owadami niż mięsem zwierząt grzbietnych.

W Paragwai wiele młodych oswajają i trzymają w niewoli, dorosłe zaś nie dają się nigdy przyswoić. Młode żywią zwykle mlekiem i owocami, a później mięsem, które Ostronos je i gotowane i surowe. Z owoców lubi najlepiej melony i arbuzy. a mięso je najchętniej wołowe; do takiego zaś które psuć się zaczyna, wstręt czuje wielki. W ogólności nie można powiedzieć żeby był chciwym na mięso, można go bowiem całemi miesiącami utrzymywać na roślinnych pokarmach, a jego zdrowie nic na tém nie cierpi i drób domowy nie obudzi jego łakomstwa. Wodę pije często, w znacznej ilości i téj mu nigdy brakować nie powinno. Gdy mu rzucają jądło chwyta naprzód przednimi łapami, potem zębami i w kąt zanosi, gdzie je

pazurami nóg przednich szarpie i rozdziera, przed zupełnym zjedzeniem. Jaja zwykle rozgryza i wyluskuje na ziemię, zlizuje dopiero. Wnętrze melona i pomarańczy starannie oddziela od skórki zewnętrznej; często wyjada je włożywszy łapkę we środek i wydzierając po kawałku, do pyska niesie. Rzeczy płynne pożywa liżąc, przyczem swój ruchomy nos ile możności unosi żeby się w płynie nie umoczył.

Raz oswojony jest bardzo łagodnym i z każdym chętnie igra, przyczem nieraz robi poruszenia bardzo do małych podobne, a w każdym otworze sukni osoby z nim się bawiącej, plondruje w zabawny sposób. Nie robi wszakże żadnej różnicy między osobami dozorującymi go, a obcymi. Dla wszystkich ma jednakowe pieszczoty i igraszki. Względem innych zwierząt domowych jakimi są: psy, koty, kury, kaczki, dobrze zachowuje się i zabawia z niemi wesoło. Tyłko przy jedzeniu żartów nie pojmuje i choćby był najłagodniejszy, kąsa każdego kto mu chce zabrać pożywienie.

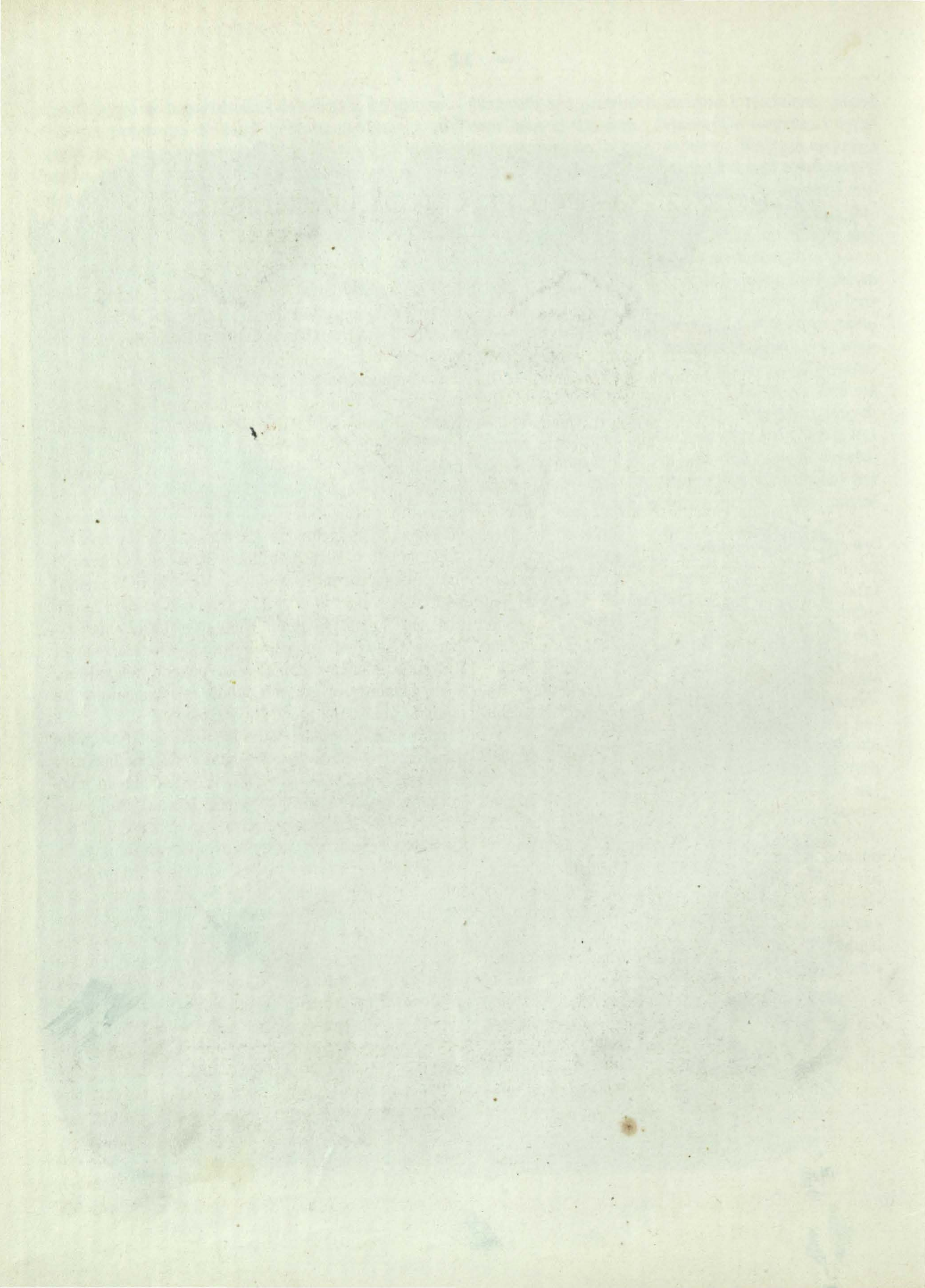
Rzadko kiedy trzymają go w klatce. Zakładają zwykle lekki naszyjnik i uwiązane na rzemieniu, na podwórzu trzymają. Nie ma obawy żeby się starał przegryść obrozę: puszczone wolno nie myśli o ucieczce, jednakże nie można go puścić swobodnie, gdyż robi szkody, każdy przedmiot nosem swoim nurtując lub łapami wywracając. Ostronos samotny, który się od pokrewnych sobie gatunków, różni jeszcze zamiłowaniem odosobnionego życia, ma daleko więcej pojętności od poprzedzającego. Jeszcze łatwiej się da oswoić, rozróżnia dobrze swoich dozorców od obcych osób, pamięta długo wyrządzoną mu krzywdę i nawet nieraz w sposób podstępny, zemstę przygotowuje. Daje się jednak różnych sztuk wyuczyć ludziom, którzy koło niego chodzą. Rengger widział takiego Ostronosa, który na rozkaz swego pana służył jak pudel, a na ustami naśladowany wystrzał broni ognistej, upadał jak nieżywy na ziemię. Z temi zwierzętami jednak trzeba się obchodzić bardzo łagodnie, gdyż bicia nie znoszą, choć tyłu na świecie ludzi znosić je musi.

J. Śmigiel...











## RZECZPOSPOLITA KOLUMBIJSKA.

Ta część Ameryki południowej ku północy położona, jak wszystkie inne prowincje nowego świata, zawiera w sobie tyle bogactwa roślinnego i kruszcowego, tyle fenomenów przyrody, iż dla nas Europejczyków przedstawia się jakby cudownością otoczona. — Dla nas, nawykłych do jednostajnych widoków, do rzek lubo rozlewających się czasem, zawsze trzymających się koryt swoich; do pięknych szklistych jezior zawsze stojących; do żyznych łąk na których praca rolnika spodziewać się może zawsze plonów, chyba je częściami przechodnia chmura uszkodzi; zgoła, dla nas zabezpieczonych przez naturę i sztukę od wielkich katastrof; jakże zajmującą, cudowną wydać się musi kraina, gdzie się co chwila napotyka dziwne zmiany; gdzie żyzny grunt zamienia się w step piaszczysty, zielone łąki w huczące wody, które jakby nasyczone, zmordowane gwałtownym ruchem, olbrzymimi kataraktami, jakiemi przez czas jakiś napełniły okolice, wracają do rzek swoich a z niemi do morza, zostawując w pokoju rozległe sawanny po których szumiały.

Kolumbia, oprócz tym podobnych ciekawości, obudzić może zajęcie ze względu na swój polityczny byt do którego tak jeszcze nie dawno, bo w początkach naszego wieku powołaną została. Któż nie słyszał o walecznym, heroicznym Boliwarze, którego pierwszy fundamenta jej samoistnego bytu położył? Szymon Boliwar był rodem z Karakas; oswojony kraj swój od władzy hiszpańskiej, rządził nim a raczej należał do rządu przez lat jedenaście. — Zrazu w 1819 roku był czas jakiś dyktatorem, a potem prezydentem, lecz nie dość jeszcze wyrobione żywioły republikańskie w obszernej jego ojczyźnie, na tysiąc niezgód, scen krwawych, narażały ją nieustannie, tak, że Boliwar z gorącym sercem, nie mogąc mieć zimnej europejskiej wytrwałości, sam złożył naczelnictwo swoje, i głęboko rażony zawodami jakich jego młoda, czysta natura spodziewać się mogła, wkrótce żyć przestał.

Wspomniawszy tu o Boliwarze, słusznie zdaje się będzie zacząć opis kraju, którym rządził, od miejsca urodzenia jego — Karakas stanowi część rzeczypospo-

litęj Kolumbijskiej a raczej jest jedną z trzech rzeczypospolitych, albowiem za Boliwara jeszcze powstały dwa stronnictwa: jedno było za utrzymaniem w całości rzeczypospolitej; a drugie tak zwane federalistów, upierało się o rozdział na trzy części czyli na trzy rzeczypospolite zfederowane, to jest: Karakas, Nową Grenadę i Ekwator. To ostatnie z żalem Boliwara w roku 1829 otrzymało zwycięstwo. Część tę kraju nazywają powszechnie Wenecyellą; nazwisko to dali jej jeszcze pierwsi podbójcy, z powodu iż postrzegli całe osiadłości krajowców jakby na morzu, na jeziorze i małych wysepkach zamieszkałe, co słusznie uznali bardzo zbliżonem do Wenecyi i nazwali małą Wenecyą, czyli tłómacząc dosłownie Wenecyjką (Venezuela). Jezioro Marakaibo, o którym mówimy, ma 50 mil długości a 30 szerokości, ma styczność z morzem, lubo wody jego są słodkie; wioski Indyjskie, chociaż bez porządku pobudowane, ale na bardzo mocnych i gęstych palach tak umocowane, że pomimo wezbrania nie ulegają zepsuciu.

Głównem miejscem zarządu a razem stołecznem miastem jest Leon Karakas, tam mieszka biskup i wielkorządca. Ostatnie wielkie trzęsienie ziemi miało tam miejsce 1812 roku — rzecz dziwna, ale powiedzieby prawie można, że wzrost cywilizacji i na takie nawet katastrofy natury wpływ wywiera, gdyż to trzęsienie było ostatniem, tak właśnie jakby wstrząśnienie umysłów, wojny domowe na jakie ten nieszczęśliwy kraj był wystawiony, od tamtego czasu miały już zastąpić klęski z fizycznego wstrząśnienia spowodowane. Przedtem miało być wiele bardzo pięknych gmachów i 40,000 ludności. Pomimo że jest na nierównym gruncie pobudowane i czterema rzekami otoczone, przecież ulice jego są dość regularne. Ma uniwersytet którego nieustępuje okolicznym. Odznacza się to miasto powietrzem łagodniejszem niżby się spodziewać można po jego geograficznem położeniu, które jest do 460 stóp nad powierzchnią morza. Port najbliższy miasta, bo tylko o 5 mil odległy, jest Guayra — tam już różnica w klimacie — powietrze gorące i niezdrowe, może z tej przyczyny iż morze błotniste. Wspominają także przystań nieodległą



Puerto-Kabello, postawioną na wyspie, za pomocą mostu ze stałym łodem połączonej; także tam z powodu błotnistych brzegów powietrze nie zdrowe, mimo to miasto jest niezmiernie handlowe i liczy 8000 mieszkańców, którzy zawsze mają najmniej 60 statków żeglujących ciągle.

Nie jest tu miejsce ażeby wyliczać wszystkie miasta i miasteczka jednej z najludniejszych prowincyj Ameryki południowej; wspomnimy jednak o niektórych ciekawszych jak np. o Barcelonie jako o większym mieście, liczy bowiem 20,000 mieszkańców: drugie miasto w Marakaibo położonem na lewym brzegu jeziora tegoż samego nazwiska, o 6 mil od morza. Odznacza się trzema fortami ku obronie miasta służącymi — mimo gorącego klimatu powietrze ma dość zdrowe, zapewne z przyczyny że na piaszczystym stoi gruncie — mieszkańcy miasta poczytani są za dobrych marynarzy i dobrych żołnierzy.

Wspomnieć musimy o szczególnym fenomenie wydarzającym się na jeziorze Marakaibo; w miejscu gdzie rzeka Zulia wpada do jeziora, znajduje się mnóstwo żywicy, którą zowią smołą mineralną; wyziewy smolne a tém samym palne, które się wydobywają z téj żywicy, unoszą się po nad jeziorem i w czasie wielkich upałów zapalają się — można sobie wyobrazić, jak dziwny, czarujący przedstawia widok w taki sposób iluminowana woda: wszystkie sztuczne, ginące tak szybko ognie, tracą swój urok, przy téj iluminacji naturalnej, która jak mówią ma być bardzo pożyteczną dla marynarzy, wskazuje im bowiem brzeg do którego kierować mają; to téż krajowcy nazwali te ognie latarnią Marakaiby.

Do rzeczypospolitej liczy się Gujanna należąca do departamentu Orenoki; wielka tu już różnica w cywilizacji i ludności; na ogromnej przestrzeni 29,000 mil kwadratowych liczącej, rachują tylko 40,000 mieszkańców znanych i prawom poddanych; z pomiędzy tych przeszło 20,000 Indyan znajduje się pod dyktando misyonarzy. Podczas bytności Humboldt'a, kapucyni pewnej reguły zdołali zgromadzić około 17,000 krajowców nad brzegami Karony i do uprawy niektórych pożytecznych drzew zachęcili, lecz wojny domowe za czasów jeszcze Boliwara, zniszczyły owe posiadłości. Jednym z ciekawych fenomenów tych cudownych okolic są rzeki zwane czarne — (miejsca które mi przepływają odznaczają się szczególną świeżością powietrza:) i rzeki koloru kafowego jak Atabapo. Te i im podobne gdy płyną wśród gęstych kasztanów, przybierają zupełnie kolor czarny, ryba nie postanie w téj wodzie i krokodyl jej nie lubią. Owady kęsające

pierzchają z tamtąd, a człowiek zapewne nie bez smutnego wrażenia spogląda na owe żałobne wody; lubo mówią że dziwnie piękny bywa widok, gdy promienie księżyca odbijają się w tych czarnych nurtach. Przyczyną tego ciemnego koloru wód, jest, zdaje się, wielka ilość węglanu wodorodnego rozkładającego się w wodzie i ztąd może powietrze dokoła jest świeże i zdrowsze niż gdzieindziej, a grunt, którym płyną, obfity w różnego rodzaju rośliny i krzewy.

Humboldt powiada że opuściwszy wilgotne brzegi Orenoko i doliny Karakas, miejsca w których przyroda nie szczędziła życia organicznego, podróżny uderzony zdziwieniem, wchodzi do pustyni wszelkiej pozbawionych roślinności, a pustynie te znane są pod nazwiskiem Lianos czyli Yanos. Ani jedna skała, ani jeden nawet pagórek nie wznosi się na téj pustej przestrzeni około 2,000 mil kwadratowych mającej. Często spostrzedz można dziwne fenomena na tém piaszczystém morzu: tumany piasku wznoszące się, przedstawiają cudowny widok z powodu łamiących się promieni słońca, jest to rodzaj ludzkiego okomirażu. Jeszcze dziwniejszem nad to zjawisko jest zmiana, jakiej cała pustynia ulega, z powodu deszczów które za sobą rozlewy pociągają; wtedy sucha do piasków Libii podobna puszczę, zamienia się w zielone stepy środkowej Azji. Trudną jest do zamieszkania taka okolica, mimo to jednak na brzegach rzek zakładano jakie takie posiadłości, zaczęto chować domowe bydło, które się tam bardzo rozmnożyło mimo niebezpieczeństw grożących czy to w czasie posuszy czy téż z powodu powodzi podczas deszczów.

Od południa ta wielka płaszczyna jeszcze straszniejszą i dzikszą otoczona naturą. — Nie przebyte lasy i skały sterczą otaczając ją jakby murem — skały ścieśniają koryta rzek i są przyczyną powodzi, sprowadzają liczne wodospady, które szumiąc i rycząc zdaleka mieszają się z odgłosem i rykiem dzikich zwierząt, prawdziwie piekielną stanowią muzykę.

Do przeważnej sprzeczności należy i to, że kiedy po miastach są już szkoły, akademie, tam wśród tych pustych przestrzeni, czy to leśnych, czy górzystych, czy stepowych i płaskich, znajdują się ludzie prawie dzicy, a co dziwniejsza z najrozmaitszemi zwyczajami i z najodmienniejszą mową. Niektórzy z nich jak Otomaki są zupełnie koczującymi; rolnictwo im jest obce, żywią się mrówkami, ziemią, gummą, są uważani za odrzutków społeczeństwa. Przecież ci ludzie lubo są dzicy, okrutni, mają pewien porządek zadziwiający w mowie swój odmienną od innych dyalektów; misyonarze, którzy się tam dla nawracania ich dostali, od-



kryli w ich języku składnię bardzo regularną i sztuczną. W Europie, w krajach ucywilizowanych, spotykamy osoby namiętnie lubiące jeść węgle; tego upodobania truono wytłumaczyć, czyby to było usposobienie chorobliwe, potrzeba chwilowa natury? jak jedzenie kredy i t. p.—czy też resztką pozostałej dzikości?—tacy ludzie najmniej dziwić się powinni. Otomakom i Jarirom jedzącym ziemię, témbardziej że oni nie jedzą każdego rodzaju ziemi i nie jedzą jej na surowo—podniebienie ich odróżniać umie tak rodzaj ziemi, jak i dobre jej przyrządzenie. Wybierają ziemię tłustą, glinowatą, robią z niej jakby bułki i pieką tak, że powierzchnia ich zupełnie jest zrumienioną. W czasach kiedy rozlew wód dostarcza im ryb, jedzą je, a te bułki służą im jak deser—kiedy zaś nie mają ryb, jedzą rozmaite korzenie, mrówki, i te bułki rozmiękczone wodą, z których sobie znaczny robią zapas.

Obok pokoleń koloru miedzianego, wzrostu dość dużego, dziwną stanowi sprzeczność Indyanin Gwajkas—lud ten żwawy, biały, nadzwyczaj małego wzrostu, jest bardzo bitnym.

Nie rozpisując się szczegółowo o rozmaitych usposobieniach ludzi osiadłych a raczej rozrzuconych tu i ówdzie na tych olbrzymich przestrzeniach, powiemy iż w ogóle naród Karaibów, którym niegdyś obsadzone były brzegi, od Surinam do Vela, nim zdobywcy europejscy wyplenili ich w bardzo wielkiej ilości, odznacza się pomiędzy wszystkimi krajowcami zwinnością i odwagą. Szybko za pomocą dęcia w morską muszlę zwołują się do bitwy, z której nie ustępują łatwo placu; wioski ich dość porządnie budowane, rządzone są przez obieralnego naczelnika, którego Europejczycy zowią kapitanem.

Według zdania wielu podróżnych język karaibski jest najmniejszy, najwięcej mający dźwięku ze wszystkich języków na świecie, ale dzieli się na rozmaite dialekta mniej więcej wyrobione, stosownie do stopnia wykształcenia mówiących nim pokoleń. Te pokolenia rozmaite noszą nazwiska, z których wnosićby można o usposobieniu poetycznym ludu i tak np. jedno z pokoleń nazywa się siostrą Niedźwiedzia, drugie córką Palmy. Bardzo mało mamy wiadomości historycznych o zaburzeniach, jakie miały miejsce przed wiekami w owym tak nam niedawno bliżej znanym świecie. Pierwsi zdobywcy tylko korzyść materialną mający na celu, nie pracowali nad tém żeby jakieś choć tradycyjne o przeszłości tych miejsc zebrać wiadomości. Dziś więc widzimy tylko ślady odmian, ale przyczyny ich odgadnąć nam trudno. I tak na rozległej przestrzeni pomiędzy rzekami Kossikiarem a Ata-

bapo nie spotyka się wcale ludzi—mnóstwo małp i tapirów (rodzaju czworonożnych zwierząt wielkości osła, z grzywą szpecinowatą i z trąbą jak u słonia) tam się gnieźdzą, a przecież grunt nie jest tam gorszym niż gdzieindziej. Widać że jakaś wojna, jakieś niepojęte dla nas zmiany, te okolice w pustynie zmieniły. Była ona niegdyś zamieszkałą przez ludy, które nie tylko że w społeczński porządek uorganizowane być musiały, ale nawet o sztuce pewne wyobrażenia mieć mogły; albowiem spotyka się tam na granitowych skałach mnóstwo różnego rodzaju rzeźb, po większej części jakieś symboliczne figury oznaczających—są tam także i niektóre narzędzia domowe widać do symbolu potrzebne, a wyobrażające krokodyłów, tygrysów, słońce i księżyc. Dziś na tej ziemi zabytki innej przeszłości noszącej, śladu żadnego mieszkania, żadnej stopy ludzkiej nie znajdziesz, a sąsiednie ludy, bez najmniejszej cywilizacji, prowadzą życie koczujące.

Przed ostatnimi zaburzeniami domowemi ludność Karakas rachowali do miliona, z tych 200,000 Hiszpanów, 450,000 Amerykanów wolnych, 60,000 niewolników, 28,000 Indyan. Dzisiaj ta część Kolumbii składająca się z trzech departamentów Orenoka, Zulia, Wenezuela, w skutek wojen domowych tylko 800,000 liczy mieszkańców.

Druga z porządku rzeczpospolita Kolumbijska jest Nowa Grenada której stołeczne miastom Bogota jest zarazem rezydencją rządu i arcybiskupa—ma uniwersytet, bardzo wiele wzniosłych domów i pięć wielkich i sztucznych mostów—Zbudowana w bardzo dogodnym i pięknym miejscu, przy lewym brzegu rzeki tegoż nazwiska, przytyka do jednej gałęzi Kordylierów, z których dwie góry zasłaniają od uraganów wschodnich; powietrze ma nieco wilgotne lecz zdrowe. Częste trzęsienia ziemi jakim ulegała wpłynęły na sposób stawiania domów, architektura więc ich jest bardzo prosta, ściany stawiane są z cegły suszonej na słońcu i są nadzwyczajnej grubości, zaś szyb szklanych niedawno dopiero używać tam zaczęto. Jednym z najznacniejszych budynków jest kościół katedralny, postawiony 1814 r.; wspominają podróżni o nadzwyczaj wielkich kosztownościach jakie się tam znajdują; jedna statua Matki Boskiej jest wysadzona brylantami pięknymi, których 1335 liczą. Oprócz tego kościoła, miasto ma dwadzieścia kilka innych, dziewięć klasztorów męzkich, trzy kobiece. Do najznakomitszych gmachów miasta należą: pałac senatu, teatr, uniwersytet i mennica.

Trzy główne ulice lubo nie dobrze brukowane, ma-



ją jednak boczne chodniki. Na dużych czystych placach biją wiosłe fontanny i świeżą wodą chłodzą powietrze.

W Bibliotece miasta znajduje się do 12,000 książek; jest ogród botaniczny, obserwatorium, szkoła medyczna i akademia; mieszkańców liczą do 40,000 mają być spokojni, uczciwi, przed kilkunastu laty założyli towarzystwo naukowe, wpływające na publiczną oświatę. Okolice miasta są przyjemne. Dziwna rzecz że właśnie w tej części kraju tyle już warunków do cywilizacji posiadającym, ustanowionym został zwyczaj, w okolicach barbarzyńskich nieużywany, zwyczaj poniżający używania człowieka za konia. Najczęściej Idyanów do tego używają. Biedak zamieniający się w konia, jest lekko bardzo ubrany a nawet często półnagi, na plecach ma przymocowany rodzaj krzeselka; jeździec wsiada na to krzeselko ze szpicrutą a czasem nawet z ostrogami, któremi przypomina równemu sobie człowiekowi, że jest zastępcą konia. Tacy ludzie nazywają się *Kargueos*. Témbardziej oburzającym jest ten zwyczaj, że w okolicach znajduje się wiele wołów, któreby wybornie miejsce podobnych ludzi zastąpić mogły.

W okolicach Bogoty klimat umiarkowany, nawet pszenica europejska wybornie się tam uprawia; rosną brzozy, glóg i inne krzewy, gdyż miejsca te są góryste. Za to w innych okolicach Grenady, w położeniach niższych, nad brzegami morza, powietrze jest nader nie zdrowe. W niektórych nawet miejscach, jak w Kartagenie, żółta febra jest zwyczajną. Rozmaitości klimatu pochodzą, z powodu położenia mniej więcej wysokiego, z bliskości niektórych wód, bagnisk lub skał. W mieście Nanda, które nawet o 150 stóp leży nad powierzchnią morza, tak jest okropnie gorąco z przyczyny odbijania się promieni słońca o skały, któremi miasto otoczone, że niepodobna położyć ręki na kamień, a rzeka *Magdalena* przepływająca wśród tych skał, zupełnie do dobrze ogrzanej wody podobna.

Opuściwszy otoczone skałami miejsca, znów się spotyka z odmienną roślinnością, z łagodnym, prawie nieustannym wiosennym klimatem; słowem, ta bogata we wszystkie produkty tak mineralne jak roślinne ziemia, potrzebuje tylko zdaje się zaludnienia i cywilizacji powszechnej, która, wątpić nie można, przyjdzie z czasem, gdyby te różnorodne pokolenia pod wpływem chrześcijańskiej oświaty, rozradzać się i organizować w towarzystwa poczęły. Wtedy przemyśl, dbałość o dobro powszechne i tym podobne środki podałyby im tysiąc sposobów do zużytkowa-

nia bogactw przyrody. Tamy zatrzymałyby uragany piasku zasypujące zielone sawanny; rozszerzone i ujęte w karby koryta rzek, zapobiegłyby wylewom i t. d.

Widząc koleje żelazne, tunele pod Tamizą, porozbijane prochem skały na cudownej kolei Zimeryngskiej, <sup>1)</sup> nie można zdaje się położyć granicy działalności siły moralnej, chcącej nad materią zapanować; nie można zwątpić o dobrych skutkach prac człowieka: prędzej czy później, w miarę własnego udoskonalenia się, odniesie się zwycięstwo nad martwą, szkodzącą naszym wielkim i dobrym zamiarom, materią. Nieszczęściem dla nowego świata nie prędko tam pożytecznego skutku tej walki spodziewać się można. Cywilizowani mieszkańcy zamykając się w wyjątkowym samolubstwie kółku, ani myślą o podniesieniu biednych, w dzikości żyjących braci, którzy niedoszedłszy do poczucia własnej siły i godności, zamiast starać się usunąć opór ze strony dzikiej przyrody, zabobonnie poddają się jej władzy. Nie możemy się im dziwić, słysząc jak jeszcze między naszym poczciwym ludem spotkać można przesąd, iż budynku piorunem zapalonego nie godzi się ratować. Od podobnych, do najwyższej potęgi posuniętych zabobonów, ginie masa biednych Indyan.

Mianowicie w okolicach bogatych kopalń, żył złotych, nędza i niecnota pracującej klasy jest uderzającą. Naprzykład Szoko, część prowincji Antyochii, ma żyzny grunt, ale głód najgwałtowniej nawiedza jej mieszkańców, bo tam żyły złota, z których raz wydobyto kawał ważący 25 funtów, stały się celem wszystkich zabiegów, a człowiek pracujący około nich stał się gorzej niż zwierzęciem; zamieniono go raczej w machinę nadzwyczaj taną, której nawet szanować nie trzeba, bo skoro się popsuje, można na jej miejsce mieć drugą. Osadzone niewolnikami afrykańskimi lub Indyanami jęczącymi pod despotyzmem Korregidorów <sup>2)</sup> nieszczęśliwe Szoko (Choco) zostało tém, czém było przed trzystą laty, bez żadnego porządku administracyjnego, ba nawet bez dróg, bez rolnictwa, bez pastwisk. Ginę tam ludzie z głodu i nędzy; ale kopalnie zawsze bardzo dobrze idą, bo robotników czyli niewolników nie braknie. Tam złoto zatarło w ludziach cechy człowieczeństwa, a raczej tam, jak wszędzie, goniący za złotem, nie pytają o sposoby jakimi go dostać, byle dostać.

<sup>1)</sup> Patrz spis w Księdze Świata z r. 1858.

<sup>2)</sup> Nazwisko hiszpańskie urzędnika cywilnego oznaczające.



Nowa Grenada posiada także miejscami obfite żyły srebra, tudzież drogie kamienie, miejscami nawet drobne dyamenty; lecz najpiękniejsze ze wszystkich są szmaragdy, znajdujące się w wielkiej ilości; niektóre z nich, jak w syberyjskich kopalniach, połączone z kryształem. W dawnych grobowcach Indyan można znaleźć ich wiele oczyszczonych i starannie, umiejętnie odrobionych w kształty okrągłe, podługowate ośmioboczne i t. p. Dzisiejsi krajowcy nie wiedzą jakim sposobem owe zarodki początkowej sztuki dokonane były. Widać że ten biedny lud zwolna dochodził do pewnego stopnia wykształcenia, bo już czcił groby zmarłych i jak umiał stroił je w najdroższe, a raczej w najpiękniejsze, bo ceny wtedy nie znał, kamienie. Zwolna możeby się w nim pojęcie piękna, pojęcie sztuki coraz bardziej rozwinęło, gdyby nie bracia cywilizowanej Europy, którzy nie pojmując woli Opatrzności dającej im skarb w tych ludziach nowych, których doprowadzić i podnieść do uznania Jój mogli, myśleli że tylko w ziemi skarbów szukać powinni kosztem właśnie spół-ludzi. Tak wsteczną kierowani myślą, część wytepidli, część rozpierzchła się w nieznane dzikie okolice i straciła pamięć kielkującej już cywilizacyi, której ziarno rzuciła bogata przyroda, stawiając im wzory, mogące rozwinąć zwolna poczucie wszystkiego co piękne i użyteczne. Wątpić zdaje się nie można, że ludzie zapatrując się tylko na dzieła natury, nauczyli się je naśladować. Patrząc na piękne, olbrzymie mosty jakby ręką ludzką stawiane w niedostępnych miejscach, powzięli myśl choć karłowate na małych rzekach, z pali i gałęzi, tworzyć przejścia. Najslawniejszemi naturalnemi mostami w Ameryce południowej, są dwa mosty w dolinie Ikonozo w Nowej Grenadzie. Czy to w skutek trzęsienia ziemi, czy też z jakiej jeszcze potopowej przyczyny, strumień wypadający wśród rozłomu gór skalistych, któremi jakby murem ręką ludzką wyrobionym; dok oła jest otoczona dolina Ikonoza, tworząc pyszną kaskadę, przebiega dolinę pod nazwą rzeki Summa-Paz. Na téj-to rzece a raczej na początku Katarakty, skały w tak dziwnym ułożyły się porządku, iż stanął most na arkadzie czterdzieści kilka stóp długiej a trzydzieści kilka szerokiej — grubość jój w środku kilka stóp wynosi. Wysokość tego mostu wznosi się nad powierzchnią rzeki o 298 stóp. Trzy olbrzymie spadłe skały, podtrzymują się tu wzajemnie, a środkowa zamyka arkadę. Humboldt mówi słusznie, iż patrząc na to krajowcy, mogli byli powziąć myśl używania w budownictwie łuków, czego wcale w architekturze nowego świata jak i u Egipcyan nie znali.

Pod tym mostem o 60 stóp niżej, znajduje się drugi, do którego mała z górnego mostu prowadzi ścieżka. Po środku tego drugiego mostu, znajduje się otwór ogromny, przez któren widać głąb przepaści. Zdaje się, spojrzawszy tam, że prąd wody przez ciemną płynie pieczarę. Przykry, żałobny jakiś dźwięk daje się słyszeć, wydają go ptaki nocne, lęgające się w tym otworze. Indyanie mówią że te ptaki są wielkości kur, oczy mają podobne do sowy, a dzioby zakrzywione. Niepodobna dostać takiego ptaka z powodu głębokości miejsca. Ten podwójny most wznosi się o 458 sążni nad powierzchnię Oceanu, bez niego nie byłoby można przejść przez potok i dostać się na drugą stronę doliny. To dziwne natury dzieło znajduje się na drodze z Bogoty do Iboquo, małego miasteczka niegdyś przed wojną domową bardzo kwitnącego.

Lubo nie mamy zamiaru szczegółowo opisywać wszystkich prowincyj i miast wspomnionych przez podróżujących, w rzeczachpospolitych kolumbijskich, musimy jednak wymienić jeszcze kilka ważnych jak np. Prowincję Antiochio, wiele bogactwa we wnętrzu ziemi zawierająca; kilka jój rzek, na pokładzie łożysk swoich, mają piasek złoty, kilka min tego kruszczu już zdobyto; oprócz tego mnóstwo srebra, miedzi, merkuryusza, soli. Dochód z tych kopalni wynosi rocznie 1,200,000 piastrów — lubo cała prowincya prawie zupełnie lasami zarosła, przecież miasto Antiochii, zwane *Santafi*, leży wśród doliny otoczonej żyznemi gruntami, gdzie trzcina cukrowa, mois, figi obfite wydają plony. Samo miasto nad brzegami Tomizko liczy 20,000 mieszkańców, którzy na całą okolicę słyną z przemysłu a mianowicie rękodzielnictwa. Mówią że trudno o lepszych ślusarzy, stolarzy a nawet złotników.

Co do przyjemności miejsca, wyższość nad Antiochią ma miasto Medellin, zaledwie o 12 mil odległe, w pięknym położeniu, porządnie zabudowane, gdzie klimat łagodny pociąga mieszkańców, tak, że ich liczą przeszło 15,000.

Do dziś dnia w starych geograficznych kartach i dawnych geografiach nazywano *ziemią stałą* część północną Kolumbii, pod to nazwisko kładąc prowincye Karakas i Nową Grenadę: tymczasem dzisiaj właściwie *ziemią stałą* się jeszcze zowie, dawne królestwo noszące niegdyś to miano, które zamieniono prawie zupełnie w niezamieszkałą pustynię.

Dawniej miasto Panama na północnym morzu i Porto Billo na Spokojnym Oceanie, dosyć kwitnęły z powodu handlu drogiemi kruszczami, które z Peru prowadzili przez międzymorze Panama do Europy



Dziś Buenos-Ajres jest głównym składem. Zasługuje na uwagę międzymorze Panama, przez swoją wązkość, ma bowiem w cieńszym końcu tylko ośm mil francuzkich szerokości. Główne miasto międzymorza Panama brudne, z ciasnymi ulicami, po większej części drewniane, około dwunastu tysięcy liczące mieszkańców, prowadzi znaczny handel perłami, które w zatoce i na szlaku morskim Las Perlas poławiają, dochód roczny z takich połowów wynosi około 40,000 piastrów. Drugi port międzymorza ku północnej stronie Porto Bello, na pochyłości jej leżący, pomimo że, jakośmy wyżej wspomnieli, nie jest jak niegdyś w kwitnącym stanie, doznał wszakże wpływu cywilizacji i opieki dzisiejszego rządu; albowiem wycięcie gęstych lasów przytykających do miasta, które niedozwalały wyschnąć bagnom zarażającym powietrze, przyczyniło się znacznie do dobra mieszkańców, a kolej żelazna łącząca stosunki jej z Panama, zapewne powiększy jeszcze bardziej zamożność miasta.

Najgłówniejszym a raczej jednym z najpiękniejszych portów Ameryki południowej jest Kartagena (Cartagena de las Indias), którą zabezpiecza cytadela z żelaznymi fortyfikacyami; jest to jeden z głównych punktów, w którym się mieści siła morska rzeczypospolitej Grenadyjskiej. Miasto położone na piaszczystej wyspie, na przesmyku morskim, przy ujściu rzeki Magdaleny, mimo wielkiego zniszczenia któremu uległo jako forteca i port za czasów wojny Boliwara o niepodległość, ma jeszcze kilka znacznych budynków — kilka klasztorów, kościołów i wiele sztucznych studni, cysternów i t. p. rzeczy. Ulice są wązkie, ciemne a smutną postać miastu nadają długie i niskie galerye na grubych ciężkich wsparte kolumnach; liczy przeszło 18,000 mieszkańców. Wśród lata ogromne tam panują upały, a ztąd choroby mianowicie między nieprzywykłemi do klimatu Europejczykami. Jest więc zwyczaj, jak we Włoszech, uciekać się do villi — ale jakaż różnica między włoskimi portykami, ozdobnemi we wszystkie skarby natury i sztuki, a temi zupełnie nowego rodzaju mieszkaniem, jakich nigdzie indziej znaleźć nie można. Są to dla utrzymania chłodu, mieszkania podziemne, w wiosce opodal od Kartageny nazwiskiem Turbaka, położonej na wzgórzu w pięknym miejscu, przybliżonej do lasu dużego któren się aż do rzeki Magdaleny ciągnie. Domy tej wioski z bambusowego stawiane drzewa, pokryte liśćmi palm, ocienione po większej części drzewami olbrzymiej wielkości, zwanemi anakardy (*anacardium caracoli*) są podobne do naszych suterren i służą za mieszkania w czasach gorących:

lubo tam klimat bardzo przyjemny, gdyż Turbaka leży o 150 sążni wyżej nad powierzchnię morza. Mnóstwo źródeł tryskających z gór wapiennych odświeża powietrze; rozmaitego gatunku drzewa, w owoce i kwiaty bogate (jak np. kawanilezia której duży owoc przezroczysty wisi na gałęziach do latarek podobny), dodają cienia.

Dziwne fenomena niedaleko Turbaka, zadziwały podróżnych. Wśród pięknego lasu [dochodzi się do przestrzeni zieloną murawą pokrytą gdzie znajduje się kilkanaście wulkaników — stoją one jakby stogi, przynajmniej kształt ich do nich podobny, są zaś z czarnej gliny, nie wyższe nad 20 do 25 stóp. Na wierzchołku ich znajduje się otwór dość znaczny napełniony wodą; wdrapawszy się na wierzch i stanąwszy blisko tego krateru, słyszeć się daje łoskot podziemny jakby szum jakiś. Po takim przytłumionym hałasie, zawsze co kilkanaście sekund wypada znaczna ilość powietrza — siła z jaką to powietrze wydziela się i unosi nad wodą, dowodzi jak wewnątrz ziemi gwałtownie jest naciskanem. Humboldt zwiedzał te szczególne miejsca i cierpliwie badał a raczej zastanawiał się nad owym dziwnym fenomenem. Zwykle takich wybuchów rachował pięć na dwie minuty. Czasem wybuch bywa błotnisty. Twierdzą że te wierzchołki nie zmieniają swęj powierzchni i nie stają się szersze lub mniejsze, wybuchy tylko bywają częstsze lub rzadsze w pewnych porach roku. Powietrze dobywające się z nich, jest podług Humboldt'a gazem saletrorodnym, azotem czystszy niż ten, który u nas w najlepszych laboratoryach otrzymać można.

Nim opuścimy Nową Grenadę wspomnieć musimy o przysłudze jednego duchownego, który dał dowód co dokazać może wytrwała praca choć z małemi zasobami. Proboszcz z wioski Nowita w prowincyi Szoko, za pomocą parafian swoich, wykopał kanał otwierający komunikację między dwoma Oceanami Atlantyckim i Spokojnym. Dzieło to zdaje się przechodzić możność prywatnego człowieka, a témbardziej księdza i niewielkiej liczby parafian. Wszakże nie odejmując zasługi twórcy tego dzieła, winniśmy wykazać iż rzecz sama z siebie nie była tak nadzwyczajną, trzeba tylko było wytrwałej pracy, znajomości położenia, i zrozumienia całej użyteczności podobnego przedsięwzięcia. Kanał przecina wąwóz, w którym łączą się źródła dwóch rzek: — jedna z nich nazwana Noanama wpada do Oceanu Spokojnego; druga mała łącząc się z rzeką Arato płynie do Oceanu Atlantyckiego; kanał więc przekopany dla ułatwienia



kommunikacyi z temi dwiema rzekami, nie jest olbrzymiem dziełem; wszakże w czasach dżdżystych jest tak pełnym, że wybornie po nim żeglować można. Za pomocą jego od roku 1778 niektóre produkta jak np. kakao, przewożą z jednego Oceanu na drugi.

Spodziewać się można że kiedyś, ze wzrostem prawdziwej chrześcijańskiej cywilizacyi, mieszkańcy tamtej półkuli, zamiast uganiać się tylko za wydobyciem złota, myśleć zaczną o przedsiębiorstwach, obok własnych korzyści, i dobro ogólne mających na celu, a wtedy ileż to powstanie podobnych jak ten kanał prac, przynoszących rozmaitego rodzaju korzyści.

Trzecia rzeczpospolita Kolumbijska w roku 1831 ustanowiona i nazwana Ekwator z powodu iż ku północy Równika i Południka jest położoną; dawniej nazwaną była królestwem; stolica tej prowincyi miasto Quito, (Kwito) niegdyś było stolicą monarchii Peruwiańskiej. Położona na 1489 sążni wyżej powierzchni Oceanu, nie cieszy się ciągłą wiosną jakiej można by się spodziewać. Od czasu sławnego trzęsienia ziemi które w roku 1797 tak okropnie zburzyło całą prowincyę iż w mgnieniu oka pozbawiło życia przeszło 40,000 mieszkańców, klimat w mieście znacznie się zmienił. Dawniejszych podróżnych opisy twierdzą iż tam jest ciągle 15 lub 16 stopni R. ciepła. Humboldt zaś znalazł iż najczęściej jest 4 stopnie wyżej zera a bardzo rzadko do 16 lub 17 dochodzi.

Pomimo niebezpieczeństw i strat na jakie tak częste lubo nie tyle straszne trzęsienia ziemi, narażają biedne miasto *Kwito*, przemysł i wszelkie rękodzielnie są tam w kwitnym stanie. Jest to można powiedzieć najludniejsze Kolumbii miasto, liczy bowiem 70,000 mieszkańców, którzy, rzecz godnazadziwienia, jakby na przekór nieszczęściom zniszczenia jakimi im grożą częste trzęsienia ziemi, zwykle bywają, jak mówi Humboldt, najweselsi w świecie, oddani uciechom, przyjemni, grzeczni, lubiący wszystko co piękne, rozumie się co zewnętrzne piękno stanowi; gdyż lubo wyroby ich z wełny i bawełny odznaczają się dobrym smakiem i na całą prowincyę Peru dostarczają zasobów; jednakże do wyższej duchowej cywilizacyi, objawiającej się w literaturze i sztukach pięknych nie doszli jeszcze.

Całą ozdobą miasta, (którego ulice dość nierówne i ciemne, oprócz czterech brukowanych,) jest plac duży a na nim wodotrysk brązowy. Tu stoją: katedra, pałac biskupi, ratusz i pałac sądownictwa, kościół odznaczający się rzeźbami i architekturą (dawniej kollegium Jezuitów.) Uniwersytet w Quito oddawna liczy się do najsławniejszych w Ameryce południowej.

Wieszczyka polska Deotyma, następny zaimprovizowała opis miejsca KWITO, jako rodzica wiecznej wiosny:

Gdzie natura cudnie dzika  
Wiecznym życiem jest okryta,  
W płomienną strefie równika,  
Stoi miasto zwane Kwito.

\* \* \*  
Na kraj cały jego mury  
Wybiegły aż na szczyt góry;  
Tam szat nietracą ogrody,  
Nie zetną się wód kryształy,  
Ni śnieg Alp, ni puszczy upały,  
Nie zmacą rajskiej pogody.  
Najdziwniejsze miasto w świecie!  
Mały raik, gdzie jak z bratem,  
Owoc rośnie w zgodzie z kwiatem;  
Dziwna jesień z dziwnym latem!.....

— Jeśli dowiedzieć się chcecie,  
Jakim ten klimat trwa cudem,  
Chęci tej zadość się stanie,  
Gdy usłyszycie podanie,  
Które krąży między ludem:

\* \* \*  
W błogim, wonnym raju lesie,  
Kołysane w fjołka kwiecie,  
Przebywało jakieś dziecko  
Nieznane i tajemnicze....  
Miało aniołka oblicze,  
Skrzydółka jak u motyla,  
Włos złoty, rączki jak róże.  
Duch-dziecię, zwawszy co chwila,  
To sobie usiadł na chmurze,  
I zrzucał rosy djamenty,  
To znów, liśćmi owinięty,  
Bujał się, schwyciwszy drzewo.....  
— Na łąkach biegł w płasy z Ewą;  
Adamowi dawał rady,  
Jak hodować rajske sady,  
I tak kochał ich oboje,  
Jakoby rodzeństwo swoje!  
— A gdy Ewę i Adama,  
Z edeńskiej strefy stracono,  
Zanim się zawarła brama,  
Stopką swoją nieściguioną,  
On, przesunął się za niemi....  
I poleciał za ich śladem  
Do edeńskiej smutnej ziemi,  
By im jeszcze nieść pociechy,  
Suszyć łzy, wskrzeszać uciechy  
Na tułaczów licu bladém!



Znikli z świata Adam, Ewa;  
Postać ziemi wciąż się zmiemia;  
Rosną nowe pokolenia;  
Wieki na wieki się wznoszą;  
To dziecię wciąż lata, śpiewa,  
Wiecznie dziecię jest rozkoszą  
Plemion, wśród których gości!  
I jak pierwszych ich rodziców,  
Cieszy ich blaskiem swych liców;  
Niesie im róg obfitości.  
— To jakieś cudo prawdziwe!  
Kędy się tylko pokaże,  
Inna ziemia, inne twarze!  
On wszystkich żywiołów panem:  
Pod jego tchnieniem rozgrzanem,  
Śniegi topnieją na niwie.....  
Jak głązy, pod jego dłonią,  
Kry pękają..... źródła dzwonią.....  
Niech się ziemi dotknie nóżką,  
Wnet się trawka wkoło ciśnie;  
Gdzie tylko oczkiem zabłyśnie,  
Pole lśni chabrem, ostróżką.  
— Nie ma krain widnych oku,  
Coby miały mrozów tyle,  
By ich, chociażby na chwilę,  
Nie odwiedził raz do roku;  
I aż koło państw bieguna,  
Gdzie lśni zórz północnych łuna,  
Nie wskrzesił z lodów uwięzi,  
Kilka mchów, kilka gałęzi.  
— Lecz, choć dary tak hojnemi,  
Objawia nam się to dziecię,  
Rzecz dziwna! nikt jeszcze przecie,  
Nie zobaczył go na ziemi!  
— Czy postać jego radosną  
Mgła przelotna kryje oku?  
Czy skrzydła jego w obłoku  
Od spojrzeń ludzkich są zwawsze?  
— Niewiem — ludzie mówią zawsze,  
Że to dziecię zwie się: *Wiosną*.  
— Lecz legenda wzmiankę czyni,  
Że w jednym miejscu na ziemi,  
W Kwito, czasami różnemi,  
Z alabastrowej jaskini  
Co zagłębia się tam w górze,  
Widziano z jutrznią co chwila,  
Migającą postać białą.....  
Lice anielskie błyszczało;  
Skrzydółka jak u motyla,  
Włos jasny, dłonie jak róże;

Postać drobna jak dziecięcia;  
Słowa silne jak zaklęcia,  
To też z każdym jego słowem,  
Świat się stroi życiem nowem!  
— Ile ludzie poznać mogą,  
Zda się, że *Duch Wiosny* wzlata  
Co rok, z tej jaskini, w błogą  
Podróż, naokoło świata;  
I znów ze skończoną drogą,  
Każdej krainie, istocie,  
Rozdawszy swój upominek,  
Tam powraca na spoczynek.

\* \* \*

— Tą powieścią się w istocie,  
Tłumaczy dziwne zjawisko,  
Czemu w Kwito, góra cała,  
Zawsze w skarby życia rosnie?  
Ziemia gdzie on po przelocie,  
Obrał sobie stanowisko,  
By mu się przyjemną stała,  
Musi kwitnąć w wiecznej wiosnie!.....  
— On, gdy wśród ludzi przeleci,  
Na kolebki, snów ukrycia,  
Na równe sobie: na dzieci,  
Najhojniej dary swe leje;  
Dla tego też *Wiosna życia*,  
Z pośród wspomnień naszych treści,  
Największym szczęściem się śmieje!  
Bo duch *Wiosny* nas w tej dobie,  
Widząc podobnemi sobie,  
Najtkliwiej nas tuli, pieści!.....

\* \* \*

— Corok w kwiatach się przemyka.....  
— Corok ziemię w blask obléka.....  
— Ach! czemuż w serce człowieka,  
Raz tylko zajrzy, i znika?.....

Pod względem handlu za najgłówniejsze miejsce uważa się miasto portowe Gwajakil (Guajaquil). Rzeka tu przepływająca, również jak zatoka morska w którą wpada, też same noszą nazwiska. Miasto liczące przeszło 20,000 mieszkańców, posiada arsenał i fabrykę okrętów, którą jak najkorzystniej można prowadzić z powodu nadzwyczaj pięknych lasów przyległej okolicy.

Mówią iż oprócz różnego rodzaju drzew, znajduje się mało gdzie znany Guarango; jest to drzewo ciemnego koloru i lubo łatwe do obrabiania bo niezbyt twarde, przecież ma być nadzwyczaj mocnotrwale, nie podlegające psuciu przez robaków i dla tego do budowy tamtejszych okrętów małych używany. Port



Gwajakil, jeden z najważniejszych na Oceanie, jest miejscem głównej zamiany towarów między portami Meksyku i Peru. Samo miasto niczem nie uderza wzroku podróżnego, domy i kościoły są drewniane, lecz wszyscy podróżni wspominają o odznaczających się pięknnością kobietach.

W ogólności można powiedzieć iż w prowincyi różnika choć tak nieszczęśliwej pod względem częstych trzęsień ziemi, pochodzących z sąsiedztwa wulkanów, przemysł staje się coraz więcej urozmaicony. Cała ich usilność nie zwrócona już do szukania żył złotych, otwiera drogę do innych gałęzi handlu. Miejscami są fabryki cukru a w mieście Kuenso liczącem 20,000 ludności jest kilka nawet rafineryj; robią tam nawet konfitury i sér podobny do parmezanu. Pomimo że tak często domy, zapasy, fabryki, niszczące trzęsienie ziemi pochłaniać zwykło, oni przecież jakby oswojeni z tą smutną koniecznością, nie ustają, nie zniechęcają się, tylko ochoczo biorą się do prac nowych.

Nigdzie się nie spotyka tak wielkich różnic w klimacie, w małych nawet odległościach, jak w tej części Kolumbii. I tak w dawniej prowincyi Quixos i Mokas zima rozpoczyna się w kwietniu a trwa do października, z powodu iż będąca w mowie część kraju leży na wschodniej pochyłości Andów.

Jeszcze raz wspomnieć należy, nim zakończymy ten pobieżny opis Kolumbii, o najstraszniejszych nieprzyjaciolach okolicy. Wieki chyba straszną niszczącą władzę wulkanów ukrócić mogą, i ochronić od prawdziwych niszczycieli prowincję Quito. Między niemi największy na kuli ziemskiej wulkan Pichincha, ma krater wśród porfirów i bazaltów, otoczony do koła śniegiem. Humboldt tak go opisuje: „Paszcza wulkanu, tworzy otwór okrągły, blisko mili obwodu mający; wierzchołki, ostrościęte, pokryte są śniegiem. Wnętrze ciemne, lecz przepaść jest tak ogromna, tak rozległa, iż rozpoznać można wierzchołki kilku gór wewnątrz obsadzonych. Wierzchołki ich zdawały nam się być o parę set sążni pod stopami naszymi, a gdzież dopiero może być ich osada? Nie wątpię iż dno krateru musi być chyba równoległe z miastem Quito.”

Najwyższy, lubo mniejszy co do obfitości, pomiędzy Andami, wulkan Kotopaxi, jest najstraszniejszym ze wszystkich dla okolic Quito; jego bowiem wybuchy były najczęstsze i najbardziej szkodliwe. Stopiona siarka, kawały skał wyrzucone z tego wulkanu, pokrywają przestrzeń kilku mil kwadratowych mającą. Tak ogromnie wybucha ten wulkan że Hum-

boldt w porcie Gwajakil o 50 mil w prostej linii odległym od brzegów Kotopaxi, słyszał ciągły huk jego, podobny do rozgłosu pocisków artylerji. W roku 1758, ogień wybuchający wzniósł się nad brzeg krateru o 455 stóp, a na kilka lat pierwej, okropny ryk tej góry rozchodził się blisko o 200 mil. Dnia 4go kwietnia 1768 r. tak wielką masę wyrzucił popiołu że cały horyzont był nim zaćmiony, a noc trwała do 3ciej po południu. Długo potem milczała ta okropna kuźnia; śniegi pokryły wierzch jej, i blisko przez lat 20, żaden nie tylko wyziew ale i dym nie był widzialny, nikt nie wiedział co się w jej wnętrzu kluje; aż nagle jednej nocy w styczniu 1805 r. stopiły się śniegi, odkrył się wierzch góry czarnej, a potem nastąpił wybuch.

Dowodzono iż do utrzymania ognia we wnętrzu wulkanu, dopomaga bliskość Oceanu. Nie zdaje to się jednak bezwzględna prawda. Albowiem wulkany wybuchające w prowincyi Quito należą do łańcucha wschodnich Andów a tém samym znacznie odległe są od Oceanu, jak ten np. o którym mówimy, o 50 mil leży.

Mnóstwo pokoleń indyjskich, używających rozmaitych dialektów, więcej lub mniej dzikich, zaludnia miejsca puste Kolumbii. Missyonarze naliczyli 117, różniących się między sobą narzeczy. W języku używanym przez liczne pokolenie zwane Kafanes, wydali nawet książkę zawierającą wykład głównych zasad chrześcijańskich.

Wiele bardzo pokoleń zachowało swoją niepodległość i swój ulubiony sposób życia. W prowincyi Panama, trzy pokolenia Urabusów, Żitarasów i Oromisów założyły trzy drobne niepodległe państwa; jedno z tych jest pod zarządem księcia, dwa pod zarządem republikańskim.

Ile jest narzeczy rozmaitych między biednemi mieszkańcami bogatej Kolumbii, tyleż prawie i rozmaitych pojęć religijnych, rozmaitych mitologij. Missyonarze zapoznali się blisko z jednym i z drugim. Podróżujący bowiem, choćby nawet tak samotnie i pracowicie chciał wnikać we wszystko jak Humboldt, nie jest w stanie poznać usposobień a nawet zwyczajów ludzi, którzy położeniem i cywilizacją tak bardzo daleko od niego stoją. Tylko poświęcający się duchowny, któren między nimi zamieszka, z nimi się zbrata, pociągnie do siebie, otwierając przed ich ciekawym umysłem, nowe zupełnie życie, nieznaną świat, może obudzić w nich nieograniczone zaufanie i nieograniczoną miłość. Tej ostatniej rozmaite tkliwe do-



wody przytaczają nam powracający z missyi księży, którzy nawzajem tak się zwykle przywiązują do swoich *dzikich*, że tęsknią za nimi. Mielśmy parę lat temu podobny przykład. Ksiądz Doneck misyonarz francuzki, 22 lata przepędziwszy na wyspach Ameryki południowej, nauczając lud pod gołym niebem, został uderzony skwarem słońca tak silnie iż padł bez zmysłów, — kąpielą z soku cytrynowego i innymi popularnymi lekami, odratowali go prędko, lecz pozostał mu mocny ból głowy, na uśmierzenie którego nakazali mu zmianę klimatu na czas jakiś. Powrócił więc do Paryża a ztamtąd namówiony przez jednego z ziomeków naszych, przybył do Polski i do Warszawy. Za ten kapłan wzdychał do powrotu; na jego sędziwej już i ogorzaliej twarzy malowało się silne uczucie, wyraźne wzruszenie gdy mówił o przywiązaniu swoich *dzikich* do wiary chrześcijańskiej, o wdzięczności dla niego za światło jakie im przyniósł gardząc niebezpieczeństwami. Albowiem razy kilka cudownie uniknął śmierci. Miał z sobą towarzysza Indyanina, którego zostawił w Paryżu, spieszył doń, a mimo że w chłodnym klimacie cierpienie jego znacznie się zmniejszyło, nie wahał się wracać do swoich dzikich parafian, którzy go z takim uczuciem żegnali i tak się o szczęśliwy powrót jego modlili.

Po większej części ludy tamtejsze prędko przyjmują cywilizację; od koczującego, dzikiego odwykają życia, odczo zajmują się uprawą roli i wszystkim co im polepszenie bytu zapewnia. Chętnie słuchają wyższego światła zwierzchnictwa; lecz skoro ich uciskają, niektórzy powracają do dawnego koczującego życia, a niektórzy chroniąc się, w dalekie nie zamieszkałe przenoszą się przestrzenie, tworząc mniej więcej uorganizowaną społeczność, w miarę mniejszej lub większej cywilizacji jaką z sobą wynoszą. Gdy zaś, chęć zysku Europejczyków i w tym nowym siedlisku znalazłszy, chce korzystać z prac ich i pod władzę swoją podbić, bronią się, a przywiedzeni do ostateczności, skoro się zemście oddadzą, są okrutni, i nieprześlągni. Zgoła, jak u wszystkich na kuli ziemskiej ludzi, zwierzchnictwo niosące im z miłością warunki do podniesienia bytu moralnego i materialnego, obudza w nich wdzięczność i cześć należną; ucisk zaś, i grabieżstwo nie tylko że ich oburza, ale do nienawiści i do wszystkich dzikich namiętności prowadzi.

Missonarze oznaczyli iż pomiędzy mnóstwem różnorodnych języków, jest 16, które językami macierzystymi, pierwotnymi nazwać można; inne zaś na-

leżą do pochodnych. Oprócz tego każde pokolenie ma swoje narzecze, jakieśmy to wyżej powiedzieli.

Co do tradycyjnych podań o przeszłości, które są razem ich religijnym wyobrażeniem, najczęściej spotykali się tam misyonarze z legendami o jakiejś istocie, która kiedyś była pomiędzy ich przodkami i wielu rzeczy nauczyła. W jednym pokoleniu mówią że to był cień człowieka, którego ojcowie ich stworzyli i nauczył wszystkiego — w drugim utrzymują że to był człowiek nadzwyczajnej powierzchowności.

Indyanie Maskazami zwani twierdzą, iż w czasach kiedy jeszcze księżyc nie towarzyszył ziemi, mieszkańcy doliny *Bogota* żyli jak barbarzyńcy, bez żadnego religijnego obrzędu, bez rolnictwa. Nagle zjawił się między nimi starzec, który przyszedł od zachodu góry Chingaza, jednej z Kordylierów; innego jak oni był pochodzenia, gdyż miał brodę gęstą i długą. Starzec ten nauczył ich pokrywać ciała, uprawiać rolę, stawiać chaty. Przeprowadził z sobą kobietę, która była nadzwyczajnej piękności ale tak zła, że w każdej rzeczy sprzeciwiała się starcowi i na przeszkodzie stanęła gdy chciał co dobrego dla ludu uczynić. Nareszcie przez swoje sposoby sprowadziła wodę do rzeki Funscha i wypuściła ją na dolinę Bogoty tak, że cała zalana została, tylko trochę mieszkańców na szczyty gór uciekło. Wtedy starzec ulitował się nad ich nieszczęściem i wypędził piękną kobietę. Owa niewiasta potem przemieniła się w księżyc którego od tego czasu świeci ziemi. Wtedy starzec ratując ludzi rozpierchłych po górach, rozbił ogromną skałę i przez ten otwór wypadła woda, tworząc jezioro, a dolina Bogoty oczyszczona, znów zaludniać się poczęła. Starzec pobudował w niej miasto, nauczył czcić słońce, wyznaczył dwóch naczelników, jednego do świeckiej, drugiego do duchownej władzy; poczem wszedł na ogromną górę *Ida Kanzy*, tam żył lat 2000, a potem znikł sposobem tajemniczym. Wszystkie religijne pojęcia dzikich ludzi, zgadzają się na wyobrażeniu sobie dwóch sił, złej i dobrej, z których dobra zawsze niemal zwycięża.

Co do powierzchowności ludów kolumbijskich uważają podróżni że mieszkańcy stref gorących, są ciemniejszego koloru, wzrostu mniejszego, leniwi do pracy i mniej pojętni. Zaś mieszkańcy znośnych okolic, gdzie wieczna prawie wiosna panuje, są piękniejsi i zdolniejsi.

Prawie wszystkie pokolenia tych ludzi natury, odznaczają się odwagą, i nie dziw! życie wśród niebezpieczeństw, nauczyło ich śmierć za zwyczajną konieczność uważać. Często są na nią narażeni, czy to przez



tak często przytrafiające się trzęsienie ziemi, czy też z przyczyny napadu dzikich zwierząt, którym wprawdzie bardzo zręcznie obronić się umieją i to też ich odwagę podnosi. Zwierzęciem, z którym najtrudniej poradzić sobie mogą, a które w rodzaju swego do płazu, ale z siły i wielkości do zwierząt mogłoby się liczyć, jest sławny olbrzymi wąż *Boa*. Kilku choćby najodważniejszych Indyan, jeżeli nie mają strzelby, obronić mu się nie mogą, bo on także jest nieustraszonym. Ogonem ściśnie, i jedną ofiarę a nie puściwszy jej pólki nie zdruzgocze kości, na drugą rzuca się wyższą częścią ciała. Skóra jego twarda nie boi się strzał, któremi bronić się zwykli biedni krajowcy. W takiej walce, albo połowa pada ofiarą a połowa ratuje się ucieczką, jeżeli miejsce jest blisko wody do której wąż schronionych nie ściga; albo też jeśli ostrą

strzałę lub dźwidę zdolają mu pod same zanurzyć żądko; wtedy powala się potwór o ziemię, a zręczni Indianie unikając żeby wijące się z bólu cielsko nie przygniotło którego, czém mogą dobijają nieprzyjaciela. (Obacz załączoną tu rycinę kolorowaną.)

Między innymi lasami Kolumbii, najobfitsze w gady, w różne płazy, a nawet z powodu wilgotnego nad morzem położenia, w rozmaite skrzydlate kęsające owady, są lasy w Szoko.

Rzeczypospolite kolumbijskie pod względem położenia swego geograficznego i bogactw przyrody, są jedne z najlepiej uposażonych prowincyj Ameryki południowej; brakuje tam tylko dobroczynnej, moralnej, pożytek ogółu mającej na celu cywilizacyi, i... takich ludzi jakim był Boliwar!

An....

## K O R E A.

Dawniej wielka Tartarya i Chiny, były dla nas krajem tajemniczym, tak że gdy chciano coś określić niezdobytego dla wiadomości ludzkich, coś czego stopa ludzka przejść nie jest zdolną, mówiono: „to murem chińskim opasane.” W dzisiejszych czasach ten niezdoyty mur otwartym został przemysłowcom angielskim. Mnóstwo podróży ciekawymi opisami z bogaciło piśmiennictwo Europejskie, z których i w naszym języku posiadamy wyjątki lub całkowite tłumaczenia. Jednym ze znakomitych dzieł w podobnym rodzaju jest: Podróż po Tybecie, Tartaryi i cesarstwie chińskim, przez księdza misjonarza francuzkiego Huc, przełożona na język polski przez brata zasłużonego estetyka polskiego Kremera.

Obok pism wyjaśniających skryte niegdyś przed nami zwyczaje i obyczaje Chińczyków, przywożą też ustne zajmujące o nich szczegóły nasi krajowcy, którzy przez długi pobyt w Kiachcie zapoznali się z tym azyatyckim plemieniem. Mimo tych coraz częstszych zetknięć się z *Państwem niebieskim*, jak dzieci, cudownych bajek, tak my lubimy zawsze o przestarzanych braciach naszych, słuchać dziwnych opowiadań.

Dość jest zajmujący wyjątek listu z Gonq-Kong

barona Chassirana (posłanego w szczególnej misyi do Chin) w którym pisze o przyległym półwyspie Korei. Umieszczamy z niego pewne ustępy mogące tém większe obudzić zajęcie, iż ten półwysep mało bardzo jest znany. Tu dopięro przed dwudziestą laty pierwszy misjonarz Mabault, sam jeden puścił się, wiedząc przez stosunki z Chinami i Japonią, że ten półwysep jest ludnym, bogatym i nie był dotąd przez chrześcijan zwiedzony. Opatrzony więc w najsilniejszą broń, w *wiarę* i *odwagę*, dostał się tam za pomocą czółna chińskiego. W tém pobożnym przedsięwzięciu później dopomogło mu dwóch księży Suibert i Chastou: udało im się zawiązać ostoję katolicką, która pomimo prześladowań bardzo się dotąd rozwinęła, wielkim wprawdzie kosztem, bo poświęceniem życia owych pierwszych misjonarzy co tu męczeńską śmiercią zginęli. Rząd francuzki chciał ująć się za krew swych poddanych, wyprawił dwie fregaty, ale te nieszczęśliwy los spotkał, bo rozbiły się na brzegach nie dość znanych marynarzom francuzkim.

Korea, jak mówi baron Chassiron, dzieli się na ośm powincyj, które, jak w Chinach, są rządzone przez Mandarynów czyli prefektów. Rząd tu despotyczny w całej rozciągłości wyrazu, lecz król ma swoje radę



ministrów, która wszystkie rozporządzenia rządowe podpisuje. Tron jest tu sukcesyjny. Król tylko jednego przyznanego ma następcę, a jeżeli tego zabraknie, ministrowie obowiązani są wynaleść na jego miejsce innego.

Wojsko podobne jest do armii Chińskiej, ma bowiem też same wady, i nie może nawet nosić nazwy armii; jest to raczej zbiór ludzi rozmaitego wzrostu i wieku, nie mających naczelnika, bez żadnej karności, umiających rozmaite rzemiosła, prócz wojskowości. Liczba ich do 10,000 dojść może. Niebezpieczeństwo, opór, na nieby tam się nie przydały. Żołnierze mają fuzye, które lupką zapalają, a miasto stołeczne posiada jedno działo nieruchome. Podobnie jak w Chinach, Mandarynowie Korei mają swoich służalców niewolników, których siepaczami nazwaćby można a raczej najwłaściwsze dla nich miano byłoby *wyrodki natury, wyrodki ludzkie*; są to bowiem ludzie wyzuci ze wszelkich przymiotów człowieka. Baron Chassiron nazywa ich *trędem głębokiego wschodu*. Używani są do wszelkich najszkodliwiejszych posług. Niosą przed panem swoim skórę tygrysią, różgi i łańcuchy, oznaki godności jego, pomagają mu wstawać od stołu, przechadzać się biorąc pod ramiona, i t. p. czyniąc usługi. Oprócz tego wykonywają obowiązek katów z najdoskonalszą sztuką, z wymysłami męczeństw na jakie tylko dziki, wynaturzony człowiek wpaść może.

Przed kilku laty według wykazu ludności podanego królowi, Korea liczyła 7,342,361 mieszkańców, lecz że statystyka tam bardzo jest niedokładną, mówią że śmiało liczyć można do dziewięciu millionów ludności.

Zdaje się że wyższa klasa mieszkańców Korei uważa za nadużycia to wszystko, co jest przyjętym między szlachtą Japońską. Szlachcic w Korei czy jest bogatym czy nie, czy ma jakie zaszczyty lub wcale ich nie posiada; skoro tylko jest szlacheccem, wszystko mu się z drogi umyka; może pożyczki zaciągać nie oddając nigdy, może kupować nie płacąc za towar, jest wszędzie i zawsze wolnym od wszelkiej odpowiedzialności; na wszystkie bowiem zaskarżenia służy mu złożenie dowodu pochodzenia swego. Nie wolno palić tytoniu w przytomności jego; idącemu drogą kaźden ustąpić miejsca musi i potrzeba dla oznaki uszanowania zsiąść z konia przejeżdżając koło jego domu. Lecz tu bywa kilka stopni szlachectwa i tak: jeżeli wyższy ożeni się z kobietą z ludu, dzieci z tego małżeństwa należą do niższego stopnia szlachty.

Lud tylko ma pewną wartość w Korei, na nim tylko nadzieję przyszłości lepszej zakładać można, bo on jak wszędzie pracuje, czy to około roli, czy przy rozmaitych fabrykach, ażeby potrzeby wszystkich klas zaspokojonemi być mogły. Korejczycy są miernego wzrostu, barczyści, a lubo usposobienie powolne mają i bardzo lubią spoczynek, przecie można powiedzieć że z zapalem oddają się najcięższej pracy. Bywają bardzo popędliwi; złość ich częstokroć staje się straszną, gdyż wpadają w okrucieństwo; mimo to skłonni do przywiązania się i dla tego przymiotami swemi przewyższają Chińczyków. Noszą ubiory z płótna lub bawełny, lekkie w lecie a podszyte futrem w zimie. Chociaż sami z małym kosztem tkają materye w których chodzą, mimo to i zakupują jeszcze w znacznej ilości rzeczy bławatne europejskie, sprowadzając je z Pekinu jak wszystkie inne z Zachodu przedmioty.

Co do niewolników są oni wyłączną własnością pana, który jest zarazem panem ich życia i śmierci. Zdarzają się wszakże wypadki przewidziane prawem, w których mogą odzyskać wolność, lecz szczegóły nie są nam wiadome jeszcze; lud bowiem tamtejszy, tak jest bezpośrednio od wyższej klasy zależny, a do niej tak mało przystępu mieć mogą Europejczycy, iż wiele szczegółów brakuje nam jeszcze.

Kobiety tam w niewoli, mianowicie u bogatych, gdyż ci mają ich liczbę tak wielką na jaką się zdobyć mogą; i najstaranniej zamykają je w mieszkaniach swoich, do których nie tylko obcy ale przyjaciel dostać się nie może. Bardzo rzadko wydalają się i to zamknięte w lektyce za wiedzą tylko męża czyli pana swego, którego czasem pozwala im odwiedzać krewnych lub pomodlić się na grobach zmarłych. Rzecz godna uwagi, że i w krajach najmniej ucywilizowanych, nawet między dzikimi pokoleniami, człowiek nie może rozerwać tego stosunku jaki go łączy ze zmarłymi. Są pokolenia które żadnych prawie obrzędów religijnych nie znają, prócz oddania czci, prócz pamięci dla zmarłych swoich, w których, jak i my w katolicyzmie, widzą czasem opiekunów, to jest świętych, a najczęściej uznają za istoty potrzebujące ich pomocy. W Chinach są pewne dni w roku, w których na cześć zmarłych zastawiają różne potrawy, przywołując je, aby tą pamięcią, tem przywołaniem spowodzeni między biesiadników zmarli, doznali jakiegoś pociechy, jakiegoś przyjemności.

Kobiety z ludu więcej doznają wolności, lecz córki w żadnej klasie nie rachują się do ludności; nie są one niczem u rodziców; spadek majątkowy nigdy się



im dostać nie może, bo jeśli ojciec nie ma żadnego syna, natenczas sprzedaje majątek, lub cały dobytek na wnuka idzie, tak ażeby w każdym wypadku nie wpadł w ręce kobiece. To też tylko dzieci płci męskiej są kochane, one tylko doznają pieśczoć i opieki, do tego stopnia, iż jak twierdzą pobożni misyjonarze, matka daje piersi, często synowi mającemu lat 8 i 10, i widzieć można ze wstrętem jak chłopak silny, dziesięcioletni, obala biedną matkę, ażeby u jej piersi zagasić pragnienie.

Przed kilku wiekami bawełnę z Chin do Korei zaprowadzono i dotąd ją wraz z ryżem najwięcej uprawiają, mając za główne kraju bogactwo. Pszenica, inne zboża i jarzyny Europejskie znane są w Korei, ale jakby wyrodki naszych, tak znacznie niższe w gatunkach. W części południowej półwyspu gdzie zimno nigdy nie bywa wielkie, gdzie podług ciepłomierza Romiura jest zawsze od 15 do 20 stopni ciepła w najmocniejszej nawet zimie, znajdują się jabłka, gruszki, morele i winogrona w wielkiej obfitości, ale nie dość soczyste. Wina tam wcale nie znają, zastępują go innym napojem z ziarna fermentowanego, jak to jest w całym głębokim wschodzie. Za to tytuń rośnie wybornie i bardzo się tanio sprzedaje—wszakże Korea prowadzi nim handel tylko z Japonią i Chinami, i to w pewnych, oznaczonych epokach. Zwierzęta rassy europejskiej a raczej wszystkie domowe nasze zwierzęta znajdują się w Korei, użytek z nich tylko nie zawsze taki jak u nas; np. wołu używają do uprawy roli, do dźwigania ciężarów, lecz nigdy do pożywienia. Konie korejskie bardzo silne, zręczne choć małe, wybornie służyłby mogły czy do roli czy do pociągów. przecież na te cele nie używają ich wcale, lecz szlachetne zwierze bywa tam tylko oznaką szlacheckiej godności, przedmiotem zbytkowym.

Mówią że wewnątrz ziemi w Korei bardzo obfituje w kopalnie złota, srebra, żelaza i miedzi, lecz rząd tamtejszy tylko tych ostatnich używać pozwala. Korzystając z ciemnoty i łatwości poddanych, rozpuścił bajkę iż kopalni drogich metali strzegą złe duchy, których zaczepiać nie można; tym sposobem stał się ich wyłącznym panem, i jak się zdaje dotąd ten presty sposób służy mu najwyborniej do zachowania monopolium kopalnianego.

Na każdy rok nowo-poczynający się, podług chińskiego kalendarza, król Korei posyła dary władcy Pekinu; jest to tylko uświęcenie dawnego zwyczaju, bo ponieważ Korea teraz zupełnie jest niezależną od państwa Niebieskiego, przeto i wszelkie daniny nie są obowiązkowe.

Chcąc dać wyobrażenie o stanie oświaty, o uprawie sztuk pięknych w Korei baron Chassiron mówi: że czém są Chiny dla Europy, tém jest Korea dla Chin; z tego porównania możemy pojąć czém jest biedny półwysep, kiedy Chiny w obec niego, mogą jeszcze być tak wielką wyższością. Umiejętność mieszkańców wykształconych zasadza się na znajomości czytania niektórych chińskich wyrazów, gdyż wiadomo że Chińczycy jednym hieroglifem czyli literą wyrażają myśl pewną; nauka ta dość trudna wystarcza dla pragnących się *wyżej kształcić*. Szkoda jednak że uprawa ich własnego języka jest tak zaniedbana, gdyż piśownia w zasadzie swojej jest przystępniejsza od chińskiej; Koreanie bowiem mają alfabetyczne litery, a wiadomo że pierwszym warunkiem do wyrobienia języka jest uproszczenie abecadła; mogliby zatem dalej zająć ze swoją mową niż Chińczycy, którzy wszystkie pamięciowe i umysłowe władze zużywają na wyuczenie się swoich osmdziesiątysięcznych liter, lecz na nieszczęście, jak to w Polsce dawniej z francuszczyzną bywało, wołają i Korejczycy wyuczyć się choć kilku wyrazów Chińskich niż popracować nad własnym językiem; dla tego też piśmiennictwa u nich nie ma, a kalendarze nawet sprowadzać muszą z Pekinu; komunikacya zaś, z tém miastem trzech miesięcy czasu wymaga.

Co do pojęć religijnych, co do możności zaszczepienia tam wiary chrześcijańskiej, misyjonarze przez których jedynie można było otrzymać jakieś pewne wiadomości o stanie tego półwyspu, mówią: że grunt serca jest przystępny dla prawd religijnych i że przygotowania w tym celu dość dobrze im się powodziły; lecz dziś, ślad prześladowań i męczeństw, jakie przed dziesięciu laty miały tam miejsce, utrudnia prace misyjonarzy—témbardziej że rząd Korei, po bezskutecznej wyprawie fregaty francuskiej, stracił już obawę w interwencyę Francyi, i nie lęka się już ażeby obce państwo europejskie wdało i ujęło się za swoich duchownych; z tych powodów stał się zupełnie nietolerancyjnym i wstrzymał, zatrważając słabe umysły, dalsze działania misyjonarzy.

Podług wyrachowania rozkrzewicieli wiary naszej, liczba chrześcian wynosi do piętnastu tysięcy; ilość dość już znaczna, w stosunku do całkowitej ludności.

Teraźniejszy król, lubo z panujących pochodzący rodu, jest nadzwyczaj niskich usposobień umysłowych,—z powodu, że będąc biednym i przestając z najgorszą klasą ludzi, nabrał zwyczajów rozpusty, okrucieństwa, lenistwa, których dziś, lubo młody jeszcze, porzucić nie ma siły; niezważając więc na godność



do której go polityka krajowa wyniosła, zawsze prowadzi życie nieczynne, niemal zwierzęce, a rządy państwa zdaje na ministrów, od których wymaga tylko ażeby mu wiernie płacili jego część należną mu za sprzedawanie urzędów. Już z samej natury dziękuję jest popędlivym i okrutnym; tém niebezpiecznijszym więc panowanie jego dla biednych misjonarzy, którzy od dwudziestu dwóch lat niezmordowanie pracują—i mimo prawdziwych cierpień, mimo prześladowań, utrzymują się z wytrwałością na tej drodze poświęcenia, która ich do Korei zaprowadziła. Terazniejsza Missya składa się: z biskupa, koadjutora, siedmiu misjonarzy i jednego księdza krajowca. W latach ostatnich położenie duchownych się zmie-

niło znacznie i to na jeszcze gorsze, tak dalece iż nieraz będąc zagrożonymi, musieli wydalac się z miast i w najludniejszych okolicach chowac się w dołach, gdzie ukrytym, również biedni i chroniący się chrześcijanie, donosili skromne pożywienie.

Baron Chassiron słusznie od daje cześć religii katolickiej. opisawszy ciężkie życie, wśród ciągłego poświęcenia, duchownych: „Oto są fakta, (mówi) a jakkolwiek jest wiara i obrządki, nie wchodzę w to; dla mnie najlepszą jest ta, która cała bywa wyrzeczeniem i poświęceniem się sprawie wielkiej a sprawiedliwej, i której nie braknie na wytrwałości do osiągnięcia zwycięstw.”

M. B.

## TYTÓN.

Między wszystkimi upajającymi roślinami które ludzie na użytek swój obrócili, pierwsze miejsce pod względem wielkości swego upowszechnienia zajmuje tytón. Użycie tytoniu u ludzi zarówno dzikich jak i ucywilizowanych narodów, u głębokich myślicieli jak i u prostaków nie znających nawet abecadła, u mężów w których rękach spoczywają losy całych państw, jak i u tych którzy bez zastanowienia nad samemi sobą z dnia na dzień żyją, i dla których wszystko jest obojętnem co z niemi nie ma bezpośredniego zetknięcia, zasługuje na szczególną uwagę. Od lat trzech set namiętność używania tytoniu w proszku, dymie a nawet w najwstrętniejszej formie żucia w ustach, tak niesłychanie rozpowszechniła się, że niewątpliwie większa połowa ludzkości, tej namiętności hołduje. A jednakże ogólnie można powiedzieć że tytón w rozmaitych swych postaciach sprawia nieprzyjemne wrażenia dla wzroku, powonienia, czystości a szczególnie smaku; gdyby nas jednak zapytano dla czego żadne zakazy, szczególnie w pierwszych początkach surowe i z różnych władz wydawane, nie zdołały powstrzymać jego upowszechnienia się przynajmniej u ludów ucywilizowanych Europy, odpowiedź nie będzie trudną. Tytón ostremi pierwiastkami swemi silnie działając na nerwy, przyspiesza ruch ducha żywotnego i nada-

je większą energię uczuciom i wrażeniom, żywszą działalność wyobraźni. Dymek tytoniu przeprowadza czerwonego Indyanina z ociężałości do uniesienia, do pewnego na chwilę przynajmniej przyjemnego szału. Jest on dla niego symbolem zgody, pokoju, przyjaźni. Podanie fajki przez Indyanina jest dla cudzoziemca rękojmnią gościnności, przyjęcia prawie na łono rodziny. Za pomocą fajki, wojownik obowiązuje się do wzajemnej pomocy przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, fajką rozpoczyna narady, przy jej dymie wypowiada wojnę lub zawiera pokój; ona upiększa uroczystości, zabawy publiczne, tańce i biesiady, do niej ucieka się strapiony, ona skraca czas w podrózach po jednotonnych stepach i puszczech.

Marynarz europejski zrazu przez grzeczność tylko dla swego gospodarza, lub przez chętkę naśladownictwa. spróbował podanej mu fajki, ale zaledwie postrzegł jej ożywiające, rozczulające, podniecające i przeciwnie skorbutowi skutki, zaczął używać tytoniu jako lekarstwa, nawykł do fajki i w końcu stała się ona dla niego potrzebą, tak jak dla dzikiego Amerykanina. Za powrotem marynarzy do portów europejskich przykład przez nich dany szybko znalazł naśladowców między ludem, który szczególnie jest skłonny do tego, co jego uczucia ożywia. Niemniej szybko



użycie tytoniu przeszło i do wyższych klas, w których obfite pokarmy i mniej ruchliwy sposób życia zgęszczają soki, i zakłócają organizm i duchową działalność przez wewnętrzne zamulenie.

Trzy części składowe w tytoniu przykładają się do wywołania skutków jakie jego użycie sprawia. 1) Olejek lotny sprawiający zawrot i z początku przynajmniej pewien stopień mdłości, olejek ten nadający właściwą woń tytoniowi, znajduje się w nim w bardzo małym stosunku, bo  $\frac{1}{38}$  p. ct., to jest że w funckie tytoniu znajduje się tego olejku tylko dwa gran; 2) lotny, bezbarwny płynny alkaloid, straszny *nikotyn* którego jedna kropla dostateczną jest do zabicia silnego psa, a para jego tak jest drażniącą, że niepodobna prawie oddychać w pokoju w którym się jedna kropla tego pierwiastku ulotniła. Nikotyn znajduje się w suchych liściach tytoniu w stosunku 2—8 części na 100, tak że w dymie z pół łota tytoniu wciągamy w usta 2 do 8 granów nader subtelnej trucizny; 3) na koniec mało jeszcze znany przypalony olejek który w skutkach swoich zbliża się bardzo do kwasu wodosinnego (pruskiego,) ale którego żujący prymkę lub zażywający tabakę, w tém podwójnym użyciu nie wyrabiają, powstaje on bowiem tylko przy paleniu się tytoniu.

Te trzy części składowe, które w rozmaitych gatunkach liści tytoniowych w rozmaitych znajdują się stosunkach (bo na przykład tyton hawański najmniej zawiera nikotynu) stanowią orzeźwiające i rozweselające zalety fajki, sigara i tabakierki, dla wszystkich klas ludności w naszym ucywilizowanym świecie europejskim. Niemniej upowszechnionym jest tyton w Ameryce, osadach australskich i większej części Afryki, ale szczególnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej palenie tytoniu doszło do najwyższej przesady. Niedorośle chłopaki przez cały dzień nie wypuszczają z ust fajki albo sigara i nie raz w dziennikach spotykamy doniesienie o śmierci dziecka kilkoletniego z dodaniem: „jak się zdaje w skutku zbytniego palenia tytoniu.”

Zwróciwszy się na wschód, znajdujemy tu użycie tytoniu prawie powszechne. W Turcyi fajka prawie z ust nie wychodzi i firman sultana Mahmuda który na posiedzeniach wysokiej porty i dywanu, wzbraniał palenia fajki, niedługo mógł się utrzymać. W Indyach wschodnich nietylko wszystkie stany, ale nawet obieranie szukają przyjemności w wonnym dymie. W Chinach zwyczaj ten również jest powszechny. Nieodbitą częścią ubioru kobiet chińskich, od 8 lub 9 r. życia jest mały kapciuszek do tytoniu i fajka której one nawet

w tak młodym wieku używają. Z tego powszechnego zwyczaju który od najdawniejszych czasów panował w Chinach, słusznie wnosić można, że w Azji, a mianowicie w Chinach, używanie tytoniu dawniejszem jest niż odkrycie Ameryki. U Chińczyków i ludów mongolskich, które z niemi w największych zostają stosunkach, używanie tytoniu, tak jest powszechnem, tak obfitem i tak niezbędną stało się potrzebą, że w żaden sposób nie można przypuszczać żeby Europejczycy wnieśli tam zwyczaj używania tytoniu wzięty z Ameryki, témbardziej, że Indye w których ten zwyczaj nie tak bardzo jest upowszechniony, leżą na drodze między Persją <sup>1)</sup> i Chinami.

Chociaż wszystko zdaje się dowodzić że rodziną ziemią tytoniu są strefy zwrotnikowe, jednakże sztuczna uprawa, upowszechniła tę roślinę daleko zagranicami gorącego pasa. Udaje się ona w okolicach gdzie średnia temperatura w lipcu wynosi 14 stopni tylko i to również dobrze jak pod zwrotnikami i w gorętszym klimacie strefy umiarkowanej, jednakże co do gatunku, klimat stanowi wielką różnicę, tak że większa część liścia tytoniowego jaki się rodzi u nas i w północnych Prusach, tak się ma do tytoniu hawańskiego albo varinas, jak najniższy gatunek wina na krańcu strefy w której winna jagoda dostatecznie dojrzewa, do najszlachetniejszych gatunków Bordeaux lub Roussillon.

Najlepszy tyton uprawiany jest w Indjach zachodnich: na wyspie Kuba, w Portorico, Domingo, w Martynice; w Ameryce południowej: w Brazylii, Wenezueli, mianowicie w okolicach Varinas; w Ameryce północnej: w Meksyku, w Stanach Wirginija, Kentucky, Maryland, Tennessee, Missouri, a w starym świecie w Turcyi, Persyi, Indyach wschodnich, Chinach na wyspie Jawie i szczególnie na wyspach filipińskich.

Zachodnia Europa poznała tyton dopiero po odkryciu Ameryki; mnich hiszpański Romano Pane którego Kolumb w drugiej powrotnej podróży zostawił w Domingo, pierwszy w roku 1496 podał wiadomość o tytoniu. Opisuje on tyton jako roślinę lekarską i religijną, której mianowicie kapłani w San-

<sup>1)</sup> Mówią że ludy zachodniej Azji, już za czasów Nemroda znały użytek tytoniu i zdanie to opiera się na tej okoliczności, że na walcowatym naczyniu assyryjskim, znalezionem w Mossul, przedstawiony jest król ciągnący dym z okrągłego naczynka w którym osadzona jest przydłuższa rurka. Ten zabytek assyryjski znajduje się w angielskim Muzeum.



Domingo używają do rozmaitych czarodziejskich kuglarstw. Opisał on także dwuzębne fajki, które następnie w rysunku przedstawił Hernandez [z Toledu. Pater Martyr, który wiadomości swoje czerpał z ustnych podań wracających z kolonji podróżników, mówi w dziele ukończonem w 1522 roku z największemi szczegółami o cudownem upajającym ziele rosnącym w Nicaragua i Meksyku, ale nie powiada że to jest Cahoba Gwia albo Yoli, tak bowiem krajowcy w San-Domingo nazywali wówczas tytoń. Hernandez z Oviedo, w *Historia general de las Indias* (1535) podaje dokładny opis rośliny tytoniu i dodaje że Indianie dawniejszego kraju Haity palenie tytoniu z wypuszczaniem dymu przez nos nazywają *Tabaco*. Przez kilkanaście następnych lat w żadnym dziele traktującym o roślinach nie znajdujemy wzmianki o tytoniu, ale od 1550 do 1560 r. wystąpiło czterech pisarzy w tym przedmiocie, a mianowicie jeden kupiec medyolański, mnich francuzki, jakiś duchowny protestancki i jeden hiszpański naturalista, i im to winni jesteśmy dalsze wiadomości o tytoniu, w których atoli nie wiele nowego znajdujemy. Dokładny opis tak samej rośliny, jak i używania jej na wyspach antylskich, w Guatemala i Nicaragua zawiera dzieło Hieronima Bensona, który od roku 1541 do 1555, a zatem przez czternaście lat ciągle mieszkał w Meksyku i pierwszy podał wiadomość że mieszkańcy palą zwinięte liście tytoniu. Pater Andrea Tevet w latach 1555 i 1556 znajdował się w Brazylii ze sławnym Villegagnon, który miał tam założyć osady europejskie i za powrotem ogłosił drukiem swoje postrzeżenia i uwagi względem tego kraju i jego mieszkańców. U niego pierwszego spotykamy brazylijską nazwę tytoniu *Petun* i znajdujemy zupełnie tak samo jak w dziele Bensona opisany sposób używania liścia tej rośliny. W roku 1557 przybył do Brazylii Juan de Lery, duchowny kolonii hugonotów. W dwadzieścia lat później podał on do druku dzieło pod tytułem: *Histoire d'un voyage fait en la Terre de Bresil*. Przez te lat dwadzieścia mógł on dostatecznie oznajomić się z obyczajami i płodami natury tego kraju. Według jego podania lud Tupis mieszkający wzdłuż brazylijskich brzegów od wyspy Ś. Katarzyny aż do ujścia rzeki Amazonki <sup>1)</sup> nazywa roślinę tytoniu *Petun*.

<sup>1)</sup> Tupis, Tupinambus albo Garantis, lud ten starożytny mówił właściwym swoim językiem który następnie ujęty w formy gramatyczne, stał się i jest dotąd powszechnym językiem w Brazylii. Pierwotnie dzielili się oni na siedm oddzielnych pokoleń, do których następnie przyłączyły się rozmaite inne pokolenia.

Dalej opisuje on palenie liści tej rośliny, ale zarazem dodaje że ani *Nicotiana*, ani meksykańskie *Tabaco* ani *Cahoba* w San-Domingo, nie są prawdziwym, cudowne skutki sprawiającym brazylijskim *Petunem* i że ta ostatnia roślina, nie da się z powodu zimniejszego klimatu hodować we Francyi, gdzie już tytoń został wprowadzony, mianowicie w południowych prowincjach. Wspomniany już wyżej Hernandez z Toledo wysłany ze znacznemi funduszami przez Filipa II, w celu zbadania i opisania płodów natury w Meksyku, odrysował pracowicie i dokładnie około 1200 nieznanych dotąd a w tym kraju znajdujących się roślin i rysunki te przesłał swemu królowi. Nanieszczęście pożar w Escorialu zniszczył te ciekawe zabytki. Jednakże z pozostałych po nim papierów w języku hiszpańskim, pisanych w dwadzieścia lat później, jezuita nazwiskiem Nieremberg, ułożył i w języku łacińskim wydał w Rzymie z znacznemi dodatkami opis *Flory brazylijskiej* skreślony przez Hernandesa z Toledo. Z dzieła tego dowiadujemy się między innymi, że roślina tytoniu nazywaną jest w języku meksykańskim Yetl, albo Pycietl, a inny gatunek tejże rośliny, zowie się Quaubyetl, że liście jej palą w rurkach na półtora cala długich, z trzciny i że te fajki trzcinowe, a nie tytoń, nazywają się *Tabacos*. Z temi podaniami zgadza się zupełnie to co Aleksander Humboldt w tym przedmiocie napisał: „Na dworze Montezumy, opowiada znakomity ten badacz przyrody, wielcy panowie używali dymu tytoniowego jako środka lekarskiego i narkotycznego, nietylko przy po południowym spoczynku, ale i z rana, żeby trochę przedrżnąć się po śniadaniu, co jeszcze dotychczas zwyczajem jest w wielu okolicach podzwrotnikowej Ameryki. Suche liście Yeltu zwijano tak jak dziś sigara, i wsadzano je w rurki srebrne, drewniane albo trzcinowe. Często między te liście mieszano żywicę rośliny *Liquidambas styracifera* i inne wonne substancje. W jednej ręce trzymano fajkę, drugą zatykano nozdrza, aby tém łatwiej połykać dym tytoniu, inni poprzestawali na wciąganiu dymu nosem. Chociaż Pycietl (*Nicotiana rustica*, Bakun) obficie uprawiany był w kraju Anahuac, zdaje się jednak że tylko zamożni ludzie używali go, bo obecnie widzimy że palenie tytoniu zupełnie nieznanem jest Indianom czystego pochodzenia, którzy ród swój wiodą prawie powszechnie z niższych klas ludu azteków.”

Chociaż zachodnia Europa niewątpliwie za pośrednictwem Hiszpanów otrzymała tytoń po odkryciu Ameryki, nie jest jednakże dowiedzionem, żeby na wschodzie Europy nie był on znany przed odkryciem



Ameryki. Wspomnieliśmy już że przed Kolumbem w Chinach i Japonii uprawiano i palono tytón, że zaś i w trzeciej części starego świata, Afryce, użycie tytóniu sięga najdawniejszych czasów, to wykazuje uczony Barth w swoim klasycznym dziele o Afryce, w sposób niepozostawiający żadnej wątpliwości. „Już poprzednio, mówi on, opisując podróż swoją i Overbecka w kraju Mussgu, widzieliśmy rozliczne zasiewy tytóniu i jakkolwiek to dziwnem zdawać się może, przy powszechnie znanym fakcie późniejszego używania téj rośliny u Arabów,—że ona ma tu swoją właściwą ojczyznę i nie została wprowadzoną w nowszych dopiero czasach. Uważaliśmy także że nie tylko mężczyźni ale i kobiety tutejsze namiętnie palą tytón, Nie mało dziwiło nas także że tu znajdowaliśmy na jednym polu zasiewane obok siebie, tytón i bawełnę.

Co się tyczy wprowadzenia tytóniu do rozmaitych krajów Europy i jego używania obecnie, zdaje się że najpierw upowszechnił on się w Hiszpanii przez wspomnianego już Hernandesa z Toledu około roku 1560. Z początku był on hodowany w ogrodach bardziej dla swoich pięknych kwiatów, niż dla skutków lekarskich o których się Hiszpanie dowiedzieli później dopiero od Indyan z Portorico, tudzież dla palenia lub zażywania. Teraz monopol tytóniu stanowi jeden z najważniejszych dochodów skarbu w Hiszpanii, bo już w połowie zeszłego wieku przynosił rocznie 7,330,933 rub. sr. Najznakomitsze fabryki sygar są w Maladze i Sevilli, pierwsza zatrudnia 600 osób; kobiet i dzieci, druga 1000 mężczyzn i 1600 kobiet.

Portugalczycy pierwszą wiadomość o tytóniu poznać mieli od jednego kupca który powrócił z Florydy; to musiało nastąpić przed rokiem 1558, bo około tego czasu hodowano go już w ogrodach królewskich w Lizbonie i używano jako lekarstwa. Kiedy atoli zaczęto w Portugalii używać go do palenia, tego dokładnie wyświecić nie można.

Francya winna poznanie tytóniu swemu posłowi przy dworze portugalskim Janowi Nicot, który od roku 1558 do 1561 bawił w Lizbonie. Posiał on tytón w swoim ogrodzie dostawszy nasienia z ogrodów królewskich i wkrótce roślina ta niezmiernie się u niego rozmnożyła. Dwie szczęśliwe kuracye które wykonał używając tytóniu, zwróciły uwagę publiczności w Lizbonie. Nazwano tytón zieleciem *ambasadora* i tłumy schodziły się do posła francuzkiego prosząc go o trochę cudownych liści. Około roku 1560 Nicot posłał nasienie tytóniu swemu królowi Franciszkowi II tudzież jego matce Katarzynie de Medicis i kilku pa-

nom dworskim, ale to nie tyle przyłożyło się do upowszechnienia tytóniu we Francyi, ile podarunek uczyniony przez tegoż posła z kilku pięknych egzemplarzy rozmaitych gatunków téj rośliny, pewnemu przeorowi przybyłemu z Francyi do Lizbony, a który następnie powiózł je do ojczyzny. Od imienia Jana Nicot, który pierwszy dał poznać Francyi tytón, nazwano tę roślinę *herba nicotiana* albo naśladując nazwę daną przez portugalczyków *herbe d'Ambassade*, a ta okoliczność że wspomniany przeor pierwszy zaczął upowszechniać uprawę tytóniu, spowodowała nadanie mu nazwy *herbe du Grand Prieur*. Inni nazywali tytón *herbe à la Reine*, albo *herbe de Saint-Croix* ponieważ kardynał Prosper Saint-Croix, nunciusz papieżki w Lizbonie, sprowadził go do swojej ojczyzny. Miejsca w których schodzono się dla palenia tytoniu, nazwano *Tabagis* i nazwa ta dotąd się utrzymuje. Zdaje się że wkrótce po sprowadzeniu tytóniu do Francyi zaczęto go palić i że nazwa *Tabaco*, wraz z tém użyciem została wprowadzoną. Obecnie tytón uprawiany jest tylko na większą skalę w Bretanii, Gaskonii, Flandryi i Alzacyi francuzkiéj. Monopol tytóniowy w roku 1853 przyniósł skarbowi francuzkiemu 37,032,133 rs. Summa ta w roku 1854 powiększyła się o 1,688,267 rs. w 1855 o 3,650,930 rs. a w 1857 o 6,560,000 rs. co dostatecznie wykazuje jak szybko wzrasta we Francyi konsumpcya tytóniu, kiedy w roku 1781 rząd miał zaledwie 7,200,000 rs. dochodu z sprzedaży tytóniu. W ciągu ostatnich 48 lat; skarb francuzki miał w ogóle z monopolu tytóniowego 775,7330,000 rs. dochodu.

We Włoszech tytón okazał się pierwszy raz około roku 1580 i wprowadzony tam został z Francyi. Według Cesalpinusa który w roku 1583 wydał we Florencyi dzieło o tytóniu, roślina ta została sprowadzona do Włoch przez biskupa Mikołaja Ternabona wówczas posła florenckiego, a według innych papieżkiego, przy dworze francuzkim, miał on bowiem nasienie tytóniu przysłać swemu stryjowi, który był biskupem jednej z dyecezyj włoskich i który zajął się hodowaniem téj rośliny i używaniem jéj jako lekarskiego środka. Ztąd tytón znany był długo w zachodnich prowincjach włoskich pod nazwą *ziela* Ternabony i nazwa *tabaco* wcale nie była używaną. Zdaje się jednak że w Rzymie pierwéj już zasiewano tytón sprowadzony przez wspomnianego już Prospera di Santa Croce. Della Valle utrzymuje wprawdzie że Don Virgilio Orsino, był pierwszym który tytón około roku 1615 z Anglii do Rzymu sprowadził i nauczył kardynała Crescentio jak się go pali, i co do ostatnie-



go punktu może to być prawdą, ale sama roślina tytoniu była Włochom znacznie pierwiej znaną.

We Włoszech a szczególnie w Rzymie, tytoni musiał nie jedno prześladowanie znosić; papież Urban VIII i Innocenty XII byli jego głównemi prześladowcami: Ten ostatni rzucił exkommunikę na każdego ktoby się poważył w bazylice św. Piotra zażywać tabakę, dopiero papież Benedykt XIII zdjął tę kłatwę, sam bowiem zażywał tabakę i palił tytoni.

W Anglii jak się zdaje tytoni i palenie go dopiero za panowania Jakuba I, zostały wprowadzone i z początku używano go tylko jako lekarstwa. Palenia tytoniu nauczyli się Anglicy od Indyan tej okolicy Ameryki północnej, którą Walter Raleigh na cześć panięńskiego stanu swojej monarchini królowej Elżbiety, nazwał Virginiją i w 1585 roku zaczął kolonizować. Tu Anglicy po raz pierwszy zobaczyli u miedzionoskórnych mieszkańców krajowych gliniane fajki z których oni palili liście tytoniu dziko u nich w lasach rosnącego, używając tego jako środka zapobiegającego rozmaitym chorobom. Za powrotem niektórych kolonistów do Anglii, palenie tytoniu stało się tak powszechnem i ulubionem, że Jakub I postanowieniem królewskiem opodatkował tytoni, aby jego konsumcyę ograniczyć; postanowienie to datuje się z roku 1604 a zatęm w czternaście lat po pierwszym wprowadzeniu tytoniu do Anglii, i czytamy w niem: „Dawniej tytoni używany był tylko przez wyższe klasy jako środek lekarski, ale teraz mnóstwo najgorszego rodzaju ludzi używa go tak nieumiarkowanie, że ogólny stan zdrowia poddanych naszych może być przez to na niebezpieczeństwo narażony, nadto pieniądze za ten artykuł wychodzą z kraju i urodzajna ziemia nasza marnowana jest w niemałej części na zasiewanie tego nieużytecznego zielska. Z tego powodu od dnia 26 października 1604 roku dla zapobieżenia temu złemu, od każdego mającego być skonsumowanym funta tytoniu, pobierany będzie podatek w kwocie 6 szyl. 10 denarów (około 2 rub. sr.)”

W roku 1616 zaczęli już Anglicy w swoich kolonijach w Wirginii hodować tytoni, co dowodzi że hodowla i handel tytoniu były korzystnemi. Ale i to przedsięwzięcie zostało ograniczone postanowieniem królewskiem, bo w r. 1619 wyszedł ukaz, że żadnemu kolonistcie angielskiemu w Wirginii nie ma być wolno zbierać więcej tytoniu w swojej plantacyi jak 100 fun. rocznie. Ale ani wysoka opłata od konsumcyi tytoniu, ani tamowanie szerzenia się jego uprawy w Wirginii, niezdolały powstrzymać tych którzy raz przywykli do używania tej rośliny. Równie bezsilną by-

ła nienawiść wielu pojedynczych osób dla tytoniu, tudzież całe krasomówstwo licznych pisarzy (a między niemi samego króla) którzy usiłowali znieść używanie tytoniu. Jak dalece niektóre osoby okazywały gwałtowny wstręć do używania tytoniu w owych czasach, dowodzi fakt niezaprzeczonej pewności, że pewien ojciec wydziedziczył swego syna za to, iż go raz widział palącego tytoni. Współczesny Camden podziwia, jak mogą niektóre osoby dla przyjemności lub jako lekarstwo, wciągać w siebie i wypuszczać nosem ostrowoniejący dym, zapomocą glinianej rurki. Następca Jakuba I podniecony znacznemi dochodami jakie skarb miał z opłat od używania tytoniu, pomyślał o zaprowadzeniu monopolu na ten artykuł, ale wojna domowa przeszkodziła wprowadzeniu tego projektu w wykonanie. Poprzestano zatęm na dodaniu do opłaty cła wchodowego, podatku od fabrykacyi i przedaży, przez co hodowanie tytoniu w samej Anglii stało się bardzo intratnem. Rozwijająca się corazbardziej produkcyja tytoniu w kraju, groziła zupełnem zniszczeniem ważnego dla skarbu dochodu cła wchodowego, i dla tego Kromwell w 1652 pomimo wielostronego oporu, musiał zakazać uprawy tytoniu w Anglii. Postanowienie to zostało następnie w 1783 roku rozciągnięte do Szkocyi a dopiero w 1830 i do Irlandyi. Dochód jakie wielka Brytania obecnie ciągnie z tytoniu, zasada się prawie zupełnie na podatku wchodowym, reszta nie wielka pochodzi z podatków nałożonych na fabrykantów i przedających. Każdy z 35,000 kupców (*tabacco and smiff dealers*) płaci rocznie 30 rs. fabrykanci zaś płacą stosownie do ilości wyrobionej, przy czem 2,000 funtów angielskich płaci także 30 rsr. Cło wchodowe wynosi około 90 kop. od funta. Przy tak wysokich opłatach, konsumcyja tytoniu nie może wzrastać odpowiednio do ludności. Obecnie według statystycznych wykazów, wprowadza się z opłatą celną około 30 millionów funtów, ale można za zupełną pewność uważać, że więcej niż drugie tyle wchodzi drogą kontrabandy, która przy wysokich opłatach celnych stanowi bardzo zyskowne rzemiosło.

W Turcyi jak już wspomnieliśmy, palenie tytoniu, według wszelkiego podobieństwa znane było przed odkryciem Ameryki, ale tylko bogatsi używali tej przyjemności; dopiero w r. 1610 użycie tytoniu stało się powszechnem. Mahomed IV syn sułtana Ibrahima zakazał w roku 1655 palenia tytoniu pod karę ścięcia. Nie można wiedzieć co go spowodowało do tego surowego postanowienia, sułtanowie bowiem w owych czasach nie tłómaczyli się nikomu ze swo-



ich rozporządzeń. Jedni utrzymują że sułtan spodziewał się tym sposobem utorować poddanym swoich najprostszą drogę do rajy proroka, według drugich spodziewał się przez ten zakaz zapobiedz pożarom które wówczas prawie codziennie srożyły się w Konstantynopolu; sułtan Amurat kazał każdego kogo dostrzeżono palącego tytón wieszać, z cybuchem przez nos przeciągniętym i workiem tytóniu na szyi zawieszonym. Opowiadają że sułtan ten pewnego razu przebrany przybył na jeden statek stojący w Bosforze; jeden spahi znajdujący się na tym statku w ciemnym kąciku zasiadłszy palił spokojnie tytón. Sułtan przyłączył się do niego i także zapalił fajkę, ale spah zerwał się natychmiast i uderzywszy w kark nieznanego towarzysza zawołał: „Cóż to, czy nie wiesz o sułtańskim zakazie?” Amurat odpowiedział: „Wszakże ten rozkaz również ciebie jak mnie obowiązuje.” „Bynajmniej, zawołał spahi, ja walczyłem za sułtana i umrzeć mogłem za niego, to mam prawo wyłączenia się od tego rozporządzenia; ale tobie radzę być posłusznym woli monarchy.” W kilka dni później sułtan kazał stawić przed sobą tego spaha i dał mu się poznać; żołnierz rzucił mu się do nóg błagając o łaskę. Sułtan nie tylko przebaczył mu ale nadto dał mu korzystną posadę w jednej prowincyi.

Oprócz Albanii, Bulgaryi i Serbii, tytón jest obecnie hodowany na ósmiej części urodzajnego gruntu Turcyi. Przeszło 20,000 rodzin poświęca się tam tej gałęzi przemysłu rolniczego i zbiór roczny wynosi 100,000 wańtuchów. Tytón hodowany w Turcyi przez większą część lubowników uważany jest za najlepszy w całej Europie, chociaż jest bardzo różny. Najwyborniejszym gatunkiem jest macedoński, z okolic Tessalii, w Konstantynopolu zaś najwięcej palą tytón pochodzący z Samsun i sąsiednich okolic, tudzież z Latakia i pobliskich górskich okręgów.

W Niemczech tytón poznany został jak się zdaje w drugiej połowie szesnastego wieku. Doktor Adolf Occo, fizyk miejski w Augsburgu, autor dzieła *Pharmacopea Augustana* i kilku pism numizmatycznych, pierwszy otrzymał liście i nasienie tytóniu, zapewne z Francyi. Occo posłał tę roślinę Janowi Funk, doktorowi w Meiningen, a ten znowu przesłał ją bez nazwy i opisu swemu szwagrowi, sławnemu Gesnerowi, w Zurichu, który w przysłanych liściach poznał znany z francuzkich opisów tytón i rozpisał w tym przedmiocie listy (w listopadzie 1565 r.) do doktorów Occa i Funk, tudzież profesora Arctius w Bern który tę roślinę już w swoim ogrodzie hodował. W tych

listach znajdujemy to wszystko co wówczas wiedziano w Niemczech o tytóniu, i pokazuje się z nich że wtedy używano tylko tytóniu jako lekarstwa i o paleniu go nie wiedziano. O tym ostatnim użytku dowiedziano się w Niemczech zapewne po wkroczeniu wojska hiszpańskiego pod Karolem V, ale tylko częściowo. O ile z rozmaitych źródeł dowiedzieć się można, wprowadzenie tytóniu w Niemczech może się chronologicznie w następujący sposób rozwinąć i uporządkować: W roku 1620 kilka kompanii angielskich przyniosło zwyczaj palenia tytóniu do Żittau; w 1659 r. zwyczaj ten był już znany w Leisnig w okręgu Meissen; w tymże roku zaczęto w tym celu zasiewać tytón w okręgu Wassingien; w 1676 zaczęto hodować go w Marchii Brandeburskiej a w 1697 w Hessyi i Palatynacie. Do Węgier i Czech uprawa tytóniu przeszła z Austrii, która ją od Włochów przejęła. Ale i w Niemczech używanie tytóniu spotkało wielu przeciwników, między którymi Gaspard Hoffman, kaznodzieja w Quedlinburg szczególnie się odznaczył, i już w 1684 roku przeciw paleniu tytóniu piorunował z ambony, jako przeciw zgorszeniu duchowemu, które nazywał dziełem samego szatana i każdemu palaczowi zapowiadał wieczne potępienie, porównywając usta jego do jamy piekielnej wiecznie siarką i smołą płonącej. Za nim idzie Tobiasz Eisler w *Przestrobach dla braci tytóniowych*, wydanych w 1733 r. Nazywa on tytón „chwastem zapomocą którego szatan nietylko prosty i nieokrzesany lud, ale nawet wyższe i uczone stany w sidła swoje wciąga i zmusza do palenia sobie ofiarnych kadzideł w każdej dnia godzinie.” Nawet dobroduszny Krystian Scriver, w dziele pod tytułem *Skarb duszy* zapala się przeciw tej dziś tak powszechnej rozrywce: „W szynkach i karczmach mówi on, zalewają się tym lub owym trunkiem, a żeby więcej mieć pragnienia do picia suszą sobie gardło dymem z palącego się tytóniu.” Jeszcze i w połowie XVIII wieku wielki teolog i kanclerz uniwersytetu w Tubindze, Jöger, w kazaniu pokutnem piorunując na współczesne występki powiedział: „Piją, objadają się do zbytku, a nawet tytón palą.”

Władza świecka uzbrajała się także na swój sposób: naznaczano i wymierzano kary na każdego kto fajkę palił. W roku 1651 policya krajowa w Wirtembergu zakazała „używania tytóniu pod ciężką karą, zwyczaj ten bowiem nie tylko nieużyteczny jest ale nawet szkodliwy i zgubny dla każdego wieku i stanu”. W r. 1723, konsystorz brunszwicki wydał do superintendentów polecenie, aby zostających pod swoim nadzorem predykantów ostrzegali względem unikania



nieprzyzwoitego szczególnie dla duchownych palenia tytoniu.

Obecnie uprawa tytoniu i połączona z nią fabrykacja jak wiadomo niesłychanie rozszerzyła się w Niemczech, a od kilkunastu lat powiększył się także niezmiernie wywóz za granice Europy, tak że wr. 1850 wywóz sygar niemieckich do Ameryki i Australii przedstawiał kapitał około miliona talarów. Na północy Niemiec głównym siedliskiem uprawy tytoniu są Prusy, mianowicie prowincje Brandeburska, Saska, Pomorska i Nadreńska. W środkowych Niemczech Bawaryja, Baden, Hessen i okolice Norymbergii hodują tyton na znacznych przestrzeniach gruntu.

Wspomnieliśmy powyżej że tyton już w 1563 roku znany był w Bern, w Szwajcaryi ale i w tym kraju użycie tytoniu do palenia daleko później weszło w zwyczaj i napotkało rozliczne przeszkody. I tak w roku 1653 w kantonie Appenzell kiedy kilka osób wychodząc z oberży pozwoliło sobie palić tyton na ulicy, sprawiło to takie oburzenie i zamieszanie między ludem, że władza policyjna widziała się zmuszoną stawić winnych przed sądem i ukarać, i przy tej okoliczności wydała postanowienie że właściciele oberż i karczem obowiązani są donosić do władzy miejscowej o każdym ktoby się poważył palić u nich tyton. W Kantonie Glarus w roku 1670 za palenie tytoniu naznaczono karę pieniężną jednej korony, złotem, a w Bern w 1661 r. wydane zostało bardzo surowe postanowienie przeciw tytoniowi i ustanowiona władza pod nazwą *Chambre du Tabac* dla czuwania nad ściśłym wykonywaniem tego postanowienia i karaniem postępujących wbrew jego przepisom, a w 1675 ogłoszonym tamże zostało nowe postanowienie naczynające kary pieniężne, więzy i pręgierza przeciw palącym tyton.

W Holandyi już w 1615 roku uprawiano tyton w okolicach Amersfort gdzie i dotąd jak równie w całej prowincyi Utrechtu uprawa ta na wielką skalę jest prowadzona. Troskliwość w uprawie, usiłowanie jak najwyższego dochodu z gruntów które jak wiadomo tak wysoko stoją w cenie w całej Holandyi, nakoniec w ostatnich czasach niezmiernie upowszechnione w tym kraju drenowanie, postawiły tytonie hollenderskie w całej Europie na równi z najlepszymi gatunkami amerykańskimi. W r. 1854 było w Holandyi w ruchu 335 fabryk tytoniu a 55 sygar, w których przerabiał się tyton krajowy i sprowadzany z Kentucky i Virginii.

W Szwecyi tyton za panowania królowej Krystyny, tak mało jeszcze był znany, że kiedy przy brze-

gach szwedzkich rozbił się jeden okręt holenderski, wieśniacy znalazłszy w nim zwoje tytoniu, sądzili że to są liny i sznury do przywiązywania bydła. Pierwsze postanowienie królewskie w przedmiocie tytoniu, wydane zostało w roku 1641. Dziś w Szwecyi znajduje się 77 fabryk w których przerabia się krajowy i zagraniczny tyton; najznaczniejsze z tych fabryk są w Sztokolmie, Gotaborgu i Nyköping.

W którym czasie tyton wprowadzony został do Rosyi, niepodobna dokładnie oznaczyć, ale to nieulega wątpliwości że przybył tam z Azji. I tu długo wzbraniano palenia tytoniu, ale tylko z powodów policyjnych, albowiem częste ztąd zdarzały się przypadki pożarów i do roku 1634 palenie tytoniu w Rosyi zabronione było pod utratą nosa. Obecnie uprawa i fabrykacja tytoniu w Cesarstwie w wysokim stopniu są rozwinięte i hodowanie tej rośliny stanowi nadto ważną gałąź gospodarstwa rolnego w Mało-Rosyi, w koloniach saratowskich, w Krymie i niektórych zakaukaskich prowincyach, tudzież w Bessarabii, Stawropolu, Woroneżu, Charkowie, Orle, Riazaniu, Kursku, w wielu południowo-rossyjskich prowincyach i Syberyi. Do roku 1842 lepsze gatunki tytoniu na próbę tylko były uprawiane, ale obecnie wydział roślinny corocznie sprowadza nowe nasienie z krajów najlepszej produkcji, jako to z Kuby, Maryland, Wirginii, Persyi i t. p. i rozdaje bezpłatnie każdemu kto się uprawą tytoniu trudni, a książki zawierające wiadomości o uprawie tytoniu znacznymi massami bywają w obieg puszczone. Tyton z Krymu dawno już wysoko jest ceniony i Pallas w 1803 roku tak o tym pisze: „W górach krymskich tyton okrąglistny, (*Nicotiana paniculata*) zasiewa się w kwietniu i maju, w tłustej ogrodowej ziemi, następnie na zagony poprzedzielane rowkami w których się woda utrzymuje przesadzany, czyli flancowany, pozostaje tak do jesieni, w której to porze obierają się liście, suszą w cieniu a następnie zakopują pod stosami siana, gdzie przybierają kolor brunatno-żółty, stają się podobnymi do tytoniu liściowego tureckiego, i prawie po tej samej cenie sprzedają się.

Chociaż w Europie produkcja i konsumpcja tytoniu doszła już do niezmiernych rozmiarów, a to niepozorne ziele stało się dla milionów ludzi obfitem źródłem zarobku, to wszystko jednakże nie może nawet iść w porównanie z Ameryką północną, Kubą i państwami środkowej Ameryki. W roku 1851, konsumpcja tytoniu w państwach związku celnego niemieckiego wynosiła  $2\frac{2}{3}$  funta na głowę, a w Prusach stosunek ten wynosił 3 fun. na głowę, w tymże



roku w Stanach Zjednoczonych konsumowano  $3\frac{1}{3}$  f. na głowę; podczas gdy w państwach związku celnego niemieckiego wyrobiono w r. 1842, 605 millionów sygar, na samą wyspę Kubie mieszkańcy wypalają rocznie 1825 millionów, czyli 5 million. cygar dziennie; to stanowi 2000 sztuk rocznie na każdego mieszkańca. Palenie sygar na wyspie Kubie i w środkowej Ameryce, tak upowszechnione u wszystkich stanów obojczy płci i wszelkiego wieku, że tylko dzieci przy piersi wyłączone są od tego zwyczaju. W Europie Belgia tylko i Dania okazują wyższą przeciętną cyfrę konsumpcji tytoniu niż Stany Zjednoczone, w Belgii bowiem wypada rocznie  $4\frac{1}{2}$  fun. a w Danii

$4\frac{3}{5}$  fun. na głowę; za to wschód i Ameryka środkowa tak mocno przeważają średnie cyfry Europejskie, że obliczając przeciętno konsumpcję tytoniu w całym znanym świecie, wypada średnia cyfra  $4\frac{1}{2}$  fun. czyli razem 4480 millionów fun. rocznej konsumpcji. Licząc średnią produkcję z morga na 500 fun. okaże się że przeszło 9 million. morgów czyli 450 mil kwadratowych niemieckich gruntu używa się pod uprawę tytoniu który licząc funt średnio tylko po 6 kop. przedstawia wartość około 300 million. rs. a zatem uprawa tytoniu przynosi średnio rocznie brutto 33 rubli srebrem z morga.

*J. B. Wagner.*

## OMER-PASZA.

W państwach chrześcijańskiej Europy, droga zasługi najczęściej prowadzi do sławy i wysokich stopni w społeczeństwie. Zdarza się i tam dosyć nawet nie rzadko że stosunki, protekcja, niekiedy okoliczność bardzo małej wagi; człowieka nieznanego wczora jeszcze nagle wynoszą na stanowisko znamienite i czynią go jednym z owych przeważnych współdziałaczy ruchu dziejowego, jakich każdy wiek, mniej lub więcej, na widownię światła wyprowadza.

Ale na Wschodzie zasługa, zupełnie jest wykreślona z warunków szybkiego pozyskania dostojęstw. Tam, dosyć jednego łaskawego wejrzenia władcy, dość podobać mu się raz jeden, w myśl jego trafić szczęśliwie, aby od razu wystąpić z tłumu i stanąć na szczycie godności. Wprawdzie to szybkie wyniesienie ludzi bez zasługi, tak w armii jako też w dywanie, staje się dziś coraz rzadszem. Porta ottomańska urządza się po europejsku i jej urzędnicy, muszą teraz dosługiwać się swoich stopni. Jednak przed trzydziestu jeszcze laty, działo się inaczej i takiemu stanowi rzeczy na Wschodzie, Omer-Pasza, winien swe wyniesienie. Omer-Pasza urodził się poddanym austriackim. Ojciec jego służył w wojsku, stryj zaś był księdzem obrządku wschodniego czyli greckiego kościoła. W Kroacyi w okręgu Ogulin w miasteczku Plaski urodził się około 1801 (podług innych 1811 r.) imię jego rodziny było Lattas. Młody Lattas oddany został do szkoły wojskowej która istniała w mieście jego rodzinnem, z tamtąd wyniósł pojęcia swe

o sztuce wojennej i wykształcił się w kaligrafii. Później uczył się matematyki w Thurm w sąsiedztwie miasta Karlstadt; po dokończeniu zaś kursów matematyki, przyjęty został do korpusu kadetów w Ogulin.

Biegłość młodego Lattasa w kaligrafii, ściągnęła uwagę majora Kajetana Kreezig, który zajął się młodym człowiekiem, dał mu jakąś cywilną posadę i chciał kierować dalszą jego przyszłością. Ale zdaje się że między podwładnym i zwierzchnikiem zaszły jakieś nieporozumienia. Majorowi zdawało się że Lattas zaniedbuje swych powinności. Lattas ze swjej strony może wnosił że major za wiele wymaga; opuścił więc majora, udał się do Bośni (ta, jak wiadomo jest prowincją turecką) i tam u bogatego kupca muzułmanina, wszedł w obowiązek.

Zdolności jego zaczynały zwracać uwagę Turków; Lattas czy to z wyrachowania czy też z obojętności dla wiary naddziadów, przeszedł na Islamizm wybierając imię Omera. Pan jego uczynił go nauczycielem swych synów i wysłał go z dziećmi swemi do Konstantynopola. W stolicy państwa tureckiego, Omer wszedł do szkoły wojskowej jako professor kaligrafii. Sułtan dowiedział się o nim: zaszczycił go stopniem oficera armii tureckiej i uczynił nauczycielem przy Abdul Meszydzie starszym synu swoim który wkrótce potem wstąpiwszy na tron Osmanów, nowymi dostojęstwami zbliżył Omer-Paszę do swjej osoby. Pomagał on Sułtanowi w urządzeniu artylleryi na nowy sposób a wzrastając w potęgę i łaski sułta-



na, niebawem otrzymał stopień Mushira, odpowiadający stopniowi Feldmarszałka.

wodził zwyciężkim wojskom tureckim choć dopiero w 1851 r. zdołał te zaburzenia do reszty uskromić.



Omer-Pasza.

Wslawił się uskromieniem zbuntowanych Druzów, pokolenia które zamieszkuje w Syrii i góry Libanu. Podczas powstania w Bośni i na Czarnogórze przy-

Wiadomo iż Sułtan przedsięwziął zaprowadzić w swoich państwach pewne konieczne odmiany co do formy rządu. To postanowienie sułtańskie wszędzie





*Abbt v. Hille*

*Darmstadt bei C. G. Lange.*

*W. G. Hilde*

OLOMUNIEC.







spotykało tysiące przeszkód, ale najgorzej i najtrudniej szły poprawy i odmiany w Bośni. Bośnia dzieli się na mnóstwo feudalnych cząstek większych i mniejszych, a w każdej znajduje się władca, który rządzi wedle swego upodobania. Ci wassalowie są potomkami stariej szlachty bośniackiej; lenności swe trzymają jeszcze od owych czasów kiedy Bośnia była prowincją węgierską. Są oni wyznania machometanckiego, wszakże wspólność wiary niezatarła w nich różnicy plemion, a ta różnica jest ciąglą do nienawiści podniętą.

Ci znów Bośniacy, którzy wyznają chrystyanizm, nienawidzą współrodaków swych machometan i jednoplemiennosc niknie, w obec różnicy wyznań. Tak więc magnaci bośniaccy, są w ciągłym podejrzeniu u Turków swych lennowładców i w ciągłej nienawiści u swych poddanych, chrześcijan. Właśnie na tych ostatnich Omer-Pasza, podczas wzmiankowanych już rozruchów, najsurowiej wywarł swą władzę. Znać było po okrucieństwach że to odstępca karze swych niegdyś współwyznawców.

Jeszcze Omer-Pasza zwyciężkim bułatem nie zmusił do milczenia Bośni, gdy powstało Czarnogórze.

To małe państewko na południe Bośni, jest najzachodniejszą częścią krajów sułtana leżących nad Adryatykiem, rozgranicza ono tureckie ziemie od austriackich, ciągnących się po zachodniej stronie bałkańskiego półwyspu.

Od wieków było lennością Turcyi, wszakże pod koniec XVIII stulecia, zaczęło się wybijać z pod przewagi Porty Ottomańskiej. Panujący na Czarnogórze Władyka, jest zarazem rządcą i najwyższym kapłanem; rząd zatem jedyny w Europie nowożytnej bo teokratyczny, spotykamy w tej maleńkiej Rzeczypospolitej.

Po zgonie Piotra Piotrowicza Niegusz, tron Czarnogórze posiadał syn jego, Władyka Daniel Piotrowicz Niegusz który z małemi siłami swego stotysięcznego narodu lecz z wielkimi nadziejami pomocy od ościennych chrześcijańskich mocarstw; śmiało zaczęł wojska sułtana.

Omer-Pasza z licznym wojskiem ruszył na zuchwałców i mimo nadzwyczajnej odwagi Czarnogórców, odniósł kilka zwycięstw. Może byłby ich zupełnie pokonał, lecz Austria nieprzychylna podówczas Turcyi posłała hrabiego Lejningen do Carogrodu ujmując się za Czarnogórczami.

Omer-Pasza z nowemi laury powrócił do Konstantynopola; dzięki dyplomacyi austriackiej która zapobiegła dalszej wojnie. Gdyby nie to, zwyciężkie laury Omer-Paszy uwiędłyby może w wąwozach Czarnogóry; powiadają bowiem że mały ów kraik, bardzo trudny jest do zdobycia; tak przez swe geograficzne położenie (napiętrzony grzbietami gór) jakoteż dla waleczności swych obywateli.

*J. Janiszewska.*

## O Ł O M U N I E C

### DAWNA MORAWII STOLICA.

(z ryciną.)

Morawija, kraj Słowiański, niegdyś będąca w niezgodzie z pobratymcami Czechami, dziś serdeczna ich siostra, nie wszystkim jest znana; a przecież obojętną być nie powinna, jako przez jedno-szczepowe zamieszkała plemie. Nie mamy zamiaru skreślić tu obszernie przeszłości historycznej tego kraju; wspomnieć tylko chcemy o ważniejszych, wpływ mających na byt kraju tego wypadkach. Główną zaś myślą przy opisaniu Ołomuńca, dać jakiegokolwiek zarazem wyobrażenie o dzisiejszym stanie moralnym, naukowym

i narodowym tej żyźnej, kwitnącej w rolnictwo prowincyi.

Można powiedzieć iż Morawija pierwsza ze Słowiańszczyzny jeszcze w ósmym wieku w silne się związała państwo, a w dziewiątym Czechom już rozkazywała. Pierwszym jej królem był Marowod. Najznakomitszym z późniejszych był Światopełk czyli Zwentibold, który rządził od 871—894, jednakże pod jego synem Śwołobogiem, Słowiańsko-Morawskie królestwo chylić się do upadku poczęło... Rezydencyą



morawskich królów równie jak i biskupów było miasto Wellegrod (Wellehrod). Najpierwszym biskupem był apostoł kraju tego, święty Cyryl; (Kiryło) drugim brat jego św. Metodyusz (Strachota); pod jego następcami, biskupstwo zostało przeniesione do Ołomuńca.

Wkrótce potem Morawija utraciła samoistność i królów swoich. Zrazu obcinana przez Magiarów i Czechów, została nareszcie zupełnie do tych ostatnich wcieloną, a cesarz Henryk II mianując Wratysława królem czeskim, w Moguncyi potwierdził to przyłączenie.

W trzynastym wieku podczas pamiętnych i strasznych dla całej Europy napadów tatarskich, Morawija także uległa ciężkiemu zniszczeniu. Niezliczone tłumy tych dzikich wojowników z wodzem Peta zjawiły się pod Ołomuńcem i powszechna trwoga ogarnęła kraj cały. Natenczas panujący król Wratysław poczynił wszelkie przygotowania do silnej obrony. Znakomitemu wojownikowi Jarosławowi Hernbergowi powierzono obronę Morawii. Z ośmiotysięcznym wojskiem, wzmocnionym siłą pospolitego ruszenia, zamknął się w Ołomuńcu przed samym nadejściem hord dzikich, których zbliżenie oznajmiały zdaleka, płomienie palących się miast i wiosek. Jarosław Hernberg odparł ich szturmami po kilkakroć, z niesłychanym mężstwem. Lecz w otwartym polu, nie mogło szczupłe to wojsko oprzeć się okrutnemu i chytremu nieprzyjacielowi, który niedbając o tak słabego przeciwnika, rozdzielił oddziały swoje na zdobywanie i zajęcie innych zamków, i na plondrowanie przyległych okolic. I tak zdobywszy bliski klasztor i zamek Hradysz wymordował najokrutniejszym sposobem wszystkich zakonników, a mała w zamku załoga w płomieniach śmierć znalazła. Wkrótce Wratysław, korzystając z nieogłędności tatarów i otrzymawszy małe posiłki, a nie mogąc powstrzymać rycerstwa swego pragnącego zemsty na pohańcach, dnia 25 lipca 1241 r. zrobił przed świtem wycieczkę, i wpadłszy do ich obozu, w mgnieniu oka rozniósł tam śmierć i spustoszenie. Na chwilę, przybyły sam Peta ze świeżą swą hordą, zwycięstwo w zawieszeniu zatrzymał i gdy się już chrześcijanie chwiać poczynali, Jarosław pospieszywszy w pomoc upadającym, zupełnie i stanowczo odniósł nad barbarzyńcami zwycięstwo: tatarów niedobitki ku Węgrom pierzchnęły. Peta zginął z ręki wodza, a ten w nagrodę ocalenia Morawii, jej wielkorządcą mianowanym został.

Później jednakże gdy wszystko zaczęło prawie ulegać polityce Germanów, nie tylko Morawija lecz

i królestwo Czeskie przeszło pod panowanie domu Luksenburgskiego i Austriackiego.

\* \* \*

Niedawno był czas w którym Morawija i Czechy uważane były za zupełnie ziemczące i były niemi poniekąd, gdyż nawet język narodowy w klassach wykształconych wyszedł z używania. Ta zmiana pozorna trwała do 1833 roku, po czém zwolna zaczęła się rozbudzać iskra ducha narodowego. Pierwszy popęd ku temu dało duchowieństwo morawskie. W Bernie (Brünn) głównym dziś mieście tej prowincyi, zaczęto wszystkie nauki wykładać w języku słowiańskim. Od tego małego zrazu ogniska, poczęło się rozchodzić światło i ciepło po całym kraju i dziś już nie brakuje tam na autorach w języku narodowym piszących, czy to w gałęzi historycznej, czy też w zakresie innych nauk. Pomiedzy poetami narodowymi znakomite zajmuje miejsce ksiądz Susił mąż, pod każdym względem zasługujący na cześć ziomków swoich.

Wiadome towarzystwa książkowe w Czechach, są: *Matica Czeska, Zgromadzenie pod wezwaniem świętego Cyryla i Metodego*, tudzież niedawno zawiązane stowarzyszenie pod nazwą świętego Jana Nepomucena patrona Czeskiego.

Każdy członek przystępujący do stowarzyszenia, winien jednorazowie złożyć dziesięć guldenów, (40 złp.) z funduszu tej składki codzien prawie pomnażając się, drukują mnóstwo egzemplarzy dzieł ludowych i innych w języku własnym: Każdy ze stowarzyszonych dostaje już bezpłatnie po jednym egzemplarzu, reszta sprzedawana po cenie bardzo niższej, dopomaga do nowego wydawnictwa i rozpuszczania w obieg w wielkiej ilości dzieł pożytecznych, dla dopięcia celu szlachetnego oświecania całej ludności i postępu jej moralnego,

Dzisiaj summa tym sposobem zebrana wynosi kilkadziesiąt tysięcy reńskich, a rozmaite wydawane dzieła odznaczają się nie tylko tannością ale i wartością literacką. *Matica Czeska* powzięła piękny pomysł przedrukowywania dawnych dzieł literatury czeskiej, pod redakcją Zapa wychodzi pismo pod tytułem: *Pamiętniki archeologiczne a mistopisne*. Wśród mnóstwa dzieł narodowych, w przedmiocie historyi, nauk ścisłych i literatury, wyszło także tłumaczenie wszystkich prawie arcydzieł obcych. Popęd umysłowy jest tak wielki iż Encyklopedia czeska ma już cztery tysiące prenumeratorów, chociaż niedawno rozpoczęta i dwa dopiero zeszyty wyszło z druku. Taki postęp



témbardziej jest zadziwiający, iż niedawno, bo w roku 1833 znalazło się ledwie kilku czechów pracujących w zamiarze rozbudzenia narodowości, pod stemem czcigodnego wykształconego kapłana.

I w Morawii założone zostało podobneż towarzystwo książkowe. Dzieje tego wydawnictwa, rzecz można są bardziej jeszcze zajmujące niż czeskiego, bo nie przez naśladownictwo pobratymców lecz z własnego popędu a nawet jakby z natchnienia jednego biednego prostaczka, powstało to pożyteczne zespolenie się ogółu. Sebastyan Kubinek włościanin niemający, ledwie umiejący czytać, smakujący raczej w zabawach i trunkach, niż w książce, razu jednego wróciwszy do domu, znalazł kawałek książki bez tytułu, począł ją czytać, a że była treści moralnej, że kolorami jaskrawemi malowała skutki złego życia i pijaństwa, uczyniła wielkie wrażenie na Kubinku, tak dalece, że poprzysiągł życie wstrzemięzliwe pędzić i zupełnie przestać pić mocnych trunków. Nie dość na tém; poczciwy wieśniak nie chciał sam jeden tylko korzystać z tego moralnego skarbu, zapragnął podzielić się nim z braćmi. Ale jakże to zrobić? nieoszacowaną książeczką nie można było wszystkich rodaków obdzielić? a on ukochał ich wszystkich, dla nich wszystkich pragnął tego dobra, jakie sam z niej otrzymał. Cóż więc robić? Oto oddaje młodszemu bratu gospodarstwo swoje, a sam wzięwszy kij w rękę, idzie, zbiera składki na drukowanie podobnych książek. Prace jego w czystym zamiarze przedsięwzięte, najlepszy otrzymały skutek. Jakby z jakim talizmanem, z książeczką w ręku, Kubinek nawraca ziomków na drogę pracy, do wstrzemięzliwości namawia, zbiera co może, a znajdując opiekę i pomoc w duchownych, którym przyniósł składkę i zamiar swój opowiedział, wydaje w języku narodowym zrazu małej objętości ale silną w słowach książeczkę, zachęcającą do trzeźwej pracy, do pobożności, do oświaty i miłości narodowości. Składka rośnie, a z nią razem rośnie szerzenie się po całej Morawii dzieł w języku krajowym pisanych. Kubinek dotąd jak prawdziwy apostoł, chodzi, nawraca, zachęca, zbiera składki, nie nie potrzebując dla siebie, niczego się nie obawiając, znosząc wesoło, nawet prześladowania. Wiara w czystość zamiarów swoich strzeże go od wszelkiej obawy: następujące przez naocznego świadka opowiadane nam zdarzenie, najlepiej tę jego silną wiarę odmaluje. Niedawno Kubinek przyniósł do jednego proboszcza zebraną składkę wynoszącą tysiąc reńskich, a że niósł ją wśród lasów nie mając żadnej, prócz kija do podparcia się, broni; proboszcz czyni

mu uwagę, że niebezpieczno było samemu wśród lasów w których zdarzają się napady przez złoczyńców, iść samotnie późną porą i nieść przy sobie tak znaczną kwotę pieniężną. „Co też to dobrodziej mówi? odpowiada pokiwawszy głową zgorszony Kubinek. Czy to Bóg nie strzeże pieniędzy za którymi sam mnie wysłał? Nie, dobrodziej, to grosz na dobro braci zebrany, grosz święty, bezpiecznie go mogę nosić.”

Tak tedy obok wykształconych ludzi w Bernie (Brünn) Ołomuńcu i innych miastach, dostarczających dla klas wykształconych, użytecznych naukowych dzieł w języku morawskim; prosty chłopek sam jeden o własnych siłach podejmuje olbrzymi zamiar oświecenia, umoralnienia ludu prostego. Oto jest jeden więcej jeszcze dowód, jak wielka różnica w usposobieniu dążeń ludów słowiańskich i innych europejskich plemion. Na Zachodzie rozpowszechniona oświata rozwija w każdej jednostce potrzebę *używania*, a tém samem pobudza jedynie przemysł i polepszenie bytu materialnego. Chłopi francuzcy zajęci pracą, nie mają czasu nawet święta uczcić w moralnym znaczeniu tego wyrazu. Rano w każde święto pilnej oddający się robocie, wieczór poświęcają użyciu pracy swojej; jeżeli do wielkich nie dochodzą excessów, to jedynie przez wzgląd na straty materialne na jakieby w końcu narażeni zostali. Wśród zachęty własnego rządu, oświata we Francyi, w porównaniu danych warunków nie tyle postępuje, a raczej nie taki jak w słowiańszczyźnie bierze kierunek; tu zaś w Morawii, Czechach i t. d., obok rozwiniętego rolnictwa, obok rękodzielni po miastach, nieustępujących innym niemieckim i francuzkim fabrykom, oświata ogólna, czysta, w dążności moralno-religijnej ciągle postępuje

Największe i najwięcej ruchu mające miasto w Morawii, Bernn (Brünn) liczy przeszło 40,000 mieszkańców; lecz Ołomuniec lubo ma zaledwie 10,000 ludności, bogatszym jest w dawne pamiątki historyczne, jako niegdyś pierwsze miasto w świetnych czasach kraju tego.

Morawskie nazwisko Ołomuńca jest Holomunce, łacińskie Eburum, lub w nowszych czasach Olomucium. Dzisiejsza nazwa powstała jak się zdaje z przekręcenia łacińskiego wyrazu Juliomontium; za czasów bowiem rzymskich Julius Maximus, natenczas wódz a później cesarz, ciągnąc około roku 230 po Chrystusie na Markomanów, zatrzymał się tam gdzie dziś przedmieście ku wschodowi położone, i założył dzisiejsze środkowe miasto; ztąd Juljo-montium (Ju-



liuszowa góra) nazwisko otrzymało. Trudno bowiem przypisywać pochodzenie tego nazwiska śmiesznej bajeczce niemieckiej, którą kilku nawet znakomitych pisarzy w swoich dziełach powtórzyło, jakoby jakiś dumny burmistrz kazał zawsze poprzedzać się drabantom aby ci zdaleka wołali: *Czapki na dół!* (falle müzen). W późniejszych czasach miasto wraz z krajem uległo Markomanom i Gotom a nakoniec Słowianom, którzy podbili kraj około 690 roku.

Później gdy Czechy i Morawia zostały przyłączone do krajów niemieckich roku 1354, miasto Ołomuniec dostało od Karola II przywilej na skład zagranicznych towarów i wolny niemi handel.

Roku 1393, straszliwy pożar zniszczył Ołomuniec tak, że żaden dom nie uszedł szkody.

Roku 1450, powtórnie stała się pastwą płomieni wielka część miasta z kościołem śgo Maurycego.

Roku 1468, po kilkodniowym oblężeniu Ołomuńca, poddało się miasto Maciejowi Korteinusowi królowi węgierskiemu pod którego panowaniem pozostało do jego śmierci.

Roku 1479, zawarty pokój tutaj między królem węgierskim a Władysławem królem czeskim.

Lata 1482, 1521, 1529, 1540, 1559, 1570, 1584 pamiętne morową zarazą panującą w Ołomuńcu i jego okolicach. W trzydziestoletniej wojnie Ołomuniec często był teatrem ważnych zdarzeń; w maju 1619 r. mieszkańcy po większej części protestanci poddali się stanom morawskim, i zmieniono radę którą na pół z katolickich na pół z protestanckich członków złożono nadal.

W roku 1642, wódz szwedzki Torstensohn stanąwszy przed miastem, i opanowawszy zaraz przedmieście, czwartego dnia zdobył Ołomuniec, który oprócz osady miejscowej, 800 ludzi załogi tylko liczył. Odtąd przez wiele lat zostawał w ręku Szwedów i był dla nich ważnym stanowiskiem wojennym. Wprawdzie w 1644 roku, rakuskie wojska o znowu z niektórymi mieszkańcami przedsięwzięły podstępem odebrać miasto, lecz zamiar zawczasie odkryty nie udał się, a wojsko tam weszło, wycięto.

Ołomuniec więc pozostał przy Szwedach do roku 1650 to jest parę lat po westfalskim pokoju. Wyszli nareszcie Szwedzi zostawując wyludnione i rozwalone miasto; rozległe zaś przedmieścia leżące wokoło, były przez nich z ziemią zrównane dla łatwiejszej Ołomuńca obrony. Długi upłynął czas nim się na nowo odbudował i zaludnił. Dopiero w 1750 roku twierdzę zrobiono. Nie raz jeszcze zaraza zabierała i niszczyła ludność, nie raz pożary trawiły miasto. Naj-

straszniejszy ogień nawiedził Ołomuniec w lipcu roku 1709, który prócz kościoła świętego Maurycego, kościołów i klasztorów Dominikanów i zakonnic św. Katarzyny przeszło 349 domów pochłonał.

Dnia 27 grudnia 1741 roku generał pruski Szwerin zdobył miasto gdyż słabo ufortyfikowane było. Po skończonej więc wojnie zebrano się do umocnienia, i zrobiono Ołomuniec jedną z twierdz najmocniejszych w państwie. To też kiedy w roku 1758 Fryderyk II z wojskiem pod miasto postąpił i przez siedm tygodni doń bombardował, przy bohaterskiej obronie obywateli, twierdza niezdobytą została i prusacy z niczem odeszli.

W późniejszych czasach podzielała ta forteca losy innych miast austriackiego państwa. W 1793 r. sławny francuzki generał Lafayette wzięty w niewolę, był tu osadzony w więzieniu. Także Rielogłowski ks. Kołłątaj i t. d. Usiłowania aby ich uwolnić nie udały się i dopiero układy w Leoben 1797 r. wróciły wolność Lafayetteowi, a Cesarz Aleksander I, Kołłątajowi 1803 r. Wiele zrobiono w nowych czasach do upiększenia miasta a kolej żelazna od 1848 r. zaprowadzona znacznie się przyczynia do nadania mu ruchu i powodzenia.

Pod względem topograficznym Ołomuniec leży w bardzo żyznej dolinie na prawym brzegu Morawy, składa się z dwóch części: właściwego miasta i przedmieść. Gmachy zasługujące na uwagę są:

Stary ratusz z wysoką wieżą, który przetrwał wszystkie burze i niepokoje wiekowe. Sztuczny na nim zegar istnieje od 1422 roku.

Dzisiejszy kościół metropolitalny zaczęty przez księcia Ołomunieckiego Waclawa, a ukończony przez jego syna Brzetysława, spalony w 1370 r., odbudowany przez biskupa Guzę X. Biskup zaś Stanisław Pawłowski dobudował wysoką wieżę. Następcy tegoż upiększali ciągle świątynię.

Stary kościół ś. Maurycego, który jeszcze w 902 r. miał stanąć na pamiątkę odniesionego nad Węgrami zwycięstwa.

Kościół śgo Michała ze śmiałą kopułą, gdzie spoczywa ciało śgo Jana Sarkandra który w 1620 r. poniósł śmierć męczeńską. Był on dziekanem von Holeschau; pokazują jeszcze loch, w którym torturą chciano na nim wymócić wyznanie że ułatwił napad Polakom.

Gmach uniwersytecki, dawne kolegium jezuickie. Za miastem leży przepyszny klasztor Hradisch który w 1784 r. na szpital wojskowy zamieniono. Ołomu-



niec ma także wiele zakładów naukowych, handlowych i t. d. i t. d.

Mówiąc o Morawii niepodobna nam przemilczeć o pięknej, czyniącej chlubę wiekowi naszemu instytucji. Tutaj bowiem najpierw zrodziła się myśl prawdziwie chrześcijańska, aby *zbrodnię* oddać w ręce *miłosierdzia*, aby przestępców, jako moralnie chorych powierzyć opiece osób poświęcających się doglądaniu cierpiących. Jeden morawczyk powziął, wypracował ten projekt i poddał go rozpatrzeniu rządowemu, a ze względu *oszczędności* jaką ta zmiana w budżet wydatków krajowych wprowadzała, rząd austriacki udzielił pozwolenie: w Mirowie, z Morawii rozmaitych zbrodniarzy po więzieniach bez dostatecznego dozoru, bez wpływu moralnego zostających, sprowadzić do klasztoru, i za jedyny dozór, opiekę, przydać im siostry miłosierdzia. 1200 przestępców, między którymi połowa zbrodniarzy z różnych więzień państwa austriackiego sprowadzonych, pilnuje ośmnaście słabych niewiast! Gdyby to nie było prawdą o której kaźden na miejscu przekonać się może, wzięto-by to za bajkę do powieści wymarzoną. A przecież zastanowiwszy się głębiej, wcaleśmy się temu dziwić nie powinni; wiadomo bowiem o ile jest wyższą moc ducha, nad siłą materji. Tę prawdę podaje nam historia w rozlicznych obrazach, czy to malując nam groźnego Atyllę u nóg bezbronno starca, czy to zawziętego wodza szwedów odstepującego od murów Częstochowy, czy zresztą w tylu nierównych walkach, gdzie garstka mężnych zwyciężała tłumy.

W zakładzie wyżej wymienionym, kilkaset złoczyńców zdołało porozumieć się z sobą tak dalece, że rozpiłowawszy kajdany, byli już gotowi do ucieczki, a tém samym do użycia gwałtownych środków, ażeby wszystkie, jakieby spotkać mogli, zniweczyć przeszkody. Cała ta tłuszcza tak przysposobiona zebrała się w dolnej sali gmachu, nagle, niespodzianie, gdyż jak zwykle w takich wypadkach, tajemnica kryła ich zamiary do ostatniej chwili. Spostrzegłszy to posługacz, zastraszony, śpieszy na górę do przełożonej wołając z przerażeniem: „Zgineliśmy!” Istotnie po ludzku biorąc, gdzie stawało do walki blisko 800 silnych zbrodniarzy, za zgubionych uważać się mogło kilkanaście młodych sióstr i kilku posługaczy. Przełożona wysłuchawszy posługacza, przestraszona nie o siebie, ale o los *swoich biednych braci*, nie zamyślając się ani chwilki, nie wątpiąc w moc Boga, w siłę krzyża którym znak na piersiach czyni, wzięwszy za towarzyszkę młodszą jeszcze od siebie siostrę, zbiega do sali dolnej, staje wpośród zbrodniarzy

i pełnemi miłości wyrazami prosi ich aby się nie gubili, aby grzesznej swój przeszłości nie zamieniali w stokroć występniejszą przyszłość! przedstawia im złe skutki jakie w tém i przyszłym życiu ściągnąć na siebie mogą. Zgoła, z taką miłością, z taką prawdą przemawia do nich, że oprzeć się jej nie zdołali pierwsi przewodnicy i rzucili pod nogi kajdany, poddając pod nie ręce swoje; inni poszli za ich przykładem i w parę godzin kilkuset silnych, na wszystko gotowych zbrodniarzy, dwie słabe kobiety pozamykały jak dzieci. Cichość, pokój dawniejszy, w całym klasztorze przywróconym został.

\* \* \*

Na wzór zakładu morawskiego, we Lwowie także ogromny klasztor św. Magdaleny, powiększono, i w nim obsadzono z różnych stron Galicyi i innych słowiańskich prowincyj, zebrane przestępne kobiety. Jest ich tam blisko trzysta. Czternaście sióstr miłosierdzia pilnuje a raczej opiekuje się najszcześliwszymi zbrodniarkami, które wyrwawszy się z więzień, gdzie od płatnych dozorców brutalnie doznawały obchodzenia się, dziś nie umieją być dość wdzięczne zakonnicom, które je równo jak siebie, jak siostry uważają. Obcowanie długie z osobami pełnemi miłości, żyjącymi tylko dla drugich, naturalnie ogromny wpływ wywiera na nieszczęśliwe, sponiewierane istoty. Czują się one jakby podniesione ich towarzystwem, względami jakich od nich doznają; ztąd przywiązały się do sióstr miłosierdzia niezmiernie. Dla ich miłości uczą się rozmaitych rzeczy. Tym sposobem otwierają się w nich częstokroć wyższe pojęcia o Bogu, o obowiązkach człowieka, o czém, żyjąc w nędzy moralnej, nie miały wyobrażenia. To téż zdarza się że gdy niektóre już czas jakiś przebywszy w inném kryminalnym więzieniu, tam, tylko na dopełnienie prawem naznaczonej liczby lat przeniesione zostały; przebywszy lat parę w tym przybytku cnoty i poświęcenia, nie chciały wyjść z Bożego domu.

Rozrzewniający prawdziwie jest widok, kiedy się wejdzie do ogromnej sali, w której obok zbrodniarek, Siostry ze słodkiem jak zwykle obliczem, razem z niemi zajmują się robotami kobiecemi; gdyby nie brzęk kajdan zdradzający położenie i straszną przeszłość, tych nieszczęśliwych, rzekłbyś patrząc na spokojne swobodne oblicze niektórych, że to są nowicjuszki, które się dobrowolnie do zgromadzenia S. M. zaciągnęły.



## PODANIA LUDU NASZEGO.

Legendy, podania to żyjące słowa w historii narodu, echo zamarłej przeszłości, to księga ludu zapisana wypadkami dziejowemi. Płynący czas przystraja je kwiatami poezji, fantazyja cudownością, a pokolenia w przechodzie otaczając barwą swego czasu w milionowym powtórzeniu przemieniają je wreszcie w nieprawdopodobne bajdy, w których nie brak ani diabłów w kusych frakach a z długimi ogonami, ani latających smoków o rozłożystych skrzydłach i pyskach ziejących ogniem.

Główna jednak myśl co im dała życie, choć krępowana wybrykami fantazyji, jak duch człowieka zawsze żyje nigdy niezamiera, a choć pod tą pleśnią czasu, w tych gruzach zamierzchłej przeszłości trudna do odgrzebania, pilne jednak oko badacza wysłodzi ją wszędzie, oczyści z jaskrawej barwy dziwactwa i zmyślenia, i w całej świeżości złoży w skarbnicy narodowych pamiątek.

Jako dziecię wyniańczone fantazyją ludu, zwykle legendy, podania, jego przemawiają wyobraźnią, a choć czasem potracą o szlachecką butę zdradzając źródło swego pochodzenia, nie zmieniają jednak formy, bo tarcza herbowa tylko zewnętrznie a nie w poezji oddzielała kiedyś szlachtę od ludu.

Legend tych i podań bardzo wiele błąka się po siołach i polach naszej ojczystej ziemi, jak ptastwo jakie czepiają się one samotnych mogił, pagórków, kup kamieni, ruin, oddalonych kapliczek, a nawet pewnych przestrzeni pola i ztamtąd przemawiają do żyjących pokoleń gwarząc o dawnych dziejach. Krytyka historyczna i rozwijająca się oświata, to najzawziętszy wróg tych fantastycznych motylków unoszących się nad mogiłami naszych praojców: zasłonić je od zaguby obowiązkiem dzisiejszej literatury, bo w nich złożony duch zamarłej przeszłości strojny w poetyczne szaty minionych pokoleń, dzielących nas od niego.

Trzy takie podsłuchane podania zamierzam przedstawić czytelnikom, podsłuchane powtarzam, bo lud winą ojców naszych a w części i naszą zamknięty w sobie, nie łatwo staje się mownym a trudniej je-

szcze skrzydła fantazyji rozpuszcza do lotu. Podsłuchiwać go więc trzeba, ale i sposobność do tego niezmiernie trudna gdyż oprócz zamknięcia się w sobie, rzadki między ludem człowiek, co potęgą słowa umie ożywić pamiątki przeszłości i otrząść je z pyłu zapomnienia.

Na tle więc podsłuchanych podań, daję wam trzy opowiadania, a choć cokolwiek zmienione w formie, główna jednak myśl nietkniętą zostanie, bo duch tych podań w jakąkolwiek obleczonej szacie, nigdy nieprzestaje być ludu własnością.

### I.

#### SALVE REGINA.

Pod Sandomierzem o wiorstę od miasta jadąc dolnym gościńcem po nad Wisłą z Klimontowa na lewej stronie drogi, znajduje się mały kopczyk jakby ręką ludzką usypany, obrośnięty łożyną i wierzbami. Kopczyk ten niewielki, niską pokryty trawką, na wierzchołku swym równym piaszczysto zwirkowatym i wyglądającym jak głowa cukru w połowie przecięta, ma dużemi prawie łokciowemi literami na parę przynajmniej cali pogłębionemi, w ziemi napis: *Salve Regina*. Historia tego napisu nigdy trawą niezarastającego poprzedzona małym ściśle historycznym obrazem napadów tatarskich jest następująca:

Dawno to temu, bo już sześć wieków minęło, jak w Polsce panował Bolesław V zwany wstydlivy, najpewniej dla tego, że się całe życie musiał wstydzić za niedołężne, niesprawiedliwe i niedbałe rządy, jakimi przez czas przeszło pięćdziesięcioletniego swego panowania trapił bez litości cały naród. Jeszcze pamięć ojca jego, zacnego Leszka białego, żyła między ludem w całej swój mocy; jeszcze duch ukochanego monarchy unosił się po nad grodami i siołami ojczystej ziemi, a już książęta i panowie poczęli się kłócić między sobą, staczać walki, zyskiwać przywileje, a tęp samém kraj osłabiać, tamować rozwój wewnętrznej zamożności i bezrząd szerzyć po nim bezkarnie. Jęczała więc Polska cała, obszerne powiaty



szły w zastawy margrabiów brandeburgskich, aby złotem niemieckiem podtrzymać świetność ubożających domów książęcych, a lud wiejski i mieszczaństwo z trwogą przyglądało się tym niesnaskom domowym, zanosząc po świątyniach z duchowieństwem modlitwy, o miłosierdzie Boże nad biedną krainą. Niemoc więc ogarnęła wszystkich, z czego korzystając Tatarowie i Mogołowie w roku 1241 pod wodzą Batego Chana, ujarzmiwszy Ruś wpadli do Lechii i Węgier. Bolesław V wyjechał z kraju, a spotkawszy się w górach karpackich z Belą królem węgierskim, razem z nim udał się do Moraw, oddając cały kraj na łup i pożogę tatarską. Zajaśniały też łuny pożarów na wszystkie strony, praca ludzka szła z dymem, nóż tatarski jednych namaszczał na męczenników Świętej Wiary, innych pętał w okowy niewoli, innych narzeczcie zaganiał w lasy i niedostępne kryjówki. W miejscach piosenki przy pracy ludności rolniczej, wesołością chwalcą Bogą, rozlegały się po pustych polnych obszarach wycia tatarskiej zgrai, wioski i grody przemieniały się w ruiny, umilkło nawet świegolenie szczebiotliwego ptastwa, tylko z krakaniem przelatywały chmury wron, kruków i gawronów, znacząc kierunek przechodów pogańskiej tłuszczy, a Kraków Sandomierz i sta innych miast zostały zrabowane spalone i prawie z ziemią zrównane.

Kłęski te ocuciły wreszcie naród z letargu niemoicy; zaczął się uzbrajać, gromadzić, i pod wodzą Włodzimierza wojewody krakowskiego, wojewody Pakosława i Jakóba Raciborowicza kasztelana sandomierskiego, poraził najeźdźcą horde pod Turskiem, Połańcem i Chmielnikiem.

Po krwawej następnie bitwie pod Lignicą, w której poległ wraz z wielu książętami polskimi i niemieckimi Henryk II zwany pobożny książę Szlązki, hordy łupieżców rozpoczęły pospieszny odwrót, a strwożony naród odetchnął swobodniejszą pierśią, napełniając świątynie Pańskie pieśniami pobożności i dziękczynienia. Wsie więc i miasta zaczęły się na nowo wznosić, praca zacierała ślady rozbójniczego napadu, naród rosł w zamożność i dostatek, tylko łzy rodzin nie obeschły płaczących za wymordowanymi bezlitośnie ofiarami, lub uprowadzonymi w okrutną niewolę barbarzyńców.

I tak mijały lata, zmieniali się ludzie, gdy znowu niesnaski domowe poczęły się między możnymi podnosić, bez względu że miecz krzyżackich zastępów tylko wyglądał sposobnej chwili, aby ze świstem i szumem przebiegł lechickie posiadłości, i oddać je w cięż-

kie jarzmo swojej władzy. Ale złe nigdy na jednym się nie kończy.

Zaledwie dwadzieścia lat minęło od pierwszego Tatarów napadu, gdy wiatr wschodni rozniósł znowu po całej ziemi polskiej niepokojące o tych napastnikach wieści. W każdym choć najmniejszym zadrżało serce, rodzice z trwogą przytulali dźwiatwę do serca przeczuwającego nowe okropności, których już raz byli świadkami w swojej młodości, a moiżni z narodu zamiast pomyśleć o osłonie kraju przed napaścią, radzili i swarzyli się między sobą, coraz robiąc go słabszym i bardziej przystępnym, Litwie, Rusi i wieczniczychającym na nas Niemcom. Trwoga z dniem każdym wzmagala się, łzawa modlitwa przerażonego ludu podnosiła się z nieszczęśliwej krainy do stóp Przedwiecznego, ale mimo płaczu kraju całego, mimo rozpaczego wołania nie wymodliła ocalenia.

Było to w roku 1260. Na pierwsze niepokojące wieści, jakby głuchym jękiem boleści idące od lubelskiej ziemi, lud zaczął szukać schronienia po lasach, i jaskiniach, ludność Sandomierza gotować do obrony, a gdy z pięćset dobrze uzbrojonymi żołnierzami przybył do miasta Piotr z Kremy Nałęcz wojewoda, we wszystkich wstąpiła ufność we własne siły, i nadzieja odparcia napastników, choć zwykle w mnogich prawie nieprzeliczonych zastępach wylewających się na naszą ziemię. Radość jednak tę wkrótce przygłuszyła okropna wiadomość; nocną bowiem porą, kiedy całe miasto w najtwardszym śnie pogrążone, odzywało się tylko wołaniami czuwającej straży, pod murami stanęła mała gromadka ludzi, z płaczem i jękiem dopraszając się wpuszczenia do miasta. Byli to mieszczenie z Zawichosta, i drżąc jeszcze ze strachu i przerażenia opowiedzieli że miasto przez Tatarów zostało spalone z ziemią prawie zrównane, ludność w pień wycięta, sześćdziesiąt zakonnic i dwunastu księży wymordowanych, a oni cudem prawie ocaleni zaledwie ciemną nocą zdołali ujsć przed pogonią tatarską. Wieść ta szybko obiegła całe miasto, na trwogę uderzono w dzwony, otworzone świątynie zabrzmiały błagalnymi pieśniami zakonników, dzieci, kobiet i starców, a wszystko co silniejszej prawicy, z orężem stanęło w szeregach obrońców dowodzonych przez mężnego Piotra z Kremy.

Wkrótce z po za wzgórz i pagórków ze wszystkich stron opasujących Sandomierz, zaczęły się okazywać pierwsze oddziały Tatarów, a gdy słońce w całym majestacie uniosło się po nad pola i łąny złocąc blaskiem nurty szumiącej Wisły, ziemia tylko zadudniała pod kopytami tatarskich koni, i krwiożercza tłu-



szcza pod wodzą srogięgo Nogaja, z krzykiem i wyciem rzuciła się na mężnych obrońców miasta. I zawrzała straszna walka, zaszumiały strzały tatarskie, zwarły się miecze, krew polalała się strumieniem a choć napady co chwila pojawiające się mężnie odpierano, choć setki trupów tatarskich padały do koła, dzielni obrońcy coraz się uszczuplając w swęj liczbie, czuli że ich opuszczają siły, i że lada chwila horda pogańska wpadnie po ich trupach do miasta, i w krwi chrześcijańskiej ugasi nienasycone pragnienie mordu i pożogi. Po trzech dniach i tyluż nocach nieustannęj prawie walki, bój ustał, Tatarzy obozem rozłożyli się po za miastem, a mężni obrońcy odetchnęli swobodniejszą pierśią krzepiąc się modlitwą i spoczynkiem.

Ale Bóg w zagniewaniu swoim nową klęskę zesłał na biednych Sandomierzan; zapasy bowiem żywności prawie zostały wyczerpane, i głód całe miasto owładnął w swoje panowanie. Wówczas rozpacz ogarnęła wszystkich bo Tatarzy ani myśleli ustąpić z pod miasta, a gdy wysłali wezwanie o poddanie się, Piotr z Kremy mając nadzieję wyjednania przynajmniej życia dla swoich rodaków, sam udał się do obozu tatarskiego, w tęg pewnością, że jako poseł w każdym razie bezpiecznym być może o swą osobę. Ale najezdnicza tłuszcza nieuszanosowała w nim nietykalności posłannika obleżonych, a widząc w nim jednego z najmężniejszych obrońców, którego siła ducha i prawicy, ożywiając każdego z walczących, była najgłówniejszą przyczyną strat, jakimi Tatarzy dotknięci zostali, rzucili się na nieustraszonego wojownika, skrempowali, wyłupili oczy, i podniosłszy na dzidy, z okrzykiem srogięj radości rzucili się na nieprzygotowane miasto do obrony. Naprózno nieszczęśliwy Krempa wołał umierając— „bracia! nie poddawajcie się—brońcie się! brońcie!”—naprózno wszystko co żyło rzuciło się do obrony, po krótkiej bowiem walce Tatarzy wpadli do miasta, i równo z ich wejściem trupy chrześcijan zaległy miasto, a luna pożaru wzniosła się po nad domy z sykiem i szumem wyrzucając kłęby dymu w powietrze, rozdzierane przeraźliwym jękiem mordowanych i umierających.

Obraz tych mordów i katuszy jakim ulegli wszyscy mieszkańcy Sandomierza icale miejscowe duchowieństwo, oddany jest z przerażającą dokładnością pędzlem w katedrze, i zdobi ściany tęg wspaniałęj świątyni. Czego miecz nie zgładził dokonał ogień, z ogromnemi ciężarami u rąk zawieszano nieszczęśliwych nogami, ucinano ręce, języki, wyłupywano oczy, prażono ogniem, a gdy brakło ofiar rzucono się na

klasztor księży dominikanów, z wysokiego wzgórza pomiędzy wąwozami patrzący poważnie na żyzne zabiwszy okolice, stanowiące dzisiejszą Galicyą, i wywiślanne zamknięte bramy wpadła rozbestwiona tłuszcza do przybytku Bożęgo.

W kościele było jak nabito, lud na klęczkach, a kapłani przy wielkim ołtarzu pieśń błagalną chórem wznosili do Pana nad Pany. Organ wtórzył nabożnemi śpiewami, a choć ozwały się pierwsze razy toporów z trzaskiem uderzające w bramę, modlitwa nie została przerwana, jakby nabożeństwo zwyczajnym odbywało się porządkiem, jakby z ukończeniem jego nie śmierć okropna, ale spokój domowęj zagrody, czekał pobożne zgromadzenie. Wreszcie brama wyważona padając z rumotem, odsłoniła krwiożerczą tłuszcę, rozsrożoną rozbestwioną, z podniesionemi mieczami, z wrzaskiem i wyciem tłocząca się w przed-sionku kościelnym. Wnet tęg nowe zaczęły padać ofiary barbarzyństwa, głosy rozpachy zajęczały pod sklepieniem kościelnym łącząc się z przekleństwami najezdniczęj hordy, pieśń jednak brzmiała ciągle tylko coraz słabsza, w miarę jak śpiewających ubywało, pomału cichła, malała, i dopiero z ostatnim śpiewaniem padającym pod katowskim mieczem zupełnie zamilkła.

Wówczas to wół klasztorny, powiada podanie, wyrwawszy się z obory, stanął na jednem najwynioślejszém miejscu, a spojrzawszy na klasztor i miasto, i zobaczywszy wszystko zniszczone, obrócone w perzynę, wymordowane, z boleści i żalu parsknął, potrząsł głową i na pół szalony, szybkim pędem puścił się wąwozem na dół ku Wiśle, chcąc dognać Tatarów opuszczających miasto z łupami, i zemścić się na nich choć uderzeniem potężnych swych rogów. Ale Tatarzy nadzwyczaj szybcy w poruszeniach już znacznie oddalili się od miasta, wół jednak pędził po nad brzegiem Wisły, z rykiem wyrzucał racicami ziemię, i uleciawszy tak potężny kawał widząc że najezdców nie dogoni, zatrzymał się jęknął boleśnie i grzebiąc nogami usypał kopiec, a na nim rogiem wypisał: *Salve Regina!*

Kopiec ten z napisem przez każdego z łatwością może być obejrzany, co mi zaś o nim mówiono to wierne opisane podaję.

## II.

### GROŻNY PAN.

W środku lasu pomiędzy Ilzą a Ostrowcem, o kroków kilkanaście od głównej drogi, a przy krzyżują-



jących się w cztery strony bocznych drożynach, znajduje się mały kopczyk, bardzo do mogiły podobny, okryty wielką kupą gałęzi. Z samotną taką mogiłą w naszych lasach i polach nie trudno się spotkać, zwykle przyczepione do nich bywa jakie o zbójcy lub samobójcy podanie, i ta o której mówić zamierzam miała być grobem jakiegoś ofiary samobójstwa. Bliższych jednak szczegółów żadnym sposobem zebrać nie mogłem, dopiero wypadkiem w pobliskiej karczynie, między kilku kobietami wracającymi z Ilży prowadzona rozmowa, zapoznała mnie z tradycją przywiązaną do tego miejsca. Pomiedzy rozmawiającymi jedna szczególnie kobieta, zalecała się pełnem życiarem a nawet poetycznem opowiadaniem; słowa płynęły jej z niezwykajnym wdziękiem, i przez wszystkich z takim zajęciem była słuchana, że nawet kobiety wiejskie zwykle dosyć mowne a zapomnialy o niepotrzebnem pytlowaniu językiem. Opowiadajaca, szczególnie w miejscach wiecéj dramatycznych, czasami używała mowy wiazanej, czasami miarowej, a rzadko posilkowała się niepotrzebnymi dodatkami, jak *tak tedy*, *moje kochaneczki*, albo *co robiący*, używajac ich tylko kiedy po nagłej przerwie, na nowo wracała do opowiadania. Stenograficzny obraz całej téj rozmowy niezmiernie byłby ciekawy, a co ważniejsza przekonałby upartych, że uczucie poetyczne ta iskra tchnienia Bożego, zarówno jest własnością dzieci cywilizacji jak i natury, i że nauka podnosi, tylko formę, w której poezya wylewa się na zewnątrz uszlachetnia ją i upięknia, ale poczucia poetycznego, zapachu poety niestworzy, bo to dar Boga, przed którym wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca.

Niektóre urywki z tego opowiadania, ponotowałem na oddzielnej karteczce, udajac pilne zajęcie własnymi myślami, i zupełnie nie zważanie na rozmawiających. Wybieg ten udał się wybornie, z początku wprawdzie często oczami strzelano ku mnie, ale wkrótce uspokojono się i zupełnie osobę moją wypuszczono z pod kontroli i uwagi. Posilkujac się wiec i notatką i pamięcią starać się będę w opowiadaniu o ile można być wiernym przedstawicielem oryginału, opuszczajac wszystko co tylko z głównym przedmiotem nie jest w ścisłym związku. Opowiadajaca była to jeszcze mloda kobieta lat zapewne nie spełna trzydziestu, z kruczym pięknym włosem i błyszczącymi jak ogień oczami. Poruszajac rękoma, często poprawiała włosy wymykajace się z pod chustki, a czasami widocznie ulegajac wpływowi natchnienia, podnosiła głos i oczami wodziła po stronie wpatrujac się w jakie miejsce, niby w książkę przez nią tylko zro-

zumiana i pojęta. Słuchajace kiedy niekiedy wzdychajac podnosiły ręce ze zgrozy i ale słuchały pilnie odbierane wrażenia z opowiadania wiernie odbijajac na twarzy.

— „Otoż moje kochaneczki” — rozpoczynajac opowiadanie tak się odezwała główna aktorka opisujacej się sceny — ten kopiec o którym się tu rozgadujecie, to nie kopiec ino *mogila groźnego pana*. Nieboszczka Ulina to i ładno i składno umiała o tém opowiedzieć, com ta z tego porwała do głowy to wam powtórze. Ale kaj ta kaj! moja gadka ani się umywała, do jej rozgadywania, bo u mnie ani głowy ani mowy takiej jak u Uliny, równie jednak opowiem wam wszystko z rzetelnością jak słyszałam; a choć ludzie może to to i owo dodali, zawdy jednak musi w tém być i wiele prawdy, boć trudno żeby se człek wszystko z palca wyssał.

Otoż przed wieloma laty, w całej téj stronie het! w okół za Ostrowiec panował tak nazwany przez ludzi *Groźny pan*. Potentat to był wielki, jak stanął na górze Świętokrzyżkiej, to kaj rzucił okiem wszystko było jego, jednego dnia ani koń ani ptak nie obleciałby granicę do koła; a bogactwa różnego miał tyla, co ani on ani nikt nie mógł zrachować, że aż mu się przewróciło w głowie, zaczął różne dokazować cudeńka, i z tego ludzie przezwali go *Groźnym panem*. Ale groźność ta nie była ladajaka. Naprzód wszystkie gromady chłopów zawołał do swego dworu wysokim otoczonego murem, niżej by jaka forteca, i przykazał, co by mu wszyscy mówili *nadjasny panie*, i o staje drogi czapkowali, bo tym coby zabaczali o tém, to będzie skórę ściagał albo z języka, albo z głowy razem z czapką i z czupryną. Potem nakazał coby go wszyscy kochali, byli we wszystkim posłuszni, i sławili przed ludźmi jakby co najlepszego i najdorodniejszego, bo duchem chciał se pojąć za żonę księżniczkę, co ta het! daleko za górami za lasami w złocistym mieszkała pałacu i na dzień powszedni w koralowych chodziła szmatach. Ludziska na taki przykaz aż pomartwieli ze strachu, bo gębie można nakazać i grzeczne słowo i jasnowanie, ale kochania w sercu nie kupi jak bułkę albo obwarzanek. Wiec się ludziska turbowali, wielce się frasowali, a pan się swobodził i z wielką dumnością chodził, choć między ludźmi i uciecha i śmianie, i wesołe w karczynie granie, na długie czasy poszło między lasy.

Groźny pan na to jednak nie zważał, bo siłacz był wielki, jak krzywał gniewnie to we wszystkich kościołach, na milę drogi, dzwony zadzwoniły: jak się



rozśmiały to wszystkie drzewa w lasach liściem się zatrzęsły, a jak ścisnął pięście to z ziemi rosa wystąpiła. Choć więc to wszystko strachem ludzi przejmowało, ale było z wielką dla nich dogodnością, bo podług tego zmiarkowali co jest w duszy u groźnego pana.

Ale pomału naprzykrzyło się to ludziom bo tak czupryna jak skóra na języku albo na grzbiecie to nie fracha; więc jak jeden drugi i dziesiąty odpokutował, tak potem wszyscy nocą zebrali się w lesie i cichaczem poszli do drugiego pana co go nazywali *Dobrusiem*, żeby im dał jaką radę w ich nieszczęściu i frasunku. *Dobruś* całkiem inną był natury jak *Groźny pan*, majątku nie miał tyle co on, ale równie bogactwa u niego nie brakowało, i jak przed *Groźnym panem* ludziska drżeli od strachu, tak przed nim drżały im serca ale z radości i kochania. Choć bez nakazu, wszyscy mu jasnowali i najczęściej nazywali ojcem, a z ustami i czapką każdy śmiało szedł do kolan, bo wiedzieli że i przytuli, i poratuje, i rozmówi i pocieszy, a nie skrzyczy nie zchałasi, i nie skrzywdzi nie zbatoży.

Ale na siłę trzeba siły, więc *Dobruś* jak wymiarkował wszystko dokumentnie, tak rzekł że się nie czuje na mocy, i że temu nieporadzi. Ludziska w płacz, w narady, w rozgadki i wszyscy poszli do stariej jendzonki co w lesie mieszkała samotnie kryjąc się przed *Groźnym panem*, i ta im dopiero poradziła, żeby każda kobieta wiejska pogłaskała *Dobrusia* po twarzy, żeby każde dziecko uśmiechnęło się do niego z przyjaźnią a każdy chłop żeby ścisnął mu rękę i tchnął na niego oddechem, a on wtedy zaraz takiej nabierze siły co *Groźnego pana* pokona, i zgryzie go jak orzech w zębach.

Rozradowany ludowina zrobił tak jak kazano, a wtedy *Dobruś* zmienił się w oczach do niepoznania, nad wszystkich wyrósł głową, oczy się ogniem zaiskrzyły, brwi i broda porosły gęstym jak las włosem, a jak ręce wyciągnął i wszyscy się ich chwycili, tak on na znak swojej siły delikatnie podniósł pouczepianych ludzi do twarzy, ucałował tak serdecznie i pocziwie że się aż wszyscy i młodzi i starzy popłakali.

Ży te ptakowie polni pobrali w dziobki, i trysnęli niemi w oczy *Groźnemu panu*, i zaraz mu serce zazdrością zawrzało, gniewność strzeliła z oczów, zgryztał zębami że aż wszystkim pokazały się błyskawice w oczach, machnął rękami jak śmigami u wiatraka

i wyrwawszy całego dębu wsiadł na konia i poleciał w świat jakby w opętaniu.

Jedzie, jedzie, zwolna, dumnie; co krok stąpi to śmiech cichnie — co się zmarszczy, świat zapłacze — co pogrozi to krew strugą, i tak jedzie, jedzie aż trzeciego dnia z samego wierzchołka wysokiej góry, zobaczył po równinie przejeżdżającego się z wielką wspaniałością na prześlicznym koniu jakiegoś rycerza. Był to *Dobruś*, a z oczów jego taka moc i światłość biły, że choć go *Groźny pan* poznał, równie przeraził się chciał nawrócić i uciekać. — Ale nadleciała chmara różnego ptastwa, zaśmiała się, wrony z przekpiwaniem zawołały *straach — straach* — kruki to samo *tchó — rzu — tchó — rzu*, że *Groźny pan* aż zakipiał ze złości, i co koń wyskoczy puścił się ku *Dobrusiowi*. I rycerze przystanęli, potem wpadli na siebie niżej dwie góry że się aż w powietrzu między chmurami zakotłowało jak w garnku: — potem wydobyli miecze i tak niemi błysnęli że na mile wszyscy ludzie i zwierzęta na pacierz czasu poślepli: — potem znowu przyskoczyli do siebie, i wnet zachuczało, zatrzeszczało, niżej w kuźni pod młotami, ale *Dobruś* odrazu wziął górę, bo *Groźny pan* w tej zapalczywości zapomniał się dobrze osłonić, *Dobruś* go pchnął mieczem, a potem nożem oderznął głowę, wsadził na wielką dzidę i pojechał do gromady żeby im opowiedzieć co się stało. Ale za nim dojechał to gromada już się dowiedziała, bo wiatr najspieszniej doleciał i wszystko opowiedział — ptaki wyśpiewały, ziemia się rozśmiała a słońko tak radośnie spojrzęło, że aż ziemia zapachniała kwiatem, i zadźwięczała wesołym śpiewaniem dziewuch i wiejskich parobczaków. Żeby zaś *Groźny pan* po zabiciu nie powstał upiorem, poćwiertowali go w drobne kawałki, i pochowali na rozstajnych drogach, ludzie zaś dlatego kładą gałęzie na mogile, żeby zagłuszyć jęki co się regularnie zawsze co noc o północy wydobywają z pod ziemi.

Tyla jest gadki o mogile *Groźnego pana*, a jeżeli mi się nie wszystko złożyło jak wypada, to wybacza, boć ja prostaczka, więc ani pięknych ani mądrych słów nie znajdzie u mnie w głowie, i trza brać jakie się nawina.

I ja tą samą prośbą o wybaczenie, kończę wiernie spisane opowiadanie, a choć może wielu się znajdzie, co powie „*at! bajduła i nic więcej*” — temu odpowiem: prawda że bajka, ale i bajka coś warta, gdy w niej tyle mieści się serdecznej prawdy.

J. Gregorowicz.

(Dokończenie nastąpi.)



## JAMAİKA.

Nie wchodząc w szczegółowe opisy Jamaiki którą Anglicy z wielkim talentem i prawdą skreślili, zrobimy tylko wyjątki dla czytelników naszych z najświeższych tam wycieczek. Wiadomo że po Kubie i Haiti, Jamaika jest największą z wysp antylskich i kiedy się na nią patrzy od morza w niejakiej odległości, wtedy przypomina powierzchnością swoją podróżnikowi przybywającemu ze stałego lądu, miejsca które tylko-co opuścił; ciemno-biebieskie góry z kąd nazwę dali im Anglicy *Blue Mountains*, odcinające się na ogromnym horyzoncie, przedstawiają podobny kordylierom Meksyku i Guatemala krajobraz, z harmojniami ich zarysami. Im się więcej do nich zbliża, témbardziej postrzegać się daje to podobieństwo; w takichże samych olbrzymich twierdzach które im służą za podporeę na Oceanie z całym ich ogromem i w przerwach zadziwiających zrzędzonych przez wulkaniczne wstrząśnienia. Wszędzie widać ten sam obraz natury amerykańskiej, szczytny, zachwycający pięknnością i różnofarbnością swoją.

Odkrycie Jamaiki winniśmy Krzysztofowi Kolumbowi który najpierwszy raz odkrył jęj brzegi 14 maja 1494 r. Mnóstwo czółen napełnionych krajowcami otoczyło statek jego: mieszkańców wówczas nieprzyjazne przyjęcie musiał kilką wystrzałami uśmierzyć. Mieszkańcy Jamaiki zdali się być Hiszpanom wyższymi w pojęciach i przemyśle od ludów innych wysp; szczególnie odznaczali się cienkością i mocą wyrobów swoich i sztuki z jaką budowali mieszkania i *łodzie* swoje. Oni to głównie dostarczali sąsiednim ludnościom tkanin wełnianych i hamaków których piękność i trwałość z robotami w całych Antylach równać się nie mogła. Co do zwyczajów, mowy, rządu, religii, nie różnili się od mieszkańców wysp Haity i Kuby.

Dopiero w roku 1503, Kolumb wszedł na ziemię Jamaiki, wypędzony przez Indyan z Veragua; przybył do niej po ogromnej burzy i doznał uprzejmego przyjęcia; tak że wszystkiego co on i ludzie z nim przybyli potrzebować mogli, mieszkańcy dostarczyli. Lecz wkrótce nieporozumienie wkradło się pomiędzy Hi-

szpanami, którzy pierwszy raz od odkrycia Ameryki rozdzielili się na dwa obozy. Kolumba natenczas opuściło wielu towarzyszków. Drudzy złém postępowaniem z krajowcami odstręczyli ich także od siebie i w takim przykrém położeniu zagrożony był admirał brakiem żywności którą Indyanie wzwyczaili się już byli dostarczać. Zaćmienie księżyca natenczas przypadało; użył więc Kolumb téj okoliczności na postach starszych Indjan, zapowiedział im, że Niebo rozgniewane ich złém postępowaniem odmówi światła swego i że następnej nocy księżyc się nie pokaże. Żartowano sobie z téj pogróżki; ale jak księżyc zaciemniać się zaczął, Indyanie przejęci trwożą, zbiegli się naokoło Kolumba, błagając go aby odwrócił od nich gniew nieba. Zarazem przynieśli mu kosze napełnione rozmaitym żywnością i obiecali na przyszłość wszelką powolność; wtedy Kolumb obiecał prosić za nimi Boga chrześcijan, a odsłaniający się księżyc zupełnie potwierdził mniemania niewiernych wyspiarzy o wszechmocności Jego.

Jednakże pomyślano dopiero w kilka lat później o kolonizacyi Jamaiki. Jan de Esquivel umocowany komisarz przez don Diega Kolumba, syna admirała, przyplłynął z wyspy Espanjoli (Haity) w listopadzie roku 1509, a wylądowawszy na północ wyspy, założył z siedmdziesięcią ludźmi pierwsze siedlisko blisko tego miejsca, gdzie w sześć lat pierwój, partja Kolumba w początkach udała się. Była to wielka wieś czyli osada krajowców nazwana Mayma, którą on nazwał Nową Sewillą na pamiątkę swego rodzinnego miasta. Kolonija szybko wzrastała; lecz gdy Hiszpanie poczęli tak jak w innych antylach rozdzierać krajowców na dystrykty, rozbierać ich pomiędzy siebie do uprawiania roli, ci, nieprzyzwyczajeni do téj nowej dla nich uciążliwości, puciekali na wszystkie strony w góry i lasy, gdzie niebawem wzięli się do broni; Esquivel połapał dowódców i śmiercią ich ukarawszy, pogrózkami zmusił wkrótce do jarzma i podległości.

Podobna zdobycz prędko się dokonała bez większego krwi rozlewu i w roku 1510 Jamaika zupełnie już



opanowana, uważała się za najpiękniejszą posiadłość korony kastylskiej: jeżeli nie obfitowała w drogie kruszce, dostarczała za to w wielkiej ilości wyrobów wełnianych i hamaków najlepszego gatunku. Dodać do tego wypada nadzwyczajne rozmnożenie sprowadzonych owiec, rosnących w oczach prawie, niewyczerpaną urodzajność a da się to wytłumaczyć że przez pół wieku stała się spichlerzem antyllów i głównym składem towarów przyległego lądu stałego.

Esquivel uważając w tej obfitości dóbr ziemi nadzieję z bogacenia się swego, zaniedbał wszystkich prac w kopalniach, w których tysiącami ginęło krajowców na innych wyspach; los przeto wyspiarzy tujszych w porównaniu z innemi wyspiarzami i pracownikami stałego lądu, stał się daleko znośniejszym. Podług raportu z angielskiego statku, który w parę lat później przybił do brzegu Jamaiki, opisywano kilka plantacyj trzciny cukrowych, i zbiorów win dość dobrych, z winogron które tam sprowadzano.

Ojcowie Hieronimici czuwający zarazem w sprawach administracyjnych, duchownych i świeckich na wyspie Haity, mieli także z początku w bezpośredniej swojej opiece tworzący się chrześcijaństwo w Jamaice od roku 1514 od którego datuje się pierwsza znamięta fundacja duchowna na tej wyspie. Przywilejem królewskim kościół pierwszy został urządzony na katedrę, której przełożonym był sławny Pedro Martyr de anglerja, protonotarjusz apostolski, autor wielu dzieł, dziś jeszcze bardzo poszukiwanych przez historiografów amerykańskich. Pedro Martyr urodził się w wyższych Włoszech, był naprzemian używany przez swych monarchów Ferdynanda, Izabelli katolickiej i Karola V w rozmaitych ważnych pośrednictwach. Razem z tytułem *Abbé* Jamaickiego, posiadał godność w metropolii Grenady i miejsce w Radzie królewskiej. Niemogąc osobiście udać się do Jamaiki, niemniej jednakże przykładał się do wzrostu jej kościoła i dał z własnych swych funduszy 60,000 dukatów na zbudowanie kolegiaty. Umarł roku 1525 lecz na kilka lat przed śmiercią zrzekł się tytułu *Abbé*; godność tę nadano doktorowi Sancho de Matienzo. Tytuł ten przechodził różnych następców aż do S. Fuenleala, bardzo znanego w tamtych stronach, dla którego wdzięczną pamięć wszyscy krajowcy dotąd dzieciom swym przekazują. Opisanie prac jego i usiłowań co do poprawy losu wyspiarzy, tak okrutnie przez jego współziomków gnębionych i uciśnionych, zajęłoby tom cały, równie cenny jak pamięć jego w dziejach kościoła Nowego Świata. Fuenleal okazał zwykłą gorliwość swoją o dobro, był pierwszym

w wykonaniu mądrych urzędzeń, które dwór na osłode losu Indyan postanowił; stał się prawdziwym ojcem i ciągłym protektorem. Tytuł *Abbé de Sevilla de Oro* zawsze używany był przez zwierzchników kolegiaty, pomimo to że od roku 1558, przenieśli rezydencję swoją z Sewilli do Santiago de la Vega.

Pomimo dawności tytułu i pierwszeństwa fundacyj, Sewilla prędko utraciła miano stolicy Jamaiki. Francisco de Garay zostawszy na miejscu Esquivela gubernatorem Jamaiki, założył roku 1518 o czternaście mil od tej wyspy, z tejże samej strony, osadę Melila, w głębi zatoki, gdzie najpierwszy raz Kolumb przybył i nazwał ją Santa Gloria.

W tejże samej epoce dwa drugie osiedlenia otworzyły się; Orystan ze strony południowo-zachodniej, również o 14 mil od Sewilli i Santiago de la Vega. Ta ostatnia kolonia tak mało znacząca z początku, przetrwała potem wszystkie inne; leżąca w pięknej dolinie nad rzeką Kobrą o 14 prawie mil od brzegów południowych wyspy, dostała odtąd imię Santiago, które patentem królewskim nadano całej Jamaice. Ta wyspa jest ogólnie dzisiaj znaną pod nazwą Spanish Town. Dzięki swemu cudownemu położeniu zaczęła brać górę nad Sewillą; a Don Diego Kolumb, syn admirała, za którego rozkazem ją utworzono i nazwano stolicą, przybrał tytuł *Markiz de la Vega*: tym tytułem długo szczycili się starsi synowie książąt de Veragua, potomkowie sławnego Krzysztofa Kolumba.

Sewilla codziennie wystawiona na składy kontrabandzistów zwykle obdzierających w antylach, opuszczoną została przez największą część swoich mieszkańców w ciągu jeszcze XVI wieku. Ażeby ująć powszechnego upadku, zarząd duchowny przeniósł się także do Santiago de la Vega. Za pomocą protekcji arcybiskupów z Saint-Domingo, wspaniały wzniesiono w tym mieście kościół, zastępujący katedrę; wiele innych świątyń i wielkich kaplic szybko stanęło, a wszystkie w świetności, okazałości i przepychu rywalizowały z najpierwszemi świątyniami w całej Ameryce. Pomyślny wzrost Santiago doszedł do najwyższego szczytu; pod panowaniem Filipa II połączenie korony Portugalskiej z Hiszpańską, sprowadziło doń mnóstwo portugalczyków, lecz ich czynność i przemysł zawstydział gnusność i nieczynność hiszpanów: ztąd powstały zawiści, niesnaski, a wreszcie i wielkie niezgody, które jej upadek zrzadzać poczęły. Ludność krajowców, zniszczona zarazami i złem obchodzeniem się panów, znikać powoli zaczęła, a sprowadzeni z brzegów afrykańskich murzyni, nie zdołali podnieść upadającego rolnictwa. Handel w Jamaice



zmniejszał się odtąd i słabł codziennie, a wyspa więcj niż kiedykolwiek wystawioną była na łupieztwo przemycaczy i korsarzów angielskich.

Przed końcem już XVI wieku Sevilla była jeszcze prawie wsią opustoszałą, zarosniętą ogromną pierwotną, dziką roślinnością; dzisiaj zaś należy do plantacyj najżyźniejszych. Wśród ogromnych pól trzciny cukrowej, sterczące rozwaliny kościoła głównego, założonego przez Pedra Martyra de Angleria, długo przypominać będą siłę wiary katolickiej hiszpańskiej.

Równocześnie jak Sevilla wyludniała się, Santiago de la Vega kosztem jej wznosić się zaczynało. Lecz wkrótce i na tę nową stolicę miały przyjść dni boleści. W roku 1596 po raz pierwszy została wziętą i złupioną przez Sir Antona Shirlej. W trzydzieści dziewięć lat potém zdobył ją mieczem pułkownik Jackson, który zrabował ją pierwój ze wszystkiego co tylko w niej znalazł najkosztowniejszego i wziął ogromną kontrybucyę nałożoną na mieszkańców. Nareszcie w roku 1655, po próżnym kuszeniu się o zajęcie wyspy Hispanioli, admirał Penn uderzył na Jamaikę: wylądował w niej bez wystrzału, i wywiesił chorągiew śgo Jerzego, która od tego czasu już tam ciągle powiewa.

Jenerał Venables dowodzący wylądowującym oddziałem, nie widząc nic coby miało pozór bronienia się, wydał do władz hiszpańskich w Santiago rozkaz, aby się stawili przed nim.

Ci, wcale się nie spodziewając napaści, uczuli się jakby piorunem rażeni. Gubernator Sasi musiał więc być posłusznym wezwaniu. W towarzystwie Abbé i kilku znaczniejszych obywateli miasta rozmówił się z Venablem, który wtenczas dał mu poznać że chce zabrać wyspę w posiadłość angielską. Pomimo trudności jaka zachodziła w bronieniu się przeciw wojsku wyćwiczonemu, licznemu, i zfanatyzowanemu, niektórzy oficerowie portugalscy, wsparci radą Abbégo, usiłowali podniecić odwagę gubernatora. Lecz Sasi, starzec bezsilny, bez wahania się podpisał traktat podany mu przez Venabla, niszcząc tym sposobem prawa króla swego.

Wiadomość o tém przeraziła wszystkich mieszkańców Santiago. Oburzeni myślą, że będą musieli stać się posłusznymi rządowi heretyckiemu i ufając w pomoc metropolli, woleli pędzić życie jak dzicy w pustyniach niż poddać się uległości jakiej po nich wymagano. Pobudzeni pełną odwagi wymową Abbé i officerów portugalskich, wyszli ze wszystkimi swymi dostatkami i niewolnikami wgląb' gór, gdzie Sasi

z niemi się udał, bo inaczej zostałby sam jeden w całym mieście. Venables oczywiście uważając tę ucieczkę za dowód nieprzyjazny, natychmiast, wszedłszy do Santiago, obrócił ją na posiadłość angielską. Upojeni zapalczywością i fanatyzmem żołnierze, zaczęli z całą zapamiętałością burzyć, niszczyć i obdzierać wszystkie dary, ozdoby i pamiątki religijne. Łatwo temu dać wiarę, gdyż się to działo w czasie protektoratu Kromwela, w chwili gdy purytanizm rzucał ogniem na wszystko. W nadziei znalezienia skarbów ukrytych, zburzyli aż do gruntu najwspanialszy kościół kolegijalny, ze wszystkimi wieżami i dzwonami które stopiono dla zaspokojenia chciwości żołdactwa. Kościoły *Santa Cruz blanca* i *Santa Cruz Colorado* równego doznały losu; dwa tylko ochroniono dla przerobienia ich na przybytki protestantyzmu anglikańskiego. Odtąd-to Santiago de la Vega straciło miano swoje, dostawszy nazwę Spanich-Town. Dawni mieszkańcy miasta schronieni w niedostępne góry, ciągle przez kilka lat bronili się od napaści. Przez ten czas Jamaika zaludniała się Anglikami i Szkotami, którym porozdzielano żywną jej ziemię. Dla powiększenia liczby płci żeńskiej, z rozkazu *Protektora* sprowadzono sto młodych dziewcząt irlandzkich, które wydarto z łona rodzin, i to stanowiło zakładeczynę nowój kolonii. Nie rozszerzając się nad jej wzrostem powiemy tylko, że z czasem Jamaika stała się najbardziej kwitnącą ze wszystkich antylów. Ta jednak pomyślność nie przeszkadzała mieszkańcom gór zostawać w ciągłej nieprzyjaźni z Anglikami. Po oddaleniu się znaczniejszych kolonistów hiszpańskich z wyspy, ci co pozostali, wspólnie z niewolnikami uwolnionymi już z przyczyny wydalenia się panów, utrzymywali się ciągle na stopie zbrojnej przeciw nowym władcom Jamaiki: bandy te kształcąc się w sztuce podjazdowej a razem i w łupieztwie, wkrótce stały się strasznymi. Winne były porządne uorganizowanie swoje odważnemu i bystrego umysłu murzynowi, sławnemu Janowi de Bola, który napadami swymi na siedziby nowe Wielkiej Brytanii, często odnosił krwawe zwycięstwa i pożytki. Odtąd-to powstał rodzaj *cimarronów* czyli negrów maronów. Usiłowania kolonistów angielskich zdołały z czasem ich wygubić cząstkowo. Jan de Bola przyjąwszy świetne od rządu angielskiego ofiary, pociągnął za swym przykładem niektóre bandy do poddania się. Nigdy jednak wszyscy Maroni nie ulegli. W przeciągu pół wieku tak się stali zastraszającymi, że w roku 1730 rząd musiał nadzwyczajnych użyć środków, ażeby wybawić od nich wyspę i osady.



Niezdolano jednakże pokonać zupełnie Maronów. Pod przewodnictwem Kudja (Cudioé) Murzyna zdatnego i przedsiębiorczego, Maroni zdołali wyzwąć całą potęgę białych. Miesiące i lata upływały w nieustannych obawach, a ciągle wyprawy czynione na uśmierzenie murzynów, żadnego nie otrzymywały skutku. Maroni zamiast zmniejszać się w liczbie, coraz się powiększali napływem niewolników i zbiegów z plantacyj angielskich. Nie przestali niszczących napadów swoich, wylewając, bez bojaźni i wyrzutów sumienia, krew swoich przeciwników w każdym razie, gdy ze strony ich doznali jakiej odmowy. Natenczas umyślono utworzyć gatunek forpocztów w samych górach, ścieśniając tym sposobem schronienia niedostępne murzynów. Podobny sposób wojowania sprowadził skutek pożądaný; bandytów ściśnionych w skałach i lasach chociaż nie można było doścignąć, zmuszono ich jednak do okrutnych ostateczności; brak pożywienia zrzucił następstwa jakich cała zebrana ludność białych otrzymać nie mogła.

Rząd dowiedziawszy się o tak wielkim ucisku, zaproponował im zaszczytną kapitulację i stanął traktat pokoju pomiędzy dowódcą Cudioe i pułkownikiem angielskim Guthrie. Liczne w tej umowie nadano przywileje, uznając ich za wolnych ludzi; 1500 włók ziemi przydano Maronom na wyżywienie się i dowódcę obdarzono prawem sądenia swoich i karami, z wyjątkiem tylko skazywania na śmierć przestępców. W zamian za te korzyści zapewniono sobie od nich wszelką pomoc w ściganiu zbiegających niewolników i wspólną wewnętrzną i zewnętrzną obronę wyspy: kommissarza białego obrano za najwyższego intendenta w rozsądzaniu nieporozumień jakieby mogły być wyniknąć pomiędzy nimi, a rzeczywiście przeznaczono go do czuwania, aby punkta traktatu obustronnie utrzymane były w całej mocy. Odtąd aż do roku 1700 murzyni na jaknajprzyjaźniejszej stopie utrzymywali się z rządem, wiernie czyniąc mu posługi do jakich tylko byli zdolni, okazując się zawsze dobrymi, szlachetnymi sprzymierzeńcami. Lecz przeznaczenie chciało mieć inaczej. W parafii Trelawny rozpoczęła się wojna. Przyczynę powstania przypisują odjazdowi majora James, intendenta, dla którego głębokie powzięli przywiązanie, i karze jakąznaczono za złodziejstwo dwom z ich kasty, przez zwierzchnictwo miasteczka Falmouth. Odjazd majora możeby nie sprowadził ogólnego buntu; lecz szczególniejszą sprawiło wybuch to, że dwóch winowajców skazanych na chłostę, oddano dla wymierzenia kary dowódcy niewolników. Maroni z pogardą patrzący

na niewolników i obrażeni że ich mieszano ze spłodoną ludnością, zanieśli skargę za tę obelgę do zgromadzenia prawodawczego. Zgromadzenie obiecało wejrzeć w to; lecz skoro rzecz poszła w odwłokę, rozłoszczeni, wstrzęśli jarzmo które przyjęli, zbrojno napadli na część białych, a w przeciągu kilku tygodni tak się bunt rozszerzył, że po drugi raz niebezpieczeństwo zagrażało całej wyspie i osadzie. Chociaż jaknajspieszniej wzięto się do gwałtownych środków zmuszających ku uległości zbutowanych, jednakże przez kilka miesięcy potoki krwi płynęły; z jednej i z drugiej strony przesadzano się w okrucieństwach i zemście. Rząd sprowadził z Kuby psów przyuczonych do szczwania ludzi (bloodhounds), aby zamiast ludzi walczyli, a postrach i przerażenie jakie wzbudzały te zwierzęta, zmusił powstańców do złożenia broni. Maroni z Windward niemający udziału w powstaniu, oddali rządowi posługę umawiając się z braćmi swemi z Trelawny; tych ostatnich w liczbie pięciuset wywieziono na wygnanie do Sierra Leone. Otóż i krótkie acz krwawe dzieje dawnych hiszpańskich niewolników Jamaiki. Walka, która blisko półtora wieku trwała, wzięła zaród w uczuciu religijném; można więc ją uważać za ostatnią pamiątkę katolicyzmu hiszpańskiego na tej wyspie. Rząd angielski dobrze to przewidywał, bo w różnych epokach zezwalając na tolerancję różnych sekt tworzących się, wyłączał zawsze wiarę katolicką. Maroni pozbawieni usług duchownych, wpadli w najgłębszą nieświadomość, a potomkowie ich dotąd żyjący w części zachodniej Jamaiki, są dzisiaj protestantami.

Lecz w tym samym czasie kiedy powstanie maronów w Trelawny groziło katolicyzmowi upadkiem w całej wyspie, wiara nasza odradzała się tutaj z powodu innych okoliczności. Powstanie które wybuchnęło w Saint-Domingo, wyгнаło tych katolików, których śmierć oszczędziła i od 1795 do 1802 r. wielka liczba rodzin francuzkich schroniła się do Jamaiki. Portugalczyk jeden, ojciec Rodriguez de Araujo, najpierwszym był który urzędownie zaprowadził obrządek katolicki, i w 1810 r. ufundował pierwszą kaplicę w Kingston: ojciec Benito Fernandez który nastąpił po nim 1820 r., posiadał wszystkie przymioty i cnoty okazujące miłość dla takiego wyznawcy nauk Jezusa Chrystusa. Dobroć jego, miłosierdzie bez granic dla wszystkich, sprowadziło na imie jego błogosławieństwo wszystkich co go znali. Przykładem i pracą odrodził przygasłą wiarę w sercach dawnych osadników Haity, i zdołał wprowadzić na nowo wszystkie obrządki religijne.



Wyniesiony na godność wikariusza apostolskiego w Jamaice pierwszy spoił rozerwany łańcuch zwierzchników duchownych z ludem téj wyspy, a wezwawszy do pomocy wielu braci, zgasł w roku 1855, zostawując w trzodzie mu powierzonych przeszło 6000 katolików, liczbę większą aniżeli cała ludność Jamaiki wy-

nosiła w czasie zajęcia jój przez Angliję. Śmierć tego Abbé uważano za klęskę publiczną. Różnice wyznań umilkły przed czią jaką we wszystkich wzbudzał sektach; wszyscy więc bez różnicy złączyli się z katolikami, aby uczcić i skropić łzami grób zacnego męża.

G.

## KLIMATOLOGICZNE WARUNKI STREF ZWROTNIKOWYCH

### I W PŁY W I C H N A C Z Ł O W I E K A .

(podług Dra Bromma.)

Oddawna już panuje błędne uprzedzenie jakoby klimat pod zwrotnikami, w porównaniu z strefami południowymi, nie tyle sprzyjał rozwojowi naszego organizmu. Uprzedzenie to, uporczywie rozpowszechniane w najelementarniejszych nawet dziełach, było głównym powodem zatrzymania się postępów rolnictwa w krainach bogato udarowanych wszelkimi darami przyrody. Więcej jeszcze, — uprzedzeniu temu zawdzięcza ludzkość haniebnny handel ludźmi — niewolnikami, który pod wpływem tychże samych wyobrażeń trwa dotychczas. W rzeczy samej zaś klimatologiczne warunki, nieupoważniają do wyprowadzenia podobnego rodzaju wniosków, jak ten który stanowi naczelną zdanie naszego artykułu. Tysiące możemy przytoczyć przykładów dowodzących zupełnej pomyślności zdrowia i sił fizycznych wychodźców z środkowej Europy zamieszkujących południowe krainy Wschodnich i Zachodnich Indyj, Azji centralnej i Ameryki. Przy umiejętnem zastosowaniu się do miejscowych warunków, przy niejakiach ostrożnościach, które zresztą wszędzie są konieczne, biali żyją pod zwrotnikami tak pomyślnie jak i na rodzinnym zagonie. Prawda, że promień podzwrotnikowego słońca przez rok cały równie jest gorący, i że gdyby nie niektóre fizyczne warunki miarkujące temperaturę, żar w południowych godzinach byłby trudnym do zniesienia; ale za to z drugiej strony w czasie krótkich nocy letnich, ilość ciepła nie jest większą niż w naszych umiarkowanych klimatach. Według ścisłych i wiarygodnych spostrzeżeń meteorologicznych w niektórych

provincjach Niemiec, Francyi i Włoch gorąco w dni lipcowe jest tak wielkie jak i na wybrzeżach Peru lub w południowych krajach północnej Ameryki. Chłód powiewający na południową Azyę od gór himalajskich, pary oceanu osiadające podczas nocy w postaci rosy, a przytém równa długość dnia i nocy pod równikiem, a dalej dochodząca różnicy najwięcej o 1 godzinę i 28 minut, — wszystko-to nie mało wpływa na zniżenie gorąca między zwrotnikami i odświeżenie powietrza stref gorących. Nie! nie *temperatura* to winna że najpiękniejsze krainy na ziemi szkodliwymi się stają dla europejczyków. Prawdziwą przyczyną jest — *parowanie*, które naturalnie przy zwiększonym gorącu jest daleko silniejsze, lubo skutki jego nie są różne od tych jakie pociąga w umiarkowanym klimacie.

Błota, bagna, moczary, wylewy rzek, gnicie roślinnych i zwierzęcych nagromadzonych materij, czynią możliwem rozwinięcie się tychże samych szkodliwych chorób w Europie jak i między zwrotnikami. Tu, równie jak i w tych gorących klimatach, niespodziana, szybka zmiana temperatury, wywiera jedno i toż samo działanie; przy temperaturze 16 lub 18 stopni pod równikiem tak samo można się przeziębic, jeżeli poprzednio rozgrzejemy ciało zwykłym tam upałem 36 do 38 stopniowym, jak i na północy, przy tychże samych warunkach gdy termometr spadnie z 16° lub 18° na 0°. Jedyne tylko parowanie niedozwala nam w pełni ufać zwrotnikowemu klimatowi. Skutki jego są tym zgubniejsze, że w wyborze miejscowości na ko-



lonije, miano na względzie jedynie tylko polityczne rachuby bez uwagi na pomyślność mieszkających osadników. W nienasyconej chciwości szybkiego zubożenia się zaczęto uprawiać i poruszać grunta do jakich w maleńkiej nawet Europie przystępowano z zabezpieczeniem się wszelkimi możliwymi sposobami. Tymczasem zapomniane zostawały przestrzenie o tysiącach mil kwadratowych, które mogłyby uszczęśliwić miliony pracowitych mieszkańców.

Mjazmy, które wywierają tak szkodliwy wpływ na klimat zwrotnikowy zależą bezwątpienia od stanu atmosfery, wilgotności i temperatury tejże, lecz niemniej znajdują się w związku z własnościami gruntu, z miejscową florą i fauną tak samo jak i w Europie. Między zwrotnikami zarówno jak i w stariej naszej ojczyźnie europejskiej grunt iłowaty, gliniasty i piaszczysty jest w ogóle najszkodliwszy i odwrrotnie: wapienisty i kredowy najpomyślniejszy, dla tego nieoszacowanego skarbu dla zdrowia człowieka. Iłowaty grunt zwrotników stanowią albo słonawe bagna albo torfiaste płaszczyzny naniesione przyplływem i odpływem oceanu, wylewem rzek lub nakoniec silnymi strumieniami padających peryodycznie deszczy. Błota takowe są szkodliwe dla zdrowia mijazmatami, jakie się tworzą mianowicie na bagnach słonawych. Doświadczenie pokazało iż sól znajdująca się w nadmiarze, chroni ciała organiczne od gnicia, w małej zaś ilości pomaga fermentacyi i rozkładowi, i tym sposobem tylko możemy objaśnić owe niemal cudownie fantastyczne znikanie nadmorskiej roślinności w gorących strefach naszej planety. Rośliny te peryodycznie tylko zalewane są wodą i następnie po odpływie takowej wystawione na działanie zwrotnikowego słońca. Zbliżając się mianowicie wieczorem do tych niebezpiecznych miejscowości, uśmiechających się częstokroć rokoszną wegietacją, czujemy jakiś duszący daleko rozchodzący się zapach. Im wyższa jest temperatura, tym szkodliwszym wpływ tej woni—najjadowitszą okazuje się ona pod palącym niebem zachodnich wybrzeży Afryki, mniej w Azji, a najniewinniejszą w Ameryce. Afrykańskie błota słone w szkodliwości wyziewów przechodzą wszystkie inne i działanie ich tym jest silniejsze im przybywający Europejczyk cieszy się większym zasobem zdrowia. Dla tych wychodźców, jeżeli pragną uniknąć szkodliwości mijazmów bagien, jedyną jest radą, przepędzać czas deszczów i pory dżdżystej w okolicach oddalonych od wybrzeży bagnistych. Dostyc jest bowiem przepędzić pod otwartym niebem choćby jedną noc na tak bogatej i wspaniałej cudami natury wyspie

Zangebor, a można być pewnym nieochybniej śmierci, wśród okropnych męczarni błotnistej febry. Lecz mimo tego piękna ta wyspa, rozległa przeszło w kierunku długości na dwadzieścia godzin jazdy, posiada pola najstarowniej uprawne i przynoszące złote owoce ich właścicielom.

Czarujące wzrok gaje, i polanki okryte trudnym do opisanja kobiercem murawy, ubranym tysiącem kwiecia, wspaniała i cicha noc opromieniona łagodnym światłem gwiazd południowego nieba, wszystko dla przybysza jest tylko złudnym uśmiechem szczęścia, pokrywającym straszną i śmiertelną truciznę: bo pod tą powierzchownością kryje się niedostrzeżony dla oka oddech mijazmatyczny, podnoszący się z szerokiego łona bagnistego gruntu. Kapitanowi fregaty „Andromacha” zdarzyło się raz z kilku oficerami i służbą nocować na wybrzeżu tej zaklętej wyspy; wszyscy pomarli tak szybko iż lekarze przypuszczali z początku otrucie. Osada angielskiego statku Baracotto, przybywszy na ląd po wodę, zaskoczona nocą, ułożyła się do snu pod namiotami, lecz wkrótce objawiła się między niemi febra. Wielu z marynarzy dezertujących z okrętów stojących na kotwicy w bliskości wyspy, w zatrutem powietrzu tej ziemi zdaleka czarującej, znajduje karę swego przewinienia. Toż samo przedstawiają cieniste wybrzeża Mozambiku, i Madagaskaru—lecz mimo tego mieszkańcy tamedźni pędzą życie swobodne, i dochodzą późnej starości. Słonawe bagna w bliskości Batawio i na Jawie nie jednokrotnie już przyprawiają o śmierć tysiące przybywających tam emigrantów. Niemniej straszne były skutki dla kolonistów, wynikające z pobrzeżnych błot Indyj zachodnich, Arrakapy, Birmy, Mallaki i Sumatry, lubo siła ich daleką jest od potęgi afrykańskich bagien.

Toż samo spotykamy w okolicach podzwrotnikowej Ameryki zajętych słonawymi moczarami, lubo zjawisko to jest tutaj daleko umiarkowane. W miastach otoczonych lasami pobrzeżnymi pobyt dla cudzoziemca nie jest bezpieczny i wszystkie niemal epidemiczne choroby są w związku z miejscowością i stanem gruntu.

Jeżeli teraz od nadmorskich wybrzeży cofniemy się ku okolicom naniesionym przez rzeki, i corocznie zraszonym peryodycznym wylewem, spostrzeżemy iż okoliczności zmieniły się ale skutki szkodliwe zostały też same. Lecz zjawiska te nie są wyjątkowe ale mają miejsce i w Niemczech. Tu również jak i w ojczyźnie bawarskiego piwa, okolice podlegające peryodycznym wylewom są gniazdem feber rozmaitej siły



i nazwania. Jest to rzecz nieunikniona, lubo z drugiej strony taż sama przyczyna błogie rodzi skutki. Wylewy Orenoco, Kwerry, Saint-Francisco, Gambii, Amazonki, użyzniając pola, w tejże samej chwili zarażają atmosferę rozlicznymi miazmami. Wezbrawszy z powodu silnych peryodycznych deszczy, rzeki te występują z koryt i zalewają przyległe doliny na 10 do 30 stóp wysoko, tworząc tym sposobem jakby śródlądowe morza.

Dopóki trwa pora deszczowa, a z niebios wody zlewają się strumieniami, działanie nie wywiera żadnego szkodliwego skutku; lecz jak tylko deszcz przestanie padać a rzeki opadną nieco, rozpoczyna się silny process gnicia i rozkładu masy naniesionej, wilgotnej a złożonej z pomieszanych w nieładzie cząstek iłu, gliny, roślin, zwierząt, ku czemu główną podniecającą jest wysoka temperatura atmosfery, i żar palących promieni słońca. Wtedy to wywiązują się szkodliwe miazmata, gazy zarażające powietrze i wywierające zgubny wpływ na zdrowie ludzkie. Najlepiej i na najobszerniejszy rozmiar widzieć to można na Gangesie, który podczas silnego wylewu od lipca do września zajmuje równiny Bengalu i trzyma pod wodą tysiące wiosek, miast i kolonij. Wszelkiego rodzaju nieczystości zbierają się w tém gnijącym morzu, w którym tysiącami pływają trupy unoszone nurtem rzeki świętej. One to po przejściu wylewu, płodzą zarazę, która jakby cholera przebiega po wybrzeżach ciemnych lasów, rzek i bagien, zostawiając wszędzie dotykane ślady swych odwiedzin śmiertelnych. Niepotrzebujemy zdaje się dowodzić, ilu nieszczęść stałyby się przyczyną rozlewy rzeki amazońskiej, gdyby brzegi tej potężnej arterii Ameryki w równym stopniu jak Ganges były zamieszkane. Co się tyczy Brazylii uczynimy uwagę, iż wylewają tam nie tylko wielkie rzeki, ale i małe strumienie tak obficie zraszające to potężne państwo. Z tego to powodu, w ogromnej ilości osadzają się szkodliwe materje na brzegach, nizinach i błotach, które w dni pogodne widocznie ubywają a nawet i znikają zupełnie. Jakiemi massami spada woda w parę deszczową, łatwo pojąć jeżeli zważymy iż drugo-rzędne rzeki podtrzymują się tylko tym sposobem i bardzo często w parę godzin spada deszczu kilkanaście cali. W Afryce, Indyach zachodnich i Ameryce między zwrotnikowej obliczają średni wypadek rocznie na 150 cali. Lecz w dwóch pierwszych okolicach podzwrotnikowego pasu, cyfra ta przy sprzyjających okolicznościach bardzo często podwaja się.

Niepodobna choćby najslabsze dać wyobrażenie

o gwałtowności i sile tych ulewnych potoków wody. Szum obijających się kropel o liście słyhać już zdaleka i napróżno chroniłby się podróżny od przemoknięcia pod gęste sploty drzew wyniosłych: w kilka minut po rozpoczęciu ulewy, deszcz spada strumieniami. W peryodzie rozlewów, niebezpieczeństwo zachorowania nie jest jeszcze tak znaczne, lecz rozpoczyna się z chwilą cofnięcia się rzek w swoje koryta, gdy najodleglejsze miejscowości lądu zmieniają się na czas pewien w cuchnące bagna. Dopokąd woda nie ustąpiła największe błota nie są szkodliwe. Lecz jak tylko wilgoć stopniowo panuje, albo też przesiąka w niższe warstwy ziemi, rozpoczyna się process rozkładu na wielką skalę, i zaraża powietrze okoliczne dotąd, dopóki materje organiczne nie zostaną zniszczone do szczytu.

Zatrzymujący wilgoć grunt gliniasty, pod wpływem wysokiej temperatury, i zmiennego powietrza, wywiera taki sam wpływ na organizm, jaki posiadają na nieszczęście bagna nadrzeczne i słonawe przymorskie. Szkodliwość tego rodzaju gruntu pod zwrotnikami, zdaje się zależeć od tego, iż glina w ogólności jest złym przewodnikiem ciepła, a zatem chłodniejsza od innych; z tej przyczyny w okolicach położonych w gruntach gliniastych, noce bywają zimne, tak szkodliwe dla zdrowia mieszkańców; temperatura 13 do 14° R. dla rozgrzanych dziennym upałem, staje się już dotkliwym chłodem od którego bronić może tylko bezustanny ogień.

Grunt piaszczysty tak korzystny przy innych warunkach dla zdrowia, między zwrotnikami traci tę szacowną własność i w niektórych razach jest przyczyną nie małych nieszczęść. W Afryce np. jest tak szkodliwy jak i gliniasty, a nawet częstokroć grozi większem jeszcze niebezpieczeństwem, gdyż nie widzimy ostrzegającego śladu o rozkładzie ulegających zepsuciu materj roślinnych i zwierzęcych. Rękoma przyrody na rezerwoar wody przysposobiony, wciąga spadające z deszczem części organiczne, a puste przestrzenie między ziarnkami tego sypkiego materiału wypełnia znaczna ilość wody. Pod wpływem ognistych promieni słońca, piaszczyste te zbiorniki rozgrzewają się do 45 lub 50° R. i wytwarzają obfite pary obdarzone potężną siłą roztwarzania wszystkiego co spotkają na swój drodze; zdaje się iż niepotrzebujemy dodawać że obfite wydzielienia gruntu piaszczystego same przez się są szkodliwe dla zdrowia.

Miryady owadów rodzących się w wilgotnej porze roku, za nastaniem posuchy i upałów, kryją się w wilgotny piasek, gdzie naturalnie po większej części za-



bije je silna trucizna wywiązujących się par i mijazmatów; częstokroć jednak nagle po silnych ulewach zjawiają się w olbrzymiej ilości i w takich miejscowościach gdzie dniem pierwój panowała głucha cisza i i nie poruszało się żadne, choćby najdrobniejsze, stworzenie.

Aleksander Humboldt opowiada nie jeden z zajmujących podobnych wypadków: raz zdarzyło mu się umieścić namiot nad schronieniem kajmana czyli amerykańskiego krokodyla, wzeschłym ile: Indyanie zaś bardzo często opowiadali jako o rzeczy nader zwyczajnej iż wiele zwierząt stepowych, mianowicie płazów, zakopuje się w mule wilgotnym, przepędza w odrętwieniu porę gorącą i następnie rzeźwieje z nadzieją umiarkowanego powietrza.

Dla czego grunta wapieniste tak jak i wszędzie sprzyjają rozwojowi sił fizycznych mieszkańców?, odpowiedzi szukać należy w ich charakterystycznych, powszechnie wiadomych własnościach. Nie tak łatwo jednakże objaśnić szkodliwy wpływ na zdrowie skał bezpłodnych i suchych. Gdzie grunta wapienne i kredowe rozciągają się na znacznej przestrzeni, tam wydają się one jak oazy w pustyni; mieszkańcy tych miast cieszą się jak najpożądanym zdrowiem. Taki np. pas gruntu rozciąga się w Brazylii Rio-Verle-Grande, i Saint-Francisco, gdzie nierzadko formy ludzkiego ciała dochodzą kolosalnych prawie wymiarów, kobiety do późnej starości zatrzymują płodność a liczba rodzących się i umierających znajduje w normalnym stosunku. Podobne miejscowości spotykamy na wyspach wschodnio-indyjskiego oceanu.

W większej liczbie przypadków miejscowości te korzystniejszemi byłyby dla europejczyków do zakładania kolonij a niżeli okolice południowe i południowo-zachodnie Stanów Zjednoczonych, kędy każdorocznie emigruje tyle tysięcy przemysłnych Niemców. W miejscowościach przez nich wybieranych przychodzi im cierpieć daleko więcej, aniżeli doznaliby w Indyach wschodnich, gdyby umiejętnie rozpoznawano grunta pod przyszłą osadę.

W ostatnich czasach przy rozwijającej się coraz więcej namiętności do emigracyi, zaczęto wszelkimi sposobami przynęcać wychodźców do osiadania między zwrotnikami zachodniej półkuli—do Gujanny, Wenezueli i na wyspy Archipelagu atlantyckiego. I rzeczywiście, okolice te przedstawiają najsposobniejszą miejscowość zdolną zapewnić najświetniejszy rozwój nowo-powstającym kolonijom. Niektórzy przecząc wystąpili przeciwko temu, dowodząc szkodliwości tamecznego klimatu, czego poparciem ma być śmier-

telność i inne niewygody, zdarzające się wszelako w pasach wszystkich klimatów. Opozycioniści zapomnieli o historii powstawania kolonij w Indyach zachodnich, zapomnieli że pierwsze prace skutecznie zostały rękami Europejczyków, a wcale nie Negrów, których dopiero zaczęto sprowadzać następnie do pomocy. Z pewnych zaś miejscowości lubo ważnych nawet pod względem handlowym, lecz położonych między bagnami lub moczarami, niepodobna wydawać potępiającego zdania o całym kraju — a tym więcej o całej obszerniej grupie wysp oczekujących tylko pilnej ręki rolnika.

We wszystkich w ogóle okolicach podzwrotnikowych odróżniamy dwie pory roku; a każdą połowę znów dzielimy na dwie części: mokrych i suchych. Wiosna, krótka pora deszczy, rozpoczyna się w końcu kwietnia i trwa do początku czerwca. Z początku pora ta w naszych klimatach tak piękna, rozpoczyna się tam ulewnymi deszczami i gwałtownymi burzami. Wilgoć ta jednakże, przy panującej wysokiej temperaturze, wywołuje rozwijanie się tej roślinności, której wdzięków żadne pióro nie jest w stanie dość silnie i wiernie przedstawić. Za wiosną następuje zwrotnikowe lato od czerwca do końca września. Podczas długich skwarnych dni, jasnego niebios lazuru niezacienienia żadna chmurka, żaden choćby najślabszy obłoczek. Gorąco w cieniu dochodzi od 24 do 26 stop R. a na równinach mniej więcej lesistych lub zasłoniętych, najmniejszy wietrzyk nie rzeźwi rozpalonej atmosfery. Nagle zmienia się wszystko; następuje pora peryodycznych silnych deszczy trwająca do grudnia. Zamiast jasnych lazurowych niebios ubranych tysiącem gwiazd w porze nocnej, oko spotyka się z monotonnym czerwono-szarym pokrowcem, sączącym deszcze kropliste, a ciemne tło tego obrazu rysuje się od czasu do czasu brzdami błyskawic i piorunów. Powietrze jest niemniej gorące jak i w porze letniej a straszliwe uragany wywierają wtedy najczęściej swój wpływ niszczący na całe okolice. Za jesienią następuje naturalnie tropikalna zima—druga w ciągu roku pora sucha i w porównaniu z poprzedniemi chłodna, mianowicie zaś w grudniu i styczniu, a zatem czas najprzyjemniejszy gdyż niebo zawsze czyste, a atmosferę chłodzą północne i północno-wschodnie wiatry wiejące tutaj niemal przez cały czas zimy.

Jedną z najsposobniejszych do kolonizacyi krain podzwrotnikowych stanowią Indye zachodnie, owa grupa wysp oddzielająca ocean od zatoki Meksykańskiej. Rzecz jednakże dziwna! panuje pod względem tych krain szczególne uprzedzenie iż klimat ich jest



szkodliwym dla zdrowia Europejczyków i niepozwała im pracować tak jak negrom. Lecz czyliż nie Europejczycy pierwsi zaczęli uprawiać tutejsze grunta, czy nie oni założyli kolonije bez żadnej pomocy niewolników? Miałżeby zaś klimat zmienić się w ostatnie ćwierć wieku? albo też wyspy miałyby być zarażone jaką endemniczną chorobą? Dostrzeżenia najściślejsze porównane z temi które przynoszą nam historyczne pamiętniki, dalekie są od wykazania jakiegokolwiek bądź zmiany. Cóż jest więc przyczyną tego szczególnego faktu? Oto pewne uprzedzenia, wieści rozsiewane przez interesowanych o szkodliwym wpływie tamecznego klimatu. Do kolonij udają się emigranci z myślą nabycia bogactw i powrotu do ojczyzny; praca i byt umiarkowany nie jest wcale celem wychodźców, więc też szukać muszą środków sztucznych — i znajdują je w znojnjej pracy murzyna —

niewolnika. Jako wymówkę zaś, iako usprawiedliwienie przed resztą towarzystwa ludzkiego, podają niemożność zajęcia się pracą z powodu wpływów klimatycznych.

Ale być może, przejdzie czas, kiedy podobnie jak w Brazylii, Wenezueli, Meksyku zakwitną kolonije Indyj zachodnich, zasiedlone w zupełności przez europejskich emigrantów, jeżeli tylko będą umieli zastosować się do wymagań klimatu i przedsięwzją wszystkie możliwe ostrożności, aby opanować dziką naturę, bo klimatyczne warunki zwrotników nie są przeciwne rozwojowi organizmu ludzkiego tak pod zwrotnikami jako i w pasach umiarkowanych. Człowiek więc jest w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu kosmopolitą i panem ziemi.?

A. W.

## OJCÓW

### I SŁÓWKO O PIESKOWÉJ SKALE.

W roku bieżącym, znany w piśmiennictwie polski Aleksander Przeździecki, właściciel Falet pod Warszawą, nabył dobra Ojców, w krakowskiem, którego tyle już opisów w dziełach i czasopismach zdarzyło się nam nieraz czytać. Ale ciekawa rzecz, jak na ziemię naszą spoglądają cudzoziemcy. Dla tego przytaczamy tutaj w dosłownem tłumaczeniu wyjątek z gazety szląskiej, opisujący *Szwajcaryę Polską*: „Kto jedzie koleją górno-szląską do Krakowa, temu łatwa nader nastrecza się sposobność, zrobienia wycieczki do polskiej Szwajcaryi w Ojcowie, miejsca słynnego ze swych piękności przyrodzenia..

Minawszy wieś Szyce, gdzie jest graniczna Celna Komora, wjeżdża się po przebyciu jeszcze dwóch wsi Białego-Kościola i Wielkiej-Wsi, do gęstego lasu, gdzie droga coraz się zagłębia i prowadzi do tak zwanego wąwozu ojcowskiego, w którym po obu stronach wznoszą się góry obrośnięte gęstwą, albo wysokie prostopadłe ściany skał wapiennych formacji Jura Dolomita.

Ztąd od Krakowa znajduje się tylko o dwie mile odległości i ma przed sobą zachwycający widok, który tym mocniej na nas działa, że się rozwija na-

gle i wspaniale przed oczyma podróżnego, występującego ze zwartego wężozu.

Niewyczerpana w swych darach i cudach natura, obdarzyła Ojców pięknościami jakimi słynie kraj Helwetów z tą różnicą, że go osłoniła od przepaści, niebezpiecznych przejść i wiszących ogromnych skał, grożących za każdym krokiem podróżnemu. Przeciwnie w Ojcowskiej Szwajcaryi przyroda jest przy całej wspaniałości, miłą, uwodzącą, i tak mocno przywabiającą, że po setnym jój widzeniu zawsze z nową ochotą i przyjemnością przebiega się tu na nowo. Lubo prostopadłe ściany wąwozu, są nieprzyjazne roślinności, to jednak, gdziekolwiek garstka ziemi uchowała się, rosną na niej bujne zioła i kwiaty, a na ziemi urodzajniejszej wierzchołków skał, rosną w rozpadlinach ich, krzewy a nawet drzewa znacznej grubości, tém silniej im mocniej burze dmą na ich cypłe. Za przebyciem wąwozu do Ojcowa wiodącego, napotyka wzrok w którąkolwiek stronę obrócony śliczne i zajmujące obrazy. Tu wznoszą się skały w górę kształtu najdziwniejszego jakby wieże; dalej spostrzeżga się wysoką ścianę z rodzinnj skały wyciętą, prostopadłą, przedstawiającą niby frontyspis gmachu



zamieszkałego przez Olbrzymów. Tu znowu porzucane ogromne głazy, zdają się być ruinami starożytnego amfiteatru. Inne znowu skały, przedstawiają bramy i wieże twierdzy. W powietrzu wiszące krzewy i drzewa, kołyszą się przyczepione do skał, z których łona otrzymują swe skromne pożywienie. Główną osobliwością Ojcowa są dwie groty, pierwsza zwana ciemną, także niekiedy królewską na pamiątkę odwiedzenia jej r. 1767, przez Stanisława Augusta. Piaskowski dowodzi historycznie że inną nosiła nazwę od niepamiętnych czasów. Druga grotka nazwana królewska podług Długosza dla tego, że w r. 1300 służyła za przytułek Władysławowi Łokietkowi w czasie opanowania jego tronu przez Wacława króla czeskiego.

Piewsza grotka jest niewłaściwie przezwana ciemną, bo po przebyciu ciasnego wejścia do niej pod skałami i w zaroślach będącego, dostawszy się w jej wnętrze i rozpatrzywszy się, znajdziesz światła dosyć aby jej przestwór długi stóp 280, 80 stóp szeroki, a tu i ówdzie do 60 stóp wysoki, obić wzrokiem.

Pochodnie przewodników ułatwiają przejście wszelkich szczegółów i bocznych odnóg tej groty.

Znajdują się jeszcze w tej okolicy inne groty, jak w lesie zajowickim ze sklepieniem białym jak mleko i druga przy Wierzbowicach napełniona niezliczonym mnóstwem niedoperzy, poprzyczepianych do jej sklepienia; <sup>1)</sup> żadna przecież nie wyrównywa piękności i obszerności ciemnej groty.

Na widok jej ogromu jakby w skale wykutego, stoi patrzący wędrowiec w zadziwieniu nad potęgą twórcy a nicością ludzką.

Podług podań ludu, ta grotka bywała nieraz zamieszkiwana przez ludzi, (co zdaje się prawdopodobnym w kraju, gdzie przez wieki trwały wojny z napadającymi barbarzyńcami): starcy, kobiety i dzieci, ukryci w tych grotach, pełne trosków dni przepędzali.

Uroczystą ciszę groty ciemnej, przerywa tylko od czasu do czasu, melodyjny szmer spadających ze sklepienia na kamienie kropel wody.

Piękność przystępu do królewskiej groty, przyciąga równo malarza jak i lubownika przyrody.

Ukryty w gęstwie lasu, leży przy wsi Czajowicach na wyniosłej górze i poczyna się od wąskiego odkrytego przedsionka jakby w skale wyciosanego, (długiego 80 stóp) którego ściany wysłane są mchem zielonym, a sklepienie przezrocyste tworzą gałęzie.

<sup>1)</sup> Patrz opis Ant. Wagi w Bibl. Warsz. (P. R.)

Za tem wejściem, następuje grotka dłuższa od groty ciemnej, i rozchodzi się w liczne gałęzie rozmaitej szerokości. W ustępie kotłowatym, widać kości różnych zwierząt, między którymi napotymano kość pacierzową i inne niedźwiedzia (*Ursus Spalacus*) odmiennego od dzisiejszego polskiego, pokryte grubą warstwą stalagmitu, co dowodzi, że tu już od wieków te kości leżą. Ściany groty są powleczone nieprzejrystą masą wapna. U sklepienia wisiało niegdyś mnóstwo stalaktytów, lecz te nader zwolna tworzone w tajemniczej pracowni przyrodzenia, stają się od dnia do dnia rzadszemi, z powodu że mnóstwo zwiedzających na pamiątkę odrywa po kilka tych wiszących ozdób. Nigdy do tej groty dzieńne światło nie zajrzało.

Schodząc z góry wzdłuż rzeczki Prądnika spostrzeżano się mury zamku Ojcowskiego wybudowanego przez Kazimierza Wielkiego na pamiątkę ojca jego Łokietka tu się ukrywającego w czasie napadu króla czeskiego. W kronikach jest o zamku tym: *Ojciec u Skały* (*Castrum Oczec*) Kazimierz W. mieszkiwał tu z upodobaniem. Roku 1633, zamek ten został na nowo odbudowany i był siedzibą starosty (*Capitaneus sive jurisdictio*).—Stojąc na nieprzystępnej górze, zamek ten musiał w swym czasie być obronny.

Ze wszystkiego, zachowała się tylko wieża wysoka ośmiokątna, z ciosowego kamienia za Kazimierza W. przed 500 laty z górą wystawiona. Mury zamku, zniszczył czas i niedbałość, a z obawy zawalenia się ich, rząd polecił w r. 1829 rozebranie ich, ówczesnemu naddzierżawcy Chrzanowskiemu. Obecnie urządzają mieszkanie w wieży dla właściciela.

Lecz tu nie tylko pięknymi widokami można oczy nasycić; bo także i wieczna córka natury Flora, kwieciem berłem daleko władająca, siedzibę swoją tutaj założyła i dwór swój rozpostarła. Prawie wszystkie zioła i kwiaty, ziemi naszej właściwe, rosną w tym ogrodzie botanicznym natury, w harmonijnym nieładzie.

Ciemne jodły i sosny, między drzewami liściowemi jasnej zieloności, kwiaty w najżywszych barwach obok ponurych skał z pomiędzy drzew wycierających, przedstawiają widok najrozmaitszy i najprzyjemniejszy. Przy takim bogactwie vegetacji, łatwo badaczowi i znawcy znaleźć rzadkie a nawet nieznanne rośliny, jak się to zdarzyło uczonemu botanikowi profesorowi Besser, który tu odkrył nigdzieindziej nie znajdujący się gatunek brzozy z czarną skórą i nazwał ją przez wdzięczność Brzozą Ojcowską (*Betula Ojcoviensis*). Również lubownicy Fauny i Ornitologii, mogą



tu zebrać obfite żniwo, gdyż napotyka się zwierzęta i ptaki w Ojcowie, rzadko gdzieindziej widziane.

Niebo tu przyjaźne, powietrze czyste i dobroczynne dla zdrowia i życia. Trudno nader byłoby znaleźć dogodniejsze miejsce do wypoczynku jak Ojców. Uroczą spokojność jakiej się tu używa i zapach kwiatów, śpiew słowików i leśnych ptaków, chłód szerzony przez rzekę Prądnik i tysiące innych przyjemności, czynią w tej stronie pobyt nieskończenie miłym <sup>1)</sup>.

Zdania geologów, jakoby doliny podobne Ojcowskię, tylko zapomocą wody powstać mogły, zdają się być uzasadnione. Jakóż Ojco wska dolina jest dziełem bystrego Prądnika, który niegdyś tocząc bój ciągły ze skałami i zmieniając często swe koryto, w końcu przełamał ich opór. Prądnik w dawnym czasie musiał być większy jak dziś, a bój toczony przez niego ze skałami, musiał być gwałtowny i zapalczywy, czego najlepszym dowodem jest ta okoliczność, że cały przestwór, który Prądnik do ujścia swego w Wisłę przebiega a mianowicie niziny, są zavalone głęboko kamyczkami lub ułomkami kamienia wapiennego, pochodzącego z wąwozów Ojcowskich.

Prądnik, poczyna się pod Sułoszową za Pieskową Skałą i nazwany jest w przywileju Władysława Jagiełły z r. 1422 zatwierdzonym i własnoręcznie podpisanym przez króla Aleksandra w Krakowie roku 1504: *Prandky* (bystro płynący) w którym-to przywileju stoi: *Castrum nostrum Pyeskowa Skała una cum villis Sułoszowa, Weloża, Mylonka wolna et Molandinis in flumine Prandky, damus, conferimus etc.*

Rzeczka ta obfituje w pstrągi, piękne i nader smaczne ryby, które tylko żyją w rzekach górskich, mających dno z kamieni. Sztuka dotąd nie w Ojcowie nie dodała. Wszystko jest dziełem samej natury. Owe skały zielonością i kwiatami obrośnięte i ustrojone, owe góry sterczące okryte lasami, owe zwierciadło prądnika, owe w twardej skale jakby wykute jaskinie, ów głęboki wąwóz i wszelkie cuda otaczające Ojców, są jeszcze takimi jakimi wyszły z ręki Stwórcy.” <sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Urządzono tu kąpiele a la Prsnitz. Właściciel tego zakładu zamierza jeszcze urządzać używanie serwatki i wód mineralnych. Ustronie to najpowabniejsze w kraju naszym, leży tylko kilka mil od przystanku kolei żelaznej Ojcowo, z kąd prowadzi droga najromantyczniejsza do Strzemieszyc: w jednym dniu z Warszawy tam się udaje, i znajduje wygody wszelkie, obok tylu piękności wyżej opisanych.

<sup>2)</sup> Widać że Niemiec opisujący Ojców nie miał czasu zwiedzić pogranicznej Pieskowej Skały, również bogatęj

Deotyma zwiedzając w tym roku krakowskie i sandomierskie, tak pisze o tej wycieczce w jednym ze swych listów: „...Mogę przyznać, że choć obie te podróże były tylko kilkodniowe, jednak je liczę do tych, z których myśl moja i wyobraźnia najwięcej zebrały plonów.

„Pierwsza nasza wędrowka do Szwajcaryi polskiej była prawdziwie romantyczną, bo i ze wspaniałą, pełną ciemnic, piorunów i loskotów burzą, która w Ojcowie tak nas potężnie napadła, że swawolny Prądnik, ze strumienia wezbrawszy na rzekę, rozrywał powozy podróżnym, którzy się ledwie z życiem wyratowali; ale trzeba przyznać, że nigdy dziwaczna, rozdarta i zachwycająca kotlina Ojcowa nie mogła się piękniej i groźniej przedstawić, jak przy tém czaroksiężkiem oświetleniu gromów.

„Do romantyczności wrażeń dołożył się téż i odpust w Grodzisku, gdzie mogłam widzieć i podziwiać lud miejscowy, w całym blasku jego olśniewających strojów i całym uroku jego uprzejmiej wesołości;—niektóre wieśniaczki tak były piękne, że tylko pędzel Rafaela podobne oblicza odtwarzał. W koło kościoła, w którym brzmiała prześliczna pieśń nabożna, do kołęd podobna; na spadzistościach góry, pod czarownym cieniem lasu, były zastawione stoły, w około których wieśniacy malowniczo biesiadowali, a po dwóch stronach drogi siedziały biało przybrane dziewczątka, które przechodzącym w koszykach podawały nie tylko sery, podpłomyki i inne wiejskie przysmaki, ale nawet najpiękniejsze pomarańcze.

„Pieskowa Skała jest także bardzo wspaniała i zajmująca, ale ją trzeba widzieć tak jak my widzieli, to jest pierwój niż Ojców, bo wiele w tém porównaniu traci. Wsławioną część doliny Prądnika przechodziliśmy po księżycu, i fantastyczność skał podwoiła się w jego białych promieniach do takiej złudy, że sądziłam się otoczoną ludem skamieniałych olbrzymów;—ale Prądnik był pozrywał kładki i musieliśmy się

w piękności odmiennego rodzaju; ze starym zamkiem, który się przed kilku laty spalił; (dziś własność p. Sobiesława Mieroszewskiego). Nie opisał także pustelni, gdzie święta Salomea żona Bolesława wstydlwego a córka Leszka, życie swe w surowej pokucie zakończyła. Niemniej téż pominięte inne zajmujące i pod względem dziejowym, i z samego położenia zamki w Smoleniu, Pilicy, Rabszynie, Olsztynie i t. p. na które nie tylko przejeżdżający cudzoziemcy zwracaćby powinni uwagę, ale i żaden z krajowców będących w krakowskim, opuścićby ich nie powinien. (Przyp. tłum.)



trzymać jednego brzegu, przez co nieraz nam wypadło wybierać ścieżki pnące się po skałach, a tak ślizkie od rosy i cierniami zarosłe, żeśmy tylko na wpół żywi wrócili do gospody w Pieskowej Skale.

„W ogóle, znalazłam całe te strony nierównie jeszcze piękniejszymi niż się z opowiadań wydają, i wcale nie mogę się zgodzić na powszechnie im nadawaną nazwę skał miniaturowych; owszem, rozmiary ich nie mają nic drobnostkowego a wrażenie w duszy podróżnika zostawiają poważne i pełne zadumy.

„Ale z wszystkich tamtejszych dziwów nic mię tak nie zachwycało i nie przerażało, jak ta dziwna jaskinia, w której Łokietek miał odwagę się ukrywać; istotnie, musiał śmiertelnie lękać się pogoni swoich

wrogów, kiedy mógł żyć w takich ciemnościach, w tak mroźnym powiewie, że się tam odgaduje wszystkie wrażenia grobu: ale trzeba wyznać, że grób ten jest przepyszny, dłutem natury zadziwiająco wyciosany, a nadewszystko wejście tak jest dziwnie warowne i cudne, iż zdaje się, że skała pod czarodziejską różczką się rozstąpiła, ażeby ludziom otworzyć przystęp do tych tajemniczych krużganków.”

Dzisiejszy właściciel łożyc będzie wiele starań dla upiększenia Ojcowa,—i tak hojnie już od natury uposażonego. Ma tu być otwartą kopalnia marmurów. Wiele skał otrzymało nową nazwę od nabywcy, jak np. Deotymy, Wajdeloty i t. p.

G.

## POSĄG MICKIEWICZA

W POZNANIU,

WYKONANY Z KAMIENIA PRZEZ

Władysława Oleszczyńskiego.

Załączona obok rycina, wystawująca posąg Adama Mickiewicza w Poznaniu, wykonana podług fotografii zdjętej na miejscu przez B. Filehne'go, odkrytą została uroczyście 8 maja roku bieżącego. Deputowany Władysław Bentkowski, rodem z Warszawy, syn śp. Feliksa, autora pierwszej „historii literatury polskiej,” wnosił na sejm berliński prośbę o pozwolenie wzniesienia pomnika publicznego. Jakoż dekret księcia Rejenta pruskiego pod dniem 30 grudnia r. z. zezwolił ustawić posąg dla wieszca polskiego, przy kościele Śgo Marcina.

Najczynniej zajmowali się doprowadzeniem do skutku téj oznaki hołdu powszechnego dla pamięci jednego z najznamienszych mężów w piśmiennictwie XIX wieku—doktor medycyny Teofil Matecki i Syndyk kon. ka. oraz sekretarz Towarzystwa naukowego poznańskiego Wegner. Władysław Oleszczyński rzeźbiarz, poniósł swój talent w dani wielkiemu poecie <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Pracownię swoją ma p. Oleszczyński w zamku Warszawskim, gdzie można oglądać wierny odlew głowy z po-

Posąg z piaskowca, który ukończonym był jeszcze w 1856 roku, stoi na cmentazu dawnym z boku kościoła Ś. Marcina, obrócony ku ulicy tegoż imienia, od której dzieli go krata żelazna, niewidna na rycinie załączonej.

sągu A. Mickiewicza. Oprócz dzieł wykonanych za granicą, spotykamy się tutaj z następnymi utworami dłuta jednego z pierwszych rzeźbiarzy naszych: pomnik dla śp. Prymasa Woronicza do kaplicy archikonfraterni literackiej w katedrze Śto-Jańskiej. Pomnik dla śp. z Sulistrowskich Sniadeckiej, synowej Jędrzeja Sniadeckiego. Wizerunki w płaskorzeźbach: Franciszka Wężyka prezesa Towarzystwa nauk. krakowskiego; Ksawerego Kaniewskiego Dyrektora Warsz. Szkoły sztuk pięknych; Apol. Kąckiego, dyr. przyszłego instytutu muzycznego w Warszawie, Kaź. Wład. Wojcickiego; Tomasza Łubieńskiego generała; Maks. Widala i t. p. Pomnik dla Stanisława Jachowicza, z jego wyobrażeniem i płaskorzeźbą wystawiającą sierotkę. Cały ołtarz Bogarodzicy do kościoła ks. ks. Kapucynów w Lublinie—i wiele innych.





Posąg Adama Mickiewicza w Poznaniu.







Wysokość samej postawy wieszca polskiego wynosi 6 stóp francuzkich; postument pomnikowy drugie 6 stóp, a wschody okalające monument 3 stóp fr. Cała więc wysokość pomnika ma 15 stóp fr. A że stopa francuzka większą jest od naszej bo mieści w sobie cali pols. 13½ przeto wyniosłość całkowitą posągu monumentalnego liczyć można prawie na stóp naszych 17. Na uroczystość poświęcenia pomnika, udał się z Warszawy do Poznania Władysław Oleszczyński, dla ustawienia posągu, z którego główną myśl do odlania mniejszego posążku wieszca wziął i Święcki, młody, utalentowany rzeźbiarz Warszawski.

Oleszczyński godnie odpowiedział wielkiemu zadaniu. Wieszca ma być wyobrażony w chwili natchnienia poetycznego: wzniesiona głowa i cała postawa zdaje się wskazywać wyższość życia w dziedzinie ducha. Zwrócone w jeden punkt oczy wieszca twórczego, jakbyku zaziemskiemu dążyły celowi, wzrok swój szląc do Niebios. Ręka prawa trzyma rylec, który i w przeszłości i w głębokiej już przyszłości ślady wyłobił. Z pod drugiej ręki, wysuwa się karta, na której wieszca tylko co kreślił improwizację:

„Pieśni ma, tyś jest gwiazdą z zagranicy świata,  
I wzrok ziemski do ciebie wysłany za gońca,  
Choć szklan.....”

Zwój papieru, czyli karta leży na ruinach kilkakroć rozpadniętych, na których wypisane są tytuły utworów wielkiego poety. Sploty obok rosnącego warzynu, przewijają się pomiędzy rozwalinami, (na których nadzwyczaj lekko spoczywa ręka lewa) i dziełami których tytuły wyczytujemy tutaj. Dwukrotna analogia daje w tém wyobrażeniu żywioł dla myśli.

Znany kaznodzieja ks. Prusinowski, miał kazanie w dzień Ś. Stanisława Bisk. krak. i Grobu Chrystusa Pana w r. b. Nazajutrz w Bazarze dano ucztę z powodu inauguracji, na której odezwały się głosy Doktorów: Cegielskiego, Wegnera, Mateckiego, oraz księdza Prusinowskiego i obywatela Kantaka. Dnie te otwarcia pomnika, na długo zostaną w pamięci Wielkopolan.

Wracając do samego posągu i jego twórcy, wyznać szczerze i bez pochlebstwa należy, iż trudne do wydania rysy oblicza poety, dobrze są trafione, bo nie tylko że podobne do twarzy niedawno zgasłego wieszca, ale nadto właściwy sobie noszą wyraz.

Niektórzy, zagraniczni szczególnież znawcy, oddając wysokie zalety głowie, chcieliby ją widzieć

jeszcze bardziej idealnie <sup>1)</sup> wystawioną: my, rodacy, pragniemy tylko wierności oblicza, a w niej mieć już zarazem będziemy i prawdziwy wieszca ideał.

Na piedestale z jednej strony wyryto:

ADAM MICKIEWICZ 1859.

Z drugiej: „Urodził się w Wigilię Bożego Narodzenia 1798 r. w powiecie nowogrodzkim na Litwie.”

Z innych boków: Umarł 28 listopada 1855 roku, w Konstantynopolu na *Jeni-Szeri*. Pochowany na cmentarzu w Montmorency 1856 r.”

We wspomnieniu o życiu A. Mickiewicza drukowanym na czele wydania pism jego przez S. H. Merzbacha w Warszawie, czytamy na str. 78 i 80.

„Córka najstarsza poety, zameżna Gorecka (Tadeuszowa, synowa poety Antoniego G.) mówiła, że najpodobniejszy jój ojciec w posągu poznańskim. . . . Część czoła po obu stronach nad brwiami, najciekawszą byłaby kartą dla frenologa; doskonale można się im przypatrzeć na wyborném popiersiu Władysława Oleszczyńskiego.”

Znakomity pisarz francuzki J. Michelet, w poufnym liście do Chodźki, tak wyraził wrażenia swoje po widzeniu tego posągu:

„Nagły wyjazd, pozbawił mię możności uściskania twój ręki i wynurzenia Ci zupełnego zadowolenia jakie mi sprawił *Mickiewicz* waszego znamienitego artysty. Jest tu i naiwność i wielkie natchnienie! Szczęśliwym, że podobne dzieło tyle nam drogie, tak się znamienicie udało, i to Polakowi.”

Dla większej autentyczności, przytaczamy powyższy list w oryginale:

„Cher Monsieur!”

„Mon départ précipité me prive d'aller Vous serrer la main et de Vous dire tout le plaisir que m'a fait le Mickiewicz de Votre excellent artiste. C'est naïf et très inspiré! Je suis ravi de voir une oeuvre qui nous est si cher si bien réussie et par un polonais.

Recevez etc

J. Michelet.

Paris 20 Mai 1857 r.

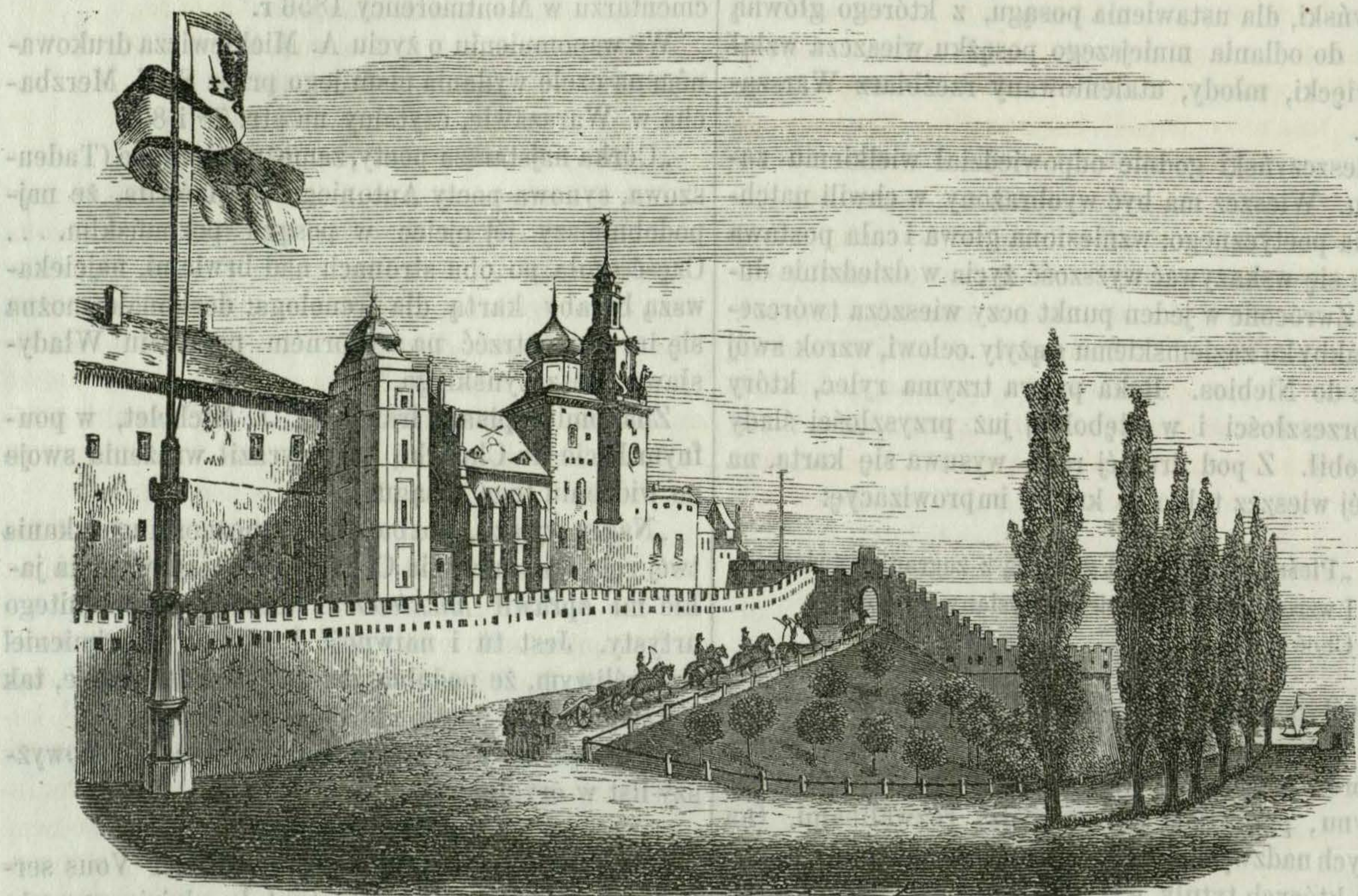
Wład. Oleszczyński, znał doskonale za życia zgasłego wieszca i używał oprócz tego do modelowania pośmiertnej maski. Ma więc zamiar z modelu głowy posągowej, odlać nam popiersie, które niezawodnie liczyć się będzie do najpodobniejszych wyobrażeń rysów twarzy Mickiewicza.

H. Sk.

<sup>1)</sup> Patrz *Illustrirte Zeitung* z r. b. Nr. 831.



## ZAMEK I KATEDRA W KRAKOWIE.



Zamek krakowski, wystawiony na zamieszczonej tu w fęksce rycinie, w takim stanie, w jakim się obecnie znajduje;—miał swą świetną przeszłość i rozliczne przechodził koleje, o których tu w krótkości nadmienimy. Sławna katedra na Wawelu, jak siostra z bratem połączona z zamkiem, aczkolwiek już tylekroć opisana, zasługuje tu jednak choćby na ogólną wzmiankę.

Jeszcze w roku 1319 odbyła się tu pierwsza koronacja Władysława Łokietka i jego żony Jadwigi w dniu 20 stycznia dopełniona przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Janisława. Odtąd z Gniezna przeniesiono korony i różne oznaki władzy królewskiej, aby je przechowywać na zamku. Wtedy musiały być silnie obwarowane i miasto i zamek, bo, kiedy po zgo-

rzeniu drewnianego gmachu w r. 1306 (8 maja), wymurowano część od strony wschodu; to od warowni, po dwudniowym bezskutecznym szturmie, odstąpić musiał Jan ślepy, król czeski w r. 1345.

Bielski pisze, iż Władysław Jagiełło „i burgrabiów przyczynił, aby byli jako stróże zamkowi, mieli w pogotowiu zawždy jezdne służebne z strzelbą na zamku.”

J. L. Decius (w dziele: De Sigismun. temp.) świadczy iż za Zygmunta I zamek tak się zrujnował, iż budowniczo wiełcy (podobno z Florencyi) pod kierunkiem burgrabiego Jana Bonara. musieli go zupełnie zrestaurować na nowo prawie, tak dalece iż ściany od zachodu, wyprowadzane były z samych podwalin. Ale ślady tego odnowienia, za ledwie dwadzieścia



kilka lat trwały, gdyż pożar ogromny zniszczył w roku 1536 mury, z których zaledwie jedna-trzecia część została. Odbudowany i wewnątrz ozdobiony obiciami, do których kartony robił sławny Rafael Santi, znowu w niespełna lat 60, ogniem po dwakroć nawiedzony, wielkie poniósł szkody. Znacznie wtedy przepaliły się mury. Odbudowany zamek pod panowaniem Zygmunta III, nakryty miedzią (dostarczoną z kopalni krajowej pod Kielcami przez bisk. krak. i kard. Jerzego Radziwiłła) i ozdobnie przez tegoż króla <sup>1)</sup> urządzony wewnątrz w roku 1655 podczas napadu Szwedów, (od których dostał tu kulą Stefan Czarniecki,) na nowo popadł zniszczeniu. We trzy lata potem wzmiankuje ustawa sejmowa o obmyśleniu naprawy kosztem rzeczypospolitój, a w roku 1661 złotych polskich 28,000 uchwalono na umocnienie murów zamkowych. Podźwignienie ich ze stanu zepsutego, kosztowało 18,000 złp., w czasach panowania Jana Sobieskiego. Lustratorowie w r. 1709, opisują smutny stan murów po wielkim ogniu zapuszczonym 1702 przez nieostrożność oficera szwedzkiego. Pożar trwał od 15 do 22 września i zagrażał katedrze, gdyż zapaliły się już były przyległe pałacowi królewskiemu kaplice. „Przyszło nam nie bez boleści, tylu wieków dzieła w popiół obróconego, smutny oglądać widok: dla pamiątki żałośnej potomnym wiekom, a dla informacyi Jego kr. Mci pozostałe rudera opisaliśmy <sup>2)</sup>.”

Za Augusta II chociaż rocznie po 30,000 złp. na reparacyę dachu było naznaczono, jednakże najczynniej odbudowaniem zajmował się biskup krakowski Konstanty Felicyan Szaniawski, znacznie funduszków dokładając i wiele pod tym względem starań łożąc.

Gdy wstąpił na tron Stanisław Poniatowski, zamek królewski zwrócił na się uwagę podkanclerzego kor. Michała Wodzickiego, który w te słowa ozwał się na posiedzeniu senatu 1758 roku: „Zamek krakowski wielkim nakładem wyreparowany, do ostatniej teraz dąży ruiny, a ta czeka i kościół katedralny przez obalenie się murów. Więc supplikuję W. K. Mci abyś raczył na reparacyę murów pewną kwotę naznaczyć.” Był to głos wołającego na puszczy; dla tego-téz i zamek pustoszał coraz bardziej; bo chociaż sejm w r. 1768 przeznaczył rokrocznie pewną sumę na poprawę murów, ta jednak nigdy ze skarbu wypłacaną nie była.

<sup>1)</sup> Dowody tego zostały w herbie Wazów rytym na marmurach i kamieniach w niejednym miejscu.

<sup>2)</sup> Słowa pomienionój lustracyi z 1709 r.

W r. 1772 podpułkownik Choisi, z małą garstką bitnego żołnierza bronił się tutaj od 2 lutego do 22 kwietnia. Słabe mury, mocną i dzielną miały podporę w mężnych obrońcach.

Następny wyryto napis w marmurze ponad wschodami do pałacu wiodącemi:

Stanislao Augusto

Regi Poloniae optimo,

cui patria aerarium publicum, juventutis institutio, decus, praesidium, incrementum,

Arx quoque haec regia, cum redux Caniovia

Cracoviam diverteret,

instaurationem suam testatur

Anno 1787 die 16 junii.

Jest to szumna pamiątka nic nieznaczącej rzeczy bo cała *instauracya* ograniczyła się do odświeżenia, tylko pokojów samego drugiego piętra, przeznaczanego na pobyt królewski. Tadeusz Czacki ówczesny stan tak opisuje: „Oto dach w części podobny do sita, co wodę przepuszcza; oto mech zastępuje wapno do zasunięcia szpar; oto krokwie, powąła i belki zgniłe grożą zapadnięciem; oto nakoniec ledwie jest kilka pokojów, które zaradzenia nie potrzebują.”

Wprawdzie od roku 1789—1791 brano się do roboty około zamku, ale tylko wzniesiono umocnienia od strony zachodu, nie tykając gmachów.

Rękopism budowniczego i dozorca zamku krakowskiego z roku 1791 Józefa Le Bruna następne daje szczegóły: „W obrębie zamkowym kamienic 18, kamienica starosty krakowskiego gdzie się gród sądzi; pierwsze piętro puste złym dachem pokryte. Kamienica królewska z ogródkiem opasana parchanem. Kamienica Mącholskiej przy wieży tęczyńskiej z ogródkiem; Seminarium murowane; szkoła studencka murowana, domów 5 przypartych do murów zamkowych od wieży złodziejskiej <sup>1)</sup> aż do seminarium do wikaryuszów katedralnych należących; przy każdym ogródek. Domków drewnianych trzy.”

Z tych zabudowań na uwagę zasługuje gmach psalteryi założony przez dziejopisarza Długosza, z napisem gotyckim:

Pro Collegio Psalteristar, ecce cracoviens. per Wladislaw. secundu rege et Hedwigam regina Polonie fundato Johannes Longini canonus cracovien. ad honore DEI Omnipotentis fabricavit me anno mille<sup>o</sup> CCCC octuagesimo.

<sup>1)</sup> Inne zamkowe wieże (z których dwie ostatnie przytykały do pałacu) zwane były: *Tęczyńskich*; *panieńska* czyli *kobieca*, *Olbromska* albo *Senatorska* i *Sandomierska*. Obracano je dawniej na więzienia stanu.



Kazimierz Wielki założył tu był kościoły Śgo Jerzego i Śgo Michała które rozebrano z polecenia rządu. Buchhalter handlowy Manderlée, z jedną armatą i 40 ludźmi bronił się mężnie w 1794 r. przeciwko wojskom pruskim od strony północnej.

Odr. 1796 do 1809 mieszkania wystawne osób dziejowych, przetworzono na koszary wojskowe. Wspaniałe, królewskie, wielkie pokoje poprzedzielano na małe izdebki, w których swawolny lub nieoświecony żołdak, obdzierał ozdoby marmurowe. Okna okolone rzeźbionym ciosem, przerobiono na małych rozmiarów otwory, lub je kratami opatrzone—i umieszczono szpital wojskowy. Sto kilkadziesiąt głów rzeźbionych, które były na suficie izby senatorskiej, od czasów Zygmunta Augusta, wywieziono do pałacu laxenburskiego znajdującego się pod Wiedniem; kilka z nich było w domku gotyckim w Puławach. Dochodziły one prawie aż po barki i wystawiać miały, podług niektórych, sejmujących w Piotrkowie. Wszakże i wyobrażenia kobiet były między niemi.

Nad bramami i niektórymi podwojami, dawały się tu czytać różne nadpisy łacińskie według zwyczaju wieku XVII i początku zeszłego stulecia, a mianowicie:

Si Deus nobiscum, quis contra nos?

Nosce te ipsum.

Moderata durant.

Vellis quod possis.

Tendit in ardua virtus.

Exitus acta probat.

TEMPORA MUTANTUR

ET NOS MUTAMUR CUM ILLIS, etc.

Niektóre z tych zdań, nader trafnie były zastosowane i umieszczone w odpowiednich miejscach.

Historyograf najpierwszy dawniej stolicy, czcigodny Ambroży Grabowski w opisie Krakowa i jego okolic (wyd. 1830 roku str. 83) mówi:

„W naszych już czasach jedno skrzydło czworoboku, składającego pałac królewski, oddanem zostało pod zarządzenie Towarzystwa Dobroczynności, które tu przeszło trzystu ubogich wiekiem lub kalectwem przyciśnionych utrzymuje. Tym sposobem miejsca, gdzie przebywała wspaniałość majestatu, gdzie stanowiono prawa; gdzie się odbywały sejmy, koronacje, obrzędy zaślubin i pogrzeby królów; gdzie przyjmowani byli gościnnie obcy monarchowie, słuchane ich poselstwa, zawierane sojusze;—gdzie był skład klejnotów korony;—gdzie się spełniło tyle przeważnych w dziejach dzieł władców naszych,—miejsca te, przez

różne przeszedłszy koleje, stały się nakoniec ostatniem nędzą ludzkiej schronieniem!”

Sławna w dziejach bajecznych Polski „Smocza jama” znajduje się pomiędzy murami zamek otaczającymi od zachodu. Jaskinia ta, będąca utworem przyrodzenia, w skale wydrążona na kilkadziesiąt stóp długości, jest zupełnie sucha, a przez szczególne ukształcenie sklepienia, możeby dla postrzeżeń Geognosty pokazała się ważną, tak jak z powodu wiążącej się do niej starożytniej powieści o Krakusie i smoku, uwagę ciekawych na siebie zwraca.

Z całego dawnego przepychu tego miejsca utrzymał się tylko bez uszkodzenia kościół katedralny przez czas i niszczącą rękę dotąd ze wszelką omijany ochroną. Nie tyle wprawdzie obiecywać sobie można ze skromnej jego powierzchowności; lecz za to zachwyca témbardziej niespodziewaną wewnątrz pięknnością.

Zpółnocną częścią dawnych królów pałacu, stykają się zabudowania katedralne to jest Skarbiec, kapituła i owa wieża, na której umieszczony sławny dzwon Zygmunowski. Wszystko-to dzisiaj, razem ze wspaniałą Bazyliką, objęte otoczeniem obronnem wzniesionem przez Austryaków.

\* \* \*

Kościół świętego Wacława czyli katedra w stylu gotyckim wzniesiona, ma tyle związku z przeszłością, iż gdyby żadnej nie było pisaniej historyi, ściany i marmury tej świątyni, w większej części poznaćby ją dały <sup>1)</sup>.

Antoni Carpaccio, Wenecyanin, będąc w Polsce za panowania Stanisława Augusta, tak się zachwyił wnętrzem naszej katedry krakowskiej, iż obszerny napisał poemat pod tytułem:

„Poesie, e Lodi della Cattedrale di Cracovia.—*Varavia, presso P. Dufour Consigliere aulico di S. M. 1790 8<sup>o</sup> Tomo primo* <sup>2)</sup>

Wenecyaninowi, ani kościół Św. Marka w rodzinnym jego grodzie, ani Bazylika Św. Piotra w stolicy świata katolickiego, nie przeszkodziły nieść uwiel-

<sup>1)</sup> Tak się wyraził ksiądz Olechowski w mowie mianej 1787 r. do króla Stanisława Poniatowskiego.

<sup>2)</sup> Drugi tom podobno z druku nie wyszedł, przynajmniej nie zdarzyło się nam widzieć. Nie znalazł go także nigdzie i Seb. Ciampi, z taką troskliwością i w naszym kraju i we Włoszech starannie wyszukujący ślady utworów swych pobratymców, które tyczyły się Polski. (Patrz *Bibl. crit.* T. I. str. 60.)



bień wspaniałej świątyni, gdzie była i kolebka chwały naszych władców—i miejsce spoczynku ich popiołów!

Gmach ten znacznie się różni od innych kościołów krakowskich, nawet od przepysznej świątyni Panny Maryi w rynku miasta stojącej.

Kroniki Bogufała i Baszka przypisują wzniesienie katedry Władysławowi Hermanowi (około r. 1,100) za natchnieniem Św. Wacława pod którego jest wezwaniem <sup>1)</sup>. Przebudował ją Bolesław Krzywousty w r. 1126.

Po wspomnionym już wyżej pożarze zamku 1306 roku, ponieważ przepalił ogień mury, przeto biskup Nankier, na nowo blisko przez lat 40 wznosił budynek z kamienia ciosowego w takiej przestrzeni prawie jak jest dzisiaj. Ukończona świątynia 1359 roku, ma presbyterium zaczynające się od połowy sklepienia i chór wsparty na 10 kolumnach ciosowych. Przy wielkim ołtarzu, wystawionym kosztem Zygmunta I króla polskiego, wolno odprawiać mszę świętą tylko biskupowi i kanonikom katedralnym krakowskim. Oprócz tego, liczy się tu 25 ołtarzów i 18 kaplic. Pierwsze i drugie z marmurów, licznymi bronzami, i obrazami dobrego pędla, oraz przepyszniemi grobowcami ozdobione, nietylko czcigę przejmują ale i myśli przenoszą w niezatartą przeszłość <sup>2)</sup>.

Pośrodku stoi kaplica z trumną srebrną w której złożone relikwije Św. Stanisława biskupa. Gdy Szwedzi dawną, przez siostrę Kazimierza Wielkiego Elżbietę fundowaną trumnę zabrali, nową kazał w Gdańsku zrobić Piotr Gębicki biskup krakowski i miedzią pokrył skarbiec i zakrystyę. Samą zaś kaplicę Św. Stanisława, drugi biskup Marcin Szyszkowski. Inni pasterze tutejsi wiele także przyczynili się do fundacyj, jakie dzieje katedry wspominają, a mianowicie Zawisza z Kurozwęk, Jan Rzeszowski, Zbigniew Oleśnicki, Piotr Tomicki, Kazimierz Łubieński i t. p.

Wyliczamy ważniejsze pod względem dziejowym kaplice i pomniki.

Do najwspanialszych należy kaplica Zygmuntońska (Rorantystów pod tytułem Wniebowzięcia N. P. M.) założona 1340 przez Kazimierza W. W niej leżą zwłoki Zygmunta I, Zygmunta Augusta, i Anny Jagiel-

<sup>1)</sup> Długosz kładzie założenie katedry pod r. 966?

<sup>2)</sup> Katedra, przeniesiona tu ze Skalki, miała nosić miano arcybiskupięj; lecz ponieważ biskup Lambert Topor Zula nie wyjednał na ten tytuł potwierdzenia z Rzymu, i sam nazywał się tylko Biskupem, przeto i następcy jego, tenże sam tytuł zachowali.

lonki żony Stefana Batorego. Posągi ich wielkości naturalnej z marmuru czerwonego, mają podobne do tych władców mieć twarze. Ołtarz cały wewnątrz srebrny, (otwierany) wystawia tajemnice Chrystusa Pana i Matki Boskiej. Na części zewnętrznej, malowana męka Zbawiciela olejno na drzewie. Był-to obozowy ołtarzyk Zygmunta I.

Kaplica Świętego Krzyża założona przez Elżbietę żonę Kazimierza Jagiellończyka, ma pośrodku ogromny z czarnego marmuru pomnik Kajetana Sołtyka biskupa krakowskiego zmarłego 1788 roku. Po obu zaś stronach, stoją przepyszne pomniki dłuta Wita Stwosza (r. 1492) dla Władysława Jagiełły i syna jego Kazimierza Jagiellończyka, dobrze bardzo wystawione we wzorach sztuki średniowiecznej (wydawanych przez E. B. Rast. i Al. Przewdz. w Warszawie.) W grobach spoczywają Elżbieta austriaczka żona Kazimierza IV, i Michał Wiszniowiecki. W ołtarzu Matki Boskiej, dawnego bardzo malowania na drzewie, między trzema królmi, jeden z rysów twarzy zupełnie podobny jest do Wł. Jagiełły. (Patrz o tém rozprawę i przerysy w Roczn. Tow. nauk, krak. 1858 r.) Kaplica ta, pod wezwaniem Św. Ducha i krzyża, zowie się także Jagiellońską.

Kaplica Jana Olbrachta inaczéj zwana Bożego Ciała, mieści pomnik tego króla, z czerwonego marmuru wystawiony przez Elżbietę żonę Kazimierza IV i syna Zygmunta. Wprost wejścia, stoi tu z takiegoż marmuru grobowiec Jana Choińskiego biskupa kr. W grobach leży bis. Bodzanta Jankowski † 1366 r.

Wprost téj kaplicy pod arkadą wielką presbyterium wznosi się sarkofag gotycki, pod którym złożony KAZIMIERZ WIELKI królem chłopków zwany.

Kaplica Kościeleckich wystawiona przez Jędrzeja K. kaszt. wojn. P. W. K. † 1515 r. Tu pochowany Zadzik biskup krakowski † 1642 r. a w ołtarzu jest obraz Św. Jana Chrzciciela przez Wojciecha Stattle-ra b. profesora w uniw. kr. malowany.

Kapl. Konarskiego bis. Bodzanty fundacyi r. 1361 pod wezwaniem Niepokalanego poczęcia N. P. M. odnawiana 1520 i 1720 przez Jana Konarskiego i Konst. Fel. Szaniawskiego biskupów krak. mieści ich grobowce. W ołtarzu znajduje się obraz Św. Joachima mal. Rafała Hadziewicza, profes. w szkole szt. piękn. w Warszawie.

Naprzeciw téj kaplicy umieszczono pomnik Włodzimierza Potockiego (†1812) z białego marmuru rylca sławnego Thorvaldsena.

Kaplica Wazów, dawniej nosząca miano ŚŚ. Piotra i Pawła, mieściła niegdyś zwłoki Św. Stanisława



przeniesione tu 1255 r. przez bisk. Prandotę, po kanonizacji przez Innocentego IV. Po r. 1370 Matka Ludwika kr. pol. i węg. a córka Łokietka, Elżbieta, przeniosła te zwłoki do środka kościoła zwanego dziś kaplicą Św. Stanisława. Po wyjęciu stąd do srebrnej trumny relikwii świętego patrona naszego, Zbigniew Oleśnicki kard. wznosił tu 1444 r. grobowiec dla Jana Prandoty Białaczewskiego († 1266). Na zewnętrznej ścianie jest napis opiewający historię odnawiania tej kaplicy, w której są napisy grobowe dla Aleksandra Karola najmłodszego syna Zygmunta III († 1634); dla Jana Alberta kardynała († 1634 w Padwie); dla Zygmunta III i synów jego Karola Ferdynanda, Władysława IV oraz żony Konstancyi. Pod tą kaplicą mieszczą się groby zawierające zwłoki Wazów.

Kaplica pod wezwaniem Św. Katarzyny nazywana imieniem Grochowskiego, ma pomnik z czerwonego marmuru bisk. krak. Piotra Gamrata wystawiony przez Bonę.

Kaplica Batorego mająca tytuł Narodzenia N. M. P. zawierała niegdyś 2 ołtarze wzniesione przez braci Leszka białego i Konrada ks. mazowieckiego w roku 1205 na cześć ŚŚ. Gerwazego i Protazego, jako pamiątkę zwycięstwa w dniu 19 czerwca odniesionego. Prócz Bolesława Wstydliwego, kilkakrotnie przez innych była odnawiana. Tu znajdują się pomniki króla Stefana Batorego; postawiony kosztem Anny Jagiellonki; Elżbiety Pileckiej trzeciej żony Wład. Jagielly; Wojciecha Serebryskiego kan. († 1649); J. Zbąskiego († 1541); Bern. Wapowskiego; Piotra z Poznania lekarza dwóch królów Zygmunatów.

Kaplica Piotra Tomickiego z roku 1301 mieści nagrobek tegoż biskupa († 1535) i grób Stanisława Górskiego kan. († 1572).

Naprzeciw tej kaplicy i dwóch poprzedzających stoją pomniki Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III.

Kaplica Jana Grota bisk. krak. od imienia swego założyciela który ją poświęcił dla patrona Jana Ewan. w r. 1306. Tu spoczywają Ożarówscy, Dębiński kaszt. krak. i biskupi Andr. Załuski i J. P. Woronicz.

Kaplica Św. Szczepana czyli Szafranców; wystawiona przez posiadacza Pieskowej Skały w r. 1430, ozdobiona grobowcami Jana Szafranca bisk. kujaw. † 1433 r., z Macieja Miechowa kronikarza † 1523; Jana Foxa kan. kr. † 1636 r.; Jakóba Najmanowicza rekt. akad. kr. † 1641 i Michała Skotnickiego † 1808 dłuta Ricci'ego florentczyka.

Kaplica dziś Potockich, dawniej Zawiszów zwana, założona przez bisk. krak. Piotra z Kurozwęk Zawiszę r. 1380, później odnawiana przez bisk. Padniewskiego (1575) i 1832—40 r. Arturową Potocką (Zofię z Branickich) której mąż tutaj spoczywa, obok biskupa Filipa Padniewskiego i Jakóba Górskiego rektora akademii krak. Thorwaldsen uwiecznił swym dłutem w popiersiu rysy Artura Potockiego (syna sławnego uczonego Jana) i matki Julii z Lubomir-

skich Potockiej, a w płaskorzeźbie zmarłe dzieci Potockich modlące się za ojca. Posąg Zbawiciela wyciągającego ku nieszczęśliwym swe ręce, z marmuru karraryjskiego, wielkości kolosalnej stoi na postumencie ozdobionym wzmiankowaną płaskorzeźbą. Cała kaplica w nowszym stylu włoskim przebudowana, wyłożona marmurem fioletowym i upiększona wielą bogatemi ozdobami, wykonanymi po największej części przez znamienitych artystów zagranicznych.

Kaplica królowej Zofii ku czci Św. Trójcy wzniesiona przez czwartą żonę Władysława Jag. r. 1458, odnawiana była przez bisk. Piotra Tylickiego i w nowszych czasach (1830 r.) przez generała Dunina Wąsowicza i Annę z Tyszkiewiczów jego żonę, w stylu gotyckim. W ołtarzu obraz Zbawiciela ukrzyżowanego, jest pędzla sławnego Guido-Reni'ego. Uczeń Canovy, Tadolini, na żądanie odnowicielki tej kaplicy, przygotował za życia jeszcze pomnik jej w płaskorzeźbie marmurowej wyobrażający matkę uspioną, której we śnie pokazuje się dziecię zmarłe w postaci anielskiej. Drugi rzeźbiarz florencki Pizani, zrobił na wierzchu pomnika umieszczony posąg małej Julii, modlącej się za rodziców. Tu pochowani, oprócz Zofii, żony Jagielly † 1461 r., Jan Sakran z Oświecima prof. akad. i Piotr Tylicki bisk. Popiersie Tyszkiewiczowej z ks. Poniatowskich, matki odnowicielki, umieszczono na pomniku przez córkę wystawionym.

Kaplica Skarszewskich pod wezwaniem Św. Wawrzyńca męczennika, wybudowana 1339 r. przez archidyakona Jarosława Janinę, odnowiona przez Skarszewskiego i Mik. Janowskiego prof. akad. 1836 r., ma w ołtarzu obraz Nar. Chr. Pana, przez ojca odnowiciela ostatniego malowany w Krakowie.

Kaplica niegdyś poświęcona Ś. Tomaszowi potem N. P. M. Śnieżnej, inaczey zwana imieniem Maciejowskich, założona była 1369 r. przez bisk. Mokrskiego. — Tu leżą Maciejowscy biskupi: Samuel i Bernard, oraz ks. Walenty Kuczborski, pisarz ze złotego wieku Zygmuntońskiego.

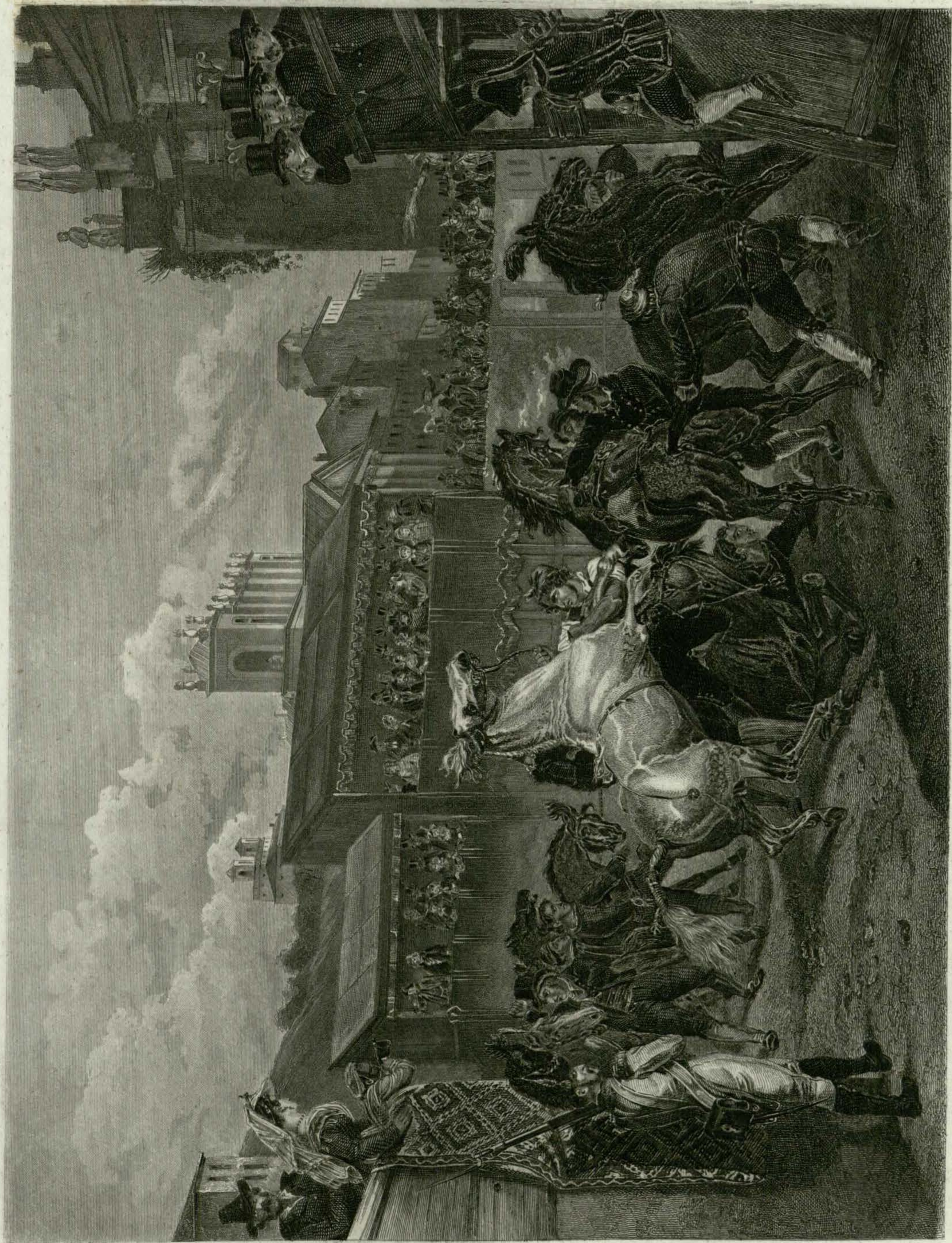
Kaplica Lipskich, inaczey ŚŚ. Mateusza i Macieja wzniesiona 1355 r. mieści groby 2ch biskupów krak. Lipskich (Andrzeja i Jana).

Kaplica ŚŚ. Kosmy i Damiana czyli Zebrzydowskich założ. 1335 r. z pomnikami tej rodziny.

Co do grobów królewskich, oprócz wspomnianych już wyżej władców kraju, dodać jeszcze należy ciało Jadwigi, spoczywającej w samej podstawie wielkiego ołtarza. Obok niej leży kardynał Fryderyk. Pod kaplicą Św. krzyża jest wejście do sklepu, gdzie leży Jan III w sarkofagu zrobionym 1783 r. przez Stan. Augusta, a obok obrońcy Wiednia, ciała Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego.

Nader bogate skarbcie niegdyś zamkowy, oraz dziś katedralny, mieściły i mieszczą w sobie bardzo wiele pamiątek dziejowych i świętych, których tu wyliczyć brak miejsca niedozwala. (Obacz *Grabowskiego* Kraków z r. 1830 od stron. 371 do 376 i *Maczyńskiego*, Pamiątkę z r. 1845 cz. II od str. 132—143.)





Wścigi Konne w Rzymie.







## WYŚCIGI KONI W RZYMIE.

(Z RYCINĄ)

W Rzymie każdy dzień karnawałowy kończy się zwykle wyścigami koni na Korso, długiej wąskiej ulicy, która, jak po większej części większe ulice miast włoskich, od tychże gonitw wzięła swoje nazwanie. Ulica ta jest pięknie wybrukowana, czworokątnymi sztukami bazaltu, rozciąga się prostą linią od *Piazza del Popolo* do weneckiego pałacu i jest jedną z małej liczby rzymskich ulic, czysto utrzymywanych przez cały rok. Oprawna we dwa rzędy wspaniałych budynków, ma po obu stronach wzniesione dla piechotnych chodniki szerokie od sześciu do ośmiu stóp, w środku niej więc zaledwie trzy pojazdy wyminąć się mogą. Obelisk zaś na *Piazza del Popolo* i wenecki pałac są w czasie karnawału punktami granicznymi, między którymi zaczyna się i kończy ta ulica.

Konie utrzymywane do gonitw są powiększej części drobne, a najlepsze nazywają berberami z powodu obcego pochodzenia. Taki koń nakryty kapą z białego płótna, pstremi wstążkami na szwach obłożoną, a okrywającą dobrze szyję, głowę i całe ciało, przyprowadzony bywa przed obelisk do miejsca z którego ma wybiegać. Przyzwyczajają go, żeby wyciągnawszy szyję w stronę Korso, stał chwilę spokojnie, później przeprowadzają przez ulicę i dają mu trochę owsa przy weneckim pałacu żeby nawykł wyznaczoną metę z szybkością przebiegać. Przy tej nauce powtarzanej z piętnastoma lub dwudziestoma końmi, pełno bywa dzieci z ludu, a ich wesołe okrzyki są wstępem do tego zgiełku i wrzawy, które przy głównym przedstawieniu panują.

Skoro dzień karnawałowy zbliża się ku wieczorowi, publiczność coraz liczniej napływa do Korso. Wcześniej jeszcze ustaje tam ruch pojazdów i zdarza się że na dwie godziny przed nocą, już żaden z miejsca ruszyć się nie może. Gwardya papieżka i straż piesza, ciągle przestrzegają, aby żadne pojazdy w środku nie stawały, a zatrzymywały się po dwóch stronach ulicy i wtedy wśród takiej ciżby łatwo o nieporządek i zamieszanie. Tu się popychają, tam najeżdżają na siebie, a gdy jeden powóz się cofnie, wszyscy za nim cofać się muszą. Tu znowu drugi, ściśnięty

jak kleszczami, prawie mimowolnie z szeregu na środek się wysuwa; wtedy łajania i przekleństwa żołnierzy sypią się gradem na niego.

Napróżno nieszczęśliwy stangret przedstawia niemożność uczynienia inaczej; groźby i łajania nie ustają, dopóki się nie cofnie, albo też dostrzegłszy jaką boczną uliczkę, nie wyjedzie zupełnie z szeregu widzów. Zwykle takie boczne uliczki zapełnione są pojazdami które zapóźno przybywszy już wjechać w ściśnione szeregi nie mogły.

Tymczasem zbliża się chwila w której konie ścigać się mają, a zajęcie ogółu wzrasta wraz z niecierpliwością oczekiwania.

Różni przedsiębiorcy najmowania krzeseł i miejsc na wzniesionych w tym celu rusztowaniach, podwajają swoje krzykliwe zapraszania: *Luoghi! Luoghi avanti! Luoghi nobili! Luoghi Padroni!* Idzie głównie o to, aby wszystkie miejsca, bodaj za najmniejsze pieniądze odnająć.

I szczęściem dla niejednego opóźnionego, że tu i ówdzie miejsce się jeszcze znachodzi, bo oto generał z częścią gwardyi wzdłuż Korso, pomiędzy dwoma szeregami pojazdów przejeżdża, zmuszając wszystkich piechotnych do usunięcia się na stronę. Wtedy każdy stara się gdziekolwiek pomieścić, czy to na krześle, czy na wzniesionych rusztowaniach, czy też w którym z pojazdów, lub u znajomych w oknach, które wtedy przepelnione patrzącami.

Tymczasem plac przed obeliskiem zostaje zupełnie oczyszczony z pospólstwa i przedstawia nadzwyczaj piękny widok.

Plac ten okrążają trzy wzniesione dla widzów galerie, zawieszane wspaniałymi dywanami. Tysiące głów piętrzy się na tych wzniesieniach, przypominając obraz dawnych amfiteatrów lub cyrków. Nad środkową galerią wznosi się całym ogromem swój wysokości obelisk, którego olbrzymią wielkość dopiero teraz ocenić można, porównywając z tém pozornie wysokim, okrytym tłumami ludu rusztowaniem; które zaledwo sięga do jego podstawy.



Miło spocząć oku na opróżnionym, obszernym placu i spogląda się z niespokojnym oczekiwaniem na puste szranki, które w około wyciągnięta lina, odgranicza.

Nareszcie generał powraca wzdłuż Korso, co znaczy że miejsce gonitwy już od wszelkich zawad wolne, a zanim straż przyboczna, już nikomu z szeregu powozów wystąpić nie pozwala. Podczas kiedy on zasiada w łoży, bogato przybrani masztalerze, wprowadzają konie w szranki, według kolei, jaka na nich przez losowanie wypadła. Wtedy żadna ich już kapa nieokrywa, przymocowują tylko w kilku miejscach, zawieszane na sznurkach i opatrzone kolcami kulki, które trzesąc się wśród biegu, pełnią obowiązki ostróg. Dla tego też do chwili wyruszenia, zakrywają skórą te miejsca końskich boków, w które one uderzać będą; przylepiają im także arkusze szeleszczącego złoto-papieru. Już więc są zdziczone i niecierpliwe skoro w szranki wejdą i masztalerze potrzebują wielkiej siły i zręczności, żeby ich powstrzymać. Chęć bowiem puszczenia się co prędzej w zawody, czyni ich niezmiernie trudnymi do powściągnięcia; przytomność tylu ludzi, ciągle płoszy. To przeskakują linę stanowiącą zapórę, to w bok szrank się rzucają, co wszystko podnieca zajęcie i niecierpliwość widzów.

Gdy się zbliża chwila gonitwy, masztalerze muszą być bardzo baczni, gdyż od zręczności tego, co wypuszcza konia, tak dobrze jak od przypadkowych okoliczności, zależy przyszłe zwycięstwo w wyścigu.

Nareszcie spuszcza się lina i konie ruszają.

Z początku na obszernym placu usiłują one prześcignąć jeden drugiego; ale skoro wejdą w wąski przesmyk między dwa szeregi pojazdów, to już im to współbieganie jest niepodobieństwem.

Że dwóch zwykle wyteżając wszystkie siły poprzędza resztę. Pod kopytami pędzących, bruk lubo posypany puzolaną <sup>1)</sup> daje ognia, grzywy ich wiatr okazale rozwiewa, papier złocisty na bokach im szeleści i ledwo dostrzeżone, już giną z oczu patrzącym. Konie pozostające w tyle gromadnie, przeskadzają sobie wzajemnie do biegu, pchając się i tłocząc jeden na drugiego; czasem się zdarza, że zdala za drugimi

<sup>1)</sup> Puzolana jest to pewien rodzaj tufów wulkanicznych, który kopią tak jak glinę we Włoszech. Możliwość ją porównać do naszego grubego piasku lub żwiru gdyby nie była przy twardości, dziurkowana jak gąbka. Kolor ma czerwony. Mieszając ją z wapnem otrzymują mocny cement do budowl.

popędza jeszcze nie jeden opóźniony i znowu ginie z oczu, a poodrywany papier złocisty powiewa z szelestem na opustoszałej mecie. Kiedy już zupełnie koni nie widać, ruszają się z miejsc widzowie i napelniają dopiero co przebieżoną, przez wyścigowców, drogę.

Przy weneckim pałacu czekają inni masztalerze na przybycie koni, które napędziwszy w ściśle zamknięte szranki, zręcznie łapią i przytrzymują. Wtedy najpierw dobiegłemu koniowi przysądza się nagroda.

Kończy się zatem ta uroczystość, silnym lecz niezmiernie krótkotrwałym wrażeniem, na które dość długo wyczekują tysiące ludzi i trudno wiedzieć czy kto może sobie zdać sprawę, dla czego z takim upragnieniem czeka tej krótkiej chwili wrażenia i tak się nią delektuje.

Z opisu niniejszego wnieść łatwo można że ta zabawa tak zwierzętom jako też i ludziom być może niebezpieczną. Przytoczymy tu tylko kilka okoliczności. Na wąskim przesmyku między dwoma szeregami powozów, niech tylko np. koło którego z nich będzie na bok wysunięte i niech traf zrządzi że za tym powozem znajdzie się trochę wolnego miejsca, na które poskoczy koń przez drugich naciskany, wtedy łatwo skaleczyć się może o wystające koło.

Był nawet raz taki wypadek, że jeden koń się potknął, trzy następne napadły na niego przewróciły się, reszta zaś poprzeskakiwała szczęśliwie przez leżących i popędziła dalej.

Często koń pada nieżywy na miejscu, a w takich okolicznościach, nie jeden z widzów życiem przeplaci. Rzadko się też obejdzie bez nieszczęścia gdy konie w biegu padają. Zdarzało się że złośliwi, zazdrośni ludzie, koniowi który znacznie drugich prześcigał, machali płaszczem przed oczyma, żeby go zmusić do zwrócenia się, i pozostania w tyle. Gorzej bywa gdy konie po przebiegnięciu mety, nie są dosyć zręcznie przy weneckim pałacu chwywane, wtedy zawracają w najwyższym rozpędzeniu, a ponieważ świeżo przebieżoną przez nich drogę już lud napelniał, zdarza się nie jedno nieszczęście, o którym ogół albo się nie dowiędzie, albo też na nie nie uważa.

Nagrodą bywa zwykle kawał srebrnej lub złotej materji, dłuższej na półtrzecia łokcia, a nie mającej nawet łokcia szerokości. Osadzona na pstrym drągu, powiewa niby flaga; na jej jednym końcu w poprzek utkany jest obraz, przedstawiający ścigających się kilka koni.



Kara podobna jest nagrodzie. Koń który się najgorzej popisał, bywa następnego poranku zaprowadzony przez masztalerza pod obelisk. Tam sadzają na niego małego chłopca, a drugi jezdecy

poganiając go biczykiem, pędzi przed sobą, tak że biédak wszystkie siły nateża, żeby co prędzej dobieść do mety.

Józ. Śmigielska.

## W PŁY W C H E M I I

### NA ROZWÓJ FIZJOLOGII I MEDYCYNY.

(Dokończenie.)

Z powyższego stanowiska zapatrywał się Liebig na świat zwierzęcy i roślinny. Zastanawiał on się nad życiem i potrzebami nie tylko pojedynczych drzew, pojedynczych ździebeł trawy, lecz całych lasów, pól i łąk. Szukając ile żywności spotrzebowano w ciągu pewnego czasu w całych gospodarstwach, koszarach, zakładach karnych i wnioskując, ile jeden człowiek w przecięciu spożywa węgla dziennie, łatwiej mu było dojść, jaka ilość kwasu węglanego uchodzi wraz z oddechem, aniżeli obliczając bezpośrednio tę ilość. Takim samym sposobem Liebig usiłował dowieść że kwas węglany powietrza jest jedynym źródłem węgla wchodzącego w skład roślin; obliczył on ile rola uprawna otrzymuje węgla przez gnojenie, a ile węgla zawiera roślinność tej roli i dowiódł, że wiele łąk i pól wcale nie bywa gnojonych.

Niedokładność statystycznych źródeł w Niemczech była powodem, że nie wszystkie poszukiwania Liebiga odpowiadały swemu celowi; szczęśliwszy był pod tym względem Boussingault. — Jego to znajomości chemii, jako też staranności i ścisłości zawdzięczamy rozwiązanie wielu zawiłych zagadnień. Najznakomitszą z jego prac jest oznaczenie stosunku między ilością azotu zawartą w pokarmach a pożywnością tychże.

Ostatnia z metod chemii fizyologicznej, metoda porównawczo-rozbiorowa, wydoskonalona została przez Liebiga i jego szkołę. Objąsniemy ją na przykładzie. Znamy w ogólności skład różnych pokarmów spożywanych przez zwierzęta i rośliny, wiemy że pokarmy te podczas trawienia ulegają rozkładowi i znamy produkt tego rozkładu. Znamy także produkt rozkładu tych pokarmów zewnątrz organizmu; porównywa-

jąc jedne z drugimi, często jesteśmy w stanie osądzić przez analogią jaki process chemiczny odbył się wewnątrz organizmu.

Tak na przykład mączka, cukier, tłuszcze, ciała bardzo bogate w węgiel, palone w przystępie powietrza, łączą się z jego kwasorodem i zamieniają na kwas węglany i wodę. Też same ciała użyte na pokarm, zamieniają się także na kwas węglany i wodę. Naturalny stąd wniosek, że i wewnątrz organizmu musiały się one połączyć z kwasorodem, jednym słowem musiały uleść spaleni. Zresztą palenie to które się odbyło we krwi nie jest tak proste jak w zwykłych okolicznościach. Liebig sądzi że powyższe ciała zwolna tylko ulegają działaniu kwasorodu zawartego we krwi, który naprzód łączy się z ich wodorodem; powstają związki coraz bogatsze w kwasoród; działanie kwasorodu rozciąga się i na węgiel, po pewnym przeciągu czasu nareszcie następuje zupełne ukwasorodnienie to jest: przemiana w kwas węglany i wodę.

Podobnym sposobem okazało się że ciała białkowane, bogate w azot, przyczyniają się do tworzenia tłuszczu, że mączka podczas kiełkowania ziarn zboża przechodzi w cukier, że kwasy roślinne podczas dojrzewania owoców przechodzą w cukier i galaretę roślinną.

Porównywając wymienione przez nas dzisiejsze metody chemii fizyologicznej z dawniejszemi przypuszczeniami bez zasad i doświadczeniami bez celu, nabieramy pocieszającego przekonania, że droga, na której się dziś znajdujemy, musi nas doprowadzić do celu to jest do poznania życia. Zajęcie jakie wzbudza pracę Liebiga, Muldera, Schlerdena, dowodzą



jak ważnym i żywotnym stał się ten przedmiot. Dodamy tu nawiasowo że „Listy o Chemii” Liebiga i „Roślina i jej życie” Schleidena są wzorami popularnego wykładu nauk przyrodzonych.

Nie odrzeczy będzie wspomnieć tu o małej ciekawości wymyślonej w Anglii, w kraju praktycznych idei. Jestto rodzaj mikroskopu zwanego Światem Liebiga, który miał wyobrażać związek między światem zwierzęcym, roślinnym i nieorganicznym i wzajemne ich oddziaływanie na siebie. W próżnej, ze wszystkich stron zamkniętej kuli szklanej, napełnionej wodą i powietrzem, znajdują się rośliny wodne, ślimaki i małe rybki. Rośliny wodne żywią się wodą i kwasem węglanym powietrza a wyziewają kwasoród; ślimaki, przedstawiciele zwierząt roślinożernych żywią się roślinami; ryby, mięsożerne istoty, ślimakami. Zwierzęta oddychają kwasorodem wyziewanym przez rośliny a rośliny oddychają kwasem węglanym wyziewanym przez zwierzęta.

Zadziwiające wypadki do jakich chemia fizyologiczna doszła przy pomocy anatomii mikroskopowej i fizyki, przejęły wszystkich, zajmujących się tém bliżej, zapałem dochodzącym do fanatyzmu. Jak w wielu innych podobnych okolicznościach, chciano przez analogję wytłómaczyć sobie zjawiska, których fakta wytłómaczyć nie mogły. Spekulacye takie z początku, jako czyste przypuszczenia tylko, były bodźcem do dalszych badań i sprzyjały rozwojowi nauki. Wkrótce jednakże przebrano wszelką miarę; odezwały się głosy, przywłaszczające sobie powagę jakiej w naukach ścisłych nikomu się nie przyznaje i rozprawiające z największą pewnością o najzawilszych, niewyjaśnionych dotychczas zagadkach natury. Podług tych śmiałych teoretyków, wszelkie jestestwo, wszelkie życie, — kryształ, roślina, zwierzę, kształt, zjawisko, myśl — wszystko jest tylko wynikiem sił materij, wszystko istnieje, powstało samo przez się, wystarcza samo sobie. Jednym krokiem przebyli oni granicę przedzielającą zjawiska duchowe od fizycznych. Szczególniej siłom chemicznym przyznano ważną rolę; zjawiska duchowe są tylko skutkami chemicznych wpływów na układ nerwowy; organizm ginie, umiera, — z nim razem duch. Nieznają oni Opatrzności, celu, ducha; znają tylko konieczność, prawo, materję. Materyalizm ten nie został przyjęty ani przez filozofią ani przez nauki ścisłe; należy się nawet spodziewać że twórcy jego, po większej części naturaliści z wielkimi zdolnościami, porzucą to co w ich teoriach jest błędnego. Powszechnie bowiem wiadomo jak napróżno dotychczas usiłuje chemia poznać

ową wewnętrzną naturę związków, owo grupowanie się atomów ciał prostych w cząstki ciała złożonego; nikt np. nie może wyrzec z pewnością że sól glauber-ska jest grupą dwóch grup to jest kwasu siarczanego i sody, a nie grupą złożoną bezpośrednio z 1go atomu metalu sodu, 1go atomu siarki i 4ch atomów kwasorodu. Cóż dopiero w związkach organicznych, których skład jest tak zawikłany! Jeżeli więc badając fakta zmysłowe, tak prędko stajemy u kresu naszych władz a przynajmniej dotychczasowych środków, cóż sądzić o takich którzy dowodzą że wszystkie zjawiska ducha zależne są od pewnych modyfikacyj w układzie cząsteczek mózgu jako organu myśli, którego skład chemiczny należy do najniższych stron nauki? Gdyby nawet znalazł się dowód że żaden ruch umysłowy nie może się obejść bez odpowiedniego zjawiska chemicznego w mózgu, podobnie jak żaden ruch ciała bez przemiany materij, nawet wtedy należałoby uważać siłę chemiczną tylko za nierozłącznego towarzysza wszelkich zjawisk umysłowych a przyczyny ich szukać w czémś, zupełnie niezależnym od materji. Dotychczas nie mamy żadnego faktu któryby nas mógł naprowadzić choćby na tę myśl tylko że duch wynika z działania materji na materję.

Był czas w którym sądzono że celem nauk przyrodzonych jest niszczyć wiarę w duchowość, wieczność człowieka; zgroza i wstręt przejmowały słabe umysły. Dziś czas ten minął. Materyalizm, który z dziwną pewnością chęłpił się że odkrycia swoje zawdzięcza naukom przyrodzonym, był powodem, że wielu bardzo zajęło się niemi gorliwie, chcąc się przekonać o stanie rzeczy, i uznało, że nie prowadzą one bynajmniej do materyalizmu w powyższym znaczeniu. Można więc przyjąć że epizod ten w ogólności przyniósł pewną korzyść naukom przyrodzonym; zakreślono przynajmniej granice w których z pewnością można liczyć na pomyślny wypadek badania.

Fizjologia, nauka o zjawiskach życia, jest podstawą całej racjonalnej medycyny. Znając dokładnie budowę złożonego bardzo mechanizmu, materiału z którego on jest zbudowany i jego funkcyje, z łatwością możemy dojść przyczyny nienormalnych zjawisk. Z tego to powodu największa część lekarzy z zapałem przyjęła wypadki otrzymane przez chemię fizyologiczną; znaleźli się i tacy, którzy zbyt wygórowali swe nadzieje i żądania. Odkrycia wszakże chemii wpłynęły korzystnie na medycynę nie tylko bezpośrednio; przyczyniły się one do przyjęcia ścisłych i rozumowanych metod badania, które zajęły miejsce dawniej-



szego dogmatyzmu, polegania na cudzej powadze i objaśniania zjawisk szumnymi a nie znaczącymi wyrażeniami. Już to wiele najdzwyczaj stanowi, gdy odkrycia jakie przyczynią się do ogólnego rozwoju nauki lub sztuki; szczególne zastosowania i korzyści znajdują się z czasem same przez się.

Znaczną przysługę wyświadczyła chemia materji medycznej nie tylko przez odkrycie wielu energicznych środków, jodu, bromu, chininy, morfiny i innych alkaloidów, tudzież ciał tak pożytecznych dla chirurga jak collodium i chloroformu, ale i przez usunięcie wielu środków, niepewnego składu. Rozbiór chemiczny przekonywa o dobroci czystości ich, tudzież podaje sposoby jak uniknąć mieszaniny ciał któreby się wzajemnie rozkładały.

Przepisy chemii ukazały się najpraktyczniejszymi w dietetyce. Wiadomo z jaką niepewnością zalecali dawniejsi lekarze lub zakazywali potrawy w różnych chorobach, jak nawet zdania ich były sprzeczne w tym względzie. Chemia usuwa wszelką wątpliwość podając własności i skład różnych pokarmów.

W ostatnich czasach rozwinęła się nowa zupełnie gałąź chemii—nauka o truciznach, toxykologia. Zadaniem jej jest poznać ciała działające zabójczo na organizm, już to aby wykryć ich obecność, już to aby podać środki zabezpieczające od ich działania. Kończąc nasz przegląd, przytoczymy ciekawy przykład

ściśłości badań chemicznych. Przed niedawnym czasem rozeszła się w Anglii pogłoska, że tak nazwane piwo gorzkie (pale ale) wyrabiane w jednym z ogromnych tamtějších browarów, zafałszowane jest strychniną; pogłoska ta zatrwożyła zarówno i wyrabiających i pijących owe piwo. Professorowie Hofmann i Graham na wezwanie posiadacza browaru zajęli się rozbiorem piwa i oto wypadki ich poszukiwań.

Podług pogłoski, strychnina, jedna z najstraszliwszych trucizn organicznych miała zastąpić chmiel. Chemicy nasi wnieśli przedewszystkiem że dla nadania gorzkiego smaku, potrzeba pół grana strychniny do pół galonu piwa; browar więc wyrabiający 72 miliony galonów piwa rocznie, potrzebowałby 16,000 uncyj strychniny, której w całym świecie nie otrzymuje się 1000 uncyj rocznie. Byłoby to pośrednim dowodem nieprawdopodobieństwa takiego zafałszowania.

Najważniejszy, najbardziej stanowczy był dowód bezpośredni. Tysiączna cząstka strychniny zwilżona kwasem siarczanym nadaje kryształkom czerwonego chromianu potażu piękny fioletowy kolor. Przekonano się że reakcja ta następuje, gdy pół grana strychniny znajduje się w pół galonie piwa. Teraz dopiero próbowano piwo przyniesione z różnych miejsc, lecz ani śladu strychniny nie znaleziono.

A. H.

## SKIERNIEWICE

PRZEZ JULIANA BARTOSZEWICZA.

(Dokończenie.)

### II. Kościoły.

Parafię i kościół podniósł w Skierniewicach, jak mówiliśmy, arcybiskup Jan ze Sprowy, ale umarł nie skończywszy fabryki, zatem Jakób z Sienna przedsięwziął po nim rozpoczętą pracę, kościół wymurował, należycie go uposażył, czego dowodem był nawet napis stosowny, który jeszcze w połowie zeszłego wieku świecił na frontonie kościoła <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Niesiecki, T. VIII. str. 356.

Jakób z Sienna wydał erekcją pod r. 1480, to jest przed samą śmiercią swoją. Dzisiaj erekcyi tej niema ani śladu. Tytuł kościołowi nadał od swego patrona św. Jakóba. Starożytna Polska wymurowanie kościoła przypisuje prymasowi Zbigniewowi Oleśnickiemu, nie wiemy jak dalece sprawiedliwie: być może Zbigniew fundacją Jakóba rozwijał, ale to pewna że sam fundatorem nie był.

<sup>2)</sup> Łętowski, Katalog, T. III. str. 282.



Oprócz parafialnego był wtedy w Skierniewicach drugi kościółek św. Wojciecha, bo w skromnym kościółku tym Jan Gruszczyński prymas wyświęcał na kapłana Łaskiego<sup>2)</sup>. I tego niemógł zbudować Oleśnicki, gdy Gruszczyński umarł w r. 1473 i poprzedzał Jakóba z Sienna. Jeżeli tedy nie jestto fundacya Jana ze Sprowy, kościółek św. Wojciecha może być najdawniejszy w Skierniewicach, ale nie miał przywiązanej do siebie parafii. Łaski później przez wdzięczność dał odbudować kościółek św. Wojciecha, stąd go niektórzy podają nawet za fundatora<sup>1)</sup>. Łaskiemu przypisują także postawienie kościółków św. Romualda i św. Stanisława: wypadłoby z tego, że Łaski wielkim był w Skierniewicach budowniczym i gdy sprawy swoje finansowe źle prowadził i ciągle był w długach, wypadłoby że na jedne Skierniewice wylewał się ze szczodrością, bo aż by trzy wniosł tam świątynie. Tak nie jest przecież: nazwiska tylko tutaj pomieszane. Rzeczywiście był w Skierniewicach kościół szpitalny, drewniany św. Stanisława fundacyi Łaskiego: wznosił go za miastem. Głównie tutaj chodziło mu o szpital, przy nim bardzo naturalnie znalazł się i kościółek, który więcej wyglądał na kapliczkę. Erekcya jego prawo prezenty dawała mieszczanom. Ale ze sprawdzenia tych wszystkich okoliczności pokazuje się, że Łaski co najwięcej zbudował szpital przy starym kościółku św. Wojciecha, który odnowił i wtedy samo nazwisko Ś. Wojciecha przemienił na tytuł Ś. Stanisława. Ś. Romuald wniósł się tutaj wcale niepotrzebnie, bo go nie było wcale w Skierniewicach, a takim sposobem liczba czterech kościołów zredukuje się do dwóch, parafialnego w mieście i szpitalnego za miastem. Łaski bardzo mało zrobił, wdzięczność jego dla Skierniewic nie było tak znowu zbyt hojną; szpital niewiele mógł kosztować, toż samo odnowienie starego kościółka, funduszu zaś szpitalowi żadnego nie opatrzył i li jedynie prebendarzowi przy nim dał bardzo szczupłe uposażenie, ubogich znowu zlecił zupełnie miłosierdziu, zostawiwszy ich na łasce Opatrzności.

Szpital tak sam sobie zostawiony, bardzo naturalnie, że się nie udał. Łaski kazał dwóch prowizorów wybierać, jednego z mieszczan skierniewickich, drugiego z włości i na nich wkładał obowiązek, żeby zbierali jałmużny, ale nic z tego: i dom się rychło rozsypał i jałmużn zabrakło, prowizorów tedy nieobierano, ubodzy przenieśli się do innych kościołów i przy kościele został tylko prebendarz.

Tak stały rzeczy aż do Stanisława Szembeka. Prymas ten wymurował kościół św. Stanisława i szpital, ale jakie to skutki wywarło na wzrost samej instytucyi, niewiadomo. Komorowski założył drugi szpital w Skierniewicach przy kościele parafialnym św. Jakóba, ale nie dla ubogich, tylko dla dziadów. Celem tego prymasa było zapewnić staropolskim obyczajem stałą posługę w kościele św. Jakóba. Dom postawił drewniany i dał na fundusz dziadów 5000 złp. które zapisał na majątności ziemskiej Prussach w powiecie rawskim. Fundacya ta stanęła w r. 1757. Później w kościele parafialnym znajdujemy już ślady bractw kilku, jedno było literackie, czyli św. Trójcy, drugie Rożańca świętego, trzecie bardzo dawne św. Anny.

Ostrowski, jak mówiliśmy, wiele zmian pozaprowadził w kościołach skierniewickich i postawił nowy parafialny. Uroczystość poświęcenia odbyła się w niedzielę 30 września 1781. Celebrował na niej ksiądz Okęcki podkanclerzy kor. Księcia prymasa obecnego na uroczystości otaczali prałaci i kanonicy gnieźnieńscy i poblizszych kapituł, deputaci z trybunału piotrkowskiego, księza świeccy i wiele gości. Skierniewice zamieniły się na Warszawę. U stołów księcia zasiadało po 160 osób, kazanie miał ksiądz Zacharyaszewicz kanonik gnieźnieński i łowicki, infułat proboszcz kamiński<sup>1)</sup>.

Kościół był murowany w kształcie rotundy rzymskiej, architektury wyborniej, jakiej nie miał żaden jeszcze kościół w Polsce. Od miasta wznosiła się facyata, którą zdobiły cztery pilastry; pomiędzy niemi były framugi, w których stały wazony kamienne; ponad wszystkim tablica marmurowa czarna i napis „vita mea Domino (życie moje panu).” Facyata schodziła się w trójkątną figurę gzymsem w sztukaterye obwiezioną, w trójkącie wyobrażona z gipsu Opatrzność w promieniach. Schody o trzech stopniach, zakończone okrągłemi kamiennymi słupami. Bania powierzchnia czyli dach, w koło którego bezpieczny obchód, białą blachą kryta. Od tyłu nad zakrystyą wieża nie wysoka, na niej czworoboczna ucięta piramida także blachą białą pokryta. W wieży zegar bijący składnej budowy. Trzy wejścia były do kościoła, od frontu, z boku i przez zakrystyę. Nawa dla ludu okrągła, presbyterium wyższe od niej na trzy stopnie. Po nad ołtarzem wielkim wznosił się chór i organ; z presbyterium wchodziło się też na ambonę. Mniejszych ołtarzy było cztery; gust wszędzie wyborny, dobra

<sup>1)</sup> Tamże, str. 279 i 282.

<sup>1)</sup> Gaz. Warsz. 1781. Nr. 80.



rzeźba, malowania, sztukaterie, kamienna posadzka, sufit gipsowany. Naprzeciw wielkiego ołtarza galeria wygodna i ozdobna; za nią zakrystya. Po śmierci Ostrowskiego w kościele do ściany przyczepiono mu nagrobek z marmuru, zewnątrz kościoła zaś po prawej stronie od głównego wejścia spuszczone okno do grobu prymasa.

Doczytaliśmy się kilku zaledwie proboszczów skierniewickich w przeciągu tych kilku wieków. Są jednakże i tak pomiędzy nimi osoby historyczne. W takim zaś porządku następują po sobie:

1. Jakób z Kleparza, doktor medycyny, kanonik łowicki, najdawniejszy z nich, jeszcze w r. 1510 mistrzem został w akademii krakowskiej <sup>1)</sup>.

2. Jakób książę Woroniecki, biskup nominat kijowski za króla Stefana, u którego miał łaski, był proboszczem skierniewickim. W r. 1585, dobrowolnie z niego ustąpił. Trudno posądzać Woronieckiego o sprzedaż urzędu w owym wieku, ale później często a nawet zawsze zdarzały się takie ustąpienia za pieniądze. Uderza tu jednak okoliczność, że Woroniecki probostwo zdaje na Jana Tarnawskiego i to właśnie rzucałoby podejrzenie, że je sprzedał. Kto ustępuje bez interessu, nie wymienia osoby; ustępstwo wtedy jest warunkowe i ważnym się staje gdy władza przyjmuje podstawioną osobę, więc i prawo prezenty na ten raz zawieszono było. Wiadoma rzecz, że książę miał obietnicę u króla na biskupstwo krakowskie po Myszkowskim, że był też na Litwie plebanem kowieńskim i plebanem gieranońskim; posiadał więc dosyć urzędów duchownych. Ze Skierniewic ustępował przez akt zrobiony w konsystorzu warszawskim na dniu 2 marca 1585. Stanowił wtenczas prokuratorów to jest zastępców swoich do zrobienia urzędowych kroków na miejscu. Czterech ich było: Maciej Pstrokoński proboszcz łowicki (osoba historyczna), Jakób Pradzewski kanonik kujawski, Stanisław Dziegielewski kanonik łowicki i Marcin Czyżewski pleban w Słuppi, pisarz kapituły łowickiej. Okoliczność to nowa zupełnie dla życiorysu Woronieckiego <sup>2)</sup>.

3. Jan Tarnawski wziął Skierniewice po Woronieckim w r. 1585, ale z warunkiem, żeby mu zapłacił dochody z probostwa za dwa lata 1584—5.

4. Franciszek Korab Bogusławski kanonik poznański i łowicki był tutaj proboszczem w roku 1643. Pochodził z Bogusławki, wsi o pół mili od Rawy,

<sup>1)</sup> Muczowski, Statuta nec non liber promotionum str. 149.

<sup>2)</sup> Akta konsystorza warszawskiego.

gniazda rodzinnego <sup>1)</sup>. Złożył widać probostwo, bo jeszcze w r. 1676—8, jest kustoszem łeczyckim.

5. Mikołaj Prawdzic Goski, proboszcz lubelski, kanonik warszawski, sekretarz królewski, był w Skierniewicach w r. 1652, później jako doktor obojga praw i archidyakon warszawski był tutaj jeszcze r. 1661. Umarł późno już 7 października 1682 na opactwie świętokrzyskiem.

6. Stanisław Sienieński kanonik gnieźnieński i autor, ulubieniec i referendarz prymasa Teodora Potockiego, proboszcz skierniewicki w r. 1733 <sup>2)</sup>.

7. Antoni Kornel na Zdzianach, Odrowąż Przedwojewski exkapucyn, biskup bolineński, scholastyk gnieźnieński, proboszcz łowicki, nieodstępny od boku ostatnich prymasów. W Skierniewicach był już w r. 1787, umarł zaś 3 sierpnia 1793 w Warszawie.

Za jego czasów Ostrowski fundował kaznodziejską prebendę w Skierniewicach. Zajmował ją pierwszy ks. Olszewski bernaryn, który umarł w r. 1787. Po nim tedy książę prymas Poniatowski na prebendę kaznodziejską wybrał księdza Schweynerta, instytuował go zaś w czasie świąt wielkanocnych. Obrzęd tak się odbył. Po rezurekcyi, którą odprawił, prymas śpiewał jutrznię z księżmi skierniewickimi, z kapelanami dworu i z Przedwojewskim, który przyjechał z Łowicza. Moc była ludzi. Załoga skierniewicka wystąpiła w paradzie. Nazajutrz w pierwsze święto wielkiéjnocy (8 kwietnia), książę celebrował sumnę, po której kazał Schweynert. Po kazaniu kasztelan ciechanowski Oborski marszałek prymasowski podał księciu prezentę na kaznodziejstwo z podpisem swoim. Prymas wezwał tedy do siebie Schweynerta schodzącego z ambony i przemówił do ludu: dziękował naprzód Ostrowskiemu za tak pożyteczną fundacyę, potem słów kilka poświęcił wspomnieniu Olszewskiego i Schweynerta pochwalił. Oświadczył dalej, że mu poleca dozór szkółki parafialnej, dla tego żeby zaraz z młodu uczył dzieci wiary i obyczajów a obrzydzał próżnowanie. Następnie książę wspomniał o grzechu Adama, o mece Chrystusowej, którą obchodzili niedawno, o cudowném zmartwychwstaniu Zbawiciela. Przypomniał wreszcie modłom pobożnych duszę swego poprzednika i siebie a raczej swoje rządy. Oddał wtedy prezentę Schweynertowi, odebrał od niego wyznanie wiary i przysięgę dla kościoła gnieźnieńskiego; nastąpiła zatem instytucya, msza później śpiewana przez Przedwojewskiego, po której święcone u księcia było dla gości na pokojach i obiad <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Niesiecki, T. II. str. 202. <sup>2)</sup> Tamże VIII. 360.

<sup>3)</sup> Gaz. Warsz. 1787, Nr. 30.



Z innych osób, które kiedyś pracowały przy kościołach skierniewickich, kilka jeszcze znamy. Franciszek ze Mszczonowa mansjonarz w Skierniewicach, przedtem w r. 1514, został bakałarzem w Krakowie, umarł już tutaj, gdy wytrwał do śmierci na skromnej swojej posiadzie <sup>1)</sup>. Skromniejszym był od niego Mikołaj ze Skierniewic, Skwierniewski, Skwierniewicki, który i po łacinie czwarte miał nazwisko Squernovius, także od r. 1588, był mistrzem w akademii krakowskiej, <sup>2)</sup> wreszcie doktorem obójga prawa. Miejski synek ale zdolny, stąd prawa ręka prymasa Karnkowskiego, kanonik łowicki, przeżył dobroczyńcę; jeszcze w r. 1621, używano go do spisywania i redagowania ustaw synodalnych <sup>3)</sup>.

### III. Władze w Skierniewicach.

Za dawniejszych czasów różne władze narodowe szlacheckie, z poręki księcia prymasa urzędowały w Skierniewicach. Nie mówimy już tutaj o władzach miejskich, jakie były w skutku magdeburgji, a które jurysdykcję swoją rozciągały li tylko na stosunki miejskie. Prymasowie jednak jako panowie miejsca, mieli swoją władzę po nad dobrami i po nad szlachtą skierniewicką; sądzili sprawy, potem wyrokowali. Gdy osobiście, jako wielcy dostojnicy Rplitej, zająć się temi drobiazgami nie mogli, spuszczali się na osoby, które w tym celu stanowili ku władzy, i stąd to pochodzi że w Skierniewicach od lat dawnych egzystują urzędy czysto szlacheckie, rodzaj grodów i starostw koronnych. Oczywiście powaga prymasowska wymagała podobnej wystawności, majestatu. Wszakże Wład. Aleks. Łubieński już za Stanisława Augusta dla tego samego postanowił formalny gród koronny w Łowiczu. Zdaje się, że o tenże sam majestat zabiegał dumny ks. Łaski i że postanowił własną mocą sądy nadworne prymacjalne w Skierniewicach. Mówimy dla tego własną mocą, że nieznajdujemy śladu żadnego w zabytkach praw koronnych, ażeby się to za wiedzą Rplitej stało. Stąd władze sądowe skierniewickie były często prywatne, senioralne, zastępowały tylko dziedzica, lubo formami swojemi zupełnie się zbliżały do sądów i władz koronnych. Łubieński już prawniej wystąpił, bo na gród łowicki wyrobił sobie konstytucję sejmową. Grod łowicki egzystował tedy do upadku Rplitej byłby egzy-

stował ciągle wraz z innemi sądami w kraju, władze zaś skierniewickie nie mają sankcji narodowej; często się widać zmieniały w treści i formie i nic dziwnego, zależały zupełnie od woli dziedzica, który jak postanowił, tak mógł zmieniać, poprawiać, wreszcie zupełnie je usunąć.

Mamy właśnie pod ręką cztery kartki wyroków, jakie sądy skierniewickie wydawały w r. 1537. Spisywane widać były w księgę formatu znanych w Metr. kor. *dudek*. Z tych właśnie 4ch kartek, które może jedynym są już zabytkiem dawnych ksiąg sądowych skierniewickich, dowiadujemy się o tém, że same te sądy istniały. Było tedy podówczas „judicium curiae squirensis” i był „judex curiae,” który sądził w obec świadków, był i burgrabia skierniewicki urzędem wyższy od sędziego, bo brał przed nim pierwszeństwo, był i pisarz sądu. Kartki nasze pochodzą z ostatnich miesięcy prymasostwa Jędrzeja Krzyckiego, który umarł 10 maja, zawierają albowiem wyroki wydane przed niedzielą Oculi aż do soboty przed niedzielą Judica, która była w kwietniu, zatem są z miesiąca marca. Spraw w nich odsądzonych dwanaście.

Burgrabią był wtenczas Maciej Brzykowski, może Borzykowski, bo skrótów było pełno w wyrokach, nawet i między nazwiskami. Sędzią nadwornym był Mikołaj Rylski, (czasem piszą Relski), w tym już poznać można rawianina: gniazdo albowiem szlacheckie tego domu Rylsko leży o dwie mile od Rawy. Szlachta herbu Ostoja. Pisarzem był Sebastjan Sosicki. Na sądach zaś raz jako świadek assessor zasiadał Franciszek Nieborowski, rawianin. Najpilniejszy sądów był Rylski, który raz jeden w tym przeciągu wprowadzie małego czasu, posiedzenie na dwa tygodnie odwlokł dla tego, że był zajęty pogrzebem szlachcica, Jakóba Powodowskiego, który uległ gwałtownej śmierci. Kartki nasze zresztą o małych tylko brzmia sprawach i to pomiędzy włościanami okolicznych wiosek, Wysokienic, Makowa, Sierakowic, Samic, Skoczykłów, ze Słupi, Cielgowa, Lniska, Mieddewic i t. d. Jedna tylko sprawa szlachecka Bartłomieja Wolskiego z Woli Wojskiej ze Stanisławem synem zmarłego Piotra, a dziedzicznym wójtem na Wysokienicach; nazwiska Stanisława niema.

Jak długo sądy te nadworne urzędowały w Skierniewicach, niewiadomo. Ale w lat sto potem spotykamy już tutaj starostę, oczywiście także z ramienia księcia prymasa. Starosta ten zastępował burgrabiego, sędziego, pisarza, assessorów, wszystkich dawniejszych urzędników. Ale jednego tylko takiego starostę odkryliśmy za czasów Michała Korybuta i Ja-

<sup>1)</sup> Muczkowski, Statuta i t. d. str. 158.

<sup>2)</sup> Muczkowski, Statuta, str. 234.

<sup>3)</sup> Jocher, Obraz III. str. 376.



na Sobieskiego. Jest-to Filip Jakób Wolski, który był jednocześnie dworzaninem królewskim i podsej-dkiem województwa rawskiego. Podpisał elekcją Jana III z r. 1674 razem z temże województwem <sup>1)</sup>.

#### IV. Dzieje lat ostatnich.

Sławny poeta nasz Krasicki rozpoczyna historję Skierniewic po rozbiore Polski. Wziął spadek tutaj po księciu Michale Poniatowskim. Za jego czasów mniej było ruchu, jak kiedyś, ale za to muzy uświęciły spokojniejsze to ustronie. Krasicki w Skierniewicach tłumaczył żywoty Plutarcha i sam nowe żywoty kreślił na wzór Plutarcha, przekładał rozmowy zmarłych Lucjana, układał dzieło o rymotwórstwie i rymotwórcach. Nowe bajki pisał, trzecią część „Pana podstolego” tutaj ukończył i zamyślał już o czwartej. Doradcą mu literackim i przyjacielem był ex-ksiądz pijar Franciszek Xawery Dmochowski, którego z zagranicy ściągnął i dał mu schronienie na swoim dworze. W istocie Dmochowski był zdolniejszy od wielu współczesnych literatów, i chlube to robi księciu że go odszukał. W Skierniewicach, obadwaj radzili o nowem a zupełnem wydaniu wszystkich dzieł Krasickiego; książe arcybiskup przeglądał je i poprawiał, Dmochowski miał porządkować i wydać.

Rzadko wyjeżdżał książe, czasem do Łowicza, czasem do Warszawy, w której nie było życia. Więc w głuszy wiejskiej, Skierniewicom nową z nauk dawał zaletę. Miał piękną bibliotekę od dawnych lat zbieraną, teraz ją uzupełniał; książki skupował, stał się bibliomanem. Zgromadził też książe pełno wydań wspaniałych i starożytnych. Posiadał rzadki zbiór byzantynów weneckich. Z ojczystych rzeczy z ciekawością uczeni oglądali tu rękopism Długosza, niegdyś własność instygatora kor. Jędrzeja Dryi Lisieckiego, który podarował go jezuitom kaliskim; egzemplarz śliczny, trzy tomy w skórę oprawne. Żeby nie uronił się z czasem, Krasicki Długosza tego ofiarował kapitulie gnieźnieńskiej. Najwięcej wszelako dzieł w bibliotece skierniewickiej było z działu literatury pięknej i teorii wymowy.

Bawił się też książe upiększeniem okolicy, zakładał w Skierniewicach ogród podobny jak niegdyś w Smolnach na Pomorzu warmińskim. W kościele parafialnym uposażył czterech mansjonarzy (w r. 1798).

Kiedy umarł, bibliotekę skierniewicką zakupiono dla Liceum warszawskiego; wtenczas o część trzecią

zwiększyła się sama biblioteka licealna, gdy około 4000 tomów jęj przybyło; odtąd datował się też i główny wzrost sławnego potem księgozbioru.

Po śmierci już Krasickiego, niespodziewany zasiłek otrzymał szpital skierniewicki św. Stanisława. Był w zupełnym upadku. Dziesięciny z Karzeszyna i Kokoszy przepadły już w XVII wieku. Zlitował się nad jego okropną niedolą Fran. Lewandowski z mansjonarza skierniewickiego prebendarz szpitalny od sierpnia 1800 po śmierci Tomasza Chryniwickiego. Cmentarz zbudowany za Ostrowskiego opasał murem, okopał go rowem i dwanaście murowanych katakumb założył. Potem dom szpitalny własnym kosztem zbudował. Wreszcie testamentem z d. 29 listopada 1800 r. w Łowiczu spisany cały swój dorobkowy majątek przekazał na rzecz szpitala i dziedziczny tylko oddał krewnym. Egzekutorem mianował ks. Zacharjaszewicza, który niedługo został biskupem koryceńskim; polecił mu, żeby prac rozpoczętych około budowy dokończył a z reszty stały fundusz na dobrach jakich zabezpieczył. Umarł 25 marca 1803 r. w Skierniewicach: przez lat 50 był tutaj mansjonarzem, więc Komorowskiego i Żubieńskiego jeszcze pamiętał, rodem pochodził z Rawy, gdzie miał swoje grunta.

Tak więc Lewandowski cały wiek swój przeżył w jednem województwie.

Zacharjaszewicz, wtedy dopiero kanonik gnieźnieński, audytor i sędzia jeneralny, spisał wszelką po zmarłym pozostałość, rzeczy sprzedał przez licytację. Ale ciężko zachorowawszy długo sprawę prowadził i poszukiwał należności, od winnych. Stąd poszło że nawet nie wy dobył wszystkiego i fundusz znacznie się nadweryzył. Jednak budowy szpitala dokończył i napisał dla niego ustawę.

Biednych podzielił na dwie połowy; do pierwszej należeli ubodzy, którzy mogli pracować, do drugiej nędzarze i niedołężni. Tamci mieli służyć w kościele na parafii, ci zostali u św. Stanisława na łaskawym chlebie. Tamtych dozorować miał mansjonarz parafialny, którego oddawał Zacharjaszewicz zupełnie pod władzę suffragana łowickiego, u św. Stanisława miał być osobny prebendarz. Prawo do pomieszczenia się w szpitalu mieli naprzód skierniewiczanie z miasta, potem ze wsi okolicznych, wreszcie parafianie bełchowscy i makowscy. Przyjmują się do szpitala ludzie za świadectwem policji, a za zezwoleniem suffragana, ale tylko wdowy, mężczyźni bezzenni, zdrowi na ciele i umyśle. Gdyby kto jednak zapadł na chorobę ciężką, szpital miał go leczyć. Niezdol-

<sup>1)</sup> Vol. Leg. V. str. 319.



nych do posług w kościele przenosić trzeba do św. Stanisława od św. Jakóba.

Fundusze także podzielono na dwie połowy, ale nie równe. Na szpital św. Jakóba było 5000 złp. kapitału, a więc z niego 250 złp. procentu, na szpital św. Stanisława aż 15,000 kapitału, procent zaś 750 złp. Ten ostatni kapitał na Boryszewie i Robiatowie, hipotekował Netrebski, później radca stanu, 14go grudnia 1804 roku. Nadto na ten szpital szedł dochód z dawnego zapisu prymasa Wężyka, który kapitule łowickiej dla ubogich w Skierniewicach złp. sto corok zapewnił. Było więc tutaj 850 złp. dochodu. Z tych summ przy kościele parafialnym miało się utrzymywać po 3 mężczyzn i po 2 kobiety, ale za kobietę drugą mógł być czwarty mężczyzna. Na rok wypadało im brać po 50 złp. więc co pierwszego na każdy miesiąc brali po złp. 4 gr. 5. U św. Stanisława biedny dostawał złp. sto w rok, co miesiąc wypadało na trzech mężczyzn i trzy kobiety po zł. 8 gr. 10. Zawarował ustawodawca, że trzeci i trzecia mają być tak zdrowi, żeby dozorowali kościołka i szpitala a nędzniejszych od siebie pilnowali. Nad tę liczbę brać nie było wolno do szpitala. Był tutaj cmentarz jeneralny, więc dla ubogich szpitalnych zarobek otwarty. U św. Jakóba, że zdrowi byli ubodzy, pracować musieli na lepsze utrzymanie się, składki i jałmużny jak dotąd szły na nich, tudzież chrzty, śluby, wywody i t. d. Powinni byli pilnować czystości około kościoła, dzwonić, deptać miechy, służyć do sakramentów, listy okólne nosić. Kobiety wolne były od prac ciężkich, jako-to od nadymania miechów i t. d. Zarabiali też wszyscy tutaj posługą prywatną w kościele, przy chorych, zmarłych i t. d. Tutaj nad liczbę można było przyjąć dziada lub babę, ale co zarobili, to ich było, pensji nie brali. Szpitalni od św. Jakóba co środy, od św. Stanisława co piątek mogli słać z karboną na miasto i w czas jarmarków; zebraną summą dzielił wszystkich prebendarz.

Prawodawca cały statut napisał, trudno więc wdrażać się w drobniejsze szczegóły administracji szpitalnej, spadku po dziadach. Artykułów w ustawie jest 34. Dodać to jedynie potrzeba co do funduszków, że prebendarz św. Stanisława z reszty procentu od kapitału, która wynosiła 250, brał sto złp. za mszę, którą miał odprawić na intencję zapisodawcy, który tutaj na cmentarzu spoczął, 50 złp. brała kapituła łowicka za dozór nad funduszami i na koszta prawne, a 100 złp. szło na budowę szpitala. Kapitulę tej służy prawo opieki po nad obudwoma szpitalami.

Ustawę tę zatwierdził arcybiskup gnieźnieński Raczynski w Ciężeniu 7 czerwca 1811 r.

Probostwo skierniewickie wcielono wtedy do suffraganii łowickiej i odtąd pełni obowiązki parafialne komendarz wieczysty, gdy proboszczem jest biskup suffragan. Suffraganowi dostała się też dziekania w kapitule łowickiej, do której należy probostwo mawkowskie. Na tej zasadzie proboszczami tu byli w ostatnich czasach Daniel Korabita Ostrowski biskup Betsaidy zmarły dopiero w r. 1832, i po nim dopiero w styczniu r. 1859 został proboszczem nowy suffragan łowicki ks. Henryk Plater biskup Mosynopoliński. Od r. 1832 do 1859, gdy suffragana nie było, probostwo skierniewickie wakowało.

Za księstwa warszawskiego klucz łowicki podarował Napoleon marszałkowi swemu Davoust, księciu d'Eckmühl i Auerstaedt. W tym czasie w r. 1810. odbył w kościele i w szpitalach wizytę kanoniczną ks. Ignacy Pomorski archidyakon łęczycki.

W roku 1817, 27 sierpnia spaliły się Skierniewice. Kapituła łowicka zaraz pospieszyła ze stosownym wsparciem, które wynosiło złp. 1332.

Inna wizyta kanoniczna z dnia 22 czerwca 1823 r. wносиła, żeby fundusz z probostwa skierniewickiego odebrać suffraganom a przeznaczyć go na uposażenie samego kościoła który wart opieki, zwłaszcza gdy suffragan nie robi nic dla parafii. Brał wtedy złotych 3259 gr. 11, a na mansjonarzy szło 3592 gr. 6. Parafia wielka, księży było w niej niegdyś czterech, w r. 1823 było już trzech tylko. Potrzebował kościół naprawy, kosztorysy były zrobione, ale funduszu brakowało i gdyby skasować prawo suffragana, byłby na ten cel wieczysty fundusz. Tak projektował ksiądz Goldman późniejszy biskup sandomierski, który odprawiał tę wizytę na rozkaz prymasa Hołowczyca z dnia 22 maja 1823 r. ale na projekcie wszystko się skończyło.

Dzisiaj Skierniewice leżą w dekanacie swego nazwiska. Liczą parafian dusz 4603, należą do parafii wioski: Skierniewka, Mokra, Starbacicha, Grabina, Rudy Grabskie, Budy Kałki, Ruda, Miedniewice, Samice, Kamion, Pamiętne, i Budy Balcerowskie. Szkół parafialnych jest trzy, to jest w miasteczku, w Mokry i w Miedniewicach. Prebendarzami u św. Stanisława zwykle bywają proboszczowie sąsiednich parafij; był jeden z Konar, drugi z Dobry, dzisiejszy jest z Warki.

W ostatnich czasach droga żelazna zbliżyła znakomicie nasze stare miasteczko ku Warszawie. Przejazd na nią był otwarty aż do Skierniewic w początku października 1845 r. w listopadzie zaś tegoż roku



otwarto gałęź drogi żelaznej ze Skierniewic do Łowicza. Jest w Skierniewicach stacja pierwszej klasy. Główny niedostatek wody na tej stacji dopiero teraz usunęła nowa administracja kolei w r. 1858.

Skierniewice oddalone są koleją od Warszawy o mil dziewięć. Dwie godziny jazdy wystarczy na przebycie

tej przestrzeni. Stąd warszawianie często sobie pozwalają wycieczek do Skierniewic, zwłaszcza gdy dyrekcja kolei żelaznej urządziła w tym celu osobne spacerowe pociągi za pół ceny. Bahnhof tutaj budował Idźkowski, i wielką salę wspaniale ozdobił.

17 lipca 1859 r.

## KAROL DICKENS.

W społeczeństwie tak różnolitem jak społeczeństwo angielskie gdzie taki nadzwyczajny ruch umysłowy; gdzie fabryki olbrzymimi ramionami wyrabiają przez godzinę tyle ile w innych krajach naród cały wyrobić za ledwie zdoła; gdzie najdziwniejsze pomysły znajdują urzeczywistnienie, a narodu żywotne tętna biją podwójnie przyspieszonym taktem; gdzie każdy pracuje; spieszy się: ten aby żyć, drugi by użyć, inny znów dąży gorliwie do jakiegoś oddalonego celu którego widzialny tylko w jego duszy lecz gdy się na jaw dobędzie ludzkości całej pożytkiem się stanie: w takim narodzie, stanowisko powieściopisarza znakomite bywa lecz nader nie łatwe.

Niemieccy dziennikarze z zazdrością obracają oczy na piśmiennictwo angielskie, z uczuciem podziwu i niejakiem żalem wołają: co za bogactwo! jaki materiał do powieści w tej Anglii! W przeszłym już stuleciu, Anglicy mieli takich pisarzy jak Fielding, Smollet, Stern Goldsmith, zdawało się że powieść angielska dalej i wyżej nie zajdzie; tymczasem wiek dziewiętnasty dał im Walter-Scotta, Bulwera Thackeraya, panię Edgewolth, Fullerton, Gore Kavanagh i takiego humorystę jak Dickens.

Ale bo też świetna to widowia Londyn, Londyn stolica świata jak ją sam Dickens nazywa tam ciągle snują się przed ciekawym okiem najrozmaitsze sceny, najniepodobniejsze tam napotkasz przygody—dziwy i czary stokroć cudniejsze jak w arabskich powieściach, postacie jakich nie zobaczysz w żadnej okolicy ziemi; tam znajdziesz wszystko (powiadają pisarze niemieccy) co ci dostarczy materiału do tysiąca najciekawszych opisów, niedziw przeto że piśmiennictwo angielskie na takim szczycie doskonałości stanęło.

Być może iż przyjazna miejscowość wiele się przyczynia do rozwinięcia zdolności pisarza, nam wszakże się zdaje że niedość żyć w tém lub owém kółku, w tém lub owém mieście aby zostać znakomitym w swym zawodzie; my po prostu wnosim iż oprócz wrodzonego daru do kręślenia obrazów z natury; trzeba nadto mieć smak dobry w wyborze, naukę, zamiłowanie prawdy i chęć nabycia zasługi w zawodzie powieściopisarzkim. I cóż że ktoś wiernie a nawet z talentem nakreśli taki lub owaki obraz? Dobrze to być może w malarstwie jako oddanie wierne dzieł bożych, dzieł które bezwzględnie sądząc, zawsze będą piękne i dobre. Ale świat, duchowy, świat płam i skaz ludzkiego serca, świat zboczeń myśli naszej, kraj niesfornych polotów ducha kż ideałom, ten świat jest polem człowieczeństwu jedynie właściwym, tu ludzkość dziedziczką wyłączną, twórcielką wszechwładną: ztąd więc przenosząc obrazy na papier, potrzeba wybierać oględnie i umiejętnie, by na wierzchu nie wydobyć śmiecia które niema być widzianem i i prochem niezaćmić blasku kwiatów, świecących na tej niwie.

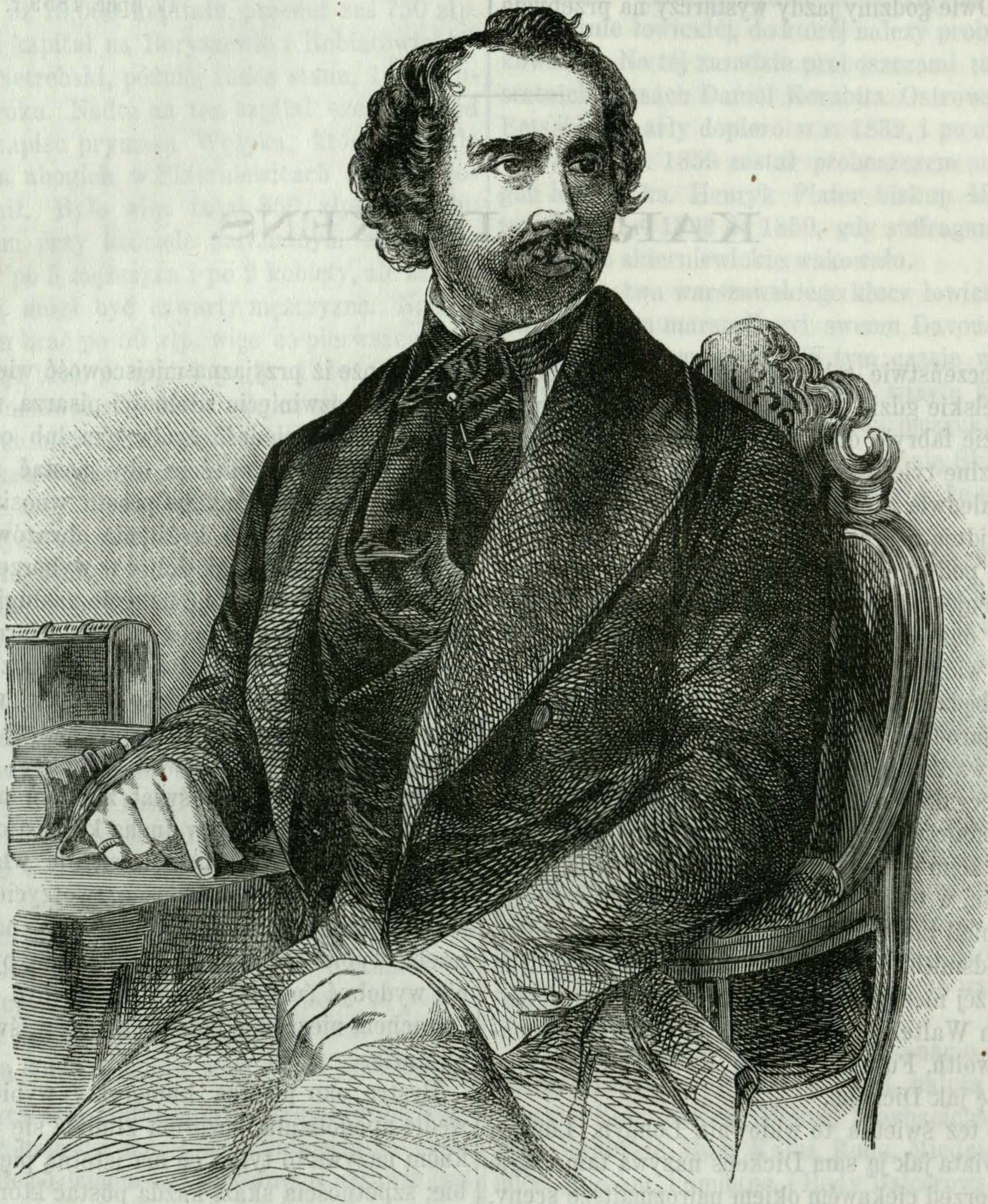
Bystre oko pisarza humorysty wybiera ztamtąd wedle upodobania, pozorom złudzić się niedaje, pięknem nazywa to tylko co ma istotną piękność w sobie; szpetnością skazi każdą postać którą grzeje tylko duch samolubstwa, która w całym wszechświecie siebie jedynie zna i ceni, taką, pisarz piętnuje sztylerstwem w obec ogółu, podnosząc cichych, pokornych i ubogich do stanowiska ideału.

Tak właśnie czyni Dickens. Humor jego łatwo mu przebaczyć przez wzgląd na wielkie ukochanie praw ludzkości. On człowieka uważa za istotę która kochać może i powinna. Dla tego mimo dowcipu, mimo



przesadnie komicznych postaci, które lubi w swych powieściach uwydatniać, Dickens tę jedną myśl wszędzie przeprowadza, to jedno zadanie wszystkim zaleca. „Ludzie! kochajcie się jak bracia.”

Dickens syn niezbyt zamożnego człowieka, ubóstwu swemu i urodzeniu zawdzięcza wyrobienie swego talentu. Gdyby się urodził lordem dziedzicem para i panem ogromnego majątku byłby się może zużył



Dickens.

Lubi on czasem oddać piękną stronę świata zwierzęcego jako przeciwstawienie wad ludzkich: tak w powieści *Domcey i syn* wprowadza psa, w *Barnaby Rudge* kruka i wcale nie tracą zwierzęta na porównaniu z niektórymi osobami powieści.

przed czasem a ze swym usposobieniem, byłby piórem swym rozpowszechniał sarkazmy i bluźnierstwa. Lecz wychowany w mierności, za młodu włożony do pracy; w ciągłym zetknięciu z ubogimi, którzy wywalczyć sobie muszą prawo istnienia w społeczeń-



stwie; Dickens widział więcej niedoli, przygód, i walk rzeczywistych szczytnych czynów i rażących błędów niżby się to splamić mającemu bogaczowi, zdarzyć mogło.

W Portsmouth w 1812 r. przyszedł on na świat. W Londynie i Chatham pobierał nauki. Czas jakiś pracował u adwokata i tam obeznał się bliżej ze scenami z życia ludu. Był więc już zasób gotowy dla naszego powieściopisarza; miał z czego tworzyć obraz, miał czém zadziwiać czytelników. Jednakże nie ufał sobie; złém obrobieniem zepsuć można kruszec najdroższy; wprzód zatem uczyć się trzeba żeby dojść do mistrzostwa, żeby zachwycić i zwrócić uwagę czytających nie na mistrza, lecz na treść utworów. Parę lat przeto poświęcił Dickens badaniu arcydzieł piśmiennictwa zanim odważył się wystąpić publicznie i to jeszcze pod pseudonimem Booza.

Zostawszy współpracownikiem gazety *Evening Chronicle* odznaczył się swemi Szkicami Londynu które później w osobnym wyszły wydaniu z rycinami Cruikshank'a r. 1837. Następnego roku wydał Dickens nowe dzieło w poszytach, były to: *Pickwick papers*; utwór ten, niezmiernie uczynił wrażenie na społeczności londyńskiej. Doświadczał także sił swoich w rodzaju historycznym w powieści Barnaby Rudge, ale wrócił do ulubionej treści, do obrazów życia codziennego w Anglii. Wziętość jaką Dickens u współrodaków zyskał po części tę ma przyczynę iż on jest naprawdę narodowym pisarzem angielskim. Czy na jaw wyprowadza lud, mieszczan lub lordów, czy maluje ubóstwo, przesady lub zwyczaje narodowe w humorystycznych jako też i fantastycznej powieści jak np. *Christmas Carol* (dzwony Bożego Narodzenia) *The cricket of the hearth*. (Świerszcz w kominie) *Człowiek bez cienia* i t. p. zawsze i wszędzie Dickens maluje Anglią i jej mieszkańców.

Najbardziej cenionem dziełem Dickensa jest David Copeperfield. Pisał on także *Uwagi nad Ameryką, Obrazy Włoch* lecz to mniej miało w Anglii powodzenia niż inne prace Dickensa. W 1850 roku Dickens zaczął wydawać *House hold words* pismo którego zadaniem jest: *nauczać bawiąc*; możnaby utwór ten nazwać katechizmem życia domowego. Jako dodatek do wzwyż wymienionego pisma, wychodzi miesięcznie *House hold narrative of cur-rente vent* (opowiadanie potoczne zdarzeń współczesnych) jest to rodzaj przeglądu tegoczesnych dziejów.

Roku 1851 zawiązało się w Londynie towarzystwo wsparcia chorych i zubożałych pisarzy tudzież artystów; Dickens liczy się do najczynniejszych, tego towarzystwa, członków. Wysoki talent dramatyczny objawił się w jego sztukach pisanych na korzyść towarzystwa, daje ono albowiem sceniczne przedstawienia po celniejszych miastach Anglii, powiadają że Dickens należy do tych przedstawień nietylko jako autor lecz jako doskonały aktor.

Niez mordowany w swym zawodzie, niezależał nawet pola w pracach dla dzieci. Dzieje Anglii ułożone dla młodego wieku są najnowszym dziełem Dickensa. W pełni sił i talentu, stanął szczęśliwie u szczytu gdzie niewielu wybranych stawa; znalazł w narodzie chlubną prac swych zachętę i nagrodę, w talencie swym źródło dostatków, dzieła jego rozrywane od rodaków i cudzoziemców gdyż dla wszystkich zarówno ponętne, pięknnością stylu i prawdami wysokiej moralności, sycą jeszcze cudzoziemca urokiem opisów, zupełnie nam nieznanego społeczeństwa, w odrębnych urządzonych formach, a takim dla ludów Europy jest ta dwudziestomilionowa rodzina, która pod imieniem Anglików i Szkotów, zaległa Wielką Bretonów wyspę.

J. Janiszewska.

## PODANIA LUDU NASZEGO.

(Dokończenie.)

### III.

#### KAMIENIE DJABELSKIE.

W niektórych miejscowościach naszego kraju, napotykać czasami można kamienie olbrzymiej wielko-

ści, leżące po wsiach albo w polu, nie mające nic wspólnego z naturą otaczającego je gruntu. O tych granitowych świadkach, przedwiekowych wstrząśnięć ziemi, krążą różne historye mniej więcej bardzo do siebie zbliżone, wszystkie jednak widocznie, wzięły



życie w początkach panowania Stanisława Augusta kiedy garstka ludzi świątłych idąc śladem Konarskiego, szerzeniem oświaty, pragnęła naród powołać do nowego życia, i skrzepić w nim zamierającego ducha. Treścią bowiem tych podań, główną myślą im przewodniczącą, są zawsze burdy, pijatyki, moralny upadek narodu, lub prześladowania innowierców, które gangrenując go prawie już od Zygmunta III, zaledwie pod Stanisławem Augustem, dozwoliły niewielkiej liczbie z pomiędzy ogólnego zepsucia, powstać olbrzymami ducha, aby powiedzieć całemu narodowi: *popraw się bo błędzisz*. Pragnąc więc w ziomkach swoich obudzić wstręt, szczególnie do prześladowań religijnych głównej przyczyny naszego upadku, i do pijackich bachandryi, resztę życia trawiących w narodzie, przy tłumaczeniu zjawiska tak dziwnej wielkości kamieni, musieli stosownie, do ożywiających ich głównie myśli, opowiadać historyjki, które pomалу strojąc się w sukienki fantazyi opowiadających, stały się wreszcie cudownemi bajkami z głównie działającymi djablami, na pierwsze zapianie koguta zmykającymi do piekielnych otchłani w połowie rozpoczętego dzieła. Dlatego też podania o kamieniach djabelskich głównie krążą między wykształceńszą częścią narodu, dla ludu są one obce, więc widocznie nie z niego wzięły początek, ale niejako z góry narzucone zostały. Nie wszystkim jednak rozumna myśl dała życia, niektóre bowiem wyniańczył fanatyzm religijny w chęci usprawiedliwienia niepolitycznego kroku Jana Kazimierza, gdy na sejmie w r. 1658 wywołał z kraju Arjanów albo Socjanów, skutkiem czego wielu protestanckiej szlachty dobrowolnie przeniosło się do obczyzny, lub powiększyło liczbę stronników, nieprzyjacioł kraju.

Znajdując się raz o trzy mile za Siedlcami na trakcie do Międzyrzecza we wsi Wólka Kamienowa, przy jednym z podobnych olbrzymów kamiennych w pośród uprawnego pola leżącego, pan Wawrzeniec, jak to mówią szlachcic stariej daty, idąc śladem rozpoczętej gawędy, zabrał głos i tak nam powiedział.

— „Kamień ten, co wygodnie stolik ze czterema graczami pomieściłby na swoim grzbiecie, tak samo ręką djabelską przyniesiony tu został, jak i inne podobne dosyć licznie rozsypane po całym kraju. Mospanku! cóż to za smutne były czasy, kiedy djabłom wolno było bezkarnie wyprawiać takie harce?”

Gdybym to ja żył pod tę porę, Matko Boża! jakbym się zawinał, to-by tylko pryskało, co by tak djabli uciekali..... ale prawda, i dziś ich nie bra-

kuje, a jednak..... ale dajmy mospanku! temu pokój.

W Sandomierskiem we wsi zwanój Borek niedaleko miasteczka Klimontowa, podobnych olbrzymów o połowę jednak przynajmniej mniejszych, znajduje się coś kilkanaście rozsypanych tuż przy samej drodze środkiem wsi idącej. Spytaj się ludzi o ich pochodzenie, to ci odpowiedzą, jedni; że kamienie te nieśli djabli żeby zburzyć kościół Arjanów, w sąsiedniej znajdujący się wiosce; inni znów żeby rozwalić kościół Jezuitów w Koprzywnicy; ale djabli wybrali się cokolwiek za późno, i gdy z północkiem kur zapiał moc ich odstąpiła, kamienie puścili na ziemię, a sami polecili do piekła.

Dziś mospanku oba kościoły w gruzach, a ja przyznaję prawdę obu podaniom, bo całe panowanie Jana Kazimierza, to widocznie wychodziło nie z woli Bożej, ale z mocy djabelskiej.

Póki bowiem Polska rządziła się zasadą tolerancyi religijnej, zostawiając ocenienie subtelnych kwestyi modlitwy, Bogu i własnemu sumieniowi człowieka, dopóty cały naród stanowił jakby jedną rodzinę, silną, potężną, bo wszystkich myśl jedno miała pragnienie, i wszyscy korda do jednej wydobywali sprawy. Z nastaniem fanatycznych praktyk, rozleciała się całość jakby ją kto nożem pokrajał, części pracowały dla siebie, a zamykając się w ciasnych swych kółkach, prywatę wyżej postawiły nad wspólne ogólne dobro. W ówczas to fanatyzm przeznaczył kamienie te jakoby niesione mocą djabelską, na zburzenie kościoła Jezuitów, występującym w sprawie nienawistnej piekielnym otchłaniom: strona zaś uciśniona na zdruzgotanie kościoła innowierców, niby w celu dopełnienia aktu prześladowania, któremu nawet piekło przyklaskiwało.

Do kamienia tego przy którym stojemy, prawdziwego olbrzyma, bo blisko dwa razy większego od znajdującego się w ogrodzie botanicznym w Warszawie, przywiązane podanie widocznie pochodzi z czasów Saskich, a mianowicie za Augusta III, kiedy mówiono: *za króla Sasę, jedz pij i popuszczaj pasa*, kiedy chwalono się że Polska jest jak karczma zajezdna, do której każdy kto chce może zajechać, nakrzyczyć, nachałać, zabrać co mu się podoba, i bez obawy ruszać w świat dalej, kiedy wreszcie utrzymywano z najlepszą wiarą, że Polska nierządem stoi.

W owym to czasie powiada podanie. Polska szumiała złotem i ochotą. Kielich brzęczał, lecz lud jęczał, a wszystkie dwory szlacheckie brzmiały kapelą i piosnkami, sprawę publiczną zostawiając do lepszych



czasów. Dusze więc szlachty nierzadko wprost od kielicha, szły na kontyngens djabelski, który z dniem każdym tak się powiększał, że aż piekło zadrżało z obawy, iż pomału wybrawszy wszystkich, może zupełnie stracić źródło tak dobrze procentujące. Jednego więc dnia sam Belzebub wypasiony już dobrze na polskich duszach, przywołał Lucypera, i sapiąc krzywiąc się z niestrawności bo dniem wprzód sto kobiet dostawiono mu na raz jeden po obiedzie na wety, rzekł do niego z niechęcią:

— „Słuchaj błaznie, nie jestem z ciebie kontent.....”

Przy tych słowach kopnął go silnie, a całe piekło zaśmiało się szyderczo, i każdy djabeł zatopił w nim szpony oblizując je potem z chciwością. Lucyper jęknął i ziemia się zatrzęsała, a Belzebub mówił dalej:

— „W Polsce rządzisz się jak bankrut, i karmisz mnie nie procentem ale kapitałem, ja tego nie lubię, bo dochodu stałego nie chcę i nie mogę sobie uszczuplać. Ruszaj więc na ziemię i urządz pewną kolej, pewien porządek, coś jak w gospodarstwie płodozmian, żeby się i kapitał wzmacniał, i dochód powiększał. Rozumiesz?”

Lucyper chciał coś odpowiedzieć bo się nachylił aż do ziemi i tak spłaszczyl jak opłatek, ale Belzebub powtórnie krzyknął:

— „Ruszaj błaznie!”

I tak kopnął w mordę djabelską, że Lucyper wyleciał w górę jak kamień z procy, i fruczac warczac niby tysiąc młynów wodnych i tyleż kuźnic i hamerów, spadł na ziemię z tak opuchniętą twarzą, że przejrzawszy się w strumieniu sam siebie niepoznał, i siadłszy na trawie gorzką zapłakał.

Wówczas to z sąsiedniej wioski pastucha, litując się płaczu djabelskiego, choć go poznał po ogonie i pazurach do jakich ptaszków należy, jednak przybliżył się zapytując z dobrocią, z jakiej przyczyny tak wielkiej oddaje się boleści?”

— „A! mój człowieku, jakże nie mam płakać, od-

rzekł djabeł zanosząc się od płaczu, kiedy wasza szlachta tak hula i pije, że za jakie lat dziesięć wszystka pójdzie żywcem do piekła, i memu ciemnemu panu później już nie dusze szlacheckie ale chłopskie chyba dostarczać będą na kuchnię. Mój zaś pan to smakosz, i wie że dusza szlachecka umyślnie się tuczy na piekielną ucztę, wy zaś dostajecie się tylko przypadkiem, albo przez niewiadomość, smaku więc w was nie wiele.”

— „Tobie płacz, a nam radość” — odrzekł na to pastucha żegnając się cichaczem — „ale co ta ich żałować, jak pościelą tak się wyspią — albo to im tu na ziemi co brakuje? — pola plonują, zboże w dubelt płaci, robocizny chłopskiej co ino zapragną, wina i miodu po uszy, mięsa i różnych różności do nieprzejedzenia, to i o czemże mają myśleć jak nie o zbytkach? Oj! żeby w Wiśle wody zabrakło, to by się szlachta bjała kręciła, bo by nie mogła galarami zboża posyłać do Gdańska, ale tak jak dziś, co całe lato Wisła ino się roi tratwami i galarami, a szumi nikiel las śpiewaniem orylskim, to co jej może brakować ino chyba ptasiego mleka i zmiłowania Bożego.....”

Na ostatnie słowa Lucyper skrzywił się skoczył radośnie jak najwyższa góra na świecie i rzekł:

— „Wiem co zrobię, wstrzymam wodę w Wiśle, a naprzód niedopuszczę do niej ani kropli z Bugu, Narwi i innych rzek. — Salachta więc nie mogąc spławiać zboża z ubożeje, przestanie się chultaić, a zabierze szczerze do pracy. — Ocaleje więc, a ja przy niej na nowo odzyskam utracone łaski.”

To rzekłszy spuścił się nad Karpaty, urwał każdej górze po kawałku, i lecąc tak powietrzem, około północy posłuszny rozkazowi piejącego koguta, niedoleciawszy do Bugu któremu najprzód chciał zatamować koryto, wypuścił ze szponów trzymany kamień.

Co się z djabelem stało niewiadomo, ale zdaje się że Belzebub jako złego niezręcznego sługę musiał zapewne ze służby oddalić.

*J. K. Gregorowicz.*



## KABYLIA.

Algier da się podzielić na dwie różne części: na okolice góryste, zajmujące połowę jego przestrzeni, i na płaszczyzny i doliny. Na płaszczyznach i w dolinach rozsiedli się Arabowie: wszystkie zaś prawie góry Algieru, jako to: Trara na zachodzie, Warseni i Dara w środku, Ores i Babor na wschodzie, wreszcie Dżebel-Amur na południu—zaludnione są od pokoleń Kabylów. Można-by więc górą tym dać nazwisko Kabylji; ale zwyczaj chciał inaczej.

Pospolicie pod imieniem Kabylji rozumie się Kabylia Żurżura, to jest, okolica górysta zawarta między Delli i Buży od północy a Setif i Omal od południa. Jeżeli jęj wyłącznie dano nazwę Kabylji, to jedynie z tęg pobudki, że pokolenia Kabylów najgromadniej się tu rozgnieździły i nadewszystko zasłnyęły z waleczności w boju i z przywiązania do swobody i niepodległości.

Kabyłowie są właściwie Berberyjczycy, stanowiący plemie pierwotne i rodzime. Przed wtargnięciem Arabów, Berberyjczycy mieli w Afryce północnej potęgne królestwa, i stosownie do skłonności lub upodobania, mieszkali po wsiach albo w miastach. Zwyciężeni od Arabów i wyparci z miast i płaszczyzn, szukali ocalenia swęj niepodległości w górach, gdzie niegdyś ich ojcowie znaleźli schronienie przed jarzmem Rzymian. Żyzne i uprawne łany stały się własnością Arabów, a Berberyjczykom dostały się w udziale okolice dzikie, góry strome i niedostępne. Arabowie sąsiadując z tą ludnością nieuskromioną a różnego od siebie pochodzenia, zwali ją ogólnym wyrazem *kbail* (pokolenia), dla wyróżnienia jęj od pokoleń arabskich, noszących imię swojego prawodawcy religijnego. Ten źródłosłów wyrazu *kbail*, z którego powstał późniejszy *kabyl*, zdaje się najprawdopodobniejszy, albowiem jest zupełnie zgodny z prawidłami języka arabskiego.

Kabylia Żurżury ma powierzchni ośm tysięcy wiorst kwadratowych a do trzech kroć ośmiu set tysięcy dusz ludności, to jest: w przecięciu, czterdziestu sześciu mieszkańców na jedną wiorstę kwadratową. Nie trzeba jednak sądzić, że ludność Kabylji, jest wszę-

dzie w jednakowym stosunku rozrzucona: wyżyny gór, w wielu miejscach pokryte śniegiem odwiecznym, nie mogą być i nie są wcale zamieszkane. Cała ludność zsiadła się u stóp gór i w dolinach, w jęj skupienie w tych punktach jest równie gęste jak w najludniejszych krajach europejskich.

Kabylia ma wiele podobieństwa do Szwajcaryi, i to nie tylko dla swego położenia górystego ale i pod względem ustaw politycznych. Ogół jęj mieszkańców stanowi pewnego rodzaju federacyą pokoleń, które się same rządzą wedle zasad uświęconych przez podania i zwyczaje. Tak więc znamięm charakterystycznym konstytucyi kabyłskiej jest niezawisłość bezwarunkowa jednych pokoleń względem drugich: każde pokolenie stanowi państwo osobne.

Spólność interesów, stosunki handlowe i potrzeba zabezpieczenia się wzajemnego od przemocy potężnych sąsiadów sprawiają, że pojedyncze pokolenia ustępują nieco ze swęj niepodległości na korzyść związku, któren tu nazywają *soff*, co znaczy, *szereg*, *rząd*. Na znak zaprzysiężonej przyjaźni i obowiązków wzajemnych, dają sobie strzelbę lub pikę: jeżeli zaś pokolenie które rzecz tę otrzymało, odsęła ją na powrót pokoleniu, które mu ją dało, ma to oznaczać, że każde powraca do dawnęj niezawisłości i uwalnia się od zobowiązań wzajemnie zaciągniętych.

Związki te, powstałe z interesu przechodniego, łatwo się zrywają skoro interes ustanie. lub inny na jego miejsce się zjawi. Wszystkie atoli kłótnie, nienawiście i walki między pokoleniami lub *soffami* znikają, gdy całej krainie grozi wtargnięciem nieprzyjaciel wewnętrznym. Kabyłowie wtedy przypominają sobie jedność swego pochodzenia berberyjskiego i wspólny obowiązek stawienia oporu przeciw obcęg przemocy: cała Kabylia staje pod bronią jak jeden człowiek. I tęg to solidarności ustalonej między pokoleniami, celem zabezpieczenia niepodległości ogółu, zawdzięcza Kabylia, że przez cały przeciąg panowania Turków w Afryce północnej, wolność swoją nienaruszoną zachowała, że ją zachowuje do naszych



czasów, mimo usiłowań zaborczych Abdel-Kadera i rządu francuzkiego.

W Kabylii, każde pokolenie stosownie do ważności swjej siedziby lub ilości mieszkańców, dzieli się na pewną liczbę działów czyli powiatów, a te znowu rozpadają się na gminy.

Miłość niepodległości jest panującym charakterem plemienia Kabyłów: kształt ich rządu jest też gminowładny w całym znaczeniu tego słowa. Każda władza, wyższa czy niższa, jest wybieralną; wybory odbywają się przez głosowanie powszechne. Wszyscy Kabyłowie zdolni do broni biorą udział w wyborach. Gmina mianuje swego naczelnika, który raczej jest dozorcą policyi nie zaś zwierzchnikiem. Tacy naczelnicy gmin bywają zmieniani corocznie, niekiedy i częściej; czasami znowu zostają przez dłuższy czas na urzędowaniu.

Zgromadzenie naczelników gmin stanowi Radę pokolenia. Do niej należy roztrząsać interesa ogółu, wydawać rozporządzenia i wybierać z pośród swoich członków prezydenta, czyli Naczelnika pokolenia w sprawach politycznych i wojennych: wybór Rady pozyskać musi potwierdzenie przez głosowanie wszystkich Kabyłów pokolenia, którzy na ten cel zgromadzają się na miejscu wskazanym przez naczelników gmin.

Atoli nie dość było i tej ostrożności dla podejrzliwego charakteru Kabyłów. Zdarzyłyby się mogło, że jedna i ta sama gmina dostarczałaby naczelnika pokolenia w przeciągu kilku z rzędu lat, jeśliby naczelnicy gmin wybierali też samą osobę. Skutkiem tego wzmogłaby się potęga głowy najwyższej, urosłyby przywileje jednych powiatów z uszczerbkiem drugich, a następnie znikłaby równość między gminami. Dla zapobieżenia temu złemu, postanowiono jest u Kabyłów, iżby kolejno z każdej gminy wybierano naczelnika pokolenia.

Wybory przypadają w końcu lata, po żniwach. Naczelnicy gmin wskazują miejsce, gdzie ma lud się zgromadzić: zwykle bywa to albo meczet, iżby wybory odbywały się pod opieką Bożą, albo cmentarz, iżby pamięć na przodków obudzała natchnienie w żyjących. W dniu naznaczonym, zgromadzeni Kabyłowie przystępują do wyborów. Marabuci (kapłani) zabierają głos i w poważnej mowie zachwalają przymioty kandydata, którego uznają za najzdolniejszego na naczelnika gminy. Zwykle Kabyłowie nie opierają się wymowie marabutów i potwierdzają wybór.

Gdy sprawa obchodzi nie już jedno pokolenie ale związek kilku pokoleń (*soffu*), wszyscy członkowie

*soffu* zwołani są na zgromadzenie. Uwiadomienia obwieszczają się na targowiskach. A gdy dzień naznaczony nastąpi, wszyscy, choćby z okolic najodleglejszych, zebrani są na miejscu narady. Stawają w porządku wedle pokoleń; następnie naczelnicy gmin, każdy swjej gromadzie, wykładają powód zebrania i wzywają lud do objawienia swjej woli. Wszyscy, bez względu na stan i majątek, mają głos i słuchani są z uwagą. Skoro zdania wszystkich zostaną zebrane, maramuci łączą się w komitet, i objawiają przez woźnego postanowienie zgromadzenia. Jeśli nikt przeciw niemu się nie oświadczy, obecni wezwani są klaskać w dłonie na dowód przystania i zgody, po czem strzelają w powietrze na znak, że rzecz już jest uchwalona. Taka jest prostota rządu w Kabylii. W żadnej krainie na kuli ziemskiej lud nie miesza się tak bezpośrednio w sprawy krajowe. W Kabylii nie ma nawet cienia zarządu centralnego, ani przekazywania władzy ludu na osoby pojedyncze, prócz chyba w rzeczach tyczących się policyi i poboru kar pieniężnych. Wynika to z dumy Kabyła, z jego popędu wrodzonego do równości, a może też i z nieufności podejrzliwej względem ludzi władzę piastujących.

Najważniejszą czynnością naczelnika gminy jest zarząd grosza publicznego: główne źródło dochodów stanowią podatki i kary pieniężne.

Arab składa podatek swojemu władcy i panu, jakoby haracz i oznakę poddaństwa: Kabyłowie, rządzący się gminowładnie, znoszą swój podatek do meczetów—Bogu na ofiarę, gdyż zbyt są dumni aby go mieli ludziom wypłacać.

Kabyłowie nie rządzą się prawem pisanem: zwyczaj, przechowane w podaniach, mają u nich moc obowiązującą. Kiedy Koran nakazuje karę odwetu: rękę za rękę, ząb za ząb, oko za oko; podania Kabyłów uświęciły zwyczaj opłacania się pieniędzmi za przekroczenia i występki. Największe kary pieniężne płacą się za kradzież i za najście domu w czasie nieobecności gospodarza. Za zabójstwo nie ma wyznaczonej kary w prawie zwyczajowem: zemsta zostawiona jest staraniom krewnych zabitego i zwykle, prędzej czy później, niechybnie dosięga zabójcę. Syn zabitego, jeśli jest w wieku sposobnym do władania orężem, nie może pokazać się na zgromadzeniu pokolenia, dopóki ręk nie zboczy we krwi zabójcy swego ojca. Jeżeli jest jeszcze dziecięciem, pierwsze słowo, które wymawiać nauczy go matka, jest nazwisko mordercy, aby wiedział kogo ma zabić pierwszego, gdy dorosnie. W razie gdy wdowa ma tylko córkę, ogłasza publicznie, że nie żąda za nią posagu, że wyda ją



darmo za tego, który zabije mordercę jej męża. Uderzające w tym jest podobieństwo z obyczajami Korsykanów, co wydatniej jeszcze okaże rys następujący. Przypuściwszy, że winowajca uniknął zemsty, *vendetta* spada na jego brata lub krewnych najbliższych. Ztąd gwałty wzajemne i nienawiść dziedziczna między rodzinami. Sąsiedzi, przyjaciele, uważają ich sprawę za swoją, tworzą się stronnictwa i toczą boje krwawe i zacięte.

Spółczeństwo Kabyłskie nie mające ani jedności w rządzie, ani zespolenia w massach, ani hierarchii społecznej, ani władzy przewidującej—utrzymuje się w tym stanie od wieków.

Z wysokości gór spoglądali Kabyłowie na wtargnięcia zaborców do równin sąsiednich, a sami oparli się przemocy. Musi więc być jakiś węzeł łączący pokolenia, musi być jakaś powaga moralna, której wpływ mocen jest panować nad duchem niepodległości tych plemion nieukróconych i jednoczyć interesa najsprzeczniejsze. Węzeł taki stanowią marabuci: oni to powagą swoją wywierają na umysłach ludu wpływ dzielny i przeważny. Zbyt rostopni, iżby mieli przywłaszczać władzę sobie samym—coby niewątpliwie obudziło nieufność i podejrzenie w Kabyłach—marabuci osłaniają swój wpływ instytucją religijną zwaną *zauja*, i z jej pomocą panują, choć nie rządzą. *Zauja* jako zakład publiczny, jest zarazem szkołą duchową wyższą i domem zajezdny bezpłatny, w czym ma uderzające podobieństwo do klasztorów średniowiecznych: jako zaś instytucja polityczna, jest ona ogniskiem, z którego marabuci rozciągają na całą Kabylię swój wpływ i władzę moralną.

Każda *zauja* składa się z meczetu, z kaplicy wzniesionej na grobie świętego jakiego marabuta, z lokalu przeznaczonego na szkołę, na mieszkanie uczniów i uczonych (piśmiennych) i innego, w którym znajdują przytułek podróżni i żebracy. Bogaty czy ubogi, swój czy obcy, skoro stanie przed wrotami *zauji*, bezwzględnie zostaje przyjęty i przez trzy dni podejmowany i karmiony. Nie było jeszcze przykładu, aby kogo nie przyjęto. Skutkiem tej wielkiej gościnności domów Bożych, nie znają w Kabylii, co to jest włoczęgostwo lub męczarnia głodu. Ludzie biedni, ogołoceni z mienia, pędzą życie na pielgrzymowaniu od jednej *zauji* do drugiej: ich wdzięczność jest pierwszą dzwignią wpływu duchowieństwa na ogół. Nauczanie jest drugą nie mniej potężną. Rodzice przysyłają tu dzieci dla ukształcenia wyższego w naukach. W *zaujach* prócz czytania i pisania uczą: 1) tekstu Koranu na pamięć i stosownej deklamacji czy śpiewu; 2)

grammatyki arabskiej; 3) teologii; 4) prawa; 5) rozmów proroka, to jest, podań o czynnościach jego i mowach ważniejszych; 6) objaśnień Koranu czyli wykładu tekstu; 7) arytmetyki, geometrii i astronomii i 8) sztuki wierszowania.

W *zaujach*, których w Kabylii jest znaczna liczba, zwykle bywa do trzystu uczniów i uczonych oraz tyłuż podróżnych. Łatwo z tego osądzić, jak wielki wywiera wpływ marabut, naczelnik *zauji*. Dla biednych jest dobroczynną ręką Opatrzności, dla uczniów—nauczycielem, dla uczonych, wychowanych w *zauji*—mistrzem i ojcem duchownym, co dla wszystkich—naczelnikiem cudownej świątyni, dokąd zbiegają się z daleka Kabyłowie, aby za pośrednictwem świętych marabutów, uprosić sobie u Boga nowe łaski lub wsparcie w niedoli. Matka której mra dziatki, błaga tu niebios o zachowanie pozostałych. Żona niepłodna przychodzi w towarzystwie ojca lub męża prosić o potomstwo. W czasie posuchy i nieurodzajów, mieszkańcy ciągną w uroczystej processyi do *zauji*, prosząc Boga o deszcz i błogosławieństwo dla roli.

Dodajmy do tego urok świętości, otaczający marabuta, a będziemy mieli dokładne wyobrażenie o ogromnym wpływie, jaki wywiera na ten lud przesądny. Kabyłowie żyją jeszcze w średnich wiekach dziejów naszych: co ongi działo się w Europie, to u nich obecnie napotykamy. Dawniej nasze zakony religijne pobierały pewnego rodzaju dziesięciny, które obrały nie tyle na własne utrzymanie ile na wsparcie biednych, na niesienie ulgi nieszczęśliwym i na krzewienie światła i nauki: podobnież i dla tychże samych pobudek, *zauje* pobierają dziesięciny od mieszkańców okolicznych, od wspaniałomyślnych i szczodrych dobrodziejów, którzy hojnemi dary dla *zauji*, pragną ściągnąć na się łaskę i błogosławieństwo niebios. Część podatków składanych w meczetach, idzie także na utrzymanie *zauji*. Wielu Kabyłów uważa sobie za zaszczyt największy czynić dla niej dobrodziejstwa: znoszą oliwę, miód, rozenki, kury, barany, kozy a niekiedy i pieniądze. W razie potrzeby, marabut odwołuje się do pobożności wiernych i pobiera od wszystkich daninę dobrowolną.

Z tego podobieństwa *zauji* do naszych zakonów religijnych średniowiecznych—czy nie dał-by się wyprowadzić wniosek, że instytucje religijne w Kabylii są śladem pozostałym po zakonach chrześcijańskich Afryki północnej? Na poparcie tego domniemania przytaczamy następujące dwa fakty. Kiedy wszyscy mużulmanie ściśle trzymają się Koranu, jako kodeksu



zupełnego, powszechnego i obejmującego wszystkie przepisy życia tak publicznego jak prywatnego, Kabyłowic lubo także wyznają islamizm, rządzą się przecież ustawami, jakie im przekazały podania przodków, sięgające, jak utrzymują, czasów poprzedzających zjawienie się wiary mahometańskiej. W wielu też punktach ustawy ich są sprzeczne z postanowieniami Koranu, co większa, noszą nazwisko zdradzające ich pochodzenie chrześcijańskie, zowią się bowiem *kanun* (z greckiego *kanon*, przepis). Widać więc, że lud kabyłski znał poprzednio chrześcijaństwo, kiedy nowa religia przystać doń nie mogła. W epoce upadku cesarstwa Rzymskiego, gdy kłótnie teologiczne rozdzierały kościół Afrykański, lud ten przyjął narzucony sobie Koran, ale się duchem z nim nie zespolił; z wierzchu się nim pokrył jak burnusem, a w gruncie zachował kształt społeczny dawniejszy. Dajemy jeden jeszcze przykład. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, wielu pustelników i ascetów osiadło w puszczech Tebajdy. Ojcowie pierwsiastkowego kościoła zostawili nam opisy ich zachwyków mistycznych, ich wstrzemięźliwości niesłychanej i bezwarunkowego odosobnienia, w którym żyli świątobliwi ci samotnicy. Otóż, ślady podobnego życia ascetycznego napotykamy w Kabylii. W kraju Beni-Raten, słynny marabut Szeik-el-Mady w następujący sposób zwolenników swoich doprowadza do stanu świętości. Zamykają każdego osobno w jaskini lub celce tak szczupłej, że kandydat do świątobliwości zaledwie w niej pomieścić się może. Następnie w przeciągu dni czterdziestu odejmują mu stopniowo pokarmu tak, że w końcu na cały dzień dają mu tylko jedną figę suszoną lub strączek chleba świętojańskiego. W miarę jak adeptom ubywa żywiołu życia materialnego, wzmaga się w nich potęga duchowa: nabywają wzroku duszy i miewają widzenia niebieskie. W końcu zawieszuje się stosunek mistyczny między nimi i marabutem; mistrz i adepci mają jednakowe sny i widzenia. Wtedy Szeik-el-Mady daje im burnus i inną rzecz jaką na znak, że ich próba ukończona, i wysła ich na świat na pomnażanie liczby zwolenników świątobliwości. Jest nawet z pięćdziesiąt zakładów, do tego celu służących. Wszystkie tam ćwiczenia i praktyki polegają na ascetyzmie najsurowszym. Stosunki z kobietami, palenie tytoniu i używanie jakichbądź roskoszy—najściślej jest wzbronione. Adepci cały czas trawią na modlitwie i rozmyślaniu. Duch tej instytucji religijnej prawdopodobnie przejęty jest z Egiptu, to jest, z tych właśnie miejsc, które wslawili pierwsi pustelnicy chrześcijańscy.

Marabyci, jak widzimy, stanowią w Kabylii pewnego rodzaju arystokrację teokratyczną. Wprawdzie Kabyłowic się mahometanami i równie jak Arabowie wyznają, że nie ma Boga jedno Bóg i Mahomet jego prorok; wszelako gotowi jesteśmy utrzymywać, że istotnym Bogiem Kabyła jest—marabut. Napadnięty od Kabyłów, daremnie błagać będzie o litość i imię Boskie; ale niech wymieni nazwisko jakiego szanownego marabuta—puszczą go bez krzywdy. I kto się zdziwi, że marabuci mają taką władzę nad umysłami Kabyłów? Kto się zdziwi, że na ich głos potężny zwaśnione pokolenia zaniechają zemsty i nienawiści i wszyscy co do jednego porywają za broń, gdy marabuci zawezwą do walki przeciw zewnętrznemu wrogowi?

Duma jest wydatnym znamieniem charakteru Kabyła: pokolenia są między sobą równe, on też jest równy każdemu ze swych braci. Myśl tę w kilku słowach wyraził jeden góral, mówiąc do naczelnika gminy, który chciał nadużyć swój władzy: *Enta szeik, ana szeik* (dosłownie: tyś naczelnik, jam naczelnik). I pod tym względem i pod wielu innymi, wielka zachodzi różnica między charakterem Araba i Kabyła. Przypatrzmy się jój bliżej.

Arab od wieków przywykły do uległości, jest narzemiany to próżny i zuchwały, to pokorny i płaszcący się: Kabył zawsze jest tylko—dumny.

Arab całuje w rękę i w głowę swego przełożonego, i obsypuje go mnóstwem pochlebnych grzeczności, zdając się nie zważać, czy mu odpowiają lub nie na jego służbistość. Kabył nie prawi grzeczności. Jeżeli pocałuje w rękę i w głowę naczelnika lub starca, ten zaraz odpowiada mu takąż samą grzecznością.

Arab mieszka pod namiotem i prowadzi życie koczujące. Kabył ma dom, ogród i grunta. Dom stawia z kamienia lub cegły; dach osłania słomą lub tarciami z drzewa korkowego, bogatsi pokrywają dachówką. Chata Kabyła z dwóch części się składa: jedną zajmują gospodarz z żoną i dziećmi, drugą przeznaczają na oborę dla bydła i stajnię dla koni. Jeżeli syn się żeni i ma mieszkać u rodziców, przybudują mu stancję na górze.

Arab ma wstręt do pracy. Wytrzymały na trudy długiej podróży, jest zresztą leniwy, pieszczoch i przez dziewięć miesięcy przemyśliwa jedynie o sprawieniu sobie przyjemności. Byle nie był zmuszony pracować, nie lęka się nędzy. Przeciwnie Kabył pracuje usilnie i w każdej porze roku: lenistwo w jego przekonaniu jest hańbiące.



Arab leni się do rzemiosł i przemysłu: cała jego praca domowa ogranicza się na zrobieniu kilku siodeł, uprząży i wędzideł. Kabyl jest przemysłowcem z charakteru. Wyrabia zbroje, strzelby, sławne pałasze, noże, motyki i lemieszce do pługa. Kobiety tkają burnusy, oponcze i inne odzienia. Kabyl sam przygotowuje proch, który choć nie jest tak mocny, równy i gładki jak proch francuzki, przecież nie smoli ręki i ma wszystkie przymioty dobrego prochu strzeleckiego. Kabyl wyprawia i garbuje skóry, szyje trzewiki, wyrabia mydło z oliwy i plecie rogoże z palmy karłowatej.

Arab, leniwy ciałem, jest także ociężały na duszy. Kabyl żywy, łagodny, prędko zapala się gniewem. Niekiedy zapalczywości jego nie ma granic; podajemy jeden przykład. Pewien z pokolenia Beni-Yala, spotkawszy na targu Kabyla, który mu był winien jednego *barra* (trzy grosze), prosi o zwrócenie pieniędzy.

— Nie oddam ci twego *barra*, odpowiedział dłużnik.

— Czemu?

— Nie wiem.

— Jeżeli teraz nie masz pieniędzy, to jeszcze poczekał.

— Mam pieniądze.

— A więc?

— A więc przyszło mi do głowy nie zapłacić ci wcale.

Wierzyciel usłyszawszy te słowa, rzuca się na dłużnika i powala go o ziemię. Widzowie i sąsiedzi biorą udział w sprzeczce, tworzą się stronnictwa, rzucają się do broni i bójka rozpoczyna się na piękne. Dopiero po sześciogodzinnej potyczce zdołano rozbroić walczących, ale już czterdziestu pięciu ludzi leżało zabitych—o trzy grosze!

Arab jest kłamcą: Kabyl uważa kłamstwo za rzecz sromotną. Arab na wojnie najczęściej poczyna sobie podstępnie i zdradziecko. Kabyl zawsze przestrzega nieprzyjaciela.

Arab jest gościnnie, ale w przyjęciu jego widocznie się przebija chęć popisania się z wystawą i hojnością. Gościnność Kabylów jest mniej okazała a bardziej serdeczna. Każdy, swój czy obcy, dozna u nich dobrego przyjęcia. Największe względy okazują nieszczęśliwym, zwłaszcza zbiegom, i za nic w świecie nie zgodziliby się na ich wydanie. Wszystkie w tym względzie usiłowania Turków a później Abd-el-Kadera, były zawsze bezskuteczne.

Przytoczymy piękny zwyczaj u Kabylów, płynący także ze szlchetnego uczucia gościnności. W czasie dojrzewania owoców, fig i winogron, naczelnicy ogłaszają, że w przeciągu dni piętnastu lub dwudziestu, nikomu pod karą pieniężną nie jest wolno zbierać owoców. Gdy czas naznaczony upłynie, właściciele zbierają się w meczetach i przysięgają na księgi święte, że zakazu nie przestąpią. Kto nie przysięga, płaci karę pieniężną. Po czém obliczają wszystkich biednych w pokoleniu, i każdy właściciel z kolei ich żywi, dopóki pora zbierania owoców nie przeminie. To samo się dzieje podczas zbierania bobu, które powszechnie w Kabyli uprawiają. Wtedy każdy obcy może jeść na polu ile zechce, byle z sobą nie brał.

Arabowie okradają bez wyboru przyjaciół i nieprzyjaciół, jak się przytrafi. Kabyl kradnie tylko u swego nieprzyjaciela, i to jest czyn chwalebny; w przeciwnym razie kradzież hańbi.

W karze cielesnej Arab lęka się tylko bólu; woli dostać dwadzieścia pięć kijów, niż zapłacić kary dwa duros (17 złotych). W przekonaniu zaś Kabyla, kara cielesna jest niewolniczą i zniesławiającą. Żaden naczelnik gminy nie śmiałby go na nią skazać. Góral woli zapłacić dwadzieścia duros, niż poddać się najłżejszej karze cielesnej.

Porównajmy teraz zwyczaje dwóch tych plemion, a i tu znajdziemy nie mniejszą różnicę.

Arab żeniąc się, najczęściej nie zna jeszcze swojej przyszłej. Jeśli ją zobaczył, to przypadkiem, ukradkowo, najczęściej z jej pomocą. U Kabylów chcący się żenić, wysyła przyjaciela do rodziców dziewczyny z prośbą o jej rękę. Umawiają się, ile pan młody ma dla niej zapłacić posagu: zwykła cena jest sto duros (z górą 800 złp.). Jeżeli proszący o rękę na raz nie może całej summy wypłacić, dają mu zwłoki dwa miesiące. Tymczasem może bywać w domu rodziców swjej narzeczonej. Gdy posag wypłaci, zabiera ją z sobą i oprowadza po wsi przy odgłosie muzyki i śpiewów: kobiety i dzieci otaczają ich tłumnie, napełniając powietrze wesołemi okrzykami. Za przybyciem do domu, pan młody wyprawia ucztę, na którą, wedle możliwości swojej, sprasza albo wszystką młodzież wioski albo tylko bliższych znajomych.

Gdy Arabowi urodzi się dziecko płci męskiej, cieszy się i ucztuje ale tylko w kółku rodzinném. Gdy Kabylowi żona syna powije, sprasza na ucztę całe sąsiedztwo i przyjaciół z okolicy. Wszyscy się radują, bo wszystkim przybył jeden brat więcej, nowy obrońca ojczyzny.



Gdy umrze Arab, tylko krewni i przyjaciele obecni są obrzędowi pogrzebowemu; poczem każdy wraca do zwykłych zatrudnień. Ale u Kabyłów gmina cała zgromadza się na pogrzeb, bo wszyscy ponieśli stratę. Nikt w dniu tym nie pracuje: składają się na przyjęcie gościnne Kabyłów, którzy z odległych wiosek przybyli oddać ostatni hołd zmarłemu.

Bezwarunkowa równość między Kabyłami odbija się także w stosunkach kobiety do mężczyzny. Żona Araba jest raczej jego niewolnicą: nie godzi się jęć z nim razem, a tém mniej z jego gośćmi. Żona Kabyła jęć razem z mężem i uczestniczy w ucztach dawanych dla gości. Arabka nie może się znajdować gdzie są zgromadzeni mężczyźni; przytém zawsze nosi zasłonę. Kabyłka ma twarz odkrytą, chodzi gdzie zechce, śpiewa w obec mężczyzn i rozmawia z nimi. Duma, śmiałość i moc charakteru jest także udziałem Kabyłek. Podczas bitwy one to krzykami pobudzają mężów i braci: gdy zbraknie prochu i kul, one przynoszą. One na polu bitwy opatrują rannych, a jeśli który stchórzy i ucieka, one pierwsze podają go wzgardzie powszechnej, znacząc węglem jego burnus lub białą koszulę wełnianą.

Arabka nie ma nigdy swobody. Wyszedłszy z pod opieki ojca, dostaje się pod dozór męża; w razie rozwodu, znowu powraca pod władzę ojcowską. Jeśli Kabyłka się rozwiedzie, zamieszkuje u krewnych i używa zupełnej swobody.

U Arabów kobiety, zwłaszcza uboższe, są zwykle brudne i niechlujne. Kabyłki kochają się w ochędóstwie. Dwa razy na dzień przemieniają ubranie: z rana umywszy się, odziewają się schludnie; wieczorem stroją się w najozdobniejsze szaty. Ta ich wykuintność i zalotność w strojach nie mało wpłynęła na ustalenie mniemania, jakoby kobiety Kabyłów celowały pięknoscią nad Arabkami: przynajmniej taką mają sławę.

Na dopełnienie tego obrazu porównawczego dwóch plemion, dołączamy opisanie zwyczaju zarówno istniejącego u Kabyłów i u Arabów; chcemy mówić o listach bezpieczeństwa, zwanych u Arabów *aman*, u Kabyłów *anaya*.

*Aman* jest nie tylko listem bezpieczeństwa ale i pewnego rodzaju przebaczeniem. Jeżeli np. Arab ściągnie na się gniew naczelnika i opuści pokolenie, nie będzie napowrót doń przyjęty, dopóki nie otrzyma *aman*. Inny znowu podnosi bunt, wszczyna rozruchy i wreszcie ucieka. Później on i naczelnik pragną się zbliżyć do siebie i dla ułatwienia wzajemnego porozumienia się, chcą się osobiście widzieć i rozmówić.

W takim razie Arab nie inaczej stawia się na miejscu schadzki, jak zaopatrzony w *aman* dany od naczelnika, któremu ma zdać sprawę ze swego postępowania. Tak więc do wyrazu *aman* przywiązane jest znaczenie wyższości i władzy osoby go dającej nad tym, który go otrzymuje.

*Anaya* u Kabyłów jest listem bezpieczeństwa i paszportem; wszelako nie władza, jak u Arabów, lecz każdy Kabył może dać *anaya*. Powaga moralna *anaya*, jest nader wielka; cudzoziemiec ją posiadający nie tylko się nie lęka krzywdy i gwałtu, ale może jeszcze być pewnym, że go nie dosięgnie ani zemsta nieprzyjaciół, ani kara za dawniejsze występki. *Anaya* wyraża się przez jaki znak widzialny. Dający ją wręcza strzelbę swoją lub szablę albo inną rzecz, o której wiedzą w okolicy, że jest jego. Często daje swego sługę za przewodnika, niekiedy téż sam towarzyszy protegowanemu, jeśli mu zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Taka *anaya* tém dalej rozciąga swoją skuteczność, im znakomitszą jest osoba, która ją daje. Jeśli to jest prosty Kabył, szanowaną będzie we wsi i w okolicy. Ale jeśli ją udzielił marabut—można z nią bezpiecznie przejść całą Kabylię. Dość jest wtedy pokazywać ją marabutom innych pokoleń, a każdy z nich najchętniej da swoją *anayę*.

Kabył największą wagę do tego przywiązuje, żeby jego *anaya* pogwałconą nie była: wymaga tego jego duma i godność osobista, a krewni, przyjaciele, gmina i pokolenie całe—uważają za świętą powinność swoją, nie dopuścić jęć pogwałcenia. Chcący pomścić krzywdy osobistej nie zawsze znajdzie pomocnika; ale gdy rzecz chodzi o pomszczenie zgwałconej *anaya*, wszyscy za broń porywają. Podanie przechowało następujący przykład zgwałconej *anaya*.

Przyjaciel jednego Żuawa zgłasza się doń z prośbą, o *anayę*. W nieobecności męża, żona nie wiedząc jak sobie począć, daje zbiegowi sukę domową, znaną w całej okolicy. Podróżny puszcza się w drogę mając z sobą ten zakład bezpieczeństwa. Wkrótce jednak suka zboczona we krwi wraca do domu swęj pani. Żuaw, który właśnie powrócił, zapala się gniewem, zbiera mieszkańców wioski, puszcza się z nimi śladem suki i znajdują na drodze zabitego podróżnego. Wypowiadają wojnę pokoleniu, na którego gruncie zabójstwo dokonane; krew lała się strumieniami, a wioska, w której zgwałcono *anaya*, do dziś dnia zowie się *wioską suki*.

*Anaya* nie tylko jest paszportem i listem bezpieczeństwa, ale ma jeszcze znaczenie ogólniejsze. Do niej przywiązany jest obowiązek opieki mocniejszego



nad słabszym. Człowiek prześladowany, któremu grozi bliskie niebezpieczeństwo, wzywa opieki pierwszego lepszego Kabyla. Ten, choć go zgoła nie zna, rzadko kiedy prośby jego nie wysłucha. Góral dumny z opieki nad słabszym, chętnie w takim razie udziela *anaye*. Kabylka ma także ten przywilej, a czuła i litościwa z przyrodzenia, nigdy nie odmawia swęj opieki. Podanie jako przykład wspomina jedną, w której

oczach bracia pastwią się nad zabójcą jęj męża. Nie-szczęśliwy raniony kilkakrotnie, dobywa sił ostatnich, czołga się ku jęj nogom i woła: „Błagam cię o *anaye*. Wdowa zarzuca nań swoję zasłoneę i — Kabyl ocalony.

Te są głównejsze rysy obrazu społeczeństwa kabylskiego, uważanego pod względem ustaw politycznych, praw, obyczajów i zwyczajów.

*Edw. Sulicki.*

## CZCZEWO,

### I MOST POD NIEM NA WIŚLE.

W pięknej, bogatej Pomorza okolicy, którą słusznie autor opisujący znaczenie Prus dawnych Egiptem naszym nazywa, wśród innych miasteczek i wsi, dziś nie polskie miano noszących, zwraca uwagę naszą miasteczko Tczewo czyli Czczewo, przez Niemców Dirschau przezwane. Położone między Malborgiem a Gdańskiem od którego o cztery mile odległe, Czczewo jest dość zamożném, nie bez handlowego ruchu, murowaném powiatowém miasteczkiem, a przy tém jedném z miejsc liczących wiele historycznych wspomnień. Rzadkiém to bywa zdarzeniem, tak w losach rodzin, jak i miast znakomitych, że odtąd Czczewo ściąga uwagę podróżnych, i że z ubiegłemi wiekami nie straciło zupełnie na ważności swojęj, nie zamieniło się w zwaliska, w lichą miejscinę, na co, gdyby nie poprowadzenie tamtędy kolei żelaznej, zanosilo się przed niedawnemi laty. Nasz stary wieszcz J. U. Niemcewicz, gdy chcąc kraj poznać, podróżował po nim przed kilkadziesiąt laty, opisawszy w Malborgu zamki bogate w sztukę i przepych dawnych rycerzy krzyżowych, wyraziwszy oburzenie swoje na tych ciemiężców co pod pozorem wiary nieśli sąsiadom zniszczenie, tak się dalej wyraża, ubolewając nad zniszczeniem do jakiego przywiedli ci, co niedbali o za- bytki sztuki. „Im bardziej mnie barbarzyńskie zniszczenie i opuszczenie zamku mistrzów krzyżackich w Malborgu oburzyło, tém przyjemniej wyjechawszy za most ujął mnie widok kraju, bujność ziemi i pracowitość mieszkańców. Poniżej Malborza, dzieli się

Wisła na dwa koryta, tu lewy jęj strumień zowie się Nogat i do Elbląga prowadzi. Brzegi jego broni od wylewów i ściska w głębokie koryto potężny usypa- ny wał za czasów jeszcze krzyżackich. Podobne wa- ły ciągną się brzegami Wisły, aż do Gdańska i Frisz- haff. I eż pracy kosztowało usypanie szanćów tak ogromnych; trzeba było kroci jeńców, by je usypać, trzeba niezmordowanej staranności mieszkaćów dzi- siejszych, by je utrzymać.

Od samego Malborga aż do Czczewa, jedzie się bitą tamą, z rowami po obu stronach. Wszędzie obfite pastwiska, gęste, dobrze zabudowane wsie, ze stare- mi gotyckimi kościołami, własność niegdyś dawnych krzyżaków. Najpiękniejsze bydło pasie się trzodami; wszędy żyźność ziemi spiesznie klęski wojny wyna- gradza. Około Malborga aż do Czczewa, lud pospo- lity nie mówi jak po polsku. . . . .

„Czczewo, niegdyś mocno utwierdzone miasto, za- łożone było w roku 1209. Helmerych wielki mistrz, w wojnach z Polakami, zburzył je ze szczętem, w ro- ku 1332 Czesi, posiłkując wojska polskie, spalili to miasto i 10,000 jeńców zabrali. W roku 1727 Gustaw Adolf poraził tu jazdę naszą. Po tylu klęskach, Czcze- wo lichém jest miasteczkiem; murowane jednak, i le- psze niż wiele stolic województw naszych.

Od Czczewa kraj równie piękny i wsie zamożniej- sze, domy z wielkimi wystawami, pruskim murem budowane, wiele także używają surówki. Przez wieś



Rozenberg i inne płynię rzeczka Radunia; tę krzyżacy wodociągiem sprowadzili do miasta Gdańska.

Twierdzą iż Czczewo znaném było w roku 1209, pod nazwiskiem hrabstwa Sau. Jakkolwiek na pograniczu Pomorza prawie już ku Żuławom położone, miasteczko to należało zawsze do książąt Pomorskich. Mestwin książę Pomorski w XIII jeszcze wieku wznosił tu kościół i klasztor Dominikanów. Kościół katedralny zdaje się dawniejszym jest jeszcze, bo nie wiadomo przez kogo i kiedy założonym został. Nieszczęśliwy kraj nasz zawsze ze wszystkich stron napadany, czy to od Tatarów i pogańskiej wówczas Litwy, czy to od chrześcijańskich Szwedów i Krzyżaków, nie posiada żadnego starożytnego grodu, zamku, miasteczka, któreby nie było krwią oblane, wielokroć palone i niszczone. Równy więc z innemi los miało i opisywane Czczewo.

Gdy Jagiełło wiekopomnóm zwycięstwem pod Grünwaldem upokorzył krzyżaków, odebrał na ten czas od Prus należące do Polski miasta a między innemi Czczewo; lecz powodując się usposobieniem narodu naszego, które nigdy nie było zaborcze, odstąpił Jagiełło od Malborka, rozproszył pospolite ruszenie i odpoczywał wraz z wojskiem w Inowrocławiu. Wtém dowiedział się że Plauen nowy mistrz krzyżacki, podżegany przez Niemców, pożyczwszy pieniędzy od Wacława króla czeskiego, gotuje się na wyprawę przeciw niemu. Zgromadził Jagiełło ile było wojska, miał się na pogotowiu, lubo sam pozostał w Inowrocławiu; mężni rycerze a pomiędzy nimi sławny z bohaterstwa i piękności Zawisza Czarny, wystąpili przeciw nieprzyjacielowi. Krzyżacy zapewnieni że rozpuszczenie pospolitego ruszenia i przez to małe siły Polaków nie wytrzymają ich napadu, nadciągnęli pod Koronów—rozpoczęto krwawą i zaciętą walkę, w której Polacy zniszczyli zupełnie jazdę krzyżaków. Około ośmiu tysięcy trupów niemieckich było na placu, zabrano chorągiew krzyżakom, i oprócz pieszo prowadzonych niewolników, dostawiono téż do Inowrocławia królowi sześćdziesiąt wozów.

Podczas téj ostatniej z krzyżakami wojny, Czczewo uległo ciężkiej klęsce, spalone bowiem i zupełnie zniszczone zostało. Ponieważ mistrz rozpoczął tę wojnę za pomocą Wacława króla czeskiego, mnóstwo Czechów było w służbie krzyżackiej. Bielski przytacza iż bardzo wielu z nich wzięto pod Czczewem a raczej w samym mieście w czasie kiedy gorzało. Przywodzi obok tego ciekawą lubo okrutną jednego Czecha miłość narodowości jedno-plemienniej. Opisując spalenie Czczewa tak kończy kronikarz: „Jednak

więźniów przed się nasi tam wzięli na dziesięć tysięcy, między którymi co jedno było Czechów, te wszystkie uprosił sobie Bapka, dowódzca Czechów na żołdzie Polaków zostający, którym rozmaite męki zadawał a naostatek kazawszy nakłść stos drzewa, spalił je mówiąc tak: „Iż wy będący jednego języka i rodzaju z przodków swych z Polski, dierzycie z Niemcy nieprzyjaciołmi swemi przeciw im.”

Czas jakiś odpoczęło nasze miasto. Lecz za panowania Stefana Batorego, gdy Gdańszczanie, powstawszy pod dowództwem Jana z Kolna, dali mu pole popisania się ze swoją walecznością po raz pierwszy, (a mimo to w bliskości Czczewa dwa tysiące Polaków pobiło cudownym niemal sposobem blisko stotysięczne wojsko Gdańszczan;) Czczewo wtedy znów zupełnie zgorzało. Mimo tak korzystnej wygranej, za wstawieniem się książąt niemieckich, a raczej przez wrodzoną dobrowolność tylekroć w podobnych razach okazywaną Polaków, stanął pokój podpisany w Malborku, mocą którego Gdańszczanie w kilku ratach dwieście tysięcy złotych złożyć za koszta wojny królowi obowiązali się—tudzież dwadzieścia tysięcy dukatów na odbudowanie kościoła w Oliwie przez lud zburzonego. Stefan Batory ze swój strony obowiązwał się dobra zabrane miastu powrócić i pozwolić na odbywanie publiczne po kościołach obrządku augsburskiego. Historia zachowała pamięć tak sławnej, tak nierówniej w siłach, a przez to mianej za cudowną wygraną niedaleko Czczewa. Lecz czas zniszczył pamiątkę, na nieszczęście nie z marmuru, bo sztuki u nas wtedy nie tak pospolite były, lecz pamiątkę malującą ówczesną, pełną prostoty pobożność; był to bowiem krzyż z rozkazu Stefana Batorego postawiony, z napisem:

„NIE NAM PANIE! ALE IMIENIOWI TWEMU NIECH  
BĘDZIE CHWAŁA.”

Po skończonej wojnie, po uciszonych napadach, krzyżackich i niemieckich, znów przez lat kilkadziesiąt Czczewo w spokojności pozostając, miało czas odbudować się i uporządkować; dopóki ulegając zwykłej kolei miasteczek naszych niszczonej i napadanych nie tylko przez bliskich sąsiadów, Czczewo przez Szwedów opanowaném zostało.

Młody król szwedzki Gustaw Adolf widząc Polskę zajętą wojną z Turcyą, zapragnął korzystać ze szczęśliwej dla siebie pory. Nagle napadł na Inflanty, opanował Rygę i wiele miast innych. Nie można było od razu poskromić zuchwałej napaści. Nieszczęśliwa słabość króla dla Austrii, posyłanie dla niej Lisow-



czyków, rozdzieliło siły, któreby do Inflant gromadzić należało. Zachęcony dobrem powodzeniem Gustaw Adolf, coraz bardziej szerzył zabory swoje posuwający się aż do Prus. Zapomniał król szwedzki, że lubo Zygmunt był słabym i nieumiejącym prowadzić wojny monarchą, panowanie jego jakby dla wynagrodzenia niedołężności króla, obfitowało w najwaleczniejszych i najznakomitszych mężów.

Stanisław Koniecpolski zaledwie spoczął po wielkich nad Tatarami zwycięztwach, które odniósł wróciwszy z niewoli tureckiej; pospieszył ku obronie bogatego Pomorza, przeciw Szwedom, gdzie w r. 1627 ostatecznie zwyciężył najezdniców, pobrawszy nieprzyjaciół całemi pułkami w niewolę, zdobywszy 37 chorągwi; jedném słowem tak ich pobił, iż się udać do zawarcia pokoju musieli.

Lecz nim to nastąpiło, Czczewo było teatrem wojny, zajął go król szwedzki i w niém czas jakiś w roku 1626 bronił się i opierał Koniecpolskiemu, aż w końcu sam tu ciężko ranionym został. Nie długo biedne miasto było w rękach Polaków. Nadeszło pamiętne tylą klęskami panowanie Jana Kazimierza. Nie dosyć że miasto po mieście od strony Multan i Rosyi dostaje się w nieprzyjacielskie ręce, nie dość że sejm na któryby zgromadziwszy się naród mógł jakieś zaradzić środki ku ratunkowi kraju, zrywa Siciński; nie dość że się wewnętrzne najzgrabniejsze dla ojczyzny niezgody szerzyć zaczęły, ale jeszcze i Szwed pokusił się znowu do zaborów w Polsce, pewnym będąc że w takim stanie niedoli, zdoła opanować kraj cały.

Wtedy właśnie córka Gustawa Adolfa, Krystyna, zrzekła się korony szwedzkiej na osobę Karola Gustawa. Niewłaściwie poseł Jana Kazimierza oświadczył się z protestacją przeciw temu królowej szwedzkiej czynowi, zapomniał że w tak ciężkiem położeniu Polska, już nie powinna była wtrącać się do spraw sąsiednich. Uchwyciwszy tę urazę za pozór do walki, Karol Gustaw chcąc zwycięztwami pierwsze lata panowania swego oznaczyć, napada na Polskę i szerzy w niej zabory swoje. Wtedy to nie myśląc już opuszczać zdobyczy swojej, najezdnik umacnia miejsca które za dogodny punkt do obrony uznał. Ślady tej warowni dotąd pozostały. Czas w potomności zatarł pamięć ucisków, okrucieństw przeszłych napastników; zostały tylko ślady dowodzące ich siły i dziś jako starożytne pamiątki pokazują powstałe za czasów krzyżackich okopy nad Wisłą i mury szwedzkie około Czczewa.

Nareszcie nadeszła pomyślniejsza chwila dla kraju, właśnie wtedy kiedy jej najmniej spodziewać się można było, kiedy nieszczęśliwy Jan Kazimierz z garstką wiernych, schronił się do Opoczna i napróżno czekał obiecaną pomocy Austrii, której przodkowie jego nie bacząc na własny interes, pomagali. Już Karol Gustaw panem był chwilowym całej Polski i tylko namyślał się czy się nią podzielić wypada, czy całkowicie zatrzymać sobie? i już zażądano od niego nawet aby sejm zwołał i prawo elekcyi utrzymał, on wskazując na *palasz* u boku odpowiedział: Nie potrzebuję waszych elekcyj, bo za pomocą tego jestem Panem i królem waszym." Już wątpił lud wszystek że żadnego nie było ratunku; kiedy sławny opór Częstochowy nadspodziewanie oddział pomyślnie. Odżyła nadzieja, a z nią mężstwo w dowódcach polskich. Zwycięztwo po zwycięztwie następowało i nagrodziło poprzednie klęski i straty. Sam Karol Gustaw o mało nie dostał się w niewolę naszą; a nadto Duńczycy wpadli do Szwecyi i zmusili go o własnym myśleć niebezpieczeństwie. Zawarto pokój w Oliwie w 1668 r., w skutek którego Szwedzi oddali zatrzymane w Prusach miasta, a w tej liczbie i Czczewo. Odtąd zostawało to miasteczko bez przerwy pod panowaniem Polski, albowiem gdy ostatecznie w 1772 określono coraz zmniejszone województwa pomorskie, i na dziesięć powiatów je podzielono, po między niemi mieścił się powiat Czczewski.

Dziś pod Czczewem zostającym pod rządem pruskim, wzniesiono most na Wiśle, którego tu dajemy rycinę i opis.

Posiedzenie 7 grudnia 1849 zatwierdziło wybudowanie mostów na Wiśle i Nogacie zastrzegając uregulowanie biegu i ogroblowanie obu tych rzek przez położenie kolei żelaznej, i przeznaczyło potrzebne na to fundusze.

Budowę mostu rozpoczęto podług projektu zatwierdzonego w r. 1850.

Mosty są przeznaczone tak do jazdy zwyczajnej jak i dla królewsko-wschodniej kolei żelaznej, której najdogodniejszy kierunek jest z Berlina i Gdańska do Królewca, przecinając Deltę Wisły w linii od Czczewa na Malborg do Elbląga. Ze względu na bezpieczeństwo okolicznych obwałowanych nizin pomiędzy Wisłą i Nogatem, jako też na wschód od Nogatu, kolej żelazna, równie jak i drogi, są założone na małej nasypce ziemnej, pomiędzy Wisłą i Nogatem, na 3 stóp ponad średni stan Wisły pod Czczewem, a na



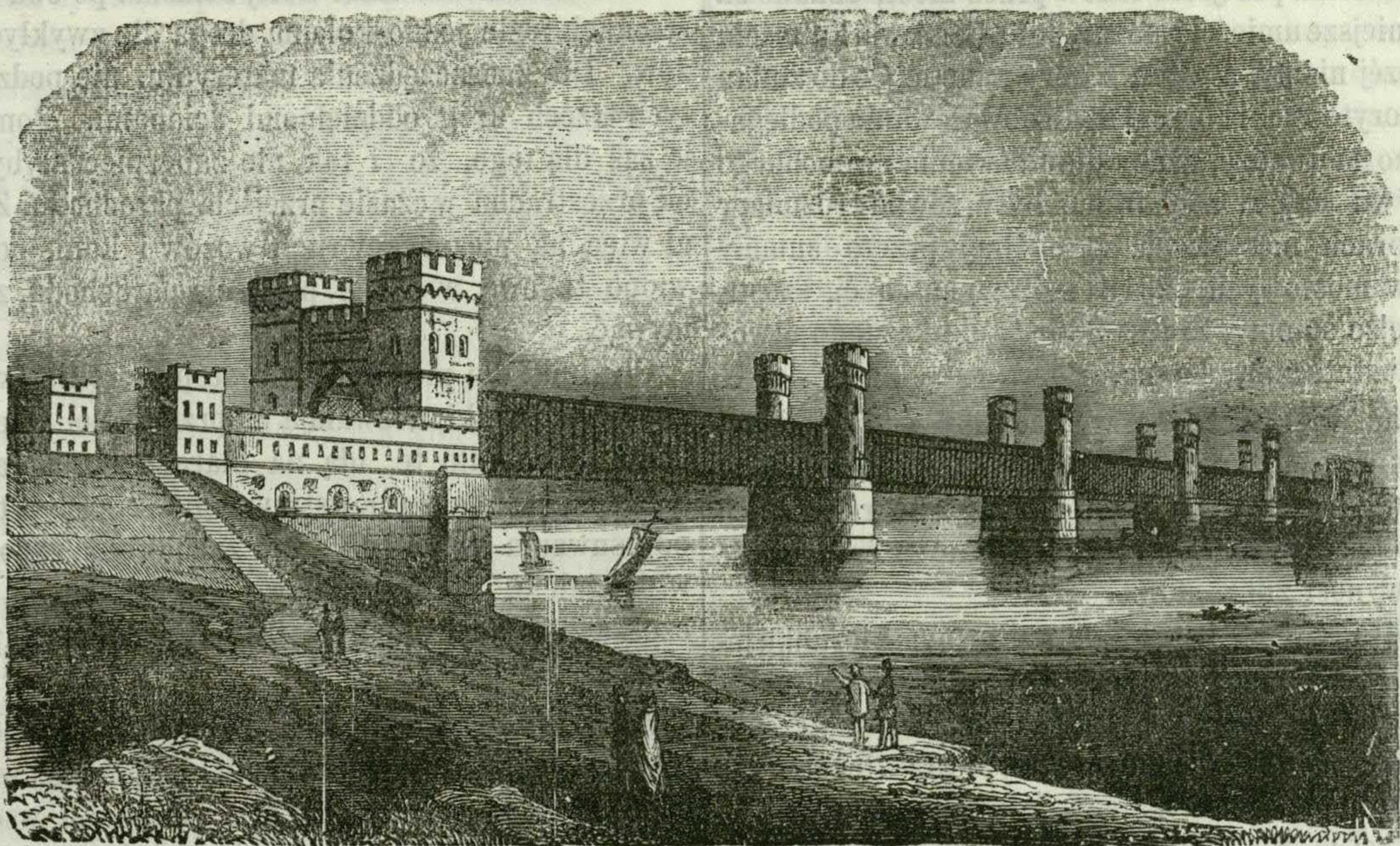
wschód Nogatu aż do 8 stóp pod średni stan tegoż, pod zasłoną wałów Wisły i Nogatu. Ażeby podnieść ważność kolei żelaznej, i zyskać, podniesienie rolnictwa w nadzwyczaj żyznych nizinach, potrzeba było jednocześnie z budową mostów wykonać ogólne uregulowanie wałów i koryta wód, które i tak w skutek licznych przerw w wałach Nogatu już nawet przed przedsięwzięciem budowy drogi żelaznej było nagłące.

W skutek zmiany podziału wód przy Montaner-Spice, która z początku mała, od roku 1840 powię-

b) Dzisiejsze ujście Nogatu zamknąć robotami faszynowemi, pomiędzy niemi przez koryto Nogatu usypać dwa wały ochronne od wody, doprowadzić je do zamknięcia niziny Marjenwerder i opatrzyć upustem nawodniającym.

e) Na lewo powyżej od Montaner Spice nieobwałowane niziny, łącznie z rozległą kępą Küche obwałować.

d) Działaniu wzmocnionego pędu wody dopomódz do oczyszczenia z piasków Wisły za pomocą tam regulacyjnych i sztucznego pogłębienia.



Most pod Czezewem.

kszała się gwałtownie, Nogatem płynęło już prawie dwa razy tyle wody co dawniej i ile pomiędzy obwałowaniem mogło być odprowadzone. Skutkiem tej przewagi Nogatu było zasypanie Wisły poniżej Montaner-Spice. Brak otamowań przy podziale wód, stał się powodem że najmocniejsze lody z górnej Wisły płynęły Nogatem i obwałowania jego porozrywały. Z tego powodu postanowiono:

a) Otworzyć nowe ujście dla Nogatu o pół mili poniżej Montaner Spice, za pomocą kanału  $\frac{1}{4}$  mili długiego, i z takimi wymiarami, któreby regulowały ilość wody mającą płynąć w Nogat, trwale go obwałować i opatrzyć izbicami, wstrzymującemi wpływanie wielkich mass lodu.

e) Istniejące obwałowanie Wisły  $1\frac{1}{2}$  mili powyżej Montaner-Spice i poniżej z lewej strony do Käsemark, a z prawej do Rothebude, jako też obwałowanie Nogatu na dół do Blumenstein, a z prawej od Galgenberga, do Krafolschleuse stosownie podnieść i wzmocnić.

Wspomniane pod c) i e) znaczne roboty były już od roku 1846 prowadzone i ukończone na 19 milach wału, normy 15 do 20 stóp w koronie, 7 do 8 stóp nad najwyższe płynięcie lodów, ze spadkami dwu-stopowemi od lądu i trzystopowemi od wody.

Następnie wielkie roboty wymienione pod a) i b) były wykonane, przez co wypływ Nogatu został zredukowany, jak dawniej do  $\frac{1}{3}$  części całkowitego



przepływu Wisły. Powolne oczyszczenie Wisły z piasków, środkami pod *d)* wskazanymi pozostaje dalej do wykonania.

Budowa mostów na Wiśle i Nogacie była prowadzona następującym porządkiem.

*Most na Wiśle.* Całkowity otwór jego przyjęto taki jak najmniejszy profil wód powodziowych znajdujący się pomiędzy wysokim brzegiem powyżej Czczewa i obwałowaniem z prawej strony pod przystanią przewozową. Ażeby tę miarę zachować pomiędzy filarami i ażeby na prawo i na lewo Czczewa naprzeciwleżące kępy sprawiające podział kry, spożytkować dla ułatwienia przejścia lodów przez most, uznano za stosowniejsze umieścić most z dołu Czczewa, ku ujściu tamtejszej niziny, a niżeli z góry miasta. Co do zmian jakim koryto rzeki i brzegi aż do obwałowania podlegają, miano na uwadze, ażeby dla ułatwienia swobodnego przepływu lodów, zachowane były równe rozmiary w otworach mostowych: z ogólnej przeto summy otworów mostowych, 2316 stóp wynoszącej, szóstą część tejże summy, to jest 386 st. dla każdego otworu za dostateczną uznano.

Licząc więc każdy otwór po 386 stóp summa wszystkich otworów uczyni 2316 st., grubość pięciu środkowych filarów po 31 stóp = 155 + grubość 2ch przyczółków po 98½ st. = 197. Cała zatem długość mostu wynosi 2668 stóp.

Przyczółek lewy ustawiono w głównym kierunku lewego brzegu rzeki, a następnie podług tego, położenie prawego przyczółka oznaczono: do złączenia zaś mostu z wałem wiślanym służyło przedłużenie tegoż od przewozu czczeskiego do wsi Liessau.

Grubość środkowych filarów jest ustosunkowana do obciążenia pokładem mostowym jak równie i do potrzeby silnego oporu przeciwko lodom.

Grubość przyczółków odpowiednią jest do nasypów przyległej grobli. Szerokość zaś tychże 72 stóp wynosząca, zastosowaną jest do wymagań fortyfikacyjnych. Zkąd lądowa część tych przyczółków otoczona jest murem zębionym z 2ma w kształcie wieży wyskakującymi przedpiersiami, i to stanowić ma obronne wejście do mostu.

Ponieważ most ten do biegu pociągów jest przeznaczony przeto, konstrukcją kratkową żelazną uważano za najwłaściwszą. Sama oszczędność nie dozwalała przyjąć większej wysokości nad tę, jaka potrzebna jest dla przepływu statków, to jest, 12 stóp nad najwyższy stan wody, co w budowie z kamienia zastosowaćby się nie dało.

Przy dzisiejszym postępie i udoskonaleniu robot z żelaza, zastosowano i w budowie tego mostu to, czego na największych mostach z nieomylnym skutkiem używano, to jest, obok użycia żelaza kutego i walcowanego, użyto w wiązaniach sworzni na gorąco wbijanych. W układzie zaś belek stosowano się ściśle do zyskanych już doświadczeń i wymagań zasadami statyki wskazanych.

Właściwie są to tylko dwie belki w postaci żelaznych po 37½ st. wysokości, kratkowych ścian; pomiędzy którymi, w wysokości 6 stóp, od dołu belek, kolej na moście poprowadzono.

Środkiem mostu idzie kolej żelazna: po obu zaś jej stronach idzie jedno-kolejna droga dla zwykłych wozów. Dla zaoszczędzenia materiału, nie podzielono tych trzech dróg oddzielnymi ścianami. Pominięto je zaś dla tego, że i tak nie zabezpieczałyby koni od przestachu w czasie przejścia parochodn. Z uwagi więc na nieznaczny ruch wozów i koni, postanowiono takowe, w czasie przejścia parochodu, zatrzymywać.

Chodniki dla pieszych po 3 stóp szerokie, wychodząc po za belki, pozwalają nieprzerwaną komunikacji. Chodniki te, idą na filarach dookoła wież, wzniesionych celem powstrzymania ścian mostowych od usuwania się na bok. Dla zachowania zgodności w kształcie, wieże środkowe są okrągłe, na przyczółkach zaś czworokątne i tworzą zarazem portyk mostu.

*Drogi komunikacyjne.* Droga żelazna od punktu złączenia się kolei Berlińskiej i Gdańskiej w dworcu Czczeskim zwraca się przez most ku wschodowi. Przez drogę tę nie przechodzą furmanki most przebywające: dojeżdżając bowiem do mostu lewym brzegiem południowej strony dworca, zjeżdżając prawym brzegiem po spadku 1/27 furmanki zaś z przeciwnej strony przybywające, wjeżdżają na groblę od północy i dalej jadą wzdłuż dworca. Poniżej obu tych spadków urządzono przejazd w grobli służący zarazem za drogę do wsi Liessau. Pomiedzy przejazdem i przystanią przewozową łączy się z temi drogami szose wiodące do Malborga.

*Przepuszczanie statków pod most.* Najwyższe wzniesienie wody, 26 stóp, dochodzi pod most dwaście stóp. Dla statków przeto wysoko wyładowanych i parowców z pochylonemi nieco kominami, przejście pod mostem jest dostateczne.

Dla statków żaglowych w górę lub z góry płynących, urządzono stosowne żórawie, którymi szypry,



z pomocą dodanego w tym celu majstra, maszty swoje składać lub podnosić mogą.

Uskutecznienie tego, zajmuje zawsze mniej czasu, niżby go potrzeba było na oczekiwanie przy zwykłym zwodzie mostowym, który prócz tego tamowałby swobodny ruch na moście.

*Budowa filarów.* Z powodu wielkiej otwartości przęseł mostowych, cały ciężar rozłożony na małą ilość filarów, mocno je obciąża. Filary wzniesione zostały na gruncie w którym do znacznej głębokości znajduje się piasek grubo ziarnisty i miejscami słabe pokłady żwiłu. Grunt taki jest bardzo wytrzymały ale powinien być zabezpieczony od podmywania.

Z tych uwag do założenia środkowych filarów, przyjęto następujące zasady:

Podstawę ich rozszerzono do stóp 50 tak, iż całkowita ich powierzchnia zajęła 4444 stóp kwadratowych i fundamenta te założono w czystym napływowym piasku, do jakiego dobrano się w głębokości 10 st. pod zero wodoskazu czczewskiego, a 19 st. niżej średniego stanu wody. Nadto, oparto je na 257 paliach i pokładzie piasku otoczonego ścianą pali na 1 stopę szeroką, ściśle obok siebie wbitych. Dla zabezpieczenia od podmywania, ściana ta otoczona jest naokoło pali oskałowaniem wynoszącym około półtora tysiąca sążni kubiczn. kamieni granitowych od 1 do 3 stóp kubicznych grubości.

W podobny sposób zabezpieczono ścianą z pali przyczółki mostowe i sam brzeg od podmywania. Tylko że dla jednostajności gruntu, o 4 do 6 stóp płycej, niż przy filarach środkowych. Pale podfundamentowe, ze względu na ścisłą podstawę 9834 stóp kwadr. wynoszącą, uważano tu za niepotrzebne.

Podstawę wszystkich filarów stanowi beton, wypełniający dokładnie przestrzeń pomiędzy palowaniem. Beton ten zamienia się w wodzie w twardą skalistą masę. Warstwa jego ma 10 stóp grubości. Nieprzenikliwość takiego fundamentu pod zasłoną cienkich z tejże masy ścian, dozwalała bez przeszkód, zrzadzanych naciskiem wody, swobodnego działania nawet w mularskich najniżej prowadzonych robotach.

Wnętrze murów filarowych wypełniono cegłą zędrówką na zaprawę hydrauliczną. Zewnątrz zaś, na zatkanie się z wodą i lodami, zabezpieczono warstwą ciosu. Licowanie to na przednich i tylnych krawędziach każdego nagłówka filaru sięga aż do pokładu mostowego: na podłużnych zaś ścianach filarów, aż do 32 1/3 st. wodoskazu. Tylko podłużne ściany

filarów środkowych, w wysokości 13 5/6 stóp nad 0 wodoskazu, zbudowane są z piaskowca bardzo twardego: wszystkie zaś inne ciosy są z granitu lub z lawy bazaltowej. Ta ostatnia zajmuje części, wystawione na najsilniejsze działania. Kamienie warstwami naprzemian układane zapuszczone są w mur, u góry na 2 do 3 stóp, a u dołu na 7 st. Niższe, najgłębiej zapuszczone kamienie, są w kierunku głębokości, dwiema szychtami, z których wewnętrzna jest z piaskowca. Z tegoż kamienia w 3m rzędzie po za oznaczonemi powyżej, zrobiono frontowe i tylne nagłówki filarów stanowiące masę kamieni ściśle powiązanych około 100 stóp kub. Co do reszty kamieni piaskowych głęboko w mur zapuszczonych, takowe w odstępach po 9 stóp, w trzech rozmaitych warstwach rozdzielone zostały. Żelazne klamry osadzone na cynk i asfalt, jako też i tyble kamienne, stanowią wiązadła ciosu. Dla rozdzielenia ciężaru pokładu mostowego, położono także 2 warsty ciosu w ten sposób: iż górna jest z lawy bazaltowej, dolna z piaskowca. Na pokrycie filarów i wież, użyto również ciosu. Cała zresztą zewnętrzna część murów i blanki wież wykonano z dokładnie wypalanej cegły; dostarczonej z cegielni umyślnie założonej do budowy mostu.

*Budowa pokładu mostu.* Wiązanie mostu na Wiśle składa się z trzech części: z których każda na 3 filarach opierając się, na 2 otwory wystarcza. Żelazne ściany idące po obu stronach drogi przez most wiodącej, stanowią zarazem belki mostowe. Wysokość ich dochodzi 37 2/3 st., grubość zaś w stosunku długości jest różna. Wytrzymałość ich, czyli opór przeciw zgięciu jest zastosowana od 6 do 6, stóp długości, do ich własnego ciężaru i największego obciążenia i dokładniej oznaczony, niż w moście Brytania i Conwy, owych wielkich poprzedników dzieł tego rodzaju.

W moście Conawy ten sam materiał jest o 1,3268 więcej wystawiony niż tutaj, przy większym nawet obciążeniu. W moście tym na 400 stóp angielskich długim (otwory jego zatem o 2 2/3 stopy są szersze od otworów mostu wiślanego) w czasie próby, przez wyznaczonych na to ze strony rządu ang. kommissarzy dokonanej, przy obciążeniu równajacem się 1313 ft. na stopę długości mostu, okazało się zgięcia 1 1/2 cala: gdy tymczasem podług narysu mostu czczewskiego, przy obciążeniu=2128 ft. na stopę długości, wypada 5/8 cala zgięcia. Korzystniejszy ten wypadek wynika ztąd, że wytrzymałość belki dokładnie została zastosowana do momentów działania ciężaru



w różnych częściach długości. Części zaś najcieńsze konstrukcyi, zebrane były na filarze, który służy za podporę pośrednią.

Moc belek leży głównie w górnej i w dolnej ramie; znajdujące się zaś pomiędzy niemi ściany kratkowe, przeznaczone są tylko do połączenia górnej i dolnej ramy. Siła ram jako też i ścian kratowych tak jest umiarkowaną, że nateżenie siły działającej na zgniecenie lub rozerwanie, przy najwyższem 2128 fun. na stopę obciążeniu, wynosi nie więcej jak 10000 fun. Przy moście zaś nieobciążonym, najwyżej 7500 fun. na cal kwadrat. Wzrastające stosunkowo przecięcia poprzeczne ram, osiągnięto częścią, przez dodanie grubych blach, częścią przez podwojenie tychże; lub wreszcie przez dodanie poziomych blach do dolnej ramy ponad środkową podporą belki. Podobnież w stosunku do nateżenia, sztaby ścian kratkowych są siedmiorakiego przecięcia poprzecznego. Najgrubsze dochodzą 5 cali szerokości i 1 cal grubości: najcieńsze zaś 4 cale szerokości i pół cala grubości. Sztaby te przecinają się pod kątem prostym w odległościach po 2 stopy na długość i wysokość kraty. Końcami przechodzą przez pionowe blachy, górnej i dolnej horyzontalnej ramy, jako też i przez pionowe blachy zakończające ściany kratkowe i to w takiej długości, iżby odpowiednia ich grubości liczba nitów, przez nie przeprowadzić się dała.

Ściana kratkowa opasana jest z obu stron 4 i 5 1/2 cala szerokimi, literę L tworzącymi sztabami. Sztaby te przypadają co 6 stóp na długość, a w pobliżu filarów co 3 stopy. Ustawione są pionowo przechodząc od blachy poziomej niższej ramy, aż do górnej. Te ostatnie sztaby, jak równie i sztaby ścian kratkowych w całej swój długości 37 st. i 5 cali i 27 stóp, przygotowano w jednej sztuce. Do tych 9ciu literę L tworzących sztab ponad pośrednim filarem mostu umieszczonych, i do czterech takichże nad końcowym filarem położonych, przylegają, dla większej mocy ścian kratkowych, blachy poprzeczne od niższej do górnej ramy dosięgające, szerokie tak, jak szeroki jest wyskok ramy. Na zewnętrznym brzegu tych blach równoległe do głównej kraty, jest zrobiona druga krata ze sztab, również sztabami L do blach poprzecznych przymocowana. Rama górna i dolna złożone zostały częścią z pionowo, częścią z poziomo ustawionych blach od 3/8, 1/2 do 5/8 cala grubości—a od 1 do 4 st. i cali 6 szerokości i 12 st. długości—oraz ze sztab kształtu **■** dwójakięj wielkości, to jest 15,64 fun. i 8,43 fun. na stopę ważących. Blachy nakrywające stanowią połączenie koń-

ców blach podłużnych i sztab kształtu lit. L. Połączenie to uskuteczniło za pomocą nitów zabijanych na gorąco a liczba ich i przecięcie poprzeczne odpowiada przecięciu do podobnego spajania zwykle używanemu.

Dla wzmocnienia ram w kierunku poprzecznym do ich długości służą: w ramie górnej sztaby kształtu litery L które stosownie ukute, łączą zarazem pionowe i poziome blachy inne zaś, całe poprzeczne przecięcia ram obejmują.

W dolnych ramach, belki pod drogą żelazną a z drugiej strony także belki pod chodnikiem dla pieszych, stanowią poprzeczne wiązania ram. Podobnie jak poprzeczne wiązania górnej ramy, są one o 6 stóp od siebie odległe.

Wzajemnego połączenia obu belek mostowych dopełniono spodem za pomocą belek pod drogą idących a których końce zamknięte są ramą belek mostowych. Nadto, zamyka je pozioma ściana kratkowa której sztaby wyciągnięte są pomiędzy dolnemi horyzontalnymi ramami, łącząc naprzemian każde 3 po sobie idące—i wierzchem za pomocą 53 poprzecz. krat, osadzonych pomiędzy górnemi ramami w środku i na końcu mostu, na 6, 12, 24, 36 stóp od środka—6 i 13 st. od końca—a co 18 st. długości mostu pomiędzy wyżej pomienionemi miejscami. Zrobione są z 4 kształtu **■** i 8 prostokątnych sztab. Pomiedzy końcami tych krat poprzecznych, a wyższemi ramami, rozpięto dwie poziome kraty.

Sztaby ich, jak równie i sztaby dolnych krat, zastosowano do nateżenia, jakie może być spowodowane, siłą wichru działającego z boku. Rozpięcia tych sztab dopełniono przez podniesioną temperaturę.

Cały pomost spoczywa stale na środku 1go, 3go i 5go filarów. Na innych zaś filarach i na przyczółkach, dla ułatwienia zmian w długości oparty jest na krążkach, poruszających się pomiędzy wyrównanemi blachami, z lanego żelaza.

Zmiany w kształcie jakim ulega wiązanie z żelaza kutego, przez obciążenie tegoż, na środkowym filarze są tak nieznaczne że podkładki z żelaza lanego, samą elastycznością mogą im wystarczyć. W moście tym, spodnie żelazne płyty spoczywają na jednostajnym murze przeciwnie jak w moście Brytanii i zaprowadzone tam drewniane wstawki, tu zażyteczne uznano. Przeciwnie podobne wstawki postanowiono dać pod blachy przyczółkowe. Tam bowiem, różnica stanu pokładu mostowego nieobciążonego, a najwyżej obciążonego, przy blachach



dwunastu stopowych, może się w wysokości o jedną linię zmienić. Wieże mostowe przeznaczone są do utrzymywania z boków, pomostu żelaznego. Pomiedzy ścianami tych wież, a żelaznym pomostem pozostawiono małą przestrzeń na rozszerzenie się żelaza w czasie podniesionej temperatury. Połączenie obu tych części na przyczółkach, stanowią żelazne wiązadła z boku od środka do wież dosięgające, a po obu końcach na sworzniach obracające się. Wiązadła te tak są ustawione, że przy kurczeniu się pomostu są wyprężone przy największym zaś przedłużeniu, odpowiednią moc zachowują. Dla oddziaływania zaś w wibracyjnych burzą spowodowanych, zapuszczone będą w przestrzeniach pomiędzy górnymi ramami a wieżami, odpowiednie resory.

Różnice w długości zmianami temperatury spowodowane, okazują się w 6u miejscach drogi przez most ten idącej, wymagając w każdym po 5 cali próżnego odstępu. Te próżne odstępy w chodnikach dla pieszych, zakryte być winny cienkimi blachami, na drodze zaś żelaznej, szynami zsuwaniami.

Dla zabezpieczenia od rdzy, pociągnięto wszystkie części żelazne farbą olejną, miejsc gdzieby woda zatrzymywać się mogła, starannie unikano. Nie mniejszą uwagę zwracano także i na to, aby wszystkie części mostu, nawet roboty malarskie, około wież, były dostępne i tём samém do wykonania łatwe.

#### *Most na Nogacie. — Urządzenie mostu w ogólności.*

Z wyborem miejsca na budowę mostu pod Malborgiem zwrócono się nieco ku dolnej części zamku, gdzie koryto rzeki, po potraceniu filarów mostowych, nie zmienia się, jak to przeciwnie się okazuje, idąc w górę naprzeciw miasta Malborga, lub na dół przy zważaniu się rzeki pod Jonasdorf.

Bliższe oznaczenie linii mostowej przypada w miejscu wolnem od budynków o 11 pręt. idąc w górę ku wieży Buttlermilch, kończącej średniowieczne mury fortyfikacyjne na północnym brzegu Nogatu położone.

Według zdania biegłych, przyjęto budowę filarów mostowych na Nogacie podług zasad na początku przytoczonych, ze względu że podług zarządzonego uregulowania koryta rzeki i obwałowania, usunięte zostało niebezpieczeństwo od płynących lodów. Dla łatwiejszego jednak odpływu lodów, postanowiono, aby nie więcej jak jeden filar w stosownej głębokości, ustawić. Nadto, małe wybrzeże po prawej stronie kamieniami umocniono, a po lewej skarpe grobli Nogatu połączono z mostem łukiem 52 st. otworu.

Główne otwory mają po 312 s. szerokości; filar środkowy ma 22 stóp, nadbrzeżne zaś po 20 st. grubości. Lewy końcowy filar idąc ku grobli Nogatu, w 2ch wyskokach po 37 stóp w kwadrat, otrzymał fundamenta pod dwie silnie sklepienie warownie mostowe. Przy końcowym filarze z prawej strony, umocnienie takie nie było wymaganem. Filar ten wraz z swemi murami skrzydłowemi dotyka, idąc w górę, powyżej wzmiankowanych murów, nadół zaś, wieży Buttermilch.

Po za murami nadbrzeżnymi poprowadzono w ostatnim filarze, sklepiony przejazd dla armat, i ten przedłużano od strony lądu tak daleko, jak daleko dosięgają nasypy skarp przylegającej grobli pod drogą usypaną. Stąd końcowy lewy filar otrzymał długości 41 1/2 st. prawy zaś 59 st. Te i poprzednie obliczenia długości mostu (2 razy 52, 2 razy 20, 2 razy 312 i 22 st.) dają całkowitą jego długość 890 1/2 st.

Profil wody wewnątrz filarów i dla ich ochrony założonych oskałowań kamiennych, jest o 12 na % większy od najmniejszego profilu Nogatu poniżej mostu. Po wybudowaniu filarów środkowych, przypuścić można, że profil ten przez pogłębienie dna wewnątrz oskałowań kamiennych powiększy się o tyle, ile zanurzony profil środkowych filarów wynosi.

Dla ułatwienia obrony mostu, widok żelaznego jego pokładu, o ile można nieprzyjacielowi zasłonięty, i w tym celu zniżonym został.

Ze względu na mogący się objawić w przyszłości korzystny stan wody, postanowiono, aby most ten swemi niższymi krawędziami o 10 1/2 st. nad najwyższy stan wody, znaleziony w miejscu budowy mostu, górował. Niżej więc jak most na Wiśle. Wysokość także drogi przez most wiodącej, po nad najniższe krawędzie belek, jest o 2 1/2 st. niższa jak w moście na Wiśle. Również wysokość belek po nad koleje drogi żelaznej do 20 1/4 st. zmniejszono. Tak drogę do jazdy, jako i chodniki dla pieszych urządzono tak jak w moście na Wiśle.

*Drogi Komunikacyjne.* Droga żelazna dosięga mostu w kierunku wschodnim groblą 1/4 mili długą, z nizin poprowadzoną. Droga bita z Berlina wiodąca przed zwróceniem się jej do Kałdowa dotyka drogi żelaznej po umiarkowanym spadku 1/27. Droga ta rozdziela się tak, że furmanki jadące do mostu wjeżdżają po pochyłości z prawej strony, wyjeżdżające zaś z mostu udają się lewą stroną. Brama w grobli przebita służy za przejazd po lewej ręce do Neuteide i zarazem prowadzi na drogę wzdłuż grobli Nogatu idącą.



Na prawym brzegu w Malborgu, zaczyna się wjazd na most leżący naprzeciw głównej bramy zamku. Zwykle furmanki do mostu jadące, przejeżdżają szyn drogi żelaznej, na rozszerzonej grobli; suchego bowiem przejazdu pod nią urządzić nie dało się. Dla pieszych poprowadzono krótszą drogą za pomocą schodów w końcowych filarach urządzonych.

*Przepływ statków pod most.* Dla przepuszczania statków urządzono, jak przy moście na Wiśle, żorawie do składania i podnoszenia masztów przy lewym brzegu, w górę i na dół Nogatu.

*Budowa filarów mostowych.* Pod budowę filarów mostowych z wyjątkiem prawego nadbrzeżnego, przeznaczono pale. Na lewym brzegu, pod żyznym gruntem niziny, znalazł się pokład czystego piasku 49 st. gruby. W znacznej dopiero głębokości natrafiono na il. Piaszczysty jednak grunt nie zdawał się dość mocnym fundamentem stąd na powierzchni pod filar przeznaczoną a 4605 stóp kwadrat. rozległą, rozdzielono 354 pali. Ziemi nie kopano głębiej jak 1 stopę nad 0. wodoskazu: bowiem fundamenta zasłaniały od strony rzeki oskałowania kamienne.

Na prawym brzegu znaleziono twarde pokłady żółtego piasku, w którym dopiero w głębokości 48 do 51 stóp poniżej średniego stanu rzeki, okazały się przymieszane części ilu i ślady węgla brunatnego.

Miejsce na budowę końcowego filaru przeznaczone, przecięte było zrujnowanym murem, jako też dawnym łożyskiem wody. Pierwiastkową podstawę piasku, częściowo, aż do 0 wodoskazu, usunięto. Końce pali bitych dla zasłonięcia starego nadbrzeżnego muru zaledwie 5 1/2 st. poniżej 0. wodoskazu dosięgały. W tejsze głębokości założono również fundament pod filar końcowy i mury nadbrzeżne aż do miejsca, w którym te do wieży Buttermilch dotykają i wchodzi na wyższe, z narzuconych kamieni utworzone fundamenta.

Przy filarach brzegowych z prawej i lewej strony leżących, natrafiano na tak rozmaite pokłady piasku że dla równych, po 2351 stóp kwadr. przestrzeni przy pierwszym na 212, przy drugim 151 pali, przybliżoną tylko wytrzymałość oznaczyć musiano.

Głębokość fundamentu tych filarów przyjęto na 10 stóp, filaru zaś środkowego, z powodu głębszego koryta rzeki, na 13 st. pod 0. wodoskazu. Powierzchnia podstawy filaru nadto wynosi 3312 stóp kwadr. i na tę rozdzielono 278 pali.

Zresztą zakładanie i budowa tych filarów jest taż sama, co filarów mostu na Wiśle.

*Pokład mostu.* Żelazny pokład mostu pokrywać będzie oba wielkie otwory, nadto, mieć będzie też same co i w moście na Wiśle za sobą korzyści.

Wytrzymałość belek stosownie do zasad przyjętych w planie mostu wiślanego, zastosowano do największego obciążenia jakie się może wydarzyć.

Co do szczegółów, dla mniejszej wysokości belek, zmieniono kształt ram w ten sposób, iż blachy poziome nad i pod drogą położone, rozchodzą się w kształcie stopni wewnątrz. Blachy te, z początku pojedyncze, w pobliżu pośrednich podpór podwójne stosownie do zasad statyki, powiększają grubość odpowiednio do długości. Związane są blachami pionowymi i po obu stronach sztabami w kształcie lit. L. umocnione. Na zewnętrznych zaś krawędziach, takimiż sztabami otoczone.

W przecięciu poprzecznym górnej ramy mieści się sześć rzędów sztab kształtu **Z**. Sztaby te opierają się co sześć stóp długości na filarach, a co trzy na przyczółkach, na belkach poprzecznych w kształcie **Z**, których końce za pomocą trójkątnych plat są przymocowane do pionowych blach kształtu **L**, które w tychże miejscach opasują wielkie ściany kratkowe. Podobnie przytwierdzone są poprzeczne belki drogi do niższych ram. Są one także kratkowane, sztaby zaś ze względu na niewielką wysokość, są grubsze. Do niższych ram należą jeszcze sztaby kształtu lit. **L**, które idąc poniżej opaski pojedynczych blach, w średniej tylko części pokładu mostowego, znajdują się. Sztaby wielkich ścian kratkowych i ich nateżenie, jest toż samo, co w moście na Wiśle; równie jak i przyrządy do przedłużania się lub kurczenia żelaza przy zmianach temperatury.



## ALBERTRANDY

### I NIEZNANE JEGO RĘKOPISMA.

Mamy w tej chwili pod ręką nieznane dotąd rękopisma ks. Biskupa Albertrandego, najpierwszego prezesa b. Towarzystwa przyjaciół nauk. Wydrukujemy je w części w piśmie niniejszem. Aby jednak ta postać szlachetna, wybitniej okazała się przed oczyma czytelników Księgi Świata, skreślimy dokładny acz krótki życiorys męża, mogącego służyć za wzór dzisiejszemu i następnym pokoleniom <sup>1)</sup>.

Albertrandy Jan Chrzyciel, mieszczanin Warszawski, najstarszy z trzech synów Włocha, który Polskę za kraj drugi dla siebie wybrał, urodzony w Warszawie 1731 r., umarł tamże 10 sierpnia 1808 r. <sup>2)</sup>. Za ledwie piętnaście lat mając przyoblekł sukienkę zakonną, i już u Jezuitów od r. 1750 do 1760 sprawował obowiązki nauczycielskie w klasztorach: pułtuskim, plockim, nieświeżskim i wileńskim. Od najpierwszej młodości okazywał zdatność do nauki języków i niezwykłą miłość pracy. Zachęcony temi przymiotami biskup J. A. Załuski wezwał go na bibliotekarza (1760 do 1794 r.), polecając ułożenie swego księgozbioru i pisanie katalogu. W czasie bezkrólestwa, wiele bardzo pomagał prymasowi Władysławowi Łubieńskiemu w interessach gabinetowych i zajmował się wychowaniem wnuka jego, późniejszego ministra, Feliksa hr. Łubieńskiego. Po skonie prymasa (1766 r.), zmuszony ksiądz professor mieszkać ze swym uczniem w murach kolegium jezuickiego, poświęcał się tu przez czas pewny nauce astronomii. Wtedy także począł go używać Andrzej Młodziejowski kanclerz kor. do wyczytywania listów dyplomatycznych, kluczami pisanych. Od roku 1770 do 1774, bawił z Feliksem Łubieńskim za granicą. We Wło-

<sup>1)</sup> Témbardziej obowiązani niejako jesteśmy do tego, gdyż dotychczasowe życiorysy jego tak we wstępie do niedawno wydanych kazań, jak w cmentarzu Powązkowskim i w świeżo drukującej się Encyklopedyi powsz. są bardzo niedokładne.

(Przyp. Red.)

<sup>2)</sup> Nagrobek ma w kośc. ś. Jana w Warsz.

szech, w akademii sienneńskiej, słuchał, razem z uczniem swoim, wykładu nauk przyrodzonych, przyjaźnił się z uczonymi, pisał dopełnienia do dzieła Diodatie'go, każdą zwiedzał ciekawość, zbierał twory przyrodzenia z pod cieplejszego nieba, oraz medale Greków i Rzymian, wreszcie korrespondował z Jezuitami, poświęcając obok tego wiele chwil wychowawcowi swemu. Matematyka, dzieje i literatura, zarówno tu przezeń były uprawiane. Pośród tak wielostronnych zajęć, uczuł ciężar węzłów i obowiązków zakonnych, stawających mu nieraz na zawadzie do tak wszechstronnej pracy.

W sierpniu 1771 r. przybywszy z Sienny do Rzymu, pozbył się sukienki zakonnej przez pośrednictwo rektora akademii toskańskiej Possini'ego, generała Jezuitów Laurencjusza Ricci i jego assystenta z Polskiej prowincyi, Karola Koryckiego. Wtedy przeniósł się na mieszkanie do *Casa nazionale degli Polacchi al S. Stanislao*, i w tym *domu Polaków*, wyłącznie prawie archeologii poświęcać się zaczął. Bliskie miał stosunki z bawiącymi w Rzymie ziomkami, Smuglewiczem Franc. Włodkiem Ignacym księdzem i Tadeuszem Burzyńskim posłem w Anglii i Hollandyi, z którym chciał się puścić w dalszą do Albionu podróż, ale śmierć tego nadzwyczajnego posła polskiego i wezwanie Albertrandego do kraju przez kanclerza Młodziejowskiego stanęły na przeszkodzie. W r. 1774 otrzymał z akademii wileńskiej stopień doktora teologii i prawa kanonicznego, podobno za rozprawę *o analizie* w Rzymie napisaną. W skutku przynajmniej tej rozprawy, w r. 1773 chciano mu dać katedrę w akademii sijeńskiej. Wróciwszy 1774 r. do kraju, znowu przynosił ulgę kanclerzowi koronnemu w dźwiganiu ciężarów dyplomacyi. Król zapragnął wtedy nabyć zbiory zgromadzone przez Albertrandego we Włoszech, kosztem ucznia, z którym podróżował; ale wdzięczny wychowaniec, oddał je bez żadnego wynagrodzenia Stanisławowi Augustowi, z prośbą tylko, aby pracowity zbieracz gabinetu medalów, był zarazem jego dozorcą! Odtąd kapłan uczony, staje się



domownikiem królewskim. W r. 1776 sejm nadaje mu szlachectwo (Volumina legum VIII. s. 919);—17 grudnia tegoż roku otrzymuje probostwo stawiszyńskie; wkrótce zostaje kanonikiem-koadjutorem kolegiaty warszawskiej, a 24 września 1777 sekretarzem i lektorem króla. Chociaż jeszcze żył wtedy główny bibliotekarz królewski Marek Reverdill, jednakże uporządkowanie księgozbioru swego, sławnego gabinetu rycin i starożytności, niemniej wszelkich pomocy naukowo-artystycznych, Stanisław August powierzył Albertrandemu. Tak bogate i liczne zbiory, wymagały wielkiej pracy i wszechstronnego ukształcenia; na czém, chociaż niezbywało księdzu lektorowi, ale mimo to, dla samego zapełnienia braku czasu do ogromnych trudów, przyjął ku pomocy Albertrandi księży Prażmowskiego, Gawrońskiego i Wolickiego. Wszyscy czterej, zostali potem biskupami, a ostatni nawet z nich, arcybiskupem. Jeden tylko ksiądz Albertrandi, najuczeńszy i najpracowitszy z kapłanów, został dopiero aż za rządu pruskiego, pastorem Zenopolitańskim, i to tylko *in partibus infidelium*. Za czasów króla polskiego, dostał tylko kanoniję gnieźnieńską i warszawską, oraz Św. Stanisława order;—a dopiero aż po skonie Reverdilla, 23 stycznia 1790, płacę i miano głównego bibliotekarza otrzymał. Najtroskliwiej przeglądając literackie i artystyczne skarby królewskie, dostrzegł w nich wiele niedostatków; podał więc Stanisławowi Augustowi, myśl, którą sam wykonał, aby uzupełnić bibliotekę i inne gałęzie zbiorów, nabytkami zagranicznymi, oraz, aby rzeczy polskie, w rzymskich znajdujące się księgoskładach, na plon krajowy zamienić. W tym celu siedzi we Włoszech od 1779 do roku 1783, i wypisuje własną ręką z różnych bibliotek sto dziesięć tomów arkuszowych. Miałem w ręku kilka z tych prac olbrzymich naszego polyhista: są to malutkiem, krągłym pismem, w najściślejszych wierszach, nabite stronicie, z dość szczupłymi marginesami. Niektóre wyciągi, maczkiem prawie najdrobniejszym kręślone, a mimo-to wyraźne. Każda rzecz, na odmiennym zaczyna się arkuszu, dla łatwiejszego snadź potem uporządkowania systematycznego. Dla zgromadzenia podobnych zabytków krajowych znajdujących się w Szwecyi za sprawą Karola-Gustawa i Karola XII, udał się w sierpniu 1789 r. do Upsalu i Sztokholmu w charakterze kapelana poselstwa polskiego. Ale tu z początku takich doznawał trudności w czynieniu wypisów, iż musiał ważniejsze rzeczy z wielką czytać uwagą, i dopiero wróciwszy do mieszkania, z pamięci przepisywać treść przejranych zasob-

bów polskich. Potem bibliotekarz sztokholmski Gjorwella, ułatwił mu środki skuteczniana wyciągów, a uczeni kopenhagscy, Jerzy Adler i Holtzförster, wiele nawet dopomagali naszemu bibliotekarzowi. Wracając 1790 r. z tej wycieczki naukowej, został Albertrandi w Berlinie członkiem honorowym akademii nauk, i tamtejszemu uczonemu J. K. Deninowi wyprosił kanoniję warszawską u swego króla. Znowu przywiózł kilkadziesiąt tomów rękopismu swego, a wykazy szczegółowe prac wypisowych, zostawił w dwóch wyciągach po łacinie sporządzonych, pod nazwą: *drogi włoskiej i szwedzkiej*. ITER ITALICUM ET SUETICUM: podamy je szczegółowo, w Słowniku naszym pisarzy jako ciekawą i ważną skazówkę bibliograficzną, nigdzie dotąd niewytłoczoną. ITER ITALICUM ET SUETICUM, znajduje się dotąd w rękopiśmie oryg. u p. M. Malinowskiego, A. Przeździeckiego przepisana <sup>1)</sup> i w części u p. Stanisława Kosseckiego (w oryg.). Za te mozolne prace, król nagrodił Albertrandego wielkim medalem złotym *Merentibus*. Nie samemi tylko wypisami zajmował się nasz uczony bibliotekarz: przywiózł on z zagranicy wiele zakupionych medali, numizmatów, sztychów, dzieł rzadkich, starożytności, wykopalisk z Herkulanum i Pompei i t. d. Po pierwszym i drugim powrocie z wycieczek naukowych, zajmował się spisaniem gabinetu medali i biblioteki. Przez dwadzieścia dziewięć miesięcy, tak pracując, że dziennie od 10 do 13 godzin na to łożył, nie dając sobie odpoczynku nawet w święta największe, za ledwie trudniejszą i większą połowę katalogu ukończył 9 kwietnia 1793. Wtedy także, porządkując tak gorliwie uzbierane zasoby dziejowe, pracował zarazem nad opisem panowań królów polskich. Chociaż król wyjechał do Grodna i już więcej do Warszawy nie wrócił, Albertrandy wiernym pozostał stróżem jego zbiorów;—nie mieszając się do żadnych stronnictw owoczesnych, rządził tylko częścią dyecezyi poznańskiej, i w swych papierach całkiem był zatopiony. Obdarzony nadzwyczajną pamięcią, którą ciągle w pracy bezustannej doskonalił, posia-

<sup>1)</sup> Iter italicum, manu Illmi Albertrandi exaratum propter usum amici et discipuli Thadei Czacki—Joannis Aldertrandi Episc. Zenop. docti ac eruditi viri. Iter sueticum complectens I Manuscriptos Codices repertos et exscriptos. II manuscriptos codices visos duntaxat et iudicatos, nec non chartas palantes, manu autoris exaratum anno 1800 in usum amici Thadei Czacki. Kursiwą wytłoczony dodatek dopisany własną ręką Czackiego. Część Isza zawiera 10 kart in folio czyli str. 20.



dał języki: angielski, włoski i polski. Dla tego władze rossyjskie i pruskie, często żądały mieć od niego wiadomości tyczące się naukowości i duchowieństwa.

Nikt z pisarzy stojących na przejściu dwóch wieków, nie zostawił tyle prac, ile Albertrandy. Oto ich poczet:

1. Joannis III Poloniarum olim regis, Elysiis ex sedibus ad suos Polonos Epistola, Anniversaria coronationis die, serenissimi ac potentissimi regis Stanislai Augusti. 1766 Varsaviae.

2. Dzieje królestwa polskiego, krótko lat porządkiem opisane, (podług Fryderyka Augusta Szmida) na język polski przełożone, poprawione i przydatkiem panowania Augusta III pomnożone. W Warszawie 1766 u Grölla, s. 368 i nie liczbowanych 16; w 8ce. Nie jest to prosty przekład tylko *Abrégé chronologique de l'histoire de Pologne* wydanego 1763 roku w Warszawie, jak tego dowodzi obszerny rozbiór w *Dzienniku wileńskim* 1815 r. Tu dodał tłumacz rubrykę, w której ludzi uczonych pomieścił, dla wiadomości początkujących w nauce.

3. Dzieje królestwa polskiego krótko lat porządkiem opisane przez ks. J. Albertrandego. Wydanie drugie pomnożone panowaniem Stanisława Augusta przez ks. G. Lwów, 1846 s. 345 w 8ce. Toż samo dzieło z podobnymże tytułem, ma nadpis: *We dwóch tomach*; wszakże tom II o 226 stronicach jest pracą ks. G. tom zaś I w tém odmienném zatytułowaniu dwu-tomowém, jest tenże sam (o s. 355), który się sprzedaje i osobno, jako pismo Albertrandego.

4. Dzieje rzeczypospolitéj rzymskiej od założenia Rzymu aż do Cesarzów, krótko lat porządkiem opisane, z francuzkiego języka na polski przełożone przez ks. Jana Albertrandego S. J. Theologa, od którego przydane są obszerne przypiski, nietylko historję samą, ale oraz geografję dawną Rzymian, obyczaje, rzędy, obrządki, igrzyska, ofiary, urzędy i t. d. objaśniające, w Warszawie nakładem M. Grölla 1768 T. I str. 545 nl. 18.

5. Dzieje rzeczypospolitéj rzymskiej od założenia Rzymu aż do Cesarzów krótko porządkiem lat opisane, z fran. języka na polski przełożone, potrzebnymi przypiskami objaśnione; a w tym nowym (*sic*) wydaniu, mianowicie co do przypisków, poprawione przez tegoż, który pierwotne tłumaczenie przed 40 laty wykonał, z przydatkiem potrzebnej wiadomości o klassycznych autorach, co w tym przeciągu czasu kwitnęli. W Warszawie nakładem i drukiem Zawadzkiej wdowy w kollegium po-jezuickiem 1806 tom I, str. 617, II 598 w 8ce. Tłumacz polski Macquer'a, co do przydatków, trzymał się Harlesa, Fabrycusa

i t. p. i wiele bardzo własnych dopełnił przypisów.

6. Wybór ekonomicznych wiadomości z ksiąg najprzedniejszych zagranicznych. W Warsz. w dru. J. K. M i rzeczypospolitéj Coll. Soc. Jesu MDCCLXX (1770) s. 432 i wstępu XXVIII w 4ce. Czy więcej nad ten tom wyszło? nie wiemy: ale Wyrwiczowi nie słusznie przyznają tę pracę. Zdaje się iż to miało wychodzić peryodycznie, gdyż na sygnaturach położono: Tom I *na rok* 1770. We wstępie, oryginalnie napisanym, zapowiedziano (na s. XXII) ksiąg siedm; ale w tym tomie wydrukowano tylko trzy. Spisu rzeczy nie ma; na stronicach 16, 125, 171, 331 i 376, są w tekście umieszczane ryciny na miedzi ryte.

7. Musaei nummorum ex remotiore antiquitate superstitem, quod venale prostat Varsaviae, compendiaria descriptio, unde in ejus notitiam empturi deveniat. Addita est mantissa nummorum recentioris aevi 1799. Varsaviae str. 245 w 8ce. (Objęte są tym wykazem numizmata i medale, które z gabinetu królewskiego przeznaczone były na sprzedaż po śmierci Stanisława Augusta. Nabył je Czacki dla liceum Wołyńskiego. Obszerniejszy ich opis mieścił się w oddzielnych rękopismach z których jeden tom mieliśmy w ręku.

8. Uwagi nad wolnością drukowania i sprzedaży ksiąg publicznej. Arkusz jeden in folio, bez miejsca dr. i r. (Zdaje się że około czasu sprzedawania pozostałości królewskich).

9. Przypadki Robinsona Krusoe. Warszawa 1774 u Grölla, 2 tomiki (Antoni Magier, w notatkach swoich znajdujących się u nas w rękopiśmie, przekład ten najpierwszy Campe'go, przyznaje Albertrandemu. To wydanie, nadzwyczaj dziś jest rzadkie: snadź działki XVIII wieku, jako podręczną poszarpały książkę.)

10. O muzach, rzecz czytana na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk dnia 12 grudnia 1801 r. (w *Rocznikach* tegoż towarzystwa T. I od str. 168 — 219, — oraz oddzielnie w Warszawie, w drukarni J. C. G. Ragoczego str. 68 w 8ce.) Toż samo po łacinie, od autora przełożone:

11. De musis, dissertatio lecta in publico consensu societatis Litterar. varsav. ab uno in eandem societatem cooptato nonis decemb. A. R. S. CIOICCCCI ab authore e polonico latine reddita. A. 1801. Typis J. C. G. Ragoczii in 8vo str. 56, oprócz przemówienia do czytelnika na czele. (Dla czego w historyi literatury polskiej Bentkowskiego ma tylko str. 40? — patrz T. II na str. 610, gdzie pijarskie wydanie téjże rozprawy przytacza. Czy to tylko nie błąd? bo my druku *de Musis*, z drukarni pijarskiej, nie widzieli.)



12. Mowa na pierwszym posiedzeniu Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk 23 listopada 1800 r. str. 30 w 8ce, (drukowana także w *Rocznikach* T. I od str. 1 do 25 włącznie). Właściwie było to zagajenie tylko przy otwarciu.

13. Mowa na pierwszym posiedzeniu publiczném Towarzystwa przyjaciół nauk dnia 9 maja 1801 roku. Warszawa w 8ce (drukowana w *Rocznikach* T. I str. 26 do 41). Przekład tych mów oddzielnie wydany przez samegoż autora po łacinie i po francuzku, pod tytułami:

14. Discours prononcé á la première séance etc traduit du polonais par l'auteur. Varsovie 1801 in 8.

15. Oratio paraenetica in primo consensu Societatis literariae Varsaviensis ab authore latine reddita. Varsaviae 1801 in 8vo.

(Hebdowski generał, ostro, bo bezimiennie, tę mowę skrytykował pod napisem: „Do prześwietnego Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, nakładem M. Melchina 1801” str. 61 w 8ce. W niektórych wszakże względach, mimo rozlanego wszędzie dowcipu z żółcią, nie miał generał słuszności, zwłaszcza co do kwestyi utrzymania języka, o której mówił prezes towarzystwa, stosownie do czasu, związanej okolicznościami i względami chwilowými).

16. Mowa przy odnowieniu zwykłych posiedzeń Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk, miana dnia 18 października 1801. Warsz. w 8ce oddzielnie, i w *Rocznikach* Tow. prz. nauk, T. I stron. 149 do 167.

17. Mowa na trzecim posiedzeniu Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk dnia 15 maja 1802 (drukowana w *Rocznikach* tegoż towarzystwa T. I str. 420—431).

18. Mowa przy zagajeniu czwartego posiedzenia publicznego Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk 16 listopada 1802 r. (wytłoczona w *Rocznikach* T. II str. 254—262).

19. Mowa przy zagajeniu piątego posiedzenia publicznego Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk dnia 5 maja 1803 r. (umieszczona w *Rocznikach* tegoż towarzystwa T. II od str. 263—276).

20. Mowa przy zagajeniu szóstego posiedzenia publicznego Towarzystwa przyjaciół nauk dnia 5 grudnia 1803 r. drukowana w T. III *Roczników* od str. 1—10.

21. Mowa przy zagajeniu siódmego posiedzenia publicznego Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk dnia 24 maja 1804 roku (umieszczona w T. IV *Rocznik* od str. 1—11).

22. Mowa przy zagajeniu ósmego posiedzenia publicznego Warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk d. 16 listopada 1804 r. (wytłoczona w T. IV od str. 162—171 w r. 1807).

23. Ustawy Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk. Warszawa w drukarni Nr. 646 na Nowolipiu 1802 r. str. 16 w 8ce (drug. wyd. 1814 r. powiększone, str. 30 i 5 kart; wszakże pierwsze zasady Albertrandego, utrzymane).

24. Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzech pospolicie medalami zwanych, czasów rzeczypospolitej i szesnastu pierwszych cesarzów, zbioru ś. p. Stanisława Augusta króla polskiego, postrzeżone i krótkim wykładem objaśnione przez J. Albertrandego czytane na posiedzeniu publiczném królewskiego Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk. Książ dwoje, (drukowane w T. III od str. 187 do 614 *Roczników* 1804). Księgi drugie mają taki napis:

25. Świadectwa starożytnej historyi, mianowicie rzymskiej, z medalów rodziny rzymskich i cesarzów aż do Kommodusa. (Umieszczone w *Rocznikach* Towarzystwa przyjaciół nauk. Część pierwsza w T. IV str. 221—677; część wtóra ksiąg drugich w T. V str. 1—520.

Oddruk we trzech tomach wyszedł osobno w Warszawie u Piarów, gdzie się drukowały *Roczniki*, z oddzielnym tylko tytułem i odmienném stronic liczbowaniem to jest: T. I str. 422 r. 1805.—T. II str. 457 r. 1807;—T. III str. 520 r. 1808 w 8ce.

26. Rozprawa o słońcu jako bożku pogańskim dla objaśnienia dwóch wklęsłorytych starożytnych kamieni, czytana na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk 1807, drukowana w T. VII *Roczników* od s. 15 do 38, roku 1811.

27. Mowa miana przy audyencji u Fryderyka Augusta księcia Warszawskiego króla Saskiego, gdy przybył z Drezna do Warszawy d. 9 grudnia 1807 r. (Drukowana 1808 w książce o 378 stronicach, wydanej przez Macieja Chmielewskiego pod tytułem: „Krótki zbiór pieśni, wierszy i mów, przy rozmaitych uroczystościach i t. d.” Bentkowski, chociaż spółczesny, zbiór ten ciekawy, opuszcza).

28. Katechizm mniejszy i większy, dzieło pośmiertne ś. p. biskupa Albertrandego, na wszystkie szkoły, pensye, i dla sposobnych dla świetlejszego (*sic*) wychowania i ćwiczenia. Nakładem J. Zawadzkiego, w 8ce 1817 i 1818 Wilno; 1823 Warszawa, 1851 Wilno,—oraz 1830 Wilno nakładem i drukiem Glücksberga.



29. Panowanie Henryka Walezjusza i Stefana Batorego, królów polskich, wyjęte z rękopismów Albertrandego przez Żegotę ONacewicza profesora Historii przy uniwersytecie Wileńskim. W Warszawie w drukarni Zawadzkiego i Węckiego, z wizerunkami (Henryka Walezjusza, Bekiesza dowódcy jazdy Węgierskiej i Anny Jagiellonki żony Stefana Batorego) dodatkiem przypisów wydawcy w T. I od str. 282 do 320, w T. II 263—272) i przywilejem nadanym uniwersytetowi wileńskiemu (na str. XLVII tomu II) w 8ce T. I str. VII 319 i nieliczb. 5, T. II str. 272, XLVII i nl. 19.

30. Drugie tychże panowań wydanie, wyszło w Krakowie 1849 r. w 8ce większej str. VII i 435 z dołączeniem Pamiętników historii Stefana Batorego dotyczących, zebranych przez Edwarda Raczyńskiego. (Nakładem J. Czecha z dwoma drzeworytami starými krakowskiemi, na odwrotnych okładek stronach, wystawującemi Henryka Walezego i Stefana Batorego).

31. Panowanie Kazimierza, Jana Alberta i Aleksandra Jagiellończyków, królów polskich i wielkich książąt litewskich, wyjęte z rękopismów J. Albertrandego. Wydał Żegota ONacewicz. Warszawa, nakładem i drukiem Brzeziny. (Professor wileński umieścił tu na czele krótki rzut o dziejach litewskich). W ósemce 1826 T. I str. XXI i 266 z ryciną; T. II str. 307, nl. 5, dwie tablice i mapka.

32. Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagiełły króla polskiego. Wydanie Edwarda Raczyńskiego). Wrocław 1845 w 8ce, str. VI, 276 i nieliczb. 2.

33. Pamiętniki o dawniej Polsce z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy Jana Franciszka Comendoni do Karola Boromeusza. Z biblioteki barberzyńskiej, zebrał Jan Albertrandi biskup zenopoliński; z rękopismów włoskich i łacińskich wytłumażył Józef Krzeczkowski. Wiadomość o życiu Comendoniego, tudzież potrzebne sprostowania i objaśnienia dodał Mikołaj Malinowski. (Z przemowy wiadać że i znaczną część przekładu, tenże Malinowski dokończył). Wilno. Nakład R. Dajena, T. I 1847 str. LVIII, 268 i nieliczb. 4.—T II str. 328 i nl. 8, r. 1851.

34. De potestate episcoporum circa Verbi Divini praedicationem. 1794 Varsaviae in 4to.

35. Rozprawa o Analizie.

36. *Historica Russiae Monumenta*; 1842. Petropoli T. I. Przemowy str. XV, indexu od IX do XXII i 399 in 4to T. II z napisem *Monumenta*, str. VII, 448, indexu XIII. Ważne to dzieło, po większej części złożone z wypisów Albertrandego, powstało następnym sposobem: Król Stanisław August, z którego polece-

nia jeździł po te zasoby dziejowe Albertrandi, kazał z niektórych jego rękopismów przekopijować wiele wyjątków, z opuszczeniem niektórych rzeczy tyczących się Rosyi—i darował je posłowi J. J. Bułhakowi, od którego dostał A. J. Turgienjew, i powiększwszy nieco własnymi zbiorami, wydał w Petersburgu pod mianem *Monumentów*. Nim ten rękopism został wydrukowany, miał go w swych rękach dziejopisarz Karamzin i użył do tomów: 3, 7, 8, 9, 10, 11 i 12 historii państwa rosyjskiego. Porównaliśmy *Monumenta historica Russiae z Iter italicum* i umieściliśmy w Słowniku wykaz artykułów z Albertrandego czerpanych przez Turgienjewa.

37. Gabinetu medalów polskich, pierwsze trzy tomy, wydane przez Edwarda Raczyńskiego, są prawie zupełnie wzięte z rękopismu Albertrandego złożonego w Bibliotece b. Towarzystwa przyjaciół nauk pod napisem: *Historia polska, ostatnich trzech wieków medalami zaświadczone i objaśniona*. (Patrz Hist. liter. pol. Bentkowskiego T. II, str. 611 i tegoż rozbiór *Gabinetu med. E. Raczyńskiego* w Bibliotece warszawskiej z 1844 r. T. II str. 706, oraz sprawozdania ostatniego prezesa b. Towarzystwa przyjaciół nauk, drukowane w *Rocznikach* tegoż towarzystwa). Królewskie Towarzystwo przyjaciół nauk miało swym kosztem wydać tę dwuchstu-arkuszową pracę Albertrandego w części po polsku, a w niejakijsz części i po francuzku dokonaną. Wstęp napisał już był Stanisław Potocki minister; Feliks Bentkowski: Skreślił dopełnienia, które potem wyszły w dziełku, spis medalów polskich; Władysław Ostrowski miał redagować tekst francuzki, a Henryk Lubomirski kazał swym kosztem przygotowywać ryciny. W roku 1828 już przeszło trzysta blach, gotowych do odbicia medalów przysposobiono. Miedź tę sprzedano potem przez licytację publiczną.

W *Zabawach przyjemnych i pożytecznych, z sławnych tego wieku autorów zebranych* (Warsz. 1770 do 1777), których, przed Naruszewiczem, był redaktorem aż do chwili wyjazdu swego za granicę w roku 1771. <sup>1)</sup> napisał *przedmowę*, oraz umieścił następnne artykuły:

Mowa o nieśmiertelności imienia (T. I str. 3).—Rada dla zwierząt (z Lafontaine) tamże str. 39.—Rozmowa między Aleksandrem i Dyogenesem, (t. I s. 49). Mowa Cyrusa umierającego (T. I s. 55).—Mowa o po-

<sup>1)</sup> Bentkowski przeciwnie, lubo bezzasadnie, utrzymuje, że wprzód był wydawcą Naruszewicz, a potem Albertrandi, (T. I str. 609).—Michał Groell inaczéj mówi, jako nakładca w *Sielankach polskich* 1778 str. 3 przedmowy.



znawaniu, krasomówcy potrzebném człowieka T. I, str. 65.— Rozmowa między ambycją i ospałością T. I str. 113.— Sen Arystobula T. I. s. 120.— Suknia grunt, satyra T. I str. 129.— Mowa o początku i skutkach żądzy onój, tak powszechnój, podania imienia swego potomności, T. I str. 145.— Rozmowa między Sokratesem i Ewagorą T. I str. 193.— Mowa o pożytku nauk i umiejętności T. I str. 235.— Drugi sen Arystobula filozofa greckiego T. I str. 299.— Mowa o pożytku nauk i umiejętności T. I str. 235.— O pożytkach pokoju mowa T. I str. 331.— Sen Scypiona, z Cycrona (T. II str. 18).— Sen trzeci Arystobula filozofa greckiego T. II str. 43.— O kamieniu i dyamencie, powieść arabska T. II str. 49.— Rozmowa nad Stygiem i t. d. T. II str. 94.— Mowa, że prawdziwe szczęście zawisło na uszczęśliwieniu drugich, T. II str. 105.— Rozmowa na polach elizejskich między Tytem, Wespazyanem i Scypionem T. I str. 121.— Mowa, że niemasz dla ludzi zacnych większego zaszczytu, jak nauki darzyć obroną T. II str. 153.— Rozmowa w polach elizejskich (między Aleksandrem Wielkim i Karolem XII) (T. II str. 169).— Mowa o pożytkach pracy T. II str. 233.— Mowa o postępach nauk, T. str. 252.— Rozmowa między Syllą i Eukratesem, T. II str. 281.— Oda o nadziei, T. V str. 363.— Mowa p. t. Znak pewny wspaniałości umysłu, gdy honory człeka lepszym czynią, T. VII str. 258.— Mowa o pożytku z oracza w porównaniu z handlarzem T. VIII str. 46. Oda do Czasu, T. X str. 241.— Oda: Wojna, T. XIII str. 329.

W *Monitorze*, piśmie czasowém, od 1764 do 1784 roku wydawaném, wiele się mieści artykułów bezimiennych Albertrandego.

W Dziele: *Opera posthuma Sarbiewii* 1769 roku przez Bohomolca wydaném, znajdują się tłumaczone przez księdza Albertrandego na język polski niektóre Sarbiewskiego pieśni.

W *Muzeum domowém albo Czytelnii wieczornój* redakcyi F. S. Dmochowskiego, mieszczą się *Listy* do Piusa Kicińskiego, pisywane 1789 i 1790 r. z wycieczki Zbieracza naszego do Stockholmu, 1836 r. w Numerach: 29 (str. 225 6); 30 (str. 237 do 239); 33 (str. 263 i 4); 35 (str. 279—280); i 41 (str. 326—228); oraz w r. 1837 Nr 15 i 16 (od str. 121 do 125). Listów tych, było X, udzielonych wydawcy przez Brunona Kicińskiego, syna Piusa.

W *Archiwum domowém* Wojcickiego jest przedruk tychże listów; 1856 r. str. 137 do 177. Tenże wydał: kazania i nauki 1858 str. 422 z poprtr.

W *Dzienniku wileńskim* z r. 1815 i 1816 Symon

Zukowski, z rękopismów (znajdujących się niegdys w bibliotece b. Uniwersytetu wileńskiego, któreśmy przejrzeni), umieścił *Listy Kromera*; — w r. zaś 1817 w temże czasopiśmie były, tłumaczone z jego ręk opis: *Medalu Stanisława Konarskiego* (z fran.) 1818 *Wyjatek z Życia Zygmunta Augusta, charakter jego, i życie prywatne zawierający, kończący opisanie panowania jego, przez lat, od śmierci ojca* 23.

W Bibliotece Stanisława Kosseckiego b. Referendarza Stanu, bogatęj w rzadkości tyczące się piśmiennictwa polskiego, znajdują się autografy Albertrandego po francuzku, opisujące podróż jego na Północ, z których dawać będziem wyjątki w przekładzie polskim, zaczynając od:

### SKÖG KLOSTER.

Udając się drugą bramą ze Sztokolmu, na drodze wiodącej do Upsalu, płynie się jeziorem Meller i po godzinnej żegludze przybywa się do zamku położonego na jednej z wysepek, któremi to jezioro jest zasiane. Równie się tam dostać można, czy wodą, (bo jezioro pod Sztokolmem zaczyna się;) czy też lądem, lecz ta droga dłuższa i mniej wygodniejsza dla objazdów koniecznych, a zawsze jednak trzeba przepłynąć odnogi jeziora, które ten zamek odłączają od przyległych mu lądów. Niegdys był tam bogaty klasztor, założony w wieku XIII, dla Bernardynek, czy też Cystersów. Nie pozostało z tego klasztoru nic więcej tylko szczątki murów, które widać w pobliskim polu. Zmiana religii zrzuciła iż ta posiadłość przeszła w inne ręce. W przeszłym wieku należał zamek do rodziny Wrangel'a, przez zameście jedynęj tej rodziny sukcesorki, dostał się najdawniejszój w Szwecyi i najpierwszój wrzędzie szlachty, rodzinie Brahe. Zdaleka dość pięknie zamek okazuje się, przypomina zupełnie zamek Jazdowa czyli Ujazdowa, taki jaki był za czasów książąt Lubomirskich. Jest to najakuratniejszy kwadrat, mający z każdój strony po jedenaście okien, rogi kwadratów kończą się wieżami spiczastemi, dotykających się zamku tylko jedną częścią ósmiokątu w któren są utworzone. Z każdój strony zamek ma dół, dwa piętra i wystawę, wieże mają jedno piętro więcej i tém tylko piętrem przewyższają pałac. Pokryte dość pięknie i zakończone w globusy z kęgami. Dach pobity jest dachówką, wyższe zaś części wież miedzią; wszystko tam jest proste, bez żadnych ozdób nawet przy oknach i przy główném wejściu. Wewnątrz przedsionek ozdobiony podwójnemi kolumnami, na piedestalach, porządku Jońskiego, lecz że kolumny nie były robione do tego miejsca, musiano go podwyższyć i sklepienie na nich zakoń-



czyć zupełnie nie jest proporcjonalnem. Te kolumny i ich podstawy z marmuru kararyjskiego są darem królowej Krystyny; dar ten następcy pierwszych donatarjuszów drogo opłacili, gdyż przy prawném dochodzeniu należności dla króla za przywileje uczone przez swoich poprzedników, Karol XI nietylko wartość darowizny, ale nadto za używalność jej wysoko ocenioną, kazał sobie zapłacić.

Wschody z kamienia krajowego są szerokie i bardzo wygodne; raz tam wszedłszy okazuje się korytarz kwadratowy, na któren mnóstwo drzwi wychodzi jak to bywa po klasztorach; żadne z tych drzwi nie oznaczają wejścia do głównego mieszkania. Korytarz jest malowany i przedstawia na murach między-oknowych towarzyszy świetnych zwycięstw, sławnego generała Wrangla, który najwięcej odznaczył się w wojnie 30-letniej; reszta muru napełniona rozmaitemi godłami, dewizami po łacinie, po francuzku, szwedzku, niemiecku i włosku, i symbolami nadedrzwiemi, które służą do dojścia dla szukających takich lub owakich drzwi.

Komnaty jak się domyśleć można są rozległe, posadzki w nich z desek a czasem w niektórych salach z marmuru. Bez sufitu, belki są tylko rzeźbione, złoczone lub malowane. Jest dwie czy trzy sale mające sufity, które szczególniejszym sposobem przybrali w olbrzymie statuy, tak wystające że w każdej chwili wzbudzają obawę aby nie zostać przez nie zgruchotanym. Sprzęty nie mają nic odznaczającego się; siedzenia pokryte są złoconą skórą, tkaninami jakich dawniej używano na obicia, rozmaitemi dziś nie używanymi materjami, złotem, wyszywanym aksamitem. Jest wiele gabinetów chińskich pięknych wprawdzie, lecz właściwym przeszłym tylko wiekom; mnóstwo portretów rodzin Wrangel i Brahé i innych rodzin mających znaczenie w Szwecyi; jest także portret hrabiny Königsmark, i portret Potockiej na którego odwrotnej stronie jest napis który przepisałem: *Pani Potocka wojewodzina kijowska. J. Starbus pinxit 1712 in Christianstadt.*

Hrabia Wrangel nie mieszka, bywa tylko w przejeździe, zdaje się iż dla tego że hrabina, z domu hrabiów Gaes, ma wstręt do długiej wodą prowadzącej drogi, to jest przyczyną że zamek jest w zaniedbaniu, i z dawnymi tylko swemi ozdobami. W różnych w nim mieszkaniach, tak obszerne, tak grube są kominy i tak wiele zajmujące miejsca w komnatach, że możnaby z nich bardzo wygodne utworzyć buduary.

Drugie piętro ma kilka pokoi na wypadek potrzeby, reszta przeznaczona na pomieszkanie dla dworu

pańskiego. Trzecie piętro jest zupełnie przedzielone na bibliotekę i zbroje. W jednym z pryncypalnych pokoi 1go piętra, jest obicie Gniewosza; oprócz tego są jeszcze dwa inne pokoje które rodzajem ścięgu haftu i materją, zdaje się iż należeć musiały do tegoż samego pałata: w jednym wystawione narodzenie, w drugim krzyżowanie Zbawiciela naszego. Biblioteka składa się z 6ciu do 7miu wielkich pokoi, bez żadnych ozdób, szafy są skromne i mogą w sobie mieścić 18 do 20 tysięcy tomów. Rękopisma szwedzkie, greckie, arabskie, łacińskie są w szafach zamknięte na klucz, reszta bez porządku porozrzucana, w pakach, w kufkach, nie ma katalogu tej części; lecz książek drukowanych chociaż bardzo niedokładny spis znajduje się.

Ten był mi udzielony w Sztokolmie przez hrabiego, miałem tedy czas zrobić z niego wyciąg ściągający się do potrzebnego mi przedmiotu.

Co do rękopisów, te w czasie podwójnej po 24 godzinnej bytności w Skög-Kloster z wielką uwagą przeglądałem, lecz nie wątpię abym kilku z nich nie opuścił, tak dla pośpiechu jako też i wielkiego nieładu w jakim się znajdują; jednakże zdołałem porobić z nich wyciągi dosyć szczegółowe.

Na tém samém piętrze jest 7 do 8 pokoi całych zapełnionych bronią po większej części starodawną: byłoby czém uzbroić ze dwa pułki; ale są to wszystko fuzje, pistolety i palne bronie przeszłych wieków. Jest ogromna ilość, pałaszy, dzid, mieczy, noży wszystkich narodów, siodeł a pomiędzy temi są polskie, niektóre z nich bardzo bogate haftami, turkusami etc. i wiele narzędzi śmiertciodajnych, nawet zatrutych.

Dziedziniec tu kwadratowy, okolony arkadami, ma z dwóch stron po 8 armat, z herbami Wrangla; na przeciw wchodu głównego jest wejście do ogrodu bardzo obszerne w którym dużo jest ulic, altan i parterów ozdobionych drzewami w rozmaite kształty obcinanymi. Nie daleko od pałacu jest kościół budowy gotyckiej wzniesiony XIV wieku w którym nic godnego uwagi nie ma, prócz kaplicy ośmiokątnej do kościoła w której znajduje się nagrobek sławnego generała Wrangla. Jest-to samotny pomnik w podłużny kwadrat, ozdobiony cienkimi marmurowymi kolumnami, na tym pomniku leży posąg generała całkowicie uzbrojonego; jest drugi raz wystawiony na koniu na murze wprost nóg na pomniku; na ścianie z lewej strony jest powieszona kompletna zbroja generała z mieczem jego własnym; horyzontalnie nad pomnikiem pozawieszano wielką ilość dzid rozmaitej długości i kształtu.



## ŁOBZÓW.

Nie ma już dziś szczątków pałacu letniego, który Kazimierza Wielkiego był dziełem! Pałac ten stanął w 1357 roku, a rozwaliny jego leżące nad sadzawką ku wschodowi stosunkowo do teraźniejszego pałacu, dopiero w początku XIX wieku rozebrane zostały. Roku 1778, podróżujący i przejeżdżający przez Polskę Viliam Coxe wspomina w opisie podróży swój, iż widział w szczątkach pałacu łobzowskiego kamień na którym wykutym był Orzeł polski, lecz napisy były już tak zatarte że tylko wyczytać mógł gotyckimi literami: Anno Domini MCCCLVII. Kamień ten wyjęty przez Elżbietę Czartoryską przeniesionym był do domku gotyckiego w Puławach.

Przejdźmy pokrótce czasy sławnych w historii ludzi, którzy przebywali w murach dziś już zniszczonych, tak zwanego dawniej zamku łobzowskiego. Najpierw po ukończeniu gmachu zajęła komnaty jego piękna Czeszka Rokiczana; lecz wkrótce mimo tak rzadkiej piękności swój, wypadła z łask królewskich, i ustąpić musiała sławniej Esterze. Miejsce tak ozdobne, jedyne w owych czasach wiejskie ustronie, pełne powabu, tak bliskie miastu, stosowne było do roman-sowych królewskich rozrywek. Jednakże królowie polscy religijni i moralni, nie radzi byli słabości swoich na widok publiczny wystawiać. Pierwszy to był na taki cel wystawiony przez króla polskiego zamek, pierwszy i ostatni raz w murach jego chroniły się nie-prawe uczucia, co tak dla kraju było dziwnym i nadzwyczajnym zdarzeniem, iż wszystkie kroniki, różnego rodzaju opowiadania, ciągle powtarzały z ubolewaniem: że tak wielki król, w tak *ciężką, grzeszną, sromotną wpadł miłośćkę*. Przebaczyc mu ją można dla wielkich czynów jego. Przebywając w Łobzowie, nie samym oddał się uciechom. Wychodził często na błonia, rozmawiał z kmiotkami, którzy mając przystęp do monarchy zewsząd się doń schodzili. Bydź może że tam właśnie zdala od zgiełku, miał czas wypracować te prawa czyniące chlubę całemu narodowi, prawa, któremi wyprzedził wieki, jak to np. zniesienie kary śmierci, przypuszczenie kmieci do równych<sup>1</sup> ze szlachtą sądów, nadanie

im prawa zapewniającego własności ich, równie jak własności szlachcie, a to w pierwszej połowie XIV wieku, kiedy na Zachodzie feudalizm najokropniejszych dopuszczał się okrucieństw, kiedy we Francji, chłopci dzieląc się na różne rodzaje poddanych, byli gorzej od zwierząt uważani, między innemi jedni z nich zwani: *martwej ręki* (*main morte*) bez własności, bez kąta własnego, bez jednéj chwili mogącej być użytą na własność ich, tak dalece należeli do pana, że po śmierci ucinano im rękę, i przyniesioną do pana na znak że jeden z pracujących ubył, zawieszano w przedzionku razem z rogami ubitego jelenia, lub podobnego, świadczącego o zdobyczy pańskiej, zwierza. Nie miała więc Polska przykładowi od sąsiadów którzy tylko powierchownie, w literze a nie w duchu przyjęli chrześcijańską wiarę; czerpała wszystko dobre z siebie i od mężów, którzy, jak biskup Prandota, umieli jęj prawa wiary wyklądać; jak Kazimierz Wielki który te prawa umiał w czyn obracać; to też się niemi rządziła, póki przykład fałszywych w Europie chrześcijan nie zasiał w nięj sprzecznych z nauką Chrystusa czynów, póty garnęły się przyciągane rządami miłości ościenne ludy, póty przodkując innym państwom stała niewzruszona.

Wkrótce po śmierci Kazimierza, mury Łobzowskie już nie siedliskiem rozkoszy, ale przytułkiem dla ciężkiej boleści były przez chwile, gdy piękna Jadwiga postanowiła poświęcić szczęście osobiste dla dobra kraju, gdy ostatecznie z pierwszym swoim ulubieńcem Wilhelmem zerwała. Czy to chciał Wilhelm jeszcze zadziałać widokiem żalu swego na Jadwigę i odwieść ją choćby od Ołtarza? czyli jako zakochany, nie mógł oprzeć się chęci śledzenia jęj wszystkich kroków, przechowywał się w Krakowie przez cały czas wszystkich uroczystości dworskich, podczas wjazdu i zaślubin Jagiełły. Przebrany za kupczyka, nie zwracał na się uwagi. Lecz tajemnica wkrótce wydała się. Przestraszeni panowie polscy, nie dla tego żeby nie ufali tak pełnej cnót dziewicy, lecz ażeby zabezpieczyć spokojność jęj, szukać nakazali Wilhelma;



wtedy-to on, jak świadczy Długosz, uszedł do Łobzowa i w murach zamkowych chowając się zaledwie zehwywania uniknął.

Za panowania Jagiełły i synów jego, nie ważniejszego o zamku Łobzowskim nie przeszło do nas: dopiero za Zygmunta Igo miejsce to wielkiej uroczystości było świadkiem. Wyprawiano do Węgier do wsławionego dziś kąpielami Tręczyna, posłów po córkę wojewody siedmiogrodzkiego Jana Zapolskiego dla króla Zygmunta. Uradowana rodzina Barbary Zapolskiej z tak szczytnego dla niej wyboru, odwoziła narzeczoną królewską. W roku 1512 Barbara w towarzystwie matki swój Jadwigi Zapolskiej, brata swego Janusza i

wuja, otoczona licznym orszakiem, gdyż samych jeźdźców było 800, przybyła do Łobzowa, gdzie ją oczekiwał Zygmunt. Ponieważ to się działo w zimie w początkach lutego, przygotowane strojne podług ówczesnego zwyczaju sanie, czekały na dostojną parę: wsiadłszy w nie, udali się

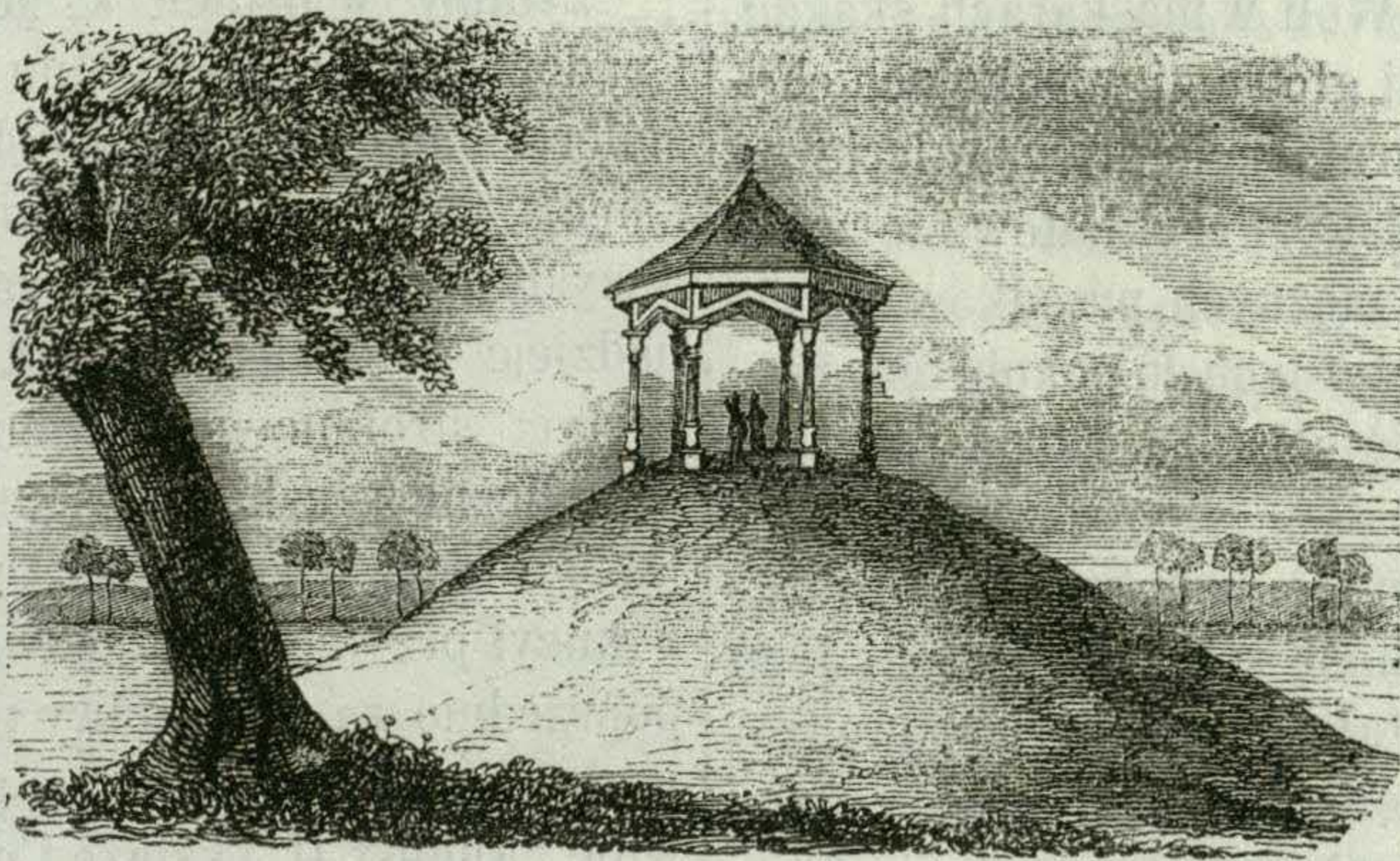
państwo młodzi do zamku krakowskiego, wśród towarzystwa licznych dygnitarzy, gdzie w parę dni potem d. 9 lutego koronowaną była.

Pamiętne tak w całym kraju jak i w dziejach włości Łobzowskiej, szczęśliwe, dobroczynne panowanie Zygmunta I. któreń uwolnił tamtejszych wieśniaków od pańszczyzny, tylko opłaty czynszowe po 12 tynfów im naznaczając; uczynił to na przedstawienie Jana Bonara rajcy krakowskiego. Było to w r. 1507 wtedy już i we Francyi w niektórych okolicach zniesionem zostało nieograniczone poddaństwo, czyli prawo *martwej ręki* i t. p. ale naznaczona w zamian opłata nie była tak umiarkowaną jak wzwyczaj wymieniona w naszym kraju. Przeciwnie biedny chłopiec płacić musiał za wszystko i od wszystkiego, oprócz danin *dowolnie* wybieranych z bydła, obowiązku żywienia myśliwców i psów pańskich podczas polowania; płacił od zebrania wina, od beczki w którą go zlał, od wozu którym go wywiózł, od sprzedaży, od piwnicy

w którą go wstawił i t. p. zaś gdy nie miał czém opłacić, wolno było zadawać mu męki np. wyrwać ząb i t. d.

Zygmunt August także do Łobzowa wyjechał na spotkanie trzeciej swojej małżonki córki Ferdynanda Igo; ależ nieszczęściem dla króla i dla całego kraju wielka była różnica między pierwszym spotkaniem ojca a syna. Rześka Barbara ze słowiańskiej ziemi, obudziła sympatję w małżonku i w poddanych; gdy tymczasem nie, miłej powierzchowności, chorobliwa Austriaczka dla Zygmunta pamiętającego uroczą Barbary swój postać, była wstrętną, tak dalece, że wkrótce zupełnie się rozłączył. Zygmunt August nie lubił zdaje się bywać w Łobzowie, nie mającym dlań żad-

nych miłych pamiątek; chętniej przebywał w Wilnie ukochanym lub w zamku krakowskim. Dopiero Stefan Batory umiłował miłe łobzowskie ustronie, chętnie tam na wypoczynek z małżonką udawał się; to też jakby dla dogodzenia mu, pomimo że w Grodnie umarł, sprowadzone z włoki jego złożono w ko-



Mniemana Mogiła Esterki.

mnatach łobzowskich, a lud zewsząd cisnął się przez trzy dni aby cześć oddać zwłokom walecznego króla; po czém do katedry krakowskiej ze stosowną pogrzebowi wystawą żałobną odprowadzono.

Małżonka Stefana, zacna Anna Jagielonka, ceniąc wszystko co tylko mąż jej lubił za życia, szczególnie zajmowała się szczegółami tyczącemi się czy to pałacu, czy włości łobzowskiej. Stefan Batory bardzo odnowieniem, nieledwie odbudowaniem zajął się pałacu. Ona więc trafiając w myśl jego, gdziekolwiek się znajdowała, zewsząd pisywała nałgające listy (do Szymona Turskiego kustosza skarbu koronnego, do księdza Zajęca kapelana) w których prosi i przypomina, aby tak jak sobie życzył jej małżonek, wewnątrz tego pałacu ukończone zostało. Listy te malują dobrą królowę, która i o płacy dla rzemieślników pamiętała i o drobnych szczegółach: „*aby wszystko z ozdobą, pożytkiem w swą ryzę z dobrą proporcją włożone było, aby pałac z ogrodem, a ogród z gumnem i przyle-*



*znościami dobrze respondowały*” (Listy te znajdują się w Pamiętnikach Niemcewicza).

Zygmunt III także bardzo zajmował się pałacem Łobzowskim. Lubo jeszcze przy końcu zeszłego wieku, na pozostałych szczątkach marmurowych słupów, Viliam Coxe znalazł napis: *Stephanus Dei gratia*, niewątpliwą jest rzeczą iż Zygmunt III przerobił zupełnie pałac, czego dowodem były herby Wazów nad każdym oknem, drzwiami i kominami umieszczone.

Zygmunt lubił bardzo to ustronie, często w niem przebywał oddając się rozrywkom, a że panowie polscy dość byli surowi dla królów swoich, jeden z nich tak się w liście swym o tém upodobaniu króla wyraził:

„Nieprzyjaciel nas sromotnie wojuje, pan o to nie dba i nic go to nie ruszy. Woli w maskarach skakać. To jego zabawa, z białemi głowami w pokojach chędogich siedzieć gdy na instrumencie grają, w lecie po ogrodzie w Łobzowie chodzić. Przykładów nie zażywa onych zacnych królów mężnych, przodków swych, ludzi domów zacnych, starożytnych do pokoju nie przypuszcza, cudzoziemcami się obsadza, naród nasz pogardza.”

Później przeniosłszy stolicę państwa do Warszawy, król w Łobzowie mennicę założył. Zwłoki Jego i żony Konstancyi nim zostały do katedry sprowadzone, także spoczywały w Łobzowie, należącym zawsze do dóbr królewskich: korzystając z tego nienawistna Bona, z jego dochodów znaczne zebrawszy summy, wywozła je do Włoch z innemi skarbami.

Nie ma śladu dawnego stylu w jakim był założony pałac; ogród łobzowski, był także wówczas niewątpliwie celem powszechnego podziwu, gdyż inwentarz z roku 1692 tak go opisuje:

„W ogrodzie są kwatery francuzkie z herbami królestwa bukszpanami zasadzone; około tych kwater płoty, a w kwaterach żołnierz wysadzony z kopiją. W tymże labirynt siany, który teraz sztchetami nowo obwiedziony i drzewkami nasadzony na francuzką modę. Jest tu figarnia, w której drzewa rodzajne z figami.”

Przytaczamy tu późniejsze inwentarze dla wykazania smutnego stopniowania upadku pałacu i ogrodu łobzowskiego:

„W roku 1709, lustracya opisuje: W korpusie pałacowym, prócz małych mieszkań, jest 18 pokojów, ozdobionych odrzwiami, kominkami i posadzką marmurowemi, oraz kaplicą, ale bez ołtarza i pozytywu; wszystko grozi zawaleniem; poboczne budynki w sta-

nie zupełnego zniszczenia, a ogród w znacznej części na łąkę obrócony.

Smutniejszy jeszcze opis inwentarza z roku 1733: „Nad całym pałacem dachy *funditus* zgniłe, które miejscami wiatr i z krokwiemi połamał. Ogród włoski teraz pusty, ulice zarosły; wielka część kwater obrócona na pole do siania zboża. Ogród murem obwarowany, który miejscami jest zły. Figarnia, w której tylko drzewka specjalniejsze bywały i ziola.”

Jan III, idąc pod Wiedeń, w Łobzowie czekał na zbierające się rycerstwo, i odsyłane zdobycze kazał tam składać. Wracając po zwycięztwie, ponieważ to było w końcu grudnia, nie puszczał się już w dalszą podróż, ale w Łobzowie do wiosny pozostał.

Czytamy w listach księdza Polignac'a, obszernie i nader smutne opisy stanu nieszczęśliwej Polski po śmierci Jana III podczas bezkrólewia: gorliwy ten księcia pana swego stronnik, szczegółowo opisuje wszystkie zabiegi, zmniejszające lub zwiększające się nadzieje dla księcia Conti, któren dość silną miał partyę; stronictwo bowiem królewicza Jakóba nie było liczne z łaski matki jego, która obok siła złego jakie Polsce wyrządziła, wprowadziła zwyczaj we Francyi przyjęty, sprzedawania urzędów krajowych, poprzednio za nieuczciwy poczytywany i u nas niepraktykowany. Tak więc powiedzieć można że głównie August II i księżę Conti ubiegali się o koronę Polską. Niechętnie stronicy księcia francuzkiego odstępowali od swoich nadziei, zajmowali jak można było najdłużej zamek krakowski i dla tego August II jako król przez większość głosów uznany, zjechawszy do Polski na koronacyą, zatrzymał się w Łobzowie i tam od 30 lipca do 12 września bawił, gdyż do stolicy dopiero po ustąpieniu z zamku krakowskiego przeciwniej partyi, wjazd swój okazały odprawił. Tenże król w 1706 zamieszkiwał w Łobzowie, i tu zdaje się iż zajmował się ogrodem.

Stanisław August, Łobzów należący zawsze do dóbr koronnych, darował na rzecz akademii krakowskiej, ażeby młodzież téjże akademii miała stosowne miejsce do ćwiczenia się w geometryi. Teraz rząd austryacki zabierając wszystkie dobra akademii na rzecz skarbu, i Łobzów do ich liczby przyłączył, i założył tam korpus kadetów, którego mury przed parą laty. mocno uszkodzone, były jeszcze w początkach wieku naszego, pełne uroku. Zwaliska świadczyły o przeszłej wielkości łobzowskiego zamku: jeszcze w pośród nich rozpoznać można było właściwy kształt rozwalonych filarów, sklepień, gzymsów; to wszystko obrosłe mchem,



z dniem a przynajmniej z rokiem każdym niszczało z powodu deszczów i śniegów. Należało więc przez troskliwość o dawne pamiątki zachować choć jakie takie szczątki; wszyscy się zgodzili na to, a przecież żałowano gdy te stare mury pokryte i naprawione a raczej zabudowane zostały.

Rząd natenczas rzeczypospolitój krakowskiej wypuszczając folwark łobzowski w wieczystą dzierżawę, za główny warunek kontraktu położył odbudowanie domu. Stał tedy tak zwany pałacyk łobzowski i zatarał zupełnie pamięć dawnych zwalisk: wprawdzie służyły one za podstawę do nowój budowli, ale pokryte, obielone, stały się niewidzialnymi dla oka zwiedzającego. Ogród także zatracił ślad owych wysadzanych ulic drzewami figowemi, wspomnianych w lustracyach; znajduje się w nim jeszcze mogiła. Wieść niosła że to był grobowiec Estery. Stanisław August napróżno kazał szukać szczątków jakich; rozkopano mogiłę, lecz nic zupełnie nie znaleziono wewnątrz. Być może bardzo że w późniejszych po Kazimierzu czasach, przy poprawianiu pałacu lub sadzeniu drzew, wyrzucano tam niepotrzebną ziemię, co sformowało mogiłę a skłonna do poetycznych legend wyobraźnia ludowa zrobiła z niej miejsce wiecznego schronienia dla zwłok pięknej Esterki, oknem wyrzuconej z zamku; jak mówili jedni, zamordowanej przez nieprzyjaciół, jak się domyślali inni, a potajemnie pochowanej w ogrodzie królewskim. Gdy to przypuszczenie bajeczném okazuje się, nie ma już Łobzów nic, coby oko szukającego dawnych pamiątek podróznego zadowolnić mogło. Lecz za to żyjącym pomnikiem wielkich Łobzowa dziedziców jest stan włości tamtejszych, jakby na próbę jakimś wieśniacy być powinni i być mogą, jakby na zadanie fałszu ludziom, których nieszczęściem spotkać jeszcze nie dawno można było, dowodzących że wyższa oświata psuje chłopca i od rolniczej odrywa pracy. Staje, nie jako obrazek przeszłości lub utopja przyszłości, ale obecnie żywy wieśniak łobzowski, zdrowo rozmawiający o potrzebach kraju, a nawet i o naukach; bo zdarza się że

skończywszy nieraz szkoły wyższe, gotów do poświęcenia dla dobra ogółu, trzeźwy, pobożny, spieszy ochoczo czy to na obrzędy religijne, czy na uroczystości mające uczcić kraju pamiątki: nie ma już w nim nieufności, lęklivosti niewolnika, nie ma uprzedzenia do okolicznej szlachty i panów, owszem każdego z nich umie on ocenić, złe ganiąc, chwając dobre. A ten wieśniak mający sąd zdrowy o wszystkim, czytający pisma publiczne, rozmawiający o najważniejszych kwestyach z najwykształceńszymi ludźmi przybywającymi z Krakowa, kochający wiarę i ziemię przodków swoich, sam tej ziemi odwraca skiby, bo on rolnik z naddziadów. Białej jak śnieg, karmazynowym jedwabiem wyszytej, ukochanej siermięgi nie zmienił na frak lub surdut; tyle tylko że ta jest z cieńszego sukna, że czasem cała karmazynem podbita, o ile mu praca jego pozwala na to łożyć.

Miło nam powiedzieć że dziś już nie tylko wieśniak Łobzowski, ten prototyp polskiego kmiecia, ściąga uwagę zwiedzających okolice krakowskie ziomków: niektóre wsie z okręgu, lubo wiekami całemi oddalone od warunków w jakich się łobzowianin chował, (gdyż dopiero od 1815 zostali zaopatrzeni w szkółki i oczynszowani,) przecież tak szybko postąpili w cywilizacyi, iż tam także spotkać można wieśniaka który uniwersytet jagielloński skończył, a wróciwszy do roli, w czasie wolnym, najmuje się za furmana.

Wstrzemięźliwość od lat dwudziestu kilku zaprowadzona najpierw w Liszkowie ku stronie Szlązka położonej, a później w innych za wzór cytowanych wsiach, głównie przyczyniła się do tak szybkiego moralnego i materialnego wzrostu tych włości. Oby żyjący przykład błogosławionych skutków wstrzemięźliwości i oświaty, zachęcił właścicieli w całym kraju do przyczynienia się do tak wielkiego ogólnego dla wszystkich stanów dobra, jakim jest podniesienie moralne, nieszczęściem z winy przodków naszych zaniedbanego ludu. Oby Łobzowianie nie byli dla nas osobliwością!

S.

## MOGIŁA KOŚCIUSZKI.

Po nad Krakowem w stronie Zachodniej, zaraz na przedmieściu Zwierzyńcem zwaném, gdzie klasztor Norbertanek, leży góra ongi mianowana Sikorki, a później z powodu kapliczki na cześć świętej Bronisławy wystawionej, przezwana Górą świętej Bronisławy. Kaplica zaś postawioną była na uszanowanie pamięci



młodej i nader świątobliwej dziewicy, która świat opuściwszy do Norbertanek się udała i tam, lat 40 mając życia dokonała. Pochodziła z rodziny Odrowążów, która pamiętną stała się w dziejach kościoła naszego, bo dała trzech błogosławionych. Na tej to górze, błog. Bronisława, długie odbywała modlitwy.

Góra nosząca jej miano wyższą jest znacznie od mogił Krakusa i Wandy. Tak wielka wyniosłość miejsca, w bliskości miasta, nazwa stosownie brzmiąca, — wszystko-to spowodowało, iż to miejsce a nie inne obra- no na usypanie mogiły dla Kościuszki.

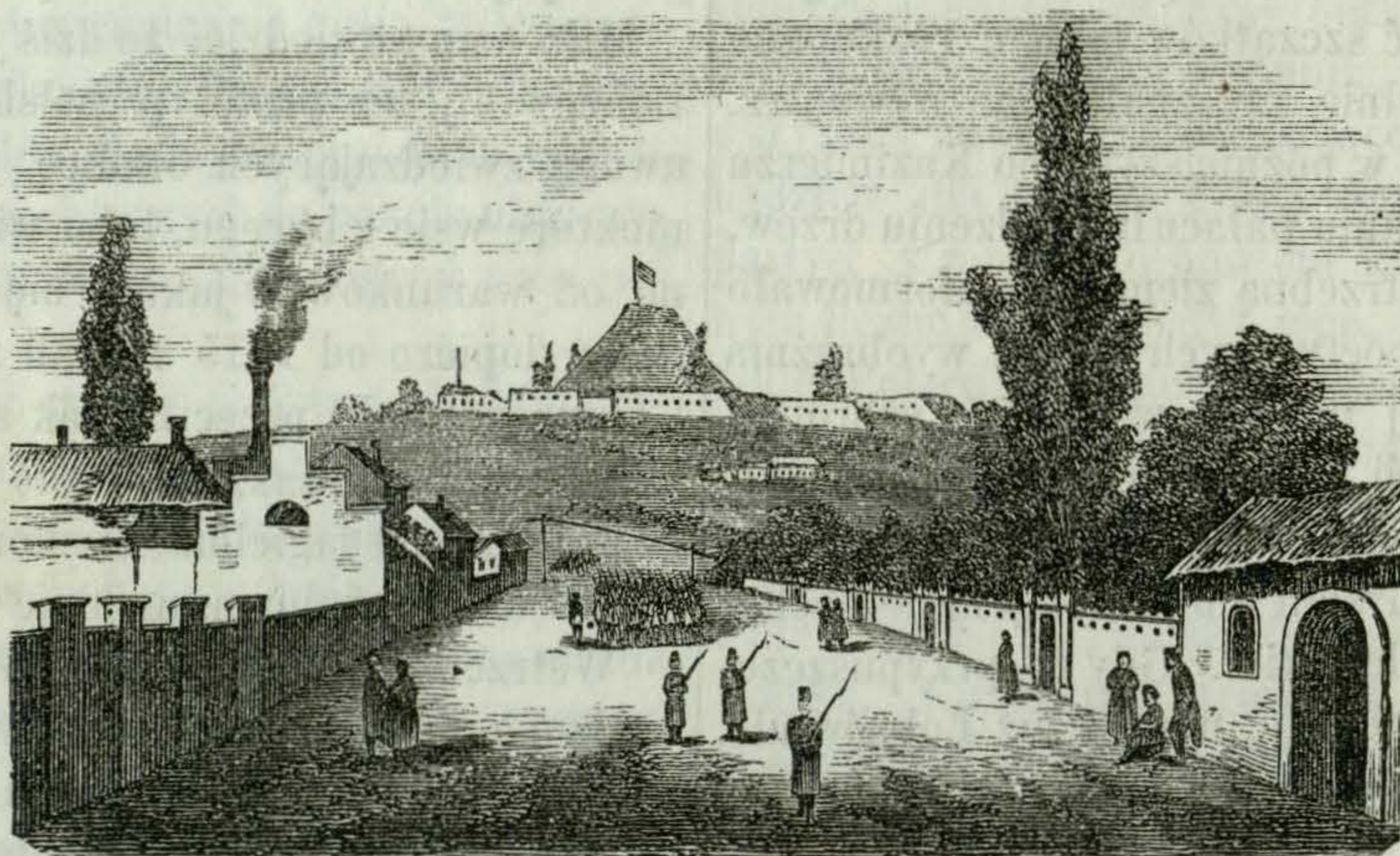
Gdy zwłoki sławego męża sprowadzono kosztem skarbu królestwa i pozwolenie na postanowienie pomnika otrzymano, wtedy senat krakowski przeszło dwa lata rozważał, jakiby rodzaj pomnika godnie odpowiedział temu zadaniu? dopiero w d. 19 lipca 1820 roku Senat uchwalił, ażeby pomnikiem dla niego była mogiła przez rodaków usypana, z marmurową tablicą na szczycie, z wyrytym imieniem Kościuszki. Mając przed oczyma 2ch mogił pamięci Krakusa i Wandy poświęconych z bajecznych cza-

sów historii naszej postać; nie dziwnego że Krakowianie pomyśleli, że taki a nie inny pomnik najlepiej odpowie wszystkim wymaganiom; jako najprostszy a tym samym zgodny z usposobieniem bohatera; jako najtrwalszy i jako dający możność ludowi, któren tak ukochał Kościuszko, wywdzięczyc się mu za miłość i poświęcenie, w sposób tak dla tegoż ludu przystępny i właściwy. Zrozumiał myśl tę lud krakowski i gromadnie cisnął się aby sypać ziemię na grób ulubieńca swego.

Zwłoki Kościuszki, jak wiadomo, w grobach na Wawelu złożono; naruszać ich niepodobna było, powzięto więc myśl piękną, aby w zastępstwie ich ziemię zmieszaną z krwią jego, ziemię na której raz ostatni walczył, sprowadzić z Maciejowic i Raławic i na dnie mogiły umieścić. Znaleźli się przy życiu waleczni którzy obok Kościuszki bili się w owym dniu pa-

miętnym, i oświadczyli się że gotowi są udać się na miejsce dla sprowadzenia ziemi. Skoro nadeszło pozwolenie a raczej upoważnienie aby miejscowe władze nie stawiały jakiegobądź oporu, wtedy Kościuszkowski kapitan Jakób Czerniński, b. porucznik gwardyi miasta Krakowa Szymon Benda, i porucznik Gaspar Piątkowski, wyjechali na miejsce. Nadto się wbiło w pamięć wojaków położenie na którym obok wodza walczyli, gdzie stracili walecznych towarzyszy! Przybywszy na raławickie pola poznali to miejsce natychmiast; lecz ta część pola stała się od owego czasu, własnością ubożego garncarza, któren na niem piec garncarski wystawił. Udają się więc do niego z prośbą aby zechciał sprzedać im piec swój. Dowiedziawszy się o powodzie, dla którego piec był im

potrzebny, odmówił przyjęcia jakiegokolwiek wynagrodzenia, ocho-  
czo razem z sąsiedzami wziął się do rozwalania pracy swojej, do kopania ziemi, napełnionej szczątkami poległych rodaków, skropionej krwią żyjącego w pamięci jego Kościuszki. Nie pomylił się kapitan, odkopano mnóstwo kości, które wraz z zie-



Mogiła Kościuszki.

mią złożone zostały w ogromną na ten cel sporządzoną Urnę. Po czém udali się na miejsce gdzie kossyniery krakowskie walecznością się odznaczyli, gdzie sławni Gwizdzicki i Głowacki po trupach wdarłszy się na armaty, bez innej jak kosy broni, walczyli aż do wzięcia bateryi; nabrali z tegoż miejsca ziemi, także ze szczątkami kości poległych, i złożywszy w ową urnę, umieścili ją na karawanie; wzięwszy poświadczenie od miejscowej władzy, iż istotnie z tych miejsc braną była ziemia, udali się na powrót do Krakowa, odprowadzeni przez mnóstwo ludu z okolic przyległych.

Przy bramie Florjańskiej, przez którą niegdyś na bitwę pod Raławicę wychodzili wojownicy ze swym wodzem, czekały wszystkie cechy krakowskie wraz z mieszkańcami na przyjęcie karawanu wiozącego szczątki wojowników. Tak otoczony karawan zająchał na Górę Bronisławy, gdzie wystrzałami z dział











powitanym został, a po odbytem nabożeństwie w kaplicy i poświęceniu szczątków zmarłych, złożono w ziemię urnę i zaczęto sypać mogiłę.

Jakkolwiek niegodzi się na cyfry matematyczne obliczać poświęceń ogółu i wymiaru czci dla wielkiego meża, któremu panujący i wszystkie narody, zasłużoną oddali sprawiedliwość,—jednakże dla wiadomości statystycznej i zadośćuczynienia ciekawości niektórych czytelników, przytoczymy tu, iż wydatków było około 170,000 złp. (z właściwą ścisłością sprawozdawczą złp. 169,246 gr. 8) które nie przenosiły jednak składek, daleko większych.

Od roku 1821 do 1825 włącznie, przez cały czas sypania mogiły, pracowało dużo rąk ochoczych i biedniejszych, opłacanych ze składek: ludzi pieszych było 62,364; z wozami 26,437, czyli razem 88,801.

Franciszek Szopowicz professor matematyki w uniwersytecie Jagiellońskim, z Pawłem Florkiewiczem jeometrą i professorem gimnazjum krakowskiego świętej Anny, wymierzili bryłowatość pomnika Kościuszki (zajętego dziś, tak samo jak i za-

mek z katedrą, pod twierdzą) która jest trzykroć większa od bryłowatości mogiły Krakusa i Wandy razem wziętych. Mogiła Tadeuszowa od Krakusa odległa jest o sążni 2618; od Wandy sążni 6603; a mogiła Krakusa od mogiły Wandy 4518 sążni.

Na czele Komitetu trudniącego się tą pamiątką krajową był s. p. generał Franciszek Paszkowski, pod którego sterem wyszła książka, nosząca tytuł: „Pamiętnik budowy pomnika Tadeusza Kościuszki, przez Komitet zarządzający tą budową wydany, 1826 r. w Krakowie.” Tu załączono wykonaną w litografii Wyszowskiego rycinę modeli i sypanych warstw mogiły, oraz kilka planów zrobionych przez Florkiewicza, a mianowicie, położenia góry świętej Bronisławy, wymiarów odległości trzech mogił i domku, w którymby mieszkała osada wieśniacza, uwieczniająca pamięć bohatera.

Do tejże, dziś dość rzadkiej już książki, dodano wydrukowaną w 1822 roku w Krakowie „listę imienną osób składających ofiarę na pomnik T. K.”

Za pozostałą sumę składkową od kosztów sypania mogiły, uposażono sieroty. S.

## MIECZAKI.

(Z RYCINĄ.)

Tak nazywamy zwierzęta których organizacja podobna do organizacyi ostryg, ślimaków i t. d.

Mieczaki mają ciało miękkie, bez szkieletu i kości pacierzowej (kręgosłupa); bywają pokryte muszlą, mają system nerwowy ganglioniczny, serce kilka lub jedno.

Muszkuly u tych tworów przymocowane do dwóch punktów skóry, stanowią tkaninę mniej więcej ściśnioną a za pomocą przedłużania albo ściągania pewnych części swego ciała, mieczaki czołgają się po ziemi, pływają po wodzie, lub chwytają pokarmy.

Zmysł najwyższy u nich rozwinięty jest zmysł dotykania. Skórę mają nader drażliwą. Wzrok i powonienie bywa udziałem niektórych mieczaków, lecz są takie co ani węchu, ani słuchu, ani wzroku mieć nie mogą, albowiem nie wykryto u nich żadnego śladu tych zmysłów.

Krew mieczaków biała lub niebieskawa, bardzo wodnista. Żyją w wodzie i w powietrzu; jedne więc mają skrzela do oddychania, drugie płuca.

Tablica tu przyłączona wyobraża pod Nrem I. po raz drugi muszlę wielkiego skrzydło-pława *Strombus Gigas*; brzeżek otworu tej muszli jeszcze się w kształcie skrzydła nie rozwinął. Jużemy w r. 1856 zamieścili w Księdze Świata, wizerunek podobnego żyjątko także nierozwiniętego choć już w swój niedojrzałości długie było na stopę. Ten skrzydłopław przebywa w morzu Antylskim, na brzegach Kuby, Jamajki, Haity i t. d.

Fig. 2ga wystawia bardzo podobną gatunkiem do pierwszej, *muszlę palczatą* (*Pterocera rugosa*). Podobieństwo zawisło na budowie skorupy muszlowej tych dwóch mieczaków ale barwa i kształt są zupełnie różne. *Muszla palczata* ma sześć lub więcej długich zakrzywionych haków, palcami zwanych; jest podługowata, z wierzchu biała, ciemno-czerwono nakrapiana, otwór jej otoczony białymi i czerwonymi prążkami.

Za młodu to żyjątko palców owych niema, długość jego dochodzi wtedy do sześciu cali; później haki po-



większają długość téj muszli. Przebywa ona w wodach oceanu indyjskiego.

Fig. 3cia wyobraża muszlę dwu-skorupową, dla swój budowy nazwaną: *Arka Noego* (Arca Noe L.).

Jest ona wydęta, prawie czworokątna, cała w karbach. Mięwa trzy do czterech cali długości. Bywa biała albo jasno-brunatna po wierzchu; przystrojona ciemno brunatnymi plamami lub smugami. W każdym morzu znaleźć ją łatwo.

Figura czwartym oznaczona numerem jest wizerunkiem dwuskorupowej muszli nazwanej *Czarny młot* (*Malleus vulgaris Lam*)<sup>1)</sup>. Moznaby ją porów-

<sup>1)</sup> Jeden z gatunków tego rodzaju Francuzi nazywają *selle polonaise* (siodło polskie).

nać do litery T. Nazwę tę otrzymała z przyczyny podobieństwa swego do młotka. Skorupa téj muszli, gruba, liściowata i nierówna. Z wierzchu czarna jak atrament, wewnątrz błękitnawa. Ojczyzną jęj Ocean Indyjski, brzegi Indostanu, oraz Australii.

Na figurze piątęj widzimy wyobrażenie żyjątko, nienależącego wcale do mięczaków, chociaż zwykle wapienną otoczone jest skorupą. Należy ono do *pierścionkowatych* (Annelides) z gatunku *Rurówek* (Serpula). Ciało téj *Rurówki* ma kilka kręgow, z przodu zaś podobne do tarczy po której obu stronach, jest pęk włosia twardego jak szczecina. Pyszczyk tego żyjątko opatrzony jest po bokach w strzępki nader pięknych barw. Strzępki te, muszą być rodzajem dychawek.

J. Janiszews....

## ROZMAITOŚCI.

W nadreńskiej prowincyi pruskiej, na północnej stronie Westerwaldu, blisko granic nassauskich, są cztery osady; górny i dolny Dresselndorf, Lützelln i Holzhausen, których mieszkańcy Hikkami zwani, różnią się zupełnie od innych. Mają obyczaje odmienne od Niemców, a niewiadomo jakiego są pochodzenia? Cała kraina nadreńska mieści zabytki najróżnorodniejszych narodów. W Badeńskim *np.* jest wieś zwana Posemugil, przypominająca słowiańską nazwę: Podmogiła. Hikkowie zostawili swoją odrębną cechę, przypominającą pochodzenie północne. Niektórzy mienią ich potomkami żołnierzy szwedzkich z 30letniej wojny, którzy się tam osiedlili. Lecz Szwedzi pojawszy żony niemieckie, przyjęliby i obyczaje niemieckie, gdy tymczasem u kobiet Hikków różność obyczajów jest najwyrazistszą. Są to więc zabytki osad słowiańskich, tu i owdzie po Niemczech rozrzuconych. Mężczyźni bywają smukłego wzrostu, włosów płowych; ubior łatwiej przyjęli obcy niż kobiety; jednak odróżnić ich można od innych sąsiadów niemieckich; noszą suknie jaśniejsze, niebieskie. Kobiety są ładniejsze, rumiane, odznaczają się często delikatnością; w oczach błękitnych lub siwych widna często filuterność, która u niemieckich osadników rzadko się spostrzega. Noszą czépek, który w mnóstwo fałdów układają; fartuch ciemno-niebieski, takież kaftanik z białemi kwiatami, lub ciemnozielony; około szyi mają chustkę ciemno-fijałkową.

Ubiór ten przypomina zupełnie dawnych Słowian około Altenburga lub Łużyczanów. Obyczaje téż Hikków dowodzą pochodzenia słowiańskiego. Mają upodobanie w furmance, schodzą wiele światła, i dawniej zwozili chmiel z Bawaryi do Paryża. Innym dowodem pochodzenia słowiańskiego, jest wstępn do powtórnego małżeństwa. Wdowa niechętnie idzie za mąż po drugi raz; a jeżeli ma dzieci, chociażby i młodą była, nie śmie się podług obyczajów rodzinnych powtórnice wydać. Przed 20 laty wdowa za mąż poszła, a małżonkowie póty nie mieli pokoju, dopóki się z ojczyzny nie wynieśli. Na domach przodem do ulicy obróconych, umieszczają jako ozdoby głowy końskie z drzewa wyrzeźbione. Trzymają się jaknajściślej społem, mianowicie nie żenią i nie wydają się po za obręb swoich czterech wsi. Uczucie pokrewieństwa jest u nich bardzo mocne, i tém różnią się także od swych sąsiadów. Odwiedzają się wzajemnie, a kiermasze odprawiają wesoło, z muzyką i tańcem, w dniach które dla wszystkich czterech gmin są dogodne. Powszechnie wiadomo, że za czasów Ś. Bonifacego (na początku VIII wieku), byli Słowianie w okolicy Fuldy, a później osady ich w téj stronie Niemiec jeszcze bardziej się zagęściły. Dziwna rzecz za prawdę, że pierwotny charakter mieszkańców, po upływie 1000 lat, chociaż nawet mowę swoją zmienili, dotąd został niezatarty.





*Concordiaplatz in Paris.*







## PLAC ZGODY W PARYŻU.

(Z RYCINA)

Może w całym świecie nie ma placu drugiego, którenby mniej prawa posiadał do swego nazwiska jak plac teraz zwany placem Zgody w Paryżu; może nie ma przestrzeni tak małej, bo zaledwie czterysta kroków liczącej, gdzieby tyle niewinnej krwi się lało, co na tym placu.

Na wschód placu widać ogród i pałac Tuilerie; na południe most, Sekwanę i w perspektywie pałac Izby deputowanych; na północ ulicę Rywoli, i kościół Magdaleny; na zachód Pola Elizejskie ze swymi szerokimi alejami i w dali łuk tryumfalny. Obecnie jest to jeden z najpiękniejszych placów, szczególnież wieczorne fontanny i plac cały gazem oświetlony, przedstawia widok czarodziejski, jak z tysiąca i jednej nocy.

Plac ten był założony przez architekta Gabriela w roku 1763 w końcu miasta; wówczas otoczony rowami, które dopiero w późniejszych czasach zasypane zostały, otrzymał nazwisko placu Ludwika XV: posąg konny tegoż króla z brązu stał na środku, i dopiero go w r. 1792 za rozkazem konwencji użyto na odbicie monety dwususowej, a na podstawie ustawiono malowaną boginię wolności z gliny; plac zaś został przezwany placem Rewolucyi.

Od czasu małżeństwa Ludwika XVI z Maryą Antoniną w roku 1770 aż do jego smutnej śmierci, był plac ten placem krwawych scen ciągłych, gdyż z okoliczności tego małżeństwa miasto Paryż wyprawiało festyn i fajerwerki; przez wystrzał rakiety takie powstało zamieszanie w tłumie iż przy ratowaniu się ucieczką, wpychając się w rowy, zostało uduszonych do 1200 osób, a rannych do dwóch tysięcy. Na tymże placu gdzie się odbywał świetny obchód małżeństwa, odbył się też w dniu 21 stycznia 1793 roku nieszczęśliwy koniec Ludwika XVI; z jego głową rozpoczęła się tu rzeź polityczna przez guillotynę! Na tymże placu który obecnie zadziwia swoją pięknoscia, była ścięta Karolina Corday; tu padły głowy wszystkich stronnictw; tu skończył Brissot naczelnik Żyrondystów z dwudziestu i jednym swymi towarzyszami; tu spadła głowa nieszczęśliwej królowej Maryi Antoniny oraz siostry Ludwika XVI; tu nieszczęśliwy książę

Orleański, tu Hebert ze swoimi stronnikami; tu Marat i Orleaniści, po nim Danton, później Robespierre i jego towarzysze ścięci zostali: od 21 stycznia 1793 aż do 3 maja 1795 więcej jak 2800 osób utraciło życie przez guillotynę na tym placu *Zgody*.

Plan późniejszy, by w miejscu gdzie stało rusztowanie do ścięcia Ludwika XVI postawić fontannę, był zbijany przez Chateaubrianda temi słowy: „Że woda całego świata nie będzie dostateczną do zmycia krwi na tém miejscu wylanęj.”

W r. 1814 zmieniono nazwę placu Zgody na plac Ludwika XVI; a w 1826 gdy postanowiono wystawić pomnik pojednawczy, na tym Placu, zamieniono nazwę na plac Ludwika XVI. Pomnika nie wystawiono ale rok 1830 powrócił mu nazwę placu Zgody.

Szukano przedmiotu obojętnego, którenby nie miał wspomnień smętnych i bolesnych aby wznieść pomnik na tym placu dla upiększenia go; tu więc postawiono obelisk Luxor, prezent od Mechmeda-Ali. Obelisk ten stał przed świątynią w starych Thebach, dzisiejszym Luxor. Egipcyanie więcej obelisków wystawili niż wszystkie inne narody; ciosali je zwykle z jednej sztuki granitu różowego, i stawiali po parze przy głównym wchodzie do swych świątyń lub pałaców; wszystkie cztery strony tego rodzaju pomników były zawsze okryte hieroglifami, napisami świętymi, wyrytymi głęboko, przedstawiającemi formy roślin, ptaków i innych zwierząt: kapłani tylko mieli przywilęj tłumaczenia znaczeń owych legend.

Wysokość obelisku znajdującego się dziś w Paryżu, któren jest jeden z najpiękniejszych znanych dotąd, ma 72 stóp, waży zaś 500,000 funtów. Obelisk ten oddawna zwracał na siebie uwagę podróżujących archeologów w Egipcie, był najlepiej zachowany ze wszystkich jeszcze stojących; wykończenie jego jest doskonałe, rzeźba arcy piękna, i dla-tego to wykończenia sprowadzono go do Francyi za pozwoleniem Paszy Egiptu.

Według rapportu barona Hauser, ministra marynarki, z 25 listopada 1829 roku, król podpisał rozkaz



na koszta transportu; izby przyzwoliły na wydatek 300,000 franków zaraz, a 200,000 w roku następnym.

Natychmiast się wzięto do dzieła, wybudowano umyślnie statek którego był zaholowany przez statek parowy aż do Luxoru. Do Francji przybył szczęśliwie 23 grudnia 1833 r.; wykończenie podstawy i inne przygotowania wymagały trzech lat pracy, gdyż dopiero w październiku 1836 r. obelisk stanął, a pół dnia wystarczyło do postawienia go ostatecznie pod dyktando p. Lebas inżyniera marynarki, którego też był delegowany do sprowadzenia tej starożytności.

Z podstawą wysokość jego teraz wynosi 99 stóp. Z napisów wrytych na tym obelisku dowiadujemy się iż był wykuty i wyrzeźbiony prawie całkowicie za panowania Rhamsesa II Armaiis r. 1550 przed N. Ch. brat jego i następca Rhamses III znany jako Sezotrys, kazał ukończyć napisy, z których jeden z jego imieniem dowodzi iż był postawiony pod jego panowaniem. Obelisk ten ma dwie wady: jest pęknięty od dołu do jednej trzeciej wysokości, lecz ta skaza być musiała już przed wyciosaniem, gdyż dla uniknięcia

dalszego pęknięcia, inżynierowie egipscy umocowili go klamrami drewnianymi, a w Paryżu zastąpiono te klamry klamrami z brązu; drugą jest wadą iż wiezchołka niema.

Zdaniem jest niektórych iż za mały zdaje się obelisk na tak ogromny plac i sprawiedliwie mówią że lepiejby się może wydawał w Louvrze.

Z dwóch stron obelisku, to jest od południa i od północy, są fontanny bardzo piękne. Ów plac w smutne historyczne pamiątki bogaty, ma formę ośmiokątną; cztery boki ośmiokątu są mniejsze, po kątach są statuy marmurowe alegoryczne znaczniejszych miast Francji: Lille i Strazburg przez Pradiego; Bordeaux i Nantes, przez Calhauta, Marsyllia i Brest przez Cartota, Rouen i Lyon przez Petitota, a pomiędzy niemi jest dwadzieścia kolumn brązowych, służących za kandelabry. Teraz plac jest wykończony według planu budowniczego Hittorf rodem Kolończyka, którego stawiał kościół Św. Wincentego à Paulo na placu Lafayette.

A. D.

## NIEKTÓRE RYSY CHARAKTERU CHIŃCZYKÓW I ICH ZWYCZAJÓW.

### I.

Jakże bogaty, jak ciekawy dla badacza jest kraj, wyrównywający ludnością swoją całej Europie, a jakby różgą czarnoksiężką skazany na wieczną nieruchomość, nieodmienność! którego wszystkie wokoło zmiany, wszystkie napady omijały! Którego język również niezbadany, zdaje się nie mieć początku a raczej związku z innymi. Zwiedzający ludne prowincje państwa Niebieskiego, często wspominają nam o zdziwieniu jakie obudza w nich sprzeczność charakteru Chińczyków. Najczęściej jednego i tegoż samego człowieka widzieć można w jednej chwili poważnym i nadzwyczaj ruszającym i kręcącym się, łagodnym i zapalonego gniewem, zgoła bez żadnego stopniowania przechodzą oni z jednej ostateczności w drugą. Niewiadomo czy to jest cechą, właściwością ich, czy też z potrzeby, w skutek ciężkiego rygoru w jakim są trzymani, tak umieją panować nad sobą, i tak spieszenie zamieniać wewnętrzną burzę w pokój powierzchowny. Zdaje się iż to ostatecznie przypuszczenie jest prawdziwym, a ułatwia je nadzwyczajna zdolność do

sztuki dramatycznej. Zdolność ta zadziwia, zwodzi nawet takiego, którego już uprzedzony o niej ma się na ostrożności.

Wiedzą cudzoziemcy jak mała jest dbałość o dzieci w Chinach, mianowicie dzieci płci żeńskiej; wyrzucane jako niepotrzebne w kanał, żadnej litości, żadnego nie budzą podziwienia; zwyczajnie jak w krajach gdzie rodzina uświęconą nie została. Co chwila spotkać można najokropniejsze zbrodnie. Jakież więc ogarnia przerażenie cudzoziemca, gdy przechodząc widzi biedne, mizerne dziecko, z krzykiem przestachu i bóleści, z bladością na twarzy, chroniące się przed ścigającym go rozbójnikiem; zapewne sądzi podróżny, że to biedne dziecko z powodu licznej rodziny na śmierć skazanem zostało; wyrzucone w kanał, musiało się samo wyratować, a teraz ktoś z rodziny chce skarcić nieposłuszeństwo jego i odjąć mu niedzne życie: taką myślą zajęty przechodzień, wszystkich sił dobywa aby ocalić dziecko, lecz zanim zdołał pochwycić tulącą się już w najwyższym przeraże-



niu dziecinę, złoczyńca w mgnieniu oka przebija ją pugiuałem! pada z jękiem krwią oblane dziecko na ziemię! Przechodzień oburzony, wydaje krzyk przeżrazenia, chwytając za kark mordercę w nadziei że przecie znajdzie gdzieś sprawiedliwość, do której gdy go doprowadzi, złoczyńca za krew niewinną ukaranym będzie. Lecz jakież zdziwienie jego! nie może się opamiętać, widząc nagle śmiech zabójcy, śmiech zgromadzonych, na wydany krzyk jego, ludzi; nareszcie śmiech dziecięcia które nagle podniosło się z ziemi. Okazało się że zabójca był sztukmistrzem, dziecko było wychowane i wyuczone przez niego; miał on pugiuał w którego grubiej rękojeści była mała komórka płynem czerwonym napełniona; za przyciśnięciem sprężyny, otwierała się i krew obficie wytryskała. Jak on zapalczywość i morderstwo, tak dziecko strach i boleść doskonale udało; dowodem tego iż podróżny, oburzony i zdziwiony tą sceną, był najzupełniej zwiędzionym; pomimo iż nie obce mu były europejskich teatrów dramaty, iż doskonale oceniać umiał grę artystów.

Ale wróćmy się jeszcze do sprzeczności charakteru Chińczyków. Nie można się jej dziwić; jest to wynik ich ciemnoty: brak ładu, brak harmonii w charakterze jest zawsze dowodem niższego moralnego, umysłowego wyrobienia: spotykamy się z tem w Europie! nic dziwnego że Chińczycy którzy połowę życia trawią na nauczanie się abecadła, nie mają czasu na logiczny układ myśli, pojęć swoich, a tem samem są w niemożności zupełnej wyrobienia w sobie stałego charakteru. Co jest najbardziej zadziwiającem, to ta łatwość, szybkość, z jaką przechodzą do najbardziej zmiennych zatrudnień; z tych ostatnie, jakimi się zajmują, zdaje się jakby im były najwłaściwszemi. Europejczyk poważnego, powolnego usposobienia, nie zdoła zmienić natury swojej; każda czynność jego nią nacechowana będzie; tymczasem Chińczyka widzi się z całą powagą siedzącego lub chodzącego wolno; każdy krok czyli ruch jego cechuje poważną, powolną naturę; wtém wchodzi ktoś któremu on chce złożyć głębokie hołdy, zrywa się więc z szybkością do jakiej tylko żywy temperament mógł być zdolnym, czyni mnóstwo ukłonów, przeginając giętkie ciało prawie do ziemi.

Ma być także bardzo zajmującym widokiem kiedy poważni Chińczycy udają się na zbieranie herbaty. Dzień 5 kwietnia jest dniem wielkiej uroczystości w Chinach, jest to bowiem dzień w kalendarzu cesarskim oznaczony do pierwszego podbierania czyli obrywania herbaty. Jest to praca trudna, potrzebu-

jąca wielkiej wprawy, gdyż trzeba obrywać każdy listek z osobna tak ostrożnie aby zostawiać resztki ogonków trzymających się gałązki, ażeby nowe z nich mogły puszczać zawiązki. Krajowcy przecie z wielką łatwością umieją się wywiązać z tego zadania. Gdy nadejdzie dzień naznaczony a powietrze jest dość suche, ciepłe, wtedy krocie Chińczyków rzuca się z zapalem, sprzecznym z ich powagą, na plantacye krzawkami herbaty zapełnione; z nadzwyczajną, niedościgną prawie okiem szybkością zrywają listek po listku kładąc je w zawieszony na szyi koszyk. Dzieje się to w tak uroczystem milczeniu, z uwagą tak wyłącznie na przedmiot pracy zwróconą, iż ci kręcący się bez głosu ludzie, zdają się być w maszynie pozamieniane; a słysząc zdala ten nieprzerwany innym odgłosem szelest, wiaśćby go prędzej można za chrapanie smaczno zjadającej trawę szarańczy, lub za odgłos wiatru wśród liści grającego, aniżeli za pracę, przez ludzi obdarzonych skarbem wymowy, wykonywaną.

Tak prędko idzie im ta robota iż po 12 funtów na dzień zbiera jeden robotnik liści herbacianych; Te liście oddają zbieracze robotnikom jedynie suszeniu czyli przypiekaniu, rzecz można, herbaty poświęconym. Herbatę czarną przesuszają oni poprzednio na powietrzu, poczem, na blachach żelaznych, w piecykach okrągłych na ten cel przygotowanych, przypiekają zwolna, za każdym mocnym rozpaleniem przecierając ją w rękach. Dobroć herbaty, czyli różnica jej gatunku, nie tylko zależy od drobniejszych lub większych liści, czyli od zerwanych u spodu drzewka lub u wierzchu gałęzi, ale i od sposobu urządzenia jej. Dla tego nazwiska różnych rodzaj herbat, powiększej części mają znaczenie określające podjętą pracę, i tak np. *herbata z Kam-pui*, wyraz ten ma znaczenie: *Staranie w wyborze*; wyraz *Kon-gu* używany za nazwisko jednej z lepszych gatunków, znaczy: *praca, usilność* i t. d. Istotnie: urządzenie herbaty nadzwyczaj wiele potrzebuje mozołu a nawet i cierpienia ludzi trudniących się jej suszeniem. Muszą oni na żelaznych blachach mięsać rozparzone liście, oddzielać je, niezważając że nader gryzący sok jaki wydają z siebie, i gorącość, sprawia mocny ból; obok tego wyziewy jakie wychodzą z ulatniającej się herbaty są tak zaduszające, że sobie serwetami muszą zawiązywać usta. Im lepiej herbata jest oczyszczona z tego gryzącego soku, im staranniej wybrane drobne z wierzchołków krzewin listki, tem jest lepszą i zdrowszą. Utrzymywano dawniej że kolor zielony herbaty, pochodzi od miedzianych blach na



jakich ją suszą, lecz późniejsi podróżni zapewniają iż w tych samych, co czarna, piecykach, na żelaznych blachach, taż sama herbata z tychże samych liści otrzymuje się, czarna i zielona: ta ostatnia mniej jest prażona i po ostatecznym dosuszeniu, zapakowana w worki i hermetycznie zamknięta być musi przez kilka miesięcy; do której dodają trochę indygo dla koloru i siarczanu wapna dla utwierdzenia go. Chińczycy tylko czarnej używają herbaty, a zieloną jedynie dla cudzoziemców urządzają. Długi czas sposób urządzania czyli wysuszania herbaty, był tajemnicą dla Europejczyków; Chińczycy zazdrośni, wiedząc iż bez tego żadnego użytku z plantacyj herbaty Anglii miećby nie mogli, taili przed nimi ten sposób jak można było najdłużej; lecz gdy udało się Anglikom w końcu, za pomocą ulubionego opjum zwerbować kilkakroć robotników chińskich do plantacyj w Indjach, teraz już i tam urządza się herbata na sposób chiński. Mimo-to jednak jak wiadomo, czy to w skutek odmiany gruntu, czy w skutek sprowadzania, a może i przez jakową niedokładność w urządzeniu jej, angielska różni się znacznie od sprowadzonej prosto z Chin herbaty. Wiedzą dobrze Chińczycy że podobnej jak u nich herbaty, podobnych kolorów, podobnej do wyrobienia porcelany gliny, niema nigdzie; ztąd ich pycha, ich przekonanie że są państwem niebieskiem różnym od wszystkich innych. Naprawdę nie mylą się pod tym względem—inszość, odmienność od wszystkich ludów, uderza w nich każdego. Co to *np.* za różnica, za trudność ich języka! niema on najmniejszego zbliżenia z żadnym innym, niema wcale, jak inne, alfabetu. W innych językach myśl jest oddaną dźwiękiem, a dźwięk przedstawiony w znaku, w literze, i taż liczba dźwięków, znaków czyli liter jest oznaczona stósownie do potrzeb organizacyi ludzkiej; ztąd oznaczony ten regularny poczet dźwięków, głosek zgadzających się z sobą, któren jakkolwiek ograniczony, przecież wystarcza do wypowiedzenia myśli. W chińskim języku zupełnie jest inaczej; tam znaki i dźwięki są zupełnie od siebie nie zależne; tam na każdą myśl potrzeba znaku, słowa, tak, że ile myśli, tyle znaków, tyle liter trzeba.

Jeżeli więc tworzy się myśl nowa, tworzy się zaraz litera nowa, słowo nowe, gdyż znak chiński raczej słowem niż literą nazwać można. Ztąd nieograniczona prawie liczba znaków powstała, a nauka czytania, stała się wielką, ciężką nauką, czemu przypisać słusznie należy stagnację umysłową w Chi-

nach. Zamiast bowiem poświęcać czas i pracę, aby nauki przodków doskonalić, aby ich wielkie pomysły w życie i w czyn wprowadzać, oni trawiają lata młodości, trawiają siły, trawiają bystrość rozumu swego, na nauczanie się bajecznej liczby znaków. A po ciężkiej pracy, niedozwalającej nawet obejrzeć co się około nich dzieje; znużeni, odpoczywają resztę dni swoich nader szczęśliwi jeżeli prace Konfucjusza i Mencjusza (Meng-Tseu) przeczytać mogą.

Tak, bezwątpienia, ciężką jest zaporą dla Chińczyków, nieposiadanie abecadła. Gdzieżby zaszedł ten liczny, pojętny naród, gdyby umysłowość jego nie była ściśnioną tą pomieszaną nauką, gdyby miał czas poznać europejskie piśmiennictwo! do czego przesady religijne nie stawiają mu przeszkody.

W obszernym zebraniu litero-słów chińskich, rachują przeszło dwieście głównych, służących za podstawę języka, a około osmdziesięciu tysięcy znaków (litero-słów) których znaczenie jest powszechnie ustanowione. Prócz tego bywa jeszcze mnóstwo znaków niepewnego znaczenia i potrzebujących objaśnień. Tém dziwniejszą jest rzeczą, zasługującą na uznanie nadzwyczajnej czynności tak zkad inąd zmartwiałego umysłu chińskiego, że oni zbyt wiele dzieł wydają, a mianowicie że tak obszerniej oddają się nauce historii.

Żadnego może niema narodu żeby z taką szczegółowością pisał historię; maluje się w tém cała cierpliwość, cała drobiazgowość Chińczyków a razem i dumna narodowa, która niepozwała lekceważyć żadnego zdarzenia choćby téż najmniejszego, z tak wielkiego państwa. Nie tylko więc z całego tegoż państwa mają historię, ale także dzieje pokoleń a mianowicie historię religii każdego pokolenia; te bowiem zwykle miały odmiany <sup>1)</sup>; tu, jak we wszystkim odhija, inszość a razem wyższość tego szczególnego narodu, gdyż sięgając najdawniejszych podań, nigdzie się nie postrzega w ich religii aby kiedykolwiek oddawali cześć przedmiotom podpadającym pod zmysły: i tak *np.* nie czcili oni ognia jak inne pierwotne narody, ani słońca, *lecz niewidzialnego ducha ognia, słońca.*

<sup>1)</sup> Nie można sądzić aby dzisiejsza religija Chińczyków, była od dawniej różniąca się. Zaszły w niej odmiany; ale główne obrzędy, jak cześć dla Nieba i ziemi, cześć dla cieniów przodków zmarłych, zawsze się w taki sam sposób, jak za odwiecznych czasów, odbywa.



## UPSAL

(Z NIEDRUKOWANYCH REKOPISMÓW ALBERTRANDEGO.)

Miasto Upsal, liczące do sześciu tysięcy mieszkańców, jest położone na rozległej, dość wesołej dolinie której nic widnokregu nie zasłania; wzgórze znaczne na którym zamek królewski stoi, panuje nad całą doliną, z którego widok bardzo daleko sięgający, jest nader wspaniałym. Rzeka szybko bieżąca choć wprawdzie nie nazbyt szeroka, przerywa miasto, na której bardzo piękne kamienne mosty, nie tylko do wygody i zbliżenia, ale i do upiększenia miasta wiele się przyczyniają. Plan miasta jest dość regularnym, ulice przyzwoitej szerokości po większej części są proste; domy jak w innych miastach Szwecyi są drewniane, dość czyste, z wesołą i miłą powierzchownością. Na końcach miasta są domy niskie pokryte murawą i często w zaniedbanym stanie; jednakże w mieście bywają murowane, szczególnie domy profesorów, arcybiskupstwa, duchownych i szpitale. Domy profesorów są po większej części stawiane na miejscach i prawie na miarę domów prałatów, kanoników katedralnych w czasach katolicyzmu. Katedra jest bardzo obszernym gmachem, otoczona eskaarpami, z dwiema wieżami bardzo wzniosłymi obok posady głównej.

Dawniej była trzecia wieża którą zniszczono. Kościół katedralny tak jest podobny powierzchownością swoją do Gnieźnieńskiego kościoła, że na chwilę pomylić by się czyli uwierzyć można, że to ten ostatni: jedna tylko istnieje różnica w głównym wchodzie; w Upsalu wchodzi się w środek pomiędzy dwiema wieżami, a w Gnieźnie są dwa wchody, z boków w każdej z tych wież. Uważałem że owe kościoły arcybiskupstwa Upsalskiego Roschild i Gnieźnieński, są zupełnie podług jednego i tegoż samego planu budowane, z tą różnicą że Roschildzki jest mniejszy. Wnętrze kościoła Upsalskiego podzielone na trzy nawy z kaplicami w tyle; lecz w Gnieźnieńskim kościele te są daleko głębsze; nawy zaś boczne kończą się za wielkim ołtarzem tym sposobem że można go jak w Gnieźnie obejść na około. Mały chór za ołtarzem

w Upsalu jest obszerniejszy niż w Gnieźnie. Kościół w Upsalu zachował wewnątrz postawę czyli ozdoby gotyckie, które w Gnieźnie zmieniono na teraźniejsze. Jak w tym tak i w drugim, jest tylko jeden pomiędzy trzema nawami ołtarz, oprócz którego jest w Gnieźnie konfessyonał podobny do tego, który się u Śgo Piotra znajduje, a pod którym są złożone relikwije Śgo Wojciecha. Kaplice w Upsalu są zupełnie ogołoczone z wszystkiego i puste, prócz małej liczby gdzie, się znajdują niektóre pomniki. Wielki ołtarz w Upsalu jest tego kształtu jak nasze wielkie ołtarze katolickie, drewniany, pomalowany, politurowany i miejscami złocony. Z dwóch stron wielkiego ołtarza tak jakby mszcząc się, umieszczono grupy podobne do tych, co są w kaplicy Śgo Ignacego w Rzymie. Reformacya obalająca, jak mówi, błędy i Papizm, nie mogąc na inny sposób ucharakteryzować swojej reformacyi, nadała jej godła, czyli przymioty Religii, a zamiast postaci strasznych, błędu i herezyi, które się widzi w Rzymie, przedstawili Papizm pod postacią pięknej bardzo kobiety, jeszcze piękniejszej niż Religija.

Nie przeszkadzałoby to później do umieszczenia tychże samych figur w kościele katolickim, zmieniając tylko ich nazwy. Reszta kościoła jest w nieporządku, nie schludna i w zamieszaniu bardzo nie przyjemnym, jak wszystkie kościoły protestanckie odemnie widziane, z pomiędzy których wyłączam tylko kościół Śgo Michała w Hamburgu i kościół garnizonu w Kopenhadze, który został uporządkowanym przez ministra swego p. de Tresckow, człowieka pełnego dobrego smaku i wielkiego znawcy sztuki malarskiej.

Na prawo wielkiego ołtarza, w miejscu zakrytym kolumną, jest szkatułka srebrna zawierająca w sobie relikwie Śgo Eryka króla Szwedzkiego, zamknięta za żelazną kratą. Zachowują i inne relikwie w zakrystyi w poszanowaniu, nie dodając żadnych innych czci znaków. Z tejże samej strony w drugiej kaplicy, jest pomnik grobowy królowej Katarzyny, siostry



Zygmunta Augusta króla naszego, a małżonki Jana III króla Szwecyi. Ten pomnik bardzo został uszkodzonym od pożaru, który wiele zrzucił zniszczenia w całej katedrze. Pomnik zrobiony jest w formie kwadratowego, z marmuru, łoża, przyozdobionego kolumnami cienkimi po rogach, na wierzchu tego łoża królowa w leżącej postawie. Na prawej stronie są herby polskie i litewskie bez żadnych dodatków. W 120 wierszach łacińskich które znajdują się w Perringstoda *Monumenta Upsalensia*, zawierają się jej pochwały, i są wyryte na dużej złoconej brązowej tablicy, dość jednak nędznie obsadzonej i zawieszonj na murze blisko jej głowy. Nie było na ten czas skarbnego parafialnego i nie mogłem widzieć zwłok tej monarchini, które arcybiskup chciał mi pokazać <sup>1)</sup>.

Z tyłu wielkiego ołtarza w środku małego chóru, jest nagrobek Gustawa Wazy, z którego już mało co pozostało, lecz król własnym kosztem kazał go dzisiaj odnowić, raczej odbudować i przyozdobić, to też cała część tego kościoła jest napelniona rusztowaniami rozmaitemi. Arcybiskup zapewniał mnie, że intencją było królewską wszystkie pomniki innych królów pochowanych w tym kościele odnowić a mianowicie królowej Katarzyny.

Pałac arcybiskupa nie jest bynajmniej wspaniałym, lecz bardzo schludnym. Teraz właśnie przybudowywa część mieszkania tak dla swojej jak i dla następców swych wygody. Zwykle tam zajmuje drugie piętro, gdzie ma swoją pracownię, salę audencyonalną i bibliotekę z bardzo wybranych dzieł, która składać się może ze trzech tysięcy tomów. Pierwsze piętro zajmuje jego żona, dzieci i rodzina. Pokoje są z posadzką i umeblowane z wielkim gustem, nawet z wytwornością, bez przesady bogactwa. Żona jego nie ma żadnego znaczenia i tytułu, tylko takie jakie jej urodzenie nadało. Jest sobie panią Troil, krótko mówiąc, albo też żoną arcybiskupa.

Arcybiskup ma ośmioro dzieci w połowie synów i córek, którym najwyborniejsze daje wychowanie i z którego dzieci doskonale korzystają, to też nic nie może być przyjemniejszego nad towarzystwo z tą rodziną. Mieszka razem z matką swoją bardzo szanowaną osobą, z siostrą, z dwojgiem braci i siostrzenicą; zaproszony na obiad, znalazłem się u stołu z całą tą rodziną, sześciorgiem dzieci, dwoma profesorami zaproszonymi dla mego towarzystwa, guwernerem i guwernantką dzieci, w bardzo licznym towarzystwie. Stół i usługa szła w wielkim porządku i czystości,

<sup>1)</sup> Przerys tego pomnika przez F. Dietricha i szczegółowy opis jest w *Pam. Sand.* 5. II str. 166—170. (P.R.)

była nawet niejaka wystawność w srebrze, kryształach i deserze. Prawie uwierzyć niepodobna ile godności i skromności razem, znaleźć można w tym domu. Posadził mnie koło żony, a sam po lewej stronie mojej umieścił się. Arcybiskup nazywa się Uno de Troil, jest już piątym z tej rodziny posiadającym ową godność. Ojciec jego też był arcybiskupem, był jednak pomiędzy nim a ojcem jego niejaki Taube; on więc nie wprost po ojcu nastąpił. Troil arcybiskup może mieć od 43 do 44 lat, pięknej i zręcznej postawy, z fizyognomią ujmującą, rozumną i przebiegłą, nadzwyczaj uprzejmy, dowcipny i grzeczny. Mówi dużo według zwyczaju i nawet więcej niż zwyczaj jest w Szwecyi, ale mówi dobrze; rozmowy jego dają poznać że jest bardzo uczonym i że szuka nieustannie aby więcej nauczyć się i umieć. Ubiór jego jest jak ubiór wszystkich duchownych szwedzkich, właściwszy, wytworniejszy, wygodniejszy od ponurego ubrania duchownych w Danii i Niemczech. Żadnych marszczonych mankietów i gorsu; wyłogi tylko białe troszkę dłuższe od tych jakie nasi duchowni noszą. Suknia wcięta do stanu krojem właściwym dla duchownych, dosyć wytworna i zgrabna, otwarta z przodu pozwala widzieć kamizelkę i resztę ubrania czarnego. Suknia ta trzyma środek między długo-wlekącą się suknią duńską, a między krótkim ubraniem naszych księży; cokolwiek dłuższa od tej ostatniej ale wiele skromniejsza. Arcybiskup nie ma żadnego znaku któryby jego godność oznaczał. Lecz ma order gwiazdy polarniej, który król zaczął od powrotu swego ostatniego z Włoch, duchownym rozdawać, to też prócz arcybiskupa, widziałem i innych biskupów ozdobionych tym orderem. Arcybiskupia pensya wynosi rocznie jakby 2500 dukatów naszych. Ale że duchowni szweccy mają sposoby dla przyzwoitości swojej dołączać do tego niektóre heneficya, zdaje mi się że arcybiskup, o którym mówię, ma przeszło trzy tysiące dukatów przychodu.

Zamek królewski w Upsalu, jest bardzo obszerny, w jednej linii, bardzo pospolitej budowy, mało mający osobnych do niego należących budowli; źle utrzymany i już grożący zniszczeniem w niektórych częściach. Był opatrzony bastionami, z których teraz ledwie jeden istnieje pod nazwą odpowiednią nazwie włoskiej *Gastiga-matti*. Mówią że król Gustaw Waza zbudował go i wycelował artylleryę na pałac arcybiskupa sprzeciwiającego się zamysłom króla.

Za tym pałacem w dolinie, przy wzgórzu, jest obszerny ogród źle utrzymany, który król ustąpił dla uniwersytetu na ogród botaniczny; król swoim kosztem



kazał w nim pobudować cieplarnie i inne potrzebne budynki. To przeniesienie terazniejszego miejsca, jest może przyczyną że w porządku, układzie, urozmaice- niu i obfitości zbioru, daleko późniejszą ma cenę od ogrodu botanicznego w Kopenhadze. To tylko jest lepsze w Upsalu, że cieplarnie są podzielone na rozmaite części odpowiednie różnym klimatom. Wprawdzie jest to trochę ze szkodą systematu Lineusza, lecz zgadza się lepiej z porządkiem natury. Zdaje mi się że nawet pod tym względem cieplarnie w Kopenhadze przewyższają Upsalskie. Widziałem w tym ogrodzie siedm do ośmiu małych, koczkodanów, rozmaitego rodzaju i wielkości; także kakadu, dla którego musiano ogrzewać jedną cieplarnię; był on wielkości średniego orła, nadzwyczajnej białości, z kilką czystego żółtego koloru piórami w ogonie pomieszczanymi z białymi.

Obserwatorium powierzone straży profesora Prosperina, nie wygodne ani mocno zbudowane; wszystkie wstrząśnienia zewnętrzne dając się czuć wewnątrz, psują wszystkie obserwacje. Sfera i narzędzie do uważania przejścia planet, były robione w Sztokholmie przez bardzo znajdującego się i zręcznego człowieka, lecz gdy ten umarł, objął po nim miejsce uczeń jego, nie zbyt mocny w teorii. Z dwóch zegarów astronomicznych, jeden jest ze wszystkiem zepsuty roboty Grashama, drugi zrobiony w Sztokholmie naśladowany podług angielskiego. W tym obserwatorium jest zbiór prętów runicznych, słusznie tam umieszczonych, będących po większej części almanachami czyli kalendarzami. Sala posłuchalna dla uczących się astronomii, jest także przy obserwatorium.

Budowa biblioteki jest zupełnie nowa, umyślnie na ten cel wzniesiona, ale ani z gustem przybrana, ani z rozrządzeniem wygodnym. Mnóstwo tu sal dużych i pomniejszych gabinetów; niektóre z tych mają szafy czyste; lecz w salach są stare bardzo i brudne a nadewszystko nazbyt wysokie; światło źle wchodzące a szafy nadto ciasno i za blisko jedne drugich. O ile mogę sądzić liczba ksiąg dochodzi do ośmdziesięciu tysięcy tomów. Utworzona jest ze szczątków ksiąg klasztornych szwedzkich a szczególnie z zbioru Franciszkanów z Ridderholm w Sztokholmie. Królowie Gustaw Adolf, Krystyna i Król Karol Gustaw po przydawali tu wszystkie duplikaty zagrabione z Niemiec,

Czech, Danii i Polski. Tryplikaty zostały podzielone pomiędzy zbioru ksiąg Westeroas i Abo. A ponieważ biblioteka w Upsalu nie podpadła zniszczeniu podobnemu, jak królewska w Sztokholmie, ogromną więc ma liczbę ksiąg katolickich, wiele z nich nawet dawnego wydania bardzo rzadkich; jako też i mnóstwo rękopismów z przeszłych wieków. Pokazują szczególnie kodex *Argenteus d'Ulphilas*; jest to wersja w języku gotyckim, czyli bardziej historya, po której następuje nowy testament wyciągnięty z czterech ewangelistów w języku dawnym gotyckim; tego wyszło kilka wydań z długimi komentarzami w Anglii i Szwecyi. Ten manuskrypt jest na bardzo cienkim welinie, chociaż nie nazbyt w dobrym gatunku; karty w nim są na przemian białe i fioletowe, litery są srebrne w kształcie liter Runicznych z małą odmianą. Był sprowadzony z Niemiec do Szwecyi. Vossiusz skradł go Szwecyi i przewiózł do Anglii. Magnus de la Gardie kupił go bardzo drogo w Anglii i darował bibliotece Upsalskiej. Jest oprawny w blachę srebrną i zachowany w podobnej, jak używają do relikwii, szkatułce.

Drugi manuskrypt który w tej bibliotece pokazują, jest to dziennik w dwóch tomach; pierwszy z nich był własną ręką Eryka XIV pisany po łacinie; język w nim dość czysty, dowodzi że słusznie przypisywano uczoność temu królowi na przemian złemu i nieszczęśliwemu. Drugi tom jest tylko kopiją oryginału będącego w posiadaniu jednego prywatnego w Szwecyi.

Trzecim jest Edda. Zadziwiającą to rzeczą, iż Islandczycy tyle oddaleni od reszty mieszkańców Europy, tak wczesnie posiadali rozmaite umiejętności i przechodzili w uprawie ich inne narody północne. Oni najpierwsi mieli przetłómaczoną Bibliję, ich poeci czyli skaldowie, przeszli wszystkich Norweskich i szwedzkich. Co do genialności, Norwegscy wyżej stoją niż Szwecy, którym Duńczycy dobrowolnie pierwszeństwa ustępują. Uniwersytet Upsalski ma za fundusze całe dziedzictwo Gustawa Wazy, z którego dochód przez III wieki powiększany, dołożywszy do tego inne atrybucye, wynosić może 15,000: jest tam dwudziestu czterech profesorów a dwunastu nadliczbowych którzy połowę lub czwartą część pensyi profesorów pobierają. (Albertrandy to pisał w r. 1789.)



## SZTOKHOLM.

Wyobraź sobie owad na trzy podzielony części: głowa duża wydłużona, pancerz mały okrągły, brzuch gruby i wzdęty, ma się obraz Stockholmu, nawet tém podobniejszy iż te części połączone są siatkami tak jak u owadów. Korpusem jest stary gród, głową przedmieście rozległe, rozciągające się od północy, brzuchem zaś jest drugie przedmieście krótsze wprawdzie lecz o wiele szersze, położone na południe. Te przedmieścia są teraz wcielone do miasta i wchodzi się do nich przez bramy, kształtu łuków tryumfalnych, drewnianych, obsadzonych kratami, a zawsze strażą i urzędem celnym. Po za temi bramami są rozsiane domy, które teraz stanowią przedmieście, a po bokach części oddalone również mają pozór przedmieścia. Wyjąwszy części od północy i południa które dotykają pola, północna ku Upsalowi, południowa do prowincyj południowo-wschodnich, wszystkie inne części dotykają brzegów i nie mają innych granic jak jezioro Meller, port, morze i różne kanały komunikacyjne między morzem i jeziorem które, zwiększając się lub zmniejszając stanowią szerokość miasta: tegoż zaś długość od końca południowego do północnego jest prawie półtoro-milowa, szerokość zaś jest bardzo zmienna, część północna jest często ścieśniona przez pół ćwierci mili, inną razą rozciąga się przez mosty do wysp sąsiednich jak np. Kingsholm, które jednakże przedź pozór przedmieścia mają niż dalszego ciągu miasta. Szerokość jest jeszcze mniejszą w grodzie, który jest ze wszech stron wodą oblany: wyspa ta ma tylko ćwierć mili obwodu, szerokość części południowej jest znacznie większą, i w przecięciu średnica jej przenosi cztery razy wielkość miasta. Sam gród jest całkiem murowany z cegieł i tylko w zaułkach napotyka się domy drewniane; ulice są po większej części wąskie, kręte, nierówne, są nawet wzniesione i dość strome. Domy wysokie po większej części o czterech piętrach nie licząc w to poddaszy, jedne piękne lecz drugie wcale nie pozorne. Części te, co są nad brzegiem portu i nad bulwarami, mają powierzchowność wesołą. Głównie zaś odznacza się budynek bankowy i kilka innych budyn-

ków rządowych, które chociaż nie są pałacami, a jednak piękne i budowy regularnej. Zamek królewski jest w tej części miasta i ze swemi zabudowaniami zajmuje prawie czwartą część. Ma plac ładny w kwadrat podłużny na którym, z jednego boku są piękne domy, z drugiego kościół dawniej Obserwantów, dziś Riderholm, którego szczyt miłe oku robi wrażenie; z trzeciej strony są dwa domy w których się sejm zbiera, osobno szlachta, i osobno mieszczenie. Dom szlachty ma pawilon jednopiętrowy z dachem miedzianym wzniesionym w środku i po końcach: dom mieszczen składa się z korpusu i dwóch pawilonów bocznych. Na tymże placu jest pomnik Gustawa Wazy, na podstawie miernie wzniesionej. Posąg dosyć dobrze zrobiony, Gustaw z swoją dużą brodą poszanowanie wzbudza. Strona północna jest znacznie rozciąglejsza i bardzo regularna, szczególnie w rozłożeniu ulic głównych, połączona dwoma mostami z starym grodem od strony zamku królewskiego: lecz obecnie pracują nad mostem szerokim i wygodnym który będzie zastępował dzisiejsze dwa drewniane i nieszczególne. Są w tej części dwie ulice długości przesadzonej, ulica królowej i ulica regencyi; — proste, równoległe, w kilku miejscach gwałtownie na dół pochylone; te dwie ulice w swęj całej jednakże długości, są najregularniejsze, najgłówniejsze domy stoją na tych ulicach, a choć niema pałaców są jednak domy duże dobrze zbudowane z ładną powierzchownością. Często się spotyka domy murowane a nawet stajnie miedzią pokryte: im się więcej od środka oddalamy tém lichsze są domy, nawet przy końcu ulic drewniane, mchem obrosłe, domy drewniane są bardzo pospolite szczególnie w ulicach poprzecznych, które są pomiędzy głównymi powyżej wymienionymi również jak na ulicach ku wodzie prowadzących; prawie wszystkie te ulice proste, szerokie, jak pod sznur wyciągnięte, przy końcu zaś znajduje się wiele ogrodów. Jest to fałsz przez niektórych powtarzany; iż domy w Stockholmie są wszystkie na palach stawiane; jeżeli są, to tylko w bardzo małej liczbie: grunt nie tylko że jest bardzo zbity w Stockholmie, ale



nawet skalistym się okazuje w kilku miejscach w środku miasta. Pomiedzy innymi w bliskości ulicy Królowej znajdują się wzgórza wysokie jak dość duże domy, utworzone z kamyków dość dużych a rozmaitej wielkości. Część południowa ma również ulice szerokie, dobrze prowadzone, ale pagórkowate i nierówne, ciągle się z góry i pod górę chodzi. Domy drewniane są częstsze, — całe miasto brukowane granitem, lecz bruk jest niewygodny; staranność z jaką zamiatają ulice, tworzy bruk ostrym, przykrym dla pieszych, dla których niema tu chodników. Studni jest dużo, ale woda bardzo różna; wszystkie ulice są dobrze oświetlone latarniami do domów przymocowanymi, co w Stockholmie taniiej wypada niż gdziekolwiek indziej, gdyż od 15 kwietnia do 1 października można się obchodzić bez światła, noc są dosyć jasne, a nawet koło przesilenia dnia z nocą, tak jasne iż można czytać i pisać o północy: w zimie zmrok jest tak długi iż światła nie potrzeba aż koło piątej; a niema miesiąca w którymby nie przyświecał księżyc 10 do 12 dni tak iż się bez latarni obyć można. Chociaż spokojność zdaje się być zapewnioną charakterem narodowym są jednak patrole nocne, a co 300 kroków stróże nocni co się przechodzą. Nie mają oni innej broni nad kij długi okuty w końcu formą podkowy dość szerokiej by ująć rękę lub nogę ludzką: ta podkowa trochę rozwartą ma dwie sprężyny które się zamykają za przyciśnięciem. I skoro stróż chce kogo uchwycić, kieruje swoją broń by złapać za nogę, za przyciśnięciem sprężyna się zamyka i niema sposobu, by ujęty mógł się wymknąć; a długość kija zapewnia stróżowi osobiste bezpieczeństwo. Ale rzadko się taki przypadek zdarzy w Stockholmie; tam w ogóle kaźden spokojnie i bezpiecznie po nocy chodzić może. (Porównaj art. w Księdze Świata z r. 1852 T. II.)

Domy z cegieł po największej części dobrze zbudowane; w grodzie są one wysokie i w ogóle o trzech

lub czterech oknach na kaźdem piętrze; w części północnej i południowej są niższe ale szersze, rzadko kiedy mają mniej nad sześć okien w rzędzie i nie więcej nad dwa piętra. Wschody, w ogóle bardzo jasne, kamienne; w domach możniejszych stopnie są z jednej płyty. W wielu miejscach bywa podłoga z marmuru krajowego, a nawet często tam gdzie jest posadzka brzegiem koło ściany bywa rama marmurowa. Rozłożenie pokoi jest zwykle wygodne, gdyż nie mają tej trudności jak nasi budownicy gdzie piec stawiać, skąd go ogrzewać? ponieważ zwykle ogrzewają je z pokoiów. Wiktuały w Stockholmie, oprócz ryb, prawie w dwójnasób tak drogie jak u nas w Warszawie; pomieszkania zaś, wyjąwszy czasu sejmu, o jedną trzecią częściej tańsze, ale dają tylko mury, rzadko z obiciem i bez mebli. Karet jest dosyć ale nie szczególne; dorożek też, tak formą karetową jak i powozową, ale dla wygórowanej ceny mało ich używają. W zimie wszystkie karety, powozy, dorożki są osadzone na saniach. Mają też maszyny w formie trójkąta do rozgarniania śniegu i używają ich na drogach publicznych; konie ciągną ów trójkąt i przez-to rozgarniają śnieg, co przyglądza i ułatwia sanne. Nie miałem sposobności widzenia tej operacyi, podróżując w tym kraju na początku jesieni i w lecie, a w Stockholmie w czasie mego pobytu dziewięć-miesięcznego, od 21 września aż do 5 lipca, nie było ani śniegu, ani zimy.

Liczą ludności w tej okolicy około 80,000 mieszkańców; port w Stockholmie jest bardzo głęboki, tak głęboki że największe okręta mogą w nim stać wygodnie a nawet blisko brzegu, lecz wejście jego nie jest zbyt wygodne, bo zasypane wysepkami i skałami, które przeszkadzają łatwemu dostępowi lub gwałtownemu napadowi, gdyż przesmyki są nie liczne i pilnie strzeżone. Port ten ma dwa wejścia główne, jedno od północy; drugie od południa, bywa zawsze napełniony łodziami, które kobiety wiosłują.

J. A.

## JAN KRYSZYJAN OERSTEDT.

Przebiegając życiorysy znakomitych ludzi, którzy w dziedzinie nauk i umiejętności, lub w innym jakim zawodzie wyższe zajęli stanowisko, rzeczywiste położyli zasługi i imie swoje niezatartymi głoskami za-

pisali na kartach historyi cywilizacyi, łatwo jest spostrzedz, że mało między nimi było tak szczęśliwych, którym zamożność rodziców i stanowisko ich w świecie otwierały drogę do nabycia wykształcenia, uła-



twiały pierwsze kroki w obranym zawodzie, pomagały do zyskania szerszego pola dla swych zdolności, do wydobycia się nad pospolitość. Owszem, każdy z nich prawie od kolebki nieledwie walczyć musiał z niedostatkiem, nieraz z nędzą nawet, przebojem zdobywać tajniki wiedzy, i czas najdroższy dla nauki tracić dla zarobku na szczupły kęs powszedniego chleba. Ale ta twarda w pierwszej młodości walka z materialnymi potrzebami, to ciągłe wyężdżanie sił fizycznych i moralnych nadaje szczególny hart duszy i umysłowi, robi go zdolnym do sięgania na niedostępne dla pospolitości wyżyny. Kiedy tylu innych obdarzonych równie świetnym zasobem wrodzonych zdolności, a obok tego majątkiem zapewniającym niezależny byt bez troski, wszelką pomocą otaczającego świata, marnieje po utartych kolejach pospolitości; kilku upośledzonych od losu wytrwałością a pracą wspina się na wyżyny nauki, terażniejszości góruje, przyszłym przyświeca pokoleniom. Widać że łatwiej jest przełamać zawady nawet przez nędzę stawiane, niż zgnieść w sobie miękkość i otrętwienie wypieszczone łatwością zaspakajania nie tylko potrzeb życia, ale nadto i wygodnych nawyków. I tak jest wsamiej rzeczy; bo w pierwszym razie walka się toczy z zewnętrznym światem, w drugim z samym sobą trzeba iść w zapasy.

Do tych upośledzonych od ślepego losu, którzy jedynie pracą, wytrwałością i własnymi zasługami wywalczyli sobie wysokie miejsce w dziedzinie nauki, zaświecili nie tylko własnemu krajowi, ale i całemu światu, należy duński uczonec Jan Krystyjan Oerstedt. Los nie uśmiechał mu się w kolebce, nie słał różami pierwszych jego kroków; urodził się dnia 14 sierpnia 1777 r. w małym miasteczku *Rudköbing* na wyspie Langeland, gdzie ojciec jego był aptekarzem, w tak przecież niezamownym stanie, że nie starczyło mu na-

wet na posyłanie dzieci do miejscowej szkoły. Ale to nie odstraszyło chciwego nauki chłopca; otrzymawszy w domu pierwsze początki czytania, sam się nauczył arytmetyki z książki, która mu przypadkiem wpadła do ręki: a co tylko sam się nauczył, to zaraz udzielał młodszemu o rok bratu. Później nieco prywatny nauczyciel dawał obu braciom początki łacińskiego języka. Dalej już sami wspólnie się ucząc, wzajemnym udzielaniem sobie wiedzy, dorywczo nabytą, z książek bez porządku i ładu przypadkiem dostawanych, przebyli lata dzieciństwa. Starszego w dwunastym roku wzięła ojciec do pomocy w aptecę; tu Jan Krystyjan praktycznie zapoznał się z chemią i upodobał ją sobie. Ale jakkolwiek zamiłowany w swym przedmiocie niezanieczywał ciągle uczyć się wspólnie z bratem języków starożytnych, historii i innych nauk, oraz czytać wszelkich książek, jakie tylko można było dostać w małym miasteczku.

Praca ich musiała być usilna i wytrwała, kiedy mimo tak bezładnej nauki, tak niedostatecznych źródeł, takiego braku wszelkiej pomocy potrafili w roku 1794 złożyć egzamen gimnazjalny i skutkiem tego zostali przyjęci do uniwersytetu Kopen-

hagskiego. Nie mogąc mieć żadnej pomocy z domu, własną pracą, daniem lekcji musieli zarabiać na życie, od czego ich nie uwolniło otrzymane po jakim czasie zbyt szczupłe stypendjum rządowe, każdy z nich obrał sobie inną gałąź wiedzy; młodszy poświęcił się nauce prawa, która w kolei czasu doprowadziła go do najwyższych godności w kraju, doszedł bowiem do urzędu ministra; starszy oddał się naukom przyrodzonym. I tu przecież udzielali sobie wzajem nabytych wiadomości, nie zamykali się w ciasnych granicach obranej nauki; dla tego wykształcenie ich było pełne i wszechstronne, pogląd na naukę, na świat, ludzi i ich stosunki zachował



Jan Krystyjan Oerstedt.



na zawsze żywość i czerstwość cechujące wyższe umysły.

Jar Krystyjan skończywszy uniwersytet w r. 1800, zmuszony był przyjąć zarząd prywatnej apteki i prócz tego miewał publiczne odczyty z chemii i fizyki. Od-mawiając sobie wszystkiego prawie, potrafił tyle zaoszczędzić z krwawo zapracowanego grosza, że w roku 1801, mógł wyjechać za granicę w celu kształcenia się dalszego.

W tym właśnie czasie nauki przyrodzone zaczęły pewniejszym krokiem zmierzać do olbrzymiego dzisiejszego rozwoju. W roku poprzednim 1800, Volta unieśmiertelnił swe imie wynalezieniem stosu galwanicznego. Nowa siła przyrody, galwanizm, zajęła należne sobie miejsce w dziedzinie nauki. Wszyscy uczeni rzucili się do badania jej własności, a Oerstedt nie był między nimi ostatnim.

Po powrocie do kraju w 1803 r. mimo, że zyskał już sobie niepoślednie imie w świecie uczonym, nie dano mu przecież zaraz opróżnionej w uniwersytecie Kopenhagskim katedry fizyki; trzy lata jeszcze wśród niedostatku musiał się jej dorabiać nowymi pracami, i dopiero w r. 1806 ją otrzymał. Tu otworzyło się przed nim nowe pole pracy; bo jednocześnie został nauczycielem w szkole Kadetów, przyjął obowiązek wykładania nauk przyrodzonych oficerom kwatermistrzostwa, a prócz tego miewał publiczne odczyty w czasie zimy po pięć godzin dziennie. Tyle zajęcia nie odrywało go od pracy nad postępem nauki, pracy płodnej, bo coraz nowymi odkryciami bogacącej naukę.

Najważniejsze pomiędzy niemi zajmuje miejsce odkrycie elektromagnetyzmu, które rozgłosiło jego imie po całej Europie i na zawsze zapewniło mu znakomite miejsce w historii nauki. Myśl tego odkrycia od kilku lat mu przeświecała; pierwsze jej ślady bowiem, jakby przeczucie niejasne, spotykamy w rozprawie w r. 1813 w Berlinie wydanej pod tytułem: *Pomysły o chemicznych prawach natury*, którą sam przetłumaczył na język francuzki pod tytułem: *Recherches sur l'identité des forces électriques et chimiques*. Wtenczas już przypuszczał, że skoro galwanizm jest ukrytą pod innym kształtem elektrycznością, i magnetyzm może być również elektrycznością tylko bardziej jeszcze ukrytą. Dołożył więc wszelkiego starania, wszystkie badania zwrócił do tego, żeby się przekonać, czyli, i jaki wpływ elektryczność, lub galwanizm wywierają na magnes.

Dopiero przecież w 1820 roku na publicznej lekcyi,

jakby wyższem uderzony światłem, wykrył, że ciała naelektryzowane i magnes podług pewnych i niezmiennych praw na siebie działają, że naokoło każdego elektrycznego przewodnika krąży magnetyzm po linii spiralnej, że prąd elektryczny jednostajnie zawsze i podług pewnego niezmiennego prawa wpływa na kierunek igły magnesowej, nie przechodząc przecież przez samą igłę, ale około igły. Za to odkrycie, zaszczyty posypały się na niego, wszystkie prawie uczone towarzystwa w Europie przyznały mu najpierwsze nagrody, wezwały go na członka swego grona. Odtąd elektro-magnetyzm stanowi ważny dział nauki fizyki, a dalsze nad nim prace i badania uczonych doprowadziły do wynalazku telegrafu elektrycznego, któryby dziś zapewne nie istniał bez odkrycia Oerstedta.

Tyle Oerstedt zrobił dla całego świata, w własnej zaś ojczyźnie dwie główne położył zasługi: osobistym wpływem wyjednał w r. 1837, u króla Fryderyka VI założenie w Kopenhadze szkoły politechnicznej; poprzednio zaś w roku 1823, sam założył Towarzystwo rozpowszechniania nauk przyrodzonych, którego członkowie, a uczniowie Oerstedta, miewali w tym celu odczyty po wszystkich większych miastach Danii.

Życie Oerstedta całe było poświęcone pracy; żadna gałąź wiedzy ludzkiej nie była mu obcą; zawsze świeży i żywy umysł jego każdą się zajmował. Dla tego lekcyje jego i publiczne odczyty dalekie od szkolarstwa, nie były suchym wykładem martwych prawd nauki, ale wszechstronnością wiedzy i wyższym poglądem pociągały słuchaczy, budziły w nich coraz większą żądzę nauki. Dla tego wpływ jego był tak wielki pod każdym względem na nowe pokolenie całego narodu, całego narodu mówimy, bo w Danii jeden jest tylko uniwersytet Kopenhagski, cała więc klasa wykształcona słuchała wykładu Oerstedta.

Niez mordowany ten pracownik zajęty po całych dniach prawie lekcyami i odczytami publicznymi, badaniem praw i tajników przyrody miał jeszcze czas wspierać artykułami przeglądy i pisma czasowe, wzbogacić literaturę duńską szacownymi dziełami, pracować nad jej rozbudzeniem i podniesieniem, nad sprowadzeniem krytyki literackiej z bezdrożów na pole zdrowego rozumu i dobrego smaku.

Umarł d. 19 marca 1851 r. do końca życia piastował godności i urzęda: sekretarza król. Towarzystwa nauk, zwyczajnego proffessora uniwersytetu, dyrektora szkoły politechnicznej i był radcą konferencyjnym



od r. 1840, oraz członkiem korespondentem instytutu francuzkiego. Ozdobiony był krzyżem kawalerskim Legii Honorowej (1857), pruskim orderem Pour le

Mérite dans les sciences et les arts (1842) i wielkim krzyżem Dannebrog (1847).

J. C.

## JOHN BRIGHT.

John Bright przywódca niezawisłych liberalistów w parlamencie angielskim, którego wszystkie odcienia stronników reformy upoważniły do zredagowania opozycyjnego projektu przeciw ministeryjnemu torysoskiemu bilowi reformy, urodził się w roku 1811 w Greenbank pod Rochdale i obecnie jest jednym z wspólników firmy Bracia Bright, posiadającej wielką przedziałnię bawełny w Rochdale. Agitacya przeciw cłom zbożowym wprowadziła go na scenę polityczną. Był on jednym z najpierwszych członków związku przeciw prawu zbożowemu, ale wtedy dopiero wyszedł na widownię publiczną, kiedy ten związek działalność swoją rozwinął w samym Londynie i rozpoczął systematyczne objazdy po rozmaitych okręgach rolniczych. Mowy p. Bright na zgromadzeniach odbywanych w sali teatru Drurylane, sprawiały wielkie wrażenie w całym kraju i przygotowywały mu zawczasu chętnych słuchaczy między dzierżawcami w prowincjach, gdzie jego pełne ognia przemowy wzniewały najżywszą sympatyę. W kwietniu 1843 roku wystąpił on jako kandydat do Izby niższej z Durham, ale się nie utrzymał; w następnym atoli roku, w lipcu, został w tymże okręgu wybrany i reprezentował to konserwatywne miasto do roku 1847 w którym wybrany został przez ważniejsze jeszcze kollegium w Manchester. Przez dziesięć lat następnych bez przerwy zasiadał w parlamencie jako reprezentant z Manchester; dopiero w roku 1857 w skutku swoich mów i głosowania przeciw gabinetowi lorda Palmerston i jego zamiarom wojennym przeciw Chinom, upadł przy wyborach do nowego parlamentu. Później wybrany znowu, najwięcej może przyłożył się do upadku wspomnionego gabinetu. Już przy pierwszym wybraniu w Durham John Bright uroczyście oświadczył, że zrzecze się wszel-

kich stronnicznych względów i popierać będzie reformy jakie naród uznaje potrzebnymi w swoim prawodawstwie; téj zasady trzymał się niezmiennie i rozwinął ją dalej w sposób, który ważny wpływ wywarł na położenie Izby niższej w ogóle. Dawna polityczna zasada, bez której rząd parlamentowy w Anglii zdawał się być niepodobieństwem, a według której gabinet jako komitet, wybrany z większości, otrzymywał od niej oświadczenie zaufania i nie ulegał jęj ściślejszej kontroli w każdym pojedynczym kroku; zasada ta, mówimy, została zwaloną, gabinety stały się zawisłymi od chwilowo tworzących się większości, i przywódcy Izby niższej uzyskali potężną władzę, nie mając żadnej odpowiedzialności. Sprowadzić to zniszczenie władzy gabinetu zapomocą powagi Izby niższej i téj Izbie, której powaga stałaby się wtenczas niepodzielną i nieograniczoną, oddać najzupełniej kierunek całej polityki państwa, jest celem do którego dąży p. John Bright i jego stronnictwo, a dobre przyjęcie jaką on w większej części liberalistów znalazł, spowodowało upadek lorda Palmerstona, ponieważ tenże ze wszystkich ministrów najmniej był skłonny do znoszenia się inicjatywy rządowej. Ta okoliczność była źródłem dzisiejszego bezrządu w Izbie niższej, za pomocą którego, mniejszość objęła ster rządu i kieruje nim wbrew swoim właściwym zasadom, a według tych, jakie jęj przez przeciwników są podawane.

P. Bright jest jednym z najlepszych mowców Izby niższej. Ma on głos dźwięczny, wymowę wyraźną, w całym jego wzięciu niema nic manierowanego, ani nie przyjemnie uderzającego; przytém odznacza się on wykwinnym smakiem, czego u kwaków ani szukać. W polemice parlamentarnęj bywa on niebezpiecznym przeciwnikiem; siła jego rozumowania



i ostrość dowcipu są zabijające. Ale prócz tego jest on filozofem i politykiem, a ilekroć zdarzy mu się sposobność, wprawia słuchaczy w podziwienie głębokością i bogactwem myśli, ścisłością i dotykalnością dowodzeń i szczęśliwym doborem najtrafniejszych przykładów objaśniających. Tego rodzaju była jego mowa o bilu reformy indyjskiej, przy czem wprawił Izbę w tak nadzwyczajne zajęcie, że nawet żaden oklask, ani okrzyk zadowolonia nie przerwał mu mowy. Obudzić namiętności i wywołać oklask nie trudno zrzęcznemu mówcy, ale zawładnąć dobraném zgromadzeniem słuchaczy zapomocą spokojnego, wolnego od wszelkiej namiętności rozumowania, jest jedném z najtrudniejszych zadań krasomówcy.

John Bright odznacza się w wysokim stopniu odwagą wyznania swoich opinij i nawet niezgadzając się niekiedy z jego przekonaniem, każdy musi czcić dumną niezawisłość tego ducha, który ani ubiega



John Bright.

się za popularnością, ani się niepopularności obawia. Wkrótce po wejściu do parlamentu wystąpił on wbrew powszechnej opinij przeciw zniesieniu handlu niewolników z powodu ważnych strat na jakie handel an-

gielski przy brzegach afrykańskich musiałby przez-to ponieść; w czasie wojny wschodniej, wpośród głośnych wybuchów wojenniczego patryotyzmu angielskiego, nie wahał się stanowczo za pokojem występować. To jest jak pięta Achillesa, jedynym przystępnym ranie punktem u John Bright i jego stronników. Oderwawszy się od wszelkich politycznych tradycyj Anglii, stali się oni tak dalece kosmopolitami, że uważają się za powołanych i obowiązanych adwokatować obcym narodom, mającym jakie zajęcia z Anglią i prawie zawsze znajdując oni sprawiedliwość na

stronie własnej ojczyzny, jeżeli tylko ona uzna potrzebę poparcia praw swoich za pomocą wojny. Rodak nasz Boryczewski zrobił w Londynie r. b. popiersie jego.

## KOBIETA DOKTOR.

Mieszkańcy Londynu tłumnie się zgromadzili w d. 2 marca roku bieżącego, do instytutu Marylebone, zwabieni nader ciekawém zjawiskiem, prelekcjami które miały być wykładane przez kobietę.

Mnóstwo wytwornych *Ladies* ze świata uczonego i z arystokracji, oraz mężczyzn liczbą niemałą, napełniło salę prelekcji. Po kilku minutach niecierpliwego oczekiwania, wstąpiła na katedrę Miss Eliza-

beta Blackwell a wysłuchawszy adresu zapraszającego ją do rozpoczęcia wykładu fizyologii, adresu który pani Jameson odczytała dobitnie i głośno, Miss Blackwell rozpoczęła swój wykład.

Nie potrzebujemy dodawać że ją słuchacze powitali szmerem współczucia. Wytrwałość pięknym jest przymiotem, a Miss Blackwell w ciągu swego akademickiego zawodu, dała największe dowody swój wy-



trwałości, znosząc cierpliwie szyderstwa współczesnych; prześladowanie ludzi, którzy każdą nowość witają najgwałtowniej, brak zachęty od profesorów, słowem wszelkie i najcięższe przeciwności jakie w walce z opinią kobieta ponieść musi, wtedy nawet, kiedy jej postępowanie jest bez zarzutu, lecz gdy jej zamiary i chęci wybiegają po za powszedni zakres kobiecego przeznaczenia.

Elizabeta Blackwell jest córką zubożałego kupca z Bristolu, ojciec jej straciwszy w handlu całe swe mienie, zabrał dziesięcioro dzieci swoich i popłynął do Ameryki. Ale tam niodorobił się majątku; dzieci rosły, potrzeby ich się mnożyły, a biedny ojciec nie miał dla nich dostatecznego utrzymania. Szczęściem, dziś majątek a praca, są wyrazy jednoznaczne. Elizabeta ukończywszy nauki, (wiadomo jak wysokie ukształcenie kobiety pobierają w Ameryce) rozpoczęła kurs medyczny w Genewie, w stanie Nowo-Yorkskim i w 1849 roku otrzymała patent na doktora medycyny.

Niedosyć jej było na tém: uzbrojona swym patentem puściła się w podróż do Europy. W Londynie uczęszczać zaczęła na kurs medycyny, później udała się do Paryża.

Wiemy że tam, zwierzchność akademii medycznej prosiła ją, żeby się przebrała w suknie męskie jeżeli chce być wolno słuchającą wykładu. „Ani jednej wstażki od mego kapelusza, nieodepnę” odparła, i niezrażona szyderstwem uczącej się młodzieży, uczęszczała pilnie na prelekcye profesorów. Zkąd jej ta chęć do zawodu który tyle pracy, tyle nauki wymaga, który tak jest przeciwnym wrodzonej dla drażliwości uczuć i nerwów niewieścich?

Oto Elżbieta Blackwell chce koniecznie wpłynąć na wychowanie kobiet, a tém samym zapobiedz nieprzeliczonym chorobom, które dręczą ród ludzki bądź to w skutek złego wychowania, bądź w skutek złego żywienia się obecnych pokoleń.

Cel zaprawdę wielki, warto było dla tak szczytnego celu ponieść trudów tak dużo, i zwalczyć przeciwności tysięcy.

„O powinnościach kobiet, wpływie niewiast na społeczeństwo i t. p. rzeczach (mówi Elżbieta Blackwell na swych prelekcjach) pisano dzieł tysiące. Nikomu jednak nie przyszło do głowy że podstawą dobrego, powinności owych, zrozumienia jest: *zdrowie*. Kobieta, Bóg przeznaczył na pierwszą lekarzkę i nauczycielkę ludzkości. Ona trudniąc się wychowaniem ciała, wpływa zarazem na rozwinięcie umysłu. Wnie-

świadomości swój może albo zwichnąć najdroższe dary Boże, to jest rozum i zdrowie, lub je rozwinąć w swych dzieciach do wysokiego stopnia, gdy umiejętnie chodzi koło powierzonych sobie od Boga istot.”

Organizm dziecięcia porównywa panna Blackwell do bardzo sztucznej maszyny. Biegły mechanik cudów z nią dokaże, prostak ją zepsuje.

Nie można lekceważyć zdrowia pojedynczych osób, albowiem zdrowie jednego człowieka, jest zdrowiem całej rodziny, ta zaś przekazuje swe przymioty lub wady fizyczne, całym pokoleniom.

Dla osób więc poświęcających się wychowaniu młodzieży, fizyologija, zdaniem panny Blackwell jest nieodzownie potrzebną.

Siłę woli, panna Blackwell stawia w pierwszym rzędzie przedmiotów duszy, przytacza przykład osoby która od wodowstrętu, zdołała się wyleczyć, silną wolą, niepoddania się tej strasznej chorobie.

Myśl nasza, powinna przywyknąć do pewnych wyobrażeń, pewnego kierunku, co nader skutecznie wpływać ma na zdrowie. Zerwać równowagę ducha z ciałem jest rzeczą bardzo szkodliwą, ćwiczenie zaś władz ciała i umysłu zarówno staje się koniecznym. Panna Blackwell uczyniła spostrzeżenie iż dwie klasy społeczeństwa najwięcej ulegają chorobom, i że śmiertelność najczęstsza zdarza się między temi klassami, u kobiet dobrego tonu i w wojsku. Ztąd wniosek że jak u pierwszych mało ruchu a wiele zajęcia umysłowego, tak u drugich za dużo trudów fizycznych a za mało pracy umysłowej; te same szkodliwe skutki przynoszą.

Na jednej ze swych prelekcji panna Blackwell podała wniosek żeby założyć szpital dla kobiet i dzieci w Londynie, a nadzór nad tym szpitalem chce objąć panna Blackwell wraz z młodszą swą siostrą która także odbyła kurs medycyny. Wniosek ten mile został przyjęty, znalazła się nawet bogata Angielka która natychmiast na założenie tego szpitala, przeznaczyła 8000 funtów szter. (48,000 rubli rs.).

Europa dziwi się tym wybrykom angielskiej fantazyi. „Co to się dzieje u ludów plemienia saksońskiego — powtarzamy na północy. Kobiety, lekarzami! do czego to podobne, doprawdy chyba już koniec świata.”

Zapomniała stara Europa swoich uwiecznionych córek. A było ich dosyć w minionych wiekach. Że niewspomnim o Safonach i Korynnach, o Aspazji, Deotymie od której Sokrates uczył się mądrości. Gdy zagasła gwiazda Hellady która naukę i smak wytworny krzewiła po greckim świecie, znalazła się



w szkole Nowo-Aleksandryjskiej Hippacya, mistrzyni neoplatonizmu.

W średnich wiekach słynęły: Rozświta, Heloiza swą nauką; przemilczamy bohaterki i poetki. Wene-  
cyanka Lukrecya Cornaro, biegła w językach staro-  
żytnych i matematyce, otrzymała prócz tego stopień  
doktora filozofii w akademii padewskiej, roku 1624;  
małżonka zaś Józefa Verati, Laura Basti, niewiasta  
pełna cnót i nauki, także była zaszczycona doktor-  
skim stopniem. Laura Basi przez lat dwadzieścia  
kilka wykładała w akademii Bonońskiej fizykę eks-

perymentalną z pożytkiem ogółu, a poklaskiem uczo-  
nych, działało się to już w drugiej połowie XVIII wieku.

Nie takim więc nadzwyczajnym zjawiskiem jest  
nasza angielfka w birecie i todze; tém więcej że dwie  
nasze rodaczki już poszły jój śladem, z tych, wymie-  
nimy pannę Zakrzeską.

Gdzie ten postęp wiedzie społeczność? zapewne  
do szczęścia i cnoty; daj Boże, niech ludzkość i mo-  
ralność zyskają, podniesione, niewiast nauką i po-  
święceniem.

J. Janiszews ...

## PODRÓŻ PO GRECYI.

### I.

#### WYSPA PATMOS.

Zbliżając się od południa do wyspy Patmos zdale-  
ka po nad domami pnącego się na górę miasta, wi-  
dać sławny klasztor położeniem i budową przypomi-  
nający Acropolis. Pod skrzydła jego przytuliło się  
miasto przed napadami rozbójników morskich. Nie  
okalają go ani pola uprawne, ani zielone łąny, w głę-  
boko jedynie zasutych dolinach, biedni mieszkańcy  
twardą pracą zdołali uprawić kawałek roli; a prze-  
to kilka ogrodów tylko i winnic, kilka rozrzuconych  
zagonów zboża, kilka drzew oliwnych samotnie sto-  
jących, urozmaicają smutny widok czarnej wulkani-  
cznej wyspy. Z płaskiego dachu klasztoru dopiero,  
z najwyższego punktu wyspy, otwiera się na około  
rozległy widnokrąg, rozwija się wspaniały i bogaty  
w rozliczne szczegóły widok. Gdziekolwiek zwrócić  
oko, wszędzie wynurzają się z morza malowniczo roz-  
rzucone wyspy Archipelagu, na północ Samos i Nika-  
rija, na zachód Naxos, gdzieindziej szarzeją w dali  
wybrzeża Małej-Azyi. Najbliżej zachwyconego oka  
leżą dwie czarne skały; wyobraźnia ludu ozłociła je  
dziwacznie, ale pełnemi myśli podaniami z za-  
mierzchłych czasów. Pochodzenie jednej z tych skał  
przypisują następnemu wypadkowi: matka przekleła  
nieposłuszną córkę, iż mimo zakazu w dzień świą-  
teczny poszła do morza ryby łowić, i przekleństwo  
się ziściło, córka skamieniała. Dla tego lud tę skałę  
nazywa skamieniałą dziewicą. Druga skała ma być

pamiętką po złym duchu, któremu przed przybyciem  
św. Jana Ewangelisty mieszkańcy wyspy Patmos  
boską cześć oddawali za to, że cuda robił, a nawet  
umarłych wskrzeszał. Otóż zły duch w obliczu pań-  
skiego sługi chciał cud pokazać, ale apostoł jednem  
słowem przemienił go w martwą skałę. Do nie jedne-  
go miejsca wyspy przywiązane są podobne podania  
z czasów wygnania i pobytu św. Jana na wyspie, ca-  
ła wyspa nawet jego pamięci jest poświęconą. Legen-  
dy o nim i jego cudach zachowały się dotąd pomię-  
dzy mieszkańcami; Patmos nazywa się wyspą obja-  
wienia. Szkoła tutejsza i klasztor noszą miano św.  
Jana i pokazują nawet pieczarę, w której prorok przez  
czas wygnania mieszkał, w której księgę Objawienia  
pisał; i nazywają pieczarą Objawienia. Następnie zbu-  
dowano na tém miejscu kościół, mimo tego, że ober-  
wała się część pieczary; bo jak podanie ludowe uczy,  
skała się roztrzaskała w tej samej chwili, kiedy świę-  
ty Jan miał widzenie.

Obecnie Patmos, chociaż do Turcyi należy, posia-  
da wyższość nad sąsiednimi wyspami, przywilój, że  
niema tureckiego gubernatora, że wyłącznie przez sa-  
mych greków jest zamieszkaną i sama sobie wybiera  
rządców.

Uderzającym zjawiskiem tamtejszych obyczajów,  
jest wielka liczba kobiet żyjących sumotnie, bez mę-  
żów. Po części pochodzi to z wczesnej śmierci mężczyzn  
wystawionych na ciągle niebezpieczeństwa marynar-  
skiego życia; ale głównej przyczyny gdzie indziej



należy szukać: kobiety tamtejsze tak są przywiązane do swój rodzinnej wyspy, że zaślubiwszy nawet obcego, nie idą za nim do jego kraju, ale pozostają u siebie; przyczynia się do tego i to jeszcze, że podług praw i zwyczajów w większej części Grecyi obowiązujących, córki, z wyłączeniem synów, dziedziczą ojcowskie siedziby. Wielka liczba mężczyzn mających żony w Patmos zupełnie gdzieindziej zamieszkuje, a tylko raz lub kilka razy do roku odwiedza swą rodzinę. Mimo-to jednak między kobietami zachowuje się surowa czystość obyczajów, i czule przywiązanie do nieobecnego męża. Po śmierci jego żadna kobieta nie idzie drugi raz za mąż; sprzeciwiałoby się to zwyczajom przyjętym; wdowa całe życie nosi żałobę po mężu. Żałoba po rodzicach trwa trzy lata, a tylko jakaś uroczystość rodzinna np. małżeństwo, może ją skrócić na czas jakiś. Strój kobiet tamtejszych ma także właściwe sobie cechy. Przed 20tą a nawet 10cią jeszcze laty podróżnicy opisywali, iż kobiety w Patmos noszą strój na głowie przeplatany włosami w kształcie rogu obfitości, ogromny i ciężki jak czapka grenadyerska. Ale teraz kobiety zarzuciły te okrągłe piramidy zbudowane na głowie z różnobarwnych chustek srebrem przetykanych; tylko podeszłe kobiety jeszcze je noszą. Córki zamożnych rodzin lubią się ubierać w suknie srebrem wyszywane, nosić bransoletki i drogocenne naszyjniki. Włosy zawijają w loki i plotą w warkocze, następnie albo w piramidę układają, albo nakształt wieńca otaczają nie mi głowę; czasem przetykają je z wielkim smakiem jedwabnymi sznury. W ogóle podług zdania podróżników kobiety w Patmos odznaczają się pięknnością, a przyjęty od niejakiego czasu w miejsce dawniejszego stroju ubior smyrneński, podnosi jeszcze ich wdzięki. W młodości zaleca je szczególnie świeżość i białość lica, coś niezwykle łagodnego w wyrazie twarzy. Nie uderza w nich czystość linii greczynek Smyrny; ale za to zachwyca skromność w twarzy i całej postawie rozlana. Mieszkanie ich zdobi nadzwyczajna czystość i porządek.

Pamięć miejsca uświęconego pobytem św. Jana ściąga na wyspę Patmos mnóstwo pielgrzymów równie rzymskiego jak i greckiego kościoła. Nie mała także liczba przybywa tam dla zwiedzenia biblioteki klasztornej, przejrzania szacownych ksiąg i rękopismów. Od portu La Skala najlepszego może i najbezpieczniejszego na całym Archipelagu droga bita prowadzi na wierzchołek góry św. Jana. W pół drogi do wierzchołka, na wyskakującej skale nad samą pieczarą Objawienia stoi, szkoła grecka. Szkoła ta

założona przez klasztor tamtejszy w początku XVIII wieku, długo miała sławę najlepszej szkoły w całej Turcyi. Pod koniec przeszłego wieku liczyła przeszło 200 uczniów pochodzących z wysp sąsiednich, z stałego lądu Grecyi, a nawet z księstw Naddunajskich. Szczególniej nauka starożytnego języka greckiego posunięta była w tej szkole do wysokiego stopnia doskonałości, i ztąd wychodzili nauczyciele do innych szkół greckich. W dzisiejszych czasach szkoła ta straciła dawne wzięcie, przed kilkoma laty 40 uczniów zaledwie uczyło się w niej początków starogreckiego języka, oraz jeografii i historii. Klasztor św. Jana podług wszelkiego prawdopodobieństwa stoi na tém samym miejscu, na którym w starożytności stała świątynia Artemizy. Założył go w XI wieku św. Christodolus, i ciało jego dotąd leży w tamtejszym kościele. Rozległe gmachy klasztoru obejmują: wspólny kościół ozdobiony jońskimi i bizantyjskimi kolumnami, małą kaplicę, kilka oddzielnych dziedzińców otoczonych celami mnichów, refektarzami i t. d. oraz dwie sale biblioteczne, w których rękopisma i księgi przed niejakim dopięro czasem uporządkowane zostały. Ogólna liczba rękopismów przenosi 200, między niemi znajdują się bardzo starożytne, sięgające od XI do XIV wieku, dwa nawet pisane są charakterem IX wieku i niezmierniej są wagi dla literatury ojców kościoła.

Ludność wyspy wynosi 4 do 5 tysięcy mieszkańców, z których 300 do 400 jest marynarzami; w r. 1841, oprócz pomniejszych łodzi posiadali oni 42 brygów i gaelot. Miasto Patmos leży na około klasztoru; założonem zostało w XV i XVII wieku przez zbiegów z Konstantynopola, chroniących się na wyspę Patmos przed Turkami. Ulice miasta wąskie i kręte źle są brukowane. Patmos przecież pod względem wykształcenia i dobrego bytu ogółu mieszkańców daleko wyżej stoi, niż przyległe wyspy, w części z powodu sąsiedztwa klasztoru i istniejącej przy nim szkoły, w części z powodu oddawna rozwiniętego handlu. Dochody wyspy wynoszą rocznie około 600,000 piastrów. Część przychodu mieszkańców stanowi wywóz cegieł i naczyń glinianych niepośledniej dobroci wyrabianych z czerwoniawej glinki znajdującej się na Patmos, w znakomitej ilości wysyłanych do Smyrny, Rodu i Aleksandrii; nie małą gałęzią przemysłu są także pończochy i czepki bawełniane szczególnej cienkości i mocy, których wyrób stanowi główne zatrudnienie kobiet wszystkich stanów. Marynarze zaś trudnią się głównie przewozem zboża z portów Czarnego morza, do własnej wyspy i innych krajów.



Współbracia z Grecyi Europejskiej, oskarżają tu-tejszych mieszkańców o brak tęgości charakteru, o niedostatek odwagi i skarłowaciałą duszę. Być to może w niejakijs części i prawdą, ale za to wolni by-wają mieszkańcy Jonii od srogości Greków europejskich i większe zachowali podobieństwo do naddzia-dów, będących ludem łagodnym i ludzkim.

Domowe samowładztwo Greków starożytnych, aż do dzisiejszych przeszło potomków. Nawet pełna mi-łości religija chrześcijańska, nie była w stanie złago-dzić téj surowości. Żona, a nawet panna młoda, sie-dzi niżej od mężczyzny. Ogólne te zwyczaje, przyjęte są i na wyspie Pathmos <sup>1)</sup>.

Podróżnicy utrzymują, iż rozkoszną prawdziwie jest droga po wyżynach i dolinach wyspy. Liczne kaplice i kapliczki uświęcone właściwemi sobie podaniami zajmują umysł; ogrody i winnice pod górnem miastem a bardziej jeszcze w jarach urwistych wynagradzają brak cienistych lasów; widok zaś ze wszech stron otwarty na morze i liczne wysp grupy zachwycają oko i przejmują serce uczuciem uwielbienia dla Stwórcy tak dobrze odmalowaném w tych słowach Objawienia:

„Godzienieś Panie! wzięść chwałę i cześć i moc; boś Ty stworzył wszystkie rzeczy, i za wolą Twoją trwają i stworzone są.” (Rozdz. IV w. 11).

## II.

### DROGA Z PIREUS DO SMYRNY.

Zbliżał się dzień 25 marca podług kościoła greckiego uroczystość Zwiastowania Najświętszej Panny *Εναγγελισμός* a zarazem pamiątka powstania w Pello-ponezie w dniu 25 marca 1821 r. wybuchłego, odda-wna jako święto narodowe w królestwie Greckiem obchodzona. Dzień ten postanowiłem uczcić w szcze-gólny sposób, dokonać oddawna pomyslanego zamięru i odbyć podróż do Smyrny przez Archipelag wy-spami zasiany. Właśnie zachodziło słońce, kiedyśmy podnieśli kotwicę w porcie Pireus; parowiec nasz choć mały, ale szumne noszący nazwisko *Panhellenion* wy-

<sup>1)</sup> W tomie I na str. 138 Księgi Świata z roku zesz. mieści się przy opisie Samos, i wzmianka o wyspie Pathmos. Dając jednak opis podróży po Grecyi, której dalsze ustępy w roku następnym umieścimy, sądziliśmy, że obszerniejszy opis téj wyspy, nie będzie zbytecznym.

(Przyp. Red.)

chodząc z portu miał wiatr przeciw sobie, mężnie je-dnak walczył z siłą bałwanów; ale zwróciwszy się nie-co na południo-zachód, przebywszy szczęśliwie koło Lwów, Faleronu i przylądka Kolia, szybszym za to biegiem pruł silną piersią wzburzone fale, a wiózł wielką liczbę pobożnych pielgrzymów do wyspy Ti-nos, na której dzień 25 marca z szczególną obchodzą uroczystością; korzystałem z chwili przystanku przy Tinos i wysiadłem na ląd z pielgrzymami. Na wyspie znajduje się kościół Zwiastowania Najświętszej Pan-ny (Panagia albo Ewangelistria) cel pobożnych piel-grzymek; niedaleko od miasta Tinos w piękném na-der położeniu, wraz z licznymi budowlami i dzie-dzińcami, dziwny, ale imponujący i malowniczy przed-stawia widok. W roku 1824, śniło się jednej zakon-nicy iż, w tém miejscu zakopany jest obraz Bogaro-dzicy; pilne poszukiwania istotnie go w ziemi wykry-ły. Wypadało więc koniecznie na tém miejscu posta-wić kościół. Nie rzadko podobne wypadki wydarzają się w Grecyi, i dla tego tam wiele kościołów i kla-sztorów nosi miano: *η αναεφομένη* (objawione). W Ti-nos nadspodziewanie prędko ziściło się życzenie po-bożnych. Tysiące pielgrzymów z wysp sąsiednich i wybrzeży Małej-Azyi zdążyło tu corocznie mianowi-cie w d. <sup>15</sup>/<sub>27</sub> sierpnia, na najważniejszą uroczystość Najświętszej Panny. Ze składek ich i darów, jesz-cze w czasie wojny o niepodległość, wybudowano ko-ściół, a wkrótce potem obok niego obszerne gmachy obejmujące mieszkania dla księży, oraz dla chorych pielgrzymów, szkołę i szpital. Wszystkie te zakłady nie tylko są utrzymywane, ale nawet następnie roz-szerzone zostały jedynie ze składek pielgrzymów; nie kosztowały i niekosztują, najmniejszej rzeczy, ani rzą-du, ani gminy. Kościół prawie cały zbudowany jest z marmuru; białawe filary i płyty posadzek pochodzą z miejscowych łomów na północno-wschodniej stronie wyspy położonych; stopnie zaś wielkich wspaniałych schodów u wnijscia zbudowano z ruin delijskich. We-wnątrz święte obrazy suto, choć bez smaku, są ozdobio-ne złotem i srebrem, obwieszane złotem i srebrnymi wotami. W miejscu znalezienia cudownego obrazu pod główną nawą kościoła zbudowano słabo oświetloną kaplicę i pomieszczono w niej cudowny obraz. O ile wnosić można z napisu znalezionej tutaj i wmuro-wanego nad tylnymi drzwiami kościoła, dawniej stała w tém samém miejscu kaplica św. Izydora. Liczba pielgrzymów zwiedzających Tinos na Panagiję (15 sierpnia) dochodzi często do 6,000; od czasu jak w d. 25 marca zaczęto obchodzić narodową uroczystość odrodzenia Grecyi, nie mniejsza liczba pobożnych



corocznie w tym dniu do Tinos przybywa. W tym roku liczba przybyłych na Panagiję wynosiła około 10,000. Gościnność mieszkańców umiała w miarę możliwości zapewnić wygody tysiącom przybyszów. Dla mnie nader zajmującym było porównywanie najrozmaitszych strojów narodowych różnych stron Grecyi; ciekawie słuchałem rozlicznych dialektów, a mianowicie nowo utworzonego z mieszaniny innych, dialektu tegoczesnych ateńczyków; bo już teraz pięć głównych dialektów Grecyi liczy: attycki, eolski, dorycki, joński i nowo-ateński, podziwiałem równie pałający wzrok kobiet z Tinos, i łagodny blask oczu dziewic jońskich.

Pogodne i czyste niebo sprzyjało nam w dalszej podróży i przy pomyślnym wietrze szybko mijaliśmy wyskakujące w morze wybrzeża wyspy Chios, i stolicę jej, kiedyś wesołe i piękne miasto Chios, oraz wille w około rozsiane, dowodzące zamożności i dobrego smaku, ale dziś w ruinach opuszczone i samotne. Smutny i posępny widok więcej jeszcze budził boleści wskutek ciszy zalegającej miasto. Była to właśnie niedziela; wszyscy mieszkańcy znajdowali się w kościele; nikogo na ulicach, najmniejszy szmer nawet nie przerywał grobowej ciszy panującej w mieście. Tylko łagodny podmuch wiatru z lekka kołysał drzew wierzchołkami, tylko bałwany morza tłukły o skaliste wybrzeże. I mimowolnie stanęło mi w pamięci lato 1822 r., w którym mord i niewola nawiedziły nieszczęśliwe Chios; szmer liści na drzewach zdawał mi się cichym jękiem dziewic pędzonych w niewolę, skargą osieroconych matek; a stęk fali morskiej bijącej o brzegi, żalem zawodzonym po zamordowanym tu biskupie. Gdy spienione bałwany morza z głuchym łoskotem nieustannie uderzały o wybrzeże i odepchnięte znowu wracały; zdawało mi się, iż gniewne chcą wyrzucić z swego łona 2000 ludzi, których wkrótce po grozie popełnionej w Chios piekielny ogień mściwej ręki kanarisa jednej chwili w powietrze wyrzucił i w morze pograżył.

Nie długo już potem droga zaprowadziła nas do portu Smyrny. Same miasto w kształcie amfiteatru nad zatoką tworzącą port rozłożone nie jest pięknem; ale pięknem i zdrowem jest jego położenie. Skwar południowego słońca gorącej Jonii chłodzą góry otaczające ze wszechstron miasto i bałwany morskie liżące jego stopy. Rozkoszny jest pobyt w Smyrnie. Trudno opisać bogactwo jej ogrodów, pól i lasów; w najodleglejszych stronach nawet znana jest obfitość przewybornych jej fig i winogron. Ale nadewszystko do najwyższego stopnia zwraca uwagę każdego przybysza życie publi-

czne silnie rozwinięte w łonie gmin rozlicznych składających miasto; oraz zakłady i budowle publiczne objawiające to życie.

I mnie to wszystko mocno zajęło, a naprzód młyn ogromny, o którym przecież za méj bytności powiadano, że ma być zamkniętym dla braku zasobów i koniecznego poparcia od publiczności. W rozległych jego budowlach 20 machin parowych czyściło, wiało i mełło zboże. Młyn ten, założony za pomocą kapitału zebranego przez akcye, mógł dostarczyć mąki nie tylko dla 150,000 mieszkańców miasta, ale nawet dla wsi sąsiednich. Gdyby podobny młyn istniał w Grecyi naprzykład w Syrze, do której muszą wstępować wszystkie prawie okręta handlowe ze zbożem, ogromne-by przyniósł korzyści kupcom, bo zamiast zboża łatwiej-by było mąkę przewozić do Europy.

Również na wielką stopę założona papiernia krótko przed mojem przybyciem z tychże samych powodów, co i młyn powyższy, zamkniętą została.

Z pomiędzy szpitali znajdujących się w Smyrnie najznakomitszym jest grecki, i to niezawodnie najznakomitszym na całym Wschodzie. Nazywa się greckim od gminy greckiej, gdyż w Smyrnie każde wyznanie oddzielną tworzy gminę; i tak są gminy: grecka, armeńska, katolicka (albo gmina Franków), mużmańska i żydowska; każda z nich ma oddzielny kościół, szkołę, szpital i t. d., a nawet oddzielny rząd.

Szpital grecki większe i rozleglejsze ma przeznaczenie, niż miano jego wskazuje; bo nie tylko mieści w sobie chorych, ale nadto daje przytułek biednym starce płci obojęd, przyjmuje dotkniętych pomieszczeniem zmysłów, a nawet upadłe kobiety pragnące wrócić na drogę cnoty. Sale jego są rozległe, czysto utrzymane, i zdrowe powietrze w nich panuje; w każdej mieści się 30 do 50 łóżek, pielęgnowanie i opatrzenie chorych nadzwyczaj staranne, za główną ma podstawę czystą miłość bliźniego; gdyż bramy szpitala są otwarte dla każdego bez względu na wiarę i wyznanie; nie kłamie napis z Ewangelii nad wejściem położony:

*Pukajcie, a będzie wam otworzono.*

Wyraźniej jeszcze potwierdza to inny napis pod obrazem Chrystusa, który z otwartymi rękami wzywa wszystkich bez różnicy chorych i słabych, aby z zaufaniem do niego przychodzili.

W greckiej gminie Smyrny inna rzecz jeszcze zasługuje na wielką pochwałę i uznanie; przy każdym z pięciu, czy sześciu kościołów znajduje się szkoła wzajemnego nauczania dla chłopców, lub dziewcząt.



Założenie tych szkółek z wzniosłej prawdziwie wpływa myśli; połączenie to nauki z religią, zbliżenie katedry nauczycielskiej do ambony głoszącej ludziom Słowo Boże na oczy pokazuje, że umiejętność ludzka powinna się zgadzać ze słowem Bożem, że chrześcijanin nie jest doskonałym jeżeli pomiata wykształceniem umysłu; że z drugiej strony pociechy religii i sama chrześcijańska wiara tém będą silniejsze, im lepiej wykształcony umysł i uszlachetnione serce potrafią je zrozumieć, im odpowiedniej je uszanują.

Przy greckim szpitalu także znajduje się szkoła utrzymywana na równi z innymi szkołami przez gminę i licznie odwiedzana przez dzieci płci obojga: podobnież przez ewangelicką gminę utrzymywaną jest szkoła w pięknym i rozległym budynku przy metropolitalnym kościele. Ale jak powiadano mi nie wielkie przynosi owoce. A niestety w Smyrnie, podobnie jak w innych miastach greckich pod panowaniem tureckim, zakłady naukowe uważane są za pole walki stronictw dobijających się o wyłączne dla siebie przywileje.

I armeńskie szkoły dowodzą także, iż armeńczycy czują potrzebę stosownego wychowania. Nie mogę jednak pochwalić ani wyboru przedmiotów, ani sposobu tamtejszego nauczania; sam nauczyciel, z którym długo rozmawiałem, przyznał, że wszystko się ogranicza, do bardzo elementarnej nauki; uczą jednak języków: armeńskiego, greckiego, francuzkiego i tureckiego, oraz początków rachunków i geografii. W armeńskiej szkole chłopców widziałem dość bogatą bibliotekę; nauczyciel chętnie pokazywał mi armeńskie książki, o jakich nawet pojęcia nie miałem; drukowane są częścią w Wenecyi, częścią w Wiedniu, Paryżu i innych miastach. Widziałem tam także armeńskie pisma peryodyczne w Konstantynopolu i Smyrnie, a jedno z ilustracyami nakształt paryskiej ilustracyi w Paryżu drukowane. Wszystkie te pisma oznaczają się tytułami odpowiednimi wybujałej wyobraźni mieszkańców Wschodu, jak np. Gwiazda, Słońce i t. p.

W armeńskiej szkole dziewcząt wszystkie bez wyjątku uczą się po francuzku; za kilka lat paryżanin przybyły do Smyrny obejdzie się bez tłumacza, sam czule oświadczenia będzie mógł składać pięknym armenkom, chociaż ogniste ich oczy obejdą się bez tłumacza.

O ile przecież cieszyłem się w duszy z tak widocznej chęci i popędu do postępu, o tyle cierpiały moje nogi na ulicach Smyrny napełnionych wszelkiego rodzaju brudem i śmieciem. Do nieprzyjemności przechadzek ulicznych i to policzyć należy, że co krok tamują prze-

ście długie szeregi wielbłądów powiązanych z sobą sznurem, które z podniesioną głową postępują za przodkującym osłem.

Ale nie dałem się pokonać drobnym przykrościom, z pogodną znośłem je twarzą. Owszem pewną przyjemność w nich znajdowałem; bo chociaż Grecya nie przedzierzgnęła się jeszcze w kraj europejski, chociaż w niej Wschodu nie potrafił jeszcze wyprzeć Zachód, jest wszelako jakby jego przedmieściem, konieczną do niego przedmową; podług mnie nawet to połączenie bezładu azyatyckiego z obyczajami i cywilizacją Europy, nie jest bez pewnego wdzięku. Wszak jeszcze w starożytniej Grecyi uznawano prawdę, że zostawione obok siebie sprzeczności podnoszą się wzajem, wybitniej i przyjemniej nęcą oko.

Nie mogę nakoniec pominąć w bliskości Smyrny leżącego sławnego Burnabatu, tego Tyburu stolicy jońskiej; bo zasługuje na zyskaną sławę. Wszystko się tu zjednoczyło na podniesienie jego piękności. Wysokie położenie, rozległy widnokrąg, różnobarwny i bogaty krajobraz, zielone, kwitnące i pachnące drzewa i krzewy, łagodne powietrze, chłodząca woda strumyka, którego szmer jednoczy się ze szmerem liści, wszystko to otacza cię lub u stóp twych się rozściela. Tutaj bogaci smyrneńczycy mają wspaniałe letnie domki, i ogrody napełnione bujnemi drzewy i wonnym kwieciem, tu spędzają lato. Ale jest tu także szkoła dla dziewcząt i wielki wspaniały kościół właściwszy może dla miasta, niż dla wiejskiej ustroni. Przechadzając się pod figowemi i pomarańczowemi drzewami Burnabatu, zwiedzając w skałach jego chłodne groty, przypominałem sobie że poeta nad poetami, Homer, pod niebem Jonii się rodził, żył i tu najszczęśliwsze miał pędzić chwile, a wdzięki tego miejsca dają zupełną słusność podaniu.

Pod wpływem tych podniosłych wspomnień i niespożytej piękności natury zapomniałem na chwilę, że nie oddycham powietrzem swobodnej Grecyi; ale wspomnienie na ubiegłe wieki rozdzielające zgrzybiałą terażniejszość od kolebki ludzkości, podniosło i pocieszyło mego ducha. Wspomniałem sobie że w Smyrnie była jedna z pierwszych gmin chrześcijańskich, jedna z siedmiu wspomnianych w Objawieniu św. Jana nie zagrożona potępieniem, lecz pocieszona obietnicą wiecznego żywota. Jasna nadzieja owiała mego ducha i kiedy opuszczaliśmy port Smyrny mimowolnie przyszyły mi na myśl słowa niemieckiego poety:

Pod tym samym lazurem niebios, tą samą drzew zielenią  
Szły dawne, idą nowe pokolenia,  
Patrz, i nam przyświeca słońce Homera!



## WEŻÓWKA (PLOTUS ANHINGA).

(Z RYCINA)

Jeżeli regularność formy, zgodna proporcja we wszystkich częściach jest dana zwierzętom, co ich w oczach naszych robi pięknymi i składnemi; jeżeli ich o tyle tylko odznaczamy o ile nam się podobają: to naturze wystarcza że ich utworzyła i dała możność mnożenia się. Przyroda zarówno opiekuje się w puszczy zgrabną sarną i nieforemnym wielbłądem, ładną kózą i ogromną girafą; zarówno daje wolność bujania w powietrzu orłom i krogulcom i przechowuje w wodzie i w ziemi tysiące pokoleń owadów nieforemnych, nakoniec przypuszcza do używania życia jestestwa najrozmaitsze, byle mogły się mnożyć i żyć. Tysiące jestestw różnych czyż nam nie dowodzą iż ta matka natura używa swęj siły całej by życie mnożyć i rozszerzać na wszystkie formy możebne?

Weżówka (Plotus Anhinga) której rycinę mamy przed sobą, wystawia nam obraz jednej z dość dziwnych formacyj natury; obraz gadu na ciele ptasiem. Szyja ich długa i arcy cienka, główka okrągła z dziobem spiczastym, podobna z formy a nawet z ruchów do żmii, wtedy, już to porusza gdy raptownie szyją by wzlecić z drzewa, już to zgina szyję by w wodzie ryby chwytać.

To szczególne podobieństwo uderzyło wszystkich którzy obserwowali weżówki w ich ojczyźnie w Ameryce; i toż podobieństwo było powodem do podań bajecznych jakoby weżówki pochodziły z mieszaniny węża z kaczką, podanie nie mające żadnego prawdopodobieństwa.

Nogi ma jak u pelikana cztero-palczate, błoną spięte, jak u wszystkich ptaków wodnych.

Weżówki bojaźliwe i przebiegłe, doskonale pływają, nurkują i bywają wytrwałe w locie.

Trzymają się zwykle okolic leśnych, nad brzegami rzek i jezior; główném ich pożywieniem—ryby.

Tu odmalowana weżówka samiec (któren jest na spodzie tabeli) ma prześliczne pióra; szczególnież zdobią go czarne wązkie piórka na plecach z białym środkiem.

Młody ptak u góry na rycinie, to samica; daleko mniej piękne ma pióra, kolor czarno-zielony samca, jest u nięj ciemno-brunatnemi piórkami oznaczony.

Długość wyrosłego ptaka jest blisko trzy i pół stopy, szerokość od końca skrzydeł cztery i pół stopy reńskieję.

W nurkowaniu a szczególnież w szybkości ruchów przy pływaniu, nie da się żadnemu ptakowi prześcignąć; jak węgoż sunie pod wodą nie robiąc szmeru żadnego, a nawet gdy się popłącze między ziołami, wydostaje się bez szelestu, tak że jęj prawie nie słychać.

Zwykle widać jęj tylko głowę i koniec ogona gdy płynie, a za zbliżeniem się ludzi kryje się głębiej, dziób tylko nad powierzchnię wody wystawiając. Trudno w wodzie zastrzelić weżówkę, gdyż zbyt mało nad powierzchnią widać i za zbliżeniem się nurkuje natychmiast; a gdy bywa już postrzelona, mało nadziei, by ją schwytać gdyż płynie szybko i nurkując ucieka. Najłatwiej ująć gdy się wygrzewa z rozpiętemi skrzydłami na krzaku lub drzewie; strzelec leżąc w łodzi puszcza się z wodą i tym sposobem może ją podejść cicho na pewny strzał. Lecz w ogóle to polowanie bywa zajmującym tylko dla naturalistów, lub wielkich lubowników polowań, gdyż mięso weżówki jest nie smaczne, tłuste i tranem woniejące.



















## KWIATY CEBULOWE.

Nadzwyczajna okazuje się różnaitość i bogactwo kolorów w kwiatach cebulowych podzwrotnikowych; zadziwia podróżnych nie tylko ich piękność i różnaitość, ale ich jakby czarodziejskie okazanie się, gdy w miejscach, które w czasie suszy zupełnie spalone i puste się wydawały, po pierwszym deszczu wychodzą z ziemi i okrywają ją jakby najpiękniejszym różnobarwnym dywanem, tak iż to pustkowie jest do niepoznania.

Niestety! z tą szybką wegetacją jest połączony i krótki byt tych kwiatoł, gdyż niektóre z nich za ledwie kilka godzin pozostają w kwiecie i równie szybko jak się rozwijają tak się na zawsze zamykają. Lecz często ta niekorzyść jest tém wynagrodzoną, iż na tymże samym głąbiku, z téjże saméj pochwy, co dzień nowe się kwiaty rozwijają.

W ich ojczyźnie trwa cała *widoczna* wegetacja zwykle tak długo, jak deszcz pada, a kończy się z nim lub wkrótce po deszczu; nasienie dojrzewa, opada, a wtedy części będące nad powierzchnią ziemi usychają.

Wspomnieliśmy *widoczną* wegetację, gdyż jest téż i niewidoczna: w czasie wilgotnym soki z ziemi które cebula w siebie nabrała, przerabiają się i przysposabiają zarodek do przyszłej wegetacji widocznej. Jak potrzebnym jest taki czas odpoczynku suszy dla niektórych gatunków cebulowych aby zakwitły, przekonać się łatwo można w pewnych ogrodach, w których przez zbyt wielką troskliwość rok cały cebule są zachowane w ciągłej wilgoci; wtedy rozwijają się zbyt obficie liście a kwiat się nie okazuje, bo z ziemi soki pożywne przez cebulę wciągane są zużyte przez liście, nie zostawiając dosyć pożywienia cebuli do wyrobienia w sobie potrzebnej materii kwiatom.

Dla naturalistów są te zjawiska i tajemnice tworzącej natury równie zajmujące jak dla uprawiających ważne, gdyż bez zbadania i stosownego użycia tychże, byłaby często praca daremną.

Z téj przyczyny w nowszych czasach pracują wiele nad geografią roślinną, gdyż dla uprawiających nie jest dostatecznym wiedzieć że roślina jaka pochodzi

z Ameryki, Azji, Afryki lub Australii; lecz mają téż wiedzieć i znać położenie kraju, okolicy, a często nawet szczegółowo miejsca w których niektóre rośliny się utrzymują, lubo z czasem, ale przez długie a często kosztowne doświadczenia, dochodzi się sposobu potrzebnego w uprawie niektórych roślin.

Mamy na rysunku przedstawionych siedm gatunków kwiatoł cebulowych które, lubo już do Europy sprowadzone, nie są jeszcze bardzo rozpowszechnione.

Nr 1. *Herbertia pulchella* ma nazwisko od Wiliama Herberta Anglika, który się tyle przyczynił do rozpoznania cebulowych kwiatoł; pochodzi z Ameryki południowej; nasamprzód do Anglii sprowadzona.

Nr 2. *Cypella Herberti* pochodzi téż z Ameryki południowej, była znalezioną w Buenos Ayres i w roku 1823 do Anglii sprowadzoną została, a na cześć W. Herberta ma przytém nazwę gatunkową.

Nr 3. *Phalocallis plumbea* w roku 1808 z Meksyku do Anglii sprowadzona, gdzie nasamprzód w Londynie, w ogrodzie Towarzystwa-ogrodniczego była uprawianą i mało jest znana.

Nr 4. *Vieusseuxia pavonia* pochodzi z przyładku Dobrej-Nadziei i w roku 1790 do Europy sprowadzona, jest rozpowszechnioną nie tylko w wielu krajach i ogrodach, ale w wielu rozmaitych kolorach. Nazwę swą otrzymała na cześć Doktora Vieusseux z Genewy.

Nr 5. *Vieusseuxia villosa* również z przyładku Dobrej-Nadziei i jeszcze w roku 1789 do Anglii sprowadzona.

Nr 6. *Vieusseuxia glaucopsis* z tegoż przyładku w roku 1794 przywieziona.

Nr 7. *Vieusseuxia Bellendeni* z tegoż także przyładku w roku 1803 do Anglii sprowadzona.

Uprawa tych pięknych kwiatoł nie jest trudną, tylko musi podług wyżej podanych wzmianek być prowadzoną.

Przez czas odpoczynku cebule mogą pozostać w suchości, poczem zasadzać je należy w ziemię humuso-



wą przerobioną z torfową albo wnorową a te podło-  
żyć zwirem dla odcieku zbytnej wody; podlewać  
miernie w czasie wegetacyi, a wystawiać na światło;  
ułatwiać przyływ powietrza a chronić od zbyt wyso-  
kiej temperatury. Te są warunki by się rośliny te  
dobrze udały; mnoży się je przez odrostki cebulowe  
lub nasienie.

A.

## PODRÓŻ DO WŁOCH I NA WYSPĘ MALTEJ

PRZEZ STOLNIKA P. A. TOŁSTOJA W 1697 I 1698.

(WYJĄTEK PRZEZ PROFESSORA S.)

Podróże Rosyan po Europie w celu naukowym były dosyć liczne, mianowicie za czasów Cara Ale-  
xeo Michałowicza i Piotra Wielkiego. W dziele p. n.  
„Poselstwo rossyjskie w Polsce w latach 1673—1677,”  
wydaném przez A. Popowa, jest wzmianka o młodym  
Tiapkinie, synu moskiewskiego rezydenta przy pol-  
skim dworze, który jadąc do Moskwy z poleceniem  
od swego ojca, miał mowę do króla Jana Sobieskie-  
go, dziękując mu „za łaskę królewską, za chleb i sól,  
i za szkolne nauki, które zostając w jego państwie,  
pobierał. Mówił po łacinie, przeplatając ją sownie  
polskimi wyrazami; jak tego szkolnych nauk zwy-  
czaj wymaga.”

Oprócz dziennika podróży Piotra Wielkiego (1695  
—1709) przez barona Hizena ułożonego, i podobne-  
goż dzieła pisanego przez jednego z członków po-  
selstwa moskiewskiego, którego nazwisko dotąd nie-  
wiadome; najciekawszych szczegółów w tym wzglę-  
dzie dostarcza: „Opis podróży do Włoch i na wyspę  
Malte od 26 lutego 1697 roku do 27 stycznia 1699  
odbytej przez stolnika Andrzeja Tołstoja.” Jest to  
dziennik podróży i pobytu za granicą przez samegoż  
Tołstoja prowadzony. Znajduje się dotąd w rękopi-  
śmie w bibliotece uniwersytetu Kazańskiego. Pierw-  
szą o tym rękopiśmie wiadomość bibliograficzną udzie-  
lił p. A. Artemjew w artykule swoim, p. n. „History-  
czne rękopisma w bibliotece uniwersytetu Kazań-  
skiego,” drukowanym w Nr 7 Dziennika Minist. Nar.  
Oświecenia z r. 1854. Tak o nim mówi: „Książka  
in-folio, oprawna w skórę, składa się z 161 arkuszy,  
oprócz niezapisanego arkusza jednego na początku  
i dwóch na końcu. Na grzbiecie, dawnym charakte-

rem, napisano atramentem: *Dziennik Książąt Rossyj-  
skich*. Na zwierzchniej desce przyklejony na papie-  
rze drukowany tytuł: „Podróż stolnika Piotra Toł-  
stoja po Europie, na mocy carskiego ukazu z dnia 11  
stycznia 7205 r. (to jest 1697 roku po narodz. Chry-  
stusa). Na 161 pół-arkuszu.

„Podróż,” zaczyna się od przytoczenia ukazu do  
kilkunastu osób, w liczbie których wspomnianym jest  
i Piotr Tołstoj, autor opisu podróży. Potém następu-  
je instrukcja dana tym osobom, a w której kazano:  
1) poznać igłę magnesową i mappy; 2) nauczyć się  
jak trzeba kierować okrętem i jak się nazywają wszy-  
stkie jego składowe części; 3) starać się o przyjęcie  
udziału w wyprawach morskich i bitwach i otrzymać  
poświadczenia podobnej służby; 4) nauczyć się, jeśli  
można będzie, budowy okrętów; 5) przywieźć z sobą  
dwóch majtków, a za powrotem do Moskwy, wyuczyć  
żołnierza albo którego ze swoich znajomych lub też  
ze swoich ludzi; 6) nie odkładać wyjazdu z Moskwy  
dalej jak do ostatnich dni lutego; 7) paszporty otrzy-  
mać z Izby Poselskiej.

Dalej zamieszczony paszport, w którym „zapisa-  
nym jest Piotr Tołstoj jako *dworianin* (szlachcic)  
bez tytułu (stolnika) dla tego, ażeby w cudzoziem-  
skich krajach nie wiedziano dokładnie, jakiego po-  
chodzenia ludzi wysłano na naukę za granicę.

Za tém od 4 arkusza aż do końca rękopismu mie-  
ści się dziennik podróży.

Zaciągnął się do floty Weneckiej, odbył kilka kampa-  
nij, zwiedził wszystkie prawie miasta włoskie, uwa-  
żnie je oglądał, zapisując w dzienniku swe postrzeże-  
nia. W październiku 1698 roku odebrał od T. A. Go-



łowina list, w którym kazano mu wracać do Moskwy. Otrzymałszy od nauczyciela matematyki, kapitana okrętu i od Doży, świadectwa o postępie w naukach, t. d. 30 października wyruszył w drogę z powrotem do domu i d. 27 stycznia 1699 roku przybył do Moskwy, po dwudziestu trzech miesiącach nieobecności.

Kilkanaście ustępów z tego rękopismu przesłał z Kazania p. M. Popów do pisma peryodycznego „Atenej” (Athenaeum) wydawanego w Moskwie (1859 roku Nr 7). Co się w nim ciekawszego znaleźć dało, szczególnie ówczesnej Polski dotyczącego, podajemy czytelnikom naszym.

\* \* \*

— Droga od Moskwy do granicy Litewskiej. Mohylew, Borysów, Mir i rzeczy w nich godne uwagi. Warszawa. Bezkrólewie po śmierci króla Jana III Sobieskiego. Obyczaje i życie Polaków. Podobieństwo i różnica bytu Polski i państwa Moskiewskiego. Częstochowa, Opawa, Ołomuniec, Wiedeń.

\* \* \*

Po otrzymaniu stosownych instrukcyj z Izby Poselskiej i hramoty (pisma) do wszystkich władców, rządów i zwierzchników, z którymi w czasie podróży swój po Europie mógł się spotkać, oraz listów do Senatu Weneckiego, i po załatwieniu niezbędnych do drogi przygotowań, wyruszył z Moskwy Tołstoj 26 lutego 1697 roku. Dnia 23 marca stanął nad rzeką Iwata, która Moskwę odgranicza od Polski i Litwy. Zwolna posuwał się naprzód podróżnik rosyjski, zamieszczając w swym dzienniku mniej więcej szczegółowe opisy napotykanych po drodze miast i wsi; zwiedzając zamki, klasztory, kościoły; oglądając mosty, bramy, place, handlowe składy; wypytując się: „jakiej religii byli mieszkańcy — czy greckiej, czy unickiej, czy katolickiej, czy żydowskiej; przejeżdżał przez majątności wielkiego hetmana litewskiego Sapiehy, i dnia 30 marca przepłynął się przez Dniepr na promie w bliskości Mohylewa. Tu doznał przeszkody ze strony zwierzchników Mohylewa; gdyż mieszkańcy tego miasta czuli jakąś obawę i moskwicini przez rzekę Dniepr do Mohylewa przewozić nie kazali. Dla tego, — powiada — poszedłem na ratusz z hramotą od wielkiego *hosudara* (monarchy); którą burmistrz obejrzawszy, odesłał mnie z nią do górnego miasta; z kąd po obejrzeniu jój odprawiono mnie na dwór jednego zwierzchnika, który w tym czasie od hetmana litewskiego Sapiehy przysłany był do Mohylewa i nazywał się pan Burba, ten przeczytawszy podróżną hramotę, kazał mnie ze wszyst-

kimi moimi ludźmi i rzeczami przeprowadzić przez rzekę Dniepr i stanąć na przedmieściu, a do miasta wpuszczać tylko w razie potrzeby; i stałem na przedmieściu u pewnego mieszczanina, greckiego wyznania.

Mohylew, obejrzały szczegółowo przez ciekawego moskwicini, wydał mu się daleko większym od Smoleńska; „nazywa się królewską ekonomiją, to jest miastem królewskim, dworskim, a Polacy mówią po prostu: *miasto królewskiej kuchni*. Jest w niem bracki klasztor grecki; mieszczkańskich domów razem z przedmieściem około 20,000 (?), żydowskich — 10,000 (?); ulice brukowane polnym (dzikim) kamieniem, sklepów murowanych dużo z wszelkimi towarami, rzymskiej religii ludzi nie wiele i kościołów dwa tylko: jeden drewniany, w którym odprawiają nabożeństwo jezuitów, drugi murowany, nazywa się *farą*; presbyterium i ołtarze w kościołach tych urządzone według kościoła zachodniego zwyczajem, a dla przychodzących zrobione są miejsca, do stania i siedzenia. Tołstoj zwiedził klasztor księży Karmelitów; był we środę wielkiego tygodnia na nabożeństwie w brackim klasztorze i w innych cerkwiach, był i w tym kościele, gdzie służbę bożą odprawiają *plebani*, to jest, jak się wyraża, — *biali popi*. Zauważał, że w Wielki Czwartek nie było ceremonii umywania nóg, że na liturgijach wspominano „o carach prawosławnych, i o wielkich książętach i o panach, i o całym wojsku, dla tego, że w owym czasie jeszcze króla polskiego nie obrano (po śmierci Jana Sobieskiego); w ektenijach (modłach) także wspominano o wseleńskich (powszechnych) patryarchach i o kijowskim metropolicie prawosławnym.” Tołstoj w Mohylewie przepędził Wielki Tydzień i Święta Wielkanocne, i z najdrobniejszymi szczegółami opisał wszystkie obrzędy kościelne, na których był obecnym, najmniejszą fałdę na ubraniu kapłanów, materję, z której uszyte było i jój kolor; przerachował armatnie wystrzały, któremi mieszkańcy Mohylewa witali dzień Zmartwychwstania, wyszczególnił czytających Ewangielije podczas Mszy Świętej, mieszczan, którzy do processyi należeli, nareszcie świece palące się przed obrazami. Pierwszego dnia świąt wielkanocnych mieli wówczas zwyczaj mieszkańcy Mohilewa „nigdzie z domów swoich nie wychodzić i cały czas w pośród rodziny przepędzać.” Następnym dni Tołstoj odwiedził niektórych mieszczan greckiego wyznania: „byli dlań bardzo uprzejmi i wszyscy się okazali ludźmi dobrymi i majątnymi.” Ogólne wrażenie, jakie nań sprawił Mohylew, było następane: „miasto to na mocy



przywilejów królewskich jest wolne; mieszczanami Mohylewskimi nie zawiaduje ekonom, ale wójt wszystkie ich sądzi sprawy. Zboże w tém mieście po wysokiej sprzedaje się cenie; wszelkiej żywności i ryb żywych podostatkiem, ale wszystko drogie.

Opuściwszy 6 kwietnia Mohylew, Tołstoj przejeżdżał przez dobra hetmana koronnego polnego p. Potockiego, hetmana polnego litewskiego p. Służki, kanclerza litewskiego p. Ogińskiego, podkomorzego litewskiego p. Sapiehy, marszałka litewskiego księcia Sanguszki; wolnych miast i królewszczyzn nie napotkał aż do Borysowa.

Dziesiątego kwietnia Tołstoj zanotował w swoim dzienniku: „spotkał się ze mną cudzoziemiec rodu cesarskiego; powiedział, że jedzie na służbę do wielkiego hosudara do Moskwy.” Ciekawe zaiste były to czasy: ten z Moskwy jechał za morze, ażeby się wojskowej i morskiej służby wyuczywszy, wrócić do domu; ów, będąc już tych nauk świadomy, biegł w służbie moskiewskiej szukać szczęścia!

W Borysowie bawił Tołstoj niedługo, miał czas jednakże wstąpić do kościoła katolickiego podczas Summy; i opisał z zadziwiającą dokładnością nie tylko powierzchowność i wnętrze kościoła, ale cały porządek, w jakim się nabożeństwo odprawiało. Nie omieszkali księża z odwiedzin moskwicina korzystać, a jak Piotrowi W. i innym członkom wielkiego poselstwa nieraz pokazywali prałaci katolicy miejscowe relikwije rozmaitego pochodzenia, tak też postąpili i księża borysowscy, pokazawszy Tołstojowi obraz, który przez wojska cara Alexego Michałowicza miał być zabranym i do klasztoru prawosławnego oddanym, a po zawarciu pokoju, przeniesiony został do katolickiego kościoła: „a od tego czasu, jak ten obraz do rzymskiego kościoła przeniesiony został, ukazała się na nim plama czarna, wielkości moskiewskiej kopiejki i odtąd powiększać się ciągle zaczęła, i teraz nawet codziennie plama ta się zwiększa, i nie mało się o to starano, ażeby plamę ową farbą zamalować, a wielu majstrów obrazowych i malarzy, dotknawszy do tego obrazu w celu zamalowania plamy, doznało bólu w ręku, ale znowu przez tenże obraz uleczonych zostało; teraz zaś pomyśleć nawet o zatarciu téj plamy nie mają odwagi.” Bawiąc później we Włoszech, nieraz miał sposobność na słuchać się obszernych w podobnym rodzaju opowiadań ojców Jezuitów.

W tymże kościele, powiada, że widział szary kamień, na którym znać ślady stóp ludzkich, tak jak gdyby człowiek stanął i na miękkiej materii stopy swe wycisnął. Powiadano mu, że kamień ten dawne-

mi czasy znaleziony w lesie, razem ze wspomnianym wyżej obrazem świętym do Borysowa przyniesiony został.

Po za Borysowem ukazały się znów majątności różnych panów, piastujących mniej więcej znakomite w owym czasie urzędy, jak: podstolego mazowieckiego pana Prąskiewicza, podkanclerza litewskiego księcia Radziwiłła, podkomorzego litewskiego p. Żyżemskiego, podstarościego wołczańskiego p. Żukowskiego, wojewody Brzeskiego pana Kurczy, podczaszego litewskiego pana Kryszpa, księcia Ogińskiego, syna kanclerza i tak dalej aż do granic Litwy i Polski. Miasta Mińsk, Mir, własność księcia Radziwiłła syna, Świrża, podkanclerza litewskiego, i Słonim należący do matki hetmana litewskiego pana Sapiehy, zwróciły na siebie szczególniejszą uwagę Tołstoja. W Mińsku oglądał klasztor; w którym mieszkają zakonnicy i zakonnice greko-unicy; kościół w tym klasztorze murowany ze sklepieniem, jakich w Polsce niewiele się znajduje; klasztor XX. Bernardynów, którzy noszą na gołym ciele włosienice, bez koszul, i chodzą boso w trepkach; prawosławny kościół Św. Piotra i Pawła, w którym był zwyczaj odprawiania co czwartek przed bogato ubraną trumną exekwii za dusze wszystkich zmarłych; widział katolicką procesję na cześć Św. Marka ewang.; klasztor ks. Franciszkanów, którzy co do ubrania podobni są do Bernardynów, ale żadnej nie posiadają własności i jedynie się z jałmużny utrzymują; w tym celu codziennie kwestują chodząc po ulicach. Zwiedził klasztor XX. Jezuitów, o których powiada, że ze wszystkich wyznania rzymskiego zakonników żyją najswobodniej, tylko się zanadto w opowiadaniu Słowa Bożego rozszerzają; był w klasztorach księży Dominikanów, Bernardynów i Benedyktynów, które grały na organach i przedziwnie śpiewały. W Mirze będąc Tołstoj zwiedził pomiędzy innemi zwierzyniec właściciela, gdzie mnóstwo widział jeleni, łosiów, sarn, dzikich kóz i innych zwierząt. W Słonimie zajęły go znowu klasztory katolickie. Wjechałszy w granice Polski, Tołstoj prowadził dalej zapisywanie w swym dzienniku imion właścicieli różnych majątności, przez które przejeżdżał, jak: stolnika koronnego pana Bratyckiego, syna kanclerza a synowca hetmana p. Sapiehy, p. Ossolińskiego, p. Młyńskiego, wojewody płockiego i starosty warszawskiego p. Kraśńskiego, łowczego koronnego p. Łowieckiego, chorążego pancernej chorągwi p. Grzybowskiego: tą drogą dociągnął Tołstoj w d. 30 kwietnia do Warszawy, zanotowawszy tylko, że w Węgrowie „jest ogromny



kościół rzymski murowany, daleko większy od katedry w Moskwie.”

Warszawa, podług wyrażenia podróżnika, cała siedzi na brzegu rzeki Wisły, która co do swjej szerokości podobną jest do Wołgi pod Jarosławiem. Tołstoj przyjechał do Warszawy podczas elekcyi nowego króla i ledwie znaleźć mógł dla siebie przyzwoite pomieszczenie, co zawdzięcza staraniom moskiewskiego rezydenta przy dworze polskim djaka Alexego Nikityna, który o dwie wiorsty za miasto wyjechał na spotkanie swego ziomka. W przeciągu pięciu dni T. wiele rzeczy w Warszawie obejrzyć zdołał. Najprzód udał się do zamku królewskiego, gdzie oglądał złożone w trumnie zwłoki Jana Sobieskiego na wspartym katafalku na widok publiczny wystawione. Pałac królewski niewielkim mu się wydał, ale bogatym; zauważał też, iż straż przy nieboszczyku królu miała umundurowanie niemieckie, i ze wszelkimi szczegółami opisał ubiór zmarłego króla. W katedralnym kościele pokazywano mu obraz święty (rzeźb) o którym mówi: „obraz ten ma na głowie włosy czarnego koloru, podobne do ludzkich, i powiadają polacy, jakoby włosy te strzygą corocznie i one na nowo odrastają.” Obejrzał kilka bogatych domów senatorskich i między innymi kanclerza litewskiego Radziwiłła, wielkiego marszałka koronnego,—Lubomirskiego, wiejski pałac królewski: wszędzie widział mnóstwo ozdób, łaźnie i fontanny przedziwne, sufity włoskiej roboty ściany rzeźbione, gipsem wykładane, zwierciadła duże i inne godne podziwienia rzeczy, których szczegółowo opisać niepodobna, piece słynnej roboty kaflowej, stoły śliczne, krzesła przedziwne, obrazy wzorzyste; kryształ, szła kolorowe, obicia, wszystko nadzwyczaj piękne. Na placu przed zamkiem widział „kolumnę bardzo wysoką, z jednego kamienia wyciosaną; na tej kolumnie umieszczona *persona* (statua) Zygmunta byłego króla polskiego, odlana ze spiżu i wyzlacana; w lewej ręce trzyma krzyż, a w prawej miecz dobyty.” Sypiąc pochwały dla wygod i przyjemności życia, które w stolicy Polski dostrzegł, nie zapomniał jednak zwykłej ówczesnych moskwińców odezwy o charakterze życia tego: „jest jedna sala wielka,—powiada,—którą Polacy izbą senatorską nazywają i w której się sejmy odbywają; w sali tej były wielkie okna, niegdyś oszkłone, a teraz wszystkie powyłamywane i szyby potłuczone, a to z przyczyny hałaśliwych posiedzeń, sporów w sprawach wszelkich, a pokoje królewskie od sali tej daleko się znajdują... Na czas elekcyi urządzą na Wiśle most na łyżwach i na nim straż stawiają

dla tego że w tym czasie (podczas elekcyi) między Polakami liczne wszczynają się waśnie, jak również i między Litwinami, a nieraz między tymi i drugimi; czasem przychodzi do bójek i krwi rozlewu; najczęściej na moście się biją; czy to ze zwady, czy z hulactwa, zgody między nimi jest bardzo mało, ztąd znaczną część swego królestwa postradali. Jednakże, gdy się podochocą, nie dbają o nic wcale i nie martwią się, chociażby i wszyscy zginąć mieli. A jak się skończy w Warszawie elekcyja, wtedy i mostu na Wiśle niema. Na przewozach zaś przez Wisłę, podczas wiatru i wzburzenia tej rzeki, ginie mnóstwo ludzi i bydła i wszelkich dla użytku ludzkiego służących rzeczy, bo i promów dobrych dla przewozu Polacy nie mają. Wielka w tém niedogodność, kiedy z powodu silnych wiatrów i wielkich fali na wodzie, ludzie wszelkiego stanu, powodowani konieczną potrzebą, ani sami przeprować się przez rzekę nie są w stanie, ani rzeczy swoich przewozić. A zwierzchnicy polscy, widząc to, ani pomysła, dla uspokojenia ludu, o wystawieniu mostu na Wiśle, bo ciągle innym sprawom są oddani. A jak mnie się zdaje, dla tego w przewozach sobie podobają, że się tu zgromadzają ludzie podchmieleni, biją się nie wiedząc o co i giną jak muchy.” Połajawszy szlachtę i panów za życie nieskromne i obojętność dla potrzeb budy, T. czyni uwagę, że: „po mieście i do majątków swych na wieś jeżdżą w karetach senatorowie, jak również ich żony i córki panny, a tego sobie *za wstyd* nie poczytują.” Toż samo i o mieszkańcach miasta mówi: „w sklepach wszelkich towarów siedzą mieszczanie sami, ludzie majątni, oraz żony ich i córki panny w bogatych ubiorach, a tego sobie *za wstyd* nie poczytują.” Zwyczaj podobny nie zgadzał się z dumą ówczesnych moskwińców, i T. wspominał o tym zwyczaju pochwalając, go jak się zdaje. Nie zapomniał też powiedzieć: „że w Warszawie sprzedają zapasów zboża i wszelkich wiktuałów nie mało, ale cena towarów tych, w porównaniu do moskiewskiej, jest za wysoką.

W dzień wyjazdu T. z Warszawy odwiedził go rezydent moskiewski i przywiózł mu od Prymasa królestwa list podróżny; radził mu też udać się do Nuncyusza papieżkiego z prośbą o list; „dla swobodnej podróży i przyjęcia w krajach włoskich.” Tołstoj pojechałszy do Nuncyusza, przyjęty był uprzejmie, rozmawiał z nim przez tłumacza i zapamiętał doskonale ubranie Nuncyusza, jak również kolor i rysunek obić na ścianach tych pokoi, które widział; nie przepomniał i o tém nawet, że gdy wracał do domu, sam Nuncyusz przeprowadził go do sieni i kazał osobom



ze swego orszaku assystować mu przez wschody aż na dół. Otrzymawszy pożądaną list od Nuncjusza, podróżnik dnia 5 maja wyjechał z Warszawy, po drodze zboczył dla zobaczenia miejsca, gdzie się odbyć miała elekcya, a przy téj sposobności nie omieszkawszy znowu zganić porządku w Polsce: „Blizko pół wiorsty za Warszawą,—czytamy w jego dyaryuszu,—na polu usypano wał nie mały w około rowem otoczony; do wału tego prowadzą cztery wjazdy: tu się zjeżdżają posłowie z powiatów i ludzie naczelnicy od chorągwi, a poselstwo wszystko za wałem pozostaje. W okręgu wału tego z jednej strony wystawiona wielka szopa, nakształt obory..... W szopie téj porobiono mnóstwo ławek, na których zasiadają senatorowie, na pierwszym miejscu Prymas to jest arcybiskup gnieźnieński, a po nim zabierają miejsca biskupi, wojewodowie i senatorowie; naprzeciwko osoby prymasa zasiada wielki marszałek koronny z laską, ten głosy odbiera w porządku, dopóki nie są wszyscy pijani.” Moskwin (powiada M. Popów) w zupełnie innych życia politycznego objawach wychowany, nie mógł mówić inaczej o tych formach, które średniowiecznym zwyczajem stworzone będąc, wszystkie sprawy jednomyślnie i jednogłośnie rozstrzygały; formy te przypomniały mu starodawne niesnaski nowogrodzkie, bitwy jednej miasta dzielnicy z drugą, ulicy z ulicą: wszakże państwo moskiewskie przedstawiało inną znowu ostateczność, być może niemniej także idealną zgodność, ale już w inną, swojskim sposobem, miejscowych dopełniającą warunków, formie. Zresztą w niczym już nie spotkał podróżnik zbyt rażących z nawyknięciami swemi sprzeczności. Zaledwie za Warszawę się oddalił, gdy znowu pojawiły się przed nim majątności, blizkie serca moskwicinu, znane mu pod nazwą *otczyn* (ojcowizny) i *pomiestij* (dóbr): czy napotykał majątności osób duchownych, nie było to już dla niego nowością, mógł także i w ziemi moskiewskiej znaleźć; czy dobra magnatów i szlachty, to w pamięci jego powstawał cały szereg bojarów i *dworian* (ziemskich obywateli). To też Tołstoj bezustannie w dyaryuszu swoim zapisuje: „przyjechałem na obiad do majątności p. Sieradzkiego, na noc do majątności arcybiskupa gnieźnieńskiego, na obiad do mająt. biskupa kujawskiego, i t. d. Już mu trudniej nieco, gdy wjedzie do miasta, spotkać się z jakim właścicielem czy też dziedzicem z panów albo biskupów; pokazuje się jednak, że i miasto jest albo majątnością króla, albo jego ekonomiją, to jest miastem jego kuchni (dobra stołowe), jak się polacy wyrażali. Życia oryginalnego, samodzielnego spotykał

najwięcej podróżnik w klasztorach, gdzie z upodobaniem znajdował niekiedy schronienie człowiek średniowieczny od więzów życia towarzyskiego: nie dziwi więc, że większa część dziennika T. napełniona jest bardzo szczegółowymi opisami klasztorów i kościołów katolickich, i rozmaitych owego czasu świętości. Opowiadanie jego błyszczy bezustannie obfitymi wiadomościami z architektury kościelnej, i ikonografii, śpiewu kościelnego i krasomówstwa. Zostawiwszy bez wzmianki Piotrków, miasto licznych i ważnych nieraz w życiu staropolskim sejmów, wspomniawszy potem o nader przyjemnym spotkaniu się z posłem cesarskim, jadącym na elekcję w złocistym powozie i z licznym taborem (orszakiem), Tołstoj aż do granicy między Polską a Niemcami nie znalazł nic, coby godnym było zająć jego uwagę; natomiast nie bez zadowolenia przepędził czas niemały w słynnym klasztorze Częstochowskim. Czytelnika chcącego poznać zajmującą historję Częstochowy odesławszy do „książki drukowanej w polskim języku o świętym obrazie Matki Bożej Częstochowskiej i o cudach od niego doznanych,” daje opis powierzchowności klasztoru, wewnętrznych ozdób różnych kaplic bogactwa zakrystyi (ubiorów kościelnych) i refektarza, ubrania zakonników, wspominając pokrótce, że zakonnicy „prowadzą ściśle życie” a obraz co do wielkości „podobnym jest do tego, który się w Moskwie w katedrze znajduje, jest także pędzla św. Łukasza ewangelisty i nazywa się włodzimierskim.” Ale postrzega w Częstochowie i takie rzeczy, które w owym czasie w Moskwie jeszcze były rzadką nowością. „W tym klasztorze, powiada T., — znajduje się apteka porządna i wielka; widziałem w niej wiele rozmaitych lekarstw i urządzenie wszędzie wyborne... W tym klasztorze jest akademija; uczą się wyższych nauk, nawet filozofii; obszerna sala i długa przeznaczona jest dla odbywania dysput... W slobodzie (przedmieściu) w sklepach pełno różnych towarów, a najwięcej książek drukowanych, łacińskich i polskich, rozmaitych.”

Stanąwszy nad granicą pomiędzy państwem cesarskim a królestwem polskim, T. nic nie znalazł „żadnych znaków,” same bagno: nie było tu ani pasma neutralnego, jakim państwo moskiewskie odgraniczać się od sąsiadów miało zwyczaj, ani rzeki, ani korony z krzyżami, ani dołów z kątami.

Wjechawszy do Szlązka i ominąwszy Wrocław, Tołstoj przejeżdżał mimo żelaznych fabryk i kuźni w m. Tarnowe góry (Tarnowitz); odprawił ztąd do domu swego człowieka z końmi, ujechawszy od Moskwy



1412 wiorst, a najał dla siebie furmankę do Opawy i w podobny sposób wynajmywał konie od miasta. W drodze widział „góry węgierskie tak wysokie, że sięgały obłoków.” Opawa bardzo mu się podobała. W dzień zesłania Ducha św. w klasztorze XX. Jezuitów: „po obu stronach ołtarza w wielkich donicach leżały gałęzie zielone, od różnych gatunków drzew odcięte, i zioła, i kwiaty rozliczne, a modlitw z przykłonieniem w kościele rzymskim na Zielone Świątki nie czytają... kazanie miał ks. Jezuita, stojąc na katedrze (ambonie?), wzięwszy tekst z pisma świętego z Jana Ewangelisty w tych słowach: <sup>1)</sup> „i mówił kaznodzieja o tém, jak należy człowiekowi przygotować serce swoje na przyjęcie Ducha św., i tak pięknie kazał, że wszyscy słuchacze byli rozrzewnieni sercem i wielu z nich płakało. A na nieszpórach było znowu kazanie: z tejże ambony kazał drugi jezuita i obrał inny temat z dziejów apostołskich <sup>2)</sup>.”

Co do administracyi Opawy, dowiedział się T., że zwierzchnikiem miasta jest cesarski hrabia, sekretarz rady tajnej cesarskiej; że z każdego domu mieszczkańskiego pobiera się corocznie dla cesarza po 100 pfeningów (ross. *efimków*), a dla hrabiego po 6 pfeningów: prócz tego podczas przyjazdu T. stały w mieście wojska cesarskie po czterech ludzi na kwarterze.

Rozstawszy się ze Szlązkiem, wjechał Tolstoj do ziemi Morawskiej (Morawii): „obydwie te ziemie, szlązka i morawska, co do urodzajności zdają się przewyższać polską ziemię.” Ale tu już znikły zupełnie te cechy bytu wiejskiego, które w Polsce przypominały mu państwo moskiewskie. Tém łatwiej było mu spotkać podobieństwo pomiędzy miastami szlązkiemi i morawskimi: jak Opawa wydała się mu wielkim miastem i porządnym („wody wielkie przez miasto

<sup>1)</sup> „Bo jeżeli nie odejdę, pocieszyciel on nie przyjdzie do was.”

<sup>2)</sup> I ukazały się im rozdzielone języki na kształt ognia, który usiadł na każdym z nich. I napełnieni są wszyscy duchem świętym, a poczęli mówić innymi językami.

to puszczone”), tak równie téż i Ołomuniec wielkim i bardzo porządnym miastem nazywa: „w około niego wody nie małe przepuszczenie.” Wodotryski, ogrody, szerokie place, murowane sklepy w obu miastach zwróciły na siebie uwagę podróżnika. W Ołomuńcu podziwiał jedną z rzadkich rzeczy: „na bramie ratusza, to jest komory (?) zrobiony zegar wielki zadziwiającej konstrukcyi: kiedy zacznie bić godzinę, wtenczas postrzegać się daje, że ludzie z drzewa zrobieni biją we dzwony; poniżej tego dwóch ludzi także z drzewa misternie wyrobionych grają na trąbach; z jednej strony zegaru wychodzą z za szkła ludzie piesi, z drugiej podobnie wyjeżdżają z za ściany ludzie na koniach. Wszyscy zrobieni są bardzo misternie.”

W Ołomuńcu, w klasztorze jezuickim, w którym Tolstoj był na nieszpórach, oglądał „akademiję wyższych nauk; studentów w niej bardzo wiele, pomiędzy niemi znajduje się nie mała liczba cudzoziemców wysoko urodzonych z różnych państw zagranicznych; studenci uczą się filozofii, oraz nauk matematycznych.”

Im dalej posuwał się Tolstoj, tém częściej w dzienniku swoim powtarzał, że „po obu stronach drogi mnóstwo na polu i wzgórzach rośnie winogron, orzechów włoskich, śliwek i innych drzew owocowych różnego gatunku,” a miasta stoją „na gruncie z dzikiego kamienia.” Dzięki téj obfitości winnic i gorliwego uprawiania tychże, podróżnik, przyjechawszy do Nikolsburga, mógł zwiedzić bogate składy win, w których węgierskie wino stało w nadzwyczaj ogromnych beczkach: „z beczek tych, powiada, częstowano mnie winem.” Nie omieszkał, podług zwyczaju swego wstąpić na wzniosłą górę w okolicach Nikolsburga, gdzie urządzone są pieczary i przedstawiona w stacyach męka Pańska. Z Morawskiej ziemi, przez granicę rakużką, to jest austriacką, Tolstoj bez szczególnych wydarzeń, przyjechał do Wiednia, przeszło o 2,000 wiorst odległego od Moskwy....

S. Prof. G. War.



## TUGI W INDYACH.

Roczniki społeczeństwa ludzkiego nie przechowały pamięci bardziej zdumiewającego i nadzwyczajnego zjawiska, nad istniejącą do dziś dnia w Indjach sektę religijną dusicieli, czyli Tugów <sup>1)</sup>. Zjawisko to trwa od wielu wieków, opierając się wpływowi panowania angielskiego. Uwieczniło się ono w Indjach pomimo wszystkich przemian rządów i zwyczajów; ani mahometanizm ani zwolna szerzona cywilizacja europejska nie zdołały dotychczas ani go zniszczyć, ani osłabić.

Nie jednokrotnie już Europa słuchała z przerażeniem opowiadań o tym narodzie morderców, tém bractwie śmierci, rozproszonem we wszystkich punktach Indostanu, szanowanem przez władze krajowe, zgodnem z obyczajami, uświęconem przez religią i opartem na zasadach filozoficznych. Organizacją tego społeczeństwa, które poświęciło się dla zagłady rodzaju ludzkiego najlepiej wyjaśnił sir William Bentinck, były gubernator posiadłości angielskich w Indjach: nie ma też już dzisiaj żadnej wątpliwości co do jego istnienia, rozgałęzienia, ani tajno jak głębokie korzenie zapuścił tugizm w obyczajach Indostanu. Dowodów mamy do zbytku, znamy pobudki kierujące tą sektą.

Począwszy od przyłądka Komorin aż do gór Himalaya, rozgałęzione stowarzyszenie, zamieszkujące wioski, lasy, w stosunkach z najznakomitszymi obywatelami, podległe kodeksowi moralności nader surowej, przebiega w różnych kierunkach ziemię indyjską, nie mając innej religii, innej chwały, innego celu przed sobą, innego sposobu do życia nad—zabijanie ludzi. Filozofowie zachodni słupieją ze zdumienia patrząc na to zjawisko, a kiedy niewątpliwe dowody zaświadczyły jego rzeczywistość, nie śmiejąc go zaprzeczyć, niemniej jednak pojąć go nie mogą. Jakie dać rozumowe wyjaśnienie téj osobliwszej sprzeczności w naturze człowieka? Społeczeństwo spoczywa na potrzebie zachowania życia, a oto tysiące ludzi stowarzyszają się dla zagłady ludzkości!

<sup>1)</sup> *Thugs* (wymawiaj *theugs* z przydechem) jest wyraz indostański i znaczy *uwodziciel*.

Zabijają bez wyrzutów sumienia, bez skrupułu, według systematu wyrozumowanego, loicznego. Zabójcy ci czyli tugi nietylko są moralistami surowymi: odznaczają się jeszcze pewnym artyzmem w morderstwach... Ich formuły duszenia podróżnych są bardzo uczone; wysadzają się na elegancją i wdzięk w dokonaniu zabójstwa. Żaden z nich nie poważy się użyć stryczka mniej wytwornej, grubiej roboty. Szatany te śmierci mają się za aniołów; kiedy wpadną w ręce sprawiedliwości angielskiej, stawają przed sądem bez trwogi, z pewną dumą a umierają jak bohaterowie. Umieją dowcipnie osłaniać zasady swój kasty, rozwijają je filozoficznie, wykazują ich doskonałość i wszystkie najokropniejsze postęпки przypisują konieczności nieuchronnej, potędze wyższej, Boskiej, której są jedynie narzędziami cnotliwymi...

Myślą religijną, przewodniczącą odwiecznej cywilizacji Indyi, jest ubóstwienie wszelkiej siły, olbrzymia apoteoza wszystkie co jest potęgą, skłonnością, popędem koniecznym... Obok siły twórczej uosobionej w Wisznu i jako tako ubóstwionej, widzimy potęgę zniszczenia, mającą także swoje ołtarze. Siwa jest to nicość, zniszczenie, śmierć. Badawczy umysł filozofów indyjskich, dostrzegając wszędy śmierć ożenioną z życiem, świat ciągle zajęty pożeraniem siebie samego, istnienie ciągle odradzane przez zniszczenie, zbudował świątynie sile burzącej i stawił je obok ołtarzy potęgi twórczej i płodnej. Panteizm indyjski jest ojcem wszystkich wier pogańskich. Prakriti czczone jest jako rozum urządzający wszystko. Porusza jako dusza świata, duch boży; Siwa jest to ogień pożerający który zapala życie przy pochodni śmierci. Przejrzyjcie myty dotyczące boga Siwy; przeczytajcie ody, hymny i podania jemu poświęcone: nie znajdziecie w nich niczego, coby przypominało prostotę patryarchalną, czyste zatopienie się w Bogu, i to szczytne podniesienie ducha, jakim tchną karty innych *veda*. Czujecie tu tylko jakiś wyuzdany mistycyzm, jakiś piekielny zapał, szaloną żądę krwi i roskoszy, cześć okrucieństwa i rozpusty, w której najsubtelniejszy filozofizm łączy się z najzepsutszą cie-



lesnością. I przychodzą wam na pamięć krwawe szaty kapłanów frygijskich, osobliwsze okrucieństwo wiar nakazujących kastracyą, myt o tytanach rozdzierających Bachusa, o Menadzie, co pośród tygrysów i panter, wściekła, z rozczochranym włosem wstrząsa laską bachusową i tarza się w szczątkach kości ludzkich. Religia straszna, której okropne tajemnice malują się w pieśniach poświęconych Siwie (*purana*) i jego żonie Dewi (*markandia*).

Dewi wyobraża instynkt okrutny, energią Siwy; jój to poświęcona jest owa sekta dusicieli systematycznych, zwanych tugami. Jój wzywają w modłach swoich, od niej proszą wróżb i znaków szczęśliwych: straszne to bóstwo zwykło błędzić po cmentarzach, nosząc na sobie, zamiast wszelkich innych ozdób, kości ludzkie; do morderstw miesza rozkosz i chętnie zamyka się w oddalonych i ciemnych grotach szukając tam rozkoszy i uciech tajemnych, pośród ofiar ludzkich ginących na stosach...

Istniejeż jaki związek między starożytnymi naukami filozoficznymi i okrutnym zwyczajem zabójstw systematycznych? Związek ten jestże rzeczywisty i niezaprzeczony? Ani można o tém wątpić. Śledztwa prowadzone z tugów aresztowanych przez władze angielskie podają w tym ciekawym przedmiocie objaśnienia najdokładniejsze. Każde ich morderstwo jest aktem religijnym; żaden nie poważy się zgwałcić zasad objętych kodeksem tugizmu. Zjednej strony fanatyzm, z drugiej żądza zysku i uciech, uświęcają ten krwawy system, oparty współcześnie na interessach nieba i ziemi. Niepodobna jest zatrzeć w umyśle tuga prawideł zasadniczych dogmatu przepisanego przez boginię Dewi. „Znałem,—powiada kapitan Slesman w swém sprawozdaniu o tugizmie—takich tugów, co przez lat dwanaście żyli w poufałych stosunkach z europejczykami; umieli doskonale po angielsku, a jednak pozostali do końca najmocniej przekonani o boskim początku tugizmu. Ci których trzymaliśmy uwięzionych w Jubelpore, pochodzili ze wszystkich prowincyi Indyj: jedni byli z Karnatyki, drudzy z nad brzegów Indu, inni z nad Gangesu. Większa ich część trudniła się tem religijnem rzemiosłem od dziesięciu i piętnastu lat; o czynach swych mówili jakby o funkcyjach urzędu kapłańskiego, zaszczytnie sprawowanych, a o swych ofiarach jak kapłani Jowisza lub Saturna o wołach i jałoszkach zarzniętych na ołtarzach ich bogów. Badany tug, tłumaczy i usprawiedliwia wszystko imieniem Dewi swój patronki, bogini zabójstwa filozoficznego.”

Straszna ta bogini zowie się jeszcze Kalia, Durga

lub Bowania; założyła ona podstawy i przepisała prawa stowarzyszenia. Wszyscy zabójcy mają ją za swą orędowniczkę; wdzięczne jój są jedynie ludzkie ofiary. Dla przypodobania się jój, niejeden pobożny dopuszcza się samobójstwa, inny krew własnych dzieci rozlewa przed posągami bogini; ale jeżeli wszyscy zabójcy w nią wierzą—sami tylko tugowie uważają się za jój dzieci prawowierne.

— Wierzysz więc, pytał jeden sędzia angielski tuga Saiba, że człowiek popełniający zabójstwo bez zachowania stosownych przepisów i obrzędów, jest karany na tym i na tamtym świecie?

— Karany jak najsurowiej, rodzina zabójcy ginie, nawet jego nazwisko zaciera się na ziemi. Tug zabijający bez należytych formalności, traci dzieci jakie ma, i Bóg mu ich więcej nie da.

— A jeśliby zabił tuga, czyby go toż samo spotkało?

— Niewątpliwie.

— A gdy dopełnisz formalności, niczego się nie lękasz?

— Nigdy.

— Ależ widma twych ofiar czyliż cię podczas snu nie dręczą?

— Żadną miarą.

— Utrzymują przecież, że duchy zabitych siadają przy łożu zabójcy, a ty niedoświadczaszże téj kary?

— Bezwątpienia nie! Ginący od naszego stryczka, nie są zabijani przez nas, lecz przez boginię Dewi.

Żadne rozumowanie nie zniszczy wiary podobnej, co przesiąkła już w życie całych pokoleń. Wszystko co ludzie szanują, wszystkie wyobrażenia moralności i pobożności pomieszały się tu z myślami mordów i zniszczenia. Ośm do dziesięciu tysięcy ludzi ma się za świętych, myśląc jedynie o tępieniu swych bliźnich! Napotkać dobrą ofiarę, przyjazną wróżbę, worek pełen złota—oto ich marzenie, które często się isci. Gromady tugów, złożone z pięćdziesięciu do stu ludzi, przebiegają Indye, we wszystkich kierunkach, i często jednego wieczora wyprawiają na tamten świat jakie trzydzieści ofiar. Kraj to bezdrożny, kominikacyi prawie żadnych: gdzieniegdzie tylko wytknięte słabe ślady dróg, miasta mają mało stosunków handlowych jedne z drugimi; wielkie już szczęście, gdy można przyłączyć się do karawany zdążającej do tego samego miejsca. W ogóle przenoszą i przesłają wiele drogich metalów z jednego punktu na drugi; podróżni dla uniknięcia nieznośnych skwarów dziennych, odbywają drogę nocą, pieszo: domów zajezdnych nie ma; dla wytechnienia zatrzymują się pod



drzewem, w miejscach ocienionych, w parowach gdzie posiliwszy się sporządzonym przez siebie pokarmem, zasypiają bez żadnej straży. Każdy rad napotkać drugiego podróżnego, któryby mu towarzyszył w tych stepach bezludnych, lasach samotnych i głębokich parowach. Nadewszystko chętnie przyłączają się do karawany, która, rzecz dziwna, najczęściej składa się z samych zabójców. Te różne okoliczności bardzo sprzyjały rozwojowi tugizmu, i w istocie uczyniły, straszną tę wielką organizacją mordów. Cała armia poświęciła się temu krwawemu rzemiosłu, którego rzeźbione wizerunki widzieć można na najstarszych świątyniach półwyspu.

— Wszak utrzymujesz—pytano raz Feryngią, jednego z najslawniejszych tugów— że płaskorzeźby w świętych pieczarach Ellory wiernie wyobrażają czynności twojego rzemiosła?

— Tak jest. Wszystkie one są tam zamieszczone bez wyjątku: jeden wizerunek przedstawia sposób duszenia, drugi—pogrzebanie trupów, trzeci—sposób jak radzić się wyroczeni. Niema w tugizmie ani jednego aktu, któregoby pierwowzór nie znajdował się w rzeźbach starożytnych.

— I jakież to są czynności wyobrażone w tych pieczarach?

— Wszystkim dokładnie przypatrzyłem się; widziałem *sotę* czyli uwodziciela rozmawiającego z ofiarą celem zbadania jej tajemnic, pozyskania jej ufności i przyjaźni; dalej, tug mający dopełnić uduszenia zarzuca stryczek na szyję swjej ofiary, podczas gdy *szum-sia* czyli trzymający nogi, nie dopuszcza jej ruszyć się....

— Ale czyż tylko tego rodzaju rzeźby widziałeś?

— Widziałem i dwie inne, będące dalszym ciągiem pierwszych: wynoszenie trupów przez tugów i sposób w jaki należy kopać doły święconą motyką. Wszystko to oddane jest jak najdokładniej i my nie postępujemy inaczej.

— Jak sądzisz, kto byli twórcy tych płaskorzeźb?

— Bogowie. Ręka ludzka nic podobnego-by nie zrobiła, a przytém wzbronione jest nam odsłanianie tajemnic kasty.

Tugizm istniał już w wieku XVI. Podróżnik Thévenot opowiada o rozbójnikach nader zręcznych, którzy, mówi, zarzucają na podróżnych stryczek tak misternie wyrobiony, że w jedném oka mgnieniu duszą go, zanim mógł spostrzedz ich zamiar. Opowiada także, że kobiety wysłane przez nich na przespiegi, stawały na drodze, i z rozczochranym włosem, zalewając się łzami, wydawały żałosne jęki aby przywa-

bić podróżnego, a skoro go rozczuliły, chwytaly sposobną chwilę i dusiły go bez miłosierdzia. Dziś tugizm nie ucieka się do tych przebiegów; wszystko odbywa się po prostu, ale bardzo zręcznie. Zaledwie wiedziałby kto o istnieniu tugów, jeśliby trupy które secinami rzucają w studnie, w łożyska rzek lub grzebią w cieniu lasów, nie wykrywały niekiedy tajemniczej a przemożnej potęgi ich stowarzyszenia.

Tugi dzielą się na północnych i południowych. Ci ostatni, tugi prawowierni, gardzą swymi współbraćmi z północy, jako nie dochowującymi podań w całej ich czystości. Tug prawdziwie nabożny nie powinien zabijać kobiet, jakiegokolwiek byłyby stopnia i wieku: podobnie tugizm prawowierny oszczędza fakirów, bardów, muzyków, tancerzy, czyścicieli ulic, piorących suknie, ślusarzy, cieśli i przekupniów bydła i oliwy. Podobnie nie zaczepia kaleki, trędowatych, nosiwody, jeśli ich dzbany są pełne, w przeciwnym razie, tug zabija ich bez skrupułu. Każda z tych amnestyi ma swe źródło w uczuciu religijném, które rozciąga osobliwą opiekę nad rzeczonymi rzemiosłami. Tugi południowi nie uchybiają nigdy tym różnym przepisom; ale północni, będący w przekonaniu swych przeciwników, spodlonymi potomkami siedmiu pokoleń muzulmańskich, niegdyś osiadłych w Deli,—ci wprowadzili zgubne rozwolnienie do systemu tugizmu. Niesie podanie, że jeden cesarz delijski wypędził te pokolenia karząc je za zabicie jednego ze swych sług; tugi schronili się do Hydra, później do Szubum, a w końcu osadowili się w Kaliesinda. Tam była ich kwatera główna ale w roku 1812 Anglicy ich i ztąd wyparli.

Jeśli mamy dać wiarę tugom prawowiernym, wszystkie te nieszczęścia i późniejszy upadek heretyków północnych, dotknęły ich za to, że zgwałcili przepisy tugizmu. Pewna bogata i znakomita dama nazwiskiem Kalibibia puściła się w drogę do Hyderabad dla zwiedzenia grobu brata Sulabad-Kana. Znęce ni bogactwem jej szat ze złotogłowiu, tugi ją zabili i odtąd wszystkie nieszczęścia na nich spadły: bogini Devi nie tyle już im co dawniej sprzyja.

Kiedy wróżba nakazuje morderstwo, tug prawowierny uważa za zbrodnię niedoprzebaczenia, litować się nad ofiarą. Pewien sędzia zapytał się tuga muzulmanina w Durga:

— Przypuszczam, że wyroczenia której się radzisz jest wyborną, ale podróżny którego zamierzasz udusić jest biedny i obudza w tobie litość, co poczniesz w takim razie? czy puścisz go w pokoju?



— Puścić go! nigdy! Nie wolno jest przeciwiać się wyroczni! Dopuszczając się tak zbrodniczego nieposłuszeństwa, narazilibyśmy się niechybnie na gniew bogini, wypadlibyśmy z jej opieki. Zawsze trzeba być posłusznym. Mam na to oczywiste dowody. Zdarzało się nie raz, że wyrocznia była dobra, ale podróżny zdawał się ubogi. Kiedyśmy przetrzęśli jego kieszenie, pokazało się, że wyrocznia miała słuszość: kieszenie były przyzwoicie napełnione złotem.

Podstawą stowarzyszenia, jak już mówiliśmy, jest cześć Devi, bogini indyjskiej, a jednak pomiędzy tugami jest znaczna liczba muzułmanów. Jest-to jedna z osobliwości tego dziwnego bractwa. Bogini krwiożercza, małżonka Siwy, ducha zniszczenia, odniosła zwycięstwo nad Bogiem jedynym mahometan i nad Mahometem jego prorokiem. I napróżno islamizm zabrania czci bóstw drugiego rzędu, magów i świętych—wynosząc nad wszystko Allaha jedynego, powszechnego, wiekuistego. Muzułmanie tugi zapomnieli o tych przepisach swój wiary.

— Wszak jesteś muzułmaninem? zapytał sędzia tuga Saiba.

— Tak jest; jak większa cześć tugów mojej prowincji.

— I Koran jest waszém prawem?

— Ma się rozumieć.

— Stosujecie się do jego przepisów we wszystkim dotyczącem małżeństw, spadków, modlitw i pokarmów? Wierzycie w raj obiecany przez Mahometa?

— Wierzymy.

— A czy koran czyni wzmiankę o bogini Devi, Kelia lub Bowania?

— Nie, nigdzie.

— Za pozwoleniem — wtrącił inny tug muzułmanin—Bowania jest nikim innym tylko własną córką Proroka, Fatymą żoną Alego. Fatyma ta poświęconą chustką udusiła wielkiego szatana Rukut Bigdana, i przyjęła nazwę Devi.

Zdanie to poparł długim wywodem teologicznym. Oficerowie mahometańscy zaprzeczyli tożsamości Bowanii i łagodnej Fatymy; ale utrzymywali ją tugi. Stało na tém, że dobry muzułmanin może się zgadzać z kodeksem Bowanii i poświęcać jej ludzi na ofiarę, bez obrazy Mahometa i zaparcia się Allaha!

Rządy krajowe indyjskie, uważając tugi jako sektę konieczną i uświęconą, uznają ich za członków państwa, zapewniają im prawa i swobodne wykonywanie straszliwego rzemiosła, w zamian wybierając od nich stosowne opłaty. Według dokumentu urzędowego,

każdy dom zamieszkały przez tugi płaci podatku od 24 do 28 rupii <sup>1)</sup>; podatek ten płacą tugi od czasów niepamiętnych a amilowie czyli poborcy skarbowi każdej wioski wnoszą go kassy rządowej. Tug wypełniający swą powinność i zabijający zgodnie z wróżbą, nie obudza wstępu w krajowcach; jego rzemiosło jest sposobem do życia, rolą konieczną, drogą naprzód wytkniętą. Devi jest potężna; bezbożnością byłoby prześladować jej wyznawców. Zresztą tug jest miły i towarzyski. Uwodziciel na wielkich drogach, lekko zarabia pieniądze i podobnie je wydaje; poważany wielce obywatel, posiada szacunek i miłość powszechną. Dopóki nie zarzuci stryczka na szyję człowieka swojej kasty, dopóki oszczędza mieszkańców swój wioski, nie tylko mu dają pokój ale go jeszcze szanują. Ukochane dziecię bogini Devi, której ciało ma spoczywać w Kalkucie w świątyni, wznoszącej się pośród miasta i będącej widownią cudów nieustannych—szczęśliwy tug jest wybrańcem Boga. Kiedy obrzędy religijne tej okrutnej bogini ściągają tłumy ciekawych europejczyków, nie znających celu tych uroczystości, kiedy podczas świąt Durga-Purna są obecne na uroczystościach wszystkie władze europejskie—czyliż Indowie nie mają powodu mniemać, że europejczycy czczą także boginię mordów? Podczas tych uroczystości rozlegają się hymny święte, z których przytaczamy wiersze następujące:

„Wielkie bóstwo Kalkuty, o czarna bogini,  
Wierna twa obietnica, twe słowo nie ludzi:  
O Kun-Kalia <sup>2)</sup>, z roskoszą co pożerasz ludzi,  
I pijesz krew ich dymiącą w świątyni!”

Nabożni wyznawcy tego bóstwa mogą posiadać wszelkie inne cnoty; gardzą jedynie tymi, którzy się upijają, którzy kradną inaczéj niż pozwalają przepisy i obrzędy, którzy zaniedbują postów i modlitwy. Anglik Maclead, który przed dwudziestu laty zabrał wielu tugów do niewoli, opowiada o nich ciekawe szczegóły. „Bimmia, mówi, jest człowiek czcigodny i wcale nie ma miny przeznaczonego na szubienicę. Rodzinę Laëk znałem z bliska i oddawna, i nie mogą nic zarzucić jej postępowaniu. Pewnego dnia ojciec rodziny Laëk, dowiedziawszy się że powieszono kilku jego krewnych, zaśpiewał te wiersze poety sanskryckiego.

<sup>1)</sup> *Rupia*, 3 Złp.

<sup>2)</sup> *Kun-Kalia*, wyraz indostański, znaczy: *jedząca ludzi, ludożerczyni*.



„Ongi ja byłem perłą oceanu,  
Spałem roszkownie w cichém jego łonie:  
Pozazdrozczono ci błogiego stanu  
O biedna perło! przebito twe skronie;  
I wisisz nędzna na nici zelżywój,  
Igraszka wiatrów i gawiedzi chciwój.”

„Inny tug nazwiskiem Durga, miał obejście się tak uprzejme, fizonomiję tak łagodną, iż zdawałoby się że prędzej sobie odbierze życie niżeli dopuści się morderstwa.” Inni oficerowie angielscy potwierdzają słowa Macleada. „Nie znałem, powiada jeden z nich, lepszego i poczciwszego człowieka nad tuga Makim’a. Możesz mu zaufać na pewne we wszystkich okolicznościach, jednę wyjąwszy—gdy spotkasz się z nim w drodze a bogini Dewi da wróżbę pomyślną.” W przekonaniu tuga, podróżny jest tylko łupem tak dobrym, jeżeli nie lepszym, jak bażant, jelen, zając, dla których zdobycia potrzeba tylko zręczności.

Czyny których się dopuszczają i zabójstwo mają według nich takie do siebie podobieństwo jak niebo do ziemi. Bogini Dewi dała im życie człowieka na całopalenie; mają oni w tym względzie swój własny dykcyonarz, wydrukowany w Kalkucie pod tytułem: *Ramazina*. Tak więc cała ich organizacja powoli się wyjaśnia. Ale wielka sieć morderstw pokrywająca kraj cały ledwie w części jest odsłonięta. PP. Wright, Halhed i Stockwell mniemali wielką uczynić przysługę dla bezpieczeństwa i spokojności publicznej, rozproszywszy wiele band tugów w Indyach północnych: ale rozpędzone gromady połączyły się niebawem. Zabijano ich, ale ze krwi zabitych rodzili się nowi, jeszcze straszniejsi; w końcu przestraszony rząd, postanowił ryczałtem wygładzić tę plagę ludzkości. Ogniskiem działania wybrano Jubelpore i polecono kapitanowi Sleeman ścigać wszędy złoczyńców. Wkrótce Jubelpore napełniony został więźniami; przystąpiono do śledztwa a z mnóstwa zeznań, bardzo nainwnych, otrzymano te objaśnienia o organizacji, jakieśmy wyżej opisali. W miesiącu październiku 1835 r. schwytano 1562 tugów, z tych winniejszych 382 powieszono a resztę skazano na dożywotnie więzienie.

Straszne zbrodnie ciążyły na tych tugach: tysiące ich przebranych za sipayów w jednej nocy uduśliło pięciuset żołnierzy przewożących znaczne summy pieniądze do Gawilgur. Wyprawa ta w języku tugów zowie się sprawą *pięciuset*, i nadzwyczajnie z niej są dumni. Niemniej sławną była sprawa sześćdziesięciu, którą tug Dugra tak opowiada: „Wiedzieliśmy że syn kommandanta fortecy Gawilgur nazwiskiem Ga-

jan Sing miał udać się ze swym orszakem do prowincyi Oudy, celem werbowania wojska i że wiozł z sobą znaczne pieniądze. Orszak jeden składał się z pięćdziesięciu dwóch mężczyzn, siedmiu kobiet i czteroletniego chłopca z kasty bramińskiej. Tugi, dowiedziawszy się o téj wyprawie, wysłali do Jubelpore kilku najsprawniejszych, i rozpoczęliśmy działania. Z początku próbowaliśmy rozdzielić eskortę, wysełając ją na różne drogi; ale podstęp się nie udał. Nikt nie chciał opuścić Gajan-Singa. Postanowiliśmy tedy połączyć nasze siły i prowadzić ofiary drogami odludnemi i nieznanemi, czekając na pierwszą sposobność aby się ich pozbyć.

W Sehora namówiliśmy ich do zaniechania wielkiej drogi a udania się na Szumdia, przez okolice dzikie, pokryte krzakami i lasem. Chętnie nam uwierzyli, bośmy zyskali ich zaufanie. Przybyliśmy do Simaryni nie znalazłszy jeszcze miejsca jakiegośmy szukali; kilku z naszych wyprawionych na odkrycie powróciło z wiadomością, że niedaleko od tego punktu było miejsce bardzo sprzyjające naszym zamysłom, samotne, dzikie i bezludne. Zaprosiliśmy podróżnych, aby wyjechali z nami po północy: puszczone się tedy w drogę. Przy każdym z podróżnych było dwóch tugów, niby przewodników, starających się utrzymać ciągłą z nimi rozmowę. Poradziliśmy się wyroczeni—znaki były najprzyjaźniejsze. Za danym znakiem każdy z nas zarzucił chustkę ze stryczkiem na podróżnego poczynając od tylniej a kończąc na przedniej straży. W przeciągu kilku minut wszyscy byli uduszeni, z wyjątkiem chłopięcia. Zaczynało świtać i zabrakło nam czasu na pochowanie trupów; tymczasowo więc złożyliśmy je nad brzegiem rzeczki, przysypawszy piaskiem: chłopca zabraliśmy z sobą do Czyterkot. Nazajutrz gdyśmy zabierali się do grzebania nieboszczyków, już prąd rzeki uniosł ich daleko. Chłopca wychował nasz brat Mongul Makul i nauczył go tugizmu: przeszłego roku powieszono go w Sangor.”

Odmiennejsze są działania tugów w Bengalu; tam, z powodu licznych rzek i potoków przerywających kraj w różnych kierunkach, dramat odegrywa się na szalupach i łódkach. Tug wchodzi w gawędkę z podróżnych, chwytą go za serce, uwodzi, zyskuje jego zaufanie, przynęca na łódkę której sternik i osada należą do stowarzyszenia. W umówionym czasie podróżny zostaje uduszony a jego ciało wrzucone do wody; pięć do sześciu szalup płynie jedna za drugą: jeśli wymkniesz się z jednej, na drugiej cię śmierć nie minie. Pozwólmy mówić jednemu z tugów.

„Najzręczniejsi z nas, w towarzystwie służącego



niosącego za nami rzeczy, idą brzegiem rzeki kierując się do miejsca, w którym statek stoi na kotwicy; zjawia się podróżny; niebawem tug udaje wielkie znużenie; podróżny utrzymuje iż byłoby nierównie wygodniej i przyjemniej płynąć statkiem. Od chęci do jej spełnienia przejście nie długie; spostrzegają szalupę i jej właściciela, targują się o cenę przewozu, zgadzają się, wsiadają na statek, odpływają i podróżny ginie. Jeśli pierwszy spotkany tug obudza nieufność w podróżnym, nawija się drugi, podziela jego niedowierzanie, chwali roztropność, zachęca do ostrożności, pomaga mu nawet do uwolnienia się od natręta i prowadzi go do innej szalupy morderczej. Wiele rodzin trudni się tym przemysłem. Na dolinach jest ze trzydzieści rodzin Mutria a do dwóchset tugów Lodeha; ale pomiędzy tugami rzecznyymi, same rodziny Bungoh mają kilka tysięcy zwolenników Dewi.”

Słynny przywódca tugów rzecznych, Dziaipoi miał zawsze na pogotowiu dwie szalupy w miejscach, w których podróżni wsiadali na statki. Trzymał zwykle w odległości kilku mil, jedną od drugiej. „Dzihaucikan, przywiódł nam dwóch podróżnych, opowiada jeden tug, którzy wsiedli na nasze łódzie. Dziaipol sam dowodził; sternik sprawował obowiązki dostrzegacza (bikuria). Jedenastu wiosłarzy należało do naszego bractwa. Łódź nasza miała dwa okna otwierające się u spodu. Naraz Dziaipol woła w języku tugów, narzeczem ramazia: *Bora* (tugi) *niech się odziedlą od Bitu* (podróżnych)! Byliśmy posłuszni. Szalupa płynęła jeszcze staję. Sternik daje znak rozpoczęcia dzieła. *Bujna Koe pawn Doe* (wydajcie zakład syna mojej siostry): słowa sakramentalne, po których natychmiast następuje uduszenie podróżnych. Według zwyczaju, przetrąciliśmy kość pacierzową naszych ofiar, aby nie zmartwychwstały, następnie spuściliśmy trupy przez okna. Dawniej mieliśmy rozkaz przebijania sztyletami serca podróżnych, ale była to metoda niedogodna, gdyż mogły pozostać ślady krwi na szalupie i na wodzie. Zarzucaliśmy ją tedy.”

Tak więc, wszelkie uczucia przyrodzone i ludzkości zamierają w sercach tugów. Czytamy przykłady straszne tej zatwardziałości: Neualsing, dzemadar czyli pułkownik w służbie Nizama, człowiek szacowny, utracił jedną rękę a następnie, według zwyczajów tugów prawowiernych z południa, powinienby być oszczędzony przez zabójców: nieszczęściem wpadł w ręce tugów heretyków z północy. Żywe toczyły się rozprawy w łonie zacnego stowarzyszenia nad tém, czy pułkownik ma zginąć lub nie. Podczas po-

dróży kilku członków karawany miało zajście z celnikami: jedni przyaresztowani byli jako podpalacze, inni jako złodzieje: w istocie zaś zajmowali się przemycałnictwem bławatów. Poczciwy dzemadar wziął ich pod swoją opiekę. Dwie jego córki jedna dwunasto druga trzynastoletnia, siadły na workach zawierających towary zakazane, podczas gdy urzędnicy komory odbywali rewizyę. Tym sposobem ocalały życie tugom, gdyż przemycałnictwo zarówno jak kradzież zwykło się surowo karać. Doznawszy takiego dobrodziejstwa od dzemadara i jego córek—tugi odbywali z nimi podróż jeszcze mil dwieście, nieprzystając rozprawać między sobą o jednej kwestyi spornej: mianowicie nie o tém czy wdzięczność zabrania nastawać na życie dobroczyńcy, ale—czy bogini Dewi pozwoli zabić człowieka o jednej ręce. Prawowierni odłączyli się od heretyków i nieszczęśliwy dzemadar wraz z córkami został uduszony!

Tugi rzeczni zabijają jedynie pojedynczych podróżnych; inni wyprawiają na tamten świat całe rodziny.

Z nowymi adeptami tugi postępują bardzo metodycznie. Nowicyusz zowią się *kubula*; ci nie zapuszczają się jeszcze w tajemnice rzemiosła. Na wyższym stopniu wtajemniczenia stoją *burka*: ci mogą robić prozelitów, uczyć ich i przyzwyczajają do karności. Stopniowo tylko dochodzi się do godności *burka*. Naprzód używają ucznia na przeszpiegi; potem zostaje grabarzem, kopiącym doły dla trupów ofiar; następnie sprawia obowiązki *szumsia* to jest trzymającego ofiarę za ręce i nogi podczas duszenia; w końcu jest *burtod* czyli dusicielem. Nowicyusz pragnący zostać *burtodem*, oddaje się pod szczególne zwierzchnictwo starego tuga, czyli *guru* (świętego mistrza), który go nazywa swoim *szejla* (uczniem). Czeka na przybycie podróżnego słabiej budowy ciała, którego zabicie mało ma niebezpieczeństwa. Podczas kiedy ten śpi, *guru*, *szejla* i pięciu najznakomitszych członków bractwa udają się na pole sąsiednie, zatrzymują się pośrodku a obróciwszy się w stronę przeciwną swój drogi, *guru* wzywa pomocy wielkiej bogini: „*O Kalia kunkalia, budkalia* (o czarna ludożerczyni, czarna i pożerająca). *O Kalia, mahakalia, Kalkuttawalia* (o wielkie, czarne bóstwo Kalkuty), jeżeli wołam jest twoją, aby podróżny będący w naszych rękach został zabity przez tego oto niewolnika twego—daj wróżbę pomyślną (*tibau*)!”

Czekają pół godziny: pierwsze *tibau* stanowi, czy podróżny ma być zabity; drugie czy nowy adept ma być ofiarnikiem. *Tibau* powinno być słyszane ze strony prawej, *pilhau* (wróżba niepomyślna) ze strony



lewój. Oto są niektóre szczegóły, podane przez samychże tugów, co do znaczenia wyroczni.

Przybywszy na miejsce spoczynku, jeżeli da się słyszeć pilhau od strony lewój, natychmiast trzeba opuścić to stanowisko, a zatrzymać się na niem, jeżeli będzie tibau od strony prawej. Inaczéj się bierze wróżba w chwili odjazdu; wtedy jeżeli dobry znak ukaże się zaraz po złym, uważają to za wróżbę pomyślną i puszczają się w dalszą drogę.

Kapłani téj sekty do najszacowniejszych wróżb liczą buraok czyli wyrocznię wilka, *czyraik*, wyrocznię sowy, *dauhia* wyrocznię zająca i *dunterur*, wyrocznię osła. Żałosne wycie wilka (*czymmama*) zwykle odwodzi tuga od przedsięwzięcia. Jeśli wilk przechodzi drogę od ręki prawej do lewój, znak to dobry, jeśli od lewój do prawej, wróżba niepomyślna. Gdy we dnie wilk zawyje, tugi spieszenie opuszczają miejsce. Od północy do świtania znak mniej jest niepomyślny, a od wieczora do północy wróżba jest obojętną. Złowrogi głos sowy zawsze odwodzi tugów od zamierzonej wyprawy. Podobnież nieszczęśliwym znakiem jest ukazanie się zająca. „Przestroga zająca jest ważną, mówił jeden tug; skorośmy wzgardzili tą wyrocznią, bogini téż nas opuściła; lekliwe to zwierzę piło potém wodę niebieską z czaszek naszej braci pomordowanej. Zając przebiegł nam drogę w czasie wyprawy jenerała Doveton na tugów; zwierzę krzychało, lecz zaniedbaliśmy wyroczni. Nazajutrz siedmnastu z nas dostało się do niewoli.”

Nad wszystkie atoli znaki najbardziej poważali wyrocznię osła. *Supukher u ekadunru, dunteru* (w rzeczy wyroczni, jeden osiel wart więcej niż tysiąc ptaków), zwykli mawiać tugi. Kapitan Sleeman, który ułożył słownik wyrażen tuzizmu i kazał aresztowanym tugom aby opisali wszystkie wyrocznie, zaświadcza o niezmiernéj wadze, jaką przywiązują do wróżb zarówno tugi północni jak południowi. Wróżba jest głosem Dewi.

Po zaradzeniu się wyroczni, powtarzają modlitwę do Dewi, po czém powracają na pole, guru (święty nauczyciel) bierze chustkę, obraca się ku zachodowi, zawiązuje monetę złotą lub srebrną, i zabiera się do kręcenia stryczka klassycznego, *gurknať* (węzeł uczony), którego nie godzi się robić, nie otrzymawszy rozkazu z góry. Uczeń czyli szejla bierze go z uszanowaniem w rękę prawą i podchodzi do ofiary wraz z szumsia (trzymającym za rękę). Budzą podróżnego pod jakimbądź pozorem, i za danym znakiem przez naczelnika, adept czyni próbę swéj zręczności, przy pomocy szumsia. Po dokonaniu dzieła, klęka przed

guru, dotyka stóp mistrza wyciągniętemi rękoma, odwiązuje chustkę, wyjmuje z niéj sztukę złota i oddaje jako ofiarę (nuzur) mistrzowi wraz ze wszystkimi pieniędzmi jakie posiada. Guru za pieniądze te kupuje cukru, ciast i innych łakoci. Przygotowują ucztę ofiarną (tuponia) pod drzewem pewnych drzew zwłaszcza pod figowem. Burtod czyli dusiciele zasiadają do koła kobierca a nowy adept otrzymuje swoją część cukru poświęconego.

Tuponia jest nader wielką uroczystością. Utrzymują tugi, że kto raz zasmakował cukru poświęconego, na całe życie przywiązuje się do tuzizmu. „Często, mawiał jeden sławny ich naczelnik, zdarzało się nam uczuć politowanie, gdyż ono jest wrodzone wszystkim ludziom. Ale wpływ cudowny cukru poświęconego, spożytego na ucztę ofiarną najzupełniéj nas przemienia. Co do mnie, aby mieć żyć z czego, nie potrzebowałem koniecznie zostać tugiem; matka moja była bogata, ofiarowano mi korzystne posady; kochano mię powszechnie gdziekolwiek się ukazał: a jednak ile razy chciałem opuścić tuzizm—zawsze daremnie: jakaś nieprzewyciężona siła ciągnęła mię powrotnie. Choćby bogowie dali mi jeszcze sto lat życia, nigdybym nie chwycił się innego rzemiosła. Wiem że mię czeka śmierć sromotna na szubienicy: gdyby mię miało spotkać tysiące śmierci jeszcze sromotniejszych, niemniéj nie przestałbym być tugiem. Małem byłem chłopięciem kiedy mój ojciec dał mi skosztować fatalnego cukru i odtąd zostałem na zawsze wiernym sługą bogini Dewi.”

W istocie, to życie awanturnicze i bez troski, przepłatane spokojem i niebezpieczeństwami, uciechami i śmiałością wyprawy, a nadewszystko ta tajemnicza służba u strasznej bogini, dziwne posłannictwo czyniące tugów panami życia i śmierci, i wreszcie ta rozkosz dzika, piekielna którą czują tylko drapieżne zwierzęta i ludzie przywykli do mordów—która upaja widokiem ofiary i odurza krwi zapachem, wszystko to ma dla wyznawców tuzizmu urok nieprzewyciężony. Nie było jeszcze przykładu aby tug dobrowolnie wyrzekł się swojego rzemiosła. Uniknąwszy zemsty sprawiedliwości, chociaż widział wieszanych współtowarzyszy—zawsze jednak powracać do ulubionego zajęcia.

Podczas wielkiej uczy tuponia, obok cukru święconego, spoczywa na obrusie motyka święta, narzędzie będące w osobliwszem poważaniu. Ten tylko może mieć prawo pożywania cukru poświęconego przez modlitwę, kto jest stanu wolnego i własną ręką udusił wędrowca. Poświęcenie odbywa się następującym sposobem. Naczelnik najbardziej czczony siada obró-



cony twarzą ku wschodowi. Po prawej i lewej jego stronie siedzą tugi według porządku starszeństwa w rzemiośle. Przed modlitwą kładą na stronę kawałki cukru przeznaczone dla tych, co jeszcze nie zabili człowieka. Następnie naczelnik kopie w ziemi dołek, kładzie weń cukru, składa ręce, podnosi je w górę a utkwivszy wzrok w niebie, zwraca wszystkie swe myśli ku bogini i woła: Wielka bogini, ty coś przodkom naszym podała w ręce stryczek i pieniądze, wysłuchaj modlitwy naszej!

Wszyscy tugowie łączą się sercem z intencjami modlącego się. Ten sypie trochę cukru na motykę, resztą obdziela braci wyciągających ku niemu ręce i daje zwykłe hasło do duszenia. Na ten znak, tugowie spożywają w uroczystym milczeniu swój cukier pilnie dając baczenie aby jego okruszyny nie padły na ziemię, bo to byłoby bardzo złą wróżbą; gorszą byłoby jeszcze jeśliby podczas świętego obrzędu tugowie wdali się w swary lub gdyby pies, osieł lub koń dotknęły cukru: wtedy uważaliby się za zupełnie wypadłych z łaski bogini. Kiedy tug chce okazać przywiązanie do dziecięcia, wcześniej daje mu cukru poświęconego.

W Indyach spotkasz tugów na każdej drodze pod

różnemi postaciami: to pojedynczych, to gromadnie po dziesięciu i dwunastu, przebranych za sipajów lub pielgrzymów, kupców lub książąt, otoczonych liczną służbą, złożoną z tugów. Gromadki te niekiedy się łączą, tworząc wojsko od trzystu do czterystu ludzi. Za zbliżeniem się niebezpieczeństwa, gdy ich ścigają Anglicy, pierzchają po całym kraju, łącząc się znowu w umówionych miejscach. Tug najdoświadczeńszy, najschludniejszy, najmniej oddany pijaństwu — nosi narzędzie święte czyli motykę do kopania mogił. Motyka ta jest darem bóstwa; tugowie przysięgają na nią jak żołnierz na swą chorągiew. Gdy rozbijają obóz, zatykają ją w ziemię, obracając przednim końcem ku stronie w którą armia zmierza; twierdzą bowiem że jeśli bogini zechce, aby udali się w innym kierunku, nie zaniechają pochylić ku tej stronie motykę. W prowincyi Dekkau, gdzie tugizm jest dodziśdnia w stanie kwitnym, przekonani są nawet, że trzymając się ściśle obrzędów, należy rzucić motykę do studni, z kąd sama wypłynie w chwili gdy jej okaże się potrzeba. Bogini Dewi surowo ukarze śmiałków którzy ręką niepoświęconą dotkną się motyki...

*Edw. Sulicki.*

## WNĘTRZE KOLLEGIUM JAGIELLOŃSKIEGO,

DZISIEJSZEJ BIBLIOTEKI UNIwersYTETU KRAKOWSKIEGO.

Władysław Jagiełło, nabywszy od Pancera Stanisława dom przy ulicy św. Anny, przeniósł tu akademię krakowską. Dom ten, zwany ongi Pancierzem, łączy się z budynkiem, wystawionym 1517 r. przez profesora Tomasza Obiedzińskiego, który uważać się mógłby za najpierwszego z założycieli dzisiejszej biblioteki składających się w początku z samych tylko profesorów akademickich, tutaj zamieszkałych w liczbie 20. Z tych 11 było teologów, a 7 do 8 filozofów; pierwsi i drudzy zwali się niegdyś Collegae majores. Gmachy te groziły już upadkiem. Rząd Rzplitej W. M. Krakowa w 1837 r. przeznaczył sumę na restaurację, prowadzoną jeszcze powtórnie

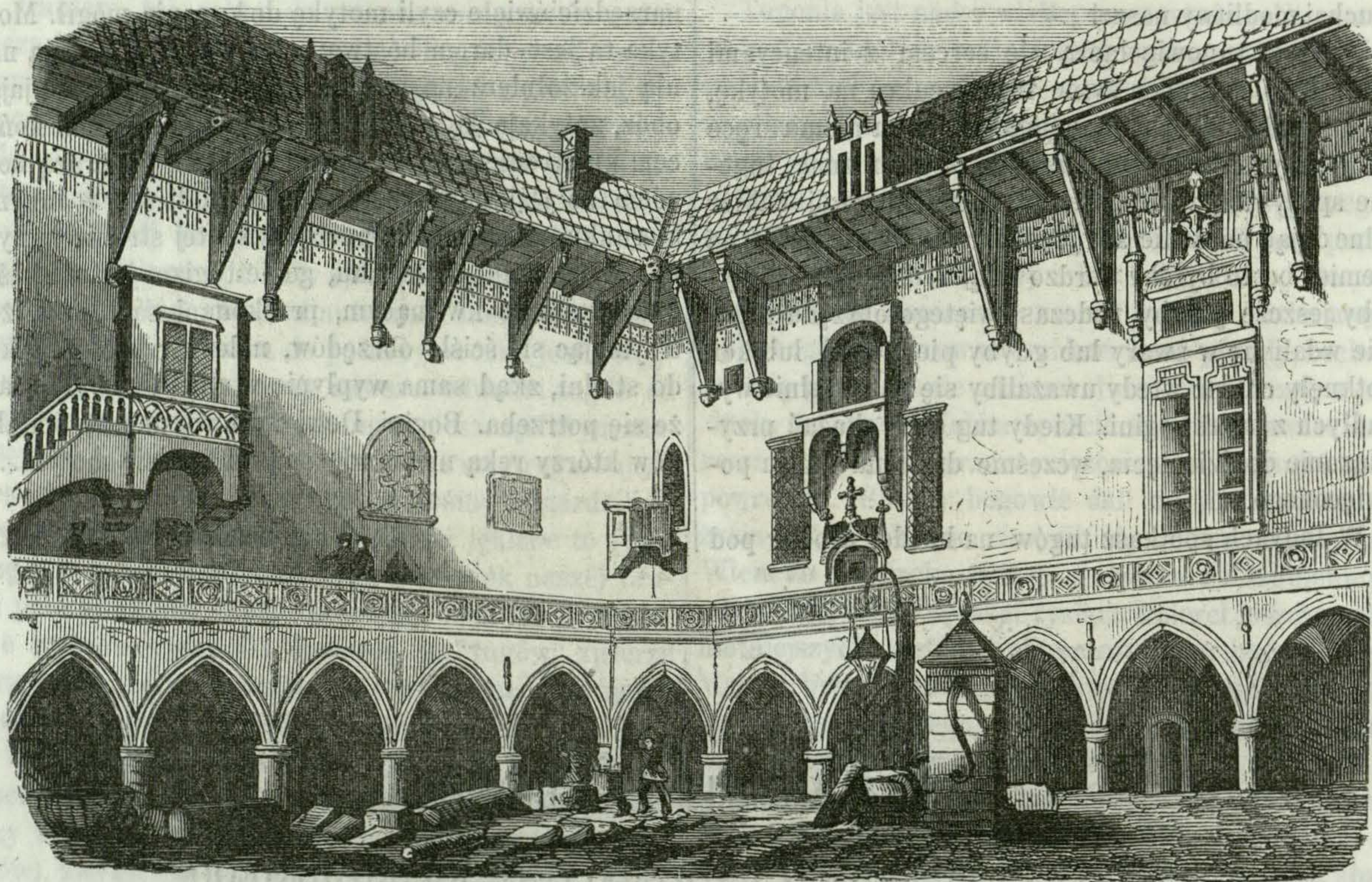
w r. 1844 pod kierunkiem budowniczego Karola Kremiera, który, usiłował cechy dawnego stylu utrzymać. Dotąd zupełna restauracja do skutku jeszcze nieodprowadzona, gdyż dwie części gmachu dopiero odnowione, a trzecia, przeznaczona jeszcze na zwalenie, stanowi resztę frontu od ulicy św. Anny. J. N. Głowacki w „Widokach miasta Krakowa i jego okolic” po dwakroć wydanych, zostawił ślad wnętrza, jakie było przed odnowieniem, z podpisem nie zupełnie właściwym: „Uniwersytet Jagielloński” (litogr. u Engelmana p. Jacottet i Dawida). Tu załączony widok, wystawia wnętrze obecnego gmachu bibliotecznego już po przebudowaniu. M. Wiszniewski w ty-



tule „pomników Historji i literatury polskiej 1835 r.” zostawił wyobrażenie dawnych drzwi wiodących do Biblioteki (Podobizna ich była na materyale drukarskim złożona w Przeglądzie Nauk. tytułach: z r. 1842.)

Dzisiejsza biblioteka, bogata w mnóstwo rzadkości, mieści w sobie pięćdziesiąt kilka tysięcy dzieł i przeszło parę tysięcy rękopismów, nie licząc broszur, rycin i zasobnego gabinetu numizmatycznego z nią po-

zy Stachowicza wystawiają: *a)* Założenie akademii 1364 r. w imieniu Kazimierza W. przez arcyb. Jaros. Bog. Skotnickiego. *b)* Wyjście processyi podczas przeniesienia akademii z Bawołu. *c)* Twardowski czy Witelion czyniący doświadczenia na górze Lassota. *d)* Jagiełło dający rektorowi przywilój akad. *e)* Piotr Wysz z Radolina b. k. otwiera katedrę prawa kan. w obec króla, nadającego herb akad. *f)* Delegacya stanu rycer-



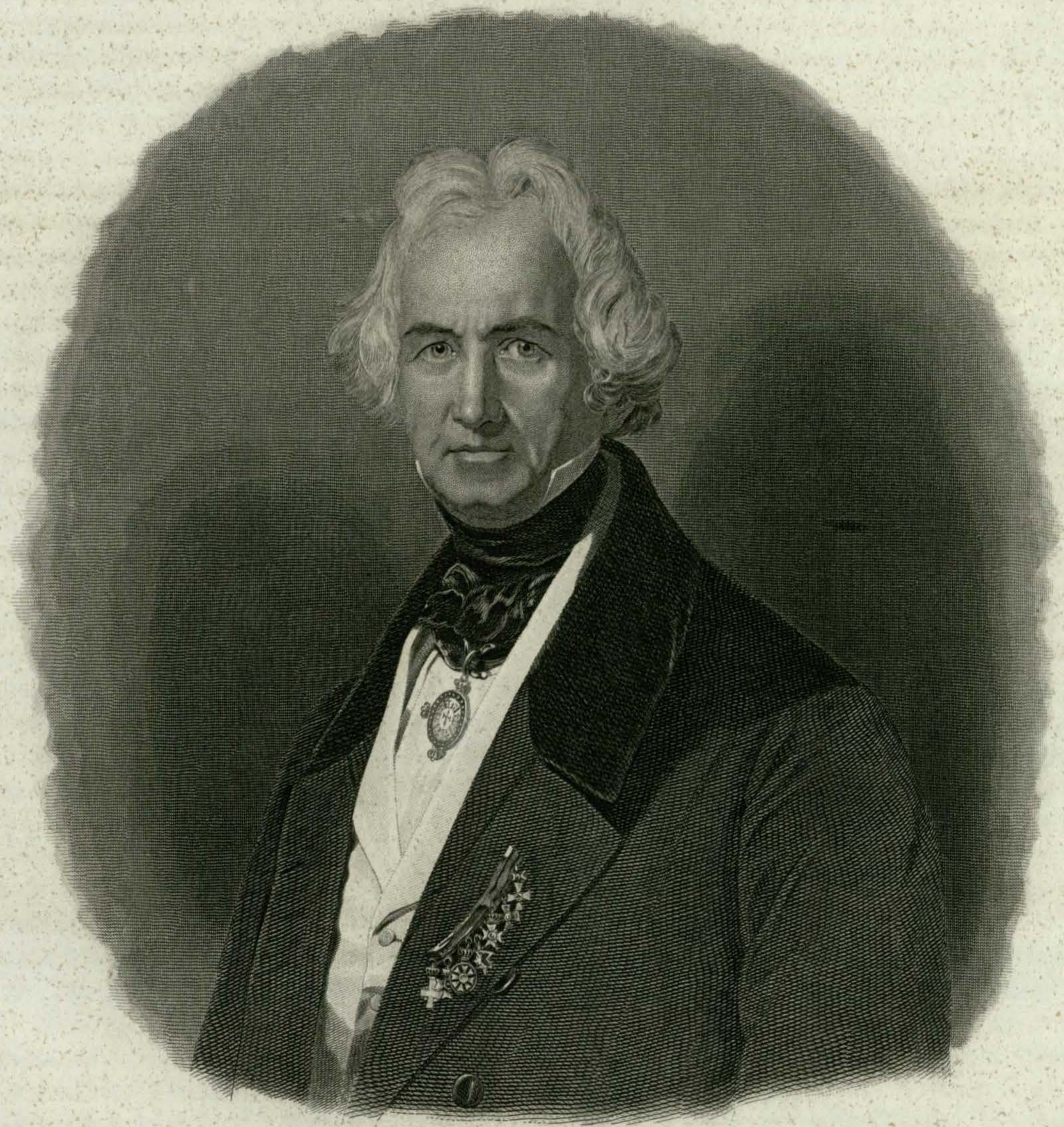
Wnętrze gmachu Kollegjum Jagiellońskiego.

łączonego. Losy jej, były też same co i dawniej Akademii Jagiellońskiej. Dopiero w r. 1811 uporządkował ją Jer. Sam. Bandtkie, a w lat 10 potem wydł jej historję. Niedawno zgasły ś. p. Józef Muczkowski Bibliotekarz i Prof. przewyższył w pracach swoich zasługi poprzednika. Następcą dzisiaj jest Stroński, b. Prof. uniw. lwow., który po zniszczeniu bibl. lwowskiej w 1848 r. na nowo ze zgliszczów ją uporządkował.

Kanonik krakowski Sebastyan Sierakowski, przyozdobił tutaj sale malowaniami al-fresco Michała Stachowicza i portretami ludzi sławnych. Do wykonania pomysłu tego, pomagały naszemu artyście opisy główniejszych zdarzeń tyczących się dziejów akademii przez J. Sołtykowicza, oraz malowidła znajdujące się w dawniej sali zwanój Stuba communis. Obra-

skiego 1575 r. z sejmu do akad. względem elekcji. *g)* Anna Jagiellonka daje r. 1584 łańcuch ze swym portretem akad. *h)* Posłuchanie Rektora J. Najmanowicza u Zygmunta III. *i)* Odmowa przysięgi panu Wirtzowi 1656 uczyniona od ciała akad. *k)* Szwedzi rnbują bibliotekę 1656. *l)* Przeprowadzenie akademii w r. 1480 do nowego gmachu: Oprócz przeszło 1000 osób, wystawił tu wiernie malarz syna swego i siebie z podpisem: „Michael Stachowicz Prof. Art. Pictor, auctor hujus operis.” Ścianę z tém malowidłem, przeznaczono do zrzucenia, dla powiększenia sali. Taki to los robót alfreskowych. Zgorzały już: pałac biskupów krakowskich i klasztor ks. ks. Reformatów w Pilicy, gdzie mieściły się roboty naszego krakowianina; inne malowania powoli niszczeją. Sk.





CH. RAUCH.







## RAUCH RZEŹBIARZ.

(z wizerunkiem sztychowanym.)

Dnia 11 listopada 1837 roku, pierwszy raz wystawiono na widok powszechny pomniki posągowe pierwszych burzycieli pogaństwa na ziemi naszej, królów polskich Mieczysława I i syna jego Bolesława Chrobrego († 1025 w Poznaniu). Twórcą tych posągów był Rauch rzeźbiarz. U niego zamówił pomniki Edward Raczyński, który dołożywszy do składek ogółu i znaczny grosz własny, zajmował się wzniesieniem przy Tumie na Chwaliszewie kaplicy, w której złożone są popioły znamienitych królów naszych i ustawione ich pomniki, wyżej wspomniane. Na odwrotnej stronie posągów Raucha, był się podpisał ten, co się trudził przywiedzeniem ich do skutku. Opisaliśmy całe to zdarzenie obszerniej na str. 102 tomu II Księgi Świata z r. 1857<sup>1)</sup>. Umieszczając zaś teraz wizerunek autora pomników, (powszechnie znanych, i tylekroć, nie tylko na rycinach wystawionych, ale nawet i nader podobnie odlanych w fabryce tutejszej Karola Mintera) winniśmy chociaż ważniejsze szczegóły jego żywota przytoczyć.

Krystyan Rauch, z niedostatnich przodków urodzony 2 stycznia 1777 roku w księstwie Waldeck (w Arolsen), zszedł ze świata w 81 roku życia w nocy z dnia 2 na 3 grudnia 1857 roku w Dreźnie, dokąd przybył z Berlina, aby się leczyć na dokuźliwą chorobę. Starzec, niemógł znieść operacji, dokonywanych zwykle w cierpieniach na kamień. Dnia 5 grudnia 1857 przy dźwiękach marszu Bethowena przeniesiono na kolej zwłoki sławnego rzeźbiarza, które rodzina odwiozła do Berlina.

Tu, z nadzwyczajną świetnością oddano posługę ostatnią sławnemu rzeźbiarzowi. W pracowni jego przystrojono katafalk dziełami własnymi Mistrza. Widziano obok zwłok Raucha w trumnie tymczasowo spoczywających, dwie Wiktorye trzymające wawrzyny, grupę dwojga dzieciątek wyciągających ku twórcy swemu rączęta i postać Nadziei uposażowa-

<sup>1)</sup> Świeżo odnowiono kaplicę przy katedrze Poznańskiej, w której ustawione pomniki wykonane przez Raucha.

nej. Tak więc, zostawione na czas jakiś w świątyni sztuki, ciało jego po skonie raz jeszcze, niby na pożegnanie, odwiedziło dawny swój przybytek!

Na pogrzeb, przysłano z Halli członków Uniwersytetu. Przyjaciół zmarłego, starzec Humboldt, szedł za trumną; na którą, w czasie pochodu ostatniego przez miasto, marmurowe i spiżowe postaci, wzniesione ręką zmarłego ku większej sławie własnej, pooglądały martwém okiem. A były-to postaci Büllowa, Scharnhorsta, Blüchera, Fryderyka Wielkiego i jego wodzów.

Rauch, okazywał już talent niepospolity od samego dzieciństwa. Ale jako biedak musiał kuć kamienie i podrzędniejsze wykonywać roboty u Walentyna w Arolsen i u Ruhla w Kassel. Jako prostego terminatora używano go do usług najpośledniejszych. Nim został artystą, przecierpieć musiał dużo biedy rzemieślniczka bez opieki. W dwudziestym dopiero roku życia, woląc szlifować błyszczące posadzki, niż rozbijać twarde opoki kamienne, udał się do Berlina, jako lokaj. Dostał się tutaj do służby dworskiej, w której znalazł i wuja swego. Ale się tego nigdy nie wstydził, ani zapierał.

Gdy razu jednego z księciem Wittgenschtejnem jechał Rauch do Szarlotenburgu, wszczęła się rozmowa następująca: „Już to po raz drugi mam przyjemność jechać tą drogą z księciem. Było-to przed czterdziestu laty.”

— „Pamiętam!” — odrzekł ks. Wittgensztejn.

— „Ale ważna zachodziła różnica — dorzucił sławny artysta — gdyż wtedy stałem za powozem, a dziś mam szczęście obok siedzieć!”

Zamilkł książę na taką otwartość Raucha; ale później, chwalcąc wyższość charakteru rzeźbiarza, opowiadał autentyczną rozmowę powyższą w niejednym kółku i niejednokrotnie.

Schadów, bez żadnego wynagrodzenia uczył młodego Raucha, postrzegłszy w nim wielki talent. A że jenjuszki zgadzają się nieraz w wielu rzeczach, przeto wkrótce zawiązała się szczerą przyjaźń między nau-



czycielem — tak samo jak nieco później pomiędzy Rauchem i Humboldtem.

Wkrótce wysłano wiele obiecującego rzeźbiarza, kosztem rządu, do Drezna, a w 1804 do Włoch dla doskonalenia się dalszego w tej prawdziwej ojczyźnie wszystkich sztuk pięknych. Tu go wspierał Wilhelm Humboldt i królowa Ludwika, po której skonie, król wezwał Raucha do kraju, aby uskutecznił w Szarlotenburgu mauzoleum, przez wdzięczność dla swój dobrodziejki. Jakoż dzieło natchnionego wychowawca Ludwika, na jej pośmiertne uczczenie wzniesione, wślawiło wkrótce Raucha. Będąc sławnym profesorem, dla tego po śmierci Schadowa nie został Krystyan prezesem Akademii sztuk pięknych, iż dobrowolnie wymówił się od tego zaszczytu.

Artysta, właśnie tak jak na artystę przystało, zachował zapał młodzieńczy aż do najpóźniejszej starości. Do ważniejszych prac jego należą następujące:

Pomnik grobowy Fryderyka Wilhelma III.

Posąg Fryderyka Wielkiego na koniu <sup>1)</sup>. Posągi Yorka, Gnejsenaus'a, Blüchera, Büllowa, Scharnhorsta, i niezliczona prawie mnogość popiersi, jak na przykład: Augusta Hermana Franke (w Halli); Albrechta Dürera (w Norymbergii); Kanta filozofa (w Królewcu), sławnego w swoim czasie agronoma Thaera (w Berlinie) i pomysł do posągów dla Schillera i Goethe'go znajdujących się w Wejmarze. Ostatnią pracą rzeźbiarza, o którym mówimy, był szkic modelowy do grupy Mojżesza.

Ernest Ritschel, uczeń Raucha, zrobił dość podobne popiersie swego mistrza, o którym, jako twórcy posągów naszych królów i znamienitym rzeźbiarzu, daliśmy ten krótki życiorys, będący dopełnieniem tylko załączonej tu ryciny.

<sup>1)</sup> Patrz opis w Kal. Popularno-nauk 1842 r.

## DAWNY RYCERZ POLSKI.

Pięknie się nam okazuje z po za mgły przeszłości, z czasów wieków średnich, tak obfitych w rycerskie czyny, ale tak splamionych różnemi nadużyciami i fanatyzmem, szlachetna postać młodego polskiego Rycerza Zawiszy; pomimo że się żadnemi w Palestynie nie odznaczył czynami. Niesłusznie zarzucano Polakom dawnym, że nie spieszyli szukać grobu Chrystusowego, że się nie łączyli w tych wyprawach z innem Europejskiem rycerstwem; z tego powodu, nieledwie uproszono, ażeby rycerskie czasy, to jest prawidła stanowiące rycerstwo (Chevalerie zwane we Francji) istniało u nas. Zapewne że Polacy nie szli odbierać grobu Chrystusa, bo oni wtedy ciągle wiary Jego bronić byli zmuszeni. Wszakże za napałów tatarskich tak powtarzających się, Innocenty IV, dozwolił ogłosić wezwanie do krucjaty przeciw Tatarom, a na pomoc Polski. Nie mogli więc opuszczać kraju swojego.

Nie można twierdzić iż rycerstwo w Polsce nie było, dla tego, że nieznano go na Zachodzie, zawsze obojętnym na sprawy nasze; i na Wschodzie, gdzie tylko imiona Hiszpańskich, Francuzkich, Angielskich bohaterów obudzały trwogę. Mimo to, rycer-

stwo od najdawniejszych czasów było u nas. Wiadomo że Bolesław Krzywousty był na Rycerza pasowany. Czesi dowodzą że go na ten dostojny stopień, pasował król ich Brzetysław, nasi zaś historycy dodają że i własny ojciec jego Herman. Poprzednio, bo jeszcze w początkach XI wieku, Dytmar Kronikarz Niemiecki podaje, iż Cesarz Henryk II wyprawił wielką ucztę dla Bolesława W. aby go sobie zjednać i że na tej uczcie, nie tylko dostojnego gościa obsypał rozmaitemi darami, ale syna jego Mieczysława pasował także na Rycerza.

Naturalnie w Polsce, w której nie było feudalizmu, gdzie nawet monarchizm rozwinać się niemógł, rycerstwo nie było w taki sposób uorganizowane jak w Niemczech; gdzie rycerze razem byli dworzanami przysięgłemi władzy, — a jako znak wierności i poddaństwa nosili łańcuchy złote na szyi. Rycerstwo w Polsce nie było jak tam osobnym stowarzyszeniem, do monarchy tylko, do jego rozporządzenia należącym; byli to raczej obrońcy kraju odznaczający się mężstwem i poświęceniem. Rycerze złotój ostrogi tylko, (zwani Equites Aurati, *Kawalerowie złoci*) zbliżeni więcej byli do rycerzy niemieckich. Przystępowali oni



do tego zaszczytu wśród wielkiej okazałości; był to bowiem zwyczaj jeszcze za Chrobrego znany, iż król nazajutrz po koronacyi, w okazałym stroju, przy znakach godności swojej, zasiadłszy wśród orszaku dworzan na tronie wystawionym na rynku Krakowskim, odbierał przysięgę od miasta Krakowa, po czém wybierał kilku lub kilkunastu, stósownie do woli swój, młodych mieszczan, niekiedy nie z samego Krakowa będących, i tych mianował rycerzami złotój ostrogi, w widokach iż bronić będą miasta i zamków królewskich. Przy tém mianowaniu uderzał ich końcem pałasza po ramieniu. Kazimierz W. dał pas rycerski Prandocie Gałce. W. Jagiełło obdarzył *haltheo militari* Zbig. Oleśnickiego, który téj przepaski nie przyjął. Zyg. August passował brandeburczyka Albrechta Fryderyka 1569 r. na rycerza.

Rycerzy niemieckich tylko panujący miał prawo tworzyć; na rycerza w Polsce, ojciec własny passował.

Rozmaite ćwiczenia rycerskie u nas bardzo były znane i naturalnie że naród tak bitny, tak ochoczy, prznosił takie rodzaje zabaw i rozrywek nad inne. Górnicki opisuje gonitwy na weselu Zygmunta Augusta z Katarzyną Austryacką. Pozwalamy sobie opis téj zabawy dosłownie umieścić.

„Były potém gonitwy na Zamku: gonił Zygmunt Wolski miecznik, z Kieżgalem zacnym szlachcicem litewskim, w gończych na ostre i meźnie się spotkali z sobą. Gonił Kosmowski z koniuszym księcia pruskiego hołdownika Polski. Był turniej konny, w którym było par dwadzieścia cztery z tarczami i z pierścionkami, groty w kopii. Po tych na Zamku gonitwach, były znowu w mieście na rynku gonitwy, w kolczych zbrojach, gdzie było każdemu wolno (by tylko zachował się podług artykułów, które na wrotach w Zamku przybite były) przyjechać i gonić z tym ktoby się na placu stawił: tak, iż drugiemu i z dwiema i z trzema uderzyć się przyszło, raz po raz, niż na drugą stronę dobieżał. A iż w zawartych hełmach gonili, miał każdy na hełmie znaki. A król z królową i wszystkimi gośćmi z ganku wysokiego, który na to był uczyniony; patrzył, mając przy sobie klejnoty, które gońcom wystawione były. Największy dank otrzymał rycerz mający na hełmie trzewik białołoski. Wtóry klejnot wziął Kosmowski dworzanin, osobliwy goniec, który w gonitwie na Zamku goniąc na ostrze z wyżej wspomnianym koniuszym dank odniósł. Insi zaś gońcy to nasi polacy, to Niemcy, prusacy, drogie klejnoty odnieśli: to jest wieńce z pierścieni, którym zaraz z ganku król sam jak sędzia dzielności każdego, posyłał z pochwałą.”

Nie pierwsze to i nie ostatnie wspomniane w dziejach naszych gonitwy, czyli tak zwane w owych czasach turnieje. Wyprawiali je nie tylko w dworskich uroczystościach, ale niekiedy i u wielkich panów jak np. na zaślubinach Jana Zamojskiego z synowicą Batorego Gryzeldą.

Ale wróćmy się do Rycerza dawnego. Wiadomo czém była w owych czasach chęć sławy, jakaś nieledwie potrzeba odznaczenia się bohaterskimi czynami; nie dziwmy się więc że Zawisza Czarny ulegając jej, udał się na dwór cesarza Zygmunta i tam czas jakiś bawił, gdyż Zygmunt nieograniczoném obdarzał go zaufaniem. Wysmukła kibić pięknego młodzieńca, dobrze się rysowała w czarnej zbroi, którą lubił nosić i od której dostał przydomek *Czarnego*. Rycerz polski całego dworu uwagę na siebie zwracał, wszystkie kobiety pragnęły mu się podobać. A przy ujmującej powierzchowności łączył szlachetność, dzielność i prawość. Powstało przysłowie z powodu tego: „Polegaj jak na Zawiszy.”

Pomimo tak wielkich powodzeń na dworze Zygmunta, młody rycerz nie dał się olśnić łaskami i darami tego monarchy. Skoro postrzegł, nieszczerze jego postępowanie z królem polskim Jagiełłą, a nadto dowiedział się, że się w Polsce do wojny z krzyżakami gotują, porzucił świetny dwór, zaszczyty i dostojęstwa by do swego kraju pospieszyć. Naśladowała go inna młodzież polska na dworze Zygmunta zostająca, i wróciła z nim razem. Pomiedzy tą byli dwaj bracia Grabowscy, Kalski, Dobek, Małski, Puchała, Bragłowski i Skarbek. Mile przyjął Jagiełło powracających rodaków, a że wkrótce ruszał na sławną z krzyżakami bitwę pod Grünwaldem, w dowód zadowolenia i zaufania, powierzył Zawiszy pierwszą królewską chorągiew, z czego młody rycerz jak najwaleczniej się wywiązał. Król ceniąc w Zawiszy nie tylko meźtwo ale i we wszystkich sprawach roztropność, nie raz go w poselstwie wyprawiał do innych monarchów. Wtedy właśnie nieszczęśliwy Huss uległ błędnym zasadom słynnego Wiklefa. Długo, jako gorliwy katolik, rektor uniwersytetu, trzymał się zakazu, nie chciał brać do ręki pism odszczepieńca angielskiego, jakby przeczuwał że w nich wysie truciźną od której sam zginie, a kraj swój na długie zataрги i rozlew krwi narazi; lecz w końcu namówiony przez przyjaciela, wziął się do czytania sławnego wówczas Wiklefa i zdanie jego podzielił. Na zjazd na którym o losie Hussa radzić miano, Jagiełło także wysłał poselstwo, które Zawiszy powierzył. Po wtórnie Huss do tłumaczenia się wezwany, był-



by może znów nie stanął, gdybynie zapewnienie cesarza Zygmunta że go nic złego nie spotka. Gdy potem Zygmunt okazał się surowszym niż sąd duchowny w sprawie Hussa; jeden Zawisza śmiało wystąpić w obronie jego, przekładając Zygmunto- wi, że kiedy dał Hussowi list bezpieczeństwa, powinien słowa dotrzymać. Pomimo że prawy nasz rycerz był oburzonym na tak szkaradny postępek Zygmunta; gdy Turcy jednak naszli Państwo jego, a on Zawiszę usilnemi prośbami wzywać począł; nie umiał się oprzeć gorliwy obrońca wiary i pospieszył stanąć na czele wojsk cesarskich, ażeby muzułmanów odeprzeć. Potrzeby własnego kraju nie stawały mu na przeszkodzie, gdyż pokój z krzyżakami zawartym został.

Wystąpił Zygmunt do walki z ogromnym wojskiem, mimo to jednak przeszedłszy już Dunaj, cofa się nagle: strwożyły go tureckie zastępy, zdawało mu się niepodobnym podolać tak dzikięj, wrzaskliwej tłuszczy, i umyślił stanąwszy obozem po za Dunajem czekać z ich strony napadu. Lecz Zawisza spieszący na przód nie postrzegł manewru Zygmunta i dalej się posunął. Niektórzy twierdzą że to był czyn zdradziecki ze strony cesarza a przynajmniej niewdzięczność, niedbałość dla bohatera: toby tylko jedno mogło zbijać ten zarzut, że prosty własny interes nakazywał Zygmunto- wi oszczędzać walecznego i umięjącego prowadzić wojsko rycerza. Wolimy więc pójść za dziejopisarzem twierdzącym, iż skoro Zygmunt spostrzegł że niema naczelnego wojownika, że sam prawie przed hufcem nieprzyjaciół pozostał, natychmiast wyprawił po niego łódź chcąc go sprowadzić, lecz to już niepodobnym było: rycerzowi tak blisko nieprzyjaciela znajdującemu się, zdawało się hańbą uciekać. Oburzony, rozżalony na tak nie rycerski postępek Zygmunta, uważając uchronienie się od śmierci niepodobnym, chciał przynajmniej aby Turcy drogo śmierć jego okupili; puścił się więc w nieprzyjacielskie szyki jak lew razem z dwoma towarzyszymi swemi, lecz wkońcu otoczony przez Turków, gdy mu już sił do walki nie stało, pochwyconym został. Poczeli się kłócić między sobą muzułmanie ktoby tak wielką zdobycz Sultanowi złożył, a gdy kłótnia coraz większa pomiędzy nimi powstawać zaczęła, umyśliли zniszczyć tę kość niezgody i rzuciwszy się nań wszyscy, rozsiekali go na miejscu. Żal był wielki po zgonie pięknego, walecznego rycerza, o którym Orzechowski zaświadcza, że był: „hoży w postaci, okazały w rynsztunkach wojennych zbroi i koniach; grzeczny, zalotny z płcią piękną,

hojny w darach, w ucztach wspaniały i do zuchwałości śmiały; kraj swój kochający nad wszystko.”

Jest zdaje się ślad pewny że zgon bohatera nie pozostał bez uczczenia pamięci jego; w kościele Franciszkanów w Krakowie znajdował się nagrobek z napisem łacińskim wyrażającym: *Oreż twój błyszczy, lecz kości twoje nie tutaj spoczywają o Zawiszo czarny!*

Rzecz dziwna i smutna razem, że nie pozostało szczegółów z prywatnego życia tak znakomitego wieku swego rycerza. Wiadomo tylko że pojął był za żonę Barbarę synowicę biskupa Krakowskiego Wisasa; lecz w jakim czasie ten związek nastąpił, jaki los spotkał młodą wdowę? niewiadomo.

Zawisza rodził się w starym zamku ojca swego starosty Spiskiego. Spizka ziemia w południowej części podgórze leżąca, jedną stroną szczytów Karpat dotyka, z kąd płyną Dunajec i Poprad, obfituje w ogromne lasy w których niedźwiedzie, wilki, dziki znajdują się. Wśród wyniosłych gór, Karpaty w tej stronie są najwyższe bo 7338 stóp nad powierzchnię Bałtyku wznoszą się; są piękne tu doliny, rodzajne grunta, rzeki ryb pełne.

Dawną stolicą starostwa Spizkiego było miasto Lubowne; oprócz niego należały i inne, jako to: Podoliniec, Gniazdo czyli Kniszyn, Bella, wyższy Rausenbauch, Lubica, Maciejowce, Wielka Sobota Spizka, Podbrad, Strasza, Werbowo, Twarosa, Kusinowce, Nowa wieś, gdzie się znajdują kopalnie miedzi i żelaza. Podbrad pod zamkiem Spizkim leżące (Warallja) bardzo ładne i sławne niegdyś jarmarkami miasteczko, i Włoska miescina. Widzimy po wymienionych tu miastach jak rozległa i zamożna była ziemia Spizka. Razem ona z dziedziną słowiańską zakarpacką, po wschodnią odnogę Dunaju a zachodnią Cisawy należała, jeszcze za Bolesława śmiałego, do Polski. Najpierw oderwali ją Węgry, kiedy podczas bezrządu i oddalenia się tego króla, wpadli i zakreśliwszy sobie granicę u szczytu Karpat, zajęli całe starostwo Spizkie. Ciągłe wojny, najazdy od wschodu, zachodu, północy, nie dozwoliły upomnieć się o zwrot granic na południu. Za panowania Jagielly 1412 roku Zygmunt król Węgierski i razem Cesarz Rzymski, pożyczył u króla Władysława polskiego 40,000 kop. groszy Pragskich i dał mu w zastaw ziemię Spizką. Traktowano parę razy o tę ziemię lecz gdy pieniędzy nie było, zatrzymano zastaw; później już wzmianki nie było ani o zwrocie pieniędzy, ani o oddaniu ziemi. Cesarzowa Marya Teresa kazała ziemię najechać a w 1772 roku do Węgier przyłączyć. Sejm 1773 roku zajęcie ziemi Spizkiej ratyfikował. Lecz



naród nie upoważnił sejmujących do ratyfikacji; i przeciw temu zabraniu i innym najazdom z orężem w rękę protestował.

Tak oderwaną i straconą została piękna, bogata ziemia, należąca niegdyś do znakomitych naszego bohatera ojców, a pierwój niż ona, zaginął zdaje się ród jego, to jest linija prosta z której pochodził. Gdyż lubo nie na nim kończy się sława imienia tego, lubo wielu Zawiszów odznaczyło się w usługach dla kraju, zdaje się jednak że linija Zawiszów herbu Sulima zagasła zupełnie. Nie wiadomo czy należącym był do tejże rodziny Zawisza Roehczyc, także odznaczający się pięknnością i walecznością rycerz, kawaler Jerozolimski, który, jak mówią dawni kronikarze Bielski i Niesiecki wzmiankując o historii Czeskiej, poślubił matkę Wacława króla Czeskiego,

na tron Polski obranego. Gdy ten monarcha udał się do Ziemi świętej, matka jego Jagnieszka regentka państwa, uderzona pięknnością i godnością Zawiszy, oddała mu swą rękę; syn wróciwszy, acz urażony za ten postępek Zawiszy, przez miłość dla matki przebaczył mu i do wielkiej wyniósł godności. Po śmierci królowej Jagnieszki, nową miłością i dumą wiedziony Zawisza, zniewolić zdołał serce siostry króla Węgierskiego, i lubo już Bogu poślubioną była, oddała mu jednak swoją rękę.

Zawiszowie Litewscy, o których tyle wzmianki w historii panowań rozmaitych, w historii wojen a nawet w historii piśmiennictwa, znaleźć można, zupełnie inną rodzinę Zawiszów stanowią, nie należącą wcale do rycerza noszącego przydomek *czarnego*, herbu Sulima.

## JAN GUTTENBERG

### I SZTUKA DRUKARSKA W OGÓLE A W SZCZEGÓLNOŚCI W POLSCE.

#### I.

Biblioteka Krakowska posiada obrazki świętych z podpisami głosek wybijane 1425 roku. Ten sposób odbiteków xylograficznych (czyli drzeworytniczy), używany dawniej do wyrabiania tylko kart i obrazków, mógł istotnie naprowadzać pierwszych wynalazców na odkrycie sztuki drukarskiej, która wprawdzie zupełnie jest czém inném, ale podobieństwo ma do druków najpiérwszych.

Z téj analogii powstały spory co do pierwszeństwa wynalazku druku. Niezawodna rzecz wszakże, iż najwięcej w tym zakresie pracował i najwięcej zasług położył Jan Guttenberg, urodzony około roku 1405, zmarły w 1468 r. Jego więc słusznie zowią wynalazcą druku, choć i kilku innych spółcześnie do ulepszeń w tym względzie wiele dopomagało.

Szlachcic moguncki (mający na czerwonym polu złotego Franciszkana w herbie) *Henne*, to jest Jan Guttenberg, (syn Friele) trudnił się z początku wyrzynaniem pieczęci i szkieł. Czesi, wyprowadzając ród jego ze słowiańskiego plemienia, z Kutnejhory. Utrzymują, pewnemi potwierdzając dowodami, że się

zwała z początku rodzina jego Kutnohorskiemi. A że panował wtedy zwyczaj w całych Czechach, zrodzony koniecznością, przemieniania swych nazwisk na niemieckie, przeto i ojciec lub dziad wynalazcy druku, przetłumaczył swe nazwisko na niemieckiego Kutenberga. Przez jednakie, a przynajmniej bardzo blisko-znaczne brzmienie głosek K. i G. przeszedł z czasem Kutenberg na Guttenberga <sup>1)</sup>.

Od roku 1434, bawiąc Guttenberg w Strasburgu przemyśliwał nad swym wynalazkiem, a że nie miał tyle zasobów pieniężnych, jakich wymagają piérwsze próby, zavezwać musiał do spółki Jędrzeja Hejlmanna i Jana Riffa. Jan Duehne złotnik pracował z Guttenbergiem nad czcionkami, które nasz słowianin pragnął uczynić ruchomými, rozpiłowywując najsamprzód z tablic xylograficznych pojedyncze głoski. W r. 1438 Konrad Saspach zrobił już był tłocznię, gatunek najpiérwszej prassy, która, o ileż musiała

<sup>1)</sup> Patrz artykuł Jarosława Wiertiatko w piśmie: *Właściwości* (Patryota, 1840) oraz w *Kwétach*, dzienniku czeskim N. IV z 1840 r.



być prostszą od naszej dzisiejszej prassy pośpiesznej!

Ale spółka nakładowa z pięciu różnych osób złożona, nie mogła długo zostawać w zgodzie z powodu interessów pieniężnych. Guttenbergowi od r. 1436 już brakowało grosza i z téj niemożności zaległ w opłatach Janowi Duehn'emu, (zwanemu od niektórych Drizelmem) który go ściagał przymusem prawnym od roku 1439, tak dalece iż w lat kilka rozierać się musiała spółka, wielkie w nadziei mająca korzyści, ale w początkach potrzebująca samych tylko wielkich nakładów. Przyciśniony koniecznością Guttenberg, po rozwiązaniu spółki 1443 roku przeniósł się wkrótce do brata stryjecznego Orta Guttenberga Zum Jungen do Moguncyi i tam osiadł w r. 1444, zmuszony znowu kogoś przyjąć do spółnictwa nakładowego. Ale teraz był na pozór szczęśliwszym w wyborze, bo znalazł bogatego mieszczanina mogunckiego Jana Fust albo Faust. Ten ostatni przypuścił jeszcze do interessu zobopólnego w roku 1450 Piotra Schoyfera (Opilio) czyli Schaeffera, który później wynalazł czcionki lane, w miejscu odcinanych z tablic xylografijnych, i przeto nieforemnych głosek Guttenberga. Szeffer właściwie trudnił się kaligrafiją, i przed rokiem wrócił z Paryża: był więc bardzo wynalazcy potrzebnym do dawania abrysu głosek, do poprawienia stemplów (patronów, ponsonów, patrice, bunzen) i wpadł wreszcie na myśl wynalezienia matryc, z których podziś dzień odlewają się czcionki drukarskie.

Jak więc wprzódy odbijano księgi samými tylko tablicami z wyrzynanými literami, czyli xylografiowano, tak teraz jednocześnie, poczęto i drukować czcionkami ruchomemi i zarazem odbijać drewnianými tablicami, sprzedając te ostatnie roboty za rękopisma.

Mamy tym sposobem wytłoczoną najpierwszą Bibliję, zwaną pospolicie Moguncką, i Bullę Papieża Mikołaja V wzywającą na ratunek Cypru w r. 1454. Około tegoż czasu, kiedy pracowano nad odbitkami Psalterza, ów drugi związek handlowy znowu się rozwał. Szeffer, ożeniwszy się z Krystyną Faustówną, namówił snać teścia, aby przymusić Guttenberga do wypłaty należnych odeń dwóchty sięcy czerwonych złotych, summy naówczas nadzwyczaj znacznej.

W roku więc 1455 wywłaszczono Guttenberga z posiadania drukarni, a na psalterzu skończonym w lat parę, do którego rozpoczęcia należał i Guttenberg, podpisali się tylko: Fust i Schoiffer A. D. 1457 in vigilia Assumptionis. Jest to najpierwsza księga wy-

dana z oznaczeniem miejsca i drukarzy. Na parę lat bowiem wcześniejsza *Biblia latina* Guttenberga in folio, niema żadnego podpisu ani Moguncyi, ani Drukarni. Odbita gotykiem we dwie kolumny czyli we dwa słupy. Całość mieści się we dwóch częściach, mających stronnic 324 i 317. Pismo czytelne, na pergaminie, na welinie, i na papierze pośledniejszym, z wyzłacaniem początkowych głosek (*initialia*) i kolorowaniami. Zaczyna się od listu Śgo Hieronima; czerwónemi literami wytłoczone, a raczej ręcznie illuminowane trzy wiersze początkowe przytaczamy:

Incipit epistola sancti Hieronimi ad  
Paulinum presbiterum de omnibus  
divinae historiae libris capitulum pm̄

W pierwszych bowiem drukach, zostawiano głoski początkowe wcale na prassie nie odtłoczone, i dopiero później odręki, najczęściej kolorowo lub złotem je dorabiano. Na exemplarzu znajdującym się w bibliotece paryskiej (Cesarskiej), podpisano spólczesnym charakterem, iż był kupiony, kolorowany i oprawiony w sierpniu 1456 r., a zatem wkrótce po wyjściu.

Gdy Guttenbergowi nie powiodła się spółka i raz drugi—wtedy, znalazłszy opiekę w elektorze mogunckim Adolfie, a co najwięcej w przyjacielu Konradzie Homerym czyli Humbrechcie, począł dalej drukować książki, ale bezimiennie jak i dawniej np. Catholicon Jana de Janua i t. p. Humbrecht, chociaż był przyjacielem dającym na koszt założenia drukarni, ale jednak warunek położył, iż po śmierci Guttenberga, cały zakład będzie należał do niego lub jego następców, Jakoż od roku 1468 przeszła drukarnia do Humbrechta i kierował nią Bechtermintze, uczeń Guttenberga, który pod nim pracował — i po jego imieniu rozeznawać można druki guttenbergowe.

Jednocześnie z Guttenbergiem, w owéj drugiej z kolei drukarni, czyli właściwie mówiąc owými aparatami sporządzonými pomysłem i pracą Guttenberga, odbijali księgi Fust (zmarły dopióro w 1466 roku) i Schoeffer, ale te dzieła rozróżnić łatwo, bo się na nich właściciele odebranéj drukarni podpisywali.

Tymczasem sam główny wynalazca sztuki drukarskiej, po założeniu trzech innych fabryk książkowych, musiał w nich bezimiennie odtłaczać dzieła, bo pracował za grosz cudzy, w drukarniach z obcej łaski założonych. Długi czas nawet chciano mu odebrać i słuszną sławę pierwszego odkrywcy druku. Tak to i najjenialniejsze nieraz pomysły, nie wsparte owém bożyszczem złota, które od tylu wieków na ziemi panuje, nie tylko że nie mogą być braciom-bliźnim pożyteczne, ale często nawet albo giną bez urzeczy-



wistnienia, albo chwałę pierwszeństwa utracają, po największej części dla tego, że ludzie przemożniejsi, mając środki wykonania, przypisują zarazem i myśl czynom, które najczęściej dopełniają za nich inni pracownicy i myśliciele.

Ale jeżeli niekiedy błądzi terażniejszość, zwykle potomność daleko sprawiedliwszą bywa. Tak się stało i z Guttenbergiem. Bił się za życia z przeciwnościami losu; niemógł nawet drukarni na imie własne założyć, choć był i wynalazcą i twórcą trzech najpierwszych księgotłoczni.

Tymczasem po upływie IV wieków wdzięczni potomkowie, wzniesli mu pomnik, obchodzili publicznie w większych Europy miastach pamiątkę czterechsetletniej rocznicy wynalazku jego — i na cześć jego wydali przepyszne Album (znane pod mianem Guttenberga) w którym imieniu i człowiekowi z Kuttnejhory we wszystkich językach składano uwielbienia i zapisywano pamięć jego, czcionkami wszystkich narodów europejskich, na późne stulecia.

W pomienioném Album, z nadzwyczajnym przepychem wydaném, znajduje się i trzy ustępy po polsku skreślone, pomiędzy któremi zasługują tu na wzmiankę poezye Wincentego Pola, i ś. p. Edmunda Wasilewskiego. Meermann wydał dzieło o wynalezieniu sztuki drukarskiej, w którym pierwszeństwo odkrycia tłoczenia ksiąg przyznaje holendrowi Wawrzyńcowi Janson Koster, który był zakrystyanem w Harlem w połowie XV stulecia. Twierdzenie to oparto na przypisku do książki pod tytułem: „Augustinus, de Vita Christiana et de singularitate clericum.” Na końcu tego dzieła, kalligraf, to jest przepisywacz ksiąg przed wynalezieniem sztuki drukarskiej; niejaki Ulryk Zell z dyecezyi mogunckiej kopiista, a następnie pierwszy drukarz w Kolonii, miał dopisać że

Kornel, introligator Wawrzyńca Zakrystyana, mówił mu o Janie rzemieślniku, który ukradłszy czcionki ruchome i narzędzia drukarskie, zbiegł z Harlem.

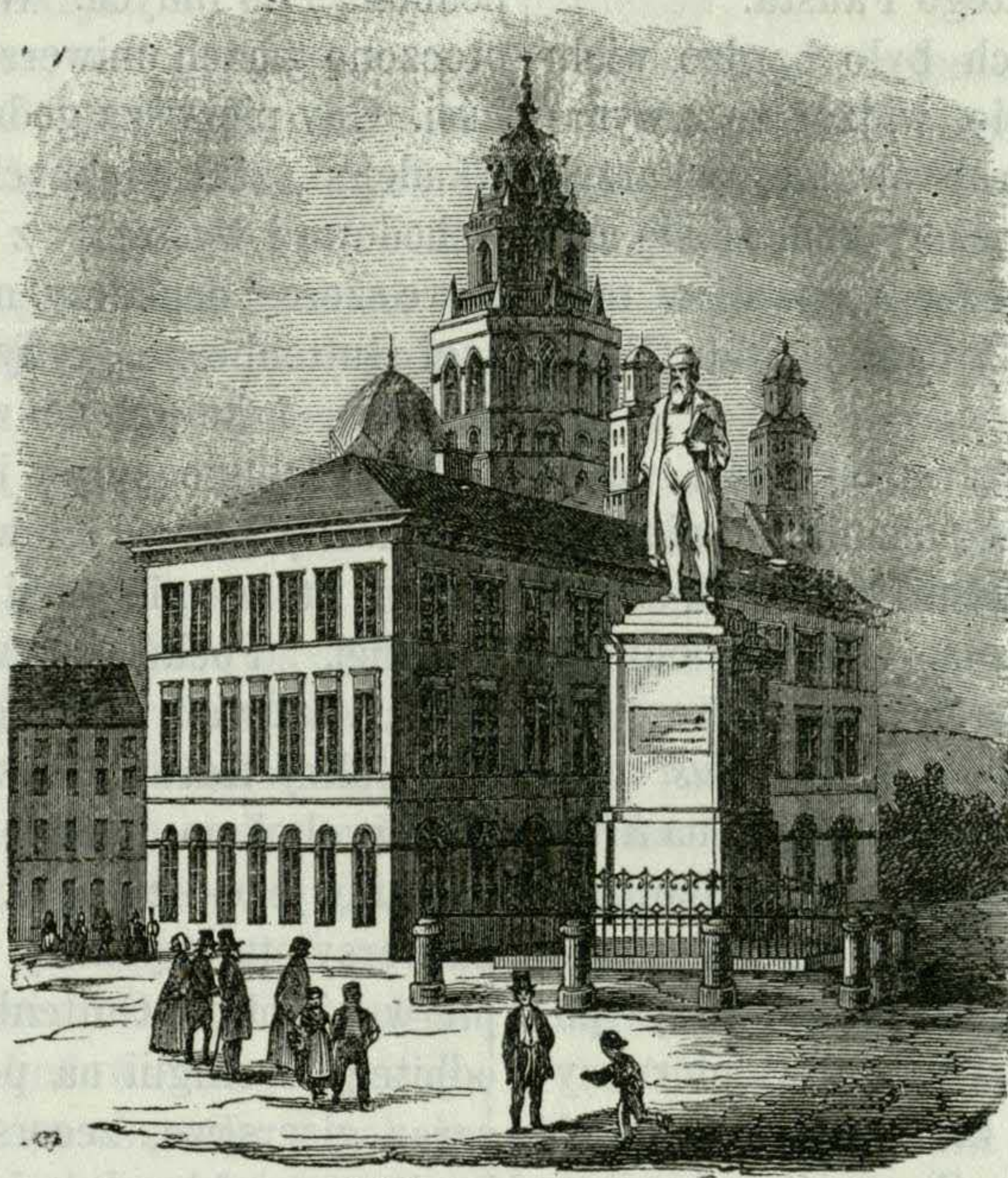
Ów zakrystyan, po r. 1440 miał wydać ze swęj drukarni. „Wojny Aleksandra Wielkiego, o Naśladowaniu Chrystusa Pana przez Tomasza z Kempis” i t. p.

Jan zaś czeladnik, zemknąwszy przez Amsterdam i Koloniję do Moguncyi, miał wydrukować tamże w ciągu roku: „Alexandri Galli doctrinale; — Petri Hispanii tractatus; — Grammatica i t. d.

Inni znowu twierdzą (jak np. Doktor paryski Jakób Mentel w dziele: „De vera typographiae origine”) że w Strasburgu żyjący około roku 1438 Jakób Mentel (protoplasta autora książki pod napisem: „o prawdziwym początku Typografii”) był pierwszym sztuki drukarskiej odkrywcą, który połączwszy się z będącym podówczas w Strasburgu Guttenbergiem, pracował wspólnie nad jej udoskonaleniem. To ostatnie mniemanie daleko jest prawdopodobniejsze od posądzeń hollendrów, mieniących Guttenberga złodziejem i zbiegiem.

Być może, iż jednocześnie z J. Guttenbergiem lub Mentlem, i Wawrzyniec Coster w Har-

lemie wpadł również na myśl wynalazku druku, bo *karty* znane były jeszcze 1376 roku, a obrazkowe arkusze z niejakimś krótkim tekstem, odbijane były około r. 1430 <sup>1)</sup>. Te więc wyobrażenia świętych z pod-



Pomnik Guttenberga w Moguncyi.

<sup>1)</sup> Znajdujemy najwyraźniejsze ślady w starożytnych pisaarzach, iż głoski ruchome od wieków znane były, jednakże nikt nie wpadł na sposób ich zastosowania, jak wynalazcy druku. Czytamy w Księdze I, roz. I. Kwintyliana, iż ze słoniowej kości głosek używano u Rzymian dawnych do zabawy dla dzieci. Potwierdza toż samo i Platon w Księdze Praw. Ale z umysłem ludzkim i zastosowaniami, bywa toż samo co z owém sławném jajkiem Kolumba: podobna historia ciągle się powtarza!



pisami, zarówno mogły stać się wszystkim trzem, to jest Mentlowi, Guttenbergowi i Kosterowi powodem do robienia podobnych tablic zdatnych ku wyciskaniu książek. Ale to dopiero pierwszy okres drukarstwa, któryby można nazwać zarodkowym. Guttenberg występuje świetniej w drugim okresie, rozwojowym, który stanowi ruchomość czcionek. Trzeci okres, doskonalszy od dwóch poprzednich, należy się Szefferowi, wynalazcy odlewanych czcionek, i massy czyli pierwszej farby drukarskiej. Przed nim mieli się ukrywać i Guttenberg i Faust; ale on ich w części podglądał, i pochwywszy myśl pierwszą, podolał ją udoskonalić. Za ten spryt wynalazkowy, zyskał sobie za żonę córkę bogatego Fausta.

Przepisywacze dzieł, których było bardzo wielu z tego jedynie utrzymujących się, widząc że z wynalazkiem druku, ustanie ich zarobkowanie, oskarżyli Fausta o czary. Tém łatwiej pozory znaleźć się mogły, że Faust, Guttenberg i Szeffer ukrywali w tajemnicy wielkiej swe odkrycia. Z tego powodu Faust musiał aż opuścić miasto.

Odtąd Faust, uważany za czarnoksiężnika, przeszedł do późniejszych czasów w podaniach ludu jako figura mityczna. Niektórzy nawet utrzymywali, iż nasz Twardowski, jest tą samą istotą. Kraków bowiem w owych czasach do najpierwszych miast Europy należał—i nicby dziwnego nie było, gdyby *Fust* miał z dzisiejszej Hessyi nie tak zbyt odległej, aż na *Krzemionki* w czasie prześladowań zawędrować. Bądź-co-bądź, snadź z powodu tajemniczości, jaką okrywano wydobywającą się z pieluch sztukę drukarską—powtórzyły się i baśnie, i zazdrości pomiędzy pierwszymi pracownikami, i owe mgły, których dziś rozjaśnić nie potrafią najsumienniejsi i najbardziej szperający badacze.

Śród tych więc zagmatwań, wydobyto jedną główną istotę, z najważniejszego okresu tworzenia się sztuki, to jest Guttenberga. Na jego skronie włożyła potomność wawrzyny należne odkrywcy, o które dobijano się ze stron kilku. I najprawdopodobniej Guttenbergowi owa cześć słusznie się należy, bo go prześladowały za życia nędza i bezimiennosc, owe dwie smutne i zwykle nie odstępne, pierwszych wynalazców, towarzyszkę. Inni jego spółnicy, jaknajlepiej pod względem materyalnym na jego wynalazku wychodzili, gdyż sprzedawali pierwsze druki za rękopisma, których ceny były wtedy nadzwyczaj wyso-

kie. I tak np. rękopism (ale nie własnoręczny) Liwiusza kosztował talarów złotych 120, a Plutarcha kopia, takichże talarów 70. Król francuski Ludwik XI gdy pragnął pożyczyć z biblioteki Fakultetu lekarskiego dzieło lekarza arabskiego Rhazego Mohameda Ben Zacharyi (tłumacza Arystotelesa) musiał nie tylko podpisać akt urzędowy z kaucją, że odda księgi na czas oznaczony, ale jeszcze wzięto w zastaw od niego, nie zważając iż był monarchą, wielką liczbę sreber stołowych.

Z pomiędzy uroczystości obchodzonych na pamiątkę czterechsetletniej rocznicy wynalezienia druku, opiszemy odbytą w Berlinie, która mniej-więcej była podobną i do innych. W dniu 25 września 1840 r. otoczono gmach uniwersytecki wieńcami z dębowych liści. Gdy pierwsza godzina na przyległym zegarze Akademii sztuk pięknych wybiła, otworzono bramę wchodową i wystąpiły z muzyką na czele sześciordowe szeregi drukarzy, niosących swą chorągiew, posągi Guttenberga, gryfki trzymające poduszki z czernidłami, i księgi ze złotymi nadpisami lat 1440 i 1840. Długie sploty jednego wieńca wawrzynowego unosiły po nad głowami swemi ręce tych wszystkich, którzy nie mieli głównych godeł sztuki drukarskiej. Pochód ciągnął się przez ulice pod Lipami, Ludwiki, aż do gmachu ćwiczeń wojskowych przy ulicy Karola, w którym miano stosowne mowy i wychylono kielich za postęp druku a zarazem i wyniku jego—oświaty. Wkrótce otwarto w salach uniwersytetu wystawę z ksiąg, poczynając od najpierwszej biblii Guttenberga, aż do Pisma świętego odbitego w Anglii na porcellanowym papierze. Tuż zaraz giserstwo, zecerstwo i presserstwo na poczekaniu przy widzach wykonywane, składały się na odbijanie broszurek o postępie druku, rozdawanych powszechności z dodaniem czcionki G. na której boku data obchodu wyżłobioną była. W szeregu ksiąg wystawujących dzieje tłoczni, oglądano i dzieło naszego rodaka Mateusza z Krakowa (*Ars moriendi*) odbijane przez Guttenberga, z drzeworytami kolorowanymi, oraz sławną Bibliję w Brześciu litewskim drukowaną, na której wydanie jeden z Radziwiłłówłożył ogromne summy, a drugi jeszcze większe na jej zniszczenie. Nie było tam wszakże druków Fiola, Świętopełka, Zajnera Cracis, Hallera, Vietora i t. p. krakowskich, o których później powiemy.

S.



## SPRAWOZDANIE POPULARNE

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH I PRZEMYSŁU.

### V.

Jednym z najciekawszych owoców szczęśliwej myśli i wytrwałej pracy, jest sposób pochycenia tonów muzyki i wszelkiego rodzaju dźwięku lub głosu w formy rysunkowe stałe i wyraźne, odkryty i doprowadzony do stopnia praktycznej dokładności, przez pana Leona Scott, korektora od lat dwudziestu w jednej z drukarni francuzkich.

Odkrycie Scotta jest może pierwszym krokiem na drodze do rozwiązania zadania żeby *słowo samo się pisało*. Postaramy się na teraz dać czytelnikom wyobrażenie o granicach, w jakich autor pomieścił swoje odkrycie.

Pomimo wytrwałych prac kilku już pokoleń gorliwych teoretyków, bardzo mało dotąd wiemy względem mechanizmu głosu, względem warunków akustycznych mowy. Co to jest naprzykład dźwięk instrumentów muzycznych lub głosu? Co wpłynie drgającym, przenoszącym głos, stanowi brzmienie głosek? Nikt dotychczas nie potrafi rozwiązać tych pytań w sposób dający się doświadczeniem stwierdzić i objaśnić. Dziwna rzecz! pierwotna budowa wszystkich języków, ich szczególne harmonije obracają się około fenomenu głosowego, a to zjawisko w wielu jeszcze swoich częściach jest nam najzupełniej nie znane.

Bylibyśmy jednak bardzo niesprawiedliwi, gdybyśmy tę próżnię w naszej wiedzy przypisywali brakowi dość gorliwych usiłowań naszych współczesnych lub dawniejszych uczonych. To, co oni zdobyli na polu akustyki, jest owocem niesłychanych trudów i zasługuje na największą naszą wdzięczność. Doszliśmy już na tej drodze do liczenia i mierzenia ruchów tak niesłychanie szybkich i tajemniczych że zmysły nasze bezpośrednio dostrzedz ich nie są w stanie. Ale postęp nauk fizycznych spoczywa często dla braku narzędzia, któreby pozwoliło uważać warunki i kolejne przemiany stanu zjawisk przyrody. Gdyby naprzykład nie odkryto potężnych teleskopów i lunet, astronomija pozostawałaby dotąd w kolebce.

Długo niedostawało nam narzędzia do uważania

zjawisk głosowych; p. Scott jak się zdaje się wynalazł to narzędzie; sądzi on że można zmusić naturę do utworzenia wspólnego pisanego języka wszelkich dźwięków.

Samo przedstawienie tego założenia daje nam wyobrażenie o niezmiernych, zniechęcających trudnościach jakimi ono jest otoczone. Co to jest głos? Ruch czasowy powietrza wywołany przez użycie naszych organów. Ten ruch jest niesłychanie subtelny i zawikłany; subtelność ta jest tak wielka, iż jeśli mówimy w pokoju ciemnym, do którego światło słoneczne dochodzi tylko małym otworem, najdrobniejszy pył zawieszony w powietrzu, którego cząsteczki widzialne są na linii światła, od głosu mowy naszej nie doznają żadnego widzialnego wpływu któryby je poruszał. Z drugiej strony ten ruch subtelny jest tak szybki że w jednej sekundzie odbywa się sześć i siedmset drgań dla wydania niskiego tonu.

Jakże tu pochycić zarys wyraźny i dokładny takiego ruchu od którego najdelikatniejszy włos nie zadrgnie?

Gdyby można na powietrzu które wydaje skutek głosu przez niesłychane szybkie drgania, położyć pióro, lub ołówek, to pióro lub ołówek nakreśliłoby pewny rysunek na podstawionej płynnej powierzchni. Ale jakże znaleźć punkt oparcia dla tego pióra, jak je osadzić na tym płynie niedotykalnym, niewidzialnym? Rozpatrując się starannie w wewnętrznym składzie ucha ludzkiego, p. Scott znalazł środek rozwiązania tego tak trudnego zadania, i zbudowania przyrządu zdolnego przyjmować wrażenie dźwięku, i rysować je na płaszczyźnie.

Cóż bowiem rzeczywiście widzimy wewnątrz ucha? Najprzód kanał czyli przewód. Cóż ten kanał znaczy w akustyce i do czego służyć może? Pamiętne doświadczenie które winniśmy sławnemu dziekanowi francuzkiej akademii nauk, daje nam dokładne objaśnienie w tym względzie. Na początku bieżącego wieku, pewnej nocy, p. Biot znajdując się przy jednym końcu rury wodociągowej z lanego żelaza, długiej na



950 metrów (około 3300 stóp) mógł bardzo cicho rozmawiać z drugą osobą znajdującą się u drugiego końca téj tak ogromnej rury. Tak więc za pomocą długiego kanału stosownie odosobnionego od wszelkiego zewnętrznego ruchu i drgania warstw powietrznych, najłżejszy szmer głosu daje się w całości przeprowadzić przez największą nawet odległość. Kanał taki przenosi bez żadnej zmiany, bez najmniejszej straty falę głosową, choćby najbardziej powikłaną, z jednego końca na drugi, ochraniając ją od wszelkich przypadkowych wpływów mogących ją zakłócić; a jeśli kanał ten sam nie ulega drganiu, jeśli na drodze nie spotka się nic takiego co by na ruch drgań działać mogło, cząsteczki powietrza odbywać będą postępnie swoje ruchy pierwotne z całą czystością, wyrazistością i nateżeniem pierwiastkowym. Z tego widocznie pokazuje się, że mając kanał w kształcie lejkwatym, można go użyć do zbierania głosu w szerokim otworze i przesyłania go, bez żadnej zmiany, ku szczupłemu końcowi kanału.

Rozpatrujemy się dalej w uchu. Za kanałem słuchowym spotykamy delikatniuchną błonkę przez pół wyprężoną i nachyloną pod pewnym, kątem: jest to błona bębena. Czemże jest cieniuchna i niewyprężona błonka w téj budowie fizycznej? Jest-to według bardzo trafnej definicyi znakomitego fizyologa Müllera, coś mieszanego, pół stałego pół płynnego. Błona jest ciałem stałym przez swoją spojność, a posiada charakter płynu przez niezmierną łatwość zmieniania się położenia jej cząstek składowych. Ta błona kończąca kanał ucha posłuży nam na wzór do punktu oparcia jakiego szukamy dla pióra mającego kreślić rysunek brzmień.

Powiedzieliśmy powyżej, że dla zupełnego rozwiązania naszego zadania, potrzeba żeby pióro, oparte na płynie drgającym, którego jakoby ostatnią warstwę stanowić dla nas może błona lekko wyprężona, znaczyło swoje ruchy na ciele przez pół-płynnym. Rzeczywiście wszelki sposób zapisywania ruchów głosowych, któryby wymagał dla dania rysunku jakiegokolwiek użycia siły, dającego się ocenić materialnie, byłby niepodobnym do wykonania dla tego rylca niejako powietrznego. Tak więc powierzchnia czuła niepowinna przedstawiać żadnego oporu tym delikatnym naciskom.

P. Scott przeto wzięwszy ciało pół-stałe za czynnik piśmienny, użył ciała pół-płynnego za pokład do

pisania, a tém ciałem jest kopeć. Cienki pokład kopcium czyli sadzy w stanie przez pół-płynnym, umieszczony na jakimś ciele (metal, drzewo, papier, tkanina) posiadającym ruch postępną ciągłą, tak żeby utworzone na niem rysy nie wikły się jedne z drugimi, stanowi powierzchnię mogącą przyjąć rysunek wykonywany przez pióro.

Tak więc przyrząd użyty przez Scotta do otrzymania rysów graficznych głosu, składa się z kanału zakończonogo z jednej strony lejkwatem rozszerzeniem, które zbiera brzmienia głosu ludzkiego lub instrumentu muzycznego. Drugi węższy koniec lejka zamknięty jest delikatną błonką stosownie naciągniętą. Do niej przytwierdzony jest niezmiernie leciuchny ołówek albo rylec. Ten rylec, wprawiony w ruch przez drganie błonki, wywołane brzmieniem, kreśli sam kierunek swoich ruchów na papierze pokrytym sadzą delikatną i przesuwającym się równo i ciągle za pomocą mechanizmu zegarkowego. Rysy tak otrzymane dają się utrwalić i uwydatnić za pomocą fotografii.

P. Scott otrzymał już wielką liczbę figur przedstawiających drgania głosowe, z których najprzód przekonywamy się o odmiennej postaci graficznej na przykład akordu doskonałego (tonika, tercja i kwinta) wziętego na trąbie, a oddanego przez głos ludzki lub instrument smyczkowy. Figury p. Scott pokazują wyraźnie jaka jest różnica fal głosowych w tonach czystych równo-ciągnionych, a szorstko atakowanych, krzykliwych; pierwsze przedstawiają formy regularne, symetryczne, drugie są nierówne, nieregularne, nierównoczesne. Brzmienia fałszywe okazują wyraźnie obok fal głównych, jedną, dwie a czasem nawet trzy drugorzędne, tak że rysunek aparatu pana Scotta może przedstawić świadectwo absolutnej czystości, brzmień i współbrzmień.

Ale zapyta kto, jaki może być użytek téj nowej sztuki, której wykonywanie zdaje się być połączonem z takimi trudnościami i subtelnościami? Gdyby podobne pytanie zadał kto w początku naszego wieku doktorowi Volta, wynalazcy stosu galwanoelektrycznego, niebyłby on mógł odpowiedzieć, że to posłuży kiedyś do udoskonalenia chemii analitycznej, stworzy galwanoplastykę i telegrafy elektryczne! Tak samo niepodobna dziś przewidzieć do czego doprowadzi z czasem odkrycie p. Scott, ale mu zasługi zaprzeczyć i przyszłości odmówić nie można. J. B. W.



## HARDY, MOLIER

### I SCENA NASZA W OWYCH WIEKACH.

Zajęcia, ćwiczenia, czy też rodzaj rozrywek, jakie sobie obiera społeczność i w jakich najwięcej smakuje, najlepiej malują jej usposobienia, jej wykształcenie moralne, lub też jej przecucie istotnego moralnego piękna. Takiego przecucia bez wątpienia najwięcej spotykamy pod każdym względem w Słowiańszczyźnie. Pominąwszy pogańskiego świata barbarzyńskie rozrywki, pominąwszy czasy w których świeżo, a więc jeszcze powierzchownie przyjęte chrześcijaństwo, nie zatarło w ludach przez rozwiązłe rządzonych państwa, zmysłowości pogańskiej; widzimy w późniejszych wiekach, jak wyższa cywilizacją Francja, lubowała się w przedstawieniach podbudzających zmysły i uchybiających prawdom wszelkiej przyzwoitości. Przy końcu XVI wieku, niezmiernie autor dramatyczny Aleksander Hardy, rodem z Paryża, zarzucał scenę francuzką mnóstwem sztuk dramatycznych, pełnych obrazów bezwstydných, które jak najlepiej przyjmowano. Posiadając wielką łatwość wierszowania, nie dokładając wielkich starań do wygładzenia stylu, ani też troszcząc się o wybór przedmiotów do swoich trajedyj i komedyj, Hardy spiesznie wystawiał coraz nowe utwory swoje, tak dalece iż 600 sztuk napisał. Słusznie go za najobfitszego z pomiędzy autorów scenicznych we Francyi uważają. Za to nie gardził żadnym przedmiotem; za ledwie opisał śmierć Achillesa, tak do wielkiej trajedyi stosowną, zaraz potem daje drugą trajedję, w której przedstawia nieszczęścia jednej mieszczanki zdradzającej męża i schwytanęj przez tegoż na wiarołomstwie. Zdaje się że aktorowie powinni byli wyrzec się wszelkiego uczucia godności osobistęj, przyzwoitości, ażeby przedstawiać role i położenia tak drażliwe. Nie można dziś w piśmie publiczném ani jednej przytoczyć sceny podobnej; ówczesna jednak publiczność francuzka nie karciała autora, nie raziła jej gruba nieprzyzwoitość i niemoralność jego.

Molier, żyjący znacznie później po Hardym, (gdyż ten umarł r. 1630, a Molier dopiero w 1620 przyszedł

na świat i słusznie pierwszego twórcy komedyi francuzkięj nazwę nosi;) pomimo tak nadzwyczajnej łatwości, wielkiego talentu którym go obdarzyła natura, (gdyż będąc synem tapicera i lokaja królewskiego, nieotrzymał pierwotnego wychowania w domu rodziców przeznaczających go do przedpokojowęj służby;) mimo instynktowego niemal poczucia piękna moralnego, jednakże i on pozwalał sobie przedstawiać tak nieprzyzwoite sceny, iż bez przemiany, bez oglądy, niepodobnaby było dziś je dawać dla publiczności. Nadto wiele pisano już o tym autorze, nadto imię i dzieła jego są znane, abyśmy potrzebowali obszerniej o nim mówić. Zdawała nam się ta wzmianka tutaj potrzebną, bo był drugim dramatykiem francuzkim tak obficie obdarzającym scenę narodową. Naturalnie, nieśmiertelny Corneille jako tragic, jako pisarz wielkiego rodzaju (grand genre) pierwszeństwo trzyma, tém więcej że on pierwszy po Hardym i podobnych jemu pisarzach, zmienił postać sceny francuzkięj, wprowadzając dobry smak i przyzwoitość. Ależ on przedstawiając bohaterские czyny w przeszłości jaśniejących mężów, nie mógł być tak popularnym, tak wpływowym, jak Molier wytykający wszystkie śmieszności, wszystkie wady wieku; jemu więc winna życie komedja francuzka. Był M. prawdziwym jej twórcą, gdyż jako aktor, można powiedzieć najpierwszy we Francyi, nadał kierunek dramatycznęj sztuce, czyli podniósł zawód aktorski dotąd w pogardzie będący, aktorów czyniąc artystami, przestając z nimi, grając razem, przelewając w nich swoje pojęcia. Żeby dać próbkę rzadkiego Moliera taktu, dowcipu, przytoczymy tu następujące z życia jego zdarzenie, nie dość może u nas znane, które Wolter za bajkę podawał, a Boalo jako jeden ze współdziałających potwierdza. Wypadek ten przytoczony tutaj podług świade ctwa syna Rasyna, który od ojca swego blisko znajdującego Moliera i od Boala dowiedział się o pewności tego tragi-komicznego wydarzenia.

Aktor Baron ukochany przez Moliera i przybrany



za syna, Boalo, Chapelle, Nantoulier i kilku t. p. zaproszeni byli na ucztę do jednego wiejskiego domu w okolicach Paryża nad Sekwaną, których tam nie brakuje jak ogródków nad naszą Wisłą. Chociaż fundatorem téj biesiady był Molier, jednak gdy mu zdrowie nie pozwalało długo oddawać się zabawie; wychodząc zostawił Chapell'a, aby przewodniczył bachanteryi w miejscu skazanego na mleczną djetę Moliera. Podochoceni towarzysze zaczęli wygłaszać jermijady na nędzę żywota człowieka, a w trunkowym zapale wyrzekł i z uniesieniem zastępca fundatora: „Jesteśmy wszyscy podli! lepiej skrócić i narzekania i życie! Jesteśmy nad Sekwaną, wspólnie rzućmy się w nią i zgińmy!” Zaledwie ukończył swoje wykrzykniki, które się jednomyślnie rozmarzonym podobały, natychmiast wszyscy pijani poeci i literaci uściskali się serdecznie jakby żegnając się z sobą i życiem podłém na zawsze; i wybierali się ku brzegom rzeki, co ich na zawsze pochłonać miała. Najtrzeźwiejszy z nich Baron przybiegłszy do spoczywającego w łóżku Moliera, opowiedział mu całe szaleństwo. Artysta natychmiast pobiegł do swoich przyjaciół i tak się do nich odezwał: „O jakże śmiałym i razem rozważnym jest wasz zamiar, o którym w téj chwili dowiedziałem się od Barona. Pozwólcie abym miał zaszczyt dzielić z wami to postanowienie. Jaż tylko jeden mam się przywiązać do życia? Jaż tylko nie miałbym wzgardy dlań obudzić w sobie?”

— Ślicznie mówi — krzyknął Chapelle — nam tylko jego nie dostawało jeszcze! niech więc rusza z nami!”

Lecz przytomny i zręczny Molier zawołał — „Dobrze — ale proszę jeszcze o chwilę! Tak wzniosłe nasze zamysły mogą potem ludzie źle wytłumaczyć, gdy się dowiedzą żeśmy na tę wzgardę życia zdobyli się dopiero na końcu uczy. Złe języki i potwarz rozsławiają że po pijanemu przyszły nam myśli filozoficzne! Drodzy przyjaciele! zachowajmy niepokalaną mądrość naszą! Jak tylko jutrzejszy dzień zaświta, wtedy w obec widzów całego Paryża rzućmy się do Sekwany, a wszystek świat nauczymy, jak to się życiem pogardza!”

Po tak przekonywującej dla pijanych przemowie, wszyscy usłuchali swego gospodarza i udali się na chwilowy spoczynek. Dzień nadchodzący ujrzał ich trzeźwymi a tém samém miłującymi życie. Zamiast ująć łono zimnej rzeki, gorąco i serdecznie uściskali swego mądrego przyjaciela, z którego dowcipu i nonnych swoich zapalów nie mało się naśmieli. Nie był on tak obfitym jak Hardy, ale co do wartości, dzieła jego porównanemi nawet być nie mogą z dziełami

pierwszego. A przecież ten Molier tak jest niekiedy rażący nieprzyzwoitością, jak np. w sztuce Jowisz i Sozio, że u nas w żadnym teatrze nie odważonoby się nic podobnego na widok publiczny wystawić; z tego wnosić można czém musiał być Hardy, porywający publiczność a nawet dwór, tak dalece, że go Henryk IV nadwornym dramatykiem mianował.

Inaczej rozwijała się sztuka sceniczna u nas w o-wych wiekach. Wprawdzie żaden ze współczesnych autora francuzkiego poetów naszych nie był tak obfitym; nadto scena polska nie była wówczas przyzwyczajona do sztuk w należyte dramatyczne formy ujętych. Ale jakiegokolwiek się one zjawiały, oznaczały się przyzwoitością i moralną dążnością. Wtedy właśnie istniała sławna Rzplita Babińska, która tak silnie wpływała na wykształcenie ziomków, nie przepuszczając żadnej zdrożności, nie tylko w uczynkach ale i w mowie. Akta, czyli rękopisma tejże Rzeczypospolitej, która trwała sto lat przeszło, bo założoną była r. 1560 a ślady w tychże aktach dowodzą że 1677 jeszcze swoje wydawała wyroki, znajdował się w Puławach. Książę Czartoryski wyjednał sobie od króla Szwedzkiego pozwolenie, iż polskie rękopisma „zabrane zapewne za czasów pamiętnego napadu Szwedów za Jana Kazimierza, wydane mu będą. Wtedy udał się do Sztokholmu Felicjan Biernacki i między innymi przywiózł wyżej wspomniane akta, zawierające nader ciekawe szczegóły. Była to, jak świadczy Łukasz Gołębiowski, księga in folio w pergamin oprawna, na wierzchu herb Janina i litery A. P. Ch: Cheł: to jest Adam Pszonka Chorąży Chełmski; syn to był Jakóba, później podkomorzy.

W téj księdze obok opisu Rzeczypospolitej Babińskiej z Sarnickiego, obok nagrobka dla Pszonki przez tegoż, znajdują się nominacje dla rozmaitych osób jak np.

„Anno Domini 1616 49 bris. Jmci P. Mikołaj Stradomski powiedział, iż drzewo grabowe, długo moczone w krzemień się obróci, i skrzese nim ognia, kiedy zechce, i kiedy ognia potrzeba; a nawet że do *alchemii* te ognie przydatne; dał mu się urząd Jmci *Chimik* Babiński.”

Kiedy tak kłamstwo, fanfaronadę karcono, tém bardziej każda nieprzyzwoitość w zabawach dozwoloną nie była; gdyby więc i znalazł się pisarz chcący sprośnemi sztukami bawić publiczność, nie byłby przyjętym, dzieło jego nie znalazłoby wielbicieli. Nigdy więc u nas w czasach najmniej oświata słynących, podobnie nie moralne, nie przyzwoite sztuki, jakimi w obfitości obdarzył teatr francuzki Hardy,



miejsca nie miały, lubo sztuka dramatyczna bardzo w Polsce lubioną była; ślady jej jeszcze w dwunastym znajdują się wieku. Po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, dla pocieszenia się po stracie tak ciężkiej, dla uczczenia pamięci tak wielkiego króla, panowie ułożyli Dyalog; w owych wiekach bowiem w takiej formie widowiska sceniczne znane były. Dyalog ten przez Kadłubka wspomniany, z zadowoleniem przyjęty przez ogół, świadczył o miłości i żalu jakim naród po stracie króla przejętym został. Wchodziły na scenę wesołość, smutek, wolność, roztropność, sprawiedliwość. Pierwsza uskarżała się, że już teraz i ją smutek do grobu pociągnąć pragnie; tamte mówiły o przymiotach króla, z uwielbieniem wyższość mu nad sobą przyznając.

Jak umiano uczcić Kazimierza zasługi, tak nawzajem nie darowano Przemysławowi. Na publicznym teatrze w przytomności króla, graną była sztuka w rodzaju melodramy. Przedmiotem jej był okropny zgon królowej Lodgardy. Król słuchać musiał śpiewu smutnego opisującego rodzaj jej śmierci. Tak tedy od XII wieku zaczyna u nas na publicznych widowiskach występować sztuka sceniczna, aczkolwiek w djalogu tylko, jako w rodzaju używanym w owych wiekach, ale zawsze z przyzwoitością i w myśli uczuciowej, mającej na celu uczczenie sprawiedliwości i naganę zbrodni. Ciągłe w taki sposób rozwija się zwolna sztuka dramatyczna, nareszcie za Zygmunta I, ustala się zupełnie teatr dworski; na którym z wielkim powodzeniem wystawiono Sąd Parysa w przytomności króla i dworu. Autorem sztuki był Stanisław z Łowicza, a grała ją z najpierwszych domów młodzież, z których co młodsi i urodziwi za boginie poprzebierani byli. Rozpoczął się wiek złoty, którego zadanie ogólne, jak słusznie mówi Łukaszewicz, było następujące:

„Stanać na równi ze starożytnymi stało się najwznieśliwszym zamiarem. Ztąd tyle Horacyuszów, Pindarów, Teokrytów, Liwjuuszów, Demostenesów i t. d. i było koniecznością po wynalezieniu druku gdy wszystkie skarby dawnego piśmiennictwa na raz w obieg puszczone, światłość ta olśniła rok do średniowiecznej mglistości nawykły lub widzieć jeszcze nieumiejący. Wszakże wśród tego nateżonego biegu do wytkniętego kresu, celniejsi postrzegli się, że dla swojej treści nie mają odpowiedniej formy, i nawzajem dla znaniej formy nie nastrecza się odpowiednia treść. Odtąd tedy zaczyna się jawić nowe usiłowanie i dążenie; odtąd pod promieniami chrześcijańskimi występują piśmiennictwa narodów nowożytnych z własnego wnętrza

trza wysnowane i cześć dla dawnych bogów coraz bardziej zmniejsza się.”

Wybitnie to wykazuje się w sztuce dramatycznej; zamiast bogów postrzegać się dają historyczne postacie. Pozwolimy sobie wymienić tu niektóre zasługujące na uwagę utwory, przez cześć dla wieku którego tak wyrobił język, tyle w piśmiennictwo i ustawy był obfity, iż pod każdym względem może się wiekiem złotym nazywać.

Djalogi, które, jakśmy to wyżej powiedzieli, od dwunastego wieku, bo od śmierci Kazimierza Sprawiedliwego początek biorą, poczęły ulegać różnym przemianom. Przez wprowadzenie intermedyów ożywiono je; z czasem intermedya zamieniły się na djalogi *mięso-pustne* i stały się w końcu *komicznymi*. Grywano je nie tylko w klasztorach i szkołach, ale także na dworach panów. Tym sposobem urobiły się pomału w djalogach polskich osobne postacie, które narodowymi nazwać można; jak Albertus, Klecha, Kantor, Pątnik, Kostera i t. d. w pokrewieństwie zostające z owymi, które w powieści także występują.

Pierwsze wybitne przejście z djalogu do dramatu stanowi tragedia wierszem Mikołaja Reja, o której Trzeciecki mówi: „że ludzie radzi widzieli.” Tytuł tego dramatu taki: Żywot Józefa, z pokolenia żydowskiego, syna Jakóbowego, rozdzielony w rozmowach person, który w sobie wiele cnot i dobrych obyczajów zamyka.

Sofrona, najstarsza tragedia (Sebastjana z Łęczycy.)

Odprawa posłów (Jana Kochanowskiego) na wzór tragedji Greckiej, wierszem miarowym z chórami przedstawiona r. 1578. Jest jeszcze ułamek dramatu pod nazwą Alcestis.

Jan Zawicki który wydał poemat: *Charites Słowiańskie*, poświęcony chwale Jana Zamojskiego, przełożył tragedją poety Szkockiego Buchanana: *Jestes*. Zdaniem Wiszniewskiego jestto najpiękniejsza tragedia w języku Polskim z tego okresu. Rzecz wzięta z dziejów izraelskich i naśladowanie Eurypidesa Ifigenii w Aulidzie.

Marcina Bielskiego, syn, Joachim, wydał *Sejm niewieści*. Niewiasty przestraszone skutkami bezrządu i wiele dolegliwości doznając od mężów, składają radę na której zapada uchwała: oddalić mężów od steru rzeczypospolitej, zamienić ją na niewieścią i nowy porządek państwu odnowionemu nadać.

Stanisław Gosławski przełożył łaciński dramat S. Szymonowicza: pod tytułem: *Józef Czysty*, pięknie i wiernie.



Piotr Cieśliński naśladował komedią *Plauta Trinummus* (potrójny pieniądz) pod napisem: Potrójny z Plauta, dla wyśmiania polskiego marnotrawstwa.

Jan Jurkowski, który i kilka innych wydał płodów swoich, napisał: *Tragedyą o Polskim Scylurusie i trzech synach koronnych ojczyzny Polskiej: o żołnierzu rozkoszniku i filozofie, których imie: Herkules, Parys, Djogenes*, chcąc obrzydzić rozkosz a cnotę zalecić, choć wymaga ciężkiej roboty.

Nie wymieniamy tu tłumaczonych sztuk przez rozmaitych autorów napisanych i grywanych, nie wymieniamy także późniejszych utworów, przechodziłoby to zakres tego pisma, zamierzylismy tutaj bowiem, wspomnieć tylko o mniej więcej współczesnych pisarzach ze sławnymi francuzkami dramatykami Hardym i Molierem, a razem wykazać jaka różnica była w czystości smaku, to jest w wymaganiach, w potrzebach słuchaczy sceny Polskiej od sceny francuzkiej. Wprawdzie małą liczbą sztuk pochwalić się możemy, ale za to czystą moralnością i przyzwoitością były one nacechowane.

Ślad iż stolica apostolska gromiła djalogi Polskie, że jeszcze Innocenty III w XIII wieku bullą swoją napominał ażeby po kościołach djalogów nie wystawiano, mylnieby tłumaczyć można i sądzić że w skutek nieprzyzwoitości tychże djalogów gromiono je; tymczasem nie o to chodziło. Lecz wystawiający te djalogi, których przedmiotem bywały zawsze jakoweś tajemnice wiary, czy zdarzenia z żywotów świętych, częstokroć kładli w usta czy to Judasza, któremu djabeł daje stryczek a potem umyka stołek żeby się obwiesił, w djalogu o mece Pańskiej; czy też Herodjady śpiewającej wesołe pieśni o ścięciu świętego Jana, co pobudzało do żartów i śmiechu lud prosty; słusznie więc uznanem zostało za niewłaściwe, ażeby z pobożnych przedmiotów robić zabawę, a mianowicie na przedstawienie onę obracać dom Boży, dom modlitwy; w czystym bowiem zamiarze przedstawienia budujących przedmiotów jakimi były wyżej wymienione djalogi, lub jakiś ustęp z życia Matki Boskiej i t. p. w braku potrzebnego na to budynku, przedstawiano w kościele. Tylko sławny djalog dominikański odbywał się w umyślnie z wielkim kosztem wystawionym na ten cel budynku, a gotowano się na te przedstawienie prawie rok. Trwał za to cztery dni, zaczynał się od prologu wystawiającego wjazd do Jeruzalem Chrystusa, a kończył się na pogrzebie Jego. „Była w nim wystawiona cała męka Pańska w rozmowach. W tym djalogu są następujące osoby: Jezus, Marya, Magdalena, Jan, Piotr, Anieli, Cleophe,

Longin, Annasz, Kaifasz, Herod, Piłat, Biskupi, dwunastu sędziów, pisarz, woźny, cjurowie, djabeł, Judasz, rotmistrz, żołnierzy dziesięciu, Szymon, Malchus, kucharka, rabinów sześciu, Józef z Arymathei, Nikodem, naśmiewcy, łotrowie, chłopiec, ogrodnik, concilium, miłosierdzie, pokuta, rozpacz, smutek, symfonia, echo, miłość, różne persony. Sztuka ta na sceny podzielona, których jest 108.” Djalog ten zaczynał się w niedzielę kwietnią a kończył we środę po południu, Ma to być najdawniejsze dzieło tego rodzaju.

Zapewne nie było to rzeczą dość stósowną robić sceniczne widowisko z rzeczy tak świętej, ależ w tém nie znaleźć nie można coby raziło prawidła przyzwoitości i dobrych obyczajów.

Mijałby się z prawdą, lub też dałby się zaślepić fałszywie zrozumianej miłości dla kraju ten, ktoby chciał dowodzić że u nas ani nadużyć, ani nieprzyzwoitości nie było. Nie jest to weale zamiarem naszym, i owszem wiemy że stósownie do braku wykształcenia, do wieku w jakim żyli przodkowie nasi, niebyli wolni od usterek, przeciwnych dzisiejszemu smakowi, dzisiejszej oglądzie towarzyskiej, lecz takowe były zawsze uważane jako *nadużycia*. Tego tylko dowieść chcemy że prawo, rząd krajowy, jako będący organem téj lepszości, nie uznawał publicznie ani zwyczaju, ani zabawy, któraby źle, niekorzystnie na obyczaje, na wyobrażenia ludu wpłynąć mogła. Taki Hardy nie tylko że nie mógłby być nadwornym królewskim autorem, ale nadto sztuki jego nie można byłoby wtedy wystawiać; łatwo domyśleć się możemy z następującego faktu. W czternastym wieku i pierwój zwyczajem było sprowadzać na uroczystości, mianowicie na wesela bogatych Krakowian, Deklamatorów i śpiewaków, którzy wierszem różne opiewali lub deklamowali zdarzenia, panegiryki; nazywano ich Rimoris; lecz gdy ci dopuszczali się nie skromnych wyrażen, ustawą rządową zabroniono im na ucztach weselnych znajdować się. A więc bywały nieprzyzwoitości, ale było na straży budzące się, raczej istniejące w narodzie uczucie moralnego piękna, dobrego smaku, które te nadużycia karcilo. Nadto nie było owéj pychy narodowej, uznającej wszystko dobre co u siebie, przeciwnie, zawsze rozsądzano czynności, rozbierano, krytykowano. Dobrze powiedział jeden znakomity tegoczesny nasz pisarz że mieliśmy cnotę z którą się w innych narodach nie spotykamy, a którą dotąd posiadamy, to jest: *ostrą krytykę dla siebie*, rozbiór swoich własnych czynności. Nie w kształcie satyry, ale poważnie na sejmach











przemawiano przeciwko wszystkim nadużyciom, nie oszczędzając nikogo, wyrzucano czy to zbytki czy nawet śmieszności. Później dopiero w piśmiennictwie naszym i satyra widzieć się daje. Nie możemy oprzeć się chęci zacytowania tej bardzo rzadkiej książeczki, jakkolwiek nie mającej żadnej styczności ze sztuką dramatyczną. Wyszła ona w połowie XVII wieku przez niewiadomego napisana autora. Zawiera zaś wierszem i prozą ostrą satyryczną krytykę Rządu Radziejowskiego, Dworu, Duchowieństwa i t. d. Tytuł jest następujący:

*Coś nowego, pisanego  
Roku tysiąc sześćsetnego  
Pięćdziesiątego wtórego.  
Drukowano w Koziejgłowie,  
Kiedy miesiąc był na nowie.  
Kosztem zaś Pana jednego  
Z bractwa Piławickiego  
A drukarnię zaś zakryto  
Boby drukarza zabito.*

„Powiem wam coś, a nie wątpię iż pilno słuchać będziecie i smaczna to bowiem i powabna rzecz, wie-

dzieć coś, słyszeć coś. Żyła Polska w pokoju, a o buntach i wojnie nie myślała. Jak tylko jeden obiecał im powiedzieć coś, tak wszystkich zbiesił, że prędkiej i więcej szlachty wywabił na rokosz niż nie dawno trzecie wici na wojnę. Wielka to rzecz jest pojąć coś mądrych głów i głębokich mózgów jedyna zabawa jest skrytego coś. O tym najwięcej mówią i piszą, a to coś tym głębiej się kryje, żeby nie przestawało być coś,” i t. d. i t. d.

Jak prosto i sprawiedliwie skreślił autor pragnienie wiedzy wszystkiego aż do prostej, śmiesznej, naganniej ciekawości posunięte. W całym tym dziełku obok żółci jest wiele pięknych myśli. Żałować można że idzie w parze z satyrą tak nie właściwą dla poważnego umysłu polskiego i dla usposobienia chrześcijańskiego jakiego więcej niż gdziekolwiek było w kraju naszym. To też można mówić że lubo przez naśladownictwo później ten rodzaj znakomitą grał rolę w poezji naszej, bardzo rzadko osobistości wytykając, więcej był wesołym wysmianiem ogólnych wad lub śmieszności.

## SZARAŃCZA I LIŚCIEC.

Między nieprzeliczonemi plagami jakie Stwórca na rodzaj ludzki zsyła chwilowo by pobudzić zbuntowane potomstwo Adama do poprawy i pokuty, od dawna zaliczono szarańczę. W siedmiu egipskich plagach odegrała i ona swą rolę zniszczenia; w przyszłościach narodów, ma dosyć ważne stanowisko, wspomnieć szarańczę, to znaczy przywieść sobie i drugim na pamięć: zniweczoną pracę rolnika, głód i pomór dla bydła i ludzi.

Prawda, że w krajach Wschodu człowiek wetuje na szarańczy, krzywd swoich. Ona mu zjada jeszcze na pniu, chleb jego całoroczny; on za to zjada ją samą ze smakiem, piekąc na patyczkach. Synowie puszczy i stepów nie są wybrédni co do pożywienia a nawet Chińczycy mimo obfitości, nie gardzą owadami na przyprawę do sutych objadów swoich; zwyczajnie—co kraj to obyczaj.

Z prowincyj bliższych Polsce, Ukraina i Podole nie są wolne od tej klęski. Już temu lat dwieście jak naczynny świadek <sup>1)</sup> opisał nam szarańczę na Ukrainie i zapewne owad ten dotąd obyczajów swych nieodmienił.

Szarańcza (mówi Beauplan) przylatuje z Czerkasyi z Kaukazu. Leci chmarami rozciągającemi się na pięć i sześć mil wzdłuż. Wszerz na 2 lub 3 mile.

Wiatr wschodni i wschodnio-południowy przynosi ją na wiosnę kiedy jest sucho. Pada ona na pola i łąki pożera wszystko, sprawia głód lub drożyznę niesłychaną. Jeżeli szarańcza do jesieni zostanie na Ukrainie, wtenczas każda samica w październiku składa w ziemię do 300 jaj, z tych gdy wiosna sucha,

<sup>1)</sup> Beauplan. Jundziłł S. Jarocki i Waga Ant. napisali trzy rozprawy po polsku o Szarańczy.



wykluwa się młoda szarańcza w niepojętym mnóstwie.

Powietrze całe napelnia się podówczas temi owady; lecą one jak gęsty śmieć tu i owdzie unoszone wiatrem; gdy się spuszcza, całe pola są niemi okryte, słychać jak gryzą rośliny i w godzinie zjedzą wszystko co było na polu.

Kiedy się podniosą do lotu tak zaciemniają widok słońca jak gruba chmura. Beauplan twierdzi że kiedy w 1646 r. przez miasteczko Nowogród (zapewne Siewierski) szarańcza przechodziła, musiał kazać w biały dzień zapalić świecę bo nic widzieć nie mógł.

Domy, stajnie, stodoły były jej pełne; nie można było ugryźć żadnego kęsa albowiem szarańcza leciała do ust; obijając się o twarz i głowy, ludzi. Kiedy już powędrowała dalej na skrzydłach wiatru; poniosła zniszczenie w dalszą okolicę. Pola na których szarańcza spoczęła, pokryte nią były na cztery cale grubości. Konie, po tym żywym kobiercu, ze wstrętem i parszając postępowały. Woń zaś roztratowanej szarańczy tak była nieznośna że tylko wachając ocet, można się było bólu głowy uchronić.

Wprawdzie wieprze chciwie pożerały szarańczę i bardzo się nią tuczyły ale nikt z ludzi nie chciał tak utuczonych wieprzów, używać na pokarm.

Gdy szarańcza złoży w ziemię swe jaja, zdycha kończąc pod jesień, swe kilkomiesięczne życie.

Za to młode pokolenie, bezpiecznie zimuje w ziemi. Słońce kwietniowe widzi już wykluwającą się szarańczę która przez sześć tygodni zostaje na miejscu. Po tym przeciągu czasu sił nabiera i latać zaczyna. Jeżeli deszcze nadejdą, młoda szarańcza przebywszy tygodniową ulewę, zdycha. Lecz jeżeli wiosna jest sucha, nie wtedy okolicy gdzie szarańcza się wykluła, od tej klęski, nie uchroni.

Szarańcza na swych skrzydłach ma mieć literami hebrajskimi, wypisane wyraźnie: *Gniew Boży*, jak twierdzi podanie które do nas przyszło ze Wschodu.

Co innego znowu jest *szarańcza zielona* (*Locusta viridissima*,) tę znaleźć można w całej Europie. Nie sprawia ona klęsk tak wielkich jak wżwyż wymieniona *szarańcza wędrowna* ani się w takiej liczbie niepojawia przecież w niektórych latach znaczne się jej mnóstwo na polach spostrzega.

Na przyłączonej tu rycinie, widzimy samice *zielonej szarańczy* (fig 1 i 2). Różnią się od samców żądłem, które zwykle samicom tylko u owadów jest właściwe.

*Zielona szarańcza* zjawia się w stanie dojrzałym ku końcowi lata lub w jesieni. Samce wydają skrzyp

podobny do głosu świerzeza, obsiadłszy liście drzew i krzaki, bezustannie powtarzają owo świerczenie. Niktby nie uwierzył iż ta osobliwa muzyka powstaje z pocierania ich skrzydełek jedno o drugie; trwa zaś całe dnie i noce, w czasie pogody.

Nie łatwo jest schwycić takiego śpiewaka gdyż zielona jego barwa nieróżni go wcale od listka na którym siada. Za pokarm zielonej szarańczy, służą liście drzew i rozmaitych roślin. Rogowemi szczękami owad ten je obgryza. W szczękach swych tyle ma siły iż gdy mu się zdarzy uchwycić niemi za palec, ukąszenie lubo nie do krwi, będzie jednak bardzo bolesne. Gdy raz ujmie łup w swe szczęki, z taką go trzyma zaciętością iż prędzej głowę da sobie oderwać, niżli łup swój puści.

Samica składa w ziemię swe jaja. Szuka na to rozpadlin a gdy takowych gdzie niema, ryje żądłem pulchną ziemię i tam jaja znosi. Zimą przebywają w tym schronieniu bez żadnej przemiany, dopiero w maju następnego roku wylazą na wierzch młode szarańcze, poznać je łatwo po długich mackach i wysokich tylnych nogach. Zanim dostaną skrzydeł kilka wprzód przemian odbyć muszą. Wiadomo iż szarańcza odbywa rodzaj przemiany zwanęj *współzupelną* (semicompleta) pięć albowiem jest rodzajów przeobrażenia owadów.

Jedne wychodząc z jaja nie zmieniają nigdy swęj pierwotnej postaci.

Drugie jak szarańcza modliszka i t. p. wychodzą z jaj bez skrzydeł a później takowych dostają.

Trzecia przemiana zwie się *niezupelną* jak u mrówek, pszczoł, chrząszczy i t. d.

Czwarta przemiana *okryta*, tój ulegają motyle.

Piąta przemiana *skurczona* jak u much kiedy owad wylazłszy z jaja kurczy się i skorupką okrywa.

Tablica trzecia naszej ryciny przedstawia owad podobny do szarańczy na pierwszy rzut oka lecz gdy się bliżej temu owadowi przypatrzemy, znaczną w nim dostrzeżemy różnicę. Jest to *Liściec* (*Phylum sicifolium*) *Blattheuschrecke*, *Wandelne blatt* nazwany po niemiecku.

Liściec nieżywi się roślinami jak szarańcza ale jest owadożernym. Komary, liszki, motyle są jego pokarmem. Skrzydła jego płasko ułożone i zielonej barwy czynią go podobnym do liści ztąd więc jego nazwa. Kadłub Liśca długi i wązki, głowa szeroka płaska z krótkimi mackami, oraz silnemi strzępiastemi dychawkami. Przednie nogi tego owadu są zbudowane tak iż owad niezmiernie łatwo zdobycz swą może schwytać.



Liściec znajduje się w wielu krajach południowej Europy; często napotykamy go w winnicach Tyrolu. W Niemczech zaś znaleźć go można tylko w Frybergu i we Frankforcie nad Menem. Owad ten jest nadzwyczaj żarłoczny i nietowarzyski; gdy się kilku zejdzie razem, wnet zaczynają walczyć z sobą i jeden drugiego pożera. Roesel, sławny badacz zjawisk życia owadów, opowiada że widział spotkanie dwóch liściców. Ujrzawszy się, stanęły wyprężone i nieruchome; w tej postawie kilka chwil przetrwały, poczem skrzydła swe podniosły do góry, przednią część ich tułowu zaczęła się poruszać, wkrótce poskoczyły z szybkością błyskawicy ku sobie i zaczęły się potykać.

Ta ich walka przywodziła na myśl badacza, pojedynków między dwoma huzarami; zakrzywione owadów nogi czyniło to podobieństwo nader wyraźnym, przypominając szablę wojskową.

Wprawdzie pojedynków liściców odbył się bez krwi wylewu, ale wkrótce potem nastąpiła śmierć słabszego zapaśnika. Widziałem nawet — mówi ów badacz — jak się jeden do drugiego zbliżał, pazurami go swemi pochwycił, zabił i na pastwę drugim rzucił. Nietowarzyskość liścica ztąd więc pochodzi że boją się wzajemnie siebie, a czy to z gniewu czy z głodu, pożerają się nawzajem. Jeśli chcą schwytać komara, przebiegłość ich do najwyższego dochodzi stopnia. Przybierają wtedy dziwną postawę: przednia część

tułowa do góry wzniesiona, tudzież dwie przednie nogi, podniesione i złożone jak do modlitwy; ztąd jeden gatunek liścica nazywają *Modliszką* (*Mantis religiosa*).

Tak przyczajony liściec, czyha na swą zdobycz po kilka godzin, a gdy spostrzeże komara, nie spuszcza z oka jego najmniejszych poruszeń. Jeśli komar za długo siedzi na jednym miejscu lub jeżeli się oddala; liściec przysuwa się zwolna jak kot do myszy, rozciąga się jak może najbardziej i chwytą łup upatrzony, choćby tenże o trzy cale wyżej był nad głową liścica. Zdarza się jednak że komar szczęśliwie ujdzie tej zasadzki, lecz gdy zostanie schwytanym, liściec odrywa zeń staw po stawie i pożera. Niekiedy chwytą dwóch odrazu i obu chciwie zjada.

Podobnie jak zielona szarańcza. Liściec dojrzewa przy końcu lata i żyje aż do października. W poruszeniach zdaje się bardzo ociężały, lecz gdy go chcemy złapać, żwawo podlatuje lub umyka z przed oczu naszych. Samica składa swe jaja na łodygach roślin. Z początku wyglądają one jak biaława pianista masa, która niedługo na powietrzu ciemnieje i gęstnieje (zob. fig. 4.)

W maju i czerwcu roku następnego, wychodzą młode z tej bryłki i zaraz tak szybko biegają jak mrówki; są niezmiernie żarłoczne, ścigają więc mniejsze od siebie owady które pożerają.

J. Janisz.....

## JAN-KAROL-LEONARD SISMONDI.

„Scribitur ad narrandum, non ad probandum.”

QUINTILIANUS.

Możnaby powiedzieć, iż znamienity wieku naszego dziejopisarz Sismond Sismondi miał aż trzy ojczyzny, które jednostajną prawie kochał miłością, bo zarówno do nich wszystkich należał.

Pochodził bowiem z rodziny włoskiej, urodził się w Szwajcaryi w mieście Genewie; czuł zaś i pisał jak Francuz, i po francuzku swe wszystkie ważniejsze ogłosił dzieła, znaczną część życia poświęcając zbieraniu najbardziej szczegółowych zasobów, dla wyda-

nia obszerniej, z nieznaną powiększej części wtedy sumiennością i pracowitością skreślonej Historii Francyi.

„Nie jestem wprawdzie Francuzem” — mówi autor, „ale moja rodzina, we mnie już gasnąca, znalazła blisko przez wiek cały przytułek we Francyi, a nawet opuściwszy ją ojcowie moi, nie przestawali walczyć w szeregach wojsk francuzkich — i razem z krwią swoją przekazali mi uczucia francuzkie. Nadto zwy-



kle tych kochamy, dla których poświęcamy usługi nasze: niepracowałem więc dwudziestu czterech lat, studiując wiek po wieku we wszystkich przejściach Francji, bez związania się z nią jeszcze ściślejszego; bez gorącego pragnienia dla niej chwały i szczęścia.”

Dzieło to nader ważne, tyle ma powagi źródłowej, że każdy niemal z późniejszych pisarzy zwykł opierać się na niem; bo Sismondi pierwszy rozświetlił mgły odległej przeszłości i we właściwej wykazał ją barwie: pod tym względem, słusznie możnaby go poczytać za naczelnika nowej szkoły dziejowej. Mimo-to jednak, śmierć jego niezrobiła wrażenia w kraju dla którego tyle się poświęcał i z taką miłością! Dzienniki francuzkie zbyt skore do rozgłaszania pochwał dla autorów tuzinkowych romansów, dla pisarzy oper, których sława często umiera z końcem wieczoru, lub przejrzeniem numeru gazety, dość obojętnie wspomniały o stanie pożytecznego pisarza, poczciwego człowieka, który wiele lat ciężkiej poświęcił pracy, żadnych na względzie niemając korzyści materialnych. Nie tylko ogromna ilość prac jego, nieprzyniosła mu odpowiedniego dochodu, ale nadto nie miał téj pociechy, stokroćby nadto miłszej dla niego, ażeby dzieła jego były za życia należycie cenione i poszukiwane, aby mógł widzieć że ciężkie badania jego i trudy obracają się na pożytek ogółu!

Przodkowie Sismondi'ego pochodzili z dawniej rodziny włoskiej zamieszkałej w mieście Pizie, i w średnich wiekach ważną odgrywali rolę, jak sam o tém autor wspomina w dziele o rzeczach pospolitych włoskich. W końcu XV wieku, skutkiem wojen szarpiących Włochy, gdy rzeczpospolita Pizańska zniesiona została, rodzina jego opuściła Włochy i przeniosła się z razu do Francji a potem za Ludwika XV do Szwajcaryi. Wszakże dziadek pisarza, o którym tu mówimy, był w wojsku francuzkiem, a ojciec pełnił obowiązki duchownego protestanckiego w Bosseux i dopiero później połączył się z rodziną mieszkającą w Genewie, gdzie 5 maja 1773 roku urodził się Jan-Karol-Leonard Sismondi. Opuściwszy Włochy, Sismondowie przyjęli religiję protestancką a nazwisko ich z powodu początkowego zamieszkania we Francji i ciągłego z nią stosunku, przeinaczać się zaczęło.

Zrazu zrobiono zeń *Sismonde*; dopiero w r. 1795, kiedy prześladowani rodzice naszego pisarza, wraz z nim musieli szukać schronienia we Włoszech, wróciwszy do dawniej naddziadów ojczyzny i do dawnego *Sismondich* wrócili nazwiska.

Całą młodość swoją przepędził Sismondi wśród walki z rozmaitemi nieszczęściami, co bardzo wiele na wykształcenie umysłu jego wpłynęło. Dowód że o ile niedola i przeciwności osobiste łamią niekiedy człowieka, tamując drogę do rozwinięcia władz jego, o tyle nieszczęścia ogólniejsze na wielką doznawane skalę, poskramiając uwagę na swoje osobiste dolegliwości, wyrabiają silne uczucia, udoskonalają umysł i nadają charakterowi pewny hart i niezłomną wytrwałość do walki potrzebną, czyli jednem słowem mówiąc, rozwijają wszelkie władze moralne człowieka i oczyszczają z małości.

Dziecinne lata jak najszcześliwiej przepędził Sismondi; Opatrzność bowiem obdarzyła go taką matką, której dobroczynny i przeważny wpływ daje się uczuć w całym życiu. Była ona jedną z tych rzadkich niewiast, co pojąwszy całą ważność macierzyństwa, umiają mu zadość uczynić; co łącząc w sobie przymioty serca i rozumu, obudzić muszą w dziecku oprócz miłości, cześć i uznanie swych przymiotów. Zwykle wyżsi ludzie których rozum uczuciem był ożywiony, podobnym matkom winni swe wychowanie początkowe.

Niedaleko Genewy, w pięknej posiadłości nadreńskiej Châtelaine, będącej własnością rodziców, elementarne pobięrał nauki. Potem oddano go do szkoły, gdzie lubo nie celował — się, i niezapowiadał odznaczających się darów umysłu, które się później dopiero w nim rozwinęły, był jednak pilnym i posłusznym uczniem. Doskonalił się, czyli dopełniał nauki szkolne w Genewie, gdzie chociaż nie było uniwersytetu, wykładano wszakże wyższe kursa prelekcij.

Nie długo trwał ów byt swobodny w którym czas swój dzielił między naukę i przyjemności życia w domu rodzicielskim. Ojciec jego stracił kapitały swoje na podupadłym banku francuzkim, i nagle z dostatków rodzina przeszła do ubóstwa. Młody Sismondi, mimo odrazy jaką czuł do stanu handlarskiego, chcąc być pomocą rodzicom, udał się do Lugdunu, gdzie się umieścił w domu kupieckim. Cel szlachetny dla którego się poświęcił, dodawał mu odwagi; wkrótce nabył wszystkich potrzebnych wiadomości do tego nowego zawodu. Ale raz wszczęte przeciwności losu, jakim podpadła ta rodzina, nie miały się tak prędko skończyć. W skutek zaburzeń wynikłych w Lugdunie, młody kupczyk zmuszonym był porzucić to miasto i wrócić do Szwajcaryi roku 1792; lecz tam zastał rodziców swoich już niepokojonych a nawet prześladowanych. Umyślił więc razem z nimi



udać się do Anglii. Korzystał z téj podróży nasz Sismondi, bo się nauczył języka i literatury krajowej, zbadał zwyczaje tego narodu i przypatrzył się obyczajom ludu; albowiem już się była rozbudziła w nim działalność umysłowa, którą pierwéj w rodzinném i szkolnem kółku wcale się nieodznaczał, a tylko przez poczucie obowiązku i posłuszeństwa był dobrym uczniem, kiedy w Londynie gorliwie się zajmował nabywaniem nowych wiadomości, matka jego wtedy mieszkała na wsi. Oddalona od ukochanego syna wśród odmiennego klimatu i obcych zwyczajów, cierpieć zaczęła na tęsknotę tak naturalną wszystkim tkliwym usposobieniom, a tak zwyczajną u mieszkańców Szwajcaryi, skoro swój górzysty kraj zamienia na płaszczyzny północne lub mgliste Albionu powietrze. Przełęczony o zdrowie matki, naglił Sismondi do powrotu w dawne strony, mimo wszelkich niebezpieczeństw, jakich łatwo spodziewać się można było. Działo się to bowiem w roku 1794, kiedy wszystko wrzało nietylko we Francyi, ale i w pogranicznych jéj kantonach szwajcarskich. Zaraz więc po powrocie do Genewy, mimo-to, że ojciec Sismondi'ego w żadne się polityczne sprawy niewdawał, został posądzony o działania przeciwne usposobieniom ogółu i wraz z synem wtrącony do więzienia. Dopiero za opłaceniem kontrybucyi, na którą poszła znaczna część pieniędzy, bardzo uszczuplonych pomienioném już wyżej bankructwem, — zwolnieni byli. Wkrótce znowu bolesnego doświadczyli wrażenia; od lat wielu przyjacieli ich, razem z niémi mieszkający, został w ich domu pojmany i rozstrzelany w ciągu dni kilku. Sismondowie takiém prześladowaniem powitani w Genewie, uznali dalszy tam pobyt za niepodobny. Udali się więc na schronienie do dawnéj ojców swych ojczyzny i wyjechali do Florencyi 1795 roku.

Młody autor miał wtedy zaledwie lat dwadzieścia, lecz dojrzały rozmaitemi jakie przechodził kolejami, wziął na siebie osiedlenie rodziców w miejsc odpowiednim ich funduszom, aby, włożywszy ostatki pieniędzy w ziemię, mogli ztąd mieć przyzwoite utrzymanie. W tym właśnie celu zwiedził całą Toskaniję, a znalazłszy w piękném położeniu niewielką posiadłość niedaleko miasteczka Pescia, nabył ją i tam ich sprowadził. Tu znów doświadczył rodzinnego szczęścia, jakie go przy wyjściu na świat było przyjęło. Obok dawców życia i przy siostrze, zajmował się rolnictwem i zbieraniem postrzeżeń, które mu potrzebnymi się zdawały do przyszłych dzieł jego, o których już wtedy zamyślał. Tu czynił także bada-

nia nad stanem rolniczym wieśniaków tamtejszych i zaraz napisał obraz rolnictwa w Toskanii (*Tableau de l'agriculture toscane*) 1801 Genève in 8vo.

Obok tego gromadził wtedy zasoby do ogromnéj historii rzeczpospolitych włoskich; lecz na nieszczęście prace jego przerywane były prześladowaniami, które jednakże wytrwałości jego nadwereżyć niezdolowały. Sismondi zawsze otwarcie wyznający swe przekonanie, zawsze gorąco broniący stronę cierpiących, ściągnął na siebie podejrzania zwycięzców francuzkich, jako Włoch; a znów od Włochów zwyciężonych był za Francuza miany i przez to w podejrzenie popadł do tego stopnia, że aż trzykroć był aresztowanym. Wypadało więc koniecznie opuścić będącą pod piękném niebem Valchiuzę w czarownéj dolinie Nijevole, gdzie się mieszkało przez pięcioletni przeciąg czasu i wrócić z ojcem do Szwajcaryi. Matka została przy siostrze, która we Włoszech za męża poszła.

Przybywszy do Genewy, wystąpił jako pisarz wydający jedno dzieło po drugiem. Zaraz bowiem 1803 roku ogłosił drukiem *o bogactwie handlowém* (*De la richesse commerciale, ou principes d'Economie politique appliqués à la legislation du commerce* 7 vol. in 8vo). Wtenczas to, oceniając jego prace, członek kommissyi edukacyjnój, Plater, wzywał go na profesora ekonomji politycznej do uniwersytetu wileńskiego. Katedra ta dobrze uposażona, dogodna zdawała się widokom materyjalnym Sismondi'ego; ale on niewahał się poświęcić je dla innych: z jednéj bowiem strony zatrzymywał go wzgląd na matkę mogącą bardzo wiele cierpieć z powodu tak znacznego oddalenia się syna; z drugiéj strony, potrzeba konieczna innego życia naukowego i towarzystwa ludzi uczonych, z którymi ciągle się spotykał mieszkając na granicach Francyi; nakoniec sądził że dzieła przedsięwzięte straciłby wiele mogły, gdyby je był wykończył daleko od teatru wypadków, od miejsca gdzie coraz mógł więcej nagromadzać szczegółów, gdzie mógł sprawdzić zaraz każdą wątpliwość. Wolał więc dla tych umysłowych i moralnych powodów opuścić zyski pieniężne za któremi się nigdy nieubiegał.

Pozostał w kraju, gdzie zamiast katedry uniwersyteckiej, wybrał raczéj skromną posadę sekretarza izby handlowej departamentu Lemańskiego należącego podówczas do Francyi. Roku 1805 udał się znowu do Włoch, w towarzystwie p. Stäel, gdzie poświęciwszy czas jakiś matce i dopełnieniu potrzebnych mu jeszcze do dzieła szczegółów, wrócił do Genewy i zaczął wytlaczać *Dzieje rzplitych włoskich* które kilku



już doczekały się wydań (*Histoire des republiques italiennes du moyen âge*. Zurich et Paris 16 vol. r. 1807 do 1818 iu 8vo; drugie wydanie w roku 1825—1826; trzecie wydanie w 10 tomach ósemkowych w Paryżu 1840 roku z rycinami; czwarte wydanie brukselskie 1829 r. w 12 tomach. Nadto Ficozzi tłumaczył na włoski język, a przekład ten wyszedł w Medyolanie 1810—1820 w 16 częściach; oraz 1818—1820, w 16 tomach.)

Widzimy jak czcigodny ten pisarz starannie piérwój zbierał i uzupełniał zasoby naukowe, nim wydał na świat pracę swoją. Daleki od próżnej pychy i przesadzonej skromności, sam to wyznaje mówiąc o różnych zdolnościach historyków: „Śmiem oddać świadectwo sam sobie i mam niezbitą ufność że go potomność potwierdzi, to jest iż szukałem zawsze prawdy, nie oszczędzając ani pracy, ani wysiłków aby ją znaleźć.”

Trudnoby właściwie, ostatecznie i wyraźnie określić było, do jakiej szkoły dziejopisów należy Sismondi. Pomiedzy rozmaitemi odcieniami jakimi się różnią historycy, najważniejszą ich barwą, wybitnym charakterem jest synteza i analiza. W każdym z tych systematów, nadużycie, czyli wyłączne trzymanie się założenia—jest szkodliwem.

Złe bowiem kiedy pisarz sucho gromadząc fakta, zupełnie zostawia czytelnikowi sąd o nich i wnioski; jak również nie wypada pisarzowi przywłaszczać sobie wyłączne o nich wyrokowanie, gdyż ta droga daleko zaprowadzić może: swoje osobiste wyobrażenia, wcielając niejako w dzieła, można daleko od rzeczywistej odejść prawdy.

Wiadomo jak ludzie namiętnie idący za swoim poglądem własnym, widzą to co chcą widzieć, znajdują czego szukają, a malując wypadki w swoim świetle i własnymi nie zaś właściwymi kolorami, nakręcają je. Szczególniej nie wytrawieni, młodzi jeszcze pisarze, gdy się oburzają za sąd surowy o człowieku jakiej epoki, wtedy uniesienie wywoływane pozornem uczuciem sprawiedliwości, prowadzi ich do drugiej ostateczności; gotowi więc apoteozować, ubóstwić niemal swego bohatera, któryby zaledwie na tolerancję zasługiwał, lub któregooby z trudnością od potępienia uchronić można było.

Sismondi, acz młody, z umiarkowanym i wyrobionym już zawczasu sądem, nigdy nie był zdolnym w tak szkodliwą wpaść ostateczność; lecz mógł być zbyt na syntetyczną lub analityczną przechylić się stronę; wszakże umiał szczęśliwy w tym względzie zachować środek. Z prawdą opisywał fakta; umiał je pojąć,

i z całym rozumem zgłębiającym, potrafił wnikać w przyczyny, nim o skutkach stanowczo wyrzekł. Tym sposobem jakby naprowadzał czytelnika do właściwego o rzeczach sądu. Nie ma w pismach jego żadnej namiętności, żadnych zdań stronniczych.

Wierny swemu przekonaniu i zasadom niezbitym w kreśleniu historii, zawsze zdąża za niemi, nierażąc ani oschłością, zbytnej powagi, ani lekkością i zbyt nie okwitym stylem.

Tym większą przypiszemy zasługę Sismondi'emu, kiedy przypomnimy w jakim czasie pracował nad skrupulatnem zbieraniem wszystkich zasobów historycznych i zbadaniem dziejów. Wtedy to właśnie poprzednicy jego ograniczali się najczęściej skreślaniami historii jednostek, niebacząc że tym sposobem charakteryzowali ludzi a nie ludy. Sismondi był jednym z piérwszych co nową przyjęli metodę. Wierny zawsze prawdzie, mówi w ostatnim tomie *Historii rzplitych włoskich*: „Dwadzieścia dwa lata, poświęconych układaniu dzieła tego <sup>1)</sup>, stanowi okres czasu, w którym Europa uległa najgwałtowniejszym wstrząśnieniom.... Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę z pewną dumą na to, że podczas wielkich przemian, szedłem zawsze za jednem wyznaniem, jednemiż zawsze przemawiałem słowy. Jedną zasadą rozpoczęta w piérwszym tomie, nienaruszoną została aż do szesnastego.”

Daléj mówi autor: „*Historia Włoch w średnich wiekach*, zawiera w sobie więcej zbrodni i cierpień aniżeli zazwyczaj przedstawiają ich przed oczy czytelników. Rzadko się zdarza, aby przedsięwzięto pisać dzieje jakiego narodu bez wyznawanej stronności i pochlebstwa. Ja przeciwnie, szukałem prawdy, nie odwracając nawet oczu i od tego, co ona obrzydliwego w sobie miała. Winieniem był bezstronność zarówno Visconti'm, Carrar'om, Gonzag'om i Medyceuszom, jak rzeczomspolitym Wenecyi, Florencyi, Pizy i Bolonii..... Wykazywałem nadużycia, gdziekolwiek mi się z niemi przychodziło spotkać.... Wartością dziejów, jest nauka, jaką nam dają do wyszukiwania środków mogących ludzi uczynić cnotliwymi i szczęśliwymi. Fakta nie mają wagi żadnej, kiedy

<sup>1)</sup> Do dzieła: *Historia rzeczypospolitych włoskich* zaczął zbierać potrzebne materiały jeszcze w 1796 roku; piérwsze dwa tomy wydał w Zurich 1807; T. 3 i 4 tamże 1808; od 5 do 8 tomu w Paryżu 1809, z powtórnem odtłoczeniem piérwszych czterech tomów. T. 9, 10 i 11 wyszły 1815; wreszcie pozostałe tomy aż do 16 wyłącznie pokazały się dopiero w 1818 roku.



się nie wiążą z myślą. Z drugiej strony, jest to aż nadto prawdziwem iż duch zasad częstokroć niemi kieruje i w chaosie wypadków znajduje zawsze przykłady na poparcie swych teoryj choćby najniedorzeczniejszych. Widziałem nieraz jak w ten sposób prawda musiała służyć kłamstwu, i owa szarlatanerja tak często u pisarzy powierzchownych, lekkich najbardziej, uczuć mi dała całą ważność szczegółów i wartość skrupulatnego badania najmniejszych okoliczności. Może kto znajdować że nadto zwracam uwagi na wypadki w porównaniu małe, że opowiadam wiele zdarzeń, o których chcianoby raczej niewiedzieć; że gdybym był zawarł w 4ch tomach to co się mieści w 16stu, mógłbym w tém ścieśnieniu, udzielić też samą wielką naukę dziejów i rozwinąć zasady jakie chciałem wyryć w pamięci czytelnika. Ależ zapomniałoby się że w takim razie musiałbym *wybiierać* nie zaś *zbiierać* fakta, i że ostateczne wnioski zależałyby od ducha wyborowi memu przewodniczącego, a nie od rzeczy samój. Pragnąłem przeciwnie, aby dzieje Włoch stały się zbiorem odosobnionym, któryby można w około pod względem pewnym obejść, przypatrzeć mu się ze wszech stron. Nie tailem uczuć, jakie we mnie ten widok obudzał; wszakże mimo to, wolny sąd chciałem czytelnikowi zostawić.”

Co do własnych uczuć i twierdzeń autora, dość jest cały ustęp wyżej wzmiankowany (introduction et post-scriptum) przejrzeć, ażeby uznać wyższość i jasność zapatrywania się Sismondi'ego, aby ocenić gorącą ludzkości miłość. Jakie zaś trudy podejmował dla nagromadzenia faktów do swego bogatego dzieła, własne jego także mogą świadczyć słowa: „Żyłem w Toskanii, ojczyźnie naddziadów moich tak prawie długo jak w Genewie i Francji. Dziewięć razy przebiegałem Włochy w rozmaitych kierunkach. Zwiedziłem prawie wszystkie miejsca będące niegdyś teatrem wielkich wypadków, pracowałem we wszystkich prawie większych bibliotekach, przejrzałem archiwa wielu miast i klasztorów. Historia Włoch ściśle się wiąże z dziejami Niemiec: objechałem więc i te strony, dla odszukiwania pomników historycznych; naostatek niezważając na koszta, starałem się dostać wszelkich dzieł rzucających jakiegokolwiek światło na czasy i ludy, które zamierzyłem dać poznać.”

Podobnaż sprawiedliwość i sumiennosc cechuje inne jego dzieła. Pisząc o ekonomii politycznej, nie był on zapewne w stanie wskazać skutecznego i niezbitego środka, do ustanowienia pewnej równowagi za pomocą której zapobiedzby można, iżby spółubieganie się i przemysł, nie torując drogi nadużyciom,

do ogólnego tylko przyczyniały się dobra. Lecz zawsze wprowadził on uczucie, żywioł moralny, do suchej, przemysłowej rzeczy. On wcześniej w szlache-tném sercu przeczuł nędzę i głód robotników, machinami i zbytnim spółzawodnictwem fabryk sprawadzone. „Uderzeni byliśmy cierpieniami towarzystwa wtedy właśnie, kiedy o nadzwyczajnym jego rozgłasza-łszy postępie; wyszukiwaliśmy czém byli ci, którzy zbierali owoce ze wszelkich cudów sztuki przed naszymi rozwijających się oczami” — są słowa jego.

Dzieła Sismondi'ego: *Nouveaux principes d'économie politique ou de la richesse dans ses rapports avec la population* (Paris 1819 2 vol. i drugie wydanie 1826 w 8ce), oraz *Economie politique sur la balance des consommations avec les productions*, w piśmie czasowém *Revue encyclopédique* z 1825, są dowodem że zacny pisarz nietylko za pomocą historyi usiłował wykazywać bolesne ludzkości rany, w celu, aby czytelnicy roztrzęsając ich przyczyny, starali się zapobiegać dalszemu chorobliwemu stanowi.

Czcigodny Sismondi zszedł bezpotomnie ze świata mając lat pięćdziesiąt kilka. Był członkiem rady reprezentacyjnej rzeczypospolitej weneckiej, oraz członkiem wielu akademij i towarzystw, wreszcie członkiem honorowym uniwersytetu Wileńskiego, akademii nauk w Berlinie, akademii włoskiej, archeologicznej i t. d.

Poświęcał codziennie po 8 godzin pracy umysłowej, dla tego prócz spółpracownictwa do pism czasowych (jak do *Revue encyclopedique*) i zbiorowych (jak *Biographie Universelle*) zostawił bardzo wiele pism, które tu przytaczamy:

De la vie et des écrits de Paul-Henri Mallet. 1807 Paris.

Du papier-monnaie dans les états autrichiens, 1810.

De la littérature du midi de l'Europe. Dzieło to czterotomowe trzykroć wytłoczone 1813, 1819 i 1829 składa całość z *dziejami rzeczypospolitych włoskich* przezeń wydanemi.

Gli due sistemi d'economia politica: ossia esame del principi di A. Schmith etc. Praca ta umieszczoną była w aktach akademii włoskiej 1812 roku.

Considérations sur Genève dans ses rapports avec l'Angleterre et les états protestants 1814. Tu była także dodaną mowa miana w Genewie *o Filozofii Historyi*. (*Discours prononcé à Genève sur la philosophie de l'Histoire.*)

Sur les lois éventuelles (Genève) 1814 r.



De l'intérêt de la France à l'égard de la traite des Nègres. (Trzy wydania w Genewie 1813 r. a jedno wydanie w Londynie 1814 r.).

Nouvelles réflexions sur la traite des Nègres 1814.

Examen de la constitution française, 1815.

Histoire des Français. Ogromne to dzieło drukowane od 1821 do 1846 r. w Paryżu liczy 21 tomów.

Tom zaś 22 zawiera Table alphabétique et raisonnée des matières. Skrócenie téj pracy wyszło pod napisem: Précis de l'histoire des Français, 1839, dwa tomy w Paryżu. Rzecz doprowadzona tylko do 1599 r.

Julia Severa ou l'an 492. Trzy tomiki dwunastkowe wydane w Paryżu 1822 roku.

S.

## OBRAZKI Z PODRÓŻY PO ALPACH.

Wiadomo jak Anglicy mają potrzebę podróżowania tak dalece, że stworzono wyraz specjalnie angielskiego podróżującego oznaczający, to jest Turystę; czuje on nie ledwie obowiązek odbywania co rok jakiejś dalekiej wycieczki; co rok z nadejściem pory właściwej do rozmaitych podróży, ojciec rodziny przywołanym zostaje do udzielenia rady, w którą stronę młodsze i silniejsze od niego pokolenie ma się udać. Znoszą karty geograficzne, kombinują która droga krótszą i ciekawszą będzie, następują wzajemne ze znajomymi i sąsiadami układy, obietnice spotkania się to w Paryżu, to w Genewie. Jedni głosują aby się udać do pięknych Włoch, drudzy żeby raczej zwiedzić ciekawe a nie tyle znane im skandynawskie kraje. Zapalony do pieszych podróży, dobywa giętki a mocny kij, którego mu w roku zeszłym służył za silną podpórę w jego po Szwajcaryi przechadzkach. Drugi przygotowuje album, ciesząc się jak do bogatych już notatek w pierwszej podróży nagromadzonych, doda wiele innych tak różnych od tamtych, bo w przeciwniej nazbieranych okolicy. Zgoła wszyscy gorąco zajmują się przygotowaniem, nadziejami odświeżenia umysłu, nabraniem nowych wrażeń, zwiedzając inne kraje, poznając inne ludy. Szczęśliwi synowie Wielkiej Brytanii nie mają sobie tych wycieczek za złe, nie ściągają za nic słusznej nagany, która nigdy nie może dość chłostać spieszących za granicę mieszkańców Polski. Bo oni dobrze obliczyli swój przychód roczny i wydatki, z téj rachuby wypadło, iż bez naruszenia koniecznych, zabezpieczających od braku funduszków, mogą część dochodu swego, na przyjemną poświęcić przejażdżkę. Nadto, wiedzą że w niebytności ich, żadne nadużycie, żadna

strata w gospodarstwie zagrażać im nie może: iż przez to nie zadłużą się bankowi w opłaceniu procentów ciężących im na wiosce, nie zapożyczą się na drogi procent, nie przedadzą najprzód stojącego na pniu zboża. Nadto, jedynie przyjemnością i ciekawością zwiedzenia osobliwości zajęty Anglik, nie robi rozmaitych sprawunków, raz że dumny, sądzi że nigdzie równie dobrego towaru jak w jego kraju nie znajdzie, powtóre, że to nie wchodzi w budżet wydatków jego. Żona jego w czarnej do drogi praktycznej sukni, objeździe Europę i nigdzie nie zwiedza sklepów; równie piękne w kraju swym widziała, kupować nie myśli bo jój suknia jest bardzo przyzwoita, nie pragnie pokazywać się coraz w inniej. Pod takimi warunkami, każdy podróżujący wolnym będzie od nagany, od wyrzutów własnego sumienia, od smutnych następstw jakie go po powrocie czekają, jakimi opłaca krótkie przyjemności podróży.

Nieszczęściem rok terażniejszy zawiódł naszych angielskich podróżników; napróżno zgromadzali się i długie odbywali narady w którąby stronę udać się dla przepędzenia tych kilku tygodni wakacyj, odświeżenia myśli po całorocznych zajęciach. Wszędzie w Europie tak niepewna była spokojność że niewiadomo jaki było wybrać kraj do zwiedzania. Tu mówią o wojnie, tam się uzbrajają, ówdzie biją się na dobre. Biedny Turysta spłoszony temi oznakami wojennymi bardziej niż ptak wystawionym w ogrodzie strachem, zmuszonym został, albo po swoim przechadzać się kraju, albo też zasiadłszy w wygodnym krzesle, rozwinać przed sobą geograficzną kartę i iść za radą poety Herricka: „Patrz na obraz tych krajów, wystaw sobie jak wyglądają w naturze, wyobraź sobie



charakter ich mieszkańców; a bez użycia bussoli, bez kosztów, będziesz mógł odbyć długą bardzo podróż.”

Ktoby chciał pójść za radą walecznego poety, niech zasiądzie wygodnie, położywszy przed sobą karty geograficzne, kilka do tego widoków czarujących okolic alpejskich i niech przeczyta ten krótki wyjątek malujący podróż w Alpach.

„Z brzaskiem jutrzeńki wyjeżdżamy z Genewy, a przebywszy cudowną okolicę doliny Maglan, stajemy w Salansz w St. Gervais w Szamuni; z okien oberży naszej patrzymy na wychylający się z po za ciemnych chmur jasny szczyt góry Mont-blanc. Miejsca te są nadto znane abyśmy je opisywać mieli. Na końcu z doliny Szamuni przez przejście zwane Czarną-Głową do doliny Rodanu, na prawo, widzimy nieregularne grzbiety Alp Penińskich biorących tę nazwę od bożka Pena, czczonego przez Celtów. Olbrzymi ten łańcuch poczyna się od zachodu góry Mont-blanc a kończy się na górze lodowatej Szarej (Gries) której wierzchołek lodem pokryty panuje nad równinami Piemontu, tworząc naturalną granicę tego królestwa i Szwajcaryi. Tam to znajdują się góry słynne z wielkości i podań, jak góra Śgo Bernarda.

P. King, z którego opisu te wyjątki umieszczamy, nieogranicza się na opisie niebezpieczeństw jakie przebył w podróży po Alpach. Będąc artystą, odrysowywa zachwycające krajobrazy; zarazem jako botanik i geolog zatrzymuje się wszędzie gdzie tylko może uczonemi postrzeżeniami z bogacić zbiory swoje. Zresztą prostym ale nader pociągającym sposobem opowiada rozmaite epizody i podania sławniejszych miejsc zwiedzanych przez siebie. Ale lubo klasztor i góra Śgo Bernarda nie raz już były opisane, zdaje nam się, że nie bez zajęcia kilka kart które P. King poświęcił temu sławnemu klasztorowi, czytane będą.

„W niejakić od klasztoru odległości, jest wydany ku słońcu, wykuty na skale Teras; jedyne miejsce do przechadzki które zakonnicy Śgo Bernarda po za obrębem domu posiadają. Gdyśmy tam przybyli właśnie natenczas był cały śniegiem przysypany. W bliskości tego znajduje się ogród klasztorny osłonięty murem, w którym postrzegliśmy plamy czyli znaki sadzonej *mikroskopicznej* sałaty: w r. 1778 P. Saussure tam podróżując trafnie powiedział: że ledwie w sierpniu mogąc zebrać trochę drobnój kapusty i sałaty, sadzą je jedynie dla przyjemności żeby widzieć mogli, iż *coś przecie rośnie*.” Te próżne usiłowania aby mieć ogród, szybko przemijające tygodnie lata,

te zimne chmury wiszące nad górą, głębokie nam wrażenie zrobiły o poświęceniu i poddaniu się tak ostremu życiu zakonników Śgo Bernarda młode lata swoje tam trawiących.

„Przeszedłszy przestrzeń śniegiem pokrytą, wdrapaliśmy się na spadzistą skałę, nad brzegiem której wznosi się na kwadratowej podstawie gruby, prosty krzyż kamienny z napisem: *Deo optimo, maximo*. W czasie pogodnym krzyż ten zdaleka dający się widzieć, usprawiedliwia godło cnot i miłosierdzia jakich tu się wzniosły przykład znajduje.

„Noc i zimno zmusiły nas schronić się do klasztoru. Po niesporach i wieczerzy, zasiadłszy przy błyszczącym ognisku sosnowym, zacząłem rozmowę z dobrymi zakonnikami; ta mi odkryła ich szerokie wiadomości i wyższe zdolności tworzące szczególną sprzeczność ze ścieśnionem ich codziennem klasztornem życiem, i jednotonnem dzikiem schronieniem. Na tej lodowatej górze, mówią oni, życie im *śladko* i *przyjemnie* płynie w obowiązkach, naukach, i gościnności której każdemu przychodzącemu użyczają. Prócz przyjaciela naszego kanonika Léglise i drugiego kanonika Meillant; siedmiu jeszcze znaleźliśmy zakonników mających obowiązek czuwać nad potrzebami domu, mieć staranie o podróżnych i ludzi prostym; co nie jest wcale rzeczą łatwą, gdyż do tego klasztoru mnóstwo ludzi przybywa, a góra Śgo Bernarda posiada za całe bogactwo wyśmienitą wodę, ale zawsze *wodę tylko*. W jesieni zakonnicy każą zabijać z pasących się w dolinie, do czterdziestu sztuk krów i wielką liczbę baranów. Mięso to wszystko solą i przechowują na zimową żywność. Przez całą długotrwałą zimową porę nie zobaczysz w klasztorze świeżego mięsa. Łatwo pojąć że taki sposób życia, ostry klimat na tak nadzwyczajnej wysokości, niszczy prędko najsilniej zbudowanego człowieka; najpierw zaczynają chorować na bole głowy, później wywiązują się choroby wątroby i płuc. Mała liczba może długo znosić podobne życie. Kanonik Léglise mający lat czterdzieści żyje tu jednakże od dwudziestu dwóch lat, bywa często bardzo cierpiącym i wkrótce ma się ztąd usunąć, chociaż najmniejszego uskarżenia się z ust jego nie słyszeliśmy. Pierwój nim tu został przełożonym, był profesorem teologii i stosownie bardzo prowadzić umiał uczniów swoich. Jest to człowiek bardzo szanowany i kochany przez wszystkich a szczególnie służących których często, a mianowicie w zimie, zgromadza dla udzielania im nauk religijnych.

Skoro zakonnik jaki nie może już znosić ostrości ży-



cia tutejszego klasztoru, wysyłają go na proboszcza lub do Zakładu w Martyni należącego do klasztoru Śgo Bernarda. Z ciężkością im przychodzi przyzwyczaić się do nowego sposobu życia, odwyknąć od towarzysstwa podróżujących. Im więcej poznaliśmy, im dłużej byliśmy w tym domu schronienia, tém więcej uczuliśmy poszanowania i uwielbienia dla czcigodnych następców pełnego miłości chrześcijańskiej, ich fundatora.

Zajmującą jest historia Śgo Bernarda urodzonego roku 923, przez kronikarzy ówczesnych podana. Był on jedynym synem Ryszarda Menton, dziedzicem zamku tegoż nazwiska, położonego nad jeziorem Annesy wraz ze znacznymi przyległościami.

Rodzice wysławszy go na nauki do Paryża, przywołali go później dla ożenienia go z młodą, piękną i szlachetną dziewczynką w sąsiedztwie, Małgorzatą de Miolans. Pokazał się nieczułym na wszystkie korzyści i wdzięki Małgorzaty jako téż i na usilne prośby rodziców mających jego tylko jednego do utrzymania zgasnąć mogącego imienia. Bez ich wiedzy i zezwolenia postanowił siebie wraz z guwernerem swoim poświęcić stanowi duchownemu. Rodzice domyślając się wpływu guwenera, oddalili go, a wzięwszy Bernarda zawieźli go do zamku Miolans; tam uradzili małżeństwo z Małgorzatą; wszyscy się cieszyli ze związku dwóch najzamożniejszych rodzin. Lecz w wigilją dnia, w którym ślub miał nastąpić, Bernard poszedłszy do swego pokoju, błagał patrona swego o natchnienie; miał tam nadnaturalną wizję, która go natchnęła odwagą, napisać list pożegnalny do rodziców, zostawić go w pokoju a samemu uciec przez okno. Najniebezpieczniejszemi ścieżkami przybył aż do Aost gdzie przyjętym został przez archidjakona Piotra de la Vald'Isere. Tam został księdzem a po śmierci swego obrońcy objął po nim urząd. Wkrótce poznana została jego pobożność, gorliwość i niezmordowana chęć pracy. Biskup z Aost przybrał go za pomocnika do administracyi dyecezyi swój. Lecz Bernard nadewszystko przykładał się do zakładania jaknajwięcej szkół. W tém to mieście Aost, położonem u stóp łańcucha gór Alpejskich, doznał bolesnego uczucia dowiadując się o niebezpieczeństwach i nieszczęściach na jakie podróżujący wystawieni byli w tych trudnych i strasznych przejściach, w których bandy łotrów napadali, mordowali i obdzierali przechodniów. Postanowił sobie nawracać zbrodniarzy.

Na miejscu gdzie dawniej była świątynia pogańska wystawił kościół chrześcijański; naostatek założył sławny klasztor, którym przez czterdzieści lat za-

rządał. Nazwanym był Alp apostołem, a sława jego na wszystkie strony rozeszła się.

„Pomiędzy temi którzy na odgłos świętobliwości i mądrości jego schodzili się odwiedzać klasztor, razu jednego przybyło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta zasięgnąć rady jego i powierzyć mu dolegliwości swoje, wyraz ich twarzy nakazywał poszanowanie i cześć niejaka. Z żywym uczuciem opowiedzieli mu że mieli jedynego syna którego najstaranniej wychowali, przewidując najszcześniejszą dla niego przyszłość. Ze życzeniem ich było aby się ze szlachetną i miłą bardzo osobą połączył i że w dzień ślubu zniknął, zostawiwszy kilka pożegnalnych wierszy w których żadnej skazówki gdzieby się udał, nie znaleźli.— Odtąd łzy ich prawie nie oschły, używali wszystkich sposobów, wszystkich poszukiwań, lecz wszystko nadaremnie okazało. Teraz zaś kiedy starość już ich nad grobem postawiła, całym ich pragnieniem jest choć raz przed śmiercią uściskać go i pobłogosławić. Archidjakon jak mógł wstrzymywał wzruszenie gwałtowne, które nim w czasie opowiadania tego miotano. Przygotowując ich do nadziei ujżenia syna, odpowiedział, mówiąc: że kiedy Bóg go natchnął aby tak uczynił, to pewnie Bóg okaże dobroć swoją i pozwoli aby go zdrowym ujrzeli, że pójdzie pomodlić się o to. Rodzice zostawszy sami mówili do siebie, że ten święty archidjakon ma coś w rysach takiego, co im syna przypomina, ale nie śmieli nawet zastanawiać się długo nad tak niepodobną do ziszczenia myślą. Gdy w tém Alp apostoł wpada w ich objęcia wymawiając te słowa: „Jam wasz syn Bernard!” Przesiedziawszy kilka dni u syna z całym wylaniem czułości, powrócili do zamku skończyć dni swoje; jak Simeon, błogosławiąc Boga, że im przed śmiercią dał ujrzeć przedmiot ich miłości i tak długiego żalu.

„Przed końcem życia swego, udał się Bernard do Rzymu aby otrzymać poświęcenie statutu klasztoru swego. Wracając ztamtąd umarł w Nowarze r. 1008. Czaszka i jedna ręka jego są złożone pod ołtarzem w kaplicy klasztornej.”

„Gdy po miłej i zajmującej z zakonnikami rozmowie rozchodziliśmy się na spoczynek, zaprowadzono nas do maleńkiego, nadzwyczaj schludnego pokoiku gdzie ogromny w kominie palił się ogień.

„To dla Pani,” powiedział nam wprowadzający nas zakonnik (pan King bowiem z żoną wspólnie odbywał tę podróż.) Żeby pojąć cenę takiej uprzejmości, trzeba przypomnieć sobie że na wysokości dziewięciu tysięcy stóp, gdzie żadnej już roślinności a témbardziej drzew niema; z nadzwyczajnym utrudzeniem i pracą



znajdują takowe. O piątej z rana obudziły nas dzwony wzywające na modlitwę zakonników i wkrótce dał się słyszeć głos organu na korytarzach przyległych do kościoła. Pospiesziliśmy złączyć modły nasze z temi pełnemi poświęcenia istotami; znalazło się tam z pięćdziesiąt włóścian modlących się przed zaczęciem powrotnej podróży. Msza była śpiewana, na której ze smutnym uczuciem słuchaliśmy bardzo biegle grającego młodego księdza, wracać mającego na dolinę i któremu bliski koniec zapowiedziano! W kościele tym jest pięć ołtarzy, mury czyli ściany ozdobione malowaniami al-fresco i rozmaitemi pięknościami; dziwną to tworzy sprzeczność z czystym ale bardzo prostym i ubogim w ozdoby klasztorem. Prócz relikwii Śgo Bernarda kościół posiada jeszcze relikwie Śgo Ireneusza i Maurycego, dwóch męczenników ze sławnej legii Tebańskiej, składającej się z 6600 chrześcijan, wymordowanej z rozkazu Cesarza Maxyma.

„Po nabożeństwie oprowadzano nas po klasztorze, najpierw pokazano nam salę gdzie było mnóstwo biednych, obdartych, z żonami niedołężnymi, schorowanymi, z dziećmi, wszyscy w wielkiej nędzy. Każdemu z nich rozdawano ciepłą zupę, chleb, sэр, i szklankę wina czerwonego, w drugiej sali byli wieśniacy ale przecie w mniej opłakanym jak tamci stanie. W trzeciej byli kupcy i uczniowie, a w kuchni przewodnicy i właściciele mułów do najęcia, pilnujący gotującej się dla nich polewki, pożywną woń wydającej. Po kawie i miodzie poszliśmy odwiedzić sławne psy, które w wigiliję były sobie wyszły. Skutkiem fatalnych chorób pozostało ich tylko dwoje, *Mars* i *Junona*, te szlachetne stworzenia pozwoliły się pieścić, same kładąc w ręce nasze swoje mordy a potem zanurzały się w śniegu. Junona cierpi chorobę piersiową i bardzo się boją aby ta jedyna i tyle użyteczna rasa nie zaginęła! pomimo że przez przezorność, szczenięta posyłano do małego klasztoru Śgo Bernarda w dolinę Martini i do Symplom; te jednak nie wychowały się!

„Dobrzy zakonnicy zapraszali nas aby jeszcze kilka dni z nimi pozostać, ale nasz odjazd i wszystkie przygotowania już naprzód porobione, nie dozwoliły nam korzystać z ich gościnności. Podziękowawszy więc serdecznie za przyjęcie, udaliśmy się ku stronie łańcucha gór włoskich, ledwie dostaliśmy się na dolinę gdzie pasły się krowy klasztorne, promienne słońce zabłysło oczom! podnieśliśmy wzrok na szczyt góry Śgo Bernarda okrytej ciężkimi chmurami i pomysłiliśmy sobie: otóż to ci święci w każdej porze,

na swęj ostręj i zimnej górze, nieustannie spełniają czyny miłości chrześcijańskiej!”

Część kraju oznaczona przez pana King, pierwęj z wielką znajomością i uczuciowo była opisana przez autora *Anonyma* w małej książce pod tytułem: *Przechadzka jednej kobiety w okolo góry Różowej* (Rose). Trzy razy ta pani zwiedzała tę pyszną górę. Pierwszy raz przybyła na nią przez przejście Gemmi wchodząc przez dolinę szwajcarską Śgo Mikołaja na lodowatą górę Goerner. Ztamąd napatrzywszy się od Zachodu na olbrzymie wierzchołki gór, powróciła do Valais, przeszła Śgo Bernarda i Aleję białą (allée blanche) podziwiała wspaniałą panoramę góry Mont-blanc. W sześć lat później, w przeciągu 20-stu minut przeszedłszy piechotą górę lodowatą Szarą (Gries) udała się znów do Görner, zkąd przez dolinę Saas od *Wschodu* znalazła się na górze Różowej; tam jest przejście góry Mora, której nie można inaczej przebyć, tylko stopą ludzką. Żadne zwierze domowe prócz z mocniejszymi od mułów nogami krów szwajcarskich, dojsć tam nie może. Jakkolwiek bardzo niebezpieczne to przejście, nie zraża jednak wcale naszej ładnej podróżniczki zachęconęj swemi powodzeniami; przedsięwzięcie więc ślizgać się od strony Włoskiej, lecz to jęj się nie udaje! Pochmurny brzydki czas nie dozwala jęj nacieszyć się widokiem dla którego tyle trudów podjęła i który z tęj strony Różowej góry ma być cudownym i zachwycającym. Pociesza się w swym zawodzie, spuszczeniem się w piękną wesołą dolinę Anzaren przedstawiającą zachwyconym oczom, wszystkie przyjemności klimatu włoskiego; z tęj doliny udaje się do Wenecyi. Trzeci raz powraca przez Grimsel, robi wycieczkę do jeziora Marjalan, wraca przez Ossola w dolinę Anzaren; tym razem odwiedza zlodowaciałości Makugnana, do których dojsćie nadzwyczaj trudne. Udaje się na południe góry Różowej przez doliny Włoskie Alpejskie do Varallo, do jezior Orta i Omega, które p. King wymienia jako najcudowniejsze punkta. Niepogody jeszcze ją zmuszają do porzucenia swego przedsięwzięcia; schodzi do Châtillon, zkąd w otwartym koczku jedzie do Turynu.

Ci co nie znają Alp z innych źródeł tylko z kart geograficznych, albumów i panoram, z trudnością nie małą mogliby pojąć rozmaite przykrości, trudy i niebezpieczeństwa jakich się doznaje w podróży tak w krótkości skreślonej. Śliczny obraz pana M. W. Bewerlej daje bardzo jeszcze niedokładne wyobrażenie o trudach i unuczeniu wstępujących podróżnych na górę Mont-blanc, do której trzeba kilka tygodni męczyć się po Alpach. Jednakże nie chcemy zmniejszać



zasługi tych, którzy odważają się wejść na wierzchołek olbrzymiego łańcucha gór: zawsze to tylko praca dnia jednego, gdzie każdy krok najprzód oznaczony, a każde niebezpieczeństwo przejrzane. Wychodzi się z dobrego hotelu, opatrzywszy się we wszystko co może służyć do wygody i pomocy w razie jakowego przypadku; wyjeżdża się z przewodnikami i towarzyszami podróży i wesoło rozpoczyna się droga. Ze wsi i doliny ścigają cię przez teleskopy patrzące oczy; czujesz jadąc czy idąc, że wszystkie z Chamouni a tém samém z Times i świata całego oczy są zwrócone na ciebie. Może ci się zdarzyć iż wichur zrzuci cię w przepaść, albo lawina zasypie; ależ takie wypadki często nie zdarzają się. Jak już jesteś na Mont-blanc, spojrzysz na te okręgi łańcuchów gór, na tworzące się potoki, strumienie, wąwozy i przepaście: tam już nie spodziewaj się stołów gospodarskich, (table d'hôte) i żadnej pomocy z życia ucywilizowanego; aby dojść do tego labiryntu pustyni, potrzeba koniecznie mocnych bardzo nerwów, cierpliwości, sił fizycznych i moralnych, jasnego i wyraźnego pojęcia jakim sposobem przedsięwziąć i dokonać tego przejścia. Tam, po pełnym utrudzeniu dnia, nie można w dobrej oberży wypocząć, nie można nawet wielkiej spodziewać się po przewodnikach pomocy, a szczególniej objaśnienia: nie w jednym razie porzuciwszy muły trzeba rachować jedynie na swą wytrwałość i odwagę własną. Mało mężczyzn jest zdolnych pokusić się na tę podróż i p. King jest z ich liczby, ma wiele doświadczenia i wie jak sobie postąpić dla zmniejszenia niedogodności takowych podróży. Nadto, dużo ma wiadomości literackich, naukowych, które go uszlachetniają i pobudzają do wyszukiwania wszystkiego co ciekawe i pożyteczne.

Najprzód składa swoje rzeczy tak aby jak najmniej miejsca zajmowały i te tylko których niezbędnie potrzebować musi. Żona odbywająca z nim podróżę musi mieć swego muła, chociaż w potrzebie dużo chodzić, bo do czternastu godzin dziennie, może. Na tym mule jest umiejętnie zrobione siodło podług wszelkich wyrachowań zastosowanych do praktyki; przy tém siodle jest wiele kółek do których rozmaite rzeczy są poprzyczepiane; dla równowagi po drugiej stronie wieszają worki z istotnie potrzebnymi przedmiotami; wreszcie to siodło złączone jest z walizką z ugomowanego płótna dla ochronienia od deszczu zielnika, ubiorów i potrzebnych do pożywienia rzeczy.

Takie jest jego przygotowanie na dwumiesięczne wycieczki, i cały ten aparat waży tylko sześćdziesiąt

funtów. Jest to dzieło artystyczne, a jako artysta doświadczony który drobiazgowo obliczył wszystko i porównał ciężary; nigdy z ułożeniem jego nie spuszcza się na cudze ręce, sam nawet zwykle kulbaczy muła i popręgi przypina, nie dowierzając rękom najemniczym.

Odważna Turystka opowiadała nam sama potrójne swoje odwiedziny Różowej góry, i zalecała bardzo siodła wymysłu p. King. Oberżyści w Piemencie zaczynają uważać że są korzystne; — jeszcze jednak trudno dostać ich na tak znaczną ilość podróżujących po Alpach; często się zdarza że kobiety puszczając się między góry, muszą poprzestać na starodawnych kulbakach z przyczepionym koszem na siano i pokryciem bardzo ordynaryjnym.

Kilka razy w ciągu podróży swoich p. King nie używał wcale mułów. Cały ładunek dając do przeniesienia najętemu wieśniakowi; a czasem silnej i zdrowej kobiecie. W niektórych miejscach jak np. w dolinie Champorcher muły są nieznane, a na widok kobiety usadowionej na tém czworonożnym zwierzu udającej się w pełne niebezpieczeństwo ścieszki, budzi się w widzach, podziwienie i przestach. Niebezpieczeństwo nie zawsze jest nieochybnie i tak wielkie jak się zdaje, jednakże jest istotnie. Muły bowiem mają swoje zastarzałe, nie wygodne dla podróżnych nałogi lub zwyczaje, których najdoświadczeńsi górale czasem przewidzieć nie mogą, np. raptownie schyla łeb, dla zerwania kępki trawy, albo dla napicia się; jeżeli jeździec nie ma na zwierze ciągłej baczności i ostrożności, może w jednej chwili; skutkiem raptownego ruchu muła, przez łeb jego przelecić i spaść w przepaść: takich położzeń rachować można 9 do 10, spadnięcia więc takie bywają śmiertelne. Druga nieszczęśliwa manja muła, iż najczęściej lubią iść na samym brzegu ścieszki nad przepaścią; utrzymują że ten zwyczaj odziedziczyli po swych przodkach któremi z całej Europy prowadzono towary, i opakowane muły narażone były na zaczepianie się o skały pakunkami; po tych więc wązkich ścieszkach z jednej strony wysokie mającemi góry a z drugiej przepaście, musiały stąpać nad samym brzegiem. Jeszcze jeden rodzaj fantazji tych zwierząt, że napotkawszy miejsca piaszczyste i tuman kurzu, wiatrem poruszony, niemogą oprzeć się chęci tarzania się; trzeba więc w samym początku jak tylko zabierają się do tego, i zaczynają rozciągać nogi, przeszkodzić im; bo potem żadna siła ludzka nie oderwie ich od téj dla nich przyjemności.

Jeżeli te zwierzęta narażają często na niebezpieczeństwo, nawzajem nie raz prawdziwym są ratunkiem



człowieka; zdarzyło się Panu King, że w najniebezpieczniejszej przeprawie muł jego wystrzałem jakiegoś strzelca przestraszony, zatrzymał się, oparłszy nogi tylne o cal nad przepaścią; potem zdawało się jakby mocno rozmyślał i uważał gdzie bardziej grozi niebezpieczeństwo i tak szczęśliwie kroki skierował, iżby rozumem obdarzony człowiek nie mógł roztropniej postąpić.

Drugi raz nad jeziorem Champorcher wypadło im wdrapać się tak wąską ścieżką że muł ledwie miał tyle miejsca gdzieby nogi swoje mógł postawić; p. King prosił żony żeby zsiadła, ale już za późno było! patrzył więc z przerażeniem i ściśnionem sercem, ledwie oddychać mogąc, jak muł unosił zręcznie i odważnie żonę jego nad straszną głębią jeziora, na skalistej nierównej a nadzwyczaj, zdala ledwie dojrzaną, wąską ścieżkę, kurcząc się i zatrzymując na chropowatościach, żeby na linię jedną nie chybić miejsca. Pasąca trzodę owiec w dolinie dziewczyna, wzniosła ręce do nieba z troskliwością aby Milady nie wpadła w głębie.

Insze jeszcze, których uprzedzić ani przewidzieć nie można, niebezpieczeństwa, grożą podróżującym; na złodowaciałej górze Awril, z łoskotem pioruna pękła skała w miejscu, które tylko co przeszli państwo King: całe przerażenie nie mogło wstrzymać ich ciekawości; zwrócili się kilka kroków aby zajrzeć w tę nowo sformowaną przepaść w rozpadlinie.

W lodowatej górze Lys tak zbłąkali się między lodami i rozpadlinami że nie było prawie sposobu z nich wydostać się. W końcu wynaleźli dość łatwą aż do niejakiego punktu drogę, lecz ta znalazła się przerwaną kilkunasto-sażniową szeroką przepaścią, a niezgłębioną prawie. Nad tą ciemno-niebieską otchłanią, oświetloną nadprzyrodzonym prawie sposobem, rozciągnięta była nakształt mostu, kilkocalowej szerokości, bryła lodu. Najłżejsze wstrząśnienie nerwowe, pośliżnięcie się, nawet drganie powietrza, mogło na wieki pochłonąć śmiałka awanturującego się na tak straszliwą przeprawę. Szczęśliwie jednak i bez szwanku nasi podróżni dostali się na drugą stronę przepaści.

W tych to oddalonych miejscach, zwiedzanych przez PP. King długo można podróżować nim się natrafi mieszkanie ludzkie, gdzieniegdzie tylko spotkać można mizerny szałas, a im dalej posuwa się w góry, tém rzadziej nawet i te letnie dla pasących trzody szałas, w tych uroczytych, strasznych pustyniach, ujrzyć się dają. Turysta puszczający się na te wycieczki, powinien bardzo wyrachować wszystkie odległości a nadewszystko czas do tego potrzebny, aby mógł

znaleźć jakieś przed nocą schronienie; inaczey na wielkie niedogodności i prawdziwe niebezpieczeństwa narazić się musi. Bo gdy go noc zaskoczy zdala od wsi lub chociaż od samotnej chaty, wśród nieprzebytych sosnowych i modrzewiowych lasów, wśród rozpadlin, bystrych potoków i ślizkich lodów, które w dzień jasny z taką trudnością i niebezpieczeństwem ledwie przebydź można; to w nocy, znajdzie się w położeniu, jakiego nigdy nikt opisać i pojąć nie jest w stanie; możnaby dać o takim położeniu słabe wyobrażenie, gdyby podobieństwem było w najrozpaczliwszych chwilach to opisać: lecz najczęściej się trafia że przykre uczucia i wrażenia gdy raz przemina, wtedy obraz zaciera się pociechą szczęśliwego wybrnięcia z nich; czasem nawet kończy się śmiechem z tego, co o włos nas życia nie pozbawiło. Najważniejszem tu zaleceniem aby wstawać prawie przed świtem zapuszczając się w nieprzewidziane przeszkody, jakie się w tych niezwydzanych jeszcze miejscach przytrafiają. Pewnego dnia nasi PP. King napadnięci zostali w szyi góry Egera gęstą bardzo mgłą, przez co tak zbłąkali się, że zdawało się iż cudem tylko mogą być wybawieni; szyja ta prowadzi do wschodniej strony góry Różowej. Zrana niebo było pochmurne, później błysnął promień słońca i to im dodało odwagi iż puścili się, w podróż; w południe doszli do końca doliny, z kąd widać było prowadzącą do góry różowej ścieżkę. Raptem wielka mgła okryła dolinę i jakby franką zasłoniła wszystko; deszcz zaczął padać. Nieprzestali kierować się ku ścieżce której już dojrzeć nie mogli. Mgła tak była gęsta że idąc jedno obok drugiego widzieć się wspólnie nie mogli; szli długo z wielkiem utrudzeniem po krętej nad przepaścią ścieżce; doszli w wąwoz pomiędzy góry, gdzie chmury rozbijały się pod ich nogami, nieszczęściem zapomnieli worka z żywnością i musieli poprzestać na kawałku czarnego chleba i napoju ze śniegu; skończywszy, trzęsąc zębami, ten wspinały popas, widzieli tylko zamiast zachwycającego widoku z różowej góry, chmury zgęszczające się pod sobą. Najokropniej dla nich było że nie tylko sami, ale i przewodnik nie mógł domyśleć się w którą stronę udać im się wypadało. Przez chwilę schronili się pod skałę z kąd jednak żadnego śladu ścieżki nie znaleźli; coraz zwiększająca się mgła kazała im przewidywać że tam straszną noc przebydź będą musieli. W tak rozpaczliwym położeniu P. King zostawiwszy pod skałą żonę z mułem, sam z przewodnikiem poszli szukać jakiego przejścia. Wszystkie poszukiwania zdały się być daremne, spotykano tylko przepaści,



bagna i skały na skałach. Nareszcie radośny krzyk przewodnika dał się słyszeć, pospieszyli na wynalezioną przez niego ścieżkę: po pochodzie dwugodzinnym znaleźli się w tymże samym co pierwój kłopotcie, tak, że już chcieli wracać pod skałę. W tej dręczącej niespokojności, z małą nadzieją aby to ich wybawiło, zaczęli wydawać krzyki rozpacz; ale jakaż była ich radość gdy po chwili usłyszeli odpowiadający im głos ludzki! był to głos pasącego w dali trzode; skierowali się w tę stronę gdzie głos słyszeli pomimo mgły strasznej, i wzywali pasterza aby im w pomoc przybył. Okrutny pasterz nie chciał tego bez znacznego bardzo wynagrodzenia z ich strony uczynić. Lecz gdy jemu samemu szło o to, aby przed nocą dostał się do wsi, z której rano jeszcze wyszedł, poprzestał na tém, że im wskazał kierunek. To jednak uratowało biednych naszych podróżnych; idąc z wielką ostrożnością i zaglądając często do busoli, nakoniec doszli do wsi zamieszkałej.

Najbardziej jest zajmującą dla podróżujących w Alpach sprzeczność obrazów, szczególnie przybyszycy od strony Lys: dopiero się znajdują w dzikich, strasznych przepaściach, lodach; w kilka godzin zstępują na najprzyjemniejsze od strony Włoskiej doliny, zasiane zbożem, pomiędzy winnice zieleniejące, ogrody, napełnione brzoskwiniami, figami; ku starych domów balkonem ustrojonym dzikimi winogradami i innymi pnąciami się roślinami. Wszystko w tych niższych częściach dolin, jako to: zwyczaje, ubiory, fizyognomje, wszystko ma cechę Włoską. Lud niezdolny do pracy wygrzewa się na słońcu, spuszczać się jedynie na miły klimat. Wieśniak nie potrzebuje poprawnych i wytwornych pługów do zorania i przewracania skib jak gdzieindziej, bo wszystko mu dojrzewa na żyznej ziemi, ogrzanej dobroczynnymi promieniami słońca.

Inaczéj zupełnie przedstawia się oku, wyższa część doliny. Tam jest osiadłe od niepamiętnych czasów plemie niemieckie, ze zwyczajami, obyczajami i pracowitością niemiecką, z językiem popsutym innymi dialektami, ale zawsze niemieckim.

Wieś Rima mająca do dwóchset mieszkańców jest ciekawym egzemplarzem tej osady germańskiej. Ma zbiór domów pobudowanych w stylu i guście niemieckim, na wzgórzu panującym nad wielą górami, w położeniu południowo-zachodniem Różowej góry; rozpadliny, przepaści oddzielają ją od reszty świata. Zima tam od listopada do maja a czasem do czerwca panuje. Dla czego ta kolonija tam się osiedliła? niewiadomo. Zdaje się że osada już od dwóch przynajmniej wieków istnieje, to tylko jest pewnością że zachowała obyczaje i mowę przodków. Mężczyźni i kobiety są mocno zbudowane; żenią się między sobą, pomimo to cały ten ród nie maleje i nie nikczemnieje. Mężczyźni na całe lato opuszczają domy, wychodzą za różnemi spekulacyami, zostawiając żonom zatrudnienia gospodarskie i starania o bydłach domowych. Podróżujący któryby tam doszedł w lecie, nie znalazłby żadnego mężczyzny, tylko kobiety i dzieci.

Dla zakończenia tego obrazu, przytaczamy tutaj słowa p. King: „Alpy ze swemi olbrzymiemi, lodowatemi górami, grzmiącemi lawinami, z pianistemi, bezustannie z szumem spadającemi w doliny potokami, gdzie dojrzewają winne grona i figi; sprzeczność jaką się tam znajduje, w najstraszniejszych i przerażających obrazach, obok najroskoszniejszych miejsc; wszystko cośmy w przejściu Alp widzieli, nazawsze zostanie wyryte w pamięci naszej. Tam nauczyliśmy się lepiej rozumieć właściwość słów Psalmisty: „Dzieła Pana są wielkie, a wszechmocność Jego jest wieczna.”











## KROKODYL

### I WŁADCA JEGO OJCZYZNY.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Mimo przywiązania do rodzinnej rzeki, zapewne nader niekorzystnie wydają się brzegi Wisły naszej, tym, którzy wyruszywszy statkiem parowym, pełni nadziei że rychło staną na pożądanym miejscu, nagle osiadają na piasku! Jeżeli jeszcze brzegu, do którego, przyciągnąć statek można było, nie ocieniają drzewa nie zdobią zabudowania porządne, jeżeli tu i owdzie krzywe krzaki sterczą wśród wydmy piaszczystej; jakże szkaradną postać przybiera cała okolica! jakaż niecierpliwość ogarnia wszystkich, jak wiele się najstręcza smutnych uwag! między innymi, że jedyna rzeka nasza, nawet tyle wody, tyle nurtu bystrego nie ma, żeby bez zawodu podróżni powierzać się jej mogli! Owi podróżni, w tak smutnej znajdujący się przygodzie, niech sobie na pociechę raczą wystawić niebezpieczeństwa, jakieby ich spotkać mogły na innych szybkich nurtach wód bieżących, wśród czarownych pięknością widoków, a pogodzą się z rodzinną rzeką, nad którą nie unoszą się drapieżne ptaki, a na brzegach jej nie wygrzewa się straszny krokodyl. Stokroć nam lepiej pod naszym niebem nie zbyt zimnym ani też zbyt skwarnym; stokroć bezpieczniej na naszej ziemi nie zagrożonej trzęsieniem, nie znającej szakala i krokodyla. Na zaspokojenie nudy, zawodu, niech wyobraźnia pań nadspodzianie osadzonych na piasku, wystawi im niebezpieczeństwo, jakieby im groziło gdyby się nagle w towarzystwie strasznych krokodyli znalazły! a w ten czas, niewątpliwie będą wolały patrzeć na piaszczyste brzegi Wisły niż np. na piękne wybrzeża wyspy Jawy, gdzie, jak wiadomo, tak straszne są krokodyle.

Mniemają przyrodnicy że krokodyle gnieźdzą się w bagnistym wnętrzu tej wyspy i tylko wychodzą z nór swoich gdy są zmuszone z głodu szukać pożywienia. Polowanie na to drapieżne, czatujące na zdobycz zwierze, jest bardzo trudne; lubo krokodyl nie obrotny, karku nie może zgiąć wcale, ale że ma nad-

zwyczaj twardy na sobie pancerz z łuski jakby kościanej, przeto go ciężko pokonać; pomimo, że ile gotów napadać spokojnego a szczególnie śpiącego człowieka, o tyle boi się i ucieka od ludzi z bronią na niego napadających. Jeżeli uda się krajowcom razem kilkoma strzałami ugodzić straszne zwierze, przebić twardą łuskę na karku, rozranić paszczę, wtedy pokonany wpada w wodę, z kądem go dopiero z trudnością wielką można wyciągnąć. Krokodyle dorastają ogromnej wielkości, są najdrapieżniejszymi, najniebezpieczniejszymi zwierzętami w tym względzie. Silne, żarłoczne, w biegu prosto kierunkowym, mimo krótkości nóg, bardzo szybkie, napadają i pożerają zwierzęta wszelkiego rodzaju. Ludzi odważnie ku nim postępujących unikają; ale przeciwnie ścigają uciekających z zaciętością. Azja, Afryka i Ameryka mają właściwe gatunki. Krokodyle mieszkające w Ameryce są odważniejsze i drapieżniejsze niż Afrykańskie, mają także zęby bardziej kończyste. Wszystkie lubią grzać się na słońcu; leżąc na piasku, trzymają paszczę rozwartą: cała powierzchnia wewnętrznej paszczy jest pięknie cytrynowo-żółta, tylko obwód krtani mają krwawo-czerwony. Krokodyle z wyspy Jawy odznaczają się wielkością niekiedy nadzwyczajną.

Mówiąc o krokodylu, nie właściwie może będzie, czujemy to sami, wspomnieć o młodym mężczyźnie; lecz ponieważ z jednej pochodzą krainy, nie odrzeczy będzie powiedzieć parę słów o nim, tembardziej że zapewne krokodyl pokazywany w menażeryi, nie byłby obudził większej ciekawości, jak młody rodak jego w salonach Europejskich. Był to książę Jawy. Odebrawszy wykształcenie jakie mógł w ojczyźnie swojej znaleźć, tak wielki do malarstwa uczuł pociąg, iż porzucił kraj swój, aby się w tej sztuce doskonalić. Udał się więc do Europy i przed kilkunastą laty mieszkał czas jakiś w Dreźnie, gdzie trawił godziny na wpatrywaniu się z uwielbieniem na arcydzieła tam-



tejszej Galeryi, które studyować usiłował jako artysta. Znał go osobiście nasz rodak January Suchodolski i zrobił jego portret, który ma dziś w swój pracowni. Zręczna postać, przystojna, pełna wyrazu oliwkowa twarz, ubiór malowniczy nakształt tureckiego, wszystko to czyniło z młodego księcia Jawy, nadzwyczaj zajmującą postać. Zapraszano go, chwailono, pokazywano sobie wizytowe karty po francuzku litografowane: „*Prince de Java*” a potem..... potem.... zapomniano!....

Było to przecież istotnie ciekawe zjawisko, świadczące o potędze sztuki, która gdy raz umysł człowieka oładnie, dodaje mu siły do pokonania wszelkich trudności. Jój potęgą pchnięty młody, niedoświadczony, nieświadomy mieszkawiec wysp Indyjskich; porzucił kraj, rodzinę, przesady religijne, przebył morza, aby się z tą kochanką wyobraźni swój bliżej zapoznać! Gdzie się dziś obraca nasz bohater z Jawy,

powiedzieć nie umiemy <sup>1)</sup>. Może nie żyje, a może też istotnie zatęchnił za piękną ojczyzną; może teraz przechadza się po ulicach Batawii, pełnych przepychu zarazem Wschodniego i Europejskiego. Jakże po cichem Dreźnie, to wielkie blisko dwu-milowej długości miasto, stek rozmaitych goniących za handlem narodowości, gwarem wspaniałym mu się wydaje! A może uniosłszy niezatarte wrażenia arcydzieł sztuki, której się w Europie oddawał, lub żyjących piękności które uwagę zajmującego księcia Jawy obudzić pragnęły, marzy o podróży swojej, siedząc pod drzewem *smutném* zwaném. Może zapach narkotyczny kwiatu drzewa smutnego, którego dopiero po zachodzie słońca zwieszoną podnosi głowę, jeszcze mocniej rozmarza jego, tęsknącą za przeszłością, wyobraźnię!

<sup>1)</sup> Mówiono nam że powrócił do swego Państwa, lecz nie możemy tego z pewnością twierdzić.

## NIKTÓRE RYSY OŚWIATY CHIŃCZYKÓW I ICH ZWYCZAJÓW.

(Dalszy ciąg)

### II.

Zdaje się jakby naród Chiński nie miał nigdy dzieciństwa—a przynajmniej to dzieciństwo było mniejszem i rychlej przeminęło jak we wszystkich innych narodach, albo też my wcale o niem nie wiemy. I tak, kiedy obok, szalona, dziecinna jeszcze myśl Indyjanina błąka się w ciemnej krainie wyobraźni; Chińczyk mimo mgły mitologicznych podań, które także po ziemi jego krążyły, wznosi się nad nie, z całą siłą dojrzałego rozumu dochodzi do poznawania prawdy, rozważa i rachuje! Kiedy potem wielki poeta Wschodu, Machomet, ognistemi słowy, wyroki Boga ogłasza, zatém bogactwem gorącej wschodniej wyobraźni uposaża niebo które prawowiernym obiecuje; Chińczyk zawsze rozważa i rachuje! A jako dumny ze swojej rozumowej wyższości, wie dobrze, że on pierwszy pojął co jest silna wola, co miłość człowieka; tém się cieszy, niepomyślny że tylko na tablicach bambusowych, w dwuczłonowych znakach to piękne prawo urzeczywistnił.

Konfucjusz jednak jest wyjątkiem, bo chciał je w ży-

cie, w czyn wprowadzić; nauczał lud, zakładał szkoły. On lubo nie pierwszym ale największym był myślicielem, a razem prawodawcą Chin. On to zebrał zabytki historyków, filozofów, polityków i moralistów poprzednich i ułożył w jedną całość. Słusznie Chińczycy chlubią się Konfucjuszem; istotnie, podobnego mędrca nie było na całym Wschodzie. Jakichże wielkich nadziei zda się być naród, którego obok mędrców przed Konfucjuszem wyższymi pojęciami prawdy odznaczających się, wydał na 600 lat przed Chrystusem człowieka pełnego mądrości a razem chrześcijańskiej pokory, pełnego zdolności do rozbierania najgłębszych, abstrakcyjnych i metafizycznych zadań, a razem tak zdrowo, tak praktycznie, rozbierającego wszystkie administracyjne kwestye! Jego księga Szuking na wielką zasługuje pod tym względem uwagę; składa się ona po większej części z prawideł dla rządzących, z określeń warunków w jakich się zamyka podobna umiejętność.



Konfucjusz obrał tu sobie istotę bajeczną cesarza Jao i opisuje rządy jego i szczęście ludu w braterstwie żyjącego. Nie można powiedzieć ażeby opisując różne zdarzenia z czasów panowania cesarza Jao, nie wpadał w drobiazgowości, które uśmiech na usta wywołać mogą; mimo to jednak jest tam tyle pięknych myśli, tyle wielkich prawd, iż słusznie autor téj księgi na miano pierwszego przedchrześcijańskiego mędrca i prawodawcy zasługuje.

Tymczasem, czémże jest naród posiadający tak odwieczne a tak piękne życia prawidła? służy tylko za przykład do czego doprowadza pycha tak w pojedynczych ludziach jak w całych narodach! nadto, jest dowodem że żadne prawa choćby najbogatsze w moralne i filozoficzne zasady, nie sprowadzają korzyści dla ludzkości, póki nauka chrześcijańska nie uświęci rodziny, téj podstawy porządku i szczęścia społecznego, póki nie wprowadzi do prawa głównych zasad swoich. Słusznie ktoś zawołać może: „Ileż to zbrodni, ileż sponiewierań praw ludzkości, widzimy codzień w chrześcijańskich narodach.” Prawda, ale inne jest złe jako nadużycie, jako wybór wolnej woli człowieka, złe, prawem Bożem i ludzkim karane, a inne złe jako zasada. Pierwsze nie może zgangrenować społeczeństwa, bo po nad niem, choć w pojęciu tylko, unosi się zawsze ideał doskonałości, choć wyjątkowo obudza pragnienie dążenia doń, wprowadzenia go w życie; zaś to drugie posiadające *prawo* bytu, a nadto owinięte we wszystkie pozorne konieczności, jakimże sposobem może nie zgniłe, nie zarażone wydawać plony? Chińczycy w zarozumiałej pysze swojej odgradzili się przesadami i prawami od postępu. Konfucjusz wszakże nie podawał się za Alfę i Omegę; prawdziwem światłem natchniony, czuł że jego mądrość nie jest ostateczną, doskonałą mądrością; sam wyrzekł te pamiętne słowa do Chrystusa mogące być zastosowane: „*Przyjdzie prawdziwa mądrość od Zachodu, która świat cały oświeci.*” Lecz mimo téj przepowiedni, Chińczycy poprzestali na jego i innych mędrców nauce, mieszczącej obok pięknych i wielkich prawd, tyle mącających umysł drobiazgowości, tyle kabalistycznych zawikłań, iż przy tak trudnej nauce języka, najsilniejsza głowa musi wpaść w zupełne obalamucenie, oderwanie i stracić sąd zdrowy, do praktycznego życia potrzebny.

I tak Chińczycy, którym dzisiaj przy bliższém Chin poznaniu, głębokości pojęć odmówić nie można; trawiają lata albo nad tłumaczeniem kabalistycznych znaczeń ksiąg J-king, albo téż nad badaniem: *przyczyny* *wszechrzeczy*; nad określeniem: *Co trzeba rozumieć*

*przez udoskonalenie wiedzy moralnej, na której zasadza się wniknięcie w przyczynę działań. Co jest poznanie przyczyny?* i t. d. i t. d.

Mając za jedyny cel w życiu podobne badania, całą duszą im oddani, nie znający, nie pojmujący jeszcze miłości chrześcijańskiej, ogrzewającej, rozjaśniającej każdą naukę; ci ludzie bez serca tylko rozumowi, nie widzą w około siebie obrzydliwości w jakiej cały naród żyje, nie widzą nawet sprzeczności jaką stanowi głęboka nauka ze śmiesznymi formami do najdziwaczniejszej drobiazgowości posuniętymi, którym się sami poddają. Nic dziwnego, kiedy prawodawcy, mędracy, jakby na świadectwo, że bez czystej przystępnej dla każdego nauki Boskiej, najgłębsza mądrość siebie i drugich w obłąd wprowadzić musi, obok najwznioślejszych prawd śmieszne dziwactwa uprawniają. Np. Konfucjusz długie poświęca rozdziały na tłumaczenie jakim sposobem można najnieomylniej układać wróżby, przepowiednie, z początkowych hexografów tablic J-king.

J-king, święta księga przemian, jest najdawniejszym zabytkiem Chińczyków. Nie tylko Konfucjusz ale i wszyscy filozofowie tłumaczenia (i komentarze) jój robili, gdyż ona najwięcej mówi o początku wszystkiego—stworzeniu świata i t. d. i t. d.

Ona jest całą mitologją Chin i dla tego nosi nazwę I-king, gdyż wyraz king oznacza *nieomylnie*. *J*, wielką gra rolę w liczbie znaków a razem wyrażen Chińskich. *J*, oznacza istność. *Wielkie J*, mówi jeden z tłumaczy *księgi J-king*, *niema ciała, niema formy a wszystko, co ma ciało, co ma formę, było stworzone przez to, co niema ciała, co niema formy*. Konfucjusz nazywa *J*, bytem, początkiem, jednością. Wang-chin, którego tłumaczenie I-king jest bardzo piękne i powszechnie chwalone; mówi: „*Znak J, nie wyraża tu nazwy Książki, trzeba bowiem wiedzieć że pierwój nim istniała materyja, była mądrość czynna i nie wy-czerpana, której żadną postacią wyobrazić nie można, ani żadnem nazwać imieniem, która jest nie-skończoną i do której nic dodać nie można.*”

Mądrość, istność, początek, byt, to wszystko nazywa się, to jest oznacza się czyli wyraża znakiem odpowiednim naszemu *J*. I-king nie była to książka lecz ośm enigmatycznych znaków (wyrazów) na tablicach skreślonych.

Autorem téj księgi ma być Fo-chi założyciel państwa Chińskiego; jest on pierwszą największą mistyczno-historyczną osobą w Chinach. Matka jego, piękna dziewczyna, córka nieba, chodząc po nad morzem została owinięta tęczą niebieską, po czém w dwana-



cie lat wydała go na świat. On to był największym mędrcom, on całe pomierzył niebo, on wynalazł pierwsze znaki (litery) on pierwszą broń. Nauczył chować sześć gatunków domowych zwierząt dla wygody ludzkiej służących, jako to: konia, wołu, kure, świnie, psa i barana. On odkrył zioła leczące choroby, on wynalazł i robić kazał skórzane pieniądze. On nauczył składać ofiary Panu nieba i ziemi, on nakazał i ustanowił małżeństwa i przypisał uroczyste formy w jakich mają być zawierane „aby (mówi dawny kronikarz chiński) *uzacnić pierwszą podstawę towarzystwa ludzkiego.*”

Drugą osobą po Fo-chi jest Chin-nong, podług historyka Lo-pi, co tamten zaczął, ten kończył. Chin-nong był wynalazcą muzyki, zrobił arfę, ułożył pieśni „*ażebym ziemia zapoznała się z niebem*” lecz tylko podanie trwa o tych pieśniach; niewiadomo jakie były.

Bajeczne podanie między ludem mówi: iż Fo-chi miał objawioną tablicę I-king, w taki sposób: Chodząc po nad rzeką spostrzegł z głębi wód wypływającego smoka, który na grzbiecie swoim miał wyryty kształt tej tablicy, którą Fo-chi natychmiast przerysował. Konfucjusz nie zbija podobnych bajek.

Nigdzie w pogaństwie przeszłości ludów, nie spotykamy tak wzniosłych pojęć o Stwórcy czyli o mądrości przedwiecznej, w żadną nie dającej się ująć formę czyli ciało, a pomimo-to Chińczycy żyją w ciemnocie, we zwyczajach bałwochwalczym narodom właściwych. Nie ma śladu w ich życiu nurzającym się we wszystkiego rodzaju brudzie, o wych pięknych zasad przez mędrców krajowych głoszonych, a głoszonych słowem, nie przykładem. Zdaje się iż przeczcuciem prawdy Bożej wyprzedzili wszystkie ludy; a wykonanie choćby najmniejszej w duchu tej prawdy czynności, dalsze jest u nich niż u wszystkich ludów. Przeczuciem uznali oni chrześcijańskie braterstwo, ważność rodziny, a nawet istnienie ideału czystości matki dziewicy; tymczasem nigdzie bardziej niewolnik kupiony gnębionym nie jest, nigdzie więcej stosunek rodzinny sponiewieranym nie bywa, bo nigdzie większej hańbie nie ulega matka rodu, kobieta; traci ona tam nawet wrodzony macierzyński instynkt, sama sponiewierana, poniewiera dziecięciem téjże samój co ona płci, topiąc je niekiedy, jak nie potrzebne zwierze.

Zdawałoby się iż przynajmniej wyżsi rozumem, uczeni, filozofowie, powinni by łączyć więcej zgodności z życiem i pojęciami swemi: przeciwnie, sprzeczność bardziej jest w nich rażąca. Pewien wiarogodny podróżny znajdując się długie lata jako doktor

przy kompanii angielskiej, w skutek szczęśliwych okoliczności które sztuce swojej zawdzięczał, był w Pekinie przypuszczony do rozmaitych towarzystw i tym sposobem poznał zbliska nie tylko obyczaje ale i niektórych wyższym umysłem ludzi. Między temi, jeden z uczonych oddający się specjalnie czytaniu ksiąg przez istotnych mędrców narodu swego kreślonych, z politowaniem wyśmiewał się przed podróżnym naszym, ze wszystkich obrzędów religijnych tak budystów jako téż i innych sekt; rozprawiał bardzo pięknie o czystych pojęciach istoty Najwyższej, jedyniej; zgoła, wydawał się być przejętym zasadami deizmu oczyszczonego ze wszystkich przesądów. Mimo to, ten sam uczony, kupował dla dziecka swego przyjaciela, ozdobę na szyję, w kształcie zamku, nazywaną: „*zamek stu rodzin*, uchodzącą za niezaprzeczonych skutków amulet. Noszące ów amulet dziecko, może być pewnym długiego życia i liczego potomstwa. Oprócz wiary w podobne amulety, nasz uczony za nic w świecie nie uczesałby się obróconym będąc ku północy, również nie wskazałby palcem na tęczę, nie splunął w starą studnię i t. p. dowodząc z całą powagą, iż doświadczenie uczy jak okropne bywają skutki nie uwagi, nie wystrzegania się tych wszystkich uchybień. Obok tego żartując z wiernych, smutną opowiadał historję znajomego swego, którego duchowni przekonali, że on po śmierci musi być koniem pocztowym, bez litości pobudzany do biegu ostrogami i batem. Biedny człowiek, tak silnie w swoje smutne przeznaczenie uwierzył, że dzień i noc zdawało mu się iż słyszy klaskanie ciężkiego bata nad swoją głową i bolesne klócie ostróg w bokach, a nie wiedząc jak się od tego uwolnić, uciekł się do chrześcijańskiej nauki i został chrześcijaninem.

Drugi wypadek smutny, spowodowany wiarą w metempsychosis, opowiadano podróżnemu naszemu. Pewna uboga kobieta posiadała parę kaczek, tuczyła je jak mogła, ażebymieć z nich korzyść i sprzedać amatorom drobiu: dwóch młodych żebraków zapragnęło gwałtownie tych kaczek, podniebienie ich dawno widać nie kosztowało tak smacznego kąska; postanowili dogodzić mu. Przychodzą więc do kobiety wierzącej we wszystkie artykuły wiary sekty Tao-sze, i ze zręcznością dramatyczną, do której Chińczycy tak wielką mają zdolność, zaczynają opowiadać kobiecie, że najniezawodniej w tych kaczkach są pokutujące dusze rodziców ich, że oni je poznali i tak cierpieli nad myślą że nie dość ci nieszczęśliwi rodzice są wygodnie żywieni i utrzymeni, że postanowili błagać ję, aby ona im staranie około tych kaczek po-



wierzyła, przyrzekając chować je w jaknajwiększej wygodzie; lzy chłopaków, spojrzenia pełne miłości i uszanowania jakie na mniemanych pierzastych rodziców swoich rzucali, nadto własna wiara w prawdziwość podobnych faktów, wszystko skłania biedną kobietę do powierzenia im tych dwóch nieszczęśliwych istot. Chłopcy z największą czułością i uszanowaniem wzięli na ręce kaczkę, odchodząc poważnie jak dzieciom zmartwionym smutnym stanem rodziców przystało. Kobieta rzuciła za nimi smutne spojrzenie; było to ostatnie! Nie ujrzała więc kaczek, gdyż chłopaki albo dobrą kolację lub smaczne śniadanie z nich mieli.

Sekta wierząca w metempsichosis jest najliczniejsza; nazywa się Tao-sze. Zaś religiją wyższej klasy, dworu i uczonych jest doktryna Konfucjusza którą nazywać można filozoficzną. Wyraz Taso znaczy inteligencyję, rozum zdaje się więc iż słusznie nazywają to wyznanie religiją rozumu. Oprócz początku wszechrzeczy, czyli oprócz Stwórcy, którego wszystkie chińskie wyznania uważają za istotę nieokreśloną, abstrakcyjną, wyznawcy Tao-sze utrzymują iż wszystko jest jedną materją, przeradzającą się, przyjmującą na przemian różne kształty. Jednakże dusza ludzka z subtelniejszej składa się materji i stósownie do zasług rozmaite po śmierci człowieka otrzymuje funkcje. Czasem przebywa w zwierzętach; niektóre zaś dusze stają się świętymi w wiecznej szczęśliwości, inne stosownie do zasług zamieniają się w duchy nadpowietrzne niższe od świętych, nazwiskiem Shing; duchy takie mają miejsce w świecie pośrednim, to jest na granicach życia materialnego i szczęścia wiecznego. Duch podobny ulega namiętnościom, nie bywa wolnym od upadku, może więc na kary i nagrody zasłużyć, może zostać wywyższonym lub przeciwnie. Duchy mając powierzone sobie czuwanie nad obrotami światów, kierują nimi na pożytek ludzi. Słońce, księżyc, gwiazdy, meteory, wiatr, deszcz, grad, pory roku, dzień i godziny, jednem słowem wszystko porusza się w ogromie wszechświatów za ich pomocą; są to prawdziwi mandarynowie niebiescy. Cesarz ich karać może jeżeli nie dobrze służą; wybiera z pomiędzy nich opiekuna dla każdej prowincyi i miasta; oznajmia im przez swoich astrologów o roku, miesiącu, dniu i godzinie, w której mają zająć pełnienie swego obowiązku. Jeżeli dopuszczają się nieposłuszeństwa lub niedbalstwa, ulegają tej samej co niesforni urzędnicy karze; różne czynią im wymówki, obelgi, w końcu posagi ich biją i wyrzucają z kaplic. Chociaż cesarz Chiński, jakieśmy wy-

żej powiedzieli, wyznaje rozumową religiję, wszakże czy to z obojętności czy dla dogodzenia ludowi, zezwala mu karać i wymierzać bastonady duchom. Z temi to istotami wróżbici i czarownicy mają najbliższe stosunki; od nich pomocy niby-to doświadczają, utrzymując że nie raz osobiste z nimi odbywają konferencye.

Duchy te usłużne, zabezpieczają ludzi od prześladowania innych znowu duchów, zwanych Ku-si, które bez ich czuwania dopuszczałyby się największych w świecie fizycznym i moralnym nadużyć, już to zaciemniając światło słońca, już to kierując burzami na morzu lub lądzie, już to wstępując w ludzi, co im się nie raz udaje. Podania a nawet historia wymienia złych ludzi, sprośnych zbrodniarzy, tyranów, którzy byli w gruncie tylko wcielonym Ku-si. Owe szkaradne istoty, środek trzymające pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem, zwykle zamieszkują około cmentarzy, w zamiarze ażeby włéść w trupa jakiego i nowe życie rozpoczynając, być między ludźmi, prześladować ich i tysiączne popełniać zbrodnie; mieszczą się także przy kopalniach złotych, tam gdzie są skarby jakie, gdzie bagna lub cuchnące stojące wody.

Nie podobna zapuszczać się w labirynt wyznania Tao-sze, opisywać rozmaite funkcje przeradzającej się materji i w skutek rozmaitych połączeń przetwarzającej się w różnego rodzaju istoty; tudzież niepodobna skreślić kosmogonii czyli nauki o tworzeniu się świata tej *religii rozumu* w głównej zasadzie swojej deistyczno-panteistycznej, i zarazem połączonej ze zbyt śmiesznym mistycyzmem.

Wyznawcy zasad Konfucjusza, do których należą uczeni i panujący, mieniają się filozofami. Pomiedzy nimi bywa wiele ateuszów, pełnych mimo to zaboronów i przesądów. Znaleść można obok tego innych, którzy, jakieśmy wyżej wspomnieli, oddawszy się naukowi, rozbiorom pism poprzedników uczonych, z nalogu, z wychowania rządzą się obyczajami i zwyczajami wprost przeciwnymi zasadom wielkiego mistrza. Nadto, ponieważ Konfucjusz, mimo wielkiej wyższości swojej nad wszystkimi mądrościami przedchrześcijańskimi, co do czystości pojęć o Stwórcy, o miłości i równości braterskiej; uległ jednak ogólnemu usposobieniu azyatyckich ludów co do kabalistyki; przeto wyznawcy jego czując się niejako upoważnionemi, oddają się z upodobaniem wróżbiastwu, a ztąd ulegają różnym gusłom, wdają się w szarlatanizm niemal powszechny, mianowicie między lekarzami, tak iż nauka medycyny popularnej pomiedzy mniej światłemi jak Chińczycy ludami, stoi daleko wyżej, bo



zasadza się na poznaniu ziół pewny skutek wywierających; gdy tymczasem uczeni wyznawcy *pierwiastku mądrości*, całą umiejętność w leczeniu, zasadzają na zgadywaniu po uderzeniach pulsu nie tylko choroby i przyczyny jej, lecz i następstw jakie (gdy niemoc opuści) będą niewątpliwe. Naprzykład, jeżeli pacjentem jest kobieta, opowiedzą jej czy będzie matką lub nie, czy mężkie potomki mieć będzie czy niewieście i t. p.

Mimo to, jak wszystko w tym nadzwyczajnym kraju z jednej w drugą wpada ostateczność, raz najwyższą zadziwiając ciemnotą, to znów błyskiem światła uderzając, tak i medycyna dość ciemna i zanadto na szarlatanizmie oparta, dała Europie moksy i szczepienie ospy; chociaż wykonanie tej ostatniej w sposób śmieszny i barbarzyński tam czyniono, bo wkładając kawałek bawełny napszczonej materią ospy, w sposób dość silny i niedelikatny, w nos biednej ofiary.

Jedyną uczuciowo-poetyczną stroną obrządków wyznawców Konfucjusza, bywają święta czyli uczty na cześć zmarłych. Mędrzec chiński nie przypuszczał metempsychozy; dusze zmarłych mieścił w nieznanym przestrzeniach, gdzie stósownie do zasług, bliżej lub dalej od wiecznej szczęśliwości znajdując się nie traciły stosunków ziemskich, owszem wzajemnie ratowały się:—nakazał więc pamięć i cześć dla umarłych. W dniach pewnych pamięci zmarłych poświęconych, zbierają się krewni i przyjaciele, mówią o nich przywołują ich cieni w przekonaniu że ta pamięć miłą będzie dla zgasłych, pożyteczną bardzo dla żyjących.

Wyznawcy Buddyzmu także licznych w cudnym Państwie niebieskim mają stronników. Lecz tu Buddyści tak często zachowują swe przepisy religijne jak w Indjach, wiele czynią dodatków i co do obrzędów i co do nadziemskich istot, składających niebo Budy, których Bonzowie Chińscy porobili.

Mimo licznych poświęceń Missyonarzy, religija chrześcijańska nie dość się tam szerzy: najwięcej przyjmuje się prawdziwa wiara nasza między klasą rolniczą i pasterską, co jest bardzo naturalnym. Umysły bowiem oddane tego rodzaju pracy, jako zbliżone z naturą, przystępniejsze bywają do pojęcia prostej nauki Chrystusa; a nadto, zdala od miast i władz, nie tyle obudza trwogi zbliżenie się z wyznawcami

czyli apostołami nowej wiary, tak bardzo prześladowanej. Wiadomo że Chińczycy nie lubią się narażać na niebezpieczeństwa; odwaga nie jest właściwym ich przymiotem: widać jednak jak brak jej czują, jak radziłyby jakimkolwiek sposobem zostać odważnymi, kiedy między pospółstwem utrzymuje się barbarzyński, obrzydliwy zwyczaj który jeden z podróżnych opisuje w następujący mniej-więcej sposób:

Przed kilkunastu laty podczas bytności jego w Państwie Niebieskim istniała sekta a raczej stowarzyszenie nazwane *trzech połączonych*, których godłem było:

Wspólność w uciechach,  
Pomoc w pracy.

Tajemnica naturalnie jest główną zasadą związkowych, którzy jednoczą się czasem jedynie w spekulacyjnych kupieckich widokach: niekiedy stowarzyszenie to przybiera groźniejszą i niebezpieczniejszą postać, organizując porządny system stawiania oporu prawom, wyłamując się ze wszystkich obowiązków jakich rząd policyjny wymaga; zgoła postępując jedynie tylko według swoich potrzeb i wyobrażeń. Wyłącznie względem siebie samych przyjmują obowiązki ratowania się na wypadek prześladowania policyi, lub innych zdarzeń. Naturalnie rząd ściga i karci tych odstępców i nieposłusznych poddanych, często stawiających tak silny opór, iż trzeba bardzo przewyższającej siły zbrojnej aby pochwylić jakiego towarzysza *trzech połączonych*. Widać tu bowiem że życie zupełnie niezależne, postanowienie opierania się wszelkiej przemocy, rozwija w nich odwagę ów nader rzadki i prawie nieznaną przymiot pomiędzy Chińczykami. Zdarzyło się że po wielkich usiłowaniach i po znamienitych dowodach odwagi ze strony nieszczęśliwych trwarzyszy, pochwycono ich i śmiercią karano. Po dokonany wyroku lud rzucił się na ich ciała, z szybkością i ze zręcznością sobie właściwą dobył z nich żółc, którą wnet rozdzielono na najmniejsze setne prawie cząsteczki i kaźden któremu się dostało trochę tej relikwii, zamieszał ją z ziarnkami ryżu, z tą wiarą że żółc do pokarmu przydana, nada temu co ją pożywać będzie tyle odwagi ile jej posiadał człowiek tak mężnie na śmierć idący!

S.



## URYWKI Z PISM D<sup>RA</sup> MACIEJA Ł.

### I.

*Teoryje.* — Ile razy zdarza się zajrzeć do starych i nowozjawiających się metod filozoficznych, zawsze prawie uderza już na piérwszy rzut oka, wielka ich jednostronność i zawzięta zarozumiałość. Każdy filozof swoją metodą, podług swego widzenia rzeczy, wszystko w naturze chce wytłumaczyć—naciąga, nakreca wszystko ku temu, aby na jego stanęło. Szelling np. i jego zwolennicy, w ciągłych zachwytach, wzdychaniach i wędrówce ku krainie duchów — wszędzie chcą widzieć swe ulubione marzenia. Jędrzej Śniadecki chemik, w swój fizyologii i całej teorii *sily życia*, wszystkie nieledwo processa żywotne, jak działanie lekarstw na organizm żyjący, wytłumaczyć chciał chemicznie. Mageandi fizyolog-fizyk, niechce prawie żyjącemu organizmowi przyznać doskonalszój, zawilszój organizacyi—niż prostój dobrze urządzonej z kauczuku machinie. I gdyby żył dotąd znakomity mechanik automista *wokanson*, zapewne iż lekarz humoralista francuzki, niezaniebbałby z nim utworzyć człowieka—machinę z sercem, naczyniami wszystkimi, krwią—ożywić go — i dowodzić—iż człek i każde jestestwo żyjące toż samo co bezduszny kamień. Józef Żochowski elektryk, zgasiwszy w naturze światło, ciepło, magnetyzm i galwanizm—robi elektryczność piérwszym jenerałem praw Twórcy—piérwszą i jedyną sprężyną ruchu i wykonawcą rozkazów Boga. Lecz mało na tém; przez elektryczność chce wszystko a wszystko tłumaczyć. Filozof analogista, wszędzie upatruje stosunki między jestestwami świata, podobieństwa ich dowodzi, — a poznawszy lepiej jakiś przedmiot lub istotę w przyrodzeniu—woła iż już wszystko poznał, wyrokuje o wszystkiém z pewnością z góry—i na tejże zasadzie podobieństw, zgaduje i przepowiada, acz nie zawsze szczęśliwie — przyszłość. Słowem ile metod, tyle pretensyj do wytłumaczenia wszystkich objawień świata zmysłowego i moralnego—i również tyle absurdów i dziwolągów.

Rozbierając skutki z tych wielolicznych, różnych a jednolitych teoryj i z ich tłumaczeń skutki—wy-

padałoby wyrzec — że one jednéj tylko prawdy dowodzą—iż w naturze żadnéj niéma teoryi. Lecz to drugie także wielkie byłoby *absurdum*. Bo wszystkie nasze najrozmaitsze teorye nie będąc trwałe, bo nie prawdziwe, bo nienaturalne — są tylko naszymi wymysłami, — są one, ale jedynie w naszych ciasnych obrębach i czaszkach ciemnych naszych pojęć, ale nie w naturze. One są na czas jakiś dobre—ale dla nas. Są tylko drogami, sposobami zbliżenia się do jednéj prawdziwój teoryi przyrodzenia, do jednéj i stałe trwałój ustawy i prawa — podług którój wszystko się urządziło, odbywa i tłumaczy — przez jednego znawcę przyrodzenia, znawcę samego siebie i swego utworu,—Boga.

Jak według zdania Szatobryjana, ze zlewku wszystkich pojęć moralnych i filozofij, mocą Boskiego objawienia, zjawiła się jedna prawdziwa teorya prawdy moralnéj—wszystkie te ziarna złote prawdy rozsypane po tylu teoryach i filozofiach plastykowały się w Ewangielii jednéj,—tak równie, by na każdym kroku w tłumaczeniu jawisk natury nie szwankować i nie błądzić ostatecznie, należy trzymać się praw zdrowego eklektyzmu i wyboru, należy złote ziarna prawdy we wszystkich teoryach wyszukiwać, skupiać je dla nasycenia ciekawości swego umysłu chlebem *prawdy* — nim przyjdziemy jakimkolwiek sposobem do jednéj, prawdziwój, naturalnéj teoryi — filozofii—znajomości prawdy.

Dziś, jeszcze ogólnie powiedzieć można, iż wszystkie teorye naturę analizują, rozbierają, drobiaż w swych śledzeniach,—jeśli zaś kto zanalizowaną tak naturę i poznaną w jój cząstkach, siłą prawdziwie twórczego syntetycznego gieniuszu, zsyntezuje, skupi, że powiem, nanowo stworzy, — wtenczas będzie można rozumowi ludzkiemu dać poklask powinszowania i zwycięstwa. Nim jednak to nastąpi, mojm zdaniem, na dzisiaj teorya *mechaniczno-organizacyjna* wzięta za podstawę, a za oporę kosmo eklektyzmu dobrego, w wędrówce człowieka — badacza po świecie, mogą najwięcej zaspokoić jego umysł. Mogą spokoić ale nie pocieszyć! pod tym względem, dzie-



cinna niewiadomość i niepewność, stokroć są więcej uszczęśliwiająca człeka, niż ta okropna pewność! To zaspokojenie, ta pewność—wypływy z niewiary i nie nadziei, rodzice rospaczy—są to cierpienia nie Fausta lecz szatana—jest to całe, okropne piekło! Jak zaś pojmuje—tę mechaniczno-organizacyjną teorię?—kiedyś o tém pisałem.

Ostateczności są dobre w poezji i dla poetów,—będąc źródłami podłości i występku jak szlachetności i cnoty, są razem źródłami dla literatury w ogólności— a idealizm dla poezji;—lecz rozumującego badacza prawdy—filozofa, miejscem i najpewniejszym portem, by się nie rozbił o skały sterczące błędów rzucany wiatrami i uraganami fantastycznych pomysłów i zaciekań się, jest—środek.

By nie być sprzecznym, niejaśnie się tłumacząc powinienem dodać: że, gdy wszystko co jest pięknem, jest już samą niejako poezją,—tak zatem, gdy piękności pierwszem znamieniem i cechą jest prawda,—prawda, jak filozofii celem, tak poezji jest równie cechą i źródłem. Wszystkie dziwactwa fantazyi i wyobraźni biegających wiecznie po ostatecznościach są o tyle piękne i poetyczne, o ile się zbliżają do istotnej prawdy;—inne są już nie tylko potwory, lecz obrzydliwe wyrodky poezji. Więcej powiem: mając przed sobą wahającą się igłę magnesową—powiedziałbym, że ona teraz jest obrazem poezji—prawdziwą poezją. Im mocniejsze jój wahanie się, tém ziwaczniejsze formy, kształty i wyobraźnia te kształty strojąca—mniej prawdy, mniej prawdziwej poezji. Im bliżej południowo-północnej linii—tém spokojniejsza; mniej dziwaczna, jasna;—lecz stanawszy na swój linii, przestaje już być poezją, a zamienia się w prostą, ciemną filozofię bezstrojów i upiększeń. By poezja była prawdziwą poezją — powinna być pięknym, zdrowym pomysłem, lekkim zboczeniem od prawdy, że powiem, powinna być prawdą ale prawdziwą, tylko w połowie.

## II.

*Działy poezji.*—Poezja dzieli się na narodową i filozofijną czyli ludzką— i sprawiedliwie. Mówią iż filozofia jest i powinna być narodową, odrębną w każdym narodzie; na to się zupełnie zgodzić jak dawniej, tak dziś nie mogę. Filozofia jest już samą prawdą, prawda, teoria jój i Bóg jeden,—filozofia zatem powinna być jedna, wspólna, ludzka. Że filozofię uważają nie za samą prawdę, lecz drogą i sposobem do niej dojścia—a każdy jak człowiek tak naród ma swój sposób widzenia, chodzenia i rozumowania,—mówią

zatem iż filozofia powinna być w każdym narodzie osobna—odrębna, narodowa. Jakkolwiek-tam-bądź w pretensji do téj narodowej filozofii jak literatury w ogólności—jest nie małą a pono i największą przyczyną—miłość własna i duma. To słabość nasza. Prawdziwa prawda, prawdziwa filozofia—religija, łączy ludy prawdziwie braterskimi ogniwami—bo szlachetnym uczuciem miłości—i pojęciem w tém szczęścia.

Filozofia i filozofowie do szczęścia ludzkiego, dostatecznymi widzą związki narodów miłości—przyjaźni kupieckiej. Dziękuję im za to. Mogą oni zwać uczucie prawdziwe bratniej, anielskiej miłości—jesteństwem idealnym, a tylko przyjaźń i stosunki ludzi i narodów handlarskie uważać za realne i prawdziwe. Jednak ja, jakkolwiek znając człowieka, mogę odezwać się więcej od nich na jego pochwałę— i tak mocno uwłaczać szlachetności natury ludzkiej—pocytuję za występki. Po wielu wiekach, z czasem, z oświatą, dzisiejsze dla nas niemogące się zistnić i zastosować ideały—będą prostym, powszednim pokarmem i chlebem i odzieżą, — gieniusze, pospolitymi ludźmi.

Z tego przychodzi mi myśl i potrzeba mówić o postępowém kształceniu się ludzkości. Kiedyś o tém pisałem—dziś dla pamięci krótko powtórzę nie zawadzi. Dziwi mię tylko, iż niektórzy znakomici pisarze tego postępowego kształcenia się, niepojmują lub niechęcią pojąć. Jedni, Grabowski M. np. jak sam wyznał, w nic niewierzył, a uwierzył w Bochwica;—ja zaś wierząc w ciągle, postępowe kształcenie się i ludzkości, i człowieka każdego, nie mogę się zgodzić z Bochwicem. U niego niema końca temu kształceniu się—coraz dalej, dalej—aż, rozumie się, do doskonałości Boga. Zatem, jak kiedyś tak dzisiaj, bym mu zarzucił, iż przypuszcza takim sposobem wielość Bogów lub rozorganizowanie się, że powiem, Boga, i tych bogów znowu napowrót do prostych istot sprowadza. Według mię, kołowrotny postęp jest lepszy. Człowiek nie Bóg—nie przerośnie siebie, nie będzie Bogiem. Jak każdy człowiek rodzi się, rośnie, kształci, meźnieje, starzejąc potem chyli się do upadku i dzieciennieje dawszy życie drugiemu po sobie człowiekowi,—tak naród—tak ludzkość zrodzona, rosna, kształcą się, meźniejszą. Lecz przyjdzie czas schyłku i starości—zrodzi się drugi naród i druga najój miejscu ludzkość—tak samo i też same przemiany w obiegu kołowrotnym, sobie przeznaczonym, swego życia—przeżyją. Słońce, jeśli jest ciałem a nie fantomem ciała, nie jawiskiem tylko czegośkolwiek



mało materyalnego—elektryczności, czy światła np., a choćby i istotnie niczém inném jak tém jawiskiem było,—z całym chórem, z całą hierarchią swych adjutantów planet—lub ze wszystkiemi piskłety swemi jak kokosz, niestoi wiecznie na jedném miejscu—chodzi ono jak jemu potrzebne inne—a chodzi zapewne dla żywności i handlu. Ztąd te przemiany i odnawiania się pierwiastków atmosfery—kwasorodów, saletrorodów, metalów, kamieni meteorycznych i t. d. Wszystko to potrzebne, konieczne—i mądrze wyrachowane i urządzone—byśmy nie tylko żyli, lecz w niczém braku nie mieli. To wiadomo, zdaje się, wszystkim. Ta zaś kołowrotna przechadzka w pewnych celach światów niebieskich, jest najwierniejszym obrazem postępu kształcenia się ludzkości ale kołowrotnego. W tych krótkich słowach, zdaje się, jasno widać—myśl całą, nieidealną, ale dość pojętą, zawierającą skład rzeczy istotny—istniejący.

Lecz wracam do poezji.—Jest jeszcze poezja *sztuczna*, rozmysłowa—uczona. Taką poezją są utwory wytrawnych już pisarzy poetów np. Faust Getego—późniejsze płody Mickiewicza i wielu innych—(ze swych, gdyby godziło się zaliczać, zaliczyłbym tu *Barwę*). Jest poezja *prawdziwa*, poetyczna, urodzona. Ta się objawia najczęściej nagle bez rozmysłu, improwizuje się. Taką jest czwarta część *Dziadów*. Poezja *jawna*, zewnętrzna, w oczy prosto bijąca, jak poezje wyższych pisarzy, wszystkie Mickiewiczowskie. I poezja *wewnętrzna*, skryta, tylko przez niektórych pojąć i uczuć się mogąca. Tak np. Wiesław Brodzińskiego, pozbawiony prawie wszelkiej wyobraźni i obrazów—jak również poezje Karpińskiego—jednak czytają się, i czytając sami prawie niewiemy dlaczego kochamy poetę i jego utwór—podoba się nam, jest piękny, poetyczny. Taka poezja jest w prozę pisaną fantazyi np. Kukolnika *Lezenitz*. Poezja więc jawna ma za zasadę piękność uczucia, za strój wyobraźnię, lub tylko samą jedną wyobraźnię—i choć wtenczas jest pustym tylko brzęczącym cymbałem najczęściej lub dzwonem—lecz jawnie każdego bije swoją oddzielną fizyonomją w oczy. Poezja zaś *wewnętrzna* przestaje na jednej zasadzie—na piękności uczucia—ztąd nie tak łatwo od razu do wszystkich przemawia i zaspakaja.

Poezja *narodowa* jeszcze się dzieli—bo kiedy dzielić to dzielić—na narodową (czemu nie arystokratyczną?), i na narodową—gminną. Pamiętam, iż kiedyś o tém pisałem—i dziś mi z chlubą zdarzyło się czytać, że zagadnienia niektóre o tej poezji narodowej i gminnej, co niedawno zaledwie rozstrzygnięte

zostały przez Grabowskiego, Kraszewskiego i t. d. <sup>1)</sup> tak samo jeszcze w 1839 r. pojmowałem. Wtenczas że właśnie, dziś przez nich uznane, me zdanie było: iż dotąd jeszcze nie mamy istotnie narodowej poezji i literatury—a tylko częściową—prowincjonalną—i czy będziemy mogli kiedy ją mieć i jakim sposobem?.

Jednakże pod tym względem powiedzieć można—iż chęci człowieka są dziurawym workiem. Nigdy mu nie dosyć. Obejrząwszy naszą literaturę, nie można wyrzec, że nie mamy prawdziwej, narodowej literatury i poezji. Bo wszystkie inne odłożywszy na stronę; już litewskiej szlachty Epopeja, zapelnia wszystkie nasze choćby wilcze wymagania. Że jest w niej wiele Satyry, to nie przez to nie traci. Prócz tego, gdy innych nieznam, mamy dziś Witoloraudę. Przeczytawszy ją i na nią krytyk kilka—ciekawym jestem, coby krytycy, gdyby poznali mą Barwę, o niej wyrzekli? Zdaje się, że możeby i pochwalili. Bo acz pierwsza część młodém, początkowém piórem skreślona—lecz ogół—jój duch—obrobienie, wiele mając podobieństwa do Witoloraudy, zjednałyby może dla niej i przychylność.

Poezję tę, może byłby czas przestać uprawiać—a zająć się więcej wyrobami literatury filozoficznej. O jakbym życzył dla swego piśmiennictwa dzisiaj trzech rzeczy: Żywotów na wzór Plutarcha sławnych Polaków porównywając ich szczególnie z słowiańskimi,—podobnego zbioru, jak są Rossyjskie *Sto Literatów* tylko z lepszymi utworami, i nie jedynie powieściami,—i podobnego co do prozy i objętości *Bibliotece do czytania* lub *Oteczestwennym Zapiskom*, czasopisu. Wielka nas od Rossyan różnica. Oni w młodej swój jeszcze literaturze, nie nabrali prawie zgoła odrębnej barwy. Dzisiaj nieledwie wszyscy nastrojeni wyższym talentem Sękowskiego i Bestużewa, niemiłosiernie wszędzie dowcipkują, styl swój, jakby wylizawszy, posypują jaskrawością wschodniego gustu. Czego u nas obojga prawie niema—a może pierwsze byłoby i niezbytecznym. Bo, przynajmniej mnie dziś znudzonemu lub utrudzonemu czytaniem poważnym, szczerze by chciało się coś istotnie dowcipnego, dla śmiechu przeczytać. Jak miło staropolski prawdziwie narodowy dowcip spotkać! Jaka w nim niewymuszona prostota i nienaciąganie swego dowcipu na łożu torturowém, nie rubaszna ale naturalna humorystyka i wesołość—np. choćby jeden przytoczyć z apophtegmatów dawnych:

<sup>1)</sup> W Tygodniku Petersburgskim, w Literaturze i Krytyce; w Studyach i t.d.



„Adamowi Bursciuszowi, uczonemu professorowi w akademii Zamojskiej, żona powiła bliźnięta obojg płci, które zaraz pomarły. Jan Zamojski kanclerz i hetman W. koronny widząc go, rzekł mu: Panie Bur-ski! Wydaliście grammatykę, w której jest rodzaj mę-ski, żeński i nijaki” — Albo: — „na Podolu choćbyś i Jezuity posiał, to przecie się kąkole urodzą.”

### III.

Nasza literatura dzisiejsza, przynajmniej mnie zna-joma, nie ma pisarza dowcipnego. Bardzośmy spowa-źnieli, stali się za dumni—melancholiczni. Przyczyna tego zapewne niejedna, jak na każdy wypadek i dzieło, zawsze niemało innych przyczyn się składa, i zespala. Sam niegdyś weselszy — często sarkający i dowcipniej-szy Kraszewski, z wiekiem i czasem spowaźniał; — jeden ś. p. A. Wilkoński i niejakiś John of Dykalp, acz w urywkowych, prawdziwie ucinkowych żartach i hu-moryzmach, (Szczypta kadzidła) odznaczyli się. Tru-dno w każdym czasie o takich jak był w swym wie-ku Krasicki a choćby i wierszopis Massalski. Tru-dno mieć na zawołanie dowcip, fantazyę i szatańską sarkastyczność Sękowskiego. Pod wielu względami przeszedł on i Woltera—którego dowcip więcej nie-jawny ale skryty—jezuicki—i chociaż wyraźniejszy od Gibbona dowcipu wystawiającego podobnie na śmiech rzeczy święte, swój sąd skrywającego zręcz-nie za zdanie cudze—jakby za półprzezrocze szkło, ale zawsze zaledwo już uśmiech a nie śmiech głośny zdolny wywołać—a témbardziej melancholiczne piersi i usta ledwo w stanie podnieść—i gdy nierozjaśnić to choć skrzywić nieco objawem zadowolenia i uśmiechu.

Jaka przyczyna pierwsza pogodnej duszy i stałej, prawie ciągłej, umysłu wesołości? Zapewne, — pierw-sza—dobry byt i to w każdym względzie. Lecz uczeń Epikura prawdziwy, to jest stworzony na tego ucznia, na takiego człowieka — wiecznie, w szczęściu czy w biedzie, wiecznie wesoły, wiecznie niczém przez żadną przemoc nędzy i nieszczęścia niezłamanej hu-morystyki i wesela—wiecznie niezwalczony przez nie, a natomiast sam ze wszystkiego drwiący. Taki czło-wiek wszystko w każdej porze poświęca swój rozryw-ce—zabawie, ze wszystkiego i w każdym swém poło-żeniu umie wycisnąć wodoród (gaz exhilarans), weso-łość i śmiech choć i gorzki. I ze łzami w oczach śmie-je się. Jest-to coś z przywilejów dzieci—kobiet, u któ-rych rzadko dzień pochmurny, a choćby i zbyt za-chmurzony, to przez chwilę jedną-drugą, znowu się rozjaśnia, wypogadza. W każdej porze gotowa zachy-chotać. Szczęśliwy umysł, szczęśliwe usposobienie.

Druga tego przyczyna, nerwowo-krwisty tempera-ment, czyli dziecinno-kobiecy.

Mimo to jednak, jest jeszcze jakaś szczególniejsza organizacya miazgi nerwowej i mózgu—a może ten dowcip zależy niemało od jego kształtu, objawiającego się formą głowy.

### IV.

Od samej młodości, niepomnę przez-co kierowany, lecz z czoła i głowy sądziłem o zdolnościach człowie-ka. Niewierzyłem w Galla, ni przed nim piszącego o czaszce Jana z Głogowa (prof. akad. krakow. 1522 r. pisał *de anima* i o czaszce), ani w żadnego kranioologa,—jednak kilka młodocianych spostrzeżeń utkwilo mi w pamięci — a nałóg tych spostrzeżeń i sąden z nich o zdolnościach ludzkich, do dziś dnia pozostał.

Czoło wysokie, niewązkie, dość w środku wypukłe bez widocznej wklęsłości, jak zwykle, podczołka (gla-bella), w górze nieco zwężone, — prócz portretu Sę-kowskiego (w stu ruskich literatach) uważałem, że przy temperamencie dość żywym, jest znamię zdolno-ści a szczególnie dowcipu. Znam z podobnym czołem kilku (Wilkońskiego)—którzy, gdyby im chęci niebra-kło, nieustąpiliby w nauce i dowcipie Sękowskiemu.

Czoło podobneż pierwszemu tylko bez zwężenia w górze i ściosane (sklinowane), jak na portrecie Getego (Księga Św. 1858. T. I. str. 64.) zawsze ozna-ką jest niepospolitych władz umysłu.

Czoło dziecinno-kobiece (poetyckie). Jest-to czo-ło podobne do pierwszego, z różnicą, że nieco niższe lecz mocno wypukłe w środku. Takie czoło u Mi-ckiewicza. Z tém czołem znam kilku, co prócz wier-szowania łatwego, jeszcze są nie bez dowcipu i zna-cznej pamięci. (Patrz Księgę Świata z r. b. T. II. str. 107.)

Przeciwnie temu czoło — niewyższe jak na cal, nie nadto szerokie lub i wązkie, równe lub z glabella mo-cno wklęsłą, odznacza ludzi z nadzwyczajną pamięcią. Wszystkiego prędko—zgoła nawet nierozumiejąc—nauczą się napamięć co do joty. Lecz i to jeszcze, z takim czołem (prof. Rymkiewicz) ludzie, prócz nadzwyczajnej pamięci, inne władze umysłu rozwi-nięte mają bardzo mało. Pamięć bujna wszystko za-głusza.

Podobnie czoło niskie, niebardzo szerokie—wkle-słe nieco lub gładkie, lecz z wypukłościami (tubera frontis) nader wybitnymi i niejako łączącymi się z so-bą, jak na portrecie Polewoja M. (Sto Rus. Lit.) i Ś. Hieronima, odznacza ludzi z głową mocną i prakty-czną, w ogólności z niepospolitemi zdolnościami wszy-stkiemi, prócz wierszowania. Z takim prawie czo-



łem prócz innych mi znanych był Jędrzej Śniadecki i prof. Porcyanko.

Czoło filozoficzne—głęboko myślące. Jest to czoło z wejrzenia bardzo niepoczesne. Miernie wysokie lub niskie i nieszerokie—lecz bez wypukłości nosowych przedsiionków (*tubera sinuum nasalium*) wzniesione, skórą wzdłuż głowy sfałdowaną najczęściej pokryte (brwi ściągniętej), nad niemi wklęsłość podczołka znaczna i jakby w tém miejscu czoło wycięte—zresztą w górze sklinowane lub skrzywione i bez wypukłości czołowych (czoło Mochnackiego).

Jeszcze czoło dość niskie, nie szerokie, na którym miasto wypukłości czołowych, w środku jedna podłużna wypukłość się wznosi—znamionuje ludzi także z głową tęgich, mocnych rozmysłowych zdolności.

Czoło sklinowane i niskie, odznacza ludzi z pamięcią. Takie czoło można widzieć na sylwetce Eckarthausena i ledwo nie w każdej pocztowej stacyi między mnóstwem portretów na portrecie generała Kulzowa.

Czoło miernie wysokie, płasko-wypukłe, w górze niezweżone, lecz nieco na tył głowy ścięte, (jak na portrecie 1ejstr. Ks. Św.), nie jest charakterem jakiegokolwiek zdolności umysłu wybitnej, lecz wszystkie oznacza dość wykształcone, lub mogące się wykształcić.

Czoła zaś w ogólności nader wysokie, szerokie i wypukłe, acz najczęściej u flegmatyków się zdarzają, choć bywają i u innych, nigdy prawie niesą znakiem głowy zdolnej, lecz często głupiej.

## V.

Ale zgodnie ze wszystkimi dziś o kranilogii mówiącymi, zdolności umysłu ludzkiego, więcej zależą od usposobienia (temperamentu) jak od składu i postaci samej wielkości mózgu i głowy. Inni uważają temperament nerwowo-krwisty czyli krwisto-melancholijny za najlepszy. Może, lecz to tylko pod względem przymiotów serca.

Taki człowiek dość żywy i czuły, zdolny kochać mocno, ale tylko kobiety, nie jest jednakże typem usposobienia męskiego. Temperament choleryczno-melancholijny, z rozwinięciem systemu wątroby i nerwu sympatycznego, szczególnie jej części brzuszno-piersiowej, — chociaż może nie będzie lew na zdrowie, lecz wysokich zdolności dla głębokiego rozmysłu i charakteru mocnego, istotnie męskiego. Człowiek z takim temperamentem może być rozmaitych uczuć serca — wzniosłych, szlachetnych i podłych, — lecz

zawsze i we wszystkich jego czynach, będzie charakter wyższości, znamie gieniuszu. Młodzieńca z takim usposobieniem mądrze kierować moralnością, rozwinać w nim duszy władze szlachetne i zachęcić do nich—kto potrafi—ten przysłuży się ludzkości, wydaniem na świat prawdziwego człowieka—prawdziwego gieniusza. Taki człowiek podbija pod siebie wszystkich, nieczując tego ani starając się o to. Ci, co znają go—już nie tylko go szanują, lecz kochają, sami niewiedząc dla czego—choćby był przeciwny on ich myślom i uczuciom. Tak np. Gibbon i sam Szatobryjan, jakkolwiek wiele na naganę Juliana Apostaty przywodzą,—jawnie jednak w jednym i drugim wiele prawdziwej przychylności, i może więcej jak sprawiedliwej, ku Julianowi widać. Bo, jak rzekłem, to prawo przyrodzone—że gieniusz, jakkolwiekby jego czyny przeciwne były naszym uczuciom i pojęciom, zniewala i podbija nasze dla siebie serca—i pomimowolnie go chcąc niekochać — kochamy, troszczym się o jego los, cieszym się z jego powodzeniem, a lękamy się, śledząc za nim krok w krok po scieszce jego życia, o jego życie i szczęśliwe powodzenie. I posądzając drugich dlań o parcjalność, sami jednak mimowoli stajemy się dla gieniuszu stronnymi. Któż czytając Liwiusza, nie drży o los młodego Hannibala? Kto niechciałby widzieć innego końca Napoleona? Kto idąc z Cezarem na ostatnie jego posiedzenie w senacie, nie chciałby, aby on choć przed śmiercią swą raz odstąpił od swego zwyczaju nieczytania papierów—i przeczytał w nich ostrzeżenie jemu przyjaznego Rzymianina? Ktoby go niechciał przekonać o niezmienności dlań nieszczęśliwych tych *angura idus*?

Słuszność naturalna naszego serca powiada nam, że człowiek taki, wyższą udarowany zdolnością, od którego więcej można się spodziewać dobra dla ludzi bo ma moc jeśli nie chęć na to — powinien być też więcej od pospolitych ludzi i wynagrodzonym. Słabość albowiem czy dobroć ludzka niewierzy, aby człek wyższych władz duszy, miał być stworzony na nieprzyjaciela ludzkości. Dla czegoż ta słabość czy dobroć człeczego serca dla wyższych tych ludzi—nie zawsze pożądanym skutkiem nadziei swych bywa uwieńczoną?!...

## VI.

Od tego jednakże powszechnego prawa natury—mimo wolnej uległości i szacunku dla ludzi wyższych zdolności—wyjmują się niektóre wybożenia i wyjątki; bo gdzież? bo w którym prawie i prawidło obejdzie



się u nas bez wyjątków? nasze prawa zwane naturalne, są istne grammatyki—wyjątek w nich w wyjątku, i wyjątki bez końca. Wszechmocny stanowiąc swe prawa, rządził się (jeśli można tak wyrzec) ścisłą gruntowną rachunkowością, najdokładniejszą matematyką. Nasza zaś matematyka szpikuje się jeszcze wyjątkami—i nasze nieszczęsne—ślepe oko w swych śledzeniach natury, widzi wyjątki i w samych prawach natury.

Nim jednak zjawia się u nas prawa bez wyjątków, to jednak pewna: że są ludzie z pewną—to znaczy nam niewiadomą—urodzoną, chorowitą czy zdrową odrazą dla niektórych osób, które szczycą się nawet powszechnem wzięciem w świecie moralnym. Ta dziwna hypochondryczna czy histeryczna ideosyncrasia szczególnie napastuje literatów. Są ludzie, którzy nie lubią Getego—który, jak wiadomo, prócz szacunku publicznego, i wziętości na dworze, był do tyła szczęśliwy, że był jeszcze kochankiem szczególnym nawet młodych dziewcząt np. piętnastoletniej Bettiny Brentano. Jakim sposobem się to dzieje? to najlepiej prawdę powiedzieć—że zgoła niewiemy—albo pochlebając sobie powiedzieć że wiemy, tylko niestaje nam możliwości wyjaśnienia tego drugim—rzućmy tę biędę na ten nieszczęsny magazyn naszych absurdów i niewiadomości—na wyraz *pewny*, co ciągnie się od wieków ogonem za postępowym obozem w marszu ludzkości do świątyni *prawdy*. Wyraz *pewny* i z nim jednoznaczne, ze ścisłych nauk powinny się na zawsze wypędzić. Ale jak nasze grammatyki i prawa bez wyjątków, tak podobno najściślejsze nauki bez przymiotników—*pewny*, *niejaki* i t. p. obejść nigdy nie będą w stanie. Bo *humanum errare est et nescire*. To prawo na nieszczęście, podobno najmniej ma wyjątków.

Jaka przyczyna téj niepojętej odrazy od pewnych pisarzy?...

Jeśli odwołamy się do *pewnéj* sympatii i antipatii—to jedno i to samo, co rzecz iż niewiemy. Można albowiem materyalnie i filozoficznie wszystko tłuma-

czyć, lecz niewytłumaczyć. I przyjaźń i miłość płci różnych, i szczególną tę dla niektórych niewiadomożką przychylną lub odrazę—można wyjaśniać, jak wyjaśniamy skłonność lub odrazę ku niektórym zwierzętom—kotom, psom, gołębiom i t. d. przez *sferę działania* galwanizmu, elektro-magnetyzmu, i *moc powinowactwa* i łączenie się przemagających pierwiastków kwasorodu w mężczyźnie, wodorodu w kobiecie i przez wiele innych podobnych sposobów—ale niewyjaśnić, niezadowolnić aż do *dosyć* ciekawości zapytującego umysłu.

Jedna z lepszych—choć grubych, choć nie z samego pierwiastku czerpniętych przyczyn—jest: podobieństwo i jedność uczuć. A ile i to, jak rzekłem, odpowiedź gruba, z powtórnego jakby źródła wzięta, niezadawalniająca zupełnie. Bo czy wiemy dziś—lub i czy widzieć kiedyś będziem, co to jest skłonność serca? współczucie? uczucie?... Że odeszł zapytującego prosto do splotów nerwowych tak z nerwu organicznego jak wałęsającego się, lub innych drobnych gałązek rozsypujących się w sercu,—bo to ogólnie już przyjęto, że czujemy za pośrednictwem nerwów, a siedlisko uczuć moralnych, gdy lepszego niema miejsca, naznaczyliśmy w sercu. I lekarz, jedynie tylko lekarz, na tém i zakończy. Atnropognosta i fizyolog moralny, będzie, odpowiadając, strzelał zwyczajnemi, ogólnemi wystrzałami:—uczucie, skłonność *sympathia*, odraza, antipatia i t. d. tym istnym grochem odskakującym od ścian umysłu pytającego. Będzie, gdy zechce tłumaczyć, tłumaczył *X* przez *X*, *ignotum per ignotum*, z próżnego będzie przelewał w pustę.

Jakkolwiekby, gdy nie możemy całkowicie odpowiedzieć jakby należało drugim i sobie samym, na pytanie;—jednak tak sami jak i drudzy dość czysto odpowiedź na to pytanie pojmujemy i czujemy. Można by tutaj bardzo słusznie powtórzyć zdanie Ś. Augustyna mówiącego o *czasie*. „Gdy mię nikt nie pyta. co jest czas? wiem—a gdy zapyta kto—niewiem”...



# SPIS RZECZY

## CZĘŚĆ I.

	Stron.
Józefa Ignacego Kraszewskiego życiorys . . .	1
Upadek Konstantynopola w 1453 roku. . . . .	12
Czerwie (z ryciną kolorowaną) . . . . .	16
Koblencya (z widokiem sztychowanym). . . . .	29
Kościół metropolitalny Ś. Mikoł, w Pradze czes.	41
Campi z Miklasiewiczów, przez Karassowskiego.	18
Jan Herburt kasztelan sanocki i Dobromil.	22
Fryderyka Bremer (z drzeworytem i fac simile).	31
Łasza Zenetta (z ryciną kolorowaną). . . . .	35
Emir Abdel-Kader w więzach francuskich. . . . .	43
Chrzaszcz słoń (z ryciną kolorowaną). . . . .	50
Dolina Szklar przez Adama Wiślickiego. . . . .	50
Wynalazek mikroskopu (z 6ma drzeworytami).	53
Jan Stanisław Jabłonowski Wojewoda Ruski.	61
Szczawik (Oxalis) z ryciną kolorowaną. . . . .	73
Paweł Morphy (z drzeworytem w tekście). . . . .	74
Teatr, Aktorzy i dramaturg hiszpański. . . . .	77
Radziejowice, przez Jul. Bartoszewicza . . . . .	83
Wyspy Shetlandzkie . . . . .	94
Polowanie na niedźwiedzia (z ryciną kolorow.).	102
Wspomnienie Tatrów z notat podróży . . . . .	104 i 135
Pałac Dożów w Wenecyi (ze sztychem czarnym).	114
Jeszcze słów kilka o kometach. . . . .	115
Wrzos i orlik (z ryciną kolorowaną). . . . .	118
Jerzy Bogumił Pusch, życiorys p. A. W. z ryc.	123
Światło elektryczne. . . . .	126
Trzęsienie ziemi w okręgu Semipalatyńskim.	129
Polowanie na tygrysy (z ryciną kolorowaną). .	132
Wynalazek teleskopu (z 3 drzewor. w tekście).	147
Ida Pfeiffer znamienita podróżniczka niemiecka.	147
Dziecioły brazylijskie (z ryciną kolorowaną). .	159
Wezuwiusz (ze stalorytem). . . . .	163
Kraj północno-uralski. . . . .	165
Północne Alki (z ryciną kolorowaną). . . . .	177
Lope de Vega, przez Budzińskiego. . . . .	179
Uczta chińska. . . . .	181
Odkrycia na oceanie południowym. . . . .	184
Atlas, (z ryciną kolorowaną). . . . .	188
Handel karawanowy w Saharze. . . . .	190
Hannover (ze stalorytem). . . . .	203
O poezyi w stosunku do historii politycznej.	204
Chrzaszcz afrykański (z ryciną kolorowaną). .	212
Wysokie lubelskie przez A. Wieniarskiego. . .	213
Jenerał Dufour (z drzeworytem w tekście). . .	220
Pomniki i zabytki napoleońskie. . . . .	222
Benarés, ze stalorytem. . . . .	224
Podróż łądem z Nowego Orleanu do Kalifornii.	226
Jaja ptasie (z ryciną kolorowaną). . . . .	239
Koncert w Sidnej (Ustęp z pamiętnika skrzyp.).	240
Rozmaitości. . . . .	162

Stron.

Sprawozdania popularne z dziedziny nauk przyrodzonych i przemysłu:

- I. Ocean na stole. Woda morska; niedostacznosc rozbiorów chemicznych. Fauna i Flora morska. Ruch roślin. Zegar kwiatowy Linneusza. Czułki. Aquarium słodkie. Insecto-vivarum. (Z trzema rycinami w tekście) przez A. S. T. I. 36
- II. Przygotowywanie do druku podług metody p. de France. Jakim sposobem człowiek może stać się Salamandrą? Gojenie ran. Odkrycie lekarstw jodowych. Dowolne tworzenie się kości u zwierząt. Teorye samorodztwa istot organicznych i jej wątpliwość w obec nauki T. I. 120
- III. Uczone fantazyje astronomiczne. Wymiary wielkości i spadania na ziemię niektórych aerolitów. Wysokość atmosfery. Przypuszczenia nowe o naturze słońca. Płynny kwas węglowy i przypuszczenia otrzymania djamentu drogą mokrą. Historia drogich kamieni. Sztuczne kamee chińskie. Drzewo jadalne u Chińczyków. Materiały zastąpić mogące zboże i kartofle; — mięso krowie. Sztuczne mnożenie ostryg. Nowa guttapercha. Sposoby nadania niepalności drzewom i tkaninom. Konduktory słomiane. Fotografia w r. 1760. Użycie jej na posługi drzeworytnictwa. Klisze guttaperchowe T. I. 195

## CZĘŚĆ II.

	Stron.
Włochy (z dwoma rycinami na 1 tablicy). . . . .	1
Gawęda w podróży ze Lwowa do Tomaszowa. . .	8
Józef Dunin Borkowski (z wizerunkiem). . . . .	24
Papugi nowój Hollandyi (z ryciną kolorowaną).	27
O Herodocie (według źródeł angielskich). . . . .	33
Mieszkańcy Wyższej Andaluzyi. . . . .	41
Skierniewice, przez Jul. Bartoszewicza. str. 45 i 117	
Aug. Eugen. Scribe (z wizerunkiem w tekście). .	52
Wpływ Chemii na Fizyologię i Medycynę. 56 i 115	
Ostronos (Nasua) z ryciną kolorowaną. . . . .	60
Rzeczpospolita kolumbijska z ryciną kolorowaną.	63
Korea. . . . .	73
Tytoń, przez J. B. Wagnera. . . . .	76
Omer-Pasza (z drzeworytem w tekście). . . . .	83
Ołomuniec, dawna Morawii stolica, ze stalorytem.	85
Podania Ludu naszego przez Jana Gregorowicza:	
I. Salve Regina. . . . .	90
II. Groźny Pan. . . . .	92
III. Kamienie djabelskie. . . . .	125
Jamajka. . . . .	95



Stron.

Klimatologiczne warunki stref zwrotnikowych . . . . .	99
Ojców i słówko o Pieskowej skale. . . . .	103
Posąg Mickiewicza w Poznaniu. . . . .	106
Zamek i katedra w Krakowie (z drzeworytem). . . . .	108
Wyścigi koni w Rzymie (ze stalorytem) . . . . .	113
Karol Dickens, przez Jul. Janiszewską. . . . .	123
Kabylia przez Sulickiego. . . . .	128
Czczewo i most pod niem na Wiśle . . . . .	134
Albertrandy i nieznane jego rękopisma. . . . .	143
Skög-kloster. . . . .	148
Upsal. . . . .	161
Sztokholm. . . . .	164
Łobzów (z drzeworytem w tekście). . . . .	150
Mogiła Kościuszki (z kliszą w tekście). . . . .	153
Mieczaki (z ryciną kolorowaną). . . . .	155
Plac Zgody w Paryżu (ze stalorytem). . . . .	157
Niektóre rysy charakteru Chińczyków, ich zwy- czajów i oświaty. . . . .	158 i 222
Jan Krystyjan Oerstedt (z wizerun. w tekście). . . . .	165
John Bright (z drzeworytem w tekście). . . . .	168
Kobieta-Doktor przez J. J. (z angielskiego). . . . .	169
Podróż po Grecyi: . . . . .	
Wyspa Patmos. . . . .	171
Droga z Pireus do Smyrny. . . . .	173
Weżówka (Plotus Anhinga) z ryc. kolorowaną . . . . .	176
Kwiaty cebulowe (z ryciną kolorowaną). . . . .	177
Podróż do Włoch i na wyspę Malteę przez Stol- nika Tołstoja w 1697 i 1698 r. . . . .	178
Tugi w Indyach, przez E. Sulickiego. . . . .	184
Wnętrze kolegium Jagiellońskiego (dzisiejszej biblioteki Uniwersytetu Krakowskiego) . . . . .	191
Rauch rzeźbiarz (z ryciną sztychowaną). . . . .	193
Dawny rycerz polski, przez S. . . . .	194
Jan Guttenberg i sztuka drukarska w ogóle a w szczególności w Polsce przez S. . . . .	197
Hardy, Molier i scena nasza w owych wiekach przez S. . . . .	203
Szarańcza i Liściec (z ryciną kolorowaną). . . . .	207
Jan Karol Leonard Sismondi. . . . .	209
Obrazki z podróży po Alpach. . . . .	214
Krokodyl i władca jego ojczyzny. . . . .	221
Urywki z pism Doktora Macieja Ł. . . . .	227
Rozmaitości. . . . .	43 i 156
Sprawozdania popularne z dziedziny nauk przyro- dzonych i przemysłu:	
IV. Przyrząd kontrollujący do wódki wynalazku Lelowskiego. Działo Armstronga. Przyrząd do badania biegu fal morskich. Wpływ świa- tła księżycowego na zdrowie ludzkie. Narzę- dzia słuchu u owadów (z dwoma drzeworytami w tekście) przez A. W. . . . T. II. str.	29
V. Pochwycenie dźwięku lub głosu w formy ry- sunkowe stałe i wyraźne, według nowego wyna- lazku Leona Scotta, przez J. B. W. T. II. s.	201

RYCINY DO TOMU I

jako wskazówka dla opracowującego.

Wizerunek J. Ign. Kraszewskiego. . . . .	1
Raki, rycina kolorowana. . . . .	16
Koblencya od strony Mozeli (sztych). . . . .	29
Viverra tigrina (Łasza Żenetta). . . . .	53
Kościół farny Św. Mikołaja w Pradze czeskiej. . . . .	41
Chrzaszcz-słoń, rycina kolorowana. . . . .	50
Szczawik, rycina kolorowana rośliny . . . . .	73
Radziejowice, litografija . . . . .	83
Polowanie na niedźwiedzia, rycina kolorowana . . . . .	102
Wenecya (Venedig) staloryt czarny. . . . .	114
Wrzos i orlik (rycina kolorowana). . . . .	118
Litografija portretu Jerzego Puscha. . . . .	123
Tygrysy, rycina kolorowana. . . . .	132
Dzięcioły brazylijskie (cztery ptaki kolorowane). . . . .	159
Wezuwiusz (sztych czarny) <i>Der Vesuv.</i> . . . .	163
Alki północne (rycina kolorowana ptaków). . . . .	177
Motyl nocny Atlas (rycina kolorowana) . . . . .	188
Hannower (sztych czarny). . . . .	203
Chrzaszcz afrykański (rycina kolorowana). . . . .	212
Widok Benarés, sztych czarny. . . . .	224
Jaja ptasie, rycina kolorowana. . . . .	239

RYCINY DO TOMU II.

jako wskazówka dla opracowującego.

Mieszkańcy Włoch (2 ryciny sztychowane czar- no na jednej tablicy). . . . .	1
Papugi Nowej Hollandyi, rycina kolorowana . . . . .	27
Grający na gitarze przy kobietach. . . . .	41
Widok Skierniewic, litografija. . . . .	48
Ostronos (rycina kolorowana). . . . .	60
Rycina kolorowana łowów boa (węża) . . . . .	63
Widok Ołomuńca, sztych czarny. . . . .	85
Posąg Adama Mickiewicza w Poznaniu. . . . .	106
Wyścigi konne w Rzymie, sztych czarny. . . . .	113
Konchy morskie sztych kolorowany . . . . .	155
Concordienplatz in Paris—(sztych czarny). . . . .	157
Rycina kolorowana dwóch ptaków Weżówek. . . . .	176
Kwiaty cebulowe (rycina kolorowana). . . . .	177
Portret Raucha, (sztych czarny). . . . .	193
Szarańcza i Liściec (rycina kolorowana). . . . .	207
Krokodyl (rycina kolorowana). . . . .	221

Oprócz tych sztychów i kliszów w tekście umie-  
szczanych, dołączane były do każdego numeru  
Księgi Świata ryciny kolorowane Mód pary-  
skich, rysunki robót kobiecych, i stosowne ob-  
jaśnienia drukowane na półarkuszach, pod  
kierunkiem Pani J. z P. B.

Księga Świata w tymże samym zakresie wychodzić  
będzie i w roku 1860, nakładem Księgarni  
S. H. Merzbacha.















Inst. Zool. PAN  
Biblioteka

P. 2790.